

C. J. Cherryh
Prekursor
(Precursor)
Przekład Agnieszka Sylwanowicz
Data wydania oryginalnego 1999
Data wydania polskiego 2001

1

Stojący w pogotowiu odrzutowiec pełnił teraz role samolotu pasażerskiego; przewoził bagaż jedynie paidhiego oraz dyplomatów podróżujących za jego aprobatą.

Co więcej, od czasu pewnego niepomyślnego przelotu przed trzema laty samolot nosił barwy - pieczęć rodu oraz osobistą pieczęć Tabini-aijiego, które stanowiły informacje dla każdego małego samolotu, że - niech diabli osobiste liczby pilota - odrzutowiec paidhiego ma absolutne pierwszeństwo.

Status dyplomatyczny na wyspiarskiej enklawie Mospheiry nie oznaczał jednak luksusowej poczekalni. Nie oznaczał nawet dostępu do publicznego terminalu obsługującego ruch na wyspie, po którym kręciły się mniej lub bardziej szczęśliwe rodziny w drodze na wakacje. Nie, pasażerowie o statusie dyplomatycznym wsiadali do samolotu w porcie towarowym. Ten odosobniony, łatwy do obrony teren bardziej się podobał ochronie. Departament Stanu dysponował bardzo niewielkim budżetem, ale jako drobne ustępstwo na rzecz pozorów kazał rozłożyć na nagim betonie czerwony dywan.

Bren wolał to odosobnienie, z dywanem czy bez niego. Przed jakimiś pięcioma minutami ochrona poinformowała go, że misja z Mospheiry jest już na pokładzie... nie czekali długo, siedząc bezpiecznie w samolocie, z załadowanym bagażem.

Bren miał ze sobą tylko własny komputer, urządzenie zawierające informacje, dla zdobycia których pewne ugrupowania mogłyby posunąć się do zabójstwa. Żegnając się, postawił go na ziemi. Odosobnienie mogło oznaczać rodzinne pożegnania w obskurnym, nagim magazynie, za to można było je odbyć na osobności: matczyne łązy i braterskie uściski po krótkiej wizycie z okazji Dnia Niepodległości, nie mającej nic wspólnego z rodzinnymi zobowiązaniami, a będącej raczej czterodniowym ciągiem oficjalnych spotkań, zakończonym noclegiem u matki na dzień przed świętem.

Po drodze z ludzkiej enklawy - Bren przyjechał prywatnym samochodem i nie musiał iść szpalerem kamer programów informacyjnych - zmienił swobodne wyspiarskie ubranie na buty z cholewkami do łydek i atewski dworski kaftan zapinany na liczne guziki. Bez niczyjej pomocy zaplótł włosy w porządną, ciemny warkocz, zwisający dokładnie - jak miał nadzieję - między łopatkami, w który najstaranniej jak potrafił wplótł białą wstążkę oznaczającą urząd paidhiego. Rano przepadła mu chyba w przewodzie grzewczym gościnnego pokoju matki spinka od mankietu; Bren był prawie pewien, że wpadła do przewodu, ale nie miał czasu, by zdjąć kratkę i poszukać zguby. Matka uraczyła go wystawnym domowym śniadaniem - była to jej namiastka święta - i Bren po prostu musiał usiąść i spędzić z nią choć tę odrobinę czasu.

Zapiął mankiet na pożyczoną szpilkę, której podczas pożegnania uścisku starał się nie wbić w ramię brata.

- Trzymaj się - powiedział Toby, a matka, co było do przewidzenia, dorzuciła:

- Może byś został jeszcze kilka dni.

- Nie mogę, mamó.

- Mógłbyś załatwić sobie jakąś inną pracę - mówiąc to, wyprostowała mu kołnierz. Bren miał trzydzieści lat i prawdopodobnie trzeba mu było wyprostować kołnierz. - Mógłbyś porozmawiać z Tabinim. Przynajmniej załatwić jakąś porządną łączność telefoniczną.

Tabini-aiji był tylko przywódcą cywilizowanego świata, najpotężniejszym przywódcą na planecie i prawdopodobnie poza nią. "Porządna łączność telefoniczna" w pojęciu matki Brena oznaczała przyjmowanie telefonów w mospheiranie zamiast w ragi i przepuszczanie przez atewskie zabezpieczenia o każdej porze dnia i nocy - to by wystarczyło. Fakt, że na pokładzie samolotu jest czworo dyplomatów i ma miejsce trudna sytuacja, nie istniał w jej wykresie wszechświata. Za chwilę zażąda, by Bren poszedł do fryzjera.

- Masz pager, mamó. - Dał go jej na urodziny podczas ostatniej wizyty.
- Pokazałem ci...

- To nie to samo. A gdybym miała atak i nie mogła się posłużyć tym twoim pagerem? Nie jestem coraz młodsza.

- Gdybyś nie mogła użyć pagera, to nie skorzystałbyś też z telefonu. Po prostu mów do niego. Jest automatyczny, to ostatni krzyk techniki.

- Ciekawe czyjej?

- Mospheirskiej. Kupiłem go tu, na wyspie.

- Nie wiadomo, dokąd nadaje. Ani kto go słucha. A wyprodukowali go at-e-vi. Oni robią wszystko.

- Ja wiem, kto słucha - powiedział Bren i spróbował ułagodzić matkę uściskiem. Była sztywna i opierała się.

- Strzały po nocy - mruknęła, nie bez racji. - Farba na moim domu.

To było kilka lat temu, ale Bren nie mógł jej winić za to, że ona wini jego.

Do akcji wkroczył Toby, stosując taktykę odwracania uwagi. Położył rękę na ramieniu matki, podając Brenowi równocześnie prawą dłoń do uściśnięcia, i zrobił mu przejście do czerwonego dywanu.

- Na razie - powiedział Toby. - Idź już.

Było to dość gładkie i prawie się udało.

Zza posterunku ochrony dobiegł jednak dziki okrzyk:

- Bren! - Na beton wbiegła kobieta w furkoczającej bieli oraz delikatnych żółtych pantoflach, nie przeznaczonych do lekkoatletycznych wyczynów.

Barb - była sympatia Brena, której przez ostatnie cztery dni skutecznie unikał i która przesyłała mu wiadomości głosowe, starannie przez niego kasowane.

Barb - z którą omal się nie ożenił.

Podczas tej, poprzedniej i jeszcze wcześniejszej wizyty nie pojawiła się, chociaż jego matka za każdym razem o niej mówiła: Barb zrobiła to, Barb zrobiła tamto; Barb robiła dla niej sprawunki i załatwiała różne sprawy.

Barb, mężatka, prawie zameldowała się na stałe w mieszkaniu matki Brena, a jednak nie udało się jej z nim spotkać... nie żeby rozgłaszał swoją wizytę czy choćby uprzedził matkę o planowanym noclegu. Był pewien, że Barb starała się z nim skontaktować. Tyle że podczas tych odwiedzin dwa razy "właśnie się z nią rozminął". Nie wiedział, skąd ten jej nagły upór. Pomyślał, że może nie powinien kasować tych wiadomości głosowych.

A teraz dostała się na teren odpraw - Bren mógłby się założyć, że dzięki karcie jej męża, który był facetem na wysokim stanowisku.

- Barbie - odezwała się z miłością matka Brena.

- Idź - ponaglił go półgłosem brat. Cokolwiek się działo, Toby był w tym zorientowany.

- Termin wyznaczony przez ochronę - rzekł Bren, z zastygłym na ustach uśmiechem. - Muszę iść. Czekają na mnie w samolocie. Mamó. Toby. Barb. - Wyciągnął rękę. - Miło cię widzieć. Ładnie z twojej strony, że opiekujesz się mamą.

- Bren, do cholery! - Barb rzuciła mu się w ramiona. Nie chcąc okazać się gburem, Bren musiał ją uściskać, chociaż uczynił to z rezerwą. - Wiem, że jesteś na mnie zły - mruknęła mu w koszulę.

- Nie jestem zły, Barb. - Rozmyślnie zrobił najobrzydliwszą rzecz, jaką potrafił wymyślić: uniósł twarz, będącej na krawędzi płaczu Barb, i ucałował

ją... w policzek. - Ja się cieszę. Cieszę się, że jesteś szczęśliwa. Nie zmieniaj tego.

- Nie jestem szczęśliwa! - Chwyliła go za klapę kaftana, zarzuciła mu rękę na kark i mocno ucałowała w usta. Bierny opór nie wystarczał, by potrafił się oprzeć... Początkowo. Po chwili, ku swemu ponuremu zmartwieniu, Bren stwierdził, że w ogóle nie reaguje. Pocałunki Barb nie były mu obce - całymi latami za nimi tęsknił. Jej usta chciały, usiłowały rozgrzać jego wargi... ale nic się nie stało.

Był zaniepokojony. Opuścił go gniew; Bren zaczął żałować Barb i trochę się niepokoić o siebie. Ze względu na dawne czasy próbował zatuszować jej skrzępowanie pocałunkiem - nawet namiętym pocałunkiem, czułym... O ile jeszcze pamiętał, jak to się robi.

Lecz między nimi wciąż nic się nie działo - a przynajmniej nic nie działo się z nim.

Barb cofnęła się, świdrując go zaskoczonym, zaniepokojonym wzrokiem. Odwzajemnił jej spojrzenie, zastanawiając się, co wie albo dlaczego jego ludzkie ciało nie zareagowało na drugiego człowieka, dlaczego nie rozgrzało się, nie odpowiedziało. Feromony znajdowały się na swoim miejscu - były to dawne perfumy, zapach Barb i całej Mospheiry, znajomy dla nosa przyzwyczajonego do kontynentu.

Nie było natomiast zainteresowania. Nie dało się go wskrzesić. Upłynęło zbyt wiele czasu. Za dużo przeprosin.

I przez tę jedną krótką chwilę Bren stał, patrząc w twarz kobiety, którą tuż przed rozłamem chciał poślubić... kobiety, która w trudnych chwilach walczyła u jego boku i ryzykowała swoje życie - po czym wyszła za spokojnego, wysoko postawionego technika imieniem Paul, woląc schronić się za jego tarczą.

Czy Bren mógł ją za to winić?

Biorąc to na zimno, właściwie nie. Ale jego niepokój o siebie przerodził się w gniew na nią. Nie chodziło o ślub; gniew budziła cała kampania Barb o odzyskanie go i to, że w tym celu opiekowała się jego matką, załatwiała jej sprawy.

Pierwszym na wół uświadomionym pytaniem było: Co do diabła Barb sobie wyobraża? Po co teraz przyszła? Dlaczego zaleca się do jego matki, na litość boską?

Patrząc jej w twarz, tak naprawdę nie znał odpowiedzi na te pytania. Jedna samotna kobieta zaprzyjaźniająca się z drugą samotną kobietą. Jedna kobieta nie mająca szczęścia w miłości przekracza granice pokoleniowe, by znaleźć bratnią duszę, coś jak najbardziej zbliżonego do miłości?

Bren odsunął się od jakby sparaliżowanej Barb, mierzającej go długim, niedowierzającym spojrzeniem... z płonąca twarzą uściskał Toby'ego i matkę, wyszeptał coś na pożegnanie, chwycił komputer i ze spuszczoną głową ruszył po dywanie do samolotu, nie odrywając wzroku od czerwiem pod stopami.

- Bren! - zawołała za nim Barb. Ze złością. Tak, do cholery, ze złością. Teraz była zła. Jego nerwy znały ten głos i ze względu na nich oboje miał nadzieję, że Barb rzeczywiście jest zła... na tyle zła, by dalej prowadzić własne życie. Na tyle zła, by się rozwieść ze swoim nowym mężem albo się ustatkować i żyć zgodnie z tym, co wybrała przed trzema laty - na tyle zła, by zrobić coś w kierunku własnej przyszłości. Ale bez względu na to, co wybierze, nie będzie to już jego wybór. Ani odpowiedzialność jego matki.

Nie mogą podjąć wspólnego życia od miejsca, w którym je przerwali. Nie chodziło tylko o to, że Barb wyszła za męża. Chodziło o to, że on już nie jest tym Brenem Cameronem, którego znała Barb. Wtedy był autorem słowników i tłumaczem... do chwili gdy jego życie eksplodowało i sprowadziło na nią niebezpieczeństwo, przed którym udało się jej uciec. Nie mógł już wrócić do tej bezpiecznej anonimowości. Nie mógł przyjąć marzeń swojej matki, a także Barb,

że ta anonimowość jeszcze kiedykolwiek powróci. Istniał powód tej konkretnej izolacji.

Poza tym wiele z tego co ludzkie nie leżało już w ramach jego wyboru. Stracił wszystkich na wyspie; właśnie miał stracić jedyne ludzkiego towarzysza na kontynencie. Nie był z tego zadowolony, lecz owego wyboru dokonały władze o wiele wyższe od niego.

Po metalowych stopniach wspiał się do luku odrzutowca, wciąż nie oglądając się za siebie, nie chcąc dać Barb cienia zachęty - nawet jeśli oznaczało to, że nie spojrzy ani na brata ani na matkę. Jej zdrowie naprawdę szwankowało. Miał powody, by się o nią martwić. Z jego powodu grożono śmiercią Toby'emu i jego rodzinie. Barb też stanowiła cel... i wiedziała o tym. Teraz sytuacja się zmieniła, a ona nie potrafiła się odczepić.

Matka i brat przyjeżdżali w odwiedziny na kontynent. Barb natomiast nie mogła otrzymać wymaganego zezwolenia - bez względu na wielkie wpływy jej męża - ponieważ wydanie wizy zależało od rządu atewskiego, a nie stanowiska Paula w rządzie ludzkim.

Niewątpliwie to też ją złościło. Barb nie była przyzwyczajona do odmownych odpowiedzi. Nie znosiła słowa "nie". Postanowiła też nie słyszeć sformułowania "wszystko skończone". "Sypiam regularnie z kimś innym" nijak nie mieściło się w zakresie jej pojmowania. Gdyby wiedziała, że ten ktoś nie jest człowiekiem, może mogłoby to jakoś wpłynąć na jej determinację.

Bren miał jednak cholerną nadzieję, że nie wie nawet jego brat... a już na pewno nie Barb, bo zaraz potem dowiedziałyby się jego matka, a następnie cała wyspa.

- Panie Cameron - powitał go na pokładzie ludzki steward i wziął od paidniego paradny kaftan.

Zdejmując go, Bren rozejrzał się po ciasnym wnętrzu luksusowego odrzutowca. Moduł pasażerski, którego używał w samolocie kursującym dotychczas na tej trasie, zawsze był umieszczany w kadłubie - tuż przed suszonym grochem i świeżymi kwiatami; lecz ten smukły produkt Zakładów Kosmicznych Patinandi, samolot aijiego, miał zamiast chodnika gobelin, a tapicerkę zdołały atewskie hafty. Kiedy nie woził paidniego nad cieśniną, służył personelowi i gościom aijiego do transkontynentalnych podróży... a siedzenia i wyposażenie były zrobione na atewską miarę.

Dlatego czworo mospheirskich dyplomatów wyglądało jak dziesięcioletnie dzieci siedzące w ogromnych fotelach, ustawionych wokół niskiego - w porównaniu z siedzeniami - stolika i sączące z atewskiego szkła mospheirskie napoje alkoholowe.

Jeśli nie będą się pilnować, wytoczą się z samolotu.

Bren został poinformowany, kto jest kim w tej grupie; dwoje z czworga uczestników misji poznał już wcześniej: Ben Feldman był szczupłym, wątlym i łysiejącym młodzieńcem z tworzącymi się zakolami, a Kate Shugart, kobieta z krótko obciętymi, matowymi brązowymi włosami, spiętymi spinką, szkoliła się do objęcia stanowiska Brena, ale przestało ono istnieć i Shugart nie zdobyła potrzebnych kwalifikacji. Ta dwójka starych wyjadaczy w Biurze Spraw Zagranicznych to byli ludzie Shawna Tyersa. Kiedy Bren pracował dla Biura, mógł powierzyć Shawnowi życie.

Jednak pozostałej dwójce...

Podszedł do grupy, wciąż czując na ustach smak pocałunku Barb, a w żołądku ciężar obfitego śniadania. Instrukcje Shawna zamknęły się jedynie w przypomnieniu Brenowi, że Mospheira zgłosiła chęć lotu w kosmos, i oznajmieniu, że aiji w Shejidan niespodziewanie udzielił zezwolenia na tę misję. Ludzie nie mieli innego wyboru jak natychmiast je wykorzystać.

Shawn powiedział też, że, co więcej, stacja znajdująca się na orbicie właśnie odwołała swojego drugiego i ostatniego przedstawiciela, który miał polecieć najbliższym rejsem. Decyzja ta głęboko wpłynie na pracę Brena.

Tabini zaś na to wszystko zezwolił.

Był to jeden wielki, irytujący bałagan, a Shawn nie mógł już udzielać Brenowi pełnych informacji. Służyli różnym rządowi. Mógł tylko powiedzieć, że kiedy aiji wydał zgodę, której spodziewali się za jakiś rok, to mospheirski rząd nie zamierzał odmówić jej przyjęcia...

Mospheiranie nigdy nie rozumieli, jak szybko potrafi działać aiji, kiedy zechce.

Pytanie tylko, dlaczego aiji tego chce.

Prom był jeszcze w fazie testów; obciążenie do rzeczzonego testu zostało ustalone i obliczone do ostatniej drobiny... tylko atevi w pełni rozumieli, jaki zamęt oznaczała taka zmiana. Było to niewygodne, owszem, ale, co ważniejsze, głęboko niepokojące dla osób, których kultura obraca się wokół pomyślnych skojarzeń numerycznych. Zmiana jednego kilograma ładunku mogła pociągnąć za sobą konieczność przemodelowania całej misji.

Ściskanie w żołądku Brena spowodował nie tylko manewr Barb.

Wyobrażał sobie, jak pan Brominandi przemawia w legislaturze: Niech głupi ludzie nadstawiają karku w promie, który odbył tylko cztery loty. Mospheiranie nagle oznajmili, że chcą miejsc, tylko miejsc, nie będą mieli żadnego dużego bagażu, tak powiedział Shawn, żadnej dużej dodatkowej masy... niech prom weźmie dość paliwa. To żaden problem. Nie trzeba niczego przeliczać, o, nie, nic podobnego.

Bren był przerażony. Wściekły. To jest jego prom, do cholery, i nawet możliwość jakiegoś potknięcia i utraty promu mroziła mu krew w żyłach. Boże, cały program narażony na nieobliczalne ryzyko. I z jakiego powodu?

A Tabini zezwolił na ten lot?

Lecz ludzie znajdujący się na orbicie odwołali swoich tłumaczy do domu, najpierw z Mospheiry, co nie zaniepokoiło nikogo na kontynencie. Spodziewano się tego, choć nie tak szybko.

A kiedy przed następnym kursem jedyne istniejącego promu kosmicznego, przed tym właśnie ostatnim lotem, przysłali na dół wyższego przedstawiciela stacji, mającego zastąpić - jak założyli z Tabinim - Yolandę Mercheson jako paidniego między ludźmi, też się tym nie przejęli.

Kiedy jednak Shawn tak niewinnie oznajmił, że stacja odwołała do domu jedyne innego człowieka znajdującego się na kontynencie, jedyne człowieka, z którym Bren utrzymywał regularne kontakty i który miał teraz wrócić na statek... fakt dokonany. Żadnych negocjacji, żadnej prośby, żadnego ustępstwa na rzecz protokołu czy planów Brena...

To już stanowiło powód do niepokoju.

Gdyby Bren dowiedział się o tej zmianie planów, kiedy prom wylądował i nieoczekiwanie wypluł z siebie na ziemię kontynentu rzeczzonego wyższego przedstawiciela, może mógłby zająć się tymi niepokojami. Zamiast tego został wysłany na Mospheirę, by dostarczyć owego starszego przedstawiciela stacji, niejakiego Trenta Cope'a, do przełożonych Shawna, a teraz o rychłym odjeździe Jase'a musiał dowiadywać się od byłego kolegi, który nie miał pojęcia, jaka bombę na niego spuszcza.

Yolanda odwołana na stację. Teraz bez zapowiedzi wyjeżdża Jase...

A Tabini pozwolił ludzkiej misji udać się na orbitę i zająć sytuacją na stacji, zanim mogli tam polecieć przedstawiciele Tabiniego?

Bren był więcej niż przerażony. Był wściekły. I kiedy wszedł do samolotu, roztrzęsiony po spotkaniu z Barb, na widok ludzkich uśmiechów zawrzała w nim ślepa furia. Przyjazne powitania byłych młodszych pracowników Biura Spraw Zagranicznych grały mu na nerwach, a dwoje starszych pracowników Biura Nauki i Handlu, co do pochodzenia których miał głębokie wątpliwości, tylko przepęniało dzban.

Cholernie dobrze wiedział, co myśli się na wyspie: Mercheson poleciała na górę z raportem, jaki mogła sporządzić po swoim pobycie na planecie, a rząd wyspy zaczął się denerwować tym, co zechce o nim przekazać... i słusznie, wzięwszy pod uwagę, że pewni nieroztropni durnie na Mospheirze zaczęli do siebie strzelać w jej obecności.

Ludzki rząd został zmieniony przed trzema laty - pozbyto się George'a Barrulina i jego kumpli, a na stanowisko prezydenta wyniesiono Hamptona Duranta... poniekąd posprzątał w domu. Mercheson uciekła na krótko z wyspy na rządzony przez atevich kontynent, czując, że wśród ludzi jej życie jest w niebezpieczeństwie. Kiedy polityczny kurz osiadł, wróciła do swojej pracy... i od miesiąca znajdowała się na orbicie, wyjawiając Gildii Pilotów wszystkie grzechy wyspy.

To właśnie stanowiło powód istnienia promu: statek, który przywiózł na tę planetę przodków Brena, odleciał, zaginął na paręset lat, po czym wrócił, zastając stację kosmiczną w odstawce, robotników zmienionych w kolonistów na planecie, a gatunek będący właścicielem planety mniej więcej panujący nad sytuacją, mimo złudzeń wyspy, że ludzie są rasą wyższą. Przegrali oni wojnę na planecie, zgodzili się na stopniowe przekazywanie techniki, by nie zakłócić gospodarki światowej, i nigdy właściwie nie pojęli faktu, że przekazanie wiedzy informatycznej matematycznie uzdolnionym atevim wypuściło dżina z lampy. Ludzie na Mospheirze nie byli najbardziej zaawansowanymi technicznie istotami na planecie... już nie.

Ten techniczny transfer, całe jego dwieście lat, właśnie się kończył, jeśli chodzi o przekazywanie techniki z Mospheiry atewskiemu rządowi w Shejidan. Teraz jedyni ludzie, którzy mogli czegokolwiek nauczyć atevich. znajdowali się na orbicie; była to załoga wracającego statku... Gildia Pilotów i rząd atewski zwróciły na nich uwagę. W wyniku tego paidhi, ludzki tłumacz atevich, obecnie niejaki Bren Cameron, stracił pracę jako urzędnik mospheirskiego Biura Spraw Zagranicznych; tłumaczami w nowym porządku spraw byli paidhiin Bren Cameron, Yolanda Mercheson i Jase Graham, jako przedstawiciele atewskiego rządu i Gildii Pilotów.

A teraz statek, jakby nieświadom wysoko specjalistycznej natury tego stanowiska, odwołał swoich oboje doświadczonych paidhiin, wysłał na dół nowego człowieka, który nie potrafił utrzymać pożywienia w żołądku, natomiast Bren siedział w samolocie z niespodziewaną ludzką delegacją udającą się na orbitę jego promem.

Kiedy bez ogródek zapytał zawsze wiarygodnego Shawna Tyersa, dlaczego rzucili się wykonać ten nagły rozkaz z Mospheiry, Shawn udzielił wykrętnej odpowiedzi:

- Ludzie są nerwowi. Przeciętni ludzie są nerwowi. Odwołano Mercheson. Człowiek mógł się założyć, że są nerwowi.

- Panie Cameron. - Ben Feldman, mężczyzna w jego wieku, wstał z fotela, by przywitać go podaniem ręki. - Już się kiedyś poznaliśmy.

Bren chciał ich wszystkich udusić. Dyplomaci nie mieli jednak takiego luksusu. Zamiast tego uśmiechnął się.

- Bren, jeśli łaska. Ben, Katherine...

- Kate. - Kate wstała i podała Brenowi rękę.

- Tom Lund - przedstawił się, wstając, tęgi, siwowłosy mężczyzna.

- Ginny Kroger, z Nauki. Doktor Ginny Kroger. Miło mi pana poznać - powiedziała siwowłosa kobieta o długim nosie.

Virginia Kroger. Z Nauki. Bren znał to nazwisko, dopasował do niego twarz - jedna ze starej gwardii. I Tom Lund z Handlu... to był departament rządowy nieco zbyt blisko związany z Gaylordem Hanksem i Georgem Barrulinem, których wpływy trzy lata temu niemal przywiodły świat do wojny. To dzięki ich błyskotliwemu zarządzaniu Mospheira wynajmowała miejsca w atewskim promie... oraz dzięki faktowi, że kilka miliardów lat geologicznego czasu nie umieściło tytanu, aluminium, żelaza oraz dziesiątków innych potrzebnych substancji w zasięgu mieszkańców wyspy, na której przodkowie obecnego aijiego osadzili ludzkich kolonistów.

- To wielka niespodzianka - rzekł Bren. - Co spowodowało ten nagły pośpiech?

- Aiji - odparł Lund, siadając wraz z pozostałymi. - Wydał wizy bez żadnego uprzedzenia. Dowiedzieliśmy się... byliśmy gotowi, choć się tego nie spodziewaliśmy.

- Co, przepraszam za obcesowość... - Brena ogarnęła na moment rozpacz, jako że dostrzegł bardzo nieprzyjemną sytuację, rozwijającą się na jak dotąd prostej drodze świata ku przyszłości. - Co spodziewacie się uzyskać tam na górze?

To on, mając trzydzieści lat, był tu wytrawnym dyplomata. Ludzie, z którymi miał do czynienia, i tych dwoje, których włosy przyprószyła siwizna, byli kompletnymi nowicjuszami w tej dziedzinie. Na przestrzeni dwustu lat tylko on z całej Mospheiry prowadził negocjacje z zagraniczną potęgą. Od samego początku mospheiranie nie przedstawiali sobą ideału rozsądku w stosunkach międzynarodowych... a teraz ze swoim brakiem rozeznania rzucają się między dwie uzbrojone potęgi, kontakty między którymi były jak dotąd dość dobre i bez konfliktów.

I robią to w chwili, gdy ta druga uzbrojona potęga bez wyjaśnienia wycofała swoich dyptomatów.

Bren zachowywał przyjemną minę, choć cała ta sytuacja nim wstrząsnęła. Nie miał najmniejszego zamiaru zrywać spotkania z ludźmi, którzy, o czym był głęboko przekonany, zrobią co w ich mocy, by oszukać atevich oraz Gildię Pilotów. Wiedział, że nie jest to bardzo przyjazne pytanie, ale je zadał:

- To próba czy zamierzacie robić tam w górze coś konkretnego?

- Słucham? - spytał zakłopotany Lund.

- Poważne i trzeźwe pytanie. Martwię się. Czy ten pośpiech ma jakieś uzasadnienie?

Zobaczył w skierowanych na siebie oczach przeblęski myśli... na pewno wspomnienia, że chociaż rozmawiają z człowiekiem i są z nim po imieniu, on już nie pracuje dla Biura Spraw Zagranicznych... że rozmawiają praktycznie z przedstawicielem aijiego. Aiji właśnie udzielił im zezwolenia na lot, ale może je cofnąć.

- To decyzja pańskiego rządu - oznajmiła, pochylając się, Ginny Kroger. - My przedstawiliśmy prośbę. Wczoraj otrzymaliśmy wiadomość, że została spełniona. Biorąc pod uwagę pana własną radę, panie Cameron, staramy się współpracować. Chyba pan to doradzał?

Nie mógł zaprzeczyć, więc z trudem się opanował.

- Nie zaprzeczam - rzekł.

A zatem to dzieło raczej Tabini-aijiego, nie ich. Władca dominującej cywilizacji świata właśnie zareagował na posunięcie Gildii Pilotów, która kolejno wezwała swoich ambasadorów na konsultacje, i wysłał nie swoich przedstawicieli, lecz zupełnie dziką kartę... garstkę specjalistów z Mospheiry, dwoje z wieży z kości słoniowej Uniwersytetu i Departamentu Stanu, a także dwoje starych wyjadaczy w dziedzinie wyspiarskich intryg.

Boże, pomyślał Bren, zaniepokojony rodzącymi się możliwościami, i zapiął pas.

- To w takim razie rozumiem, co robi - stwierdził.

- Naprawdę? - zdziwił się Lund. - A więc wyprzedza pan wszystkich w Departamencie Stanu.

- Atevi czasem spełniają zuchwałe prośby... tylko po to, by obserwować wynik, nawet w poważnych sprawach. Rzut kośćmi, można by powiedzieć. Patrzą, dokąd się potoczą.

Zerknął na dwoje tłumaczy, poszukując jakichkolwiek oznak zrozumienia, i zaniepokoił się, że tylko Feldman załapał, iż może to być test ludzkich zamiarów; może jednak Shugart ćwiczyła ten inny atewski zwyczaj - tajemniczość.

- Przysłaliście prośbę o zezwolenie na lot. - Do głosu Brena wkradła się oskarżycielska nuta. - Ja jej nie otrzymałem.

Odpowiedź i potwierdzenie zgody na misję wyszły z Mospheiry prawie na pewno w języku ragi, przetłumaczone przez jakiegoś niższego funkcjonariusza,

co było sprzeczne z polityką Biura Spraw Zagranicznych, a Bren wiedział, że taką wiadomość musiała zaakceptować Sonja Podesta, jego dawna przyjaciółka, obecnie kierująca Biurem... A może pozwoliła tej wiadomości prześliznąć się bokiem.

Jednak czy to możliwe pod nosem Shawna, jej przełożonego w Departamencie Stanu? Shawna, który właśnie zakończył spotkanie z Brenem?

Myśl o tym, że Shawn mógłby rozmyślnie próbować pominąć Brena i kłamać mu w żywe oczy, nie była przyjemna.

- Rozmiał się pan z wiadomością. - Lund sprawiał wrażenie, że bardzo chce rozmyć podejrzenia Brena. - Nie mieliśmy pojęcia, że jest pan już w drodze na wyspę.

- Rzeczywiście, rozmiałem się z wiadomością. To, jak dotarła na miejsce bez mojej wiedzy, jest inną sprawą.

- Jeśli zaszło coś niezgodnego z normalną procedurą - rzekł Lund - z całą pewnością nie było zamierzone.

- Z waszej strony zapewne nie.

- Na wyższym poziomie - wtrąciła Kroger. - Drobiazgowo przestrzegamy umów. Nie mieliśmy pojęcia, że pod pańską nieobecność prośba przechodziła przez pana biuro. Nie spodziewaliśmy się takiego rozwoju wypadków.

Prośba została przechwycona na kontynencie przez kogoś, kto miał dostęp do jego wiadomości, co oznaczało tylko atewską Gildię Posłańców albo jego personel...

Ewentualnie ochronę Tabiniego.

A niewczesna, szaleńcza prośba skierowana do Tabiniego, została spełniona.

Bren żałował, że zjadł tak obfite śniadanie. Szperanie pod kratką... Kiedy Bren siadał, wyraźnie było widać, że nie ma jednej spinki do mankietu. Przedstawiciel aijiego pod żadnym względem nie był w najlepszej formie. Otrzymał cios od byłych przyjaciół w Departamencie Stanu, od prezydenta Mospheiry, który podobno jest przy zdrowych zmysłach; a teraz dowiedział się, że być może istnieje przeciek w Gildii Posłańców... organizacji nie składającej się z jego najlepszych przyjaciół na kontynencie, nie zawsze lojalnej względem Tabiniego. To mogło się stać przerażającym problemem.

Lecz efekty przecieków w Gildii z pewnością nie zyskiwały aprobaty aijiego, chyba że wiadomość stała się tak powszechna, że dla zachowania twarzy trzeba było udzielić zgody. Bren nie wiedział, co go spotka po wylądowaniu. Bardzo prawdopodobne, że kryzys rządowy.

Nieufność względem Gildii Posłańców zniechęciła go do próby nawiązania kontaktu telefonicznego.

Luk zamknięto przed chwilą, co nie zostało zauważone podczas wymiany zdań. Samolot zaczął odkołowywać od budynku. Wesołość zasilona alkoholem nieco przycichła, a oni nie znajdowali się nawet na pasie startowym.

- No cóż - powiedział Bren, postanowiwszy, że da się ugłaskać, przynajmniej pozornie - rozumie. Przepraszam, że tak się zdenerwowałem. Sytuacja jest jednak niezwykle delikatna. Gildia Pilotów odwołała Mercheson, a teraz Jase'a Grahama, nie uprzedzając aijiego. Mógł uznać, że wysłanie was na górę jest odpłaceniem pięknym za nadobne.

To wywołało chwilę namysłu u bardziej doświadczonych uczestników misji.

- Atevi znajdują się pod dużą presją - odezwała się bardzo cicho Kate Shugart, występująca w roli zaledwie tłumaczki. Troje z pięciorga ludzi znajdujących się na pokładzie samolotu instynktownie wiedziało, jak ryzykowne jest wpuszczanie do systemu źle przygotowanych wiadomości. - To wielka zmiana po tym, jak zaledwie przed kilku laty dyskutowaliśmy nad zaawansowanymi technologiami komputerowymi.

Jednocześnie starannie badając tkankę społeczną, by mieć pewność, że to, co przekazują w ręce atevich, nie wywoła wojny albo nie rozbije atewskiego społeczeństwa. Atevi sami wynaleźli kolej żelazną; ludzie ostatnio wprowadzili kulturowo niebezpieczne pojęcia szybkiej obsługi kulinarnej i

rozrywki w telewizji, usiłując nie doprowadzić do wybuchu drugiej wojny atewsko-ludzkiej.

A teraz pojawiła się wiedza raketowa. Oraz doniesienia o kontakcie z jakimś gatunkiem poza granicami układu słonecznego, zaawansowanym technicznie i wrogim. Gildia Pilotów wróciła z podkulonym ogonem do domu, z kłopotami czającymi się tuż za horyzontem... a świat nie brał już udziału w kosmicznym wyścigu do orbity i starej, rozpadającej się stacji, lecz w zmaganiach o dominację w podejmowaniu decyzji i o przeżycie... z rasą sprowokowaną w jakiś sposób przez Gildię Pilotów.

Nie była to przed trzema laty przyjemna porcja wiadomości dla świata.

Atevi, którzy nie sprzyjali powszechnie technicznemu importowi, musieli nagle przejąć władze nad własną planetą albo usunąć się na rzecz ludzi mieszkających na Mospheirze oraz ludzkiej Gildii Pilotów; obie te grupy dzieliła historyczna animozja i nie były one zgodne z atevimi.

Atevi, by mogli przejąć władzę, musieli zbudować pojazd relacji ziemia-kosmos, na podstawie planów dostarczonych przez Gildię Pilotów, i dostosować do tego wyczynu całą swoją gospodarkę, materiałoznawstwo i przemysł.

To nie było możliwe dla ludzi. Gdyby atevi nie stworzyli cywilizacji obejmującej cały kontynent, będącej na dodatek monarchią konstytucyjną, i nie budowali już raket, żadną miarą by tego nie dokonali... a już na pewno nie za życia Brena. Wystarczy porównać wysiłki mospheiran, którzy narzekali na ulgi podatkowe dla ich jedynych zakładów lotniczych i którzy pozwolili im upaść. Teraz kupowali samoloty w atewskich zakładach i musieli płacić za miejsca na atewskim promie orbitalnym.

Bren wiedział, ile Tabini im liczy, a obywatele nie poczuli jeszcze podatkowego ukąszenia.

- Jeśli prom zawiedzie - zauważył cicho Bren, kiedy samolot skręcił na pas startowy i nabrał prędkości - jeśli prom będzie miał jakikolwiek poważny problem, to wybuchnie kolejna Wojna Lądowania. Nie powinna, ale wybuchnie. Wybuchnie. Jest to stałe zagrożenie. Przepraszam za to śledztwo; ja miałem przetłumaczyć tę prośbę, która jakimś sposobem przemknęła obok mnie. Kiedy sprawy nie toczą się rutynowo, zawsze powstaje niebezpieczna sytuacja w atewskim społeczeństwie.

- Ale nam nic teraz nie grozi, prawda? - zapytał Ben Feldman, który naprawdę rozumiał to ryzyko. Samolot oderwał się od ziemi.

- Odczuwam lekki niepokój - odparł Bren. - Chcę mieć absolutną pewność, że w nic nie wdepniecie. Jesteście pewni, że ta wiza naprawdę nadeszła z biura Tabiniego?

- Razem z potwierdzeniem - powiedział Lund. - Chce pan zobaczyć dokumenty?

- To by mi nic nie powiedziało. - Bren nie zamierzał wyjawiać wrogim negocjatorom swoich wątpliwości co do Gildii Posłańców ani tego, co wiedział o niestabilności sytuacji. - Jakie są dokładnie wasze ustalenia? Kto ma was spotkać?

- Udajemy się prosto do ośrodka lotów kosmicznych - odparła Kroger. Miała dość niepewną minę. - Do oficjeli.

- To dobrze. Tak powinno być - stwierdził Bren. - Prawdopodobnie zgoda rzeczywiście wyszła z biura aijiego. - Zobaczył, że zaniepokoił towarzyszy podróży. W najmniejszym stopniu tego nie żałował. Nikt na świecie - ani ponad nim - nie powinien być tak naiwny, jak mospheiranie w sprawach nie dotyczących ich własnej polityki. - Co oznacza, że aiji to popiera. Jakie jest wasze zadanie tam na górze?

- Nie zostaliśmy upoważnieni do udzielenia panu takich informacji - rzekła Kroger.

- Zostaliście upoważnieni do prowadzenia negocjacji.

- Ze stacją.

- Z załogą statku - powiedział cicho Bren. - Przed Lądowaniem to my byliśmy stacją, prawda?

Był to stary punkt zapalny, przywileje Gildii, brak podstawowych praw kolonistów, kiedy awaria podczas lotu zmusiła załogę do przejęcia kontroli nad misją... kiedy statek bardzo poważnie zszedł z kursu, a załoga nie potrafiła doprowadzić go do żadnego rozpoznawalnego punktu, dawno, dawno temu. Koloniści nie mieli lądować. Wylądowali. Gildia opowiadała się za szacunkiem dla tubylców i przeciwko lądowaniu; chciała zostać w kosmosie.

Jej członkowie z całą pewnością zostali w kosmosie. Gildia nie miała żadnego ładownika i żaden jej pilot nie potrafił latać w atmosferze. Wszystko to zostało zapomniane.

Gildia nie miała zamiaru teraz latać w atmosferze. Jej celem było obsadzenie stacji i zaopatrzenie statku. Chciała dostać siłę roboczą - to, o co jej zawsze chodziło.

Tej siły roboczej mieli dostarczyć mospheiranie, jako istoty mówiące tym samym językiem oraz identyczne biologicznie. Mospheiranie byli jednak podzieleni: ci, których przodkowie piastowali wysokie stanowiska techniczne na stacji, opowiadali się za wyjściem w kosmos, a ci, których przodkowie ciężko pracowali przy pozyskiwaniu surowców i ginęli dziesiątkami, zwolennikami tego wyjścia raczej nie byli.

Jeśli chodzi o jakąkolwiek delegację mospheiran, udającą się na rozmowy z Gildią Pilotów, pytanie "Czego chcecie?" miało ogromną wagę.

- Zasadniczo chcemy poznać fakty - rzekł Lund.

- Dowiedzieć się, co knują?

Kroger wzruszyła ramionami.

- Nie jesteście wrogo nastawieni do stanowiska aijiego - powiedział Bren. - Chcacie poznać fakty. Pytanie tylko... czy ci obcy istnieją naprawdę? Czy statek naprawdę coś tam znalazł? Od trzech lat bardzo ściśle współpracuję z Jasonem Grahamem... i wierzę mu.

Osiągnęli wysokość podrózną. Bren poczuł, że samolot wyrównuje lot.

- A czy aiji reprezentuje taki sam pogląd? - zapytał Lund.

- Dobre pytanie. Raczej tak, ponieważ kieruje się moim zdaniem. Jak być może pamiętacie, forsował program kosmiczny wbrew pewnym zastrzeżeniom. To dzięki niemu cały ten program został wprowadzony w życie. Gildia musi zrozumieć... jeśli cokolwiek zachwieje pozycją Tabiniego, nie będzie żadnego promu, programu i surowców, żadnego biletu. Baza Alfa, proszę państwa. Jeszcze raz Baza Alfa.

To miejsce na wyspie, gdzie zegar ciągle wskazywał godzinę 9.18, odwiedzał każdy kandydat na paidhiego.

Ludzie spływający na dół ku wolności na swoich żaglach-kwiatach weszli entuzjastycznie w atewską kulturę i zaproponowali atevim swoją technikę, bez troski przekraczali patronackie linie, nie mając najmniejszego pojęcia, w jakim znajdują się niebezpieczeństwie. Ludzie nie nauczyli się - właściwie nie potrafili - władać płynnie miejscowym językiem, a ponieważ nigdy nie pojęli, jakie szkody wyrządzają, sami atevi nie rozumieli, jaki jest koszt tych prezentów... Wszystko nagle wybuchło i ten zegar na wyspie zatrzymał się dokładnie o 9.18, rankiem tego dnia, kiedy złudzenie poszło z dymem.

Potem aiji, który zwyciężył, osadził ocalałych ludzi na Mospheirze i wyznaczył pierwszego z paidhiin - niezwykłego człowieka potrafiącego pokonywać na palcach bariery językowe.

- Czytaliśmy pańską pracę - rzekł poważnie Ben.

Owszem, przeczytali i zrobili to, co zrobili - zdobyli zgodę aijiego na ten lot, przepychając się przed Brenem do promu, który sam zbudował.

Zważywszy na historię Mospheiry, dlaczego nie zdziwił się, że nawet językoznawcy nie pojęli w czym rzecz?

- No cóż - powiedział, widząc, że dyskusja donikąd nie prowadzi - jesteście w drodze i prawdopodobnie wszystko wam się uda. Proszę tylko... z całą szczerością proszę, by przyszłe rozmowy z atevimi toczyły się ustalonymi kanałami.

- Ja też będę szczery - rzekł Lund - i polegam na pańskiej dyskrecji. Sekretarz Stanu usilnie twierdzi, że można panu zaufać.

Bren skinął głową.

- Przynajmniej jeśli chodzi o dobrą wolę. Ja naprawdę podlegam aijiemu.

- Nie jesteśmy zainteresowani w utworzeniu na orbicie następnego ludzkiego rządu. Mówią, że znaleźli w przestrzeni wrogo nastawionych obcych. Potrzebują robotników do zaopatrzenia statku w paliwo i ponownego uruchomienia stacji, i jeśli ten pański aiji chce im zapewnić tych robotników, i jeśli są ochotnicy, którzy chcą tam polecieć i pracować, to dobrze. Ale czy aiji rozumie, jaki jest wskaźnik wypadków śmiertelnych?

- Aiji rozumie - odparł Bren. - Wyjaśniłem mu to bardzo dokładnie. I ani ludzcy, ani atewscy robotnicy, nie będą pracować bez zabezpieczenia.

- I aiji zajmuje takie stanowisko. Bezwzględnie. Czy można powiedzieć, że go to obchodzi?

Było to drażliwe i inteligentne pytanie, jak na mospheiranina o przeszłości Lunda.

- I tak, i nie. Wersja skrócona: atewskie zmysły rozmnażania i przeżycia są splecione w man'chi. Jest to instynkt stadny, tak potężny jak popęd płciowy, niezależny od płci. Jeśli jakaś osoba nie jest związana man'chi z danym ateva, to go nie obchodzi. Jeśli jednak jego man'chi ją obejmuje, to wszyscy i tak mają ten sam cel, bez względu na spory pokoleniowe. Ale to dotyczy przeciętnych atevich. Aiji nikomu nie ofiaruje swojego man'chi i nic go nie obchodzi, ale swoją osobą spaja man'chi całego swojego patronatu. Jeśli zmarnuje to oddanie, patronat się obrazi, gwałtownie rozpadnie i go zabije. Tych atevich wiele obchodzi. Namiętnie, instynktownie, co wyrażają emocjami, których nie czujemy, podobnie jak oni nie odczuwają naszych emocji. Aiji nie marnuje atevich. Jest biologicznie uwarunkowany do zapewnienia im ochrony, oni są uwarunkowani do chronienia jego, wszystkich wszystko obchodzi. Namiętnie. Nie ma możliwości, by tolerował warunki, które tolerowali nasi przodkowie. W kwestii robotników na orbicie możecie polegać na zjednoczonym froncie. Zabezpieczenia albo żadnych robotników. Aiji nie zniesie ani jednego pomysłu Gildii na działania pociągające za sobą wysokie ryzyko, które nie przyniosą korzyści atevim. Po drugie, stale będzie pytał, jaką korzyść z danego działania odniesie jego patronat. Podobnie jak na pewno będziecie pytać wy w imieniu Mospheiry. Aiji ma wszystko, po co Gildia przybyła na tę planetę; wy po ludzku rozumiecie sposób myślenia Gildii. Nikomu z nas nie posłużyłoby oddanie kluczy do tych spraw. Atevi połowicznie rozumieją mospheiran, o ile w ogóle rozumieją ludzi. Zdają sobie natomiast sprawę, że zupełnie nie rozumieją Gildii.

- Nie możemy rozmawiać ani z atevimi, ani z Gildią Pilotów - odezwała się Kroger. - Mieliśmy pana jako tłumacza, pan się jednak wycofał... przepraszam, ale to właściwe słowo. Potem mieliśmy Yolandę Mercheson, która została, niestety, odwołana. Nie wiemy, co reprezentuje ten nowy człowiek. Jesteśmy właściwie pozbawieni kontaktów. Nasza misja polega na powtórnym ich nawiązaniu.

- Rozumiem. Jeśli rozgryziecie Gildię... powiedzcie mi. Bardzo mnie to interesuje.

Te słowa wywołały niewielkie rozbawienie. Niewielkie i krótkotrwałe.

- Co według pana chce osiągnąć Gildia, wysyłając tego nowego człowieka...?

- Cope'a. Trenta Cope'a.

- Jaki on jest?

Bren wzruszył ramionami.

- To przełożony Grahama i Mercheson. Prawdopodobnie stoi wyżej w hierarchii. Na widok horyzontu dostaje strasznej choroby morskiej. Trudno poznać kogoś, kto ma wynicowany żołądek i jest na wpół odurzony lekami.

- Mam nadzieję, że nie działa to w drugą stronę - rzekł Lund.

Bren chciał jechać z Copem, przeprowadziwszy niegdyś Jase'a przez jego pierwsze doświadczenia ze zjawiskami planetarnymi. Wtedy jeszcze nie wiedział, że Jase zostanie odwołany; w ogóle nie przychodziło mu to do głowy. Nie liczył się emocjonalnie z tym mocnym ciosem, który otrzymał dopiero tego ranka.

Nie chciał o tym myśleć; pragnął tylko wrócić do swojego własnego apartamentu w stolicy, gdzie mógłby spędzić z Jasem dzień... przynajmniej jeden dzień przed planowanym startem... by sprecyzować, co myślą. Bren znajdował się w informacyjnym zaciemnieniu, usiłując wrócić i porozmawiać z Jasem... a rozkazy Tabini-aijiego umieściły go z mospheirską delegacją, której misja była wynikiem tych samych rozmijających się sygnałów.

- Atevi wspominają o lekkich mdłościach - powiedział. W kosmosie byli tylko atewscy piloci, którzy testowali prom. Dokowali. To przerażający manewr. - Mam nadzieję, że nie staniecie się przez to bardziej podatni na tego rodzaju dolegliwości.

- Ja też - dorzucił Lund.

Kroger zamilkła. Może myślała? Albo zachowywała swoje zdanie dla siebie. Dwoje młodszych wysłanników milczało.

Po chwili Kroger zapytała:

- Jakie pańskim zdaniem sprawozdanie napisała Mercheson?

Mercheson uciekła na kontynent, przez pół roku swojej kadencji na planecie mieszkała u Brena; kiedy rząd na Mospheirze zaczął sprawiać wrażenie stabilnego, wróciła na wyspę. Potem większość czasu spędzała już na Mospheirze, sama w obcej kulturze, bardzo nieszczęśliwa. Nie kochała Jase'a namiętną miłością, ale sypiali ze sobą; nie byli partnerami w pracy, lecz darzyli się rozpaczliwą przyjaźnią, co stanowiło jedyne wyjście dla kobiety ledwie tolerującej swoje wygnanie. Wcześniejsze odwołanie Mercheson na statek wydawało się rozwiązaniem, a nie problemem. Bren nie chciał mieć nic wspólnego z ich związkami, ale go rozumiał.

Nie był to też interes mospheiran.

- Uczciwe - powiedział. - Tęskniła za statkiem, ale nie żywiła do Mospheiry żadnej urazy.

- Jednak przedstawi sprawozdanie Gildii - rzekł Lund.

- Zdecydowanie. Podobnie jak Jase przedstawi raport o nas.

- Pozytywny?

- Chyba tak. Myślę, że oboje to zrobią. Tworzenie rozdźwięku, jakiegokolwiek negatywnego sprawozdania, nie przyniesie żadnego pożytku. Przysłali na dół Cope'a i wierzę, że przy następnym kursie dostaniemy kogoś na miejsce Jase'a. - Bren wcale nie oczekiwał tego z radością. Strata Jase'a mocno go ugodziła... mocniej niż kiedykolwiek się spodziewał. Może dlatego tak się odniósł do Barb; może dlatego przystąpił do tej rozmowy uzbrojony i zły. - Nie muszę tego mówić tej dwójce z BSZ, ale słuchajcie dwojga swoich doradców. Mówicie językiem Gildii, nie zakładajcie jednak, że po dwustu latach separacji słowa oznaczają to samo. Większość różnic to będą głupie drobiazgi; kilka z nich może być naprawdę ważnych. - Zerknął na Feldmana i Shugart - Oni o tym wiedzą.

- Wierzemy, że tak jest - powiedziała ostrożnie Kroger.

- Ja znam tych dwoje - rzekł Bren. - Są dobrzy. - Rumieńce nic dla niego nie znaczyły. Mówił, co myślał. - Mam tylko czas trwania tego lotu, by zaznajomić was z tym, co wiemy o Gildii, czego, jak rozumiem, pragnąłby aiji. Spodziewajcie się jego wsparcia dla umowy między naszymi patronatami... oraz sprzeciwu wobec jakichkolwiek niezależnych umów z Gildią Pilotów. Aiji nie będzie wam szkodził. Wy pracujcie z nim, ja będę pracował z wami, i jest to o wiele lepsze zabezpieczenie od tego, jakie moglibyście kiedykolwiek uzyskać od Gildii Pilotów, nawet jeśli podadzą wam klucze do statku. My znamy historię lepiej niż aiji. To wiedza instynktowna.

- Owszem - powiedziała Kroger. - I tak powinno być. Wgląd w działanie Gildii. Cokolwiek pan wie, będzie mile widziane.

- Ufam motywom Mercheson, ale biorąc pod uwagę historię Gildii, jestem ostrożny. Im zależy na szybkości. Nam na jak najmniejszej liczbie pogrzebów. Traktujemy jednak poważnie strach, który sprawił, że wrócili tu w takim pośpiechu. Jase Graham w niego wierzy. Postawiłbym życie, że jest prawdziwy. I jeśli tak jest, to albo przybędzie tu banda rozszłoszczonych obcych, urażonych wyborem nieruchomości dokonany przez Gildię, albo nie. Jeśli wyposażymy ten statek, by znów mógł polecieć, to wyposażymy Gildię do rozwiązania sytuacji, która będzie miała wpływ na całą planetę na dobre czy na złe. My na kontynencie nie jesteśmy pewni tego dobrego. Chcemy się dowiedzieć, co tak naprawdę wie Gildia, i dodać do tego nasze doświadczenie, o ile się na coś przyda. Jeśli będziemy musieli walczyć i jeśli to, co się tam czai, jest aż tak zaawansowane, to mamy problem w stosunkach z Gildią znacznie przerastający dawne zatargi między nią i Mospheirą. Bardzo wspólny problem. Żaden z naszych gatunków nie chce dostarczać siły roboczej głupcom i żaden z naszych gatunków nie chce uznać za pewnik, że wojna Gildii jest naszą wojną.

- Z tym się zgadzamy - rzekł Lund.

Atmosfera się poprawiła. Pojawił się steward i zapytał, co będą pili do późnego śniadania.

Potem rozmawiali już o drobiazgach, o najnowszej historii, o lądowaniu Jase'a na dwóch spadochronach, stosunkach aijiiego z wyspą, budowie drugiego i trzeciego promu... rządów nie dzieliła już różnica zdań; oba patrzyły z niepokojem w niebo.

Atevi poprawiali wszystko, czego dowiadywali się o komputerach, i bawili się matematyką... Bren o tym nie wspomniał - choćby dlatego, że niczego nie rozumiał. Ateva pracujący nad najbardziej zawiłą częścią zagadnienia prawdopodobnie był geniuszem... geniuszem matematycznym, i to wśród przedstawicieli gatunku, który posługiwał się matematyką tak swobodnie, jakby nią oddychał; jasne, że Bren nic z tego nie rozumiał, ale podejrzewał coś, czego nie mógł udowodnić: że atevi prześcignęli Uniwersytet na Mospheirze, a może wszystko to, co zawierała biblioteka utracona podczas Wojny... Nie umiał jednak tego udowodnić. Astronom honorowy bez przerwy pisał, a mądre atewskie głowy tej pisaninie przytakiwały; jego studenci uważali go za błyskotliwego, a trafiający się od czasu do czasu wyznawcy liczb i filozoficzni fanatycy, którzy tradycyjnie już grali na nerwach aijiin, skupili się na bieżącej pracy astronoma, najwyraźniej zbyt oszołomieni albo zdeklasowani, by toczyć swe sekciarskie wojny na jego tablicy.

Uroczy, nieco staroświecki gość... oto diabeł we wzorze, słodko filozoficzny, pogrążony w rozmyślaniach, budujący teorię kosmosu, która nie zwalczała tradycyjnej atewskiej filozofii, lecz ostrożnie wypłukiwała spod niej piasek.

Dwójka urzędników z Biura Spraw Zagranicznych, zapytana przez stewarda o napoje, rozglądała się dziwnie nieśmiałym wzrokiem, jakby się bała otworzyć usta nawet po to, by coś zamówić: doradcy w życiu prywatnym, żadnego stanowiska. Bren domyślił się tego i przeraził konsekwencji, ponieważ to właśnie były osoby, które naprawdę wiedzą, jak niebezpieczny jest obszar styku spraw atewskich i ludzkich, jak wybuchowy i zdradliwy.

Lund zamówił dobrodusznie kolejne martini, podobnie Kroger. Dwoje tłumaczy poprosiło o piwo, a Bren o wódkę z sokiem owocowym.

Kiedy Steward oddalił się na tyle, że nie mógł ich usłyszeć, Lund powiedział:

- Jak długo pańskim zdaniem ten nowy zostanie na dole?

Cope: zostawiony na atewskiej ziemi jakieś cztery tygodnie temu przywieziony tam na promie, zamiast zostać rzucony na planetę tak jak jego poprzednicy... człowiek o wyglądzie urzędnika, który poruszał się nocą i unikał otwartych przestrzeni. Uczył się od Jasona. Miał takie mdłości, że przez kilka tygodni nie mógł pełnić swoich obowiązków... mieszkał w ośrodku kosmicznym, ponieważ w jego stanowczej odmowie przeniesienia się na wyspę atewska ochrona wyczuła coś niezwykłego, a nawet możliwość szpiegostwa, i nie wy-

puszczała go poza teren ośrodka. Jase udawał się tam na spotkania; Cope'owi wciąż robiło się niedobrze od wszystkiego: zapachów, nieregularności oświetlenia, mrugania światełek.

A teraz Cope znajdował się na Mospheirze, atakowany przez całkiem nowy zestaw widoków i zapachów. Kiedy Bren się z nim żegnał, Cope leżał na swoim nowym łóżku, nie śmiać zapuszczać się zbyt daleko od swego nowego, całkowicie zamkniętego mieszkania. Jak długo zostanie na dole?

- Nie mam pojęcia - odparł Bren. - Sądząc z sytuacji Jase'a, on sam może tego nie wiedzieć. Przez te cztery tygodnie prawie cały czas chorował. Być może młodsze organizmy przystosowują się lepiej. Nie wiemy tego. - Jase powiedział, żeby go obserwować. Obserwować. - Byłbym względem niego bardzo ostrożny. Powiedziałem to Shawnowi Tyersowi i powiem to wam, ponieważ nawiążecie bezpośredni kontakt z Gildią. Na pewno jest zwierzchnikiem Mercheson i Grahama. Jest bardzo bystry, być może symuluje chorobę, na pewno ma własne cele, prawdopodobnie chce sprawdzić wszystko, o czym mówiła Mercheson po powrocie.

- Niepokojące.

- Ponieważ Mercheson nie kłamała, wątpię, żeby to był jakiś problem. Tyle wiem. Będzie szukał surowców. Będzie sprawdzał, czy istnieją jakieś zasoby na wyspie. Obserwacje geologiczne prowadzone z kosmosu na pewno coś im powiedzą. Nie wszystko. Ani nie to, czy mospheiranie będą z nimi współpracować. Skoro jest już prom kosmiczny i bezpieczniejszy dostęp do planety, statek może ryzykować wysyłanie na jej powierzchnię personelu wyższego stopnia. Cope jest właśnie kimś takim. - Bren podejrzewał, że starsi członkowie w tej grupie mogą mieć przyjaciół w starym reżimie, ale i tak dodał: - Partia Dziedzictwa stanowi krępujący problem i mam nadzieję, że Cope się z nią nie spotka, ale możliwe, że będzie chciał zbadać też i tę sprawę.

Pojawiły się napoje; drobny zamęt, powstały przy rozdzielaniu zamówień i serwetek, stanowił mile widzianą przerwę.

- Za waszą misję - wzniósł toast Bren. Wbił tym drobną szpilkę Partii Dziedzictwa, zwolennikom programu kosmicznego, którzy uważają, że ludzkość ma naturalne prawo do wszystkiego w zasięgu wzroku. - Za tolerancję.

- Za aijiego i jego dwór - rzekł Lund - oraz nasze przymierze.

Bren upił nieco alkoholu, zerkając przez okno. Ujrzał kłębiące się, miejscami ciemnoszare cumulusy. Samolot zachwiał się lekko.

- Ach, wiosna nad cieśniną. Przez godzinę będzie nami trochę rzucało.

- Oczywiście - rzekła Kroger. - Właśnie podali napoje.

Dowcip stary jak ludzkość, od zawsze funkcjonujący w mospheirskim lotnictwie, w większości korzystającym z mniejszych, wolniejszych samolotów. Ogólne odprężenie. To był z definicji najdłuższy lot, jaki odbył jakikolwiek mospheiranin nie będący paidhim, oprócz jego garstki znajomych i członków rodziny; ci jednak zwykle przypływali z Tobym na jego łodzi i przybijali w nadmorskiej posiadłości. Mospheirskie loty odrzutowe były ograniczone do samej wyspy; nie odbywały się na tak dużych wysokościach i nie trwały tak długo.

- A więc... - zapytała Kroger - czy po wylądowaniu poznamy atevich?

Kontakty międzygatunkowe zostały tak starannie uporządkowane, tak związane przepisami, że było zupełnie możliwe, iż nie spotkają żadnych atevich. Nie wolno im było z nimi rozmawiać; tak stanowiło prawo. Atevi... no cóż, atevi robią to, co uznają za stosowne; dzięki Bogu przynajmniej jeden gatunek wielbił prawo... atevi mieli bardzo mgliste, wciąż zmieniające się pojęcie dobra i zła, oparte na man'chi i niewzruszone jak skała, jeśli tylko wiedziało się, gdzie leży ich man'chi.

Jeśli tylko podczas czterech dni nieobecności Brena Gildia Posłańców nie wpadła w szal i nie przejęła władzy, a Jase, mimo nagłego pakowania się, wciąż zawiadywał biurem paidhiego, to będą przemieszczać się z miejsca na miejsce na podstawie pisemnych rozkazów, w asyście milczącej obsługi.

Boże, będzie mu brakować Jase'a. Zostanie sam... był sam przedtem, ale przyzwyczał się do obecności Jase'a...

- Jestem raczej pewien, że otrzymamy oficjalną eskortę - powiedział Bren. - Nie spodziewajcie się, że będzie mówić w mospheiranie. Nie poprawiajcie ich wymowy waszych nazwisk. Wybiorą to, co będą w stanie wypowiedzieć. - Ben i Kate wiedzieli, jak zabrzmia ich nazwiska. Atevi prawdopodobnie zmienią Ginny na Gin, w imię pomyślności dopasowując to imię do imion jej towarzyszy... czego wyjaśnienie osobom nie znającym teorii liczb zajęłoby godzinę. Przypadkiem i na szczęście żadne z imion i nazwisk nie miało szczególnie zabawnego czy niepomyślnego znaczenia w ragi. - Kłaniajcie się. Nie uśmiechajcie się. Nie spodziewajcie się, że oni będą to robić.

- Ale pan z nimi rozmawia - odezwał się cicho Ben, jakby mówił, że Bren potrafi latać.

- Praktyka - odparł ten z ironią. Atevi liczyli rzeczy w zestawach w mgnieniu oka i albo się obrażali, albo robili poprawki językowe na poczekaniu. - Długa praktyka. - Nie licząc godzin spędzonych nad matematyką, dopóki nią nie oddychał; nie licząc takiego uwrażliwienia na oczekiwania atevich, że zaczął analizować, co jest nie tak ze spinką w klapie Kroger w momencie, kiedy ją zobaczył. Wlatując w atewską przestrzeń powietrzną, pomyślał, czyby nie ofiarować kobiecie jakiegoś kwiatu, który mogłaby przypiąć tą spinką... Delegacja udawała się jednak prosto do centrum kosmicznego, a atevi mający do czynienia z obcymi spodziewali się obcości: wszystko było w porządku. - Tylko posługujcie się językiem dziecięcym. Nic ponadto. Zrozumieją.

- Teraz nie ma już odwrotu - powiedziała Kate po długiej chwili ciszy.

Owszem, był. Istniała możliwość wylądowania i powrotu na wyspę, zarzucenia misji. Ale dyplomaci diabelnie nie lubili spotykać się z całkowitą i publiczną naganą albo uciekać w przerażeniu.

Pojawiło się, nieco pośpiesznie, spóźnione śniadanie. Samolot napotykał na coraz większe turbulencje, lecąc bezpośrednio w lukę otworzoną przez obronę wybrzeża, a nie śmiał zmienić wysokości bez długiej wymiany komunikatów radiowych. Być może pilot właśnie się tym zajął.

Samolot natknął się na dziurę powietrzną. Bren trafił krawędzią kieliszka z topniejącym lodem w swoje usta, odczekał chwilę i pociągnął łyk.

Ludzkie załogi.

Atewskimi samolotami latały ludzkie załogi; atevi wciąż niezbyt często lądowali w stolicy Mospheiry czy z niej startowali. Mospheirscy piloci zazdrośnie strzegli swoich nielicznych długich tras, szczególnie ostatni o, w czasach promów kosmicznych, dowodząc nacjonalistycznie, że atewscy piloci mogą sobie latać nad kontynentem. Ostatnio też, po załatwieniu przemysłu lotniczego, prawo chroniło garstkę wysoko wykwalifikowanych mospheirskich pilotów jako główny składnik obrony narodowej.

Ludzcy piloci aż się palili do lotu promem. Bren o tym słyszał. Rozmawiał z nimi, dostrzegł ich nadzieję, ale tego zaszczytu Tabini nie chciał jeszcze odstępować ludziom, i to nie tylko ze względu na dumę narodową. Piloci Tabiniego, doświadczeni w długich lotach transkontynentalnych, stanowili atut w negocjacjach o atewskie prawa w kosmosie, na stacji... w układzie słonecznym.

Polityka, polityka, polityka. Wszystko, nawet to, było polityką - przygnębiająca myśl... była to jedyna sprawa, którą, jeśli nadarzy się okazja, Bren chciał zmienić na korzyść ludzi. Atevim spодobało się niebo, ale z tą samą płynnością, z którą podchodzili do prawa, próbowali podchodzić do zasad ruchu lotniczego... stąd wzięły się bardzo widoczne insygnia i wzory wymalowane na samolocie aijiego. Załoga była wspaniała. Obsługa też. Kiedy jednak zeszło się do poziomu niedzielnych pilotów, perspektywy wyglądały mniej pomyślnie.

- Wygodne siedzenia - zauważył Tom. - Właściwie to turbulencje nie są takie złe.

- Nie takie złe - zgodziła się Shugart mniej więcej w chwili, gdy samolot trafił na dziurę powietrzną.

Tak wyglądała rozmowa po wyczerpaniu poważnych tematów. Rytm i dźwięki mospheiranu uderzały w uszy Brena bezsensowną paplaniną, dobry-zły, albo-albo, czarny-biały, niepomyślna dwójka bez łagodzącego gestu.

Mospheiran taki był. Taki był umysł Brena, zanim dostosował się do atewskiej kultury.

Wyrażał się płynnie, lecz nie instynktownie. Natychmiastowej atewskiej umiejętności dostrzegania zestawów numerycznych dzieci się chyba nie uczyły: Brenowi wydawało się, że atewskie postrzeganie liczb może być równe postrzeganiu kolorów, jedną z tych rzeczy, które po prostu rozwijają się w niemowlęctwie. Jeśli atewskie niemowlęta rozwijały się choć trochę podobnie do ludzi, postrzeganie liczb mogło być emocjonalnie powiązane z rozpoznawaniem rodziców czy bezpieczeństwa, ale po wiekach wspólnego zamieszkiwania na planecie bez nawiązania prawdziwych kontaktów nikt tego po prostu nie wiedział. Cokolwiek wzbudzało agresję... może reakcja seksualna - to mogło być związane u atewich z rozpoznawaniem wzorów. Jeśli w jakimkolwiek sensie było seksualne, mogło tłumaczyć zwolnienie dzieci - mimo że postrzegały liczby - z odpowiedzialności i posługiwanie się przez nie językiem liczbowo neutralnym. I znów... żadnych podstaw do badań. Najnowszymi osiągnięciami ludzkiej wiedzy były własne obserwacje Brena; a z tego, co wiedział, sami atevi nie bardzo znali swoją językową przeszłość... archeologia była zajęciem dla hobbystów, a nie wyraźnie określoną nauką. Wyznawcy liczb praktykowali językoznawstwo. Biologię porównawczą praktykowało się głównie na obecnym paidhim, kiedy atewski lekarz musiał poskładać go do kupy... a psychologię porównawczą Bren uprawiał ze swoją ochroną w długie zimowe wieczory. Mógł sobie tylko wyobrażać, co naprawdę widzą atevi albo jakie nieprzyjemne reakcje układu pokarmowego wzbudzają pewne paskudne wzory, tak jak atevi musieli sami sobie wyobrażać, że ludzie w jakiś sposób widzą miłą pomyślność i stabilność w parach i dwójkach...

Dwójki w małżeństwie; dwójki w tak-nie; dwójki w prawej i lewej ręce.

Projekt promu otrzymany od załogi statku przewidywał dwa luki. Atevi zmienili w nim bardzo niewiele, a matematycy po wielekroć go przeglądali, usiłując uzasadnić dwa luki, a nawet przyszli do Brena z palącym pytaniem, czy rozumie logikę tego... nie rozumiał. I z drżeniem wszystkie strony uchwałyły dodanie trzeciego luku, co pociągnęło za sobą zmiany strukturalne. Musiało być jedno wyjście - albo trzy.

I, Boże, te inne pytania, z którymi przyszli... zmiany w materiałoznawstwie, jakie zaszły w ciągu minionych trzech lat...

On sam - z pomocą mądrych i zdolnych doradców - musiał ustalić, ile z tej techniki powinno przedostać się do ogólnej gospodarki. Czy jest rozsądnie przedstawiać ją natychmiast naceramikę, pomijając sporo z rozwoju obcych jej plastików? Jakie są koszty ekonomiczne, środowiskowe, społeczne... koszty poniesione przez tradycję i stabilność, i czy ośmiela się wybudować drogę do kopalni w jednym podpatronacie, nie przyznając korzyści innemu?

W Shejidan wytwarzano pewne rzeczy. Jak wpłynie na równowagę władzy w Patronacie Zachodnim rozwinięcie w Shejidan kolejnego, i to unikalnego, przemysłu?

Jakie znaczenie emocjonalne dla stosunków między atewskimi patronatami ma fakt startu promu z pasa w Shejidan, sercu patronatu Ragi, aishidi'tat?

Teraz wszystkie decyzje zostały już podjęte... od chwili, gdy prom zaczął przybierać kształt, minęły trzy niewiarygodne, krótkie lata. Bez względu na błędy, które zrobił lub których uniknął Bren, atevi znaleźli się w kosmosie. Prom odbył pomyślnie swój pierwszy lot pół roku temu, stanowiąc powód rozczarowania dla wrogów aijiego oraz uzasadnienie jego programu postępu technicznego.

Świat nie rozpadł się na kawałki. Nie wybuchła wojna. Co prawda niewiele brakowało... ale Partia Dziedzictwa na Mospheirze została pokonana w wyborach, nowa administracja przeszła w nich z rozsądnymi ludźmi wciąż piastującymi swoje stanowiska i przy publicznej aprobacie. Wciąż zdarzały się głupie posunięcia, z których jednym z najbardziej skandalicznych w niedawnej pamięci była wiadomość leżąca u podłoża na wpół przemyślanego powołania tej delegacji i pchnięcia jej w kosmos przed misją atewską... ale Bren postanowił, że gdy tylko wyląduje, szybko dojdzie do sedna sprawy. Ufał, że potrafi załagodzić wszelkie ewentualne tarcia. Jeśli to rzeczywiście jest odwet Tabiniego za odwołanie Jase'a, to go rozumiał.

Jeżeli Tabini jest wściekły jak diabli i jeśli wszystko to wywołała jakaś chybiona prośba z mospheirskiego Departamentu Stanu, to Shawn Tyers będzie Brenowi coś winien za wygładzenie sytuacji. Skłaniał się jednak raczej do tej pierwszej teorii: skoro chcą ludzi, to dajmy im ludzi.

Niech znów poproszą, o co tylko zechcą; zobaczymy, gdzie postawią tamę swoim żądaniam.

Był to z pewnością sposób na wybadanie zamiarów drugiej strony. Cholerne, uparte nastawienie atevich.

A już na pewno nie stało to w sprzeczności ze sposobem postępowania Tabiniego z własnym gatunkiem.

Pierwszeństwo w jakimś przedsięwzięciu... ani samo w sobie, ani samo z siebie nie było dobre czy pomyślne liczbowo.

Bren rozmyślał o tym, rozmawiając leniwie ze współpasażerami; samolot przeleciał nad wybrzeżem, manewrując wśród powietrznych dziur i strug deszczu.

Kiedy, schodząc w dół, przebili się przez warstwę chmur, mogli ujrzeć ciekawe miejsca w terenie, tu jakąś rzekę, tam znów miasteczko.

Lecieli cały czas w jedną stronę; nie zostali skierowani na południe, co czasem się zdarzało.

Znaleźli się nad Shejidan szybciej niż zwykle.

Lot trwał o trzy kwadransy krócej niż przewidywano. Kiedy podchodzili do lądowania, po szybach uciekały w tył strużki wody, a z szarości wyłaniały się niekiedy dachy.

- Jesteśmy strasznie nisko - oznajmił Ben, patrząc w dół; po chwili ostry zakręt ukazał im widok domów mieszkalnych, oplatających kręgami wzgórze i połączonych przejściami tworzącymi coś w rodzaju ulic.

Samolot wyrównał lot i pasażerowie ujrzeli wspaniały widok Bu-javid, pałacu na wzgórzu wznoszącego się ponad pokryte dachówką, poszarzałe od deszczu dachy zwykłych domów, obramowanego od dołu różowym blaskiem neonów świecących w zmierzchu.

- Czy to Bu-javid? - zapytała Kate.

- Tak - odparł Bren. - Pośrodku znajduje się rezydencja aijiego. - Podobnie jak Brena, ale dom paidniego nie był atrakcją turystyczną, a przynajmniej nie dla mospheiran.

- Hotele są poniżej? - zapytał Ben, patrząc w dół.

Pałac stanowił jeden rozległy budynek z wewnętrznymi ogrodami i stacjami, u podnóża otoczony obecnie licznymi budyneczkami.

- Hotele. Neony i hotele.

To nie była jego ulubiona zmiana.

- Petenci aijiego - odezwała się Kroger.

- Tak. - Paidhi nie miał prawa weta względem zmian, które wprowadzali sami atevi, a Tabini ich nie powstrzymywał, chociaż konserwatyści się na nie uskarżali. W ciągu trzech lat neony rozprzestrzeniły się w całym mieście. Atevi uważali je za ciekawostkę. Wyglądało to jak centrum stolicy Mospheiry i zasmucało duszę Brena. - Każdy, kto tu przyjeżdża, ma prawo zobaczyć się z aijim, a jeśli kogoś na to nie stać, to aiji umożliwia mu przyjazd.

Po następnym skręceniu ujrzeli inne domy, pokryte dachówkami w różnych odcieniach czerwieni.

- To wzór ashii - wyjaśnił Bren Benowi i Kate. - Zauważcie wyraźną geometrię. Jednakowe przejścia. Patronaty. Bardzo wyraźne, kiedy się wie, że nie patrzy się na granice naszego rodzaju. Z tym właśnie zderzyli się pierwsi osadnicy. Niczego nie zauważyli.

- Nie ma tu ani jednej prostej ulicy.

- Atevi chodzą o wiele więcej.

- Dzięki Bogu, nie my będziemy musieli to rozszyfrowywać. - Ginny patrzyła na obce atewskie miasto, a na jej usianą delikatnymi piegami, pociągła twarz padło białe światło od okna. - Mamy dość swoich problemów.

Od kwadransa nic nie mówiła. W tej chwili - być może zadziałała tu wyobraźnia Brena - wyglądała na przerażoną jak diabli.

Samolot wyrównał lot.

Stewardzi zebrali w milczeniu kieliszki; pasażerowie nie rozpinali pasów. Za oknami przesuwały się znajome widoki. Podchodzili do lądowania.

- Czy widać stąd prom? - zapytała Kate, pochylając się.

- Nie na tym podejściu - odparł Bren i wziął głęboki oddech, mając nadzieję, że zastanie stabilne, spokojne miasto... że wyjdzie mu na spotkanie jego ochrona. Mając nadzieję, że nic nie wybuchło... poza nieoczekiwanymi rozkazami dla Jase'a.

O wiele za bardzo przyzwyczał się do jego towarzystwa... to psychologiczny słaby punkt, pomyślał. Nie powinien tego robić... nie powinien nawiązywać kontaktów, których nie będzie mógł podtrzymywać. Przywiązać się do kogoś, kto, o czym Bren cholernie dobrze wiedział, odejdzie.

To nierozsądne u człowieka, który dokonał takich, a nie innych zawodowych wyborów.

Koła dotknęły ziemi, zapiszczały na mokrych płytach. Budynki lotniska pędziły za oknami, a po chwili zwolniły.

Zwalniały coraz bardziej.

2

Samolot przyhamował, powoli zakręcił na pasie upstrzonym kałużami i potoczył się ku strefie ochrony, stewardzi zaś połączyli stęsknionych pasażerów z ich okryciami.

Maszyna zatrzymała się statecznie, po czym natychmiast dał się słyszeć znajomy warkot ruchomych schodków.

Cała czwórka współpasażerów Brena jednocześnie zaczęła nerwowo zerkać pod tym samym kątem w okna. Zachowywali godność, nie chcąc, by widziano, jak gapią się na podjeżdżające schodki. Jednak kiedy zbliżył się atewski personel - pierwsi atevi, jakich widzieli w życiu - ludzie wytrzeszczyli oczy. Ben i Kate spędzili wiele lat na studiowaniu i tłumaczeniu miejscowego języka, ale nigdy nie widzieli gatunku władającego planetą, na której mieszkają; poza wymianą handlową i naukową Ginny i Tom nie mieli żadnych kontaktów z atewimi.

Sam Bren w pełni spodziewał się biegu olbrzymów po rozedrganych aluminiowych stopniach na spotkanie otwierającego się luku, więc nie wytrzeszczał oczu, a raczej przybrał spokojną pozę dostosowaną do dworskich norm. W drzwiach pojawiło się dwoje atevich, na których przybycie liczył: Banichi i Jago, wyżej postawiona para ze strzegącej go czwórki: czarnoskórzy, czarnowłosi, złotoocy, w czarnych skórkach i srebrze Gildii Zabójców; ludzie wyglądali przy nich jak dzieci.

Jego ochrona, wyznaczona przez Tabini-aijiego: jego, po ludzku mówiąc, najdrożsi przyjaciele... i nie przyjaciele: tak, jak czuli to atevi, Bren był pod ich opieką, objęty ich patronatem.

Ludcy przyjaciele, nawet rodzina, mogła opuścić człowieka z bardzo ważnych emocjonalnych powodów, a nawet zrobić to dla pieniędzy; kiedy Bren przyjeżdżał na Mospheirę, w krew wchodził mu ludzki sposób myślenia,

stanowiąc pożywkę dla wątpliwości. Ta jednak para, wyłączając ewentualność obłądu, nie odstąpiłaby go na krok poza sytuacjami, gdy obowiązki wzywały go za cieśninę, gdzie prawo zabraniało im wstępu, i gdy tylko mogli do niego dołączyć, pojawiali się z nieuchronnością zachodu słońca.

Znaleźli się twarzą w twarz z obcymi, czego prawdopodobnie się spodziewali, lecz ich uprzejma beznamiętność nic nie powiedziała nawet Brenowi. Stali przed dygnitarzami z Mospheiry, uzbrojeni, uroczyści - bardzo, bardzo wysocy.

- Banichi i Jago - przedstawił swoich ochroniarzy, a potem wymienił w ragi wyspiarskie nazwiska, sprowadzając je do form możliwych do zaakceptowania przez ten język: - Ben Feldman, Kate Shugart, Tom Lund, Ginny Kroger. Człowiek sądzi, że Tabini-aiji spełnił ich prośbę o lot promem.

- Zaszczyceni - odparł Banichi w mospheiranie; od jego głosu chyba mogłaby się rozedrgać porcelana. Skinął nawet głową, oddając w ten sposób cześć gościom paidniego, gdyby wiedzieli wystarczająco dużo, żeby to zauważyć.

- Zaszczyceni - powiedział Ben. Była to dla niego pierwsza okazja wypowiedzenia słowa w ragi bezpośrednio do jakiegoś atevy, a tu atevi pierwsi odezwali się do niego w mospheiranie. Cóż za rozczarowanie. Mimo wszystko dla obojga lingwistów była to życiowa chwila. Bren usłyszał drżenie głosu i zobaczył dwie pary oczu jak spodki bezwstydnie wpatrzonych w to, dla zrozumienia czego posiadacze owych oczu poświęcili życie.

Tom i Ginny zachowywali większą rezerwę, trzymając się bardziej z tyłu... Bren znał i taką reakcję. Człowiek czuł się wtedy mniejszy. Nawet woń otaczająca atevich lekko się różniła od ludzkiej. Nagle, i po raz pierwszy w życiu, mospheiranie znaleźli się nie w większości, nie w pozycji panów cywilizacji. To nie oni wydawali rozkazy. To też była życiowa chwila, mniej przyjemna niż dla Bena i Kate.

- Eskorta czeka, panowie - rzekł Banichi, co Bren przetłumaczył. - Przejawiajcie ostrożność na stopniach. Nadi Bren, Jason udał się do hotelu.

- Doprawdy? - Nie uzewnętrznił tego ani na twarzy, ani w zachowaniu, i nie przetłumaczył tej części. Mocno powściągnął swoją reakcję, chociaż poczuł się, jakby dostał cios w żołądek. Przebył w pośpiechu całą tę odległość, wcześniej opuścił rodzinę - nie ma dwóch zdań, to on musiał zawieźć nowego statkowego paidniego na wyspę, kiedy ten był już gotów, ale - do cholery! - ktoś mógł zaczekać. Śpieszył się z powrotem, by spędzić trochę czasu z Jasonem... na próżno, jak się wydawało.

Mimo obecności Banichiego i Jago sprawy na kontynencie nagle przestały wyglądać tak dobrze, a w każdym razie sprawy tej misji i Jase'a.

- Aiji uznał, że najlepiej będzie, jeśli Jasi-ji powita pasażerów i się z nimi rozmówi. Jasi-ji prosi, byś się z nim tam spotkał.

- A zatem jedźmy, nadi-ji.

- Jakiś problem? - zapytał Tom.

- Nie - odparł szybko Bren, poprawiając rękaw kaftana ponad denerwującą szpilką, zadowolony, że nie puściła i że zachował godność. Otarła mu nadgarstek - niewielki ból - zostawiając na mankiecie plamkę krwi. - Jase Graham udał się do ośrodka kosmicznego, by was tam przywitać. Jestem pewien, że aiji uznał, iż w jego obecności poczujecie się swobodniej.

- Ładnie, że o nas pamiętał - rzekł Tom, a Bren rozzłościł się za dyplomatyczną maską na tę nieprzemyślaną i niegrzeczną poufałość. Pamiętał!

Pamiętał, akurat! Nie o nim, nie o Jasonie, nie o niezwykłym pośpiechu widocznym dookoła.

Przyjawszy już jednak beznamiętny styl zachowania atevich wśród obcych, zaczął też słyszeć wszystko przez filtr ragi i dostosowywać wzrok, tak że Banichi i Jago wyglądali normalnie, a obcy wydawali się ludzkie. Taki był porządek większości świata, choć nie dla Jasona Grahama i, przez krótki czas, Yolandy Mercheson.

Bren wiedział, co oznaczają drobne zmiany w wyrazach twarzy jego ochrony, i zrozumiał, że Banichi, choć nie bardzo może się sprzeciwić rozkazom aijiego, przed czymś go ostrzega. Nie wiedział, dlaczego niczego nie uznawał za ważną informację, informację na wagę życia i śmierci, ale widział, że jego ochroniarz jest czymś lekko zaniepokojony.

Witamy w domu.

- Bardzo ładnie - powtórzył za Tomem Lundem. - Jestem pewien, że aiji żywi wielkie nadzieje na pomyślność tej misji dla wyspy i kontynentu.

Czyż przysłowie nie mówi, że trzy razy to dobra wróżba?

Czwarty start nowo zbudowanego promu, bez względu na to, ile lotów po niebie ludzkiej ziemi odbył jego dokładny poprzednik, wciąż nie wydawał się pewny, a już na pewno nie Brenowi. Nie wydawał się też pewny Jasonowi ani nikomu, kto przeżył, pocąc się, pierwsze, problematyczne dokowanie. Nikomu, kto znał przyczynę godzinnego wyłączenia świateł w kabinie podczas trzeciego lotu.

Skąd ten pośpiech? - zadał sobie w duchu pytanie Bren.

Czwórce mospheiran pośpiech też nie mógł się wydawać bezpieczny.

Ilekroć myślał o możliwości wystąpienia jakiejś awarii po starcie, kiedy na całym świecie istniały tylko dwa miejsca z wystarczająco długim pasem startowym, pociły mu się dłonie. Mercheson doleciała na orbitę bezpiecznie. Jase'owi też się uda. Mospheiranie w sumie guzik go obchodzili... a jednak nie.

Żadnego ładunku, przemyślane plany testowe rozrzucone na cztery wiatry...

- Odprowadzimy zatem naszych gości do ośrodka? - zapytał Banichiego i Jago.

- Jak sobie życzysz - usłyszał odpowiedź Jago, elegancką, opanowaną, rozsądną; w oficjalnym zachowaniu atevy nie było ani cienia sugestii, że coś ich łączy, a ich spotkanie to coś więcej niż dobrze naoliwiona rutyna. - W furgonetce możemy pomieścić się wszyscy, nandi.

Następnie, razem z Banichim, zeszła po schodkach, a za nimi ludzie. Czekała na nich zwykła furgonetka.

- Uwaga na stopnie - powiedział Bren, schodząc za atevimi. Wszystkie stopnie na kontynencie były wyższe od tych na Mospheirze. On o tym nie zapomniał, ale nie sądził, że pozostali będą o tym pamiętać; kilka razy odwracał się, słysząc za sobą odgłosy zbytniego pośpiechu i podejrzewając nadmierne rozglądanie się. Nawierzchnia była śliska od deszczu. Wiał przenikliwy wiatr, który mierzwił włosy mospheiran, poruszył kilka kosmyków na głowie Brena, mimo warkocza, ale nigdy, przenigdy nie naruszał dokładnie uplecionych warkoczy kołyszących się między atewskimi ramionami.

Kiedy ochrona zeszła na pas, furgonetka podjechała bliżej. Banichi i Jago otworzyli podwójne drzwi, a gdy wszyscy znaleźli się w środku, sami wskoczyli do niej z impetem, przez co aż zakołysała się na resorach. Zasunęli drzwi ze stanowczym trzaśnięciem.

Furgonetka ruszyła. Samochód był wygodnie urządzony, pozbawiona okien i bez dostępu do kierowców, którzy, jak sądził Bren, również okażą się jego ochroniarzami.

Na wybojach kołysał się jak łądz na fali, a ludzie siedzieli na fotelach skonstruowanych nie na ludzką skalę, dzieląc ciasną, rozkołysaną przestrzeń z gatunkiem, który od urodzenia miał prawo do tej planety. Ludzie rozglądali się po wnętrzu. W półmroku oczy atevich lśniły złotem w odbitym świetle. Oczy Jago błyskały z ciemnego kąta. Bren nie przyglądał się reakcji mospheiran, ale pomyślał, że ateva cholernie dobrze wie, jaki efekt to wywiera na ludziach, wie, że on sam się tego boi i że mospheiranie też się przestraszą, ale nie stara się owego błysku ukryć.

Jago była zła, cholernie na coś zła.

Banichi dorzucił swoje spojrzenie do opalizującego blasku, po czym milcząco odwrócił wzrok.

Następnie odezwał się w ragi, patrząc na Bena:

- Przyjemny lot?

- Tak, proszę pana - odpowiedział cicho Ben w mospheiranie.

Banichi przeciągał strunę i doskonale wiedział, którzy z ludzi są tłumaczami.

Poza tym panowało milczenie: Banichi sondował. Jago dusiła coś w sobie, a Bren coraz rozpaczliwiej zastanawiał się, co tak szybko mogło pójść nie tak, poza sakramentem uporem Tabiniego i dążeniem Gildii do awantury, której nie mógł wygrać ani Jase, ani on. Być może oboje zrozumieli pożałowania godną, bezceremonialną uwagę Toma Lunda.

Wielkie możliwości kłopotów. Towarzyszyły im. Podążyły za Jasem do ośrodka kosmicznego.

Furgonetka przejechała wreszcie rozległą strefę ochrony lotniska, zakołysała się leniwie i ruszyła w dół po stromej rampie.

Gdzieś z tyłu zadziałał potężny układ hydrauliczny: ochronne wrota wewnątrz ośrodka kosmicznego na północno-zachodnim krańcu lotniska, stanowiącego jego nowe skrzydło. Bren rozpoznał tę trasę, nie miał najmniejszych wątpliwości, że nią podążają i w końcu są bezpieczni.

Furgonetka wjechała na piaski teren i zatrzymała się z prymitywnym jękiem przeciążonych hamulców. Ktoś uderzył z zewnątrz w drzwi i rozległ się ostrzegawczy dźwięk klaksonu.

Banichi i Jago wstali, w odpowiedzi na umówiony sygnał otworzyli drzwi i wypuścili ludzi do słabo oświetlonego betonowego tunelu wewnątrz ośrodka. Na znajdujących się przed nimi metalowych wrotach wyraźnie było widać biało-czarny emblemat baji-naji.

Był to emblemat Losu i Przypadku, rządzący wszystkimi ciągnionymi losami, stanowiący odpowiedni symbol dla promu, podobnie jak był historycznie odpowiedni dla sal rządowych.

Nic w otwierającej się perspektywie nie raziło wzroku. Kolumny podpierające dach tworzyły pomyślne grupy. Atevi będą czuli się swobodnie w całym tym otoczeniu, chociaż goście, nawet dwójka z BSZ, niewątpliwie nie byli świadomi tej pomyślności. Tunel z czarnego, białego i szarego betonu, pełen cieni oraz ech, wychodził na stół z czarnym wazonem i stojącą w nim pojedynczą, prostą gałązkę z białymi kwiatami. Była to deklaracja: pomyślność, wznoszenie się pod surowym, białym łukiem.

Banichi poprowadził ich ku stołowi i stanął na baczność. Wewnętrzne drzwi ochronne otwierały się od razu na cieplejsze, bardziej zdobne korytarze.

Teraz dopiero znaleźli się w ludzkiej strefie. Napięcie towarzyszy Brena wyraźnie zelzało, kiedy zobaczyli miękki blask lamp, subtelne pastele - rzecz jasna, kolory pomyślne dla atevich - delikatne zielenie i błękity, spokojne barwy przyrody: tego pragnęło ludzkie serce. Bren razem z Jasem wybrali ten koloryt dla ludzkiej strefy i zaaprobowali go. Zaplanowali to razem, podobnie jak zaplanowali wszystko w ośrodku. Zamówili z Mospheiry meble dla ludzi i przetłumaczyli dane techniczne promu - gigantyczne przedsięwzięcie.

Rozbroili atewską niechęć do dwudrzwiowego projektu promu, znaleźli kompromisy, które doprowadziły do trzech luków, a atevi, od dziesięcioleci uparcie opierający się wszystkiemu, zwalczający każdy przejaw postępu, który usiłował wprowadzić Tabini, nabrali entuzjazmu dla nowości technicznej, najbardziej niewiarygodnej ze wszystkich poprzednich.

Przez trzy lata garstka atewskich inżynierów, Bren, Jase i do pewnego stopnia Yolanda Mercheson, wspomagani przez swój personel, dzielili każdy swój oddech, żyli promem, ośrodkiem kosmicznym, programem.

- Ładne - pochwalił wystrój Lund.

Bren odetchnął. Lund chciał powiedzieć komplement. Razem z Jasem mieli nadzieję na właśnie taką swobodę u ludzi, kiedy znajdą się w tych pomieszczeniach. Kiedy Cope przyleciał przed czterema tygodniami, nie powiedział

nawet tyle, ale przez te cztery tygodnie mieszkał niemal wyłącznie tutaj, ponieważ cierpiał na chorobę lokomocyjną tylko wtedy, gdy opuszczał ośrodek. Cierpiał na nią w nocy przez cały lot nad cieśniną, w swojej nowej rezydencji na Mospheirze, prawdopodobnie będzie ją miał w nowym biurze, może nieco zła-godzona lekami, mimo sugestii Brena, by Departament Stanu postarał się ograniczyć kontakty Cope'a ze zmiennymi warunkami oświetlenia, kontrastami i otwartą przestrzenią.

Uwrażliwił się na takie szczegóły dzięki Jase'owi. Dla człowieka urodzonego na statku nieregularności w oświetleniu oznaczały awarię systemów, a duże przestrzenie budziły szczególny lęk, jak wyjaśnił mu to Jase: rozsądny lęk przed uderzeniem.

Korytarze powinny być poprzecinane innymi korytarzami i zakamarkami, w których można się schronić podczas przyśpieszenia: tak było w ośrodku. Istniała zerowa szansa, że ośrodek kosmiczny kiedykolwiek ulegnie przyśpieszeniu, ale niewielka była też szansa, że błękit, który tak uspokajał Lunda i jego towarzyszy, jest niebem. Bren sądził, że ma to coś wspólnego z tyłomózgowiem i poczuciem bezpieczeństwa w dzieciństwie, a nie z intelektem.

A więc Lundowi podobał się wystrój. Najwyraźniej nie zauważył, że nie ma tam stopni, na których mogliby się trudzić ludzie albo potknąć atevi. Wszystkie zmiany poziomów obsługiwały windy. Panele z przyciskami i kontakty ścienne zostały umieszczone na pośredniej wysokości, trochę za wysoko dla ludzi, pewnie w sam raz dla atevich.

A kwiaty na stole, symbol atewskiej gościnności na tym terenie, zostały starannie ułożone; były to gatunki znane na Mospheirze, lecz w pomyślnej liczbie i kolorach - błękit i zieleń oznaczały wiosnę i nadzieję.

- Śliczne kwiaty - odezwała się uprzejmie Kate, może świadomie poprawiając wrażenie, jakie wywarł Lund. Ona i Ben mogli rozumieć. Pozostali mogli w końcu domyślić się choćby tego. Mospheiranie byli nadzwyczaj uparci w swojej wyspiarskości, lecz w ciągu ostatnich trzech lat programy informacyjne wszechstronnie analizowały zachowanie atevich. W końcu Bren wysłał swoją własną reakcję w formie wywiadu, usiłując zaspokoić paczkującą, pełną lęku ciekawość, nie osłabiając jednocześnie ograniczeń, które zakazywały atevim nieoficjalnych kontaktów z ludźmi. Żadne przygód osoby po obu stronach cieśniny próbowały przepływać ją łodziami wiosłowymi, a ci, którym się powiodło, nawet odstawiani z powrotem przez władze, byli zbyt niebezpieczni, żeby pozwalać im na wypowiedzi w prasie i na falach eteru.

Jak długo uda im się utrzymać dwa ciekawe gatunki z dala od siebie, kiedy oddziela je zaledwie wąskie pasmo wody?

To, oprócz wrogo nastawionych obcych z jakiegoś innego układu słonecznego, było jednym ze zmartwień stanowiących nieodłączny element programu kosmicznego, najbliższego startu, odwołania Jasona oraz tej misji. Atevi znów zbliża się do ludzi.

Otworzyły się drzwi do części hotelowej.

Pojawił się w nich Jason - z ciemnymi włosami, krótko, szokująco źle obciętymi. Przez trzy lata Jason starannie hodował zaczątki przyzwoitego war-kocza, tej oznaki atewskiej godności, a teraz go ściał, przecinając jednocześnie powiązania z ziemią. Bóg jeden wiedział, w jakim stanie umysłu otrzymał rozkazy z góry. Jase miał na sobie granatowy sweter, czarne spodnie i, niech Bóg ma ich obu w opiece, tę postrzępioną rybacką kurtkę, którą dostał od Toby'ego przed trzema laty.

- Jason Graham - przedstawił się mospheiranom, jakby telewizja nie nadawała jego wizerunku na całą planetę przynajmniej dwa razy na tydzień. Właściwie nie patrzył na Brena, a przynajmniej nie w oczy. - Znany jako Jase. - Potrząsał należycie podawanymi dłońmi, uśmiechał się, zachowywał przy gościach jak należy i po ludzku. Bren dokonał prezentacji, cały czas chcąc zapytać o najważniejszą rzecz, ale wszędzie pełno było obcych i wiszących w powietrzu pytań.

- Pierwszy pokój jest mój - poinformował przybyłych Jason, wskazując pierwszy z dwudziestu pokoi otaczających wspólne, środkowe pomieszczenie: żadnego przewodnictwa, żadnego przełożonego - rewolucyjny układ króla Artura. Coś takiego przyprawiało atevich o ból zębów. Dla atewskich oczu był to społeczny chaos. Wojna. - Mnóstwo miejsca podczas tego lotu. Mamy przestrzeń dla większej liczby osób.

Jase tryskał zadowoleniem, czego z pewnością nie robił, kiedy otrzymał rozkaz lotu; nie tego się Bren po nim spodziewał, nie przy tej fryzurze.

Bren czekał, rzucając uprzejme, rutynowe uwagi. Patrzył na kurtkę, na przedstawienie, bo z całą pewnością było to przedstawienie... Bóg jeden wie, jak Jason wydostał się spod opieki ich majordoma w takim stroju; Bóg wie, jak udało mu się uratować kurtkę przed służącymi.

Stanowiła ona mapę wypraw. Na łokciu miała otarcie - Jason usiłował wpaść do oceanu. Jase prosił, błagał, a wreszcie zażądał wycieczki nad ocean - jak się okazało, miał w tym ukryty cel. Zakochał się jednak w morzu.

I o czym świadczyło to, że wracając do domu, Jase wybrał tę wyświechtaną, przeżartą solą kurtkę i koszulę, którą nosił od trzech lat? Co myślał i co musieli myśleć służący, kiedy Jase zabrał się do włosów?

- Gdzie jest prom? - to bezpośrednie pytanie zadał Tom Lund.

Jason nie dał im oczekiwaney, słownej odpowiedzi. Podeszedł do ściany i nacisnął guzik rozsuwający story.

Wydawało się, że lśniący biały ptak o pochylonym dziobie, stojący na pasie startowym, zaraz wzbije się w powietrze. Sprawiał wrażenie małego, dopóki patrzący nie zdał sobie sprawy, że kręcące się wokół niego pojazdy to ciężarówki.

- Boże. - Tylko Benowi głos nie odmówił posłuszeństwa. - Mój Boże.

- Jest ogromny - odezwała się po chwili Kate.

Kiedy mężczyźni chwyтали za linę i razem ciągnęli, udawało im się przesuwac zdumiewające ciężary.

Kiedy cała cywilizacja pracowała wspólnie nad wytworzeniem materiałów do budowy wypróbowanego modelu i szkoliła jego obsługę, po trzech latach powstawało takie lśniące, piękne stworzenie.

- "Shai-shan" - powiedział Bren, który stał za grupą i wreszcie odzyskał głos. - "Pomyślny wiatr". - Widział "Shai-shana" w stadium rusztowań, form odlewniczych i podczas pierwszego lotu, a teraz na tych skrzydłach odlatywał ze świata Jason i całe jego życie. Bren przetłumaczył każdą linijkę promu. Prawie go urodził, gdy wzbił się do dziewiczego lotu, co dla autora słowników oraz rozbieracza zdań i znaczeń było dziwnym uczuciem.

- Cudowna, cudowna rzecz - udało się powiedzieć Kate. Ludzie stali, wpatrzeni w statek.

Jason miał poczucie dramatyzmu - oraz tego, że ktoś chce zwrócić na siebie jego uwagę. Brenowi wreszcie udało się napotkać wzrok Jase'a, kiedy grupa zaczęła się w ciszy rozchodzić i wybierać sobie pokoje. Kate odeszła od okna ostatnia, długo przyglądając się promowi.

Przez chwilę Jase też na niego patrzył, a potem spojrzał na Brena i wzrokiem wskazał wnękę jadalni.

Bren ruszył z miejsca, za nim Jason. Banichi i Jago zatrzymali się pod łukiem.

Nie będą przeszkadzać.

- A więc chcą cię mieć na górze - stwierdził Bren.

- Rozkaz aijiego - odparł nieco szorstko Jason. - Spakowałem się w godzinę. Pośpiesz się i czekaj.

- Na pewno dowiem się dlaczego - powiedział Bren.

- Ja na pewno się dowiem - stwierdził Jase.

- Cholera.

- Cholera - rzeki Jase. Dotąd mówili w mospheiranie; teraz dodał w ragi: - Usiądź na chwilę. Herbata jest niezła.

- Tak powinno być. My ją zamówiliśmy.

Tak więc pożegnanie, którego obaj się bali, sprowadziło się do kubeczka herbaty z automatu, a Bren mógł jedynie mieć nadzieję na cichą, ostrożną rozmowę we wnęce jadalnej. Mospheiranie kręcili się po pomieszczeniu. Zastygli w bezruchu Banichi i Jago byli groźnymi strażnikami.

- Chciałbym mieć dla ciebie odpowiedzi - rzekł Bren. - Chciałbym w ogóle mieć jakieś odpowiedzi. Ty nic nie wiesz?

- Tylko to, że przyszła wiadomość, żebym wracał na górę, a potem od niego: LEĆ. Nie miałem żadnego wyboru. Aiji chyba chciał, żebym zajął się tu naszymi gośćmi i pilnował, by nie kradli sreber.

Atewski żart.

- Nie wiem - odparł Bren. - Przysięgam, że nie wiem. Nie wiedziałem. To dla mnie taka sama niespodzianka jak dla ciebie.

- Wierzę ci.

Mieli swoje znaki na określenie prawdy i słowo "przysięgam" było jednym z nich. Używając go, nigdy nie kłamali, chociaż kłamstwo stanowiło część ich oddzielnych zadań, a przynajmniej było tak dawniej i znów mogło mieć miejsce.

- Może być opóźnienie z powodu pogody - rzekł Bren.

- A co z mospheiranami? Czy Gildia poprosiła też o nich?

- Nie wiem, do diabła. Nie mam pojęcia. Poprosili o pozwolenie na lot. Tabini powiedział, żeby lecieli teraz.

Spojrzeli po sobie. Żadna suma części nie była w pełni sensowna.

- Wciąż nie mam pojęcia - wyznał Jason.

- Chyba że chcą zrobić na złość Gildii - powiedział Bren i objął zziębniętymi palcami plastikowy kubeczek. - Tabini mógłby to zrobić.

- Będzie mi ciebie brakowało.

- Wróć tu na dół, jak tylko będziesz mógł.

- Postaram się - odparł Jase. - Przyleć na górę, jak będziesz mógł.

- Też się postaram - powiedział Bren. - Jeśli uda mi się czegokolwiek dowiedzieć, spróbuję przesłać ci wiadomość po powrocie do Bu-javid.

- Czy w ogóle uda nam się skontaktować? - zadał retoryczne pytanie Jason. Źle wyglądał z nierówno ostrzyżonymi włosami i kosmykami sterczącymi na wszystkie strony. Bóg jeden wie, czemu to zrobił... Może w napadzie złości na bezsensowny rozkaz? Jason był podatny na ataki złości.

Bren też.

- Posłuchaj, powiedz im, że jak nie będzie cię tu na dole, to nie uda się przygotować drugiego promu zgodnie z planem. To nie całkiem jest kłamstwo.

- Wiem - odparł Jason. - To chyba wszystko, co mogę zrobić. Może... może jakoś uda mi się wrócić. Nie mogę tego zagwarantować.

- Ramirez?

Był to starszy kapitan w Gildii, czasami opiekun Jase'a, czasami jego główne zmartwienie. Ramirez miał dobre i złe chwile.

- Chyba tak. Z nim mogę rozmawiać.

- Porozmawiaj i wracaj.

- Chcę tego.

- Znów będziesz musiał wyhodować sobie ten cholerny warkocz.

Jase roześmiał się ze smutkiem i potrząsnął głową; potem prawie przez godzinę pili herbatę i wspominali, głównie Toby'ego i jego łódź... nic o Barb, ani słowa o Barb, poza:

- Jak twoja matka? Jak Toby i cała reszta?

- O, w porządku - odparł Bren.

Dziwne, jak mało mieli sobie teraz do powiedzenia, kiedy przedtem, mając mnóstwo czasu, bez przerwy rozmawiali o szczegółach, planach, zamiarach; czas im się skrócił, trzy lata do przypomnienia, żadnego czasu w przyszłości, tylko krótka powtórka terminów dla dwóch promów w budowie.

- Napiszę dziś wieczorem - powiedział Bren, cholernie dobrze znając przeszkody administracyjne, rządowe oraz ilość wolnego miejsca w przepływie wiadomości z dużego talerza.

Jason umilkł, prawie rozstrojony.

- Powiedz Tano i Alginemu, że będzie mi ich brak. Powiedz sekretarzom, całemu personelowi. - W jego głosie brzmiała bezdenne rozpacz. - Banichi. Jago.

Zerknął na nich.

- Nadi-ji - odezwał się Banichi.

- Będę za wami tęsknił.

- My też tego żałujemy - odparł Banichi.

Zapadła cisza. Stawała się coraz głębsza i rozpaczliwsza.

- Muszę wracać - powiedział Bren. - Dotrę do sedna tego wszystkiego.

Jeśli mi się uda, przyjadę późno w nocy. Może spędzę tu jeszcze trochę czasu.

- Start był wyznaczony na wczesny rano. - Ile tylko będę mógł.

- Byłbym zadowolony.

Nie zostało więc już nic poza dopiciem herbaty, wstaniem i spojrzeniem sobie w twarz. Bren rozłożył ręce do uścisku. Tak się robiło na Mospheirze. Jason objął Brena niezręcznie i mocno; statkowi ludzie byli skryci i niechętnie się dotykali. Bren zacisnął dłoń na znoszonej kurtce na ramieniu Jase'a, czując ucisk w gardle.

- Uważaj - powiedział Jason. - Uważaj na siebie, Bren.

- Postaram się.

Bren puścił go, odwrócił się, na próżno usiłując znaleźć jakieś zajęcie dla rąk, i odszedł.

Banichi i Jago bez słowa wyszli za nim z pomieszczeń hotelowych do zewnętrznej, szarej sali.

Bren od trzech lat wiedział, że kiedy prom naprawdę zacznie latać, znów będzie sam. Planował samotne życie.

A był samotny? Miał Banichiego i Jago, których kochał... człowiek mógł powiedzieć "kocham", a oni potrafili być mu oddani na atewski sposób.

Cieszył się uznaniem Tabini-aijiego, mieszkał we wspaniałym apartamencie, miał wspaniałą nadmorską posiadłość, do której przyjeżdżali w odwiedziny jego matka, brat i rodzina brata... na takie wizyty nie pozwolono żadnemu innemu paidhiemu.

Nie mówiąc już o setkach osób służących i znajomych... oraz do pewnego stopnia o związku, jaki łączył go z Jago, na dobre czy na złe. Co by nie mówić, nie był sam.

A jednak po utracie Jasona czuł się zużyty, poobijany do głębi duszy.

Wiedział, że w obliczu milczenia swoich towarzyszy powinien otworzyć usta i mówić, mówić o czymś, o czymkolwiek. Nie do nich należało domyślanie się, że znajdujący się wśród nich człowiek chce - potrzebuje - dobrego słowa. To on był tłumaczem, międzykulturowym pomostem. To on powinien wypowiedzieć jakieś słowo, zasugerować, jak należy postąpić w sytuacji, z którą nigdy się nie zetknęli.

Ale go nie znalazł.

Odprowadzili go w milczeniu do strefy ochrony, do tej strefy ponurego, szarego betonu, gdzie wysiedli z furgonetki. Następnym ogniwem nie będzie furgonetka, lecz kolej do Bu-javid. pałacu na wzgórzu, środka Shejidan. Minęli miejsce, z którego już odjechała furgonetka. Przeszli przez czarne drzwi i zobaczyli, tak jak się spodziewali, swoich towarzyszy, Tano i Alginię, stojących przy torach kolejowych, które prowadziły do tej pilnie strzeżonej budowli.

- Paidhi-ji - rzekł Algini na jego widok i było to pierwsze słowo, jakie usłyszał Bren od chwili, gdy zostawił Jase'a na górze.

- Przyjemna podróż? - zapytał Tano, jakby miało to stanowić jakieś pocieszenie w związku z tym, co Tano na pewno wiedział.

- Bardzo dobra - odparł uprzejmie. Tano był zacnym ateva, bardzo zacnym ateva. Parafrazując pytanie Lunda, Tano wiele obchodziło.

Ale sytuacja wcale nie była dobra, podróż nie była dobra, Jase nie czuł się dobrze... a na wyspie nie czuła się dobrze jego rodzina. Podczas nagle wynikłej podróży Bren o tym nie myślał, ale jego bliscy wcale nie czuli się dobrze. Matka chciała, żeby został. Dzieciaki Toby'ego przechodziły katusze dorastania i rozpuszczania przez babcię; stanowiły okropne towarzystwo, grające mu na nerwach przez ten cały dzień, kiedy z nimi przebywał... Bren nie był przyzwyczajony do ludzkich dzieci.

Kiedy stracił to poczucie więzi?

I na co je zamienił?

Co tracił razem z Jasem? Jedyną istotę ludzką, na której skupił wszystkie swoje resztki poczucia ludzkości, w rozpaczliwej próbie sklecenia dla aijiego oficjalnej polityki oraz zrozumienia nastawienia statkowych ludzi?

Wsiadł do pociągu i jechał w pełnym roztargnienia milczeniu, wspominając dziesiątki takich podróży odbytych przez lata, pierwszy start... a cofając się w czasie, pierwszą podróż do Malguri, powrót... wyjazd do Taiben, raz, drugi, wszystko pomieszane, w czasach Jase'a i przed Jasem. Do posiadłości Geigiego, z takiej czy innej przyczyny... to były dobre czasy. Łowili ryby.

Co, do diabła, myśli sobie Tabini?

- Wiecie coś o tym? - zapytał swoją ochronę, kiedy znaleźli się sami w rozkołysanym wagonie.

Wagonie Tabiniego; choć częściej niż Tabini jeździł nim Bren. Był to opancerzony wagon ze specjalnymi zabezpieczeniami.

- Nie, nadi-ji - odparł Banichi. - My, tak jak ty, zastanawiamy się.

Bren usiadł wygodniej na siedzeniu wyściełanym aksamitem; czerwony aksamit, czerwony dywan, świeży bukiet w wazonie na blacie, sezonowe kwiaty, pierwsze na nizinach. Wydzielały gęsty, słodki zapach.

Stypa byłaby weselsza.

- Muszę się spotkać z aijim - powiedział cicho Bren.

- Ateva przekaże tę prośbę - rzekła Jago.

- Przyjechała wdowa - dodał Banichi.

Głęboko w trzewiach Brena włączył się dzwonek alarmowy.

- Przyjechała, żeby zobaczyć się z Jasonem? - zapytał. - Co się, do diabła, dzieje?

- Zaprosiła go na herbatę - wyjaśniła Jago. - Rozmawiali o pogodzie.

No, miało to jakieś uzasadnienie; przecież odwiedzała Shejidan od czasu do czasu. Prawdopodobnie był to przypadek: przyjechała i usłyszała, że Jason wyjeżdża.

- Tam, dokąd się wybiera, nie ma pogody - stwierdził Bren, usiłując samemu pogodzić się z tą możliwością. - Będzie musiał tak się przyzwyczaić do jej braku, jak się przyzwyczaił do jej obecności.

- Poradzi sobie - rzekła Jago.

- A więc była to jedna z tych rozmów? - Aiji-wdowa, o której sądził, że jest daleko w Malguri, była zagorzałą, prowokacyjną konserwatystką o bystrym umyśle i obrończynią różnych spraw.

Miała dobre serce.

Rozmowa o pogodzie z Ilisidi, babką Tabiniego. Panowie Patronatu Zachodniego dużo by dali za towarzyską rozmowę z wdową.

Ale czy ona cokolwiek robiła przypadkowo?

- Wiedziała, że Jasi wyjeżdża? - zapytał Bren. Lot z Malguri trwał trzy godziny, a cierpiąca na artretyzm kobieta nie lubiła długo siedzieć. Gdyby wybrała się w tę podróż tylko dla Jasona, Bren był gotów wzruszyć się tym gestem.

- Ateva nie ma pojęcia, nandi - odparła Jago.

Mój panie? Nandi? Tak oficjalnie? Co to ma znaczyć?

Jason nie powiedział słowa o swojej wizycie u wdowy. A ona była, choć po cichu, przywódczynią potencjalnie krnąbrnego patronatu, objętą przepływem informacji. Tabini posłałby wdowie wiadomość o wyjeździe lubianego

towarzysza... bo inaczej mogłoby to się źle skończyć. Jeśli nawet Jlisidi nie potrafiła wymóc na Tabinim sprzeciwienia się temu nagłemu żądaniu stacji, to szansę Brena malały.

Jase nie wspomniał o tym spotkaniu, ale cóż mógłby powiedzieć? Bren nie rozmawiał z nim wiele o dworze, a zamiast tego wspominali pierwsze swoje posunięcia, to, co robili w terenie, a potem po raz ostatni wybadali swoje stanowiska i sprecyzowali je - dla tych, którzy mogli zadawać pytania.

Na tym polegało ich zadanie.

Ale to, że Ilisidi przyjechała, by pożegnać się z Jasem, oznaczało o wiele więcej niż rozmowę towarzyską. Nic, co robiła Ilisidi, nie pozostawało niezauważone. Spotykając się sam na sam z Jasonem, ogłaszała nie tylko swoje wcześniejsze stowarzyszenie z Jason-paidhim, ale i obecne, aktywne i silne.

Właśnie to oznajmiła, odbywając spotkanie, o którym na pewno wszyscy się dowiedzą.

Właśnie to oznajmiła swojemu wnukowi, aijiemu. Interesowała się Jasonem, jego pobratymcami, programem kosmicznym oraz związkami statkowych ludzi z atevimi: ona, ekologiczna konserwatystka, wyrocznia gustu i towarzystwa.

Bren chodził oszołomiony od chwili otrzymania tej wiadomości; teraz zaczynał się budzić.

Bardzo polegał na dobrej woli wdowy, ale nigdy, przenigdy nie wolno jej było uznawać za rzecz oczywistą. Jeśli żyło się wśród atevich, zadawało się sobie pytania w rodzaju: Czy jest jakiś wróg lub towarzysz, któremu taką podróżą Ilisidi chciała wymierzyć policzek? Bren potrafił wymienić kilku wrogów.

Mógł nawet pomyśleć o wnuku wdowy, Tabini-aijim, który przyspieszył przyjazd Jasona do ośrodka kosmicznego o cały dzień, doskonale wiedząc, że Bren spodziewa się przyzwoitego pożegnania... i dlaczego Tabini w ogóle go wysłał?

Chronił Jasona?

Reprimenda dla wdowy za to zaproszenie... niepokój z powodu tego, co mogła powiedzieć albo o co zapytać?

Dlaczego mospheiranie otrzymali zgodę szybciej, niż chcieli i się spodziewali?

Musi zebrać myśli, bo inaczej narazi na niebezpieczeństwo cały cholerny Patronat Zachodni, nie mówiąc już o sobie i swojej ochronie.

Obudź się, paidhi-ji; prawdopodobnie tak właśnie myśleli też jego ochroniarze. Wszyscy niemal nadawali do niego sygnały. Bądź świadom, że może istnieć niebezpieczeństwo. Broń nas. Myśl.

Kryła się pewna korzyść w fakcie, że Jason dostarczy swoje sprawozdanie wcześniej; że człowiek, który na pewno jest dobrze nastawiony do atevich, znajdzie się na górze, by obalić wszelkie negatywne opinie, jakie mogłaby wyrazić Mercheson w swoim raporcie. Atevi nie znali Mercheson tak dobrze i nie ufali jej tak bardzo jak Jase-paidhiemu.

Na stację nie dotarła jeszcze żadna atewska misja na poziomie wyższym od technicznego. Podczas lotów testowych docierali tam piloci i technicy. Były to sprytnie, inteligentne osoby, ściśle poinstruowane, jak mają reagować i co robić; ale nikt na dole nie wiedział, w jaki sposób te kontakty mogłyby się potoczyć, gdyby wyszły poza ustalony scenariusz. Tabini nie był zadowolony z odwołania Mercheson; studiując nie tylko swoje dzieje, Tabini znał całą nieprzyjemną historię Gildii Pilotów.

Bren dźwigał na sobie cholernie duże brzemię odpowiedzialności. Wierzył mu rząd mospheirski. Delegaci z Mospheiry czynili gesty świadczące o tym samym. Ufał mu Tabini. Ufał mu Jason, który chciał zostać na dole. Bren był przywalony zaufaniem i ogromnie niedoinformowany.

- Człowiek zastanawia się, czego chce wdowa - rzekł łagodnie; takie pytanie, zadane własnej ochronie, było całkowicie nieobraźliwe i prosiło się o odpowiedź.

- Ateva też - odparł Banichi, zaprzeczając tym samym, że wie cokolwiek wartego powiedzenia, a Jago dodała z odpowiednikiem wzruszenia ramion:

- Wdowa traktuje go tak, jakby znajdował się w strefie jej wpływów.

Innymi słowy, uważa go za przynależnego do jej patronatu... za kogoś, kogo nie można jej odebrać, nie mając w jakiś sposób z nią do czynienia. To prawda. Dlatego Tabini zapewne przekazał jej tę wiadomość, prawdopodobnie osobiście, chociaż wdowa gardziła telefonami.

- Interesujące - mruknął Bren w odpowiedzi na uwagę Jago i zauważył, że Banichi w najmniejszym stopniu nie podważył oceny swojej partnerki. I to włączyło u Brena dzwonki alarmowe. Jago, młodsza rangą i wiekiem, wyraziła przypuszczenie wykraczające poza wypowiedź Banichiego: to nie było zwyczajne w chwili trzeźwości. Bren mógł zatem wysnuć wniosek, że uważają tak oboje, ale nie mają pewnych informacji co do motywów Ilisidi, w związku z tym Jago, młodsza partnerka, powiedziała to, co mogła powiedzieć, skoro już naprowadzili go na zadanie pytania, i wspólnymi siłami zrzucili swoją niewielką bombę informacyjną: wdowa jest tutaj i wdowa się zaangażowała.

- To co jeszcze się dzieje? - zapytał Bren swoich ochroniarzy. - Kto wydał wizy mospheiranom?

- Zostały wydane - odrzekł Banichi. A więc wiedział tylko tyle.

- Sprawa Atigeinich została rozwiązana - stwierdziła Jago.

- Personel wysłał wymagane listy - uzupełnił Banichi. - Kontrakt został odwołany.

Bren poczuł ulgę. Pan Atigeinich uskarżał się niedawno na wtargnięcia na terytoria podlegające jego patronatowi. Drobne sprzeczki były chlebem powszednim dworskich intryg, rzadko zdarzały się przypadkiem, a zwykle jako przejaw walki o pozycję. Szło o ziemię, i konflikt wywołał prawdopodobnie miészakający na niej przedstawiciel podpatronatu; istniała możliwość zabójstw.

A siostrzenica przywódcy podpatronatu chciała się związać z młodzieńcem z sąsiedztwa, który nie należał do jej patronatu. Konwencje społeczne trzeszczały w szwach i w ten sposób poszerzały się patronaty... Jeśli wuj Tatiseigi z Atigeinich udzielił zgody, co zgodnie z ostatnimi doniesieniami było tak prawdopodobne jak zimny dzień w piekle. Tatiseigi, wuj małżonki Tabiniego, miał chyba najciaśniejsze poglądy ze wszystkich kontynentalnych panów, i traktował podejrzliwie wszystko, co nie było prawdą trzysta lat temu. I właśnie coś takiego wrzało na granicy. Nagle wszystko to przycichło bez widocznego powodu. A więc Tatiseigi zmienił zdanie. Ilisidi, luźno z nim związana patronatem, wróciła na dwór.

Wystarczy wyjechać na wyspę na cztery dni, a wszystko się przestawia.

- Damiri-daja sprzyja temu związkowi - rzekł Tabini, mając na myśli żonę Tabiniego. - Nand' Tatiseigi nie.

- A Ilisidi?

- Nie utrzymuje znanych kontaktów. Ale ateva pyta.

Elementy sytuacji przemieszczały się i utrzasały; struktura patronatów stale się zmieniała, lecz ogólne zarysy pozostawały takie same, a Tabini i wuj jego żony toczyli umiarkowaną, kurtuazyjną wojnę w ramach ograniczeń towarzyskich. Zdarzało się już, że ginęli w niej atevi, ale wyglądało na to, że tym razem da się uniknąć przemocy; to tylko stary ateva potwierdzający swą władzę jest nieznośny i staromodny, a aiji-wdowa być może tupnie nogą. Bren tym właśnie się niepokoił. Tabini był oblegany we własnym domu. A Jason znalazł się poza nim i jest nieosiągalny.

Ośrodek kosmiczny zaczął wyglądać jak miejsce schronienia przed burzą. Bren będzie musiał przekonać Tabiniego, że odesłanie Jase'a na życzenie Gildii Pilotów nie było dobrym pomysłem, że może Jase powinien nabawić się jakiejś niespodziewanej dolegliwości, czymś się zarazić... Statkowi ludzie, w każdym razie, martwili się możliwością zarażenia. Bren jednak nie wiedział teraz, co oznacza przetasowanie atevich w połączeniu z posunięciami dwóch ludzkich rządów.

Bren myślał przez cały czas, kiedy pociąg wspinał się na stromiznę dobrze mu znanego wzgórza. Okna mogły być zasłonięte czerwonym aksamitem i powleczone warstwą kuloodporną, ale on nie musiał wyglądać na zewnątrz, gdy jechali przez wyraźny, bardziej poziomy obszar ech tuż za szczytem wzgórza.

Wjeżdżali na stację. Algini i Tano wstali i ustawili się przy drzwiach - rutyna. Jakikolwiek atak był nieprawdopodobny, ale zważywszy na wysoką pozycję, jaką rzeczywiście zajmował Bren, oraz na przesunięcia na dworze, zawsze istniała niewielka szansa, że te drzwi otworzą się na grad kul.

Wagon zatrzymał się z piskiem hydraulicznych hamulców i drzwi się otworzyły.

Żadnych kul. Bren wstał, zawiesił sobie komputer na ramieniu i, poprzedzany przez Banichiego, a L tyłu pilnowany przez Jago, wyszedł na peron umieszczony w wysokim, betonowym tunelu. Znajdowali się w trzewiach pałacu, pod wzgórzem, które widzieli z samolotu. Pałac i ogrody leżały nad nimi.

Byli teraz bezpieczni, poza zasięgiem wszystkich, oprócz najbardziej biegłych zabójców. Istniała krótka lista urażonych osobistości, ale zawsze tak było. Bren miał już teraz mniej wrogów. Oni wiedzieli, on wiedział, wynajmowani przez nich zabójcy wiedzieli, że zlikwidowanie go stworzyłoby próżnię zbyt destrukcyjną. Owszem, ściagała go zdeterminowana garstka, ale większość - Bren wiedział to na pewno - ściagała go tylko dla zasady i nie chciałyby ściągnąć na siebie odwetu aijie-go: papierowe groźby. A nawet mniej niż papierowe: ochrona Brena, upoważniona przez aijiego, poinformowała go, że w Gildii Zabójców nie ma żadnego bieżącego kontaktu.

Mając to poczucie względnej pewności, Bren wszedł do windy z Banichim i Jago - Algini i Tano jak zwykle zajmowali się bagażami - i wjeżdżając na poziom, na którym miał swój już stały apartament, starał się sformułować argumenty za natychmiastową przydatnością Jase'a oraz wymyślić jakąś niegroźną chorobę.

Historyczna rezydencja zajmowana przez Brena była niegdyś siedzibą Maladesich, ośrodkiem patronatu, który od załamania się opozycji względem programu kosmicznego został całkowicie wchłonięty.

Drobna strata, orzekł Tabini; parweniusze, stwierdziła Damiri-daja, chociaż Brenowi żal było odejścia czegoś tak niewiarygodnie starego, że aż starszego od Mospheiry, i czuł niejako wyrzuty sumienia z powodu poprawy swojego losu. Kiedyś twierdził, że nie potrzebuje pańskiej siedziby. Teraz zmienił zdanie. Potrzebował jej dla swojego personelu. Dla służących. Dla wygody swoich ochroniarzy.

Służący Maladesich pozostali, co zrozumiałe, przy fragmentach swojego historycznego patronatu, wchłonięci przez inne grupy. Jednak niektórzy służący przeszli z biura, innych polecił Tabini albo jego ochrona. Jeszcze inni pochodzili nawet od groźnego wuja Tatiseigiego z Atigeinich, co wywoływało pewną nerwowość, ale jeśli starzec coś ofiarowywał, przypuszczenie, że pod pozorem świątecznego prezentu mógłby przemyścić zabójców, uraziłoby poczucie smaku starca... A przemyśliłby ich, lecz niejako gość zaproszony na urodziny wnuka, następcy Tabiniego - chodziło tu o starodawne maniery, hojność i świętowanie.

Apartament zaś został starannie przeczesany w poszukiwaniu pozostawionych urządzeń podsłuchowych i innych zagrożeń dla bezpieczeństwa paidhiego. Kiedy przeprowadzał się pan patronatu, pociągało to za sobą zmiany z konieczności o wiele większe niż zmiana zamków w drzwiach. Przesunięto wewnętrzne drzwi i postawiono parawany, by zmylić zabójców i zmienić numerologię jawnie niepomysłnych pokojów.

Zamki zostały oczywiście zmienione i ulepszone, niektóre do poziomu śmiercionośności... takie rzeczy. W perstmelu Brena nie było ani jednej osoby nie zaaprobowanej przez ochronę Tabiniego; atewski pan o starszym rodowodzie mógłby mieć powody do sprzeciwu wobec tak dogłębnej infiltracji ze strony aijiego, ale Bren był mu wdzięczny. Banichi i Jago stanowili personel Ta-

biniego, zanim obdarowali Brena swoim man'chi. On sam znajdował się w obrębie man'chi Tabiniego. Nie było w tym żadnej sprzeczności.

Jase też znajdował się w obrębie man'chi Tabiniego. To zaś stanowiło pewien argument.

Przełożony personelu powitał Brena w drzwiach i odebrał od niego kaftan. Miał na imię Narani i był starszym, szacownym dżentelmenem z gór. W skład personelu wchodziło jego dwoje wnuków, trzy byłe żony i trzech synowie, nie mówiąc o krewnych żon i synów, łącznie z dwoma aktualnymi mężami... wszyscy należeli do personelu.

A, co najbardziej niezwykle, jego sercem - dosłownie - byli mieszkańcy niewielkiego domku rybackiego, po prostu sprezentowani Brenowi w bardzo feudalny sposób razem z tytułem do rezydencji, będącej źródłem personelu. W ciągu kilkuset lat tamtejsi służący, pobierając się, płodząc i rodząc dzieci, stali się zbyt liczni, by ograniczać ich do utrzymywania domku z rzadka tylko odwiedzanego przez aijiego. Z pochodzenia byli tylko w połowie Ragi, ignorowani przez ojca Tabiniego - to akurat stanowiło rekomendacje - dość luźno związani z panem Geigim, całkowicie godnym zaufania panem z południowego wybrzeża, i zachwycali się pracodawcą, który przyjeżdżał do domku, przywożąc ze sobą własną rodzinę oraz szacowną matkę, bez względu na to, jak wszyscy ci goście byli dziwni.

Albo, jak to ujął Narani, zarzewieli w poprzedniej służbie, mało wykorzystywani przez aijiego, a teraz pławili się w wykonywaniu zadań w sercu dworu; poza tym ich historyczny domek także został wyniesiony na niesłychane wyżyny znaczenia i bogactwa. Bren był pewien, że przyjeżdżali tam turyści, by zobaczyć "wiejską posiadłość paidhiego" i natknąć się na coś egzotycznego i oburzającego.

Jego personel znosił wizyty matki z podziwu godnym hartem ducha, nie mówiąc już o dzieciach Toby'ego.

Nawet byli służący Tatiseigiego przysięgali, że podoba im się służba u niego.

- Poczta, nadi. - Narani pomógł Brenowi zdjąć kaftan, podał go pokojówce i skinał głową w stronę srebrnej misy na ozdobnym stoliku inkrustowanym kością, stojącym przy drzwiach.

Jak można się było spodziewać, nagromadziło się sporo wiadomości, oficjalnie doręczonych tutek ze srebra, złota, kości i tak dalej, a każda była jedyna w swoim rodzaju; większość zawierała życzenia pomyślności lub prośby do biura paidhiego - te tutki pochodziły od pańskich nadawców. Zwykłą korespondencją, przychodzącą normalną pocztą, zajmował się teraz personel składający się z kilkuset osób, zatrudnionych na pełen etat: Czy paidhi zechciałby łaskawie odpowiedzieć drobnemu patronatowi z głębi kontynentu, który podejrzewa, że dostrzeżone na jego terenie trzy meteory oznaczają lądowanie statków kosmicznych?

Oczywiście.

Czy paidhi zechce powiedzieć uczniom, czy mogą napisać do którejś ze szkół na Mospheirze? Mogą wymienić pozdrowienia, nic więcej. Nie można znieść barier wzbraniających swobodnego dostępu; na pewno nie dla wariatów w łodziach wiosłowych i nie dla niewinnych dzieci. Takimi rzeczami, do pewnego poziomu, zajmował się personel. Wiadomości w srebrnej misie prawdopodobnie obejmują posiedzenia wydziałów, komisji i konferencji dotyczących linii postępowania. Niektórzy może słyszeli o odjeździe Jase'a. Mógł już wiedzieć cały dwór, jako że było późne popołudnie. Dlaczego jednak nie zdziwił się na widok tutki od wdowy? I gdzie jest tutka Tabiniego? - Rani-ji - zwrócił się do swego majordoma. - Kiedy przyszła wiadomość od aiji-wdowy? - W ciągu ostatniej godziny, nadi. - Narani ani słowem nie wspomniał o Jasonie. W porównaniu jednak ze szczęśliwszymi powrotami, dom był bardzo trzeźwy, bardzo cichy. Służąca, która zabrała jego kaftan, odeszła w milczeniu, z pochyloną głową, a Narani nie miał mu nic do powiedzenia na temat mankietu koszuli. Znajdowali się w białym, okrągłym westybulu, a ich postaci odbijały się w

trzech potężnych lustrach w połączonych ramach, przed którymi stały połączone i posrebrzane stoliki z olbrzymimi bukietami złocistych sezonowych kwiatów, ułożonych w błękitno-zielonych porcelanowych wazonach. Na marmurowej podłodze widniał trzykrotnie powtórzony symbol baji-naji w czarnym i białym marmurze; ten sam wzór pojawiał się na suficie, w wielkim medalionie, i można się było domyślać, że ktoś policzył, ile powtarzających się odbić widać w każdym lustrze, a także zadbał, by w westybulu nie znalazło się nic niepomyślnego. Takie jednak były wszystkie motywy, ukryte znaczenia i przejawy polityki wokół niego i ponad nim... atevi. Tabinii-aiji, praktycznie władca świata, jak dotąd nie przysłał wiadomości powitalnej, a Bren nie mógł zwrócić się do aijiiego bez tego zaproszenia. Musiał liczyć na Banichiego i Jago, że przekażą parę słów personelowi Tabiniego... a wysłanie wiadomości do Tabiniego o zaproszeniu od wdowy, jego babki, byłoby nadzwyczaj niedelikatne. Wśród atevich zakładało się, że wielki pan 65 wie, co się dzieje. W Bu-javid wiadomości płynęły jak woda podskórna, niewidocznie, dyskretnie.

Może słowa współczucia z powodu utraty Jase'a? Czegoś takiego można by się spodziewać. Niczego takiego nie było, przynajmniej od Tabiniego.

Bren otworzył tutkę Ilisidi. Ani słowa o Jasonie. Rzeczywiście, zaproszenie na kolację; ledwie zdąży się wykapać i ubrać w odpowiednio oficjalny strój.

Wcale nie był zaskoczony.

Za to świadom niebezpieczeństwa związanego z owym zaproszeniem, świadom wszystkich nici biegnących pod rozmaitymi drzwiami tutaj i po drugiej stronie kontynentu... o, tak. Był tego świadom.

3

Apartament wdowy stanowił znajomy teren o wystawnym wystroju w czerwieni, złocie i czerni, heraldycznych kolorach rodu aijiiego, obstawiony uzbrojonymi służącymi i obwieszony wspaniałymi, choć zblakłymi, dziełami sztuki tkackiej. Paidhi wszedł do holu pełnego znajomych twarzy. Serdeczność tę wykuły czas i wydarzenia; rozgrzewała ona ludzkie serce, nawet jeśli ostrożny oficjalny umysł pozostawał czujny.

Jeśli chodzi o dotarcie do Tabiniego, szach i mat. Zamiast tego Bren znalazł się tutaj, wykonując towarzyskie gesty. Włosy miał zaplecione w warkocz z odpowiednią wstążką, świadcząca o jego statusie. Ubrał się w spokojnie i neutralnie beżowy kaftan z wysokim kołnierzem, koszulę z delikatnym szalem udrapowanym na ramionach i złotymi spinkami do mankietów - po tej stronie cieśniny nie brakowało spinek. Trochę koronki nad bladymi dłońmi, równie rzucającymi się w oczy, jak jasne włosy. Nieco perfum, odpowiednio stonowanych; był to jeden z nielicznych zapachów pochodzących od atewskiego dostawcy, który pasował do naturalnej woni człowieka: tak powiedziała mu Jago, podczas gdy Banichi zmarszczył nos i orzekł, że zapach jest dekadentko kwiatowy.

W końcu Narani wypuścił go z apartamentu z zawodowym zadowoleniem. Banichi i Jago oczywiście poszli z nim i z ostrożną serdecznością przywitali się ze starszymi ochroniarzami z personelu wdowy. Wielokrotnie ratowali sobie nawzajem życie i nawiązali tak przyjazne stosunki, jak im na to pozwalały ich lekko rozbieżne man'chi.

Jasona przyprowadzili tu przedtem Taro i Algini, którzy przysięgali, że nie zauważyli niczego niestosownego. Wciąż pozostawał dziwnym fakt, że Jason nie wspominał o tej wizycie... chociaż ludzkie stosunki takie były; podczas godziny, którą mieli dla siebie, z myśli wyleciało im wszystko, co nie było ludzkie.

Jason do tej chwili mógł myśleć: "Mój Boże, zapomniałem mu powiedzieć...".

Ale że nie powiedzieli Tano i Algini... pewnie dlatego, że szanowali Banichiego i Jago i wiedzieli, iż kroi się coś, czego paidhi powinien do-

myśleć się sam. Nie mogli, nie byli psychologicznie zdolni walczyć z Tabinim. Bren był tu osamotniony, ale oni martwili się o niego i starali się jak najdokładniej kierować jego krokami przez powstający labirynt intryg.

- Nand' paidhi.

Cenedi, przełożony ochrony wdowy, spotkał go w drzwiach apartamentu i zaprowadził z foyer do holu, a stamtąd do, na szczęście, jadalni, a nie na smagany zimnymi wiatrami balkon, gdzie Ilisidi, przyzwyczajona do świeżego powietrza i gardząca zabójcami, kazała często podawać posiłki.

Tym razem wdowa czekała na Brena w ciepłym sercu swego apartamentu. Kobieta drobna jak na swój gatunek - z powodu wieku - stała przy stole skrzącym się od kryształów, kwiatów i świec, wsparta na lasce. Nie miała żadnego wielkiego wejścia, nie kazała na siebie czekać. Tak traktowała osoby bliskie.

- Nand' wdowo - rzeki Bren ze szczerym uczuciem.

- No, no, ależ jesteście oficjalni.

- 'Sidi-ji - poprawił się, wiedząc, że jej się to spodoba. - Otrzymałem twoje zaproszenie i przyszedłem natychmiast, jak tylko dotarłem do mojego apartamentu.

- Siadaj, siadaj, pochlebco. - Ilisidi podeszła o krok do stołu, a jej ochroniarz błyskawicznie odsunął krzesło. Usiadła; laska znalazła się w dłoni ochroniarza bez najmniejszego zakłócenia ruchu, a Bren usiadł na krzesło równie zręcznie odsuniętym przez partnera Cenediego. - Podtrzymuję twoje wady. Sprowadziłam z wyspy wódkę.

- To bardzo uprzejme z twojej strony - rzekł Bren. Było mu przyjemnie. Miara czasów i obecnych rozmiarów jego biura. Musiał jej o tym powiedzieć któryś z jego podwładnych, by mogła go zaskoczyć sprowadzonym alkoholem. Jego zadania dawno już przerosły stemplowanie manifestów importowych.

- Z odpowiednim sokiem owocowym.

- Dziękuję - odparł. W rękę służącego, a następnie przed Brenem, pojawił się kieliszek z niesезonowym, a więc, zdaniem wdowy, dekadenskim lodem.

Inny służący podał wdowie kieliszek z jej ulubioną zawartością, jednym z tych alkalicznych środków pobudzających, które mogą zabić człowieka albo wywołać u niego żal, że tak się nie stało.

- A zatem, nand' paidhi, jak się miewa twoja matka?

- Dobrze. Bardzo dobrze. Uskarża się na mój wyjazd w święto.

- Dzień Niepodległości. - Ilisidi była rozbawiona, ale też dobrze poinformowana. - Niepodległości od nas. Cóż za dziwne święto w tych okolicznościach.

- Historyczne i tradycyjne. - Poniewczasie przyszła mu do głowy myśl, że ludzki statek w górze stanowi kolejne zagrożenie dla mospheirskiej niepodległości. - Tak samo przed wiekami mospheiranie uzyskali niepodległość od Gildii Pilotów, rzucając się na planetę na spadochronach. Zapewniam cię, że na pewno jeszcze nie istnieje narodowy pęd, by paść w ramiona Gildii. Nawet ci, którzy chcieli wrócić w kosmos, mają pewne wątpliwości.

- Kiedy wyładowaliście po raz pierwszy, atevi myśleli, że spadliście z księżycy. Teraz słońce jest gwiazdą, a gwiazda poranna jest planetą. Jaki dziwny świat stworzyliśmy! Spróbuj marynaty. Pochodzi z ogrodu w Malguri. Pytałam, czy jest bezpieczna.

- Miłe wspomnienie. - Poczęstował się. Marynaty były wyjątkami od kabiu, zasady stosowności: kabiu było tylko to, co rosło czy też na co się polowało podczas danej pory roku. Do przyjęcia była żywność konserwowana w ramach przepisu i podawana w następnej porze roku: zaliczały się do niej napoje alkoholowe oraz inne owoce działania czasu i fermentacji, które zawsze były gotowe do spożycia. Podobnie jak wędzone czy marynowane mięsa.

Wdowa na pewno nie pomyliłaby się co do zawartości alkaloidów. Gdyby chciała Brena po prostu otruć, pod żadnym pozorem nie uprzedzałaby go niehonorowo o nieszkodliwości danej potrawy.

Marynata, trochę za ostra, nieźle smakowała z jajkiem, podstawową przystawką atevich.

- Słońce jest gwiazdą - powtórzyła wdowa, nakładając sobie kolejne dwa jajka i pecynę gęstego sosu - a Gildia Pilotów, traktowana tak nieufnie przez mospheiran, obraziła inny gatunek. A przynajmniej tak mówią. - Stara, stara wiadomość, lecz tym stwierdzeniem wdowa ustaliła temat spotkania. Wiedziała o ludzkiej misji, była dobrze poinformowana. Bren stworzył hipotezę, że przebyła kontynent, by zjeść kolację z Jasem, a teraz z nim, i że Tabini nie mógł zapobiec jej trzygodzinnemu lotowi ani wtrącaniu się, ale że mógł nie być zeń zadowolony.

- Nie wiemy, czy obrazy dopuściła się Gildia, nand' wdowo. Ten obcy gatunek mógł zaatakować Gildię z własnych powodów.

- Ha. Po prostu sądzą, że jest złośliwy? Ludzie startują z okolic swojej własnej gwiazdy, gubią się i przylatują tutaj - ależ mamy wielkie szczęście. Spadają nam na głowy. A teraz lecą poszukać swojej własnej zagubionej planety i udaje im się obrazić niezidentyfikowanych sąsiadów. Znając ich historię, wątpię, czy to był po prostu pech.

- Szczerze mówiąc, mospheirski rząd podziela tę opinię. Chociaż podchodząc do sprawy logicznie, nie można wyłączyć pecha.

- Nie mają poczucia pomyślnego wzoru. Baji-naji. - To znaczy, że przypadek i los mogą zmienić wzór, czy był on dobry, czy zły. - A ta gorączkowa wymiana paidhiin? Do przyjęcia przez ciebie?

- Chciałbym zatrzymać Jasona. - Stąpali po dyplomatycznym i prywatnym cienkim lodzie. Tabini jeszcze o to nie zapytał. 'Sidi-ji zapytała, kierując się własnymi pobudkami, których jednak nie wyjawiała. Bren starał się nie dopuścić do bardziej szczegółowego wypytywania, posługując się wybiegiem, którego zamierzał też użyć w stosunku do Tabiniego... jeśli znajdzie jakiś sposób, by przestąpić jego próg. Wdowa mogła być atutem - albo oliwą dolewana do ognia. - Będę żałował, że odjechał. Potrzebuję jego pomocy.

- Nie przedstawiono nam następcy. Tylko tego Cope'a, który sprawia mnóstwo kłopotów. Zrobią coś z tym?

- Nie znam ich zamiarów. Następny może przylecieć przy obiedzie.

Tak zrobili z Mercheson.

- Zanim kogoś przyślą, przepytają naszego Jasona.

- Taki chyba mają zamiar.

- To u nich zrozumiałe. Czy ośmielimy się przyjąć ten motyw jako to, czym się wydaje? Co więcej, zakładasz, że interesy tych statkowych ludzi są zgodne z twoimi? Nigdy nie będę oczekiwała, że zgodzą się z naszymi.

- Moje interesy nie odbiegają daleko od interesów patronatów i, szczerze mówiąc, nand' wdowo, nie wiem. Mospheira też. Nikt tego nie wie, ani ja, ani Jase, tylko oficerowie Gildii Pilotów... a może nawet nie wszyscy z nich.

- Dziedziczni oficerowie. Panowie ich Patronatu. Ramirez?

- Jest dla niego jak ojciec. Surowy ojciec.

Nie oznaczało to zupełnie tego samego co dla człowieka, ale oznaczało man'chi.

- Ta sprawa bycia jednym z Dzieci Taylora.

- Właśnie.

Służący zabrali potrawę z jaj i postawili na stole sezonowe mięso - dużą rybę z kolcami grzbietowymi ułożonymi w wachlarz. Tkwiła na talerzu, patrząc na nich z materaca błękitno-zielonych wodorostów, ale jej ciało stanowił starannie uformowany biały pasztet, upstrzony zielonymi owocami.

Ogólna zasada głosiła, że należy unikać niebieskich potraw, a białe traktować nieco podejrzliwie, Bren jednak ufał wdowie i nałożył sobie porcję, nie zadając pytań. Służący postawił mu pod ręką karafkę octu ziołowego i Bren skropił nim potrawę.

- Doskonałe. - Przyjaciel domu nigdy nie mógł przyjąć za oczywistą ofiarę z życia, choćby było nie wiadomo jak kolczaste, albo artystycznego efektu pracy kucłiarza. - Naprawdę doskonałe, nandi. Wyrazy wdzięczności i podziwu.

- Przyjęte, paidhi-ji. - Powiedziała to ciepło. - Dobrze. Opowiedz mi teraz tę historię, nie tak, jak wtedy, gdy nie wiedzieliśmy o gwiazdach i promach. Opowiedz mi tę historię, jakbym tym razem miała zrozumieć cele podróży. O co chodzi z tymi Dziećmi Taylora?

- Taylor był pilotem, pierwszym pilotem. "Feniks" wyruszył przed wiekami z ziemi ludzi do miejsca budowy stacji, podróżując do gwiazdy widocznej z ziemi ludzi. Ale nagle statek zboczył z kursu i pojawił się przy śmiertelnie niebezpiecznej gwiazdzie, pozbawiony lub prawie pozbawiony paliwa.

- Sabotaż?

- Z całą pewnością był to wypadek w podprzestrzeni, jedno z tych matematycznych pytań, na które stara się znaleźć odpowiedź astronom honorowy...

Władcze machnięcie starczej, czarnej dłoni.

- Aha. Kontynuuj. Narodziny dzieci.

- Bliskość gwiazdy oznaczałaby przedwczesną śmierć tych, którzy wyszliby na zewnątrz statku; musieli jednak zdobyć paliwo. Posłużyli się sprzętem przeznaczonym do budowy stacji, sprzętem mającym słabe zabezpieczenie. Bohaterskie osoby wyszły w przestrzeń kosmiczną, wiedząc, że na pewno zginą na skutek promieniowania. Choć jest to stwierdzenie niedelikatne, zostawili swoje osobiste dziedzictwo w zamrożonej postaci; nie z próżności, lecz dlatego, że skoro tak się zgubili, to chcieli mieć społeczność na tyle zróżnicowaną, by mogła ona być zdrowa. Wiedzieli, że mają kłopoty. Umierali dziesiątkami.

- I zbierali paliwo, by przemieścić statek w bezpieczne miejsce.

- Tak.

- Dobrze. I ten Taylor-kapitan przyprowadził statek do tego portu, a potem umarł.

- Tak.

Wczoraj Jason był jej gościem i Bren założyłby się o wszystko, że powie jej to samo ze szczegółami, które teraz wdowa starannie porównuje. Trzymał się kanonu.

- A więc - rzekła Ilisidi i odgryzła kawałek ryby. - Wszyscy urodzeni z tego dziedzictwa są nazwani synami i córkami Taylora. I przybyli na ziemię atevich. Taylor umarł. Piloci chcieli zostać w kosmosie i szukać domu; zwykli ludzie zaś postanowili wylądować i stać się dla nas problemem.

- Gildia Pilotów respektowała prawo atevich do zostawienia ich w spokoju. Chcieli odlecieć do czerwonej gwiazdy, zostawiając przy tej planecie tylko taką stację, jakiej potrzebowali w charakterze niewielkiej bazy. Koloniści się jednak na to nie zgodzili. Widzieli zieloną planetę bardzo podobną do ich własnej. Niektórzy skoczyli na żaglach-kwiatach i spadli na świat.

- Gdzie, po początkowych trudnościach, zostali mile powitani - wtrąciła Ilisidi, bardziej niż Bren obeznana z tym etapem atewskiej historii. - Oczarowała nas zmiana i wasza technika. Uzależniliśmy się od tych darów.

- A statek wyruszył na poszukiwania, zostawiając pewne osoby na planecie, a inne do obsługi stacji. Jako że jednak warunki na stacji były coraz trudniejsze, a atevi rzeczywiście odnieśli się przychylnie do lądowania, na dół przybywało coraz więcej ludzi.

- Zwiększając naszą pomyślność - wtrąciła kwaśno wdowa.

- Tyłu ich opuściło stację, że nie była w stanie funkcjonować. Mogli ją zamknąć i przygotować do spoczynku, i wtedy doznałaby mniejszych zniszczeń, ale takie wyjście wymuszało opuszczenie jej. Kiedy statek wrócił po kilku wiekach... ci, którzy przeżyli, znajdowali się tu, na dole, i wszystko się zmieniło.

- A jednak na statku były dzieci. Został zaludniony tym dziedzictwem.

- Rzadko się doń sięga. Kiedy już do tego dochodzi, te dzieci są traktowane szczególnie, jako nie wywodzące się ze zwykłych rodzin. Nie mówi się im, czyimi są dziećmi, by nie wytworzyć u nich żadnego poczucia wyższości. Wszystkie są nazywane Dziećmi Taylora.

- A więc Jase jest kimś szczególnym, mającym znaczenie w ich patronacie.

- Kimś, kogo raczej uważają za nie związanego z żadnym patronatem. Nie tak jak aiji, ale za osobę urodzoną w określonym celu. Kapitan Ramirez wyraził zgodę na narodziny pewnej ich liczby... ze zwykłych matek... na podróż powrotną do tej ziemi. Wtedy nie wiedzieli jeszcze o obcych. Mieli przygotować się do kontaktu ze stacją; ten cel był aktualny. Dlatego Jase uczył się języków. Powiedział, że to jego hobby, ale początkowo nie mówił całej prawdy, ani w tej sprawie, ani w wielu innych, o których powiedział mi później. On i pozostali - było ich dziewięcioro - zostali przeznaczeni do czegoś o wiele przyjemniejszego niż to, co zastał Ramirez po otrzymaniu wołania o pomoc z drugiej stacji, którą tam wybudowali.

- Języki - powtórzyła Ilisidi i z jej tonu Bren poznał, że dostrzegła skazę w rozumowaniu. - By powitać własnych potomków. Czy zatem ludzki język zmienia się tak gwałtownie?

Nie miał na to odpowiedzi. Omawiał z Jasem tę kwestię. Jase powiedział, że na statku istnieją frakcje, i przyznał, że niektóre z nich nie przyjął przychylnie obecnych negocjacji z atevimi.

Ramirez wyraził zgodę na narodziny dzieci, zachęcał je do zdobywania umiejętności, które zwiększą ich zdolności do prowadzenia negocjacji... To, że Ramirez od początku planował negocjacje dzieci z atevimi, że potrafił przebić wzrokiem ludzką arogancję i przyjąć każdą pomoc... to doskonale mieściło się w obrazie kapitana-ojca, jaki miał Jase, oraz w ramach potrzeb pokoju na pokładzie statku - i było na tyle ważne, by Ramirez utrzymał ten cel w tajemnicy.

Bren nie mógł jednak powiedzieć tego Ilisidi. Takie rozważania nie były nawet na tyle oparte na faktach, by przedstawić je Tabinemu. Ale w to, że Ilisidi, mistrzyni podstępów, sama wykonała taki logiczny skok, mógł bez trudu uwierzyć.

- No cóż - ciągnęła Ilisidi, powiedziawszy swoje. - Wlokąc ze sobą dziwnie wyszkolone dzieci, polecili do tej innej stacji, która ich wezwała i która pod ich nieobecność doznała wielkich uszkodzeń.

- Właśnie tak. Ramirez przepytiał tamtejszą załogę i postanowił przylecieć tutaj, oprzeć się na tej bazie, sądząc, że zastanie tu dużą populację i kwitnącą stację. Statek nie był zadowolony z tego, co zastał.

Owszem, nie był zadowolony, ale obaj z Jasem uznali, że jest bardzo nieprawdopodobne, by Ramirez był zaskoczony.

- Ateva sobie wyobraża, - Ilisidi w milczeniu skończyła jeść potężną porcję ryby i przyjęła talerz przyprawionych warzyw. - Są z południa. Dostyc je polubiłam.

- Wspaniale podane.

- Czy Mospheira nadal nie dowierza motywom Gildii Pilotów? A może zaniepokoiła się możliwością, że jacyś obcy przegonili Gildię aż tutaj?

- Mercheson-paidhi starała się namówić ich do pełnej współpracy. I zaufania do przywódców Gildii. Szczególnie Ramireza.

- Czy odniosła sukces w tych namowach?

- Niepełny. - Postanowił dać Ilisidi nieco informacji; informacji, które mogłyby ją uspokoić i których posiadania Tabini nie miałyby jej za złe. - Ta delegacja lecąca na górę jest podejrzliwa. Gildia będzie musiała się napracować, by ją przekonać. Nie spodziewali się tak wczesnego lotu.

- A teraz Trent Cope będzie się starał przeprowadzić taki sam szybki rekonesans?

- Nie wiem, czy można to tak określić.

- A oni zabierają Jase'a.

- Właśnie. Jeśli nie uda mi się przekonać Tabiniego, by odwołał rozkaz.

Ilisidi wybuchnęła śmiechem, bardzo niegrzecznym śmiechem. W ten sposób wyrażała swoje zdanie co do prawdopodobieństwa, że Tabini się wycofa.

Bren wciąż próbował. Jeśli potrafi pozyskać Ilisidi, będzie jego sojuszniczką.

- 'Sidi-ji, Gildia Pilotów byłaby głupia, gdyby obraziła aijiego albo dawała fory mospheiranom. Przyroda umieściła środki w rękach Tabiniego.

- Przyroda - prychnęła Ilisidi.

- W pewnym sensie - poprawił się Bren. - Ale oni już wiedzą, że od mospheiran mogą dostać tylko robotników, którzy mówią ich językiem. To znaczne środki. Nie pojmują jednak, że bliskie kontakty atevich i ludzi są niebezpieczne. Ostrzeżliśmy ich. Wciąż tego nie pojmują, bo jest to sprzeczne z doświadczeniem. Osoby żyjące razem przez długi czas powinny zbliżyć się do siebie, a nie wzbudzać w sobie złość.

- Gildia początkowo opowiadała się za respektowaniem praw atevich.

- Właśnie. Teraz jednak są zdesperowani. Jako człowiek, nand' wdowo, i wypowiadając się z całym zrozumieniem sytuacji, sądzę, że ta desperacja jest prawdziwa i że z jej powodu będą się bać atevich mniej, niż powinni, lub słuchać mospheiran, którzy mogą nie być dobrze poinformowanymi mospheiranami. Przede wszystkim wiem, że Jase zna prawdę; to ważne, by go wysłuchali, ale jeśli sprowadzą go na górę, gdzie nie ma bieżącego dostępu do informacji, nam zostanie Cope, który wymiotuje i który nie wydaje mi się sympatyczny; oraz jakiś drugi obcy, którego zamierzają zrzucić między nas, co mi się nie podobą. Są te obce istoty. Istnieje niebezpieczeństwo. W tej prawdzie mogą być pewne niedomówienia, ale nie mieszkałem trzech lat z Jasonem, nie wiedząc, że jest dla nas cenniejszy, niż mu się wydaje. Jeśli możesz wstawić się u aijiego, zrób to, proszę.

- Jason nas nie okłamywał. Na tym wszystko spoczywa.

Bren przełknął kęs, który okazał się nieco za duży, i spokojnie się napił, by naprawić błąd, starając się nie okazać zdenerwowania. Mogą wygrać. Naprawdę mogą wygrać.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

- Naprawdę? - Ilisidi zastukała mocno knykciami w stół, aż zatrzęsł się płyn w kieliszkach i zadzwonił lód w dzbanku. - Naprawdę nie masz?

Bren nie uzbroidł się przeciwko jej wszelkim możliwym taktynom. Część z nich wciąż była skuteczna, a ta mogła wstrząsnąć niektórymi pewnikami atevich.

Mimo to bardzo zastanowił się nad tym, jak wiele zależy od prawdomówności Jasona: ile ich informacji pochodziło od niego; jak całkowicie potwierdzała je paidhi na wyspie, ale w tym wszystkim... w tym wszystkim zaufanie odgrywało wielką rolę.

- Nand' wdowo - rzekł spokojnie - zadaję sobie to pytanie od trzech lat, tak jak zadawałem je sobie na początku. Wiem, że powierzyłbym mu swoje życie. Lecz odpowiedzialność, jaka spoczywa na mnie względem aijiego i patronatu, nakazująca mi być pewnym prawdy, nie pozwala wierzyć we wszystko bez zastrzeżeń.

- A ta Mercheson-paidhi, której przynależności patronackiej nie znasz w pełni?

- Właśnie.

- Sądziłabym, że w kwestii zaufania i potwierdzeń człowiek mógłby dać bardziej wyrafinowaną odpowiedź.

- Moja własna matka należy do patronatów, których dogłębnie nie znam, więc o pewnych rzeczach jej nie mówię. Man'chi nie ma tu zastosowania, ale pojawianie się plotek w nieodpowiednich miejscach to powszechny problem.

Ilisidi roześmiała się tym swoim krótkim, ostrym śmiechem, który świadczył, że ktoś jednak czymś ją zaskoczył.

- Podobnie mój wnuk utrzymuje wątpliwe patronaty - rzekła Ilisidi. - Tatiseigi z Atigeinich wciąż jest niespokojny. Paidhi-ji, ty nigdy nie traćisz rozeznania.

- Cenię dobre zdanie wdowy. - Boże, czy darowani służący w jego własnym domu informowali, choćby pośrednio, aiji-wdowę, jak, o czym dobrze wiedział,

nawet Banichi i Jago informowali Tabiniego? - Mam nadzieję wciąż na nie zasługiwać.

- Czy twoja kochliwa strażniczka to jedna z tych spraw, o których nie wspominasz matce?

Bren zaczerwienił się. Wiedział o tym, że Ilisidi od pierwszej nocy była wtajemniczona w tę romantyczną intrygę.

- Staram się tego nie robić.

- Oszukiwać własną matkę. - Zniknął jeden z owoców. Ilisidi odłożyła sztuciec i wsparła wąski podbródek na swej starczej, zwiniętej w pięść, dłoni. W złocistych oczach, otoczonych zmarszczkami, odbijało się światło. - Rozumiem więc, że nadal byłaby przeciwna. Z drugiej strony... czy ona zachowuje celibat? A może nic by ci nie powiedziała?

Jego matka? Był wstrząśnięty myślą, że... nie, nie powiedziałyby mu. Była całkowicie odizolowana, całkowicie odcięta od związków poza rodziną, chyba żeby wziąć pod uwagę Barb. Przeprowadziła separację z ojcem Brena i Toby'ego i, o ile wiedział, nigdy w życiu nie miała innego mężczyzny. Był to już dość długi okres bez zewnętrznych związków, ale, szczerze mówiąc, nie, Bren nie wiedział, co robiła jego matka, kiedy wyjeżdżał z miasta.

Ilisidi roześmiała się lubieżnie; czerpała złośliwą radość ze swojej wciąż aktywnej seksualności, w której, czego Bren był stosunkowo pewien, jakąś rolę odgrywał Cenedi. Nigdy nie rozumiał tej sfery atewskich uczuć. Cechowali się wielką rezerwą w sprawach związków poza patronatem i denerwującym brakiem rezerwy słownej w ramach patronatu - a Bren sądził, że po prostu nie ma odpowiedniego okablowania, by zrozumieć, z czego śmieje się wdowa; fakt ten na pewno czynił dowcip jeszcze śmieszniejszym.

- Twoja twarz przybiera interesujący kolor - rzekła.

- Jestem tego pewien. - Nauczyła się znaczenia rumieńca, ale przez te wszystkie lata ich związku Bren niezupełnie doszedł, kiedy dokładnie jego skrępowanie oczarowuje i zarazem bawi wdowę. Bóg jeden wiedział, że z 'Sidi-ji istniały o wiele bardziej niebezpieczne stosunki. A Bren zawsze przystępował do gry... i zdobywał pomoc Ilisidi, czasami w bardzo niesprzyjających okolicznościach.

- A więc - powiedziała wdowa - czy jesteś przy matce skrępowany związkiem z Jago?

- Moja matka o wiele bardziej by wolała, żebym poślubił moją byłą kochankę, która wciąż zabiega o jej względy.

Na cienkich wargach wdowy zagościł na chwilę krzywy uśmiezek. Po chwili odezwała się:

- A. Barb. Czy twój brat wyraża jakieś zdanie?

- Ma bardzo wysokie mniemanie o moim personelu. - Ogromnie ich lubił, ale nie istniało takie atewskie słowo. - Jestem przekonany o jego lojalności.

- Ha. - Ilisidi była zachwycona. - Pytał o szczegóły?

Bren zaczerwienił się ponownie, na pewno wywołując tym zadowolenie wdowy.

- Tylko bardzo ogólnie, 'Sidi-ji, a ja nie wyjawiałem żadnych szczegółów.

- Jakiż szarmancki kochanek.

Nie wiedział, na jakiej podstawie ani w czyim imieniu właśnie został wybadany, ale znalazł się w beznadziejnej sytuacji na niepewnym gruncie i w końcu podjął polityczne ryzyko.

- Nigdy bym cię nie okłamał, 'Sidi-ji. I bardzo potrzebuję twojej pomocy.

Uśmiechnęła się. Po prostu się uśmiechnęła.

- Witaj w domu - powiedziała i skrzywiła się, może od ukłucia nękającego ją artretyzmu. - Kolacja zjedzona. Tym starym kościom należy się odpoczynek. Nie znoszę starości.

Nie zamierzała powiedzieć ani słowa o Jasonie. A kiedy osoba o wyższym statusie postanawiała zarzucić jakiś temat, nadchodziła pora przerwy, zostawienia sprawy jej własnemu biegowi.

- Opuszczę cię zatem - rzekł cicho Bren - i dam ci spokój. Stale mam na względzie twój odpoczynek i dobre samopoczucie, nand' wdowo. Jeśli jednak zechcesz, bym został, zostanę.

- Och, pochlebco. - Szczupłe palce odpędziły go od stołu. - Idź. Wynocha.

- Nand' wdowo. - Wstał i z jej pozwoleniem skierował się do drzwi, odprowadzany przez służących, a także Cenediego, który zaprowadził go do foyer, gdzie czekali Banichi i Jago.

- Jak ona się czuje? - ośmielił się zapytać Cenediego. Znajac wiek wdowy, naprawdę się martwił. Nigdy nie wiedział... nigdy nie wiedział, czy zainterweniuje.

- Jak zawsze - odparł Cenedi, sam już nie młodzieniaszek, ale równie niezmordowany jak Ilisidi.

- A Jasi-ji? - Bren ani trochę nie liczył, że Cenedi zdradzi coś, co przekazano mu w zaufaniu; wiedział, że pytaniem ryzykuje obrazę, ale Cenedi mógł mu przekazać wiadomość, której wyjawienie byłoby poniżej godności wdowy.

- Był tutaj - odparł ateva - a teraz znajduje się poza strefą naszej ochrony, paidhi-ji. Nie możemy do niego dotrzeć. Jesteśmy zatroskani.

- Ja też - odrzekł, nie otrzymawszy odpowiedzi. - Ale nie z powodu motywów Jase'a. - Przekazał to słowo Ilisidi pod stołem; wdowa prawdopodobnie zapyta Cenediego, czy Bren coś powiedział. Wyszedł z Banichim i Jago do holu wyłożonego marmurem, z antycznym jedwabnym dywanem, rzeźbionymi stolikami i bezcenną porcelaną.

Bren westchnął głęboko, stwierdziwszy, że wódka złagodziła wymowę tego dnia; nabrał przynajmniej dystansu do niemiłych spotkań. Jeśli jednak nie uda mu się dotrzeć do Tabiniego, to wróci do ośrodka kosmicznego i dotrzyma obywatelniczy... tej nocy sen był mało prawdopodobny.

- Bren-ji - odezwał się do niego po drodze Banichi. - Aiji właśnie poprosił, byś się u niego stawił.

Ma swoją audiencję. Być może Cenedi posłał wiadomość; uznał, że może Banichi poprosił aijiego.

Ale było równie możliwe, że Tabini ma własne plany i zaczekał na zakończenie tej kolacji, wiedząc, że Ilisidi go zaprosiła.

Albo może istniała jakaś zмова. To też było możliwe.

Aiji wzywał. Bez dwóch zdań Bren musiał przyjąć to zaproszenie.

4

Eidi, przełożony służby aijiego, wpuścił ich do jego historycznej siedziby, czemu towarzyszył minimalny ceremoniał, a Banichi i Jago, którzy znali ten teren i doskonale znali personel, tuż po przekroczeniu progu równie gładko skręcili w bok i zniknęli na posterunku ochrony, na co, jak teraz Bren już wiedział, pozwolono by nielicznym - Banichi i Jago wywodzili się z tego personelu i zachowali swe powiązania.

Technicznie rzecz biorąc, i on kiedyś należał do personelu aijiego, i jeśli chodzi o feudalną lojalność, technicznie wciąż tak było. Jak Bren omawiał to kiedyś z Ilisidi, każdy inny pan w Patronacie mógł mieć uboczne powiązania man'chi, ale nie on, i jego przyjęcie w ciągu tych kilku lat zmieniło się bardzo niewiele. Eidi przyniósł mu krzesło do bocznego pokoiku i wyczarował filiżankę herbaty, bardzo mile widzianą po wódce Ilisidi. Bren saczył ją, a tymczasem Eidi poszedł powiadomić aijiego, że przybył wezwany gość.

Przez całe foyer przetoczyła się fala ruchu i dotarła do drzwi. Bren wstał.

Tabini, wciąż ubrany w dworski strój - herbową czerń i czerwień - wszedł do pokoiku i machnięciem ręki pozwolił Brenowi usiąść.

- I cóż, Bren-ji? Jak się miewa babka?

- Z tego, co widziałem, doskonale. Narzeka na swój wiek.

- Ach, tak. - Tabini usiadł na krześle. Był młodym mężczyzną: aiji i paidhi-aiji, główny tłumacz, obaj byli młodzi. W pewnym sensie razem zrobili karierę, razem przetrwali fale, które próbowały wyrzucić cywilizację z powrotem na znane brzegi. - Błyskawiczny lot z głębi kraju, a uskarża się na artretyzm. Sącz herbatę, czuj się swobodnie. Ja nie mam ochoty na nic do picia. Jak udała się podróż na wyspę?

Rządy i teorie rządowe padały; oni, aiji i paidhi-aiji stali. Na Mospheirze, za jego plecami, utworzyła się przedziwna koalicja jak dotąd marginalnych mniejszości, których nie łączyło nic poza nienawiścią do konserwatystów i strachem przed wojną; natomiast aiji zebrał swoich byłych przeciwników, najbardziej błękitnokrwistą arystokrację Patronatu, by pokonać założeń konserwatystów i włączyć atevich do działań kosmicznych.

- Jak się wie Mospheirze? - zapytał Tabini.

- Jak zwykle. Zawsze jak zwykle. - Przyszło mu do głowy, by powiedzieć: "Zaskoczyłeś mnie jak diabli tym wpuszczeniem czworga ludzi do ośrodka kosmicznego". "Zdenerwowałem się jak diabli, że wypuściłeś Jase'a" popchnęłoby sprawę, ale Bren pozwolił Tabiniemu działać we własnym tempie.

- Nowy paidhi został przyjęty?

- Nie ma uprzejmego wyboru. Nie czują się urażeni wycofaniem Mercheson, ale nie są zadowoleni i zastanawiają się, co powie.

- Ponieważ usiłowali ją zabić, prawdopodobnie zrobi nie całkiem pozytywne sprawozdanie.

- Ale odwołać ją... Mospheiranie akceptują to jako prawo Gildii do dysponowania swoim przedstawicielem. Rozmawiałem z Shawnem Tyersem. I z delegatami w samolocie. Byli zaskoczeni, że wydałeś im wizę, aiji-ma.

- Tak? A spotkanie z Jase'm?

- Rozmawialiśmy dłuższą chwilę. - Nie dopuszczał cienia emocji do głosu, do mimiki. - Radzę aijiemu, by go nie odsyłał.

- Więc kiedy mamy go wysłać?

Wyzwanie, by Bren odpowiedział.

- Kiedy polecą drugi prom - odparł. - Potrzebuję Jase'a.

- A jeśli powiem, że polecą zgodnie z żądaniem Ramirez-aijiego?

- To polecą, aiji-ma. Ale wtedy będę chciał wrócić do ośrodka kosmicznego. Byłem, oczywiście, zaskoczony. Spędziliśmy czas na wspominkach. Obawiam się, że nie zapytałem o sprawy, o które powinienem zapytać. Nie jestem gotowy do utraty tego człowieka...

- A o co chciałbyś zapytać?

- Głównie, o co, zdaniem Jase'a, poproszą za chwilę. Nie sądzi, by pozwolili mu rychło tu wrócić. Uważam to za niepokojące. - Nie była to odmowa, jeszcze nie. Wciąż miał nadzieję na wymyślenie jakiegoś planu. - Mógłby się lekko rozchorować. Prom obraca w sześć tygodni. To dałoby nam czas, aiji-ma.

- Czas. A Trent Cope? Czy wyzdrowiał?

- Jase nie darzy go przychylnością. Ja też nie. Chociaż bardzo trudno być wylewnym, jeśli ma się świadomość, że jest się pod działaniem środków uśmierających.

- Zrozumiałe. Ma wszystkie dolegliwości fizyczne Jasona?

- Poruszanie się nocą rzeczywiście okazało się lepsze.

- A u ciebie w domu? Dobrze?

- Bardzo dobrze, aiji-ma.

- A prezydent Durant?

Boże, co to takiego? Jakiś katalog?

- Bardzo dobrze. Sam przedstawiłem Trent-paidhiego, chociaż Trent-paidhi był lekko niedysponowany i natychmiast udał się do pokoju bez okien.

Prezydent pytał uprzejmie o twoje zdrowie, aiji-ma, i prosił przekazać pozdrowienia tobie oraz pani Damiri.

Te słowa nie wywołały żadnej reakcji. Tabini, nawet siedzący, olbrzymi dorosły ateva o normalnym wzroście, był potężną osobą: wykorzystywał wszelkie okazje, a poza tym badał każdą ciekawostkę i interesował się techniką. Jego złociste oczy były blade do stopnia złej wróżby, a drapieżny wyraz twarzy ateva przybierał bezwiednie. Być może w całej historii Patronatu Zachodniego nie było tak postępowego i oświeconego władcy jak Tabini. Ale jego bezpośrednie, nieruchome spojrzenie deprymowało jego przeciwników.

- Ta delegacja cię zaskoczyła, paidhi-ji?

- Całkowicie. Wiedziałem, że od roku szkoła taką grupę do lotu. Wiedziałem, że gdy tylko prom będzie miał oficjalny plan lotów, pojawi się prośba. Donosiłem o tym, aiji-ma, na pewno donosiłem.

- Owszem, nand' paidhi. Z pewnością w sprawie tej delegacji nie obarczam cię żadną winą; przeciwnie, skontaktowałem się bezpośrednio z Tyersem i zaproponowałem tę misję.

Bez tłumaczenia? To niemożliwe. Ktoś pośredniczył. Ktoś wiedział, co się dzieje. On, do cholery, na pewno nie.

Żadnego badania sprawy, żadnej komisji czy wahania. Łup! Stempelek, pieczęć, zgoda i zespół nagle ma wizę; wykorzystajcie ją, bo...

W tej samej sekundzie usłyszeli pod drzwiami kroki, szelest materiału, a do nozdrzy, od kilku dni atakowanych przez mospheirskie zapachy, dobiegła lekka woń przypraw. Do pokoju weszła pani Damiri; Bren wstał z szacunkiem, a żona Tabiniego usiadła na pięknym krześle stojącym obok niego.

- Będzie cię nam brakować, paidhi-ji - rzekła Damiri.

Brakować? - pomyślał wstrząśnięty Bren, a Tabini sprawiał wrażenie zirytowanego.

- Miłości mego życia - zaczął.

- Och, nie powiedziałaś mu.

- Nie, nie powiedziałem, daja-ma. Bren, nadi, posłałem Jase'a Grahama do ośrodka kosmicznego z takim pośpiechem nie bez powodu. Twoje rzeczy są już spakowane.

Kiedy był w apartamencie wdowy? W ciągu dwóch godzin?

- A dokąd jadę, aiji-ma?

Może do posiadłości Ilisidi w Malguri. Może stąd się wzięło jej zaproszenie - jest gdzieś potrzebny, może jakieś kolejne powstanie, jakieś dalsze trudności z antykosmicznymi konserwatystami. Już dwa razy przerwano go w rejon politycznego napięcia, przy zachowaniu najwyższych środków ostrożności i prawie bez uprzedzenia.

- Czy pochwalasz, paidhi-ji, tę misję przedstawicieli na stację? Czy są to osoby możliwe do przyjęcia?

- Dwoje tłumaczy z Biura Spraw Zagranicznych, Feldman i Shugart, to ludzie Shawna Tyersa albo Podesty. To ona kieruje teraz Biurem. To doradcy, bardzo nisko postawieni. Pozostałej dwójki nie znam. Jedna osoba pochodzi z Biura Handlu. Każdy z tego biura budzi mój niepokój. To stara baza George'a Barrulina.

- Tłumacze ragi - powiedział z namysłem Tabini. - W misji na stację kosmiczną.

- Świadomość niuansów i okoliczności czyni z nich cennych obserwatorów. Rozumiem, dlaczego Tyers ich wysyła... wiem, dlaczego zespół został dobrany w ten sposób. - Czwórka. Niepomyślna czwórka, pomyślał. To nie była dobra liczba. Musiał funkcjonować mospheirską połową swego mózgu, że od razu tego nie dostrzegł.

Ale leci też Jase. Zestaw złożony z pięciu elementów.

- Czego się obawia Jase? - zapytał Tabini. - Nie wyrażał przy mnie żadnych obaw.

- Nie zrobiłby tego - rzekł Bren. - On cię szanuje. Wie, że nie ma odwrotu. A ja wciąż proszę, aiji-ma, byś go jeszcze nie wysyłał. Następnym lo-

tem. Nie tym. Zrozumieją... nie będą się spodziewać, że spełnisz ich prośbę. Człowiek by zwlekał.

Tabini miał kwaśną minę.

- Zwlekać, kiedy nadchodzą ci obcy.

- To ludzkie, aiji-ma. A ja go potrzebuję. Nie będą się sprzeciwiać.

Nie obrażą się.

- W tym dodatkowym czasie... co byś zyskał?

- Pytania. Kolejne pytania.

- A trzy lata nie wystarczyły?

Bardzo dobre pytanie... nie mógł na nie odpowiedzieć - jedynie to, że żaden z nich nie jest na to gotów.

- Jase chce zobaczyć swój statek; poza tym wie, że stał się dla nich cennym doradcą.

- Tak jak dla ciebie.

- Tak jak dla mnie - przyznał Bren.

- Polecą, doradzi swoim pobratymcom i wróci.

- Mało prawdopodobne. Nie mają powodu, by pozwolić mu wrócić.

- Wyśle osobistą prośbę o jego powrót.

- Obawiam się, że twoja prośba nie sprowadzi go z powrotem, aiji-ma.

Nie od Gildii.

- Czy Jase pozostanie przychylnie nastawiony do nas? Czy będzie później chciał tego samego, czego chce teraz?

- Będzie czuł przywiązanie emocjonalne. Wpasuje się do dawnych patronatów.

- A ta misja z wyspy? Czy znajdzie coś znajomego? Czy będzie posłuszna Gildii Pilotów? A może się jej przeciwstawi?

- Nie wiem. Zastaną tam kontekst emocjonalny. Miejsca historyczne wywierają wpływ.

- "Naojai-tu" - odezwała się cicho Damiri - nand' paidhi.

- Coś w tym stylu - odparł Bren. Dramaty machimi stanowiły zebraną mądrość ateńskiej historii, kulturę Patronatu Zachodniego. W "Naojai-tu" pewna cyniczna kobieta staje w obliczu pamiątek, które uważała za zaginione i nieważne... i które wywarły na nią w danych okolicznościach taki wpływ, że zwróciła się przeciwko swemu kochankowi. Tak, Bren znał tę sztukę i jej zakończenie. Nieprzewidziany patronat, nieprzewidziana reakcja emocjonalna, nieprzewidziane związki urzeczywistnione w niszczyielski sposób.

A kiedy dochodziło się do analizowania emocjonalnego efektu, jaki może wyrzucić na grupie ludzi widok stacji, z której wywodzili się ich przodkowie - albo uczuć, jakich zazna Jason, znów stając twarzą w twarz ze swoimi krewnymi - tak, atevi rzeczywiście potrafili to zrozumieć. Czasami ludzie rzucali się w tym samym kierunku co zaskoczeni atevi.

Ale nie można zakładać, że taką reakcję wywołają te same powody. Albo że wynik będzie ten sam.

- A jak zareagował na tę misję Jase? - zapytał Tabini.

- Nie spotkał się z nimi od razu. Miał chwilę, by zobaczyć się ze mną; wybrał właśnie to. Spotkaliśmy się, porozmawialiśmy, a ja zapomniałem zadać mu kilka pytań. On też mnie o nic nie pytał. Chyba na pewnym poziomie wiedzieliśmy, że nasze man'chi, by tak rzec, rozdzieli się. Kiedy wróci, jego aijim będzie tylko Ramirez. Tak więc powspominaliśmy i pożegnaliśmy się.

Tabini słuchał uważnie.

- To bardzo smutne - rzekła Damiri-daja.

- Ufasz intencjom prezydenta? - zapytał Tabini. - I Ramireza?

Nie. "Czy prezydent Mospheiry kłamie?" - to byłoby jedno pytanie. A drugie: "Czy mu ufasz, i czy ufasz Tyersowi, a także głównemu kapitanowi statkowych ludzi?".

- Aiji-ma, to ta sama historia: mospheiranie chcą spokojnie żyć i niczym się nie martwić. Przywódca, który sprowadza na nich zmartwienia, nie cieszy się popularnością. Teraz pamiętają, że Partia Dziedzictwa o mały włos

nie doprowadziła ich do wojny. Przez statkowych ludzi martwią się też możliwością istnienia nieprzyjaźnie nastawionych obcych. Woleliby o tym nie myśleć. Więc nie będą tego robić. Wszystko, czego dowiedzą się członkowie misji, zrobi początkowo furorę... a potem straci zainteresowanie. Prezydent i konserwatyści nie nadadzą temu żadnego rozgłosu, chyba że powstanie bezpośrednie, bliskie zagrożenie. Nie ma dla takich spraw energii, nie tak szybko po tym, jak ludzie wyrzucili konserwatystów z rządu.

Tabini uśmiechnął się. Była to z pewnością skrócona wersja polityki Mospheiry, ale charakteryzowała ona bardzo podobne emocje panujące na kontynencie, i Bren doskonale o tym wiedział. Nigdy nie należy niepokoić centralnej części Patronatu ani denerwować wuja Tatiseigiego... czy pana Geigiego.

- Powiniennem kiedyś spotkać się z prezydentem Mospheiry - rzekł Tabini, sugerując, że będzie miał liczne bóleczki, wspólne z Hamptonem Durantem. - Mamy zatem brać udział w tych machinacjach w gustownym milczeniu? Czy może obudzimy oba narody ze snu?

- Tylko po to, by powiedzieć im, że znaleźliśmy dobre rozwiązanie, aiji-ma.

- Dlatego poprosiłem, by ta misja udała się z Jasem. Teraz jest nasz czas; może tak nie być, jeśli jego rozkład zaczną dyktować ci odlegli obcy. Dlatego, paidhi-ji, wysyłam cię na stację.

Mój Boże - pomyślał Bren. - Nie. Nie mogę.

Marzeniem jego życia było zostać świadkiem tego, jak rusza program kosmiczny. To, że "Shai-shan" okazał się jego dziełem... Pół roku temu Bren stał z boku pasa startowego i obserwował pierwszy lot promu, patrzył, jak staje się lśnieniem na niebie, kropką, wspomnieniem i nadzieją. Kiedy dwa tygodnie później stał na tym samym pasie i patrzył, jak "Shai-shan" ładuje łatwiej od samolotów - Boże, szlochał.

Ale polecieć samemu? To nie dla niego.

Stwierdził, że na jego twarz nie odmalowała się żadna reakcja. Jak jego poprzednik, Wilson, który zapomniał, jak sobie radzić z ludzkimi emocjami, Bren przestał reagować.

- Aiji-ma - odezwał się cicho, godząc się ze swoim losem - tym lotem?

- Tym lotem - odparł Tabini. I człowiek nie mógł powiedzieć: "Ale moje sprawy, moje rzeczy, obowiązki, personel". Człowiek słuchał. - Aby tam zostać, dopóki ich nie zrozumiesz, a potem wrócić do mnie. Swoje inne obowiązki możesz wypełniać przez radio, prawda? A twój personel jest na tyle sprawny, by pracować bez ciebie, przynajmniej w kwestiach handlowych. Sprawy dyplomatyczne związane z Gildią Pilotów mają pierwszeństwo, do czasu zawarcia umowy dotyczącej naszej stacji.

"Naszej stacji". Takie jest stanowisko Tabiniego. Ludzie ją zbudowali, Mospheira nie chciała jej utrzymywać, ale i nie chciała stracić. Atevi nie byli historycznie zadowoleni z jej obecności, nie chcieli, by władali nią mospheiranie, a teraz Tabini chciał objąć nad nią władzę.

Bren nie wyjawiał dokładnie tego stanowiska Mospheirze, ale Jase je znał.

"Zdobądź mi słońce i księżyc, paidhi-ji. I dorzuć jeszcze dobrą wolę Gildii Pilotów".

Wszystko jest w ruchu. Wszystko było w ruchu, zanim jeszcze jego samolot dotknął pasa startowego. Wszystko zostało wprawione w ruch, podczas tych pięciu dni izolacji i odcięcia od informacji, spędzonych na Mospheirze. Tabini zaczął to planować w dniu, w którym statek wezwał do siebie Yolandę Mercheson; wezwali Jasona w przeddzień startu promu, spodziewając się zażartego sporu, a Tabini po prostu się zgodził, na całej linii.

Statkowi ludzie chcą, żeby program rozwijał się szybciej?

No to zaraz znacznie rozwijać się szybciej.

- Musisz uważać na siebie - rzekła Damiri-daja.

- Tak, daja-ma.

- Pilnuj się - powiedział Tabini z niezwykłą zawziętością. - Jeśli przydarzy ci się jakieś nieszczęście, twoja ochrona może do mnie nie wracać.

A więc Banichi i Jago lecą razem z nim.

Nikt jednak także ich nie pytał o zdanie. A co zostało poświęcone z ładunku, by dodać troje następnych pasażerów z bagażem - Boże, bagaże! - Bren nie miał pojęcia. Wszystko... wszystkie pakiety naukowe, wszystkie badania materiałów...

Gdzie to wszystko stoi?

Co oni zabierają ze sobą?

Co on, do diabła, ma zrobić, by doprowadzić do ziszczenia się tego cudu?

- Będę pracował z Jasem - powiedział Bren do Tabiniego.

- Jeśli okaże się krnąbrny, wracaj.

- Tak, aiji-ma.

- Koniecznie - rzekł Tabini i wstał. Damiri-daja też wstała. Bren poszedł w ich ślady.

Kiedy się kłaniał, oboje wyszli.

Przez chwilę stał na środku ozdobnego dywanu, obok historycznych krzesel. Uszło z niego całe ciepło.

On go zbudował. Teraz nim poleci. Poleci z Jasem, który właśnie wrócił pod rozkazy kapitana. Jeśli Jase wybierze tę drogę... a chyba powinien; prawdopodobnie kapitanowie nie zauważą, że ludzie, którzy mają kontakty z atevimi, stają się bardzo dziwni.

No dobrze, powiedział sobie Bren, zaczerpnął głęboko tchu i wyszedł, nie zapominając o grzeczności należnej Eidiemu, tak opanowany, jakby właśnie nie dowiedział się, że poleci na orbitę, by zwędzić drobne z kieszeni Gildii Pilotów.

Organizacji, którą jego pobratymcy na Mospheirze uważają za diabła wcielonego.

Czy jakoś, gdzieś, zapomniał przekazać to Tabinemu?

A Tabini rozmawiał z Shawnem?

Bren ruszył swobodnym krokiem w stronę foyer, gdzie dołączyła do niego eskorta.

- Nadiin - rzekł po prostu, żegnając się z ochroną Tabiniego. - Nadiin-ji - dodał ciepłej do osób, które znał, i wyszedł przez ciężkie drzwi w towarzystwie własnych ochroniarzy.

Jego zdaniem wiedzieli, że coś się dzieje, zanim jeszcze odebrali go z lotniska. Mogli nie wiedzieć, dokąd się udaje, ale wiedzieli, że będą mu towarzyszyć, i z rozkazu ajiiego mieli pozwolić mu przejść przez ten długi wieczór kolacji i rozmów...

Podczas gdy jego rzeczy osobiste były niewatpliwie pakowane, przewożone, pilnowane...

Szli korytarzem obstawionym antykami, obserwowani przez setkę ukrytych obserwatorów, elektronikę, urządzenia szpiegowskie, całą otoczkę żelaznorękiego władcy światowej cywilizacji... który właściwie nigdzie się nie ruszał, tak by Bren o tym nie wiedział.

- No cóż - powiedział do Banichiego i Jago, nie oskarżycielsko, lecz by upewnić się, że zrobił co trzeba - nie byliście zaskoczeni.

- Nandi - odparła cicho Jago. - Być wysłanym na stację? Byliśmy zaskoczeni celem podróży, nie faktem, że wyruszymy.

- Nand' Jase nie wie.

Zastanawiał się nad tym, podchodząc do windy.

- Będzie wstrząśnięty.

Jak diabli, pomyślał.

- Myślę, że tak - rzekł Banichi.

Zatrzymali się przy windzie. Bren nagle uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, który guzik wcisnąć. Czy ma jechać do swojego apartamentu, czy na dół, do pociągu.

- Personel się spakował?
- Kiedy byłeś na kolacji - odparł Banichi.
- Tano i Algini lecą - oznajmiła Jago i wcisnęła guzik oznaczający najniższy poziom. A jednak pociąg. - Podobnie Nara-ni, Sabiso, Kandana i Bindanda.

- Bindanda.

Jeden z atevich Tatiseigiego. Myśli Brena poszybowały nagle innym torem, zajmując się długim związkiem Ilisidi z Tatiseigim, sporadycznym przeciwstawianiem się Tatiseigiego Tabiniemu oraz prawdopodobieństwem, że przed nim w sprawę został wtajemniczony co najmniej jeden element Patronatu.

Bindanda, cichy, uprzejmy szpieg.

Czworo ochroniarzy wokół piątej osoby. Wokół niego. Ze służącymi dziewięcioro. Bardzo pomyślna liczba: zalecali ją wyznawcy liczb, w harmonii z ośrodkiem kosmicznym i promem.

Człowiek zastanawiał się, jak ta liczba pasuje do stacji i Gildii.

- Narani jest dość stary jak na takie przeżycia - zauważył Bren, kiedy podjechała kabina.

- Zaklina się, że jego zdrowie to wytrzyma. Za twoim pozwoleniem, powierzył opiekę nad apartamentem Tagiemu, a na jego miejsce w nadmorskiej posiadłości, nandi, przeniósł Edoro.

Ciepło nie wróciło mu jeszcze do rąk. Wszedł do windy.

Nie miał najwygodniejszego ubrania; jechał tak, jak stał.

Razem z Jasem poczynili duże przygotowania do stworzenia na stacji atewskiej rezydencji. Były bagaże. Był sprzęt.

- Czy zajmujemy miejsce całego ładunku? - zapytał Bren.

- Ateva tak sądzi - odparł Banichi.

Bren nie miał pojęcia, co powie Jase'owi.

5

I znów w pociągu jadącym w przeciwnym kierunku. Drogę akcentowało stukanie kół na szynach i szum powietrza, kiedy wagon jechał na przemian szerokimi i wąskimi fragmentami tunelu.

Bren siedział z Banichim i Jago, pewien, że jego bagaże z samolotu pojawią się prędzej czy później, przynajmniej najpotrzebniejsze rzeczy. Pojawi się komputer. Był tego całkowicie pewien.

- Czy wdowa wiedziała? - zapytał, przerywając ciszę.

- Sądzę, że załatwiła swój lot w wielkim pośpiechu - odparł Banichi. - Nie wiemy nic więcej.

Bindanda znajdował się w liczbie lecących. Jeśli Tabini oszukał swoją straszną babkę, to takie oszustwo znaczyłoby, że w Patronacie dzieją się bardzo niezdrowe rzeczy. Tatiseigi zawsze był niepewnym sprzymierzeńcem.

- Człowiek jest zaszczycony - powiedział Bren, myśląc o wdowie i kolacji. - Cieszę się, że przyleciała.

Jago uniosła brew.

- Nic nam nie wiadomo, by załatwiła sobie lot powrotny - rzekła.

Mogła postanowić zostać i stać się cierniem w boku Tabiniego, a przynajmniej tak by twierdził Tabini.

Było jednak godne uwagi, jak ten pozornie podzielony ród potrafił zwrzeć szyki w sytuacji krytycznej. Przekonało się o tym wielu wrogów ai-jiego.

Ilisidi przyjechała osobiście i przywiozła swoją ochronę; czas jej pobytu na pewno wypełnią dywagacje wśród panów: Czego dowie się paidhi? Na co zgodzi się Tabini? Jakie będą stosunki z Mospheirą?... Takie rozważania nastąpią po odlocie Brena w kosmos.

Boże, nie chciał myśleć o locie. Przetrzywał obserwowanie startów, nerwowo oglądał lądowania. Przełączanie silników było, jak przysięgali technicy,

cudem bezbłędnym, ale odcinanie zupełnie dobrych silników na kilka mil nad oceanem zawsze wydawało się ryzykowne.

Jakaś część Brena chciała pójść do jedyne go atewskiego lekarza, który zajmował się jego zdrowiem, i poprosić o całkowite znieczulenie. Nie był pewien, czy potrafi to zrobić; strzelano do niego, sam strzelał, uciekał przez góry; lecz przełączanie silników śmiertelnie go przerażało.

Podobnie jak stanięcie przed Jasonem po zakończeniu tej podróży ze słowami: "No, wiesz, jaki potrafi być Tabini. Postanowił wysłać mnie razem z tobą. Przysięgam, że nic nie wiedziałem. A tak przy okazji - przejmujemy stację".

Przepraszam za zamęt, stary przyjacielu.

Wciąż znajdował się w stanie tego psychologicznego zaburzenia, w jakie zwykle wprawiała go podróż na Mospheirę, ta nagła podróż między osoby jego wzrostu, meble jego wielkości, stopnie o wygodnych dla niego wymiarach, język i jedzenie, z którymi się wychowywał; zostawiwszy Jase'a w ośrodku kosmicznym, definitywnie oczyścił płuca z powietrza wyspiarskiej enklawy, umysł z ludzkiego języka, a emocje z ludzkich oczekiwań.

A teraz, w ciszy, jaką grzecznie zachowywała jego ochrona, usiłował wdrożyć się we wszystko to z powrotem. Banichi i Jago, siedzący naprzeciwko niego na siedziskach pokrytych czerwonym aksamitem, stali się dwójgiem olbrzymów o kamiennych twarzach, odzianych w czarną skórę i srebro swojej profesji, olbrzymów o czarnej skórze, czarnych włosach i złocistych oczach...

Znal i rozumiał wzorce i bitwy. Był cenny tutaj, do cholery, jako światowy ekspert od atewsko-ludzkiej płaszczyzny styku. Tę rolę mógłby odegrać ktoś inny... może za rok.

Logicznym kandydatem był Jase. To on powinien być zatrudniony przez Tabiniego. Kiedy Tabini nie próbował wziąć lojalności Jase'a w swoje ręce?

Nagle objawiła mu się ta odpowiedź. Zobaczył, że z punktu widzenia Tabiniego nie zostało to dobrze rozegrane, a Tabini zagrał kartami, jakie mu zostały.

I czym było to spotkanie Jase'a z wdową? Czułym pożegnaniem? Wdowa była niegdyś największą przeciwniczką swego wnuka - w pewnych sprawach; czasami jednak stanowiła niezłomny przekaźnik jego polityki. Czy to był egzamin?

A gdyby Jase go oblał... A może nie został nawet wciągnięty na listę?

- No tak - odezwał się Bren z westchnieniem. - No tak.

Głęboko zakorzeniona panika związana z lotem zajęła miejsce w długiej kolejce, gdzieś za koniecznością porozmawiania z Jasem i świadomością, że on sam należy do Tabiniego oraz że cywilizacja w ogromnej mierze zależy od jego wierności aijemu... bez względu na to, kim jest lub kim się stał Jase.

Nie była to sytuacja, nad którą chciałby się zastanawiać. Jase prawdopodobnie się wścieknie; jeżeli Bren źle poprowadzi sprawę, sytuacja może się pogorszyć.

- Na ile Tabini zaufał wdowie w tej sprawie? - zapytał swoich ochroniarzy.

- Ateva nie ma pewnej wiedzy, nadi - odparł Banichi. - Byliśmy świadomi ruchów; nie wnikaliśmy w działania aijiego.

- Rozumiem - rzekł Bren. Umysł zalały mu bardziej egzotyczne i kosmiczne problemy. - Mospheira bardzo starannie wybrała cztery osoby, żadnego personelu. A ja mam ile? Osiem osób z bagażami? Obawiam się, że to zaniepokoi Mospheirę, nie mówiąc już o delegacji czy stacji. Powinniśmy być na to wyczuleni.

- Paidhi-aiji nie będzie sam sobie robił kolacji - stwierdził Banichi.

- Te sprawy zostały już uzgodnione.

Dokładnie znać ograniczenia czasu i ładunku? Wrodzony dar matematyczny Banichiego znacznie przekraczał atewską normę. W kategoriach ludzkich Banichi byłby geniuszem.

- Z jakiej ilości ładunku zrezygnowano dla nas? - zapytał Bren.

- Wystarczającej, by zapewnić ci bezpieczeństwo i wygodę - odparła Jago.

Mieli przy sobie broń; zawsze ją mieli. Bren obawiał się, że kuchnia nie jest jedyną rzeczą, jaką zabierają ze sobą.

- Nie powiadomiono nas, że nasze kwatery są gotowe - zauważył Bren.

- Czyż ta stacja nie dawała niegdyś schronienia trzystu tysiącom ludzi? I czy nie obliczamy załogi statku na najwyżej dwa i pół tysiąca osób?

- Mają statek - rzekł Banichi. - Mogą mieszkać na nim.

- Załadamy bardzo wygodnych kwater - powiedziała stanowczo Jago - dla pana Patronatu.

A broń? - pomyślał Bren.

- Czy postąpią mądrze - zapytał Banichi - atakując paidhi-aijiego podczas jego pierwszej misji?

- Tak samo bardzo lubią niespodzianki jak wuj Tatiseigi.

- Paidhi jest bardzo wprawnym negocjatorem - stwierdził Banichi z niezachwianą pewnością.

Przejąć kontrolę nad stacją, na litość boską. Będzie musiał znaleźć mocne argumenty. Może mospheiranie i niczego nie chcą, ale nie chcą też, by cokolwiek dostali ich rywale.

Patrząc na bardziej szczegółowe zagadnienia, za główny problem Bren uznał Cope'a i założył, że na razie Gildia poprzestanie na odwołaniu Yolandy. Razem z Jasem założyli, że przetrwanie wszystkiego, co Yolanda ma do powiedzenia, zajmie Gildii sporo czasu. Dlatego Bren całkowicie zaabsorbował się tym drugim żądaniem, tym pomysłem sprowadzenia na górę Jase'a.

Tak jak Tabini. Tabiniemu się to nie podobało - lecz wkroczył nie na ścieżkę oporu, a równorzędnego działania w ich układzie na wespół stworzonych umów.

Człowiek zastanawiał się, na co atevi są kulturowo przygotowani. Dramaty machimi stanowiły przegląd zdrad i oszustw. Zwykłą sztuczką w machimi była próba przemieszczania postaci dla odwrócenia uwagi i osiągnięcia efektu nie podejrzanego nawet przez wszystkich publiczność.

Mercheson nie opierała się rozkazowi. "Czy mamy posłać Mercheson-paidhi?" - zapytał kiedyś Tabini. A Bren i Jase nie przewidzieli takiego posunięcia, nie wyznaczyli granicy. Mercheson też nie.

Teraz więc kapitanowie statku poprosili o więcej, i to w ostatniej chwili. I Tabini zareagował.

Bren nie mógł powiedzieć, żeby rozumiał Gildię Pilotów. To byli ludzie, ale cholernie niepodobni do mospheiran... ani śladu znajomego i denerwującego debatowania czy opóźniania, tak charakterystycznego dla mospheirskiego aparatu politycznego. Kapitanowie statku to autokraci. Pod tym względem rozumieli się z Tabinim lepiej, niż będą w stanie zrozumieć posunięcia mospheiran.

Manewrowanie podwładnymi poprzez granicę grawitacji i odległości nie było łatwe: nie można, jak na przykład w dramatach machimi, zaprosić ważnej postaci na herbatę i podać sztyletów.

Teraz statek miał nagle Jase'a, o którego poprosił, plus garstkę mospheiran, mających własne plany, i, co gorsza, atevich zamiast spodziewanego próbnego ładunku. Bren niemal widział tę sytuację w historycznym kostiumie, wesołych gości na progu z rozwianymi sztandarami: odprawcie nas lub przyjmijcie. Wyciągnijcie miecze albo się układajcie.

Gdyby statek chciał ich zawrócić i odesłać z powrotem, nie przyjmując, to i tak istniało co najmniej dwutygodniowe opóźnienie na przegląd promu. Statek i tak stał przed faktem, że nie może zostawić ich wszystkich na pokładzie promu przez dwa tygodnie, chyba że chciałyby ich wymordować, ponieważ układy podtrzymywania życia nie działałyby tak długo... a nie mógł ich też po prostu zastrzelić, jeśli chciał się rozsądnie układać o tanie dostawy z ziemi.

To statek twierdził, że rozpaczliwie ich potrzebuje, i jak dotąd zachęcał świat do szaleńczego rozwoju techniki i materiałów.

Gildia nie mogła też przejąć promu - piloci nie potrafili latać złożonym statkiem typu ziemia-orbita.

Niech Gildia wyjrzy poza swoje stalowe blanki i sama do tego dojdzie.

Bren odetchnął spokojniej. Spojrzał na dwoje swoich towarzyszy, a także na Tano i Alginiego, stojących na nieco dalszym stanowisku na końcu wagonu, a wszystkie te myśli goniły jedna za drugą w rytm uderzeń kół o połączenia stalowych szyn.

Kiedy pojawił się na swoim stanowisku jako bardzo młody paidhi, zastępujący starego, odchodzącego na emeryturę, urząd paidhiego wciąż usiłował przekonać atevich, że system kontroli ruchu powietrznego nad dużymi społecznościami jest dobrym pomysłem.

Atevi w ciągu dekady przeskoczyli kilka stuleci, podejmując jednolity wysiłek, możliwy tylko dzięki Patronatowi Zachodniemu i potędze, jaką Tabini-aiji mógł rzucić do akcji jednym machnięciem ręki. Mospheira nazywała to autokracją i na powierzchni była to prawda, ale tylko wtedy, kiedy cofnęło się bardzo daleko od działań rządu oraz legislatury i spojrzało ludzkim wzrokiem. Atevi mieli komisje.

Boże, atevi mieli komisje. Pan Brominandi potrafiłby uśpić drzewo.

Komisje nie debatowały jednak nad tym, za co płacił aijsi z własnej kieszeni. A każdy podpatronat na kontynencie chciał dostać kawałek budżetu oraz dostęp do nowych materiałów i technologii. Przekazywanie projektów z archiwum statku spowodowało szaleńczy wybuch inwestycji przemysłowych, ponieważ nie było najmniejszych wątpliwości, że świat się zmieni.

Tabini stoczył wówczas kilka obowiązkowych potyczek, doprowadzając je do granicy wojny, lecz nigdy jej nie przekraczając.

Zabrać kuchnię? A właśnie, że ją, do cholery, wezmą. Zabrać ochronę, służących, personel - nie jeździli z nim na Mospheirę z mocy traktatu, utrzymującego ludzi i atevich na tym świecie z dala od siebie i przy zdrowych zmysłach. Ale stacja będzie terytorium atewskim.

Płaszczyna styku między rasami była teraz o wiele bezpieczniejsza; atevi stali się o wiele bardziej wyrafinowani niż przedtem. Mospheiranie też.

Pytanie, czym się stała Gildia Pilotów.

Ale Tabini jeszcze się nie wycofał: atewski pan panów z krwi i spiskującej kości, jedyny inny ateva uważany za niebezpiecznego, po prostu czekał na chwilę, kiedy Gildia Pilotów mrugnie okiem.

Rozmowa tocząca się w grupce mospheiran, siedzących na krzesłach wokół niskiego stolika w salonie, urwała się. Bren wszedł dalej do pomieszczenia i najpierw rozejrzał się za Jasem, ale go nie znalazł, ani w towarzystwie mospheiran, ani we wnęce jadalnej.

Pierwsza wstała Ginny Kroger i zadała logiczne pytanie:

- Pan Cameron. Czy jest jakiś problem?

- Nie, niejako taki. Rano nie wiedziałem, że aijsi właśnie sformował własną misję. Promem poleca też atevi. Będę wam towarzyszył podczas tego lotu.

Widać było po nich, że wszyscy co do jednego są wstrząśnięci: to drugi cios w ich pewniki. Najpierw zostali pośpiesznie wysłani w tę misję niezgodnie z ich własnym terminarzem, a teraz ich ołgano. Nabrano.

Wstał też Lund, a po nim, z mniejszą pewnością siebie, Feldman i Shugart.

- Mówię zupełnie uczciwie - rzekł Bren - że zostałem zaskoczony. Zapewne nie powinno tak być, ale jestem tu z wami. Będę spał tuż obok, w pomieszczeniach atewskich, ale przyszedłem, by służyć wam radą. A także Jase'owi Grahamowi, który też nic o tym nie wie.

- Jest pan tu mile widziany - powiedział Lund tak pogodnie, jakby zapraszał do swego grona znanego złodzieja, ale mimo wszystko zachował się uprzejmie.

- To bardzo ładnie z waszej strony - rzekł Bren. W tym momencie ze swego pokoju wyszedł wcale nie uradowany Jase. Chyba nie usłyszał szczegółów, tylko głos, i nie sprawiał wrażenia, że oczekuje na cud czy odroczenie misji.

- Bren?

- Mnie też wysłał. - Doskonale zdawał sobie sprawę z obecności świadków. - Lecę z wami.

- Naprawdę? - zapytał Jase. Było to pytanie zadane przez człowieka, który wie, że znalazł się w rwącej rzece, a teraz usłyszał wodospad. - Rozkazy aijiego, tak? Jego pomysł?

- Właśnie tak - odparł Bren. Jase mógł mówić o aijim w trzeciej odległej osobie. Jase był mile widziany w apartamencie aijiego, mógł o nim swobodnie mówić, nie tak jak Lund. - Chyba uznał, że skoro Gildia poprosiła o ciebie, to bieg rzeczy nabiera tempa. Powiedział: "Leć tam i porozmawiaj z nimi". Więc jestem. Ja, Banichi i Jago... cztery osoby personelu. Z kuchnią. - Po tym Jase zorientuje się, że to jednak jest pełna misja, tak jak planowali. - Nie miałem o tym pojęcia, zanim wieczorem nie wezwał mnie do siebie, a potem był tylko w tył zwrot, pociąg i jazda.

Lund miał minę sprytnego człowieka interesu. Młodszy tłumacz był po prostu osłupiały; Kroger z Biura Nauki wyglądała, jakby połknęła coś paskudnego.

- Więc co to oznacza? - zapytała. - Współpracuje pan z nami czy jak?

- Aiji ma kilka zadań do Gildii... jednym z najważniejszych jest zapewnienie nam odpowiednich kwater. Jeśli powstaną w tej sprawie jakieś trudności, będziemy współpracować. Inne sprawy... - Bren zawiesił głos, nie chcąc kłamać. - Nasze misje są oddzielne. Nie wiem, ile nam to zajmie czasu. Mam nadzieję na powrót tym samym promem. Jeśli nie... trzeba będzie liczyć, że znajduję nam wszystkim jakieś lokum. Żałuję, że zostaliście zaskoczeni.

- No cóż - odezwał się Lund. - To rzeczywiście jest niespodzianka.

Musieli sobie teraz zdać sprawę, że ich zadanie właśnie stało się o wiele bardziej skomplikowane i że nie będą mieli swobodnego dostępu do Gildii, jeśli kiedykolwiek mieli co do tego jakieś plany. Nie mogło im się to podobać. Przeprowadzić po latach własne spotkanie z Gildią Pilotów, kiedy Gildia Pilotów po raz pierwszy w historii stawiała twarzą w twarz z atevimi... Jednym słowem zostali ogłuszeni. Podobnie jak on, Jase i już niedługo Gildia. Był to manewr trójstronny i Tabini stanowczo polecił Brenowi wyprzedzić mospheiran.

- Dobrze - powiedział słabym głosem Jase. - Cieszę się z twojego towarzystwa. Chcesz usiąść? Soku owocowego?

- Nadi - odparł Bren, postanawiając wprosić się do towarzystwa, od którego Jase izolował się w swoim pokoju. Był to wczesny owoc, zielony, cierpki i kwaśny.

Jase poszedł do wnęki jadalni, schylił się do lodówki, wziął z półki szklankę.

Sok w butelce, wlany do szklanki... Dawno temu, podczas eksperymentu z sokiem w butelce, Jase zgorszył personel, pijąc bezpośrednio z niej. Nie powtórzyło się to już nigdy więcej.

- Szklanka - powiedział Jase.

- Szklanka. - Bren wziął ją i usiadł... zaufał Banichiemu, Jago i pozostałym, że zajmą się ładunkiem i bagażami. Oraz bronią. Bóg jeden wiedział, co znajduje, się w tym ładunku.

Bóg jeden wiedział, co powie stacja.

- A więc, o co ich pan poprosi? - zapytał Tom.

- O porozumienie w sprawie współpracy. O gwarancję, że mospheiranie ani atevi nie będą umierać przy pracy. Aiji szczególnie respektuje w swoich pla-

nach umowę z wami. W jego kategoriach to dotrzymanie umów. Pracujcie ze mną. Ja będę pracował z wami. Bardzo mi zależy na ustaleniu faktów.

- Fakty - powiedział Jase cichym, lecz doskonale słyszalnym głosem - są takie, że może do nas dotrzeć zagrożenie.

- Ustalanie faktów - odezwała się ze złością Kroger. - Nie jesteśmy gotowi do zawierania umów.

- Ja jestem - rzekł Bren.

- Panie Cameron, to stawia nas w trudnej sytuacji. Musimy skontaktować się z naszymi biurami. I to dzisiaj.

- Zamierzam w pełni współpracować z waszą misją - powiedział Bren - i mam nadzieję na taką samą uprzejmość z waszej strony. Kontaktujcie się ze swoimi biurami wedle waszej woli. Jestem pewien, że otrzymacie połączenie.

- Organizację zostawiliśmy rządowi atewskiemu - rzekł Lund. - Czy statek w ogóle wie, że przylatujemy?

- Prawdopodobnie nie. Dowiedzą się - odparł Bren.

- Dobry Boże.

- Umożliwienie drugiej stronie wyrażenia sprzeciwu nie jest w stylu aijiego - zauważył Bren. - Zawarliśmy umowę. Wy nie chcecie dostarczać siły roboczej do pracy w złych warunkach i my też nie, a oni bardzo nas potrzebują. To bardzo proste równanie. Jeśli przedstawimy rozsądne warunki, na których dostaną w odpowiednim czasie to, czego chcą, zdobędziemy korzyści ekonomiczne i wszyscy przygotowujemy się do zetknięcia z zagrożeniem wyłaniającym się z kosmicznego horyzontu.

- Do kiedy? - zapytała Kroger. - Do czasu, kiedy aiji postanowi zaskoczyć nas kolejnym manewrem, o którym nie będziemy nic wiedzieć?

- Tak robi - odparł Bren. - Moim zadaniem jest zadbanie, by manewr okazał się jak najuczciwszy.

- Panie Cameron, pan jest ich przedstawicielem.

Gdyby nie był mospheiraninem, nie zrozumiałby tej uwagi. Jase prawdopodobnie jej nie rozumiał. Wrodzona jego gatunkowi ślepotą, prowadząca do tak oczywistych stwierdzeń, sprawiła, że Brenowi przemknął po plecach zimny dreszcz.

- Tak - potwierdził - czemu dobitnie dałem wyraz. Mam stanowisko na dworze Tabiniego, a utrzymuję mój mospheirski urząd tylko dlatego, że żaden inny paidhi nie dostanie wizy, a nad tym nie mam żadnej kontroli. Wasi tłumacze mogą wam powiedzieć, że nie mam wpływu na wydawanie wiz w rządzie aijiego. Będę negocjował w imieniu aijiego. Będę rozmawiał w imieniu aijiego z obecnym tu panem Grahamem, który, jak być może pamiętacie, jest przedstawicielem Gildii. To jego funkcja. Nie powinniśmy go zatem obciążać zbyt wielką ilością tego, czego mógłby być świadkiem. Ze swojej strony przepraszam za brak uprzedzenia. Nie przepraszam w imieniu aijiego, ponieważ jego posunięcie jest zupełnie rozsądne. Wyjaśnienie tego jest moim zadaniem. Nie będziecie musieli niczego wyjaśniać Gildii Pilotów. Ja to zrobię. Jeśli, z drugiej strony, chcecie poprosić o samolot, który jeszcze dziś odwiezie was do domu, mogę to załatwić.

Zapadła długa, rozżarzona cisza.

Niepokój, niepokój, niepokój na wszystkich frontach. Jaka nowa technologia pojawi się, by rozchwiać gospodarkę? Jak wytwórcy mogą stawiać na znane czynniki, skoro z kosmosu może coś spaść i zniweczyć wszelkie obliczenia?

Fortuny były zagrożone co najmniej w wyobrażeniach ludzi; zagrożona była ich niezależność jako mospheiran.

- W końcu - powiedział Bren - to nie ludzie rządzą tą planetą, ale wy nie chcecie też podlegać Gildii. Aiji całkowicie wspiera wasze stanowisko.

- No dobrze - rzekł Lund, najwyraźniej pełniący rolę rozjemcy, podczas gdy Kroger skrzywiła się tak, że zmarszczył na jej twarzy ułożyły się w doskonale dopasowaną maskę wściekłości. - Musimy wziąć pod uwagę stabilność polityczną; nie chcemy utworzyć drugiej kolonii.

- Zawsze istnieje takie ryzyko - zgodził się Bren. - Aiji by się z tym zgodził.

- A ja twierdzę, że nie jesteśmy tu po to, by cokolwiek negocjować.

- Za to ja tak - powiedział Bren cicho. - Nie negocjuję w imieniu Mospheiry. Sądzę jednak, że oprócz ustalenia faktów Gildia będzie się zdecydowanie spodziewała jakichś rezultatów. Uważam, że wyjdziemy z jakąś umową, ponieważ wiem, że aiji jest gotów przejść do następnego etapu.

- Więc niech atevi umierają, pracując dla Gildii - rzekła Kroger.

- Jestem pewien, że nie zamierza do tego dopuścić - odparł Bren. I jestem też pewien, że Gildii będzie odpowiadało zdobywanie potrzebnych jej towarów bez ofiar śmiertelnych. Z drugiej strony, Mospheira może odnieść z tego jakieś korzyści, głównie w rybołówstwie, przemyśle żywnościowym i elektronicznym... w zwykłych specjalnościach.

Elektronika była ostatnio zagrożona, ale mospheiranie nadal żywili przekonanie o swojej wyższości.

- Towary przetworzone - rzekł Bren. Kroger zmarszczyła brwi. - To zawsze wytwarzała Mospheira. My mamy statki towarowe; wy macie wyspecjalizowany przemysł i o wiele lepiej wytwarzacie żywność, jakiej potrzebuje stacja. - To znaczy, bez alkaloidowych trucizn; ludzie z natury rzeczy bardzo na nie uważali. - Chcecie zachować status quo. Nie ma powodu, by go zmieniać. Jestem pewien, że ludzie chcący polecieć w kosmos znajdą dla siebie miejsce. Życie pozostałych nie zostanie zakłócone i aiji jest gotów to zagwarantować.

Mina Kroger lekko złagodniała.

- Wysłuchamy pańskiej propozycji.

- Właśnie ją przedstawiam. Gwarancja stabilności. Swoboda poruszania się. Ochrona Mospheiry przeciwko wszelkim żądaniom czy wtargnięciu na jej terytorium.

- Nie może pan tego zagwarantować.

- Znam stanowisko aijięgo. Jestem go bardzo pewien.

- Nie potrafi się oprzeć Gildii - stwierdziła Kroger i zerknęła niepewnie w stronę Jasona, jakby na chwilę zapomniała, kim on jest. - Nie da rady im się oprzeć.

- Da - rzekł Jase, ściągając na siebie uwagę, ale nie powiedział nic więcej.

- I oprze się - dodał Bren i odstawił pustą szklankę. - Jase. Panie Graham. Udzieli mi pan krótkiej konsultacji?

- Tak - odparł Jase.

Bren wstał i powstrzymał się od złożenia zwyczajowego lekkiego ukłonu.

- Poranek przychodzi przed świtem - powiedział. - Przepraszam państwa.

- Panie Cameron - rzekła Kroger. - Proszę nie myśleć, że się zgadzamy.

- Nie - powiedział Bren. Nie mieli takiej władzy i Bren był tego pewien, ale odniósł niepokojące wrażenie, że usłyszał zdanie Kroger, antropocentryczną stronę mospheirskiej polityki. Jeśli nie była w Partii Dziedzictwa, to przynajmniej rzucała taki cień na rozmowy i Bren nie był nawet pewien, czy Lund choćby zdawał sobie z tego sprawę. Uznałby go za problem, jako że wywodził się z Handlu, ale zaczął dostrzegać kompromisowy skład tej misji... Lund myśli, że jej przewodzi, ale Kroger jest uzbrojona w nie-domówienia... Bardzo się bał, że tak właśnie jest: nie-domówienia nie mające nic wspólnego z zachowaniem niezależności przez Mospheirę, za to wszystko z dążeniem ostatniego reżimu do wejścia na orbitę, zdobycia władzy, rządzenia ludzką społecznością w sposób całkowicie niezgodny z powszechną wolą mospheiran oraz z bardzo starymi umowami z Gildią.

- Ale zobaczę się z wami, zanim wstanie dzień - powiedział Bren i wychodząc, zerknął na Jase'a, który wyszedł z nim do holu.

- Koniecznie muszę z tobą porozmawiać - rzekł Bren. - Nieważne, co sobie pomyśla.

Ta pierwsza wyprawa w kosmos była posunięciem dyplomatycznym, oficjalnym. Dla ludzi z Mospheiry oznaczało to zrównoważony układ ważnych mężczyzn i kobiet, przeróżne interesy reprezentowane przez osoby potrafiące wyłudzić miejsce w zespole - stąd krąg pokoi otaczających centralnie położone miejsce spotkań - nikt nie ma być ważniejszy od innych. No, może z wyjątkiem tej dwójki wprowadzonej przez Shawna Tyersa, myślał Bren, idąc korytarzem do swoich pokojów. Po drodze zgarnął Tano i Alginiego: wiadomo, że jego ochrona zawsze jest gdzieś w pobliżu. Wyszli mu naprzeciw i ruszyli razem z nim, przytłaczając go czarną skórą i srebrem swojej Gildii... Zacni z nich goście.

Z pewnością, gdyby mospheirscy dygnitarze mieli możliwość zabrania ze sobą kogoś więcej niż dwoje tłumaczy, chcieliby mieć swoich sekretarzy, cały personel pomocniczy, łącznie z ABN i dygnitarską oprawą.

Lecz te miejsca w promie nie były bezpłatne i mospheiranie woleli mieć pewność, że jeśli leci ich konkurencja, to polecą i oni.

Tak więc mieli cztery miejsca.

Lecz niech pomyślni bogowie bronią, by atevi mieli ujawnić obcym międzyregionalne kwestie Patronatu Zachodniego; dla nich misja dyplomatyczna oznaczała najwyższą reprezentację dworu, odpowiednią do danego zadania, wraz z całą pomocniczą społecznością.

A służący byli ważniejsi od sekretarzy, chociaż czwórka, którą dysponował Bren, mogła pełnić i tę rolę. I ochrona - żaden atewski pan nigdzie się nie ruszał bez ochrony, w dzień czy w nocy.

Algini otworzył kluczem drzwi do atewskiej części ośrodka kosmicznego. Stał w nich Narani, a tuż za nim pozostali; wszyscy kłaniali się głęboko, z szacunkiem i z wyraźnym niepokojem.

- Nand' paidhi - powiedział Narani. - Mieliśmy rozkazy.

- Człowiek wie, Rani-ji. Jestem pewien, że dokonaliście cudów. Dziękuję wam wszystkim.

Foyer, jadalnia, salon, kilka sypialni dla pana i jego ochrony, która zawsze znajdowała się blisko niego. Łazienka, to, co atevi dyskretnie nazywali wygodką, garderoba, posterunek ochrony, czytelnia, kuchnia - wszystko w podstawowym zakresie.

Razem z Jasem projektowali te pomieszczenia w towarzystwie atewskich architektów - wymagane sypialnie i pokoje służące odpoczynkowi dla, jak zdecydowali, minimum czterech służących, ponieważ służący muszą obsługiwać też personel ochrony, by ten mógł się zająć wyłącznie swoimi obowiązkami. Nawet gdyby z jakichś powodów aiji wysłał handlowca lub rzemieślnika... ani handlowcy, ani rzemieślnicy, nie byli pojedynczymi osobami. Cieśla miałyby swoich uczniów, nie mówiąc o rodzinie i służących; hydraulik sprowadziłby swój sprzęt, uczniów i jeśli nie służbę i ochronę, to przynajmniej jakiegoś bardzo dalekiego młodszego krewnego innego krewnego, który robiłby herbatę dla klientów. Jak atewa mógłby z honorem postąpić inaczej i wypełnić zobowiązania wobec krewnych? Jeśli mospheiranie mieli kilka niezależnych luksusowych pokoi wychodzących na wspólne pomieszczenie, gdzie mogły się spotykać różne interesy, to atewską odpowiedzią na to była jedna siedziba zwrócona do wewnątrz, hierarchia z panem czy panią na szczycie.

- Przyjdzie Jase - poinformował Bren Banichiego i Jago, mijając niewielki posterunek ochrony.

- Czy mamy go włączyć? - zapytał Narani, podążając za Brenem.

- Nie zostanie tu, bardzo w to wątpię. Ale przyjdzie. Napijemy się wódki, Rani-ji, w salonie. Może da się rozpalić ogień?

- Natychmiast, nandi.

Bren sądził, że skoro Jase znajduje się pod innymi rozkazami, włączenie go na kilka godzin do jego osobistych układów nie jest właściwe. Gdyby podkopał pozycje Jase'a jako niezależnego przedstawiciela statku, a kapitanowie

poczułi się tym dotknięci, to mogłyby powstać opóźnienia. Tylko gdyby Jase poprosił. Wtedy powinni tak zrobić, a Bren wzięłyby trudności na siebie.

Nie chciał żadnych rys w układach z Jasem - nade wszystko nie chciał żadnych rys.

Zgodnie z oczekiwaniami Jase pojawił się w bardzo krótkim czasie, w swoim swetrze i tej nieszczęsnej kurtce.

Służący zakrzętnęli się wokół niego i rozpaczliwie usiłowali mu ją odebrać, ale Jase uskarżał się na chłód.

Bren nie powiedział ani słowa, tylko zaprowadził go do salonu i posadził na krześle przy świeżo rozpalonym ogniu.

Sam Narani przyniósł im lód, kieliszki i kryształową piersiówkę mospheirskiej wódki, ustawił wszystko na bocznym stoliku i nalał alkohol z wyćwiczoną sprawnością, która nigdy nie sprawiała nawet pozorów pośpiechu i zdawała się wywoływać zwolnienie tempa w całej siedzibie. Jase cicho mu podziękował i Narani wycofał się w milczeniu, zamykając za sobą drzwi.

- Zdrowie - Jase wznosił toast we własnym dialekcie, po czym upił łyk.

Bren też się napił, już drugi raz tego wieczoru. Był to jednak wieczór niezwykły.

Cholernie niezwykły.

- Przepraszam, Jase. Byłem na to zupełnie ślepy; do ostatniej chwili nie widziałem tego, co ma się stać.

- Jakoś ci wierzę.

- Nie mówiłeś, że jadłeś kolację z Ilisidi.

- Jadłem. - Zamrugął.

- Wiem. Ja też. Po co przyjechała?

- Nie mam pojęcia - odparł Jase.

- Myślisz, że wiedziała, co się kroi?

- Jeśli chodzi o nią albo o Tabiniego, nic mnie nie dziwi. Wolałbym zostać, mówiąc samolubnie. Powiedz mi prawdę, czy to nie zostało uzgodnione z Gildią Pilotów?

- Oczywiście, że nie. Czy Tabini uzgadnia cokolwiek?

- Nie - rzekł Jase. - Oczywiście, że nie.

- Nie chce też, by Gildia zbudowała sobie wyobrażenie o atevich wyłącznie na podstawie wypowiedzi twoich i Yolandy.

- To nie byłoby dokładne wyobrażenie.

- Dokładniejsze od tego, które wyrobiliby sobie na podstawie rozmów z delegacją z Mospheiry, wierz mi. Nie ufam Kroger.

- Jest na ciebie zła - rzekł Jase.

Bren potrząsnął głową.

- Złość nie ma dla niej znaczenia. Obawiam się, że ma klapki na oczach i jeśli nie zmieni swojego podejścia do mnie, to nie podoba mi się myśl, że będzie miała wpływ na kształt polityki.

- Musisz przyznać, że ich naciskasz.

- Wiem. Moim zdaniem dla Kroger to nic nie znaczy. Ma wytyczoną własną drogę. Nie zmodyfikuje swojego zdania, dopóki nie uwierzy, że nie znajduje się już na Mospheirze; obawiam się, że odkryje to dopiero, gdy zaangażuje się w negocjacje.

Jase przez chwilę milczał, a potem zapytał:

- Jak długo będziesz na górze?

- Dwa tygodnie. Tylko do czasu, kiedy prom wróci na dół.

- Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z rozkładem.

- Na razie jest pół na pół. - Taki był procent startów o czasie. Jak dotąd prom nie miał żadnych poważnych awarii, nie przydarzyła się żadna katastrofa. - Trzymam kciuki. Nie mam nic przeciwko pozostaniu dłużej. Chciałbym zabrać cię ze sobą na dół. Jeśli zechcesz.

- Chciałbym mieć swobodę poruszania się. I nie chciałbym, żeby zawalili sprawę, kiedy się dowiedzą, że mają nieprzewidzianych gości.

- Uważasz, że ją zawała?!

- Ja to wiem. - Roześmiał się bez wesołości. - Przeżyją to. Na jednym poziomie będą zadowoleni. Ale będę musiał Ramirezowi wyjaśnić, kim jest Banichi.

- Myślisz, że pomieszczenia są gotowe?

- Cholernie w to wątpię. Nic nie ma pierwszeństwa, dopóki sytuacja nie jest awaryjna. Po prostu nie ma dość personelu.

- Możemy to załatwić. Jeśli zdobędziesz nam zgodę Ramireza.

Ramirez: starszy kapitan, ten, który prowadził wszelkie kontakty z ate-
wimi, którego Jase nazywał kimś w rodzaju ojca, jeśli ojcostwo stanowiło pod-
pis na zezwoleniu. Z czwórki kapitanów to Ramirez miał wizję imperium hand-
lowego, jednoczącego tę stację z wysuniętą placówką przy odległej gwiazdzie,
i to jego plany atak obcych zmienił w popiół.

To Ramirez przyprowadził "Feniksa" do stacji przy tej gwiazdzie, mając
nadzieję na kwitnącą placówkę i pomoc.

I za wielkim planem zjednoczenia ludzkości na tym zagubionym krańcu
kosmosu i wsparcia statku też stał Ramirez.

- Będziesz naszym najcenniejszym atutem - powiedział poważnie Bren.

- Nie licz na jakiegokolwiek moje słowo.

- Wiem. Rozumiem, że jesteś w trudnej sytuacji. Oraz że dysponujesz
pewną władzą, jeśli zechcesz jej użyć.

Jason skulił ramiona, jakby nawet mimo kurtki poczuł chłód.

- Symboliczną. Projekt Ramireza. Tym byliśmy; mieliśmy inspirować
załogę... wtedy, gdy ten kontakt miał zamknąć koło. Ale mam władzę tylko w
zakresie dobrego zdania Ramireza. Jeśli chodzi o Tamuna... - to był jeden z
pozostałych kapitanów. - tu jej na pewno nie mam.

- Dlaczego cię odwołali?

Jase podniósł zmartwiony wzrok i popatrzył wprost na Brena.

- Dlaczego cię odwołali? - powtórzył Bren. - Nie spodziewaliśmy się
tego. Czy może Yolanda coś powiedziała?

- Może, mimowolnie. Może uznali, że już czas? Może naprawdę już czas?

- Tabini tak sądzi. - Bren zaczerpnął tchu i gwałtownie się pochylił. -
Tabini chce stacji.

- Nie jestem zaskoczony.

- Nie jestem zaskoczony, że nie jesteś zaskoczony. To jest warunek.

Mospheira zarządzająca stacją? Oni nie potrafią dać lokalizacji parkowi bez
całego łańcuszka komisji. Jeśli zmaterializuje się to obce zagrożenie, ktoś
musi podejmować decyzje tak szybko jak kapitanowie. Mospheira tego nie robi.
Oni znają jedno: historię, która wpędziła ich na planetę. Na dole jest wol-
ność. Frakcja, która chce się znaleźć na górze, jest najlepszą częścią
Mospheiry. Moim własnym, stronnictwym zdaniem, kapitanowie z nimi też się nie
dogadają. Mają zbyt wiele wspólnej historii, zbyt wiele dawnych zdrażnień.

- Tabini i kapitanowie dzielący się władzą? - powiedział Jase, prawie
nie poruszając ustami. - To też nie będzie łatwe.

- Musi się udać.

Rozmawiał już z J asem o tej możliwości, a nawet o złożoności dążenia
Mospheiry do wyjścia w kosmos, dążenia, które Bren sam wspierał, dopóki
rządem nie zawładnęła antyatewska Partia Dziedzictwa i nie wykorzystwała pro-
gramu do własnych celów; dopóki elementy przestępcze nie zagroziły naukowcom
i idealistom siłą, niektórych z nich przestraszyły, innych zabiły, a jeszcze
innych nawróciły. Trzy lata temu rozsądnym ludziom, których na Mospheirze
było więcej, ledwie się udało wyrzucić łajdaków i odkryć, co knuli. Kiedy
jednak "Feniks", ten stary postrach z mospheirskich legend, wrócił z prośbą o
robotników i przepowiednią wojen w kosmosie, wiedza o zagrożeniu spoza atmo-
sfery nie przekonała rozsądnych ludzi.

Przeciętny mospheiranin chciał nadal mieć swoją pracę i wakacje nad
morzem, wychowywać dzieci, wierzyć, że jeśli rozpęta się jakaś wojna w kosmo-
sie, to nie będzie stanowić zagrożenia dla planety... No i ten dogmat

mospheirskiej wiary: jeśli oni nie skontaktują się z żadnymi obcymi, to obcy zostawia ich raczej samym sobie.

Było nawet możliwe, że mospheiranie mają rację. Pytanie tylko, czy gdyby "Feniks" przybył po pomoc, obcy zauważyliby różnicę między mospheiranami i jego załogą. Niektórzy byli gotowi założyć się o swoje życie, że obcy okażą się mądry i zrobią to rozróżnienie.

Bren tak nie uważał. Tabini też się nie zakładał, że atevi unikną odwetu. Tkwienie w błędnej beztrzosce dawało niewielkie szansę na wyjście z sytuacji obronną ręką.

- Wiesz, jakie mam stanowisko wobec Mospheiry - rzekł Bren. - My się znamy. To są trzy lata dobrej woli, przez które każdy negocjator musiałby przejść jeszcze raz i - już o tym rozmawialiśmy - wcale nie jestem pewien, czy ktoś, kto nie poznał mospheiran czy atevich w ich własnym środowisku, potrafi w ogóle ich zrozumieć.

- Podobnie jak ty nie zrozumiesz nas, nie znajdując się w naszym środowisku - zauważył Jase. - Ramirez jest tego najbliższy.

- Na planecie, wśród atevich, najbliższy tego jest Tabini.

Jase pokręcił głową.

- Nie. Wśród atevich ty jesteś najbliższy. W najskrytszych marzeniach chyba miałem nadzieję, że wydarzy się osobisty cud. Samolubna nadzieja. Na tej planecie to marzenie. Można marzyć, że nie ma obcych. Że można bez końca tkwić w swojej rutynie, mile spędzać czas... To właśnie robią mospheiranie, prawda?

- Atevi też - powiedział Bren. - Atevi nie są na to nieczuli.

- Nie zostałem stworzony do życia w świecie fantazji. Ramirez stworzył mnie po to, żebym dokonał tego skoku; nawiązał kontakt; zrozumiał... złożył sprawozdanie. Ramirez jako jedyny rozumiał możliwość istnienia mospheiran. W przeciwieństwie do innych kapitanów uważał, że ludzie, których opuściliśmy, mogli się zmienić. - Drugi łyceczek, już spokojniejszy. - Liczył na zastanie bardziej umiarkowanej sytuacji, bezpiecznej, działającej stacji; na to, że damy wam prezent: gwiazdną stację i statek. By na nią dotrzeć, zbudowalibyśmy kolejne statki i wysnuli tę wielką sieć, która nam wszystkim dałaby dostęp do kosmosu. - Jase potrząsnął głową. - Atak obcych to zniszczył. Uciekliśmy do domu. Tutaj. A kiedy zastaliśmy to, co tu istnieje, inni kapitanowie spojrzeli na moje studia językowe jak na coś innego niż osobiste wariactwo Ramireza.

Bren znał tę część, wyczuł jednak, że Jase zmierza w jakimś nowym kierunku. Inni kapitanowie? Josefa Sabin była kapitanem drugiej zmiany w dwudziestoczterogodzinnej rotacji; potem Jules Ogun; czwartym, nie tym, który był na początku, ponieważ on zmarł w zeszłym roku, był Pratap Tamun.

- Ale według nich ja nie mam żadnej władzy - powiedział Jase.

- To przyłącz się do naszej grupy. Już my sprawimy, że cię posłuchają. Jase pokręcił głową.

- To podkopałoby pozycję Ramireza. On mi ufa i będę go wspierał. Tylko... nie naciskaj zbyt mocno zbyt wcześnie. Daj mi kilka dni, żebym mógł usiąść z Ramirezem i coś wymyślić. Jeśli mi zaufasz, zobaczę, czy mogę być z nim szczerzy i uzyskać jego zgodę.

To rodziło pytanie; nie o uczciwość Jase'a, ale o to, w jakim stopniu trzy lata wysublimowanej dyplomatycznej atmosfery przygotowały Jase'a do samodzielności, oraz o to, w jakim zakresie przedstawiciele wewnętrznej polityki Gildii Pilotów zechcą wysłuchać głosu rozsądku.

- "Chei'no Ojindaro". Odwołanie Pogariego.

Jeszcze jeden dramat machimi. W oczach Jasona najpierw błysnął wysiłek przypominania sobie, a potem całkowite zrozumienie.

- Hari'i - mruknął, najwyraźniej bezwiednie przechodząc z powrotem na ragi. "Żadnym sposobem".

Powrót domownika po długiej nieobecności do domu znajdującego się w stanie rozpadu: ustalenie więzów lojalności, rozszyfrowanie man'chi... a potem seria krwawych nieszczęść.

- Jesteś pewien? - zaatakował go Bren.

- Muszę spróbować.

- Nie mów, że musisz spróbować. Wiesz, że możesz pracować ze mną. Tu nie trzeba się niczego domyślać.

- Tamun - powiedział Jase. - Głównym łajdakiem jest Ogun, ale to idzie w parze z jego stanowiskiem. Problemem będzie dla nas Tamun: prze do celu, nie oglądając się na nikogo, i jest, albo był, człowiekiem Sabin. Ci dwoje poróżnili się. Ogun nie jest głupi. Potrafię mu wyjaśnić sytuację, której istnienia nie przewidział. Problemem będzie Pratap Tamun.

"Prosto z Rady", powiedział Jase, dowiedziawszy się, że Tamun został wyniesiony do rangi kapitana: kapitanowie byli raczej umiarkowani, a rada bardziej skora do radykalnych rozwiązań. Wyznaczenie Tamuna na stanowisko zwane przez Gildię czwartym fotelem oznaczało, że jeden z kapitanów jest skłonny do bardziej zmiennych rozwiązań.

- Nie zechcą zaryzykować stosunków z planetą - ciągnął Jase. - To nie leży w ich interesie. Jeśli poproszą Tabiniego, i to grzecznie, istnieje duża szansa, że dostaną, czego chcą. To właśnie zamierzam im powiedzieć. Brer, nie zapytałeś mnie, co powiem, ale wiesz, że poradzę im układać się z Tabinim.

- Chcę cię zapytać o to, czy posłuchają?

Jase głęboko zaczerpnął tchu:

- Istnieje tam ten sam separatystyczny nurt co w Partii Dziedzictwa. Jest silna partia, według której obcy w kosmosie i obcy tutaj niczym się nie różnią, a to, co myślisz o Kroger, ja myślę o Tamunie. Sądzę, że wolałyby dogadać się z mospheiranami. Cała frakcja może jeszcze nie wie, że wolałyby układać się z mospheiranami, ale moim zdaniem jest możliwe, że Gildia przejdzie przez to stadium - dopóki do widoku atevich nie dojdzie ostry smak mospheirskiej polityki. To ich przerazi. Nieważne, że widzieli atevich na ekranie. Robią wrażenie, kiedy się tak pochylają nad człowiekiem. Ale obaj wiemy, że tak naprawdę Gildia nie ma wyboru. W końcu najlepszą i jedyną dla nich odpowiedzią jest Tabini.

- To będzie kolejny wstrząs dla ich koncepcji wszechświata.

- Prawdziwym wstrząsem dla ich koncepcji wszechświata była utrata stacji kosmicznej. Są przerażeni obcymi. Boją się jak diabli utraty tej bazy i oszukania przez obcych, których nie rozumieją. Bren, pojmy ich nastawienie. Bez tej stacji nie będziemy mieli niczego - ludności, paliwa, napraw, żadnego miejsca oparcia. To śmierć. To dla nas śmierć. Takie jest ich stanowisko.

- Obaj wiemy, że z powodów państwowych przyjaciele potrafią kłamać. Ja ci jednak mówię i chcę, żebyś to powiedział Ramirezowi. Tabini jest mistrzem oszustwa, ale podkreśl, że jest także uczciwy. Spaja partię: zjednoczył ze swoim rodem ród Atigeinich. Pozyskał pana Geigiego.

- Ma układy ze swoją babką - powiedział z krzywym uśmiechem Jase. - To jest dopiero trening.

- I z Tatiseigim. To potężny, postępowy atut, dzięki któremu trzykrotnie powiększył rozmiary Patronatu Zachodniego, zyskał głosy w hasdrawadzie i tashridzie i nie skapał swoich rywali we krwi, co jest o wiele lepszym wynikiem, niż mogli się pochwalić jego poprzednicy. Powiedz to Ramirezowi. W tym życiu nie będzie nikogo lepszego od aijiego, który pokojowo doprowadził Patronat do wschodniego wybrzeża, jednocześnie przesadzając atevich z samolotów na promy kosmiczne. I który gwałtownie i efektywnie rozwija własne środki. Nie będzie dla Ramireza lepszego związku, atewskiego czy ludzkiego.

Nie musiał przekonywać Jase'a. Dostarczał mu tylko argumentów.

- Ramirez posłucha - rzekł Jase. - Twoja mospheirska historia o złym zachowaniu Gildii może być prawdziwa: ja nie wierzę wszystkim sprawozdaniom, bo twoi przodkowie tak samo jak moi mieli swoją wersję. Inni będą się

spierać. Ale sęk w tym, Bren - i uświadomiłem to sobie powoli w ciągu tych trzech ostatnich lat - w porównaniu ze światem statek to mały obszar. Ty jednak nie rozumiesz, nie potrafisz zrozumieć bez doświadczenia... Myślisz, że Mospheira jest mała i ograniczona niewielkim zestawem nawyków. "Feniks" jest mniejszy. W porównaniu z Mospheira "Feniks" to czterystuletnia filizanka z tą samą zawartością, z tym samym zestawem myśli, cokolwiek dzieje się na zewnątrz, my znajdujemy się w środku. Na wyspie mającej dwieście lat? My jesteśmy uwięzieni w tej filizance od czterystu. Mamy archiwum, mamy całą kulturę starej Ziemi, ale wszyscy od wieków prowadzimy w tym sensie jedną i tę samą rozmowę. Przez kilka ostatnich dni myślałem o kontrastach. I to jest ten wielki. Wszyscy na statku mają tę samą bazę danych. My nie zachęcamy do rozbieżności.

To dziwne. Bren zawsze myślał o "Feniksie" jako o wysuniętej reprezentacji ludzkości, o jego załodze jako o badaczach i odkrywca, a o mospheiranach jak o ludziach ograniczonych.

Ale tylko dwa tysiące pięćset osób, tylko dwa tysiące pięćset...

- Ilu jest ludzi na "Feniksie"? - zadał to stare pytanie, na które Jase różnie odpowiadał.

- Tysiąc pięćset osób - odparł Jase. Grom w głębokiej ciszy. Trzaskał ogień, przywodząc na myśl Taiben, Malguri, stare, bardzo stare zakątki na ziemi atevich, pierwotne miejsca, gdzie ogień dawał ciepło i życie, zupełnie inaczej niż w tym nowoczesnym przystanku w podróży. - Tysiąc pięćset. Zrozum, że kiedy budowaliśmy stację tam, w kosmosie, zanim się urodziłem, było ich sześć tysięcy; statek był przepełniony. Kiedy stacja przepadła, musiało tam być dziewięć albo dziesięć tysięcy ludzi. Ale my jesteśmy sercem. Wysłaliśmy całą naszą populację do budowy tamtej stacji i teraz jest tylko... tylko tysiąc pięćset osób w kosmosie, oprócz ludności Mospheiry... tysiące, dziesiątki tysięcy, ponad sześć milionów istot ludzkich na planecie, na wyspie. To dla nas niepojęte. Cenne. I cokolwiek myślisz, nikt nie chce zagrozić temu zbiorowisku... dla nas niezastąpionemu. To, że Yolanda może wrócić na górę i mówić o milionach istot ludzkich, jest dla Gildii tak niewiarygodne, że nie potrafisz sobie tego wyobrazić.

Potrafił. Może niezbyt dokładnie, ale potrafił.

- Jednak w pewnym sensie - ciągnął Jase - kiedy rozmawia się z Gildią, trzeba sobie wyobrazić o wiele mniejszą politykę. My się różnimy. My się naprawdę różnimy. Mamy jednak różnice filozoficzne, osobiste; nie można tego nawet nazwać polityką... na pewno nie mamy różnic regionalnych. Różnice stanowiska: inżynierowie myślą tak, obsługa inaczej. Szanujemy kapitanów; nie dostrzegamy tych samych wniosków, ale musimy przyjmować rozkazy. Zawsze przyjmujemy rozkazy.

Była to powtórka z dziesiątki rozmów; niektóre jej fragmenty się powtarzały, inne, łącznie z bombą na temat populacji statku, były nowe. Jakby widząc, że jego statkowy dom znajduje się na horyzoncie i nabiera rzeczywistości, Jase przypominał sobie szczegóły. Szczegóły nie celowo zatajane, tylko nie mające w Shejidan pewnej realności.

Rozmowa taka sama, ale inna, i Bren słuchał całym sobą.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał. - Ty nie przyjmujesz rozkazów.

- Zamierzam powiedzieć im o rzeczach, których nie ma w ich bazie danych. Zapytam Yolandę, co ona powiedziała; odnajdę ją i przypomnę, że może odmówić. Powiem im, żeby raczej układali się z Tabinim, bo nic w ich wszechświecie im nie podpowie, jak uzyskać umowę z atevimi bez niego. Kiedy jednak odczuję, że rozmawiam z kapitanami, będę przerażony jak diabli. Cała reszta mnie będzie chciała powiedzieć "Tak jest" i wykonać rozkaz.

- Ale tego nie zrobisz.

- Teraz już nie mogę.

- Wiesz, że jesteśmy uzbrojeni. Częścią porozumienia było to, że kiedy urządzimy na stacji pomieszczenia dla atevich. będziemy mieli własną ochronę.

Że będzie na pokładzie broń, elektronika, nagie ściany i system podtrzymywania życia, a my podłączymy nasze urządzenia do urządzeń stacyjnych.

Jase wziął głęboki, długi oddech.

- Byłbym cholernie zdziwiony, gdyby coś już tam było. Tak jak mówiłem, to nie jest jeszcze sytuacja awaryjna. A przeciętni mieszkańcy nie będą wiedzieli, co z tym zrobić, bo łamie to dziesiątki zasad. Popatrzycie na nich i śmiertelnie ich przerazicie. Wśród nich znajdują się obcy. Wiesz, jakie to przerażające, kiedy już przegraliśmy jedną bitwę?

- Nie patrzeć im w oczy?

Jase nie patrzył, kiedy przybył na planetę.

- Naprawdę tego nie lubią. Spróbuj wytłumaczyć to twojemu personelowi.

Efekt dorastania w ciasnych korytarzach, wąskich przejściach, utrzymywania namiastki prywatności w zamknięciu, gdzie wszyscy stykali się nos w nos. Omawiali takie różnice w ciągu ostatnich trzech lat.

- Polegam na tobie - rzekł Bren.

- Diabelnie mnie to przeraża.

- Podzielałam to uczucie - zgodził się Bren.

- Czas wracać. Naprawdę czas.

U podłoża ich wszelkich planów leżała wiedza, że Jason będzie musiał wrócić, gdy tylko prom znacznie odbywać bezpieczne loty - był zbyt cennym pasażerem, by wysłać go w rejsy próbne. Wiedział, że kiedy Mercheson doleci na stację... Obaj wiedzieli, że w końcu otrzyma wezwanie.

- Chcemy, byś tu wrócił i dokończył swoje zadanie, jeśli zechcesz przyjechać.

- Zrobię, co będę musiał zrobić.

- Ja też - powiedział Bren. - I będę pracował z tobą. Tabini też. Uważa cię za domownika. To niezastąpiona przewaga. Kiedy naprawdę zechcą porozmawiać z Tabinim, to mądrze postąpią, posyłając w tym celu ciebie. Przynajmniej może dałoby się z tego wykroić wypad na ryby.

Żart, ale bolesny.

- Ta podróż jest bezpieczna - rzekł Jase. - Przynajmniej to.

- Bezpieczniejsza od spadnięcia na planetę?

Tak właśnie wylądował Jason, spadł na planetę w trzystuletniej kapsule z dwoma spadochronami, z których pierwszy się nie otworzył.

- Nie mów.

Jemu samemu też nie podobało się wszystko, co mógł sobie wyobrazić.

Jase nie znosił latania. Bren też. A przy przełączaniu silników lubił mieć w żołądku zawartość całej cholernej butelki wódki.

- Obiecuję - powiedział. - Chcesz dostać tu dzisiaj łóżko? Późno już.

Jase potrząsnął głową.

- Wezmę pół tabletki na sen. Spróbuj trochę odpocząć. Jeśli nie obudzę się przed startem, przyjdź po mnie.

- Dobrze.

- Nie denerwujesz się?

- Boże, tak, denerwuję się! - Roześmiał się na dowód tych słów i nie pomyślał o silnikach. - Ale i tak zamierzam cieszyć się lotem. Doświadczenie życia.

- Postęp - zauważył Jase. - Spaść z kosmosu na drugim spadochronie... to było doświadczenie. Horyzonty. To było doświadczenie. Jazda na żywym stworzeniu... to było doświadczenie. Znaleźć się na wodzie wznoszącej się wyżej niż najwyższy budynek... to było doświadczenie. Chcę pojechać na te ryby, Bren.

Wiele przeszli. Dla Jasona koszmarem nicującym żołądek było nawet stanie prosto na wypukłej planecie pod wypukłym niebem.

Przerażał go naturalny wiatr wiejący nad ziemią i poruszający jego ubraniem: zjawisko nie mające znanych granic. Blask błyskawicy, trzask gromu, deszcz - jak wewnętrzna logika Jasona mogła określić naturalne granice takich zjawisk?

To nie było tchórzostwo. Była to oburzona reakcja ciała, które wiedziało, czego ma się spodziewać za chwilę. Nie wiedziało z doświadczenia, kiedy ustana nieznane bodźce, ale miało świadomość, że istnieje niebezpieczeństwo. Bren był pewien, że jutro czeka go to samo.

- Bez góry ani dołu - powiedział, przywołując własny katalog potworności.

- Jest góra i dół. Stacja wiruje. Nie było tak, kiedy dokowaliśmy, ale teraz już to naprawiliśmy. Niskie drzwi, krótkie stopnie. To atevi będą musieli uważać, a nigdy tego nie robili.

Atevi w drzwiach mospheirskich rozmiarów. I wśród podobnych mebli.

- No cóż, doświadczenie. To właśnie mamy wynegocjować. Zdrowie. - Wypił do dna. Dureń, napomniał się w myślach. To wcale nie było mądre, skoro leci jutro przed świtem.

- Zdrowie.

Jase dopił wódkę z roztopiającym się lodem i wstał.

7

Błysk srebra na czarnej, potężnej sylwetce w mrocznym wewnętrznym holu, złocista poświata atewskich oczu... oczu bardzo znajomych, którym nic nigdy nie umykało; był tam personel Brena. Paidhi miał świadomość. Jase otrzymał wezwanie z zewnątrz i teraz znajdował się pod obserwacją, co prawda życzliwą. Ktoś patrzył i tym kimś była Jago, która na niego czekała. Pożegnała się z nim uprzejmie i kiedy Jase wyszedł przez drzwi foyer, należycie odprowadzony przez Naraniego, wróciła zameldować się Brenowi, który zmierzał do sypialni. W holu czekało dwóch służących.

- Personel donosi, że bagaż został załadowany - powiedziała.

- Kapiel, nandi? - zapytał Bindanda, potężny, okrągławy cień.

- Mile widziana.

Bren był zmęczony, umyślowo zmęczony; nie otrząśnie się z wydarzeń dnia, leżąc i gapiąc się w sufit. Wiedział, że Jago zaspokoi go seksualnie; nie poprosił o to. Miała własne zajęcia, o które nawet nie było co pytać, więc nie pytał.

Szedł dalej korytarzem, ostatnio bardziej kojącym dla jego duszy niż geometria wspólnego salonu w ludzkich pomieszczeniach.

Czy opuścił Mospheirę i wszystko, co było mu znajome od dzieciństwa, dopiero tego ranka?

Jago szła za nim cicho jak kot.

- Mogari donosi - usłyszał głos Banichiego, który też pojawił się w korytarzu. - Nic niestosownego, żadnych wiadomości dotyczących Jase'a, oprócz oczekiwań jego powrotu.

W Mogari znajdował się talerz, źródło wiadomości ze statku.

- Dobrze. - Wszystkie takie kwestie Bren zostawiał swojej ochronie, wierząc, że poradzą sobie z nimi lepiej od niego. - Prześpij się, Banichi-ji. Zostaw innym wszystko, co możesz. Tano i Algini niech też tak zrobią. Wszystko zaczyna się bardzo wcześnie rano.

- Ateva przypomina sobie - rzekł Banichi. Miał na posterunku ochrony nowe systemy, które pomagał tam zainstalować, i Bren wiedział, że stanowią one dla niego wielką atrakcję. - Tano i Algini poszli jednak do pokoju Jasiego-ji.

- Żeby tam nocować? - Był zdumiony. Czyżby sądzili, że któryś z członków mospheirskiej misji może mieć zakusy na życie Jasona?

Są jednak ostrożni; jako atevi są ostrożni.

- Dla bezpieczeństwa - uzupełnił informację Banichi. - Zastąpią dwie osoby z personelu Tabiniego.

- Gdzie będą spać? - zapytał głupio Bren.

- Nadi, oni raczej nie będą spać. Przeżyjemy brak snu.

- Oczywiście - powiedział w chwili, kiedy do centralnego holu, tego wewnętrznego kręgu pomyślnych spotkań, wszedł Narani. Nad głowami, pod stopami i w paru innych miejscach widniał emblemat baji-naji. Żadnych miękkich zieleni i błękitów: zdecydowana, splątana czerń i biel oraz kolory walczące jak smoki, w każdym wzorze.

- Zechcesz zjeść późną kolację, nand' paidhi?

- Nie - odparł. - Dziękuję, Rani-ji, nie dam rady przełknąć ani kęsa i obawiam się, że wypilem dziś co najmniej o pół kieliszka za dużo, z Jasem. - Szumiało mu w głowie. Był na nogach bez przerwy od kolacji.

Odwrócił się i zobaczył cały swój personel stojący w wielu drzwiach i wpatrzony w niego.

Jeszcze przed chwilą bał się, myśląc o poranku. Kiedy wyszedł Jase, spodziewał się, że będzie sam, jak mospheiranie; tak jednak nie było; nigdy tak nie było. Nie zostawiliby go.

- Nadiin-ji, dziękuję, bardzo dziękuję za przybycie.

- Wielka przygoda - rzeki Narani, mężczyzna, który, gdyby był mospheiraninem, powinien wychowywać wnuki. Stanowił jednak wzór dyskrecji i doświadczenia dla pańskiego domu. - Wielka przygoda, nand' paidhi.

- Wasze imiona zostały zapisane - rzekł Bren, skłaniając głowę. Powiedział to szczerze, z głębi serca... powiedział to też do marzycielskiej, entuzjastycznej młodej kobiety, Sabiso, która przybyła głównie po to, by usługiwać Jago; do obecnego przedstawiciela Atigeinich, pulchnego Bindandy, który reprezentował w tym przedsięwzięciu wschodnie, stare rody Patronatu.

- Nandi.

Ukłony, głębokie ukłony personelu, chwila intymnej uprzejmości, zanim udał się do sypialni w towarzystwie mających mu usługiwać Bindandy i Kandany.

Kiedyś uznawał to za krępujący rytuał. Teraz zwyczaj ten przynosił mu ulgę. Ostrożnie zdjął koszulę z koronkowymi mankietami, usiadł, by atevi mogli mu zdjąć buty; wszystkie elementy stroju, od spinek do mankietów po pończochy, zostały starannie zebrane i porwane do pralni, czy w jakiegokolwiek inne miejsce, stanowiące rozwiązanie w ten niezwykły wieczór. Bren nie pytał, co przywieźli, co zostawili ani co mogą robić z brudną bielizną. Gdyby wymienił jakąś pozostawioną rzecz, zaraz posłaliby po nią do Bu-javid i Bóg jeden wie, że wkrótce by się pojawiła.

- Dobrego odpoczynku, nand' paidhi - rzekł Narani. Udało mu się odwinąć kołdrę i ukłonić się, elegancko i płynnie, podczas gdy młody Kandana, siostrzeniec, krążył w pobliżu ze szlafrokiem. - Zechcesz się wykapać?

- Tak, nadiin. - Przyjął szlafrok, w który zρέcznie go ubrał Kandana, wsunął na nogi kapcie... Czy paidhi-aiji powinien iść bosy, nawet dziesięć metrów korytarzem? Personel uznałby, że jest źle traktowany.

Była to bardzo nowoczesna łazienka. Porcelana miała o wiele mniej lat od przeciętnego wyposażenia łazienek w Bu-javid, lecz poziom wody we wgłębionej wannie był odpowiedni. Bren wśliznął się w miękką woń ziół aż po sam nos i zamknął oczy, a nadprogramowe pół kieliszka wódki kipiało mu w mózgu, blokując wyższe poziomy.

Pojawił się cień, mroczna obecność odbijająca się upiornie w ciemnych kafelkach - Jago, też w szlafroku.

- Czy mam się wykapać później, nandi?

Tak skrupulatna we wchodzeniu i wychodzeniu z roli ochroniarki. Może wywołują skandal? Bren nigdy nie był tego pewien. Nie miał pojęcia, jak tę sytuację widzi Banichi, i cierpiał męki wątpliwości. Nie był nawet pewien, jak sytuację widzi Jago, poza tym, że wcale się nie zdziwił jej nieproszonym pojawieniem się po dniu pełnym napięcia.

- Teraz będzie bardzo miło, Jago-ji.

Zrzuciła płynnym ruchem szlafrok, wysoka, czarna i piękna jak jakaś morska istota... Weszła do wody i zanurzyła się w niej, głęboko westchnawszy. W następnej chwili wynurzyła się, z lśnjącymi włosami wciąż splecionymi w

warkocz: zachowując tylko tę oznakę przyzwoitości, mogła stawić się na wezwanie naga, jak nowo narodzona, bez naruszenia swej godności; robiła to już czasami, podobnie jak Bren i jego personel. Nie ostała się tajemnica, lecz był podziw dla piękna i oczekiwanie. W kontaktach z atevimi człowiek nie mógł wypowiedzieć słowa "kocham" albo "przyjaciel", czy któregokolwiek z tych ludzkich słów... Ciała jednak wiedziały, że mimo różnic istnieje ciepło, oczekiwanie i pociecha. Technicznie mogła być na służbie; Bren był raczej pewien, że w kieszeni szlafroka spoczywa pistolet.

Lecz Jago zadbała o jego wygodę, ogrzewając Breną silnymi, pełnymi wdzięku ramionami, kiedy nagle poczuł nad wodą chłód klimatyzacji, a pod sobą gorąco atewskiego ciała. Woda parowała w chłodzonym powietrzu, tworzyła wokół nich chmury, znaczyła białą nagie, czarne ramię Jago i jej włosy.

Duże atewskie ciała ochładzały się wolniej od ludzkich, wchłaniały ciepło i oddawały je mniej gwałtownie, po prostu dlatego że były większe; dzięki swemu wzrostowi Jago mogła unieść i odrzucić Brenę bez większego wysiłku. Tak się jednak nie działo w ich wzajemnych stosunkach. W granatowych ścianach odbijał się wyraźniej niż ona. Jej było zawsze ciepło, jemu chronicznie zimno. Ich pierwsze zbliżenie, przekraczające granice gatunków i instynktów, stanowiło komedie zaplątanych kolan i łokci; teraz jednak mieli wprawę i ze śliskim od mydła uściskiem poradzili sobie bez żadnych trudności. Dłonie wędrowały, ciała znalazły wygodne ułożenie pod parującą powierzchnią. Jago się to podobało, jemu też. Przybył z Mospheiry na tyle niedawno, by zdawać sobie sprawę z jej obcości, i na tyle niedawno rozmawiał z Jasem, by wciąż mieć rozbudzone ludzkie uczucia.

I nadal nie wiedząc, czy te interludia ze źródłem jej man'chi są dla niej dozwolone, czy też gorszą jej Gildię, Bren nie potrafił znaleźć dość siły lub powodów, by je przerwać. Odnalazł w tych spotkaniach łagodność, jakiej nigdy nie doświadczył z Barb... Jego weekendy z Barb były intensywniejsze, bardziej desperackie, mniej zadowolające. Nie wiedział, które z nich ponosiło za to winę, wiedział natomiast, że to, co tak ostrożnie praktykuje z Jago, wyraża szacunek względem partnera w sposób, o jakim ani on, ani Barb, nigdy nie myśleli. Był tu humor, były psikusy; nigdy, chyba że przypadkiem, nie pojawiał się ból.

Walczył, by nie zaangażować w to serca, które mówiło mu, że to, co nazywali z Barb związkiem, nawet w połowie nie było tym, co chciał czuć. Pytał albo starał się zapytać, czy Banichi i Jago są w jakimś związku; Jago powiedziała żartem, że Banichi ma swoje zdanie, a Banichiemu nigdy nie udało się traktować Brenę poważnie... Tak więc właściwie nie odpowiedział mu na pytanie, a nie było to coś, o co mógłby zapytać Tabiniego: Jak atevi się kochają?

I nie zamierzał o to pytać wdowy, która - był tego pewien - zażądałaby wszystkich lubieżnych szczegółów.

Ponad wszystko było pewne to, że Banichi nigdy nie zdradzi swojej partnerki, że ona nie zdradzi Banichiego, ani pod ostrzałem, ani w łóżku.

Oboje, Bren i Jago, mieli pewność, że man'chi, poczucie patronatu, przepływało bardziej w górę niż w dół i że przede wszystkim żaden żywy człowiek nie rozumie atewskich stosunków.

Lecz im bardziej Bren zagłębiał się w atewski świat, tym lepiej wiedział, że nie tworzą pary. Założył istnienie trójkąta; potem uznał, że to nawet nie trójkąt, ale jakiś skomplikowany atewski wzór, skręcony baji-naji ich własnego autorstwa, i im głębiej brnął w uczucia, tym większej nabierał pewności, że nie ma okablowania do odczuwania jak ateva i że może czuć tylko to, co potrafi czuć człowiek.

Niech Bóg ma go w swojej opiece, myślał czasami Bren, ale Jago nigdy go o nic nie prosiła. W miejscach publicznych zachowywali się jak zawsze oficjalnie i przyzwoicie, zawsze całą trójką, ona, on i Banichi, oraz czwórka i piątka, jeśli doliczyć Tano i Alginiego, tak jak miało to miejsce od chwili, gdy zetknął ich ze sobą Tabini.

Kiedy jako nastolatek przystąpił do programu szkolenia, zakochał się w tym co obce, złożone, odmienne.

Ona z pewnością taka była. Boże, była... Czyste bezgraniczne zaufanie, seks i jej egzotyczna, po zęby uzbrojona wersja opiekuńczości, tworząca jeden koktajl.

Odpooczywali spleceni w uścisku, aż od długiego przebywania w wodzie pomarszczyły im się palce. Dzięki grzałce woda parowała.

Rozmawiali o niedawnej podróży na Mospheirę...

- Barb przyszła na lotnisko - powiedział Bren.

- Spodobało ci się? - zapytała Jago.

- Ani trochę.

Rozmawiali o kolacji z wdową.

- Cenedi dobrze wyglądał - rzekł Bren.

Ona jednak w trakcie ich interludii nigdy nie rozmawiała o sprawach służbowych. Zawsze miała lepsze poczucie romantyzmu od niego; teraz nawijała sobie na palec wilgotny kosmyk jego włosów. Warkocz rozplotła mu już wcześniej. Jej język zawędrował po krzywiźnie ucha Brena do wnętrza małżowiny.

W drzwiach, nad parą, pojawił się cień.

Banichi.

Bren był wstrząśnięty.

- Jago-ji - zaczął. Była zaskoczona, lecz nie zdumiona.

- Nandi. - Banichi zwrócił się do niego, co dziwne, oficjalnie. -

Dzwoni twoja matka, prosząc o połączenie, bez względu na to, gdzie jesteś. Mówi, że to pilne.

Banichi spotkał się już z pilnymi żadaniami matki Brena. Podobnie jak on sam. Kiedy ręce i kolana Jago wypuszczały go z uścisku, miał mglistą świadomość reszty swego ciała i zarazem reszty ciała Jago, miękkiego i twardego w wielu miejscach.

Prawdopodobnie zaczerwienił się. W każdym razie czuł ciepło.

- Żałuje nadejścia nie w porę - rzekł Banichi - ale mówi, że dzwoni ze szpitala.

- Cholera.

Wyszedł z wody, a Banichi podał mu szlafrok.

Kiedy go wkładał, Jago też wyszła z wanny. Miał na tyle przytomności umysłu, by zerknąć na nią do tyłu przepaszczając za chwilę skrępowania, bez względu na to, co ją spowodowało, i wiedział, że w sytuacji kryzysowej, pod nieobecność Tano i Alginiego, którzy byli z Jasem, Banichi wolał opuścić posterunek ochrony niż posłać po Brena - do łazienki - służących.

Wychodząc, Bren mocno zaciągnął szeroki pas szlafroka. Matka miewała już takie napady... Przed trzema laty przeszła operację, która, jak sądzą, załatwiła problem serca, o ile pozwalały na to jej wiek i wybory życiowe.

Przynajmniej dzwoniła osobiście.

Boże, czy coś mogło się stać Toby'emu albo Jill? Miał wrogów, a niektórzy z nich byli pozbawieni skrupułów. Umożliwił Kroger telefonowanie na wyspę. Wiadomość o misji mogła się rozejść nie wiadomo gdzie, a Bren nie skontaktował się z Shawnem, by doradzić wzmocnienie ochrony matki i powiadomić go, że on sam wchodzi w skład misji.

Banichi dotarł do posterunku ochrony przy wejściu głównym, do miejsca pełnego skomplikowanej elektroniki i telefonów.

- Zwykły aparat, nadi - powiedział Banichi; Bren odwrócił obrotowy fotel, usiadł w nim i podniósł słuchawkę wyglądającą jak słuchawka.

Banichi usiadł przy głównym stanowisku i wcisnął kilka guzików. Bren usłyszał trzask łączy.

- Proszę mówić - odezwał się w mospheiranie atewski telefonista. Jego głębokiemu głosowi odpowiedział wyższy głos ludzki:

- Proszę mówić, pani Cameron.

- Mama?

- Bren? - W głosie matki drgała nutka paniki, prawdziwej rozpacz, i samo to już było niezwykle. Bren znał różnicę.

- Mamo, dobrze się czujesz? Gdzie jest Toby?

- Nie wiem. Nie wiem. Bren, musisz tu po prostu wrócić. Jeszcze dzisiaj.

- Mamo, przykro mi, ale nie mogę...

- Musisz tu przyjechać!

- Gdzie jest Toby? - Rozbił się samolot? Samochód? - Gdzie jesteś?

Linia prychnęła; takie cholerne szумы zdarzały się, kiedy doskonale zabezpieczona atewska sieć łączyła się przez radio z siecią mospheirską. Bren ścisnął słuchawkę, jakby mógł w ten sposób utrzymać połączenie.

- ...w szpitalu.

- W jakim mieście, mamo? Gdzie jest Toby? Słyszysz mnie?

- Jestem w mieście! - To zwykle oznaczało stolicę. - Obok szpitala! Słyszysz mnie? Niech diabli tę linię!

Nie w szpitalu.

- Jesteś obok szpitala. Gdzie jest Toby, mamo? Gdzie jest mój brat?

- Nie wiem. Odleciał po południu. Chyba powinien być w domu. Może razem z Jill wstąpili do Louise, żeby odebrać...

- Mamo, dlaczego jesteś przy szpitalu?

- Bren, nie podnoś głosu!

- Ja nie krzyczę, mamo. Powiedz, o co chodzi. Jasno. Wyraźnie. Co się dzieje?

- Barb jest na oddziale intensywnej terapii.

- Barb?

Dlaczego właśnie Barb?

- Po wyjściu z lotniska poszliśmy z Barb na zakupy. Wiesz, jak odprowadziliśmy Toby'ego na samolot. Byliśmy w Valley Center, w tym nowym krytym pasażu, no wiesz...

- Znam go. Upadła? - Były tam ruchome schody. Nowa posadzka. Pasaż otworzyli tej wiosny, ogromny jasny budynek. Wysokie, otwarte ruchome schody.

- Nie, właśnie wychodziliśmy do samochodu i znikąd pojawił się autobus.

- Autobus. Mój Boże.

- Wpadła mu pod same koła, Bren. Upadłam i rozglądałam się, przejechał obok mnie, a ona nic nie mówiła, tylko... wpadła pod koła, wszędzie były paskunki, kupiłam taki nowy sweter...

Matka była w szoku. Bren słuchał najgorszej sprawozdawczym świata, która wcale nie przekazywała najważniejszych szczegółów.

- Mamo, w jakim ona jest stanie?

- W złym, Bren. Powtykali w nią te wszystkie rurki. W środku ma sieczkę. Naprawdę z nią źle. Chce, żebyś przyjechał, Bren.

Na pulpit skapywała woda. Klimatyzacja wyziębiła Brenowi stopy i dłonie na lód. Opuszkami palca rozmasował kilka kropelek wody, myśląc o nowym pulpicie, o nowej placówce. Nie był w domu. Nie będzie nawet w jego pobliżu. Usiłował wymyślić coś do powiedzenia. Starał się wybrać jakąś racjonalną wypowiedź.

- Wiem, że ty z nią jesteś, mamo. Czy tobie nic się nie stało?

Skierowanie uwagi matki na pierwszą osobę liczby pojedynczej było najszybszym sposobem odciążenia jej od cudzych nieszczęść. Uprawiał tę taktykę przez lata drobniejszych awarii.

- Ona potrzebuje ciebie, Bren.

Źle.

- Czy nic ci nie jest, mamo?

- Tylko łokieć. Obtarłam sobie łokieć na krawężniku. Bren, ona jest w tak złym stanie...

Skrzywił się i zaklął w duchu. Ręka mu się trzęsła. Obok Banichiego w niewielkim pomieszczeniu pojawiła się Jago w szlafroku, dając Brenowi wsparcie. Ale Bren nie wiedział, kto teraz jest z jego matką ani jak groźny był

wypadek. Pilnowali jej ludzie Shawna. Zawsze mieli na nią oko. Tym razem jednak cholernie zawiedli.

- Czy ktoś ocenił stan Barb?

- Śledziona, wątroba, płuco... prawa noga, lewa ręka... martwili się uszkodzeniem głowy.

- Boże. - W sprawach medycznych jego matka orientowała się bardzo dobrze. Z dolegliwości zrobiła sobie hobby. - Czy ktoś zadzwonił do Paula?

- Tego bezużytecznego...

- Mamo, on jest jej mężem! Zadzwoń do niego!

Usiłował zebrać potrzebne myśli i uspokoić żołądek. Jego matka przyjęła funkcję portiera, nie zadzwoniła do męża Barb. Miał nadzieję, że zrobił to szpital.

A pora...? Nie był pewien pory dnia. Na wschód od Mospheiry było już dobrze po zmroku. Jeśli jego matka i Barb poszły do pasażu zaraz po odprowadzeniu Toby'ego na lotnisko, to wypadek nie mógł się wydarzyć aż tak późno. I ona dopiero teraz się dodzwoniła?

Bren znajdował się za kurtyną ochrony. Bóg jeden wie, jak matka przekonała całą światową sieć, aijini i kapitanów, że to naprawdę nagły wypadek. A teraz się rozkleiła i szlochała w słuchawkę.

- Mamo, ty się przewróciłaś. Czy ktoś cię obejrzał? - Był szczerze, głęboko zatroskany. - Jesteś pewna, że autobus cię nie potracił?

- Coś mnie uderzyło. Nie jestem pewna.

W jej tonie wyczuł, że to nieważne, że nie ma to wpływu na jej ból.

- Czy obejrzel cię lekarze?

- Tak. - Powiedziała to lekceważąco. - Bren, Bren, możesz dostać samolot. Powiedz aijiemu. Musisz to zrobić.

- Dzwoniłaś do Toby'ego?

- Ona nie potrzebuje Toby'ego, do cholery! Ona potrzebuje ciebie!

- Ty potrzebujesz Toby'ego, mamo. Chcę, żebyś do niego zadzwoniła.

- Posłuchaj mnie, Bren! Posłuchaj mnie cholernie uważnie! Kobieta, którą zamierzała poślubić, leży tu na intensywnej terapii, i nie mów mi, że cię to nie obchodzi! Nie mów mi, że masz tam romans i że to, co tu, nic cię nie obchodzi. Wypłacz się z tego i wracaj!

Wie. Domyśliła się. Podczas jednej z jej wizyt komuś coś się wymknęło... Najsilniejsza ochrona na świecie, a ona się dowiedziała.

- Nie mogę. Nie mogę, mamo.

Pocałunek Barb w hangarze, Barb, cała i zdrowa, biegnąca po betonach, i autobus, na litość boską... w tym wszystkim pobrzmiwało echo mrocznej, złośliwej komedii, groteskowej niemożliwości, i Bren nie pojął nawet połowy strasznych szczegółów, którymi zalała go matka, poza tym, że są złamania, przebite płuco i krwotok wewnętrzny.

A znając Barb... znając Barb, która była jego wyspiarską kochanką i czasami skrzynką kontaktową do przekazywania niebezpiecznych wiadomości, było całkiem możliwe, że to ona pchnęła jego matkę na ten krawężnik i w ten sposób sama dostała się pod koła, i to właśnie podsycało rozpacz matki.

Barb by tak zrobiła. Mimo że nie udało im się pozostać parą, Barb tak by zrobiła.

- Jakie ma szansę? - zapytał, bojąc się odpowiedzi. - Jakie są uszkodzenia?

- Zamierzają zrobić przeszczep kości i skanowanie mózgu. - Matka zaczerpnęła głęboko tchu i, recytując listę szczegółów, uspokajała się. - Jest przytomna. Kiedy nadjeżdżała karetka, prosiła, żeby ci powiedzieć, że to naprawdę nie zostało ukartowane, by cię ściągnąć z powrotem. A kiedy wnosili ją do karetki wyszeptała: "Potrzebuję go". To prawda, Bren. Ona naprawdę cię potrzebuje. Miałam przeczucie, że nie powinienes dziś lecieć.

Nie widziała tego cholernego autobusu, ale to nie przekona jego matki, że nie ma żadnych przeczuć.

Zrobił, co mógł. Osobisty telefon wcale by jej nie pomógł, nawet gdyby Bren się przedarł przez zasłonę ochrony, otaczającą intencje Tabiniego. Godziny prób dotarcia do niego.

A kiedy dokonała cudu, by to osiągnąć, co jej powiedział?

- Mammo, absolutnie nie mogę przyjechać.

- Nie mów mi tego, Bren! Musisz przyjechać i koniec! Jak jesteś taki cholernie ważny dla Tabiniego, to niech ci natychmiast da samolot. Chcę cię tu mieć!

- Mammo, biorę udział w czymś, czego nie mogę przerwać. Nie mogę ci powiedzieć nic więcej, ale to jest ważne. Przykro mi. Przekaż Barb, że strasznie mi przykro. I nie waz się jej mówić, że ją kocham. Nie rób tego, mammo.

- Posłuchaj mnie, Bren. Posłuchaj. Ta praca cię zabija. Zabija syna, którego znałam. Zabija wszelkie szczęście, które ma cię spotkać. Nie czekaj do sześćdziesiątki, by uznać, że powinieneś się ożenić, nie czekaj do końca życia, by żałować, że nie masz dzieci...

- Mammo...

- Słuchaj mnie, Bren! Wiem, co się dzieje między tobą i tą atewską kobietą! To nie jest w porządku!

- Mammo, gdzie jesteś? - Był wstrząśnięty, że wie, ale jeszcze bardziej wstrząśnięty myślą, że mogłaby być w jakimś przejściu, rozmawiać z publicznego telefonu. - Nie mów tego głośno. Nie podnoś głosu.

- Wstydzisz się? Martwisz się tym?

- Martwię się, co moja matka mogłaby powiedzieć w miejscu publicznym. Martwię się o jej bezpieczeństwo, gdyby ekstremiści znów się rozruszali na wieść o jakiejś cholernej plotce - takie gadanie nie pomoże też Durantowi. Cicho! Nie ruszaj się. Posłuchaj mnie...

- Ty naprawdę nie chcesz tego usłyszeć, co? Wiesz, że Barb zawsze cię kochała. Wyszła za tego durnia, Paula, bo złamałeś jej serce. Zraniłeś ją, Bren, a jej było przykro. Jednak ty byłeś zbyt zadufany w sobie, zbyt ważny w tej swojej wymyślnej posiadłości, by przyjąć ją z powrotem.

- Nigdy jej nie obiecywałem małżeństwa. Ja jej nie kocham, mammo! Przykro mi to mówić w tych okolicznościach, ale ja jej nie kocham. Nigdy jej nie kochałem, ona nie kochała mnie; sypialiśmy ze sobą. To wszystko. Próbo- wałem mieć coś innego, i to ona tego nie chciała.

- Nie wiesz, co czuła! Nie było cię tu! Włóczyłeś się po kontynencie, zachowując się jak jakiś atewski pan! Postanowiła wyjść za męża. Wyjść za męża za kogoś godnego szacunku, jak robią rozsądni ludzie, kiedy chcą mieć po prostu normalne życie.

- Ja nie mam normalnego życia.

- Bała się, Bren, bała się i była urażona - osobiście urażona tym, co robiłeś. Gdybyś poprosił, żeby się rozwiodła z Paulem, przyjechałaby natychmiast.

Radzenie sobie z matką było jak bieg pod ostrzałem... Bren bał się, że matka powie Barb, iż być może on wróci, zniszczy jej małżeństwo, przepędzi Paula, kiedy Barb będzie go potrzebować, i jeszcze bardziej ją zrani. A przede wszystkim nie mógł tego zaproponować Barb... Ponieważ nie zamierzał wracać, a wszystko, co ceniła i czym chciała być, jej moda, blask nocnych klubów, wszystko, co kochała... nie istniało po tej stronie morza.

- Nie mogę się z nią ożenić. Koniec, kropka. Nie pora na dyskusję na ten temat.

- Jak możesz taki być? Przyjeżdżałeś do domu. Pojawiałeś się na weekend, prosiłeś Barb, by zrezygnowała ze wszystkich planów, po czym jechaliście pędem do jakiegoś hotelu, uciekając przed dziennikarzami. Potem wyjeżdżałeś, dziennikarze dowiadywali się, gdzie byliście, i Barb musiała zniknąć, całymi tygodniami tkwiąc zamknięta w swoim mieszkaniu, Bren, czasem bojąc się o życie!

- Wiem. - To była prawda. Barb brała udział w międzynarodowej intrydze jako części jakiejś błyskotliwej gry, dopóki gra nie stała się krwawa; a

teraz jego matka doprowadza się do płaczu. Starał się przepchnąć swój punkt widzenia, póki jeszcze istniała racjonalna myśl, zdolna go pojąć. - Nic nie mogę na to poradzić. Nic nie mogę na to poradzić, mamó; słuchaj mnie! Straż prezydencka naprawdę cię chroni. Jeśli w szpitalu znajdują się teraz jacyś szpiedzy, to oficjalnie. Prawdopodobnie są teraz w szpitalu. Chcę, żebyś zadzwoniła do Shawna Tyersa. Wiesz, jak to zrobić.

- Nie odkładaj słuchawki!

- Mamó, wiesz, że cię kocham. Tak już jest. Zadzwonź do Shawna. Zadzwonź do Paula... wiem, że nie chcesz, ale zrób to! A potem idź do domu i odpocznij.

To, co było między nami, mamó, to wciąż jej interes i mój interes. Uwierz mi, że znam Barb, znam ją cholernie dobrze, i nie mogę jej pomóc, wplątując się w jej życie i drugi raz je rujnując.

- Nie bądź taki, Bren.

- Przykro mi jak diabli z powodu tego, co się stało. Źle mi się robi na samą myśl o tym. Nie mogę jednak tego naprawić i nie waź się jej mówić, że ją kocham, nie waź się jej mówić, że istnieje teraz jakaś nadzieja na mój przyjazd. Nie istnieje. Tylko ją zranisz. Słyszysz mnie, mamó? Idź do domu! Zadzwonię, jak tylko będę mógł.

- Obiecuj, że zadzwonisz do Barb.

- Nie. Muszę już iść.

- Zadzwonź do niej, Bren.

- Idź do domu, mamó. Dobranoc. Kocham cię.

Odłożył słuchawkę. Miał świadomość obecności Jago w drzwiach posterunku ochrony oraz faktu, że i ona, i Banichi, zrozumieli niektóre słowa tej rozmowy.

- Barb miała wypadek - powiedział. - Wpadła pod autobus. Moja matka przewróciła się i skaleczyła. Barb jest w szpitalu. Nic nie mogę stąd dla niej zrobić. - Nie rozumieli miłości, nie rozumieli skomplikowanych szczegółów nieudanych ludzkich związków, ale wiedzieli, że uparcie istnieje przywiązanie. A przede wszystkim wiedzieli, co to lojalność i pragnienie do-tarcia na scenę kłopotów. - Nic nie mogę zrobić.

Banichi rzekł poważnie:

- Aiji może zażądać, by zadziałał prezydent Mospheiry i Shawnnandi. Czy mamy tak zrobić?

Tabini mógł wiele, a jednocześnie cholernie mało.

- Nie w tej sprawie. Tobý nie wrócił jeszcze do domu. Połącz mnie z jego domem, Banichi-ji. Zostawię wiadomość.

Banichi wcisnął kilka guzików. Punkt zetknięcia systemów komunikacyjnych funkcjonował o wiele lepiej niż przedtem; kody bezpieczeństwa włączały się automatycznie, kiedy wiadomości przekraczały cieśninę. Nawet o tej porze po mospheirskiej stronie pracował telefonista, lepszy niż za dawnych czasów, i wiadomość ruszyła w drogę na północne wybrzeże, gdzie przejęła ją automa-tyczna sekretarka Tobý'ego.

Bren doznał częściowej ulgi. Łatwiej było zepchnąć ciężar na urządzenie elektroniczne. Był pewien, że matka umieściła w poczcie Tobý'ego jedno z tych szarpiących nerwy wezwań "Zadzwonź do mnie!", i miał nadzieję, że zostawiając wiadomość, przynajmniej poinformuje brata, o co chodzi, gdyby kontakt z matką urwał się, zanim Tobý pobiegnie w noc, by spróbować wynająć samolot.

- Mama chyba czuje się dobrze - zaczął, wykorzystując wieloletnie doświadczenie w rozwiązywaniu sytuacji kryzysowych na odległość. - Jak rozumiem, zadrapania i sińce. Barb jest w szpitalu, mama z nią. Dość poważny wypadek z autobusem, mama go widziała, może nawet znalazła się przed nim. Chce pociechy. Tobý, wiem, że właśnie wszedłeś do domu, diabelnie nie chcę cię tym obarczać, ale w tej chwili jestem za parawanem ochrony i żadną miarą nie mogę do was wrócić. Moim zdaniem nie musisz lecieć, tylko zadzwonź do mamy w... - Zawodowe opanowanie słabło. - Nie wiem, który to szpital. - Ich matka była prawdopodobnie jedną z nielicznych osób spoza rządu, które nie korzystały z

usługi przekazywania przychodzących rozmów: względy bezpieczeństwa. Była też jedną z bardzo nielicznych osób, z rządu czy spoza niego, które nie całkiem zdawały sobie sprawę z otaczającej ich sieci ochrony. Bren nie mógł zadzwonić do jej ochroniarzy i zapytać, gdzie jest matka. Miał nadzieję w Bogu, że oni wiedzą i że matka wraz z Barb nie zniknęły z ich pola widzenia. - Nie podała mi nazwy szpitala. - Zakrył dłonią mikrofon. - Banichi-ji. Sprawdź, skąd telefonowała moja matka.

Banichi wcisnął kilka guzików, napisał coś na karteczce i podał ją Brenowi.

- Centralny Miejski - powiedział do słuchawki. Odczuł ulgę. Znał ten numer na pamięć. - Posłuchaj, zadzwoń do niej poprzez linię szpitala, a jeśli jej tam nie ma, zadzwoń do mieszkania. Możliwe, że Barb wypchnęła mamę sprzed autobusu. Jest naprawdę roztrzęsiona. Barb jest w stanie krytycznym. Boże, przepraszam, Toby, naprawdę przepraszam. Żałuję, że muszę to złożyć na twoje barki.

Toby'ego nie było jednak na miejscu, by mógł powiedzieć Brenowi, że wszystko jest w porządku albo że Toby'ego i jego rodziny nie zatrzymała jakaś katastrofa. A i tak brata otaczali obserwatorzy. Agenci chodzili za jego dziećmi do szkoły. Rząd musiał to robić i Bren dziękował Bogu, że tak jest, ponieważ cała kwestia stosunków ateusko-ludzkich prowokowała do działania wszystkie osoby stanowiące graniczne przypadki szaleństwa, tak na Mospheirze, jak i na kontynencie. Nawet ktoś, kogo przypadkowi wariaci uważali za związanego z Brenem, jak jego były sekretarki, musiał mieć na wyspie stałą ochronę. Zamykanie wariatów, którzy nic jeszcze nie zrobili, było sprzeczne z mospheirskim prawem.

- Trzymaj się - powiedział Bren, słysząc wielką, zimną ciszę. - Dzięki, Toby. Mam nadzieję, że w najbliższych miesiącach wybierzemy się na te ryby. Odłożył słuchawkę.

Nie, nie może wrócić. I nie może wyjawić, nawet na chronionej linii, że leci na stację. Nie przed obiadem. Aiji ogłosi to sam, kiedy aiji uzna za stosowne.

Osobiste kłopoty paidniego nie figurowały w tych planach. Bren pomyślał, że powinien zadzwonić do Shawna... ale jeśli ta druga delegacja zadzwoniła na wyspę, to będą sprawy do wyjaśnienia... mnóstwo spraw.

Na jego ramieniu spoczęła lekko czyjaś dłoń. To Jago sprowadzała go na racjonalne tory myślenia, przypominając, że mimo wszystko nie jest sam.

- Barb właśnie wpadła pod autobus - wyjaśnił. Czuł dystans do tej informacji, jakby to był fragment dość nieprzyjemnego, groteskowego dowcipu. Nie chciał myśleć o jej obrażeniach. - Prawdopodobnie osłoniła moją matkę, która zapewne nie zwracała uwagi na nich uliczny. Tam, gdzie były, jest on dość duży.

- Ateva tylko pyta - rzekł Banichi, który, podobnie jak Jago, pewnie sporo z tego wszystkiego zrozumiał... A nawet więcej, ponieważ oboje znali i matkę Brena, i Toby'ego. - Czy nie poradziłeś matce, by poszła do domu, a Toby'emu nie powiedziałaś, żeby zadzwonił do szpitala?

- Moja matka nie chce iść do domu - odparł Bren. - Nikt z nas nie może stąd nic zrobić. Muszę wierzyć, że zrobi coś Shawn. I Toby.

Ateuskie czoła zmarszczyły się z niepewności, co jest właściwe. Jeśli chodzi o Brena, to ledwie mógł zebrać myśli.

- Nadi - odezwała się Jago. Nie powiedziała "nandi" - "panie mój", lecz po prostu "proszę pana". Chciała, żeby dał sobie spokój. Chciała zabrać go z posterunku ochrony, z dala od pytań.

Miała rację; wstał, ale zerknął na Banichiego, który zawiadywał wszystkim, co przechodziło przez te urządzenia komunikacyjne i nadzorujące, i który bezpieczeństwo Brena oraz jego rodziny traktował bardzo poważnie.

- To był wypadek - rzekł Bren. - Nie mogło być inaczej. Autobusy są publiczne. Poruszają się szybko, nawet lekkomyślnie. Są z tego znane.

- Czasami zdarzają się wypadki - powiedział Banichi.

- Czasami - zgodził się Bren.

Wyszedł z posterunku, wrócił korytarzem do sypialni, otoczonej teraz ciszą. Służący zapewne wycofali się do swoich pokoi, mając nadzieję na sen, albo jeszcze pracowali.

Jago poszła za nim i stała przez chwilę, kiedy Bren wpatrywał się w ścianę.

Otrząsnął się na tyle, by poprosić:

- Zostań.

Zamknęła drzwi. Bren zrzucił szlafrok i położył się do łóżka, a Jago zgaszyła górne światło.

Wsunęła się pod kołdrę obok niego, wokół niego, nie mówiąc ani słowa.

Nie kocham Barb, chciał jej powiedzieć, ale nie było słowa na miłość i dla Jago nie miało to znaczenia; z jej punktu widzenia - ponieważ Bren twierdził, że Barb wciąż jest z jego matką - Barb nadal należała do jego pa-tronatu, nieco odsunięta, ale wciąż w jego ramach.

Ale mimo że w okablowaniu atevich nie było miejsca na miłość, Bren podejrzewał, że zazdrość na tle seksualnym nie jest aż tak odległa. Nie mógł zaufać swoim ludzkim uczuciom w sprawach interpretacji tego, co mogła poza nią czuć Jago, a nie myślał zbyt jasno; podobnie nie miał pewności co do swoich uczuć, emocji... serca, jakkolwiek by to nazwać.

Czy to samo przeżywała Jago?

Nie odprężył się. Nie potrafił.

- Mam włączyć telewizor? - zapytała Jago.

- Niezły pomysł - odparł. Nie chciał brać tabletek nasennych. Po takiej informacji nie potrafił się zmobilizować do uprawiania miłości. Włączyli ma-chimi... fragment kultury bliski religii, ale nią nie będący, mający wiele wspólnego z atewskim sercem, ale zupełnie nic z bogami.

Bren domyślał się, że w rozgrywającej się przed ich oczyma sztuce kobi-eta dowie się, że interesy jej pana są sprzeczne z interesami jej partnera seksualnego. Niewtajemniczony człowiek mógłby się spodziewać czegoś zupełnie przeciwnego do tego, co miało się zdarzyć, ale atevi nie mieli wątpliwości. Tylko czekali na katastrofę.

Wyśle Toby'emu fundusze. Miał je. Zawsze je miał i Toby o tym wiedział. Nie było go na miejscu, ale zawsze mógł się dołożyć do biletu lotniczego.

- Wchodzimy na pokład przed świtem - powiedziała Jago Brenowi do ucha.
- Rozmyślasz o tym, nadi-ji?

- Teraz tak - odparł, uświadamiając sobie, że zasnął i że zdrętwiało mu ramię. Ramię Jago pewnie też. - Która godzina?

- Środek nocy. Odpoczywaj, nadi.

Westchnął i Jago wyłączyła pilotem telewizor.

8

Chociaż lot w kosmos jest rzeczą niezwykłą, była to tylko kwestia wyjścia na korytarz prowadzący do podwójnych drzwi, które z kolei otwierały się na halę odlotów. Był już tam Jase, Tano i Algini; Bren tak się przyzwyczaił do ich widoku, że właściwie nie uznał go za niezwykły, tyle że Banichi i jego zespół zmienili zwyczajową skórę i metal na bardziej dopasowaną operacyjną czerń, czerń noszoną podczas wykonywania misji, jaką dotychczas wkładali tylko przy tajnych zadaniach i rzadko w obecności Brena. To była jedyna różnica.

Drugą jawną różnicę stanowił Lund, Kroger i spółka, bladokórzy, odbi-jający się w szklanych taflach.

- Dzień dobry - powiedziała lodowato Kroger.

- Dzień dobry - powtórzył jak echo, choć nieco przyjaźniej, Lund.

- Dzień dobry - odparł Bren, jakby nic się nie wydarzyło.

Lecz jego uwagę przyciągnął, jego uwagę całkowicie zawładnął, znajdujący się za tą ścianą ciemnych okien, zalany światłem prom, biały jak zima, długi, lśniący i elegancki.

"Shai-shan".

"Lecimy", powtarzał śpiewnie jego umysł, na wpół odrętwiały i ledwie działający z braku snu, podczas gdy ciało wytwarzało fałszywą, kosztowną siłę. Lecimy. Lecimy.

Do pomieszczenia wpuściła ich obsługa ośrodka kosmicznego, która teraz, jako że droga była każda uciekająca sekunda, otworzyła zewnętrzne drzwi hali odlotów. Było to tak doskonale zgrane z jego przybyciem, że Bren nabrał pewności, iż on i jego grupa prawie się spóźnili.

- No cóż - powiedziała Shugart, odetchnęła głęboko i ruszyła. Bren prawie bezmyślnie zaczął iść, zrównał się z Jasonem... po czym, chcąc zachować pokój, czekał na mospheiran, by ich nie wyprzedzić.

Mimo że droga była dość daleka, szli pieszo. Rozważano budowę ruchomej poczekalni, ale pierwszeństwo miał prom i cały budżet koncentrował się na nim oraz na jego siostrzanym statku w budowie. Prom o zwodniczo wdzięcznej sylwetce stał dalej, niż zwykle stawały samoloty, i powoli rósł w oczach zbliżających się do niego osób.

Tymczasem w ludzkich kościach zagnieździły się resztki nocnego chłodu, a żołądki miały mnóstwo czasu na przetrawienie faktu, iż silniki są inne, a skrzydła to zaledwie przedłużenie kadłuba. "Shai-shan" nie wyglądał na dzieło ani atewskie, ani ludzkie. Wyglądał obco, nie na miejscu i nie na czasie... Jego projekt nie był ostatnim słowem techniki, kiedy "Feniks" startował z ziemi ludzi, o nie, ale mógł dobrze służyć tamtym czasem.

Weszli do namalowanego na betonie kręgu. Przed nimi stała kabina windy, windy towarowej z drucianą podłogą, barierką i trapez przylegającym do luku, tylko tyle. Weszli do kabiny - czworo mospheiran, Jase, Bren ze swoją ochroną, a za nimi Narani i troje służących, z bagażem podręcznym, torbami, które wystawiłyby na próbę silnych ludzi. Na dość dużej platformie zostało niewiele miejsca.

Winda zagrzechotała, szarpnęła i wzniosła się do poziomu platformy załadowniczej przytwierdzonej do otwartego luku.

Wychodząc, Kroger przepchnęła się gwałtownie do przodu. Atewski steward patrzył z konsternacją na mijających go pasażerów.

Niech robi, co chce, pomyślał Bren. Minęła stewarda, ponieważ ten nie otrzymał rozkazów stosowania przemocy wobec ludzkiej kobiety i nie przewidział jej ruchu na czas, by zastąpić jej drogę. Bren nie miał wątpliwości, że Banichi i jego zespół wzorowali się na braku sprzeciwu z jego strony... oraz że Kroger nie zyskała u atevich punktu.

Wraz ze swoim zespołem była za mała w kabinie, którą przystosowano do wzrostu i wygody atevich, cudownie prostej i całkowicie pomyślnej w liczbach. Bren wyczuwał to całym sobą i harmonia tego widoku złagodziła jego złość na Kroger, pokazała mu, jak mało ta kobieta znaczy dla atewskich zamiarów polecenia tym statkiem. Mógłby to być jeden z najlepszych pasażerskich odrzutowców na kontynencie: proste rzędy foteli dla najwyżej stu atevich; zamiast okien były płowóżółte płyty wpuszczone w ścianę - jedyna różnica. W każdym miejscu statek sprawiał wrażenie pomyślnego, dobrze zaprojektowanego i solidnego; stanowił środowisko całkowicie zorientowane na pasażera, otaczające go i uspokajające.

Przednią przegrodę zajmowały wysokie, duże ekrany, widoczne z każdego miejsca.

Czekali na nich stewardzi, którzy zaprowadzili Lunda i Kroger do foteli na przodzie, nie sprzecząc się o ich pierwszeństwo; Ben i Kate sprawiali wrażenie zaniepokojonych. Nie bardzo wiedzieli, co zrobić z torbami, ale usiedli ze swoją grupą.

Bren sam wybrał miejsce, przy przejściu, w środkowym rzędzie foteli - miał ich mnóstwo do wyboru - i zaproponował, by Jase zrobił podobnie.

Jase precisiął się obok niego i usiadł przy ścianie, a Banichi i Jago wybrali parę foteli po drugiej stronie przejścia. Ta-no i Algini zajęli rząd tuż za nimi. Służący usiedli z tyłu, we własnym towarzystwie, niewątpliwie bardzo cicho komentując niezwykłą demonstrację czegoś podobnego do man'chi wśród ludzi - czy padła jakaś groźba? Czy ta najważniejsza kobieta poczuła się zaatakowana? Na pewno nie z ich woli.

- Niech szczęście nam sprzyja - powiedział z niepokojem Jason, w ostatnich chwilach krzątający stewardów.

- Baji-naji - odrzekł Bren. Czarno-biały symbol na przedniej ścianie tuż pod monitorami rzucał się w oczy: Los i Przypadek, wzajemne ustępstwa we wszechświecie, od których chwiała się wszystkie sztywne liczby.

Silniki włączyły się, zawyły, aż wreszcie ryknęły. Prom nie najlepiej manewrował na ziemi. Został przyholowany do swego stanowiska, skąd prowadziła prosta droga do jednego pasa startowego, biegnącego w linii prostej od dziobu promu. W miarę wzrostu mocy silników prom coraz szybciej oddalał się od ośrodka kosmicznego. Załoga też prawdopodobnie zapięła pasy.

Prom nabierał coraz większej prędkości - to było niepokojące dla pasażerów przyzwyczajonych do kołowania i manewrowania. Nic nie widzieli; statek drgał w rytm głuchych uderzeń opon.

- Ateva ma nadzieję, że małe samoloty usłyszały wieżę - odezwał się wesoło Banichi, przekrzykując ryk silników.

Boże, pomyślał Bren, i przypomniał sobie, że przez następne pół godziny cały ruch lotniczy będzie kierowany poza Shejidan, co pozwoli promowi opuścić lotnisko. W razie czego do akcji miały wkroczyć samoloty aijiego. W powietrzu prom też nie był tak zwrotny jak samolot. Jeden głupiec i cały program mógł znaleźć się w niebezpieczeństwie, nie mówiąc już o groźbie dla ich życia.

Włączył się środkowy ekran, ukazując podwójny szereg świateł na pasie startowym. Prędkość wciąż rosła. Brak bocznych okien, w połączeniu z czarnym widokiem z przodu, sprawiał, że pasażer siedzący na środkowym fotelu czuł się jak kula w lufie.

Nie jestem zdenerwowany, powiedział sobie w duchu Bren, nie jestem zdenerwowany, wcale nie jestem zdenerwowany. Utkwił wzrok w monitorach, skupił na nich całą uwagę, by nie dopuścić do buntu żołądka, usiłując przekonać dręczącą go klaustrofobię, że to, co widzi, jest oknem. Włączyły się jednak kamery rufowe i cofające się w perspektywie światła rozpoczęły walkę z ruchem do przodu. Potem włączyła się dolna kamera, pokazując oświetloną reflektorem przednią oponę i rozmazaną smugę ciemnego podłoża.

Silniki ryczały coraz głośniej. Grzmiały. Opony uderzały szaleńczo o płyty. Gdzie jest koniec pasa? - pomyślał Bren. Wznies się! Wznies się!

Łomot nagle ucichł, a pokład uniósł się ukośnie. Jakaś ręka pchnęła Brena na piankowe oparcie fotela; poczuł, że się w nie wtapia, podczas gdy cały statek drży w rytm pracy silników, a mocno zaciśnięte palce człowieka usiłują zapobiec rozpadnięciu się promu.

Głęboki oddech. Bren starał się odprężyć, wyglądać swobodnie, ale serce łomotało mu szaleńczo. Żadne tam łagodne kręgi zataczane nad miastem jak w odrzutowcu aijiego, tylko wspinanie się prosto w górę, jak nietoperz wyrrywający się z piekła.

Wspinali się jeszcze długo, zanim zelżał nacisk.

- No i znów się udało - powiedział słabym głosem Jason.

- Tak - zgodził się Bren, perswadując samemu sobie, by puścił podłoki-etnik.

Nachylenie pokładu wciąż jednak było znaczne; wciąż się wspinali, choć pod mniejszym naciskiem; wszyscy mieszkańcy Shejidan na pewno zostali wyrwani z łóżek i pośpieszyli na otwartą przestrzeń, by popatrzeć w górę i dziwić się... To dziwo wciąż było w Shejidan nowe i atevi wybaczali garść spadających dachówek, wypełniając podania o przeprowadzenie napraw, których ślady będą niewątpliwie pokazywać później przyszłym pokoleniom i mówić:

"Widzicie? To pęknięcie powstało w pierwszych dniach podróży kosmicznych; cierpiał to cały Shejidan i wygrał...".

Co? Stacja kosmiczna? Obca Gwiazda, która od wieków świeci na ich niebie?

Naturalne prawo?

Nie każdy mieszkaniec Shejidan cieszył się z napraw dachu. Aiji obiecał jednak nowy port kosmiczny, przekształcenie ośrodka kosmicznego w ośrodek wymiany kulturowej, pracę dla rzemieślników, wielką pomyślność, ostateczny patronat nie z ludźmi, lecz z patronatami ludzi, dzięki czemu będzie można odwrócić niebezpieczeństwo wojny i zapewnić przyszłość.

Ludzie mogli czytać tłumaczenia oświadczeń aijiego i nic z nich nie rozumieć. Aiji przyjął delegację przedstawicieli Ganów, pierwotnych mieszkańców Mospheiry, swego rodzaju heretyków. Zbliżał się cały jasny, nowy świat.

Monitor rufowy pokazał smużkę świtu za światłami pozycyjnymi na białych krawędziach skrzydeł, a dolna kamera właściwie tylko czerń. Kamery dziobowe wychwytywały samą czerń. Lecieli.

A tu Banichi i Jago włączyli lampki przy swoich fotelach i wyjęli jakieś materiały do przeczytania.

Patrzcie na te cholerne monitory! - chciał do nich zawołać Bren. Dzieje się cud! Patrzcie na niebo, na litość boską! Atevi wylęgają na ulice Shejidan! Przymuliło was?!

Wzięli ze sobą podręczniki techniczne.

Było zupełnie jak w samolocie. Statek leciał, nie wykazując żadnych oznak awarii. Odbył już kilka lotów próbnych. Czy nie powinni ufać pilotowi i projektowi, który przetłumaczyli paidhiin?

- O wiele lepiej niż na spadochronach - mruknął obok niego Jase.

Widok się nie zmieniał. Bren nawet nie sięgał do pamięci po szczegóły techniczne, tylko patrzył w monitory, a czas rozciągał się w długą, nie- możliwą chwilę.

Ze swoich miejsc podnieśli się stewardzi. Czysty ateński upór, pomyślał Bren, patrząc z niechęcią na ich poczynania, które, gdyby zapytał go jakiś ateva, na pewno by potępił.

- Nadiin - odezwał się jeden ze stewardów, pokonując stromiznę pokładu - jest sok owocowy, jeśli macie takie życzenie. Unikajcie, proszę, nadmiaru. Śniadanie będzie łatwiej podać teraz niż w stanie nieważkości. - Steward powtórzył to samo w mospheiranie, z zupełnie niezłą wymową.

Z przodu rozległ się śmiech.

- Czy powiedziałem coś źle? - zapytał Brena zaniepokojony ateva.

- Nic podobnego - odparł Bren. - Nie spodziewali się obsługi na pokładzie. - Nie da się wytłumaczyć stanu niemal hysterii oraz ulgi przynoszonej przez humor. - Są w bardzo dobrych nastrojach i gdyby byli atevimi, podziękowaliby ci. Pani Kroger, panie Lund? Chcecie, żeby podano wam śniadanie?

Kroger nie odezwała się. Lund wychylił się z fotela - twarz u wysokiego krańca przejścia.

- A co jest? - zapytał.

- On uprzejmie pyta o charakter propozycji i nie chce nikogo urazić - wyjaśnił Bren.

- Nand' paidhi.

Załogant uklonił się z szacunkiem i ruszył do przodu, by zapisać zamówienia mospheiran, a do Brena podszedł jego kolega.

- Nadiin-ji?

- Poproszę tylko o sok owocowy, jeśli można.

- Dla mnie painai - powiedział Jason. - Moja ostatnia okazja na długi czas. Sok. Grzanka.

- Nadiin - rzekł służący i ruszył w ryzykowną drogę na rufę.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Jase.

- W porządku - odpowiedział Bren niepewnym głosem. - Miało być jak w samolocie, prawda? - Propozycja śniadania wciąż go zdumiewała. - Podczas startu trochę bardziej trzęsie.

- Żadnych problemów.

Nie mów tak - chciał powiedzieć Bren, znajdując się w apogeum przesadności; Banichi i Jago, zamówiwszy duże śniadanie, dalej czytali swoje podręczniki, prawdopodobnie dlatego, że nie mieli szans uczestnictwa w tym, co się działo. Za nimi siedzieli Tano i Algini, którzy również zamówili śniadanie.

Pojawił się sok owocowy w pojemnikach z przykrywką. Lund uznał, że może będą chcieli jeszcze jedną porcję w drodze na orbitę, więc załoga kabiny miała co robić.

Bren poprzestał na jednej szklance soku. Jase jadł z apetytem.

Nie było już żadnych telefonów z wyspy. Myśl la błysnęła Brenowi po raz pierwszy od obudzenia, od na wpół przytomnego ubierania się i dopilnowywania ostatnich szczegółów.

Toby chyba zajął się sprawą.

Matka pewnie dotarła w końcu do domu, a nikt z rodziny nie ma pojęcia, że prom przekraczający z hukiem prędkość dźwięku nad cieśniną unosi jednego z Cameronów z powrotem w kosmos.

Na stację kosmiczną, o zobaczeniu której marzył... o zobaczeniu której marzył jak o ujrzeniu powierzchni księżyca; na stację kosmiczną, gdzie narodziły się wszystkie polityczne strachy mospheiran, która była historią, razem ze statkiem będącym arka w opowieściach przodków, początkiem całego ludzkiego życia na świecie.

W pewnej chwili silniki ścichły i pracowały dalej miarowo. Śmiech Ginny Kroger poniósł się niewątpliwie dalej, niż zamierzała, ale Bren ucieszył się, że go słyszy. Część zdenerwowania Kroger mogła być spowodowana strachem, o czym ona sama być może nie wiedziała; a teraz największe niebezpieczeństwo już minęło... technicznie największe. O tym właśnie usiłowały ich przekonać sprawozdania.

Załoga zebrała plastikowe tacki i kubeczki i przeszła na rufę. Bren spojrział na zegarek, znając opisy lotów, jako że przechodziły przez jego biurko, a on sam pocił się podczas startów, wszystko pilnie sprawdzając.

Teraz znajdował się w miejscu, gdzie liczyły się drobiazgi, stadia lotu, które na ziemi wydawały się długie, a tu, w górze, sprawiały wrażenie za krótkich i za długich zarazem.

- Przygotować się do przełączenia - dobiegło z kabiny pilota, a załoga kabiny pasażerskiej przetłumaczyła na mospheiran:

- Proszę państwa, teraz przełączają się silniki. Natychmiast zabezpieczyć wszystkie przedmioty. Nastąpi stan nieważkości. Umieście wszystkie, choćby najmniejsze luźne rzeczy, w bezpiecznym zamknięciu. Mogą ulecieć i uderzyć współpasażera.

O Boże, pomyślał Bren. Tej chwili się bał. Chwili, kiedy gasi się silniki, by włączyć inne.

Załoga kabiny przeszła na rufę.

Niebo w dziobowym monitorze pojaśniało, lecz nagle otworzyła się w nim dziura... nie noc, ale próg kosmosu.

Nastała chwila niesamowitej ciszy. Ciążąca na żołądku chwila bez napędu. Spadamy! - rozkrzyczały się niepokoje.

Nagle prom stanął na ogonie. Takie przynajmniej było złudzenie. Cały świat zmienił położenie. Z przodu rozległ się jęk, z rufowych foteli krzyki służby.

Oraz stłumiony jęk paidhi-aijiego, który uświadomił to sobie ze skrzepowaniem.

Jednak środkowy monitor pokazywał w górę i pokazywał czerń. Dolna kamera była wyłączona. Kamery rufowe przekazywały obraz światła pozycyjnych.

Banichi i Jago, niech ich licho, jedynie spokojnie zastosowali się do instrukcji bezpieczeństwa.

- Tak powinien się zachować - powiedział Jason.

- Cieszę się - odparł Bren. - Ogromnie się cieszę.

Żałował, że napił się tego kwaśnego soku, nie był na to przygotowany psychicznie, a gdzieś w jego pamięci tkwiła poplątana informacja o przewidywanej długości trwania przyspieszenia. Przedtem to były jakieś liczby, teraz kwestia życia i śmierci, i Bren naprawdę bardzo nie chciał, żeby to trwało choćby o jedną sekundę za krótko.

Wrażenie leżenia na wznak powoli słabło.

I nagle nie było już dołu ani hałasu, tylko odgłosy pracy wentylatorów i ogólny szum urządzeń. Spadamy! - krzyknął znów mózg, nieco już zmęczony paniką. Bren zerknął zbyt szybko w lewo - ucho wewnętrzne zupełnie nie przystosowało się do tej zmiany.

- Boże - mruknął, stanowczo napomniał swoje wnętrza i odwrócił głowę o wiele wolniej, chcąc sprawdzić, czy przedmioty rzeczywiście unoszą się w powietrzu, jak mu mówiono. Jego ręce się unosiły.

Siedząca za Banichim Jago eksperymentowała z długopisem wyjętym z kieszeni. Kiedy odbił się od fotela przed nią, wyglądała na zafascynowaną. Bren też patrzył na ten cud, walcząc z żołądkiem.

Banichi wydawał się nieco mniej urzeczony tym zjawiskiem i przybrał dość ponurą minę; Bren doznał moralnej pociechy. Atevi nie byli odporni na zaburzenia równowagi i pierwsza załoga udowodniła ten biologiczny fakt... była to w rzeczywistości ta sama załoga, która prowadziła prom w tej chwili.

- Wróciliśmy - odezwał się cicho Jason. - Wróciłem.

- Czy dobrze nam idzie? - zapytał Bren.

- Całkowicie - odparł Jase.

A więc żołądek Jase'a rozumie, co się dzieje. A jeśli tak jest, to niech mnie diabli, pomyślał Bren, gdybym miał przepuścić podróż, o której marzyłem... Silniki włączyły się, przebywali w stanie nieważkości i, szukając zawzięcie czegoś, by to udowodnić, Bren wynalazł na dnie kieszeni zwitek papieru z numerem telefonu szpitala, który podał mu Banichi.

Bren wypuścił papier w powietrze, nie wierząc własnym oczom - cud. Papier nie powinien robić takich rzeczy.

A może cudem jest grawitacja? Czyż nie jest cudowne, że świat trzyma się razem i przyciąga do siebie różne rzeczy?

Nie, Bren nie chciał myśleć o przyciąganiu.

Wszystkie monitory pokazywały teraz czerń. Bren myślał, że zobaczy gwiazdy. Była jedna. Może dwie.

Zmieniły się wszystkie zasady.

Ta podróż w stanie nieważkości stanowiła długi powszechny eksperyment. Poddali się mu nawet Lund i Kroger, chociaż wysunęli się ze swoich foteli tylko częściowo; Ben i Kate mocno trzymali się uchwytów, starannie unikając przekroczenia tej niepisanej granicy w kabinie, ale dokazywali jak dzieciaki na wakacjach.

Co jednak godniejsze uwagi, nawet Banichi rozpiął pasy, a potem w jego ślady poszli pozostali, lecz w poczynaniach swojej ochrony Bren dostrzegł coś więcej niż ciekawość... Banichi eksperymentował z siłą: odepchnięcie tu, odskok tam, powrót; Jago, Tano i Algini zachowywali się bardzo podobnie.

Na kursie zbieżnym pojawił się długopis, zgubiony przez smutną tłumaczkę z przodu; Tano przechwycił przedmiot

Narani był zachwycony. Służący, którzy śmiali się ze stewardami, podobnie.

Bren patrzył na nich, wolno się obracając, dziwiąc temu, co wiedział jego umysł, a mianowicie, że wszyscy pędzą z ogromną szybkością.

- Stacja - powiedział wtedy Jase, chwytając paidniego za rękaw i kierując jego uwagę ku ekranom, gdzie na tle czerni, złagodzonej blaskiem pa-

dającym od kadłuba, pojawił się błysk. Banichi i Jago, a potem Tano i Algini, przerwali swoje zajęcia i skupili uwagę na tym punkciku światła, po czym cała czwórka zebrała się razem, by porozmawiać, ale ich słowa ginęły w odgłosach pracy tysiąca układów, które nie pozwalały promowi pograżyć się w ciszy.

Załoga znów przemierzyła kabinę, tym razem znajdującą się w poziomie, sprawdzając stan pasażerów i zwracając Kate jej długopis. Później steward przypomniał wszystkim przez głośniki:

- Uważajcie, by nie uwalniać twardych przedmiotów, nadiin, które mogłyby gdzieś utknąć niezauważone i podczas przyspieszenia stać się pociskami.

Brenowi przyszło do głowy, że nie chciałby współzawodniczyć z masą Banichiego w żadnym spotkaniu w stanie nieważkości. Nie chciał też otrzymać w drodze powrotnej długopisu Kate.

Czując z dołu szarpnięcie Jasona za kurtkę, chwycił się fotela i przyciągnął na siedzenie. Tuż za nim starszy steward powiedział w mospheiranie:

- Proszę na razie usiąść. - Stewardzi mieli to przeciwiczone. - Dla waszego bezpieczeństwa.

Mospheiranie usłuchali natychmiast. Trzasnęły klamry pasów.

Bren zapiął swój. Dawno temu Jason paniką zareagował na blask słońca sączący się przez listowie. Bren porównał strach przed próżnią, przed ruchem, do innych obaw, które przeżył: do strachu przed wyciągniętą bronią, spadnięciem z góry. To było instynktowne, wojna przeciwko życiowemu doświadczeniu, obalonym prawom natury... jeśli chodzi o jego ciało. Lecz zmysły Brena nie były zwichrowane - nic oprócz tej skłonności do rozglądania się w panice. Stwierdził, że za dużo tu powierzchni: nagle za dużo zmian. Uspokoił się. Pomyślał o stawach z liliami wodnymi na kontynencie. O formalnym ogrodzie.

- Będziemy hamować, nadiin.

Żałował, że nie mogli wbudować okien. Bardzo żałował. Monitory nie pokazywały obrazu sprzed dziobu. Kamery śledziły stację; zaczął się tego domyślać. Oczywiście. Miały zawieszenie kardanowe, by mogły śledzić wszystko co trzeba. Załoga dawała im obraz. Obraz wywoływał u Brena ogromne zaburzenia równowagi.

Jase mówił do niego, dzieląc się drobiazgami, obserwacjami:

- Hamujemy, by dogonić stację - przypomniał.

Bren to wiedział. Przywiązani do planety przez siłę ciężenia, nie mogliby złapać stacji, przyspieszając: wchodziliby wtedy na coraz wyższą orbitę, mijając stację podobnie przywiązaną do planety. Ich droga miała po prostu - po prostu! - zbiec się z trasą stacji, a oni mieli stopniowo hamować.

To wprowadzi ich na orbitę umożliwiającą ustawienie się w jednej linii z trzpieniem dekującym.

- No proszę - powiedział Jase. Wiedział, że Bren jest przerażony.

Bren mocno przeżywał każde dokowanie i wiedział, że to kolejna kłopotliwa procedura. Zagryzł wargę i pomodlił się, by nie popełniono błędu.

- Spokojnie - powiedział Jase, jakby wcierał sól w ranę.

- Nic mi nie jest - stwierdził Bren. Kiedyś tak mówił Jase, który teraz przezornie mu tego nie przypomniał.

W trakcie długiego - długiego i nerwowego - podchodzenia obraz przekształcił się z jednej w dwie kropki.

W końcu w pierścień z tą drugą kropką przy trzpieniu.

Kiedy kamery nagle ukazały powiększenie, Kate wskazała je palcem, a Jason po prostu powiedział cicho:

- "Feniks".

Kiedy przesuwali się obok stacji, na zbliżeniach było widać powgniataną powierzchnię, a nie czystą biel, jakiej niegdyś spodziewał się po "Feniksie" Bren. Stacja była okopcona, poplamiona czernią i rdzą, pokryta smugami i śladami ablacji na krawędziach.

Ich statek. Statek. Pokrywał go pył z układów słonecznych, z wybuchów wulkanów na księżycach Maudette, kosmiczny kurz pochodzący z miejsc, które przemierzał "Feniks"... oraz blizny tego pierwszego przeklętego słońca, przy którym "Feniks" stracił tak wielu ludzi. Przodków Jasona. Jego przodków.

Cały świat zobaczył to w telewizji podczas pierwszych lotów promu, i widok ten wstrząsnął wszystkimi, u niektórych wywołując nawet wątpliwości, czy to ten sam statek. We wszystkich mospheirskich przekazach "Feniks" zawsze lśnił bielą, chociaż każde dziecko zapamiętało prawdę: że ziemia atevich znajduje się w niebezpiecznym układzie słonecznym wypełnionym śmieciem i że koloniści zbuntowali się przeciwko planom zaopatrzenia "Feniksa" w paliwo głównie dlatego, że pozyskiwanie surowców pociągało za sobą tyle ofiar.

Obraz władzy. Arka, która niosła na swoim pokładzie wszystkich ich przodków podczas dwóch epickich podróży oraz tej trzeciej, już bez kolonistów, za to ze współzałogantami Jase'a. Bren poczuł dreszcz, poruszenie serca, podziw, którego zupełnie się nie spodziewał.

I oto wynik tej ostatniej podróży, tej ucieczki do domu z wrogimi obserwatorami podążającymi z tyłu. Kapitanowie nie zamierzali umierać bez walki, walki tak ostrej, jaką mogli wydać ich pobratymcy mieszkający w tym układzie słonecznym, z ich zgodą czy też bez niej.

Witajcie w erze kosmicznej. Witajcie we wszechświecie, który my stworzyliśmy i który musi ponosić konsekwencje wszystkich naszych czynów.

- Przygotujcie się, nadiin, do hamowania. Proszę państwa, proszę przygotować pasy bezpieczeństwa. Umocujcie wszystkie przedmioty.

Bren mocno zaciągnął pas; Jase zrobił to bez pośpiechu, czując się jak u siebie w domu.

Bren zerknął na rząd foteli obok i spostrzegł, że jego ochroniarze już zapięli pasy i wyglądają tak spokojnie, jakby siedzieli we własnym apartamencie.

Nikt się nie ruszał. Była to procedura, która nie powiodła się podczas pierwszego lotu i misja o mały włos nie zakończyła się niebezpiecznym wyjściem w przestrzeń kosmiczną.

- Powrót do domu - rzekł Jase.

- Denerwujesz się? - zapytał Bren.

- Jak diabli - wyznał Jase i głęboko odetchnął. - Nie mam nic przeciwko podróżowaniu w kosmosie. Przeraza mnie zatrzymywanie się przy dużych obiektach.

Bren poczuł się na tyle bezpiecznie, by wziąć odwet.

- To dużo lepsze niż ocieranie się o powierzchnie planet, prawda?

Włączyły się silniki. Jase zacisnął dłonie na podłokietnikach.

- Tego też nie znoszę. Naprawdę nie znoszę tej fazy.

Mocne hamowanie. Jase nie dawał pociechy.

Na ekranie ukazującym boczny widok zapłonęły ostrzeżenia w dwóch językach, ogólnie żeby nie rozpinać pasów, nie przeszkadzać załodze, nie przeszkadzać pilotowi.

"Urządzenia są stare" - brzmiało wyjaśnienie.

- Ależ niedopowiedzenie - mruknął Jason.

Tym razem jednak mechanizm dekujący nie zawiódł: wieloszczękowy chwytak stuknął, huknął... chwycił.

- Przybiliśmy - przyszła wiadomość od pilota.

Rozległy się liczne westchnienia ulgi. Trzasnęła któraś klamra.

- Zostańcie, proszę, przy swoich fotelach - polecił steward. - Musimy jeszcze wykonać wiele zadań i wzmocnić połączenie.

Stuk.

Delikatne stuknięcie.

Drugi wstrząs, kolejny trzask uruchamianych urządzeń hydraulicznych. Bren kazał zwolnić swojemu sercu.

Znaleźli się u celu. Zacumowali.

- Udało się - powiedział.

- Bren... - odezwał się Jase.

- Co?

- Czy twoim zdaniem Tabini już ich poinformował, że nie jesteśmy ładunkiem próbnym?

- Na pewno. Martwisz się?

- Skoro już tu jestem, to tak.

W umyśle Brena zagnieździły się pytania, na które nie chciał odpowiadać, bo tutaj nie miał żadnej alternatywy.

- O nich czy o nas?

- Po prostu się martwię.

- Przetrwanie atevich, Jase. Przetrwanie nas wszystkich. Jeśli zaczynasz się zastanawiać, czy dołączyć do twojej załogi...

- Nie mam wyboru.

- Mogę cię przejąć pod skrzydła Tabiniego jako charge d'affaires i wiem, że aiji mnie poprze. Jeśli twoim zdaniem tego potrzebujesz, to możesz rozmawiać z Ramirezem z naszej kwatery.

- Nie macie tu kwatery... nie wiecie, czy ją macie.

- Uwierz mi. Będziemy mieli.

- Ramirez wybrał mnie. Muszę to doprowadzić do końca, Bren.

- Dla siebie? Czy dla nich? A może dlatego, że tak jest mądrze? Namysł rozumiem. Wierz mi, że rozumiem: ja dokonałem wyboru. Bez względu na to, czego pragniesz dla siebie, nie jest to pora na czynienie gestów. Istnieje tu ryzyko zbyt wielu ofiar. Jaka jest rozsądna prawda, Jase? Czego się spodziewasz?

- Muszę dotrzeć do Ramireza. Muszę z nim porozmawiać. My nie mamy atewskich patronatów. Teraz pamiętam to instynktownie.

"Naojai-tu"?

Przesunięcie patronatu? Zmiana man'chi? Cyniczna bohaterka Darnin natykająca się na historyczne pamiątki w sztuce?

Z drugiej strony, ludzie budowali i niszczyli więzy przez całe swoje życie, nawet na takiej ograniczonej wyspie jak Mospheira. Jase jest człowiekiem; Gildię Pilotów tworzą ludzie. W tej całej zabawie każdy może zmienić umiejscowienie swojej lojalności. Mogą to zrobić też atevi, ale w innych, społecznie katastrofalnych warunkach.

- Wciąż jesteśmy przyjaciółmi - powiedział szczerze Bren. - Bez kwestii.

- Wciąż jesteśmy przyjaciółmi - potwierdził Jase. - Ale ja nie mogę być tym, kim byłem na dole, Bren. Oni mi na to nie pozwolą.

- Doprawdy? - Był zdecydowany do tego nie dopuścić, zdecydowany w tej nagłej chwili wątpliwości przypomnieć to, co Jase myślał w zeszłym tygodniu i jeszcze wcześniej. - Posłuchaj mnie. Czy zwrócisz się przeciwko Tabinemu albo będziesz go oczerniał w sprawozdaniu? Nie sądzę; rozumiesz, jaka jest prawda na dole. Wiem, że nigdy nie zdradzisz dla własnej korzyści. Znam cię.

- Naprawdę? Ja sam nie wiem, co zrobię.

- Rozumiem ten punkt widzenia. Sam to przechodziłem. Wiesz, że tak było.

- Nie wiem, czy dam radę.

- Zbierz myśli. Znam poczucie dezorientacji, które ci grozi. Pomyśl jednak o Shejidan. Jest prawdziwe. Osoby, które znasz, są prawdziwe i polegają na tobie, podobnie jak zapewne załoga statku. Osobiście... sprowadzę cię z powrotem, Jase. Niech mnie diabli, jeśli tego nie zrobię. Politycznie... przez krótki czas będziesz robił to, co musisz, ale nie niszczyć mojej gry i nie odchodzić za daleko, ani fizycznie, ani myślowo.

- Nie jestem mospheiraninem. Nie potrafię nawet wyjaśnić, jak wielkie są różnice...

- Nadeishi'rama'anto paidhi, nadi?... Nie jesteś, panie, jednym z paidhiin? Czyżbym się my lii?

Jase oderwał zmartwiony wzrok od ekranów i zerknął na Brena z ukosa.

- Na dei-ji? - powtórzył Bren, tym razem z bardziej poufałym "ji".

- Aiji-ji, so'sarai ta.

Nie istniało dosłowne tłumaczenie, tylko przywiązanie, lojalność, pozdrowienie. "Nauczyłeś mnie, mój mistrzu. Szanuję to". Kryło się w tym całe obce nastawienie, to przesunięcie towarzyszące każdemu głębokiemu przesunięciu w języku, trzęsienie ziemi wśród wzorców myślenia. Bren zobaczył, że panika w oczach Jase'a zmienia się w rozsadek łączący się ze stąpieniem po znajomym gruncie.

- Shi, paidhi, noka ais-ji?

Czy jesteś godny zaufania, tłumaczu-mediatorze?

Jase westchnął cicho, z rozpaczą.

- Shi! Jestem.

- Myśl w ragi, Jasi-ji. Ten język zmienia sposób myślenia człowieka. Zmienia jego środki. Jego reakcje. Podobnie jak twój rodzimy język. Odbyłeś długą podróż. Przypomnij sobie tu rzeczy, które ci umknęły. Ale zastanów się i myśl w ragi przynajmniej dwa razy dziennie.

- Ten język mi się wymyka! Brakuje mi słów!

- Ja też przez to przechodziłem przy każdej wizycie na Mospheirze.

Walcz z tym.

- Stosujcie się, proszę, do procedur wyjścia - powiedział steward z najgorszym wyczuciem czasu na świecie czy ponad nim.

- Jase... - zaczął Bren. - Co lubisz najbardziej? Szczerze. Nie dostaniesz tego, co lubisz najbardziej. Ja też nie. Ale powiedz mi, co to jest.

- Gdybym mógł dostać to, co lubię najbardziej - odparł Jase z trochę rozpaczliwym śmiechem - to zażyczyłbym sobie powrotu do domu. Boże! Ależ mam mętlik...

- Wiem. Pomyśl o salonie w Bu-javid. Pomyśl o Taiben. O morzu.

- Sha nauru shina. Skontaktuję się z tobą - powiedział z rozpaczą Jase; personel i mospheiranie wstali do wyjścia. - Albo zażądaj spotkania ze mną. Przez kilka dni będą chcieli mieć mnie dla siebie. Z Ramirezem mogę się dogadać.

- Będę robił piekło, dopóki się z tobą nie zobaczę - rzekł Bren. Odprawa u kapitanów może być intensywna i emocjonalna, może okazać się gruntownym przepytaniem, którego nikt nie może niecierpliwie wyczekiwać. Będą chcieli znów roztoczyć nad nim władzę, nawet złamać, by mieć pewność, co ma w środku... Jase nigdy czegoś takiego właściwie nie powiedział, ale Bren miał pewne pojęcie, co go czeka. Kiedy chodzi o przeżycie, żaden rząd nie może ryzykować w kwestii zaufania.

Podobnie wiedział, co obiecuje Jase'owi, kierując się własną oceną sytuacji. Bren naprawdę kiedyś znajdował się w jego położeniu. I wiedział, jaką Jase może czuć ulgę, gdy ktoś mu mówi, że ma znaczenie - a zarazem czuć się politycznie osaczony. W emocjonalnej burzy, spowodowanej przez statek będący jego domem, ateński świat zaczynał wyciekać z jego umysłu, razem ze wszystkimi wspomnieniami i pewnością przekonań.

- W Malguri - powiedział, podczas gdy uderzenia i stuki przesuwają się do tyłu, a mospheiranie unieśli się z foteli. - W Malguri - powiedział, ponieważ Jase znał tę historię - miałem jedno z tych doświadczeń przejścia z jednego języka na drugi; chyba pomogło mi ono w uzyskaniu płynności. Powiem szczerze, że nie zazdroszczę ci tej odprawy. I powiem tak: nie pozwól im zabrać ci czasu. Nigdy nie pozwól, by ich rzeczywistość stała się twoją. Będę tu, jak długo się da, i jeśli będę musiał odlecieć, użyję wszelkich sposobów, by skontaktować się bezpośrednio z tobą. Nie poddam się. Nigdy.

- Nie możesz sobie na to pozwolić.

- Do diabła, Tabini o tobie nie zapomni. Ja też nie. Masz władzę, Jase. Nadaję ci ją w tej chwili. Aishi'ji. - Towarzysze. Uścisnął Jase'a za ramię. Mocno. - Nie stracimy się nawzajem.

Jase skoncentrował się na nim z tym swoim dawnym dzikim spojrzeniem, z jakim wpatrywał się w bardzo głębokie morze pod stopami, we wzburzoną wodę.

- Zechciejcie podejść do tylnego luku - powiedział steward.

Rozpięli pasy, mogli wstać... wyprostować się... wreszcie samemu wykorzystać stan nieważkości.

Personel Brena zgromadził bagaż podręczny, który okazał się dość spory. Tano był ze służącymi.

- Ateva ma manifest, nand' paidhi - powiedział Narani do Tano, ale tak, żeby Bren usłyszał - więc bagaż dotrze do kwater. Jak mam dostarczyć ten dokument?

Wszystko to w przestrzeni coraz bardziej skomplikowanej, dzięki luźnym pasażerom, bagażowi, pasom i łokciom.

Coś stuknęło. Nic nie wyjaśniało, czym są rozmaite brzęczenia, piski, stuki i uderzenia, ale Bren pomyślał, że to może luk, i w następnej chwili przez prom przetoczyła się fala zimnego wiatru.

Musiał wtedy zapomnieć o Jasonie. Rzucił ponure spojrzenie na swoich ochroniarzy, pewien, że powinien się ich trzymać, ponieważ jako atevi oni z całą pewnością będą się trzymać jego, a Bren nie chciał żadnych nieporozumień. Ryzyko jakiegoś gwałtownego, niewłaściwego ruchu było związane tylko z nim, z jego względnym położeniem, jego strażą i zagrożeniem. Nie śmiał dopuścić do wzbudzenia paniki przez nadgorliwą ochronę stacji.

- Jeśli nas potraça, nadiin - powiedział Bren, unosząc się obok Banichiego i Jago - pamiętajcie, że oni nie czują man'chi i mogą wykonywać pozornie wrogie ruchy. To są obcy. Bądźcie opanowani. Bądźcie bardzo opanowani. Nie pokazujcie broni.

- Tak - odparła Jago charakterystyczną dla ragi zgodą na zakaz.

Mospheiranie przepchnęli się przez ich grupę, najwyraźniej zamierzając wyjść jako pierwsi.

- Pozwólcie im, nadiin - polecił Bren, w żadnym razie nie chcąc sprzeciwiać się poczuciu dobrego wychowania Kroger.

Kate i Ben, unoszący się bardziej niepewnie, wyglądali na strapionych i zmartwionych.

- Zrozumiacie - powiedział do nich Bren. - Proszę. Lepiej, jeśli wyjdziecie pierwsi. Lepiej, żeby najpierw nie zobaczyli atevich. Powodzenia.

Jego służący, ściśnięci z boku, zczekali, aż Kroger i jej zespół opuszczą prom.

- Idziemy - rzekł wtedy i ruszył naprzód, odpychając się od oparcia foteli. Jase trzymał się blisko niego. Ze sposobu, w jaki oceniał odległość przed sobą, i mimowolnej precyzji, z którą zatrzymywał niepożądany ruch, było widać jego doświadczenie i obycie z otoczeniem.

Żołądek Brena drgnął nieco pod wpływem choroby lokomocyjnej czy też niestrawnego strachu. Naśladował Jase'a, posługując się tą samą techniką lekkich pchnięć i przystanków, by uniknąć wpadnięcia na służbę.

- Nadiin-ji. Posuwajcie się za Banichim i Jago. Nie róbcie gwałtownych ruchów, nie zaskakujcie ludzi.

Powietrze w statku zmieniło się z zaledwie zimnego na przenikliwie zimne, w którym z ust unosiła się para. Bren miał zdrętwiałe ręce. W służbie powietrznej było jeszcze gorzej; zimno zmieniało zawartą w powietrzu wilgoć w lód. Bren zbliżył się do liny, chwycił ją i nie tracąc z oczu stóp Kate, wypłynął na przenikliwe zimno przejścia, z żalem, że przygotowując się w ciepłym otoczeniu do podróży, nie pomyśleli o rękawicach.

A w przejściu do rozpiętej liny podobnie przywarła garstka pracowników obsługi statku, ubranych w ciepłe kombinezony, maski, gogle i rękawice. Mospheiranie przesunęli się już dalej, tworząc z ciał linię, która, jak uparcie utrzymywał umysł, wspinała się po linie pod wodą. Postrzeganie płatało

figle; rzut oka na otoczenie metalowych krat, rur oraz izolowanych ścian powodował gwałtownie szarpnięcie żołądka.

W tej samej chwili robotnicy zobaczyli, co się do nich zbliża: język ciała nie był tak wyraźny w stanie nieważkości, ale Bren go dostrzegł. Najpierw: "Jase; znamy go, miło cię widzieć". Potem: "To ktoś obcy", i zaraz potem: "O mój Boże, są ogromni, są obcy i jest ich więcej niż nas".

Jase sięgnął gołą ręką do jednego z robotników i chwycił go za dłoń w rękawicy.

- Luz?

- Jase. - Maską tłumiała głos. Na pomarańczowym kombinezonie ochronnym widniało nazwisko "Josefin". - Jase!

- Za mną jest Bren Cameron. Jego personel. Atewska ochrona. I jego służący. Mam nadzieję, że dotarła do was wiadomość.

- Tak - odparła Luz. - Tak. Panie Cameron. - Bren podpłynął, chwytając się liny. Odsłonięte ciało, twarz, uszy i palce płonęły i marzły na suchym mrozie. Miał wrażenie, że wewnątrz nosa powlekło mu się szronem, że zagrożone są płuca. Wyciągnął rękę, którą Luz uścisnęła delikatnie, choć boleśnie dla jego zmarzniętych palców.

- Dziękuję za powitanie. Moja ochrona i personel też dziękują. Cieszę się, że znaleźliśmy się na pokładzie.

- Tak jest, sir - zabrzmiała odpowiedź. Luz Josefin, kobieta o ciemnych oczach za szklami gogli, wydawała się przez chwilę sparaliżowana, a potem powiedziała: - Tak jest, sir. Proszę się pośpieszyć. Zamarznie pan. Uwaga na ręce. Kiedy się pan znajdzie w środku, proszę ogrzać uszy.

- Dziękuję.

Bren zaczął poruszać się szybciej, ale stracił czucie w palcach. Miał przy sobie Jase'a. Personel podążał za nimi. Atewska załoga nie wyszła z promu - jeszcze nie mogła; wraz z pilotami miała do wykonania pracę, sprawdzenie i wyłączenie urządzeń. Bren skoncentrował się na dotarciu wraz z ochroną do końca liny i do drzwi, które zauważył z przodu, zanim utraci wszelką koordynację mięśni... i zanim Kroger zatrzaśnie mu te drzwi przed nosem.

- Śluza powietrzna. - Jase podsadził go do środka. - Uważaj na tablicę kontrolną. Nie naciskaj żadnych guzików.

Bren wpadł na mospheiran, nic nie mógł na to poradzić, starał się nikogo nie kopnąć.

- Zmieścimy się wszyscy? - zapytał Jase'a w mospheiranie i zaraz ucięszył się na widok kogoś z załogi w jasnożółtym stroju, pilnującego tablicy kontrolnej windy.

W środku znalazł się też personel Brena. Na ścianie widniała strzałka i załogant zaczął ciągnąć mospheiran ze słowami "Stopy do podłogi", aż wijąc się i obracając, osiągnęli pewną kierunkową jedność.

- Stopy do dołu - powiedział Jase. - Uważajcie na bagaż, nadiin, przepchnijcie go do podłogi.

Drzwi zamknęły się z ociąganiem, co spowodowało jeszcze większy ścisk; Bren chuchał na palce jednej ręki, zadając sobie pytanie, jak szybko nastąpi odmrożenie drugiej, którą trzymał się uchwytu.

- Przebyłem tę trasę tylko raz - powiedział Jase. - Powiniennem pamiętać o rękawicach. Przepraszam. Bardzo przepraszam.

- Tak - odparł oszczędnie Bren, szcękając zębami. - Trzeba wpisać na listę rękawice.

Kabina ruszyła.

- Trzymajcie się - rzekł Jase. - Jail Atira'na. Nie puszczajcie się.

- Trzymajcie się! - powtórzyła Jago, rozbawiona, bo okazało się to niewystarczające. Torby wpadły między stopy atevich. Torba Kate spadła z hukiem na podłogę.

- Przejdziemy przez łącze obrotowe - wyjaśnił Jason w ragi i powtórzył to w rodzimym języku. - Cały czas trzymajcie się uchwytów.

Było to dziwne uczucie, trochę jakby przechodziło się z latania w łagodne spadanie i delikatne osiadanie na podłodze, a potem przybierało na wadze. Kiedy się to skończy? Zmysły Brena panicznie chciały poznać odpowiedź.

Mospheiranom powiedziano, żeby nie zabierali dużego bagażu podręcznego. Zastosowali się najwyraźniej do tego polecenia i zapewne byli teraz na nie oburzeni; podczas gdy czworo służących Brena rozpaczliwie walczyło ze swoim. Pomagali im Tano i Jago, przesuając torby w zmieniającym się ciężeniu.

Winda, akurat. Wcale nie poruszała się pionowo, tylko nagle skoczyła w bok, jak mały samolot podczas burzy.

Opadła.

Zatrzymała się. Zdecydowanie się zatrzymała, uznał Bren i rozluźnił kurczowy uścisk zmrożonej dłoni na uchwycie bezpieczeństwa.

Drzwi otworzyły się na światło, ciepło, beżową ścianę i oficjalny komitet powitalny, mężczyźni i kobiety w niebieskich mundurach ze wszystkimi oczekiwanymi symbolami stopni... W mundurach identycznych z mundurami oglądanymi na historycznych obrazach, starych fotografiach i w dramatach.

Skończyły się telekonferencje. Kiedy wysiadali z windy, patrzyła im w twarz żywa historia. Było to zarazem jedno z tych przesunięć postrzegania: dla Jase'a dom, dla Brena i mospheiran historia, jakby ktoś przebrał się na scenę - a atevi widzieli tę umundurowaną grupę jako... jakżeby inaczej?... symbol obcych, którzy spadli z nieba.

Bren natychmiast rozpoznał dwie z twarzy, które widział poprzednio na ekranie: kapitan Jules Ogun, trzecia zmiana, ciemnoskóry, siwowłosy. W rzeczywistości miał dziwnie mało zmarszczek, jakby stworzyła je ręka rzeźbiarza, a potem znów je wygładziła. Miał ponad osiemdziesiąt lat i ciało młodszego człowieka.

- Kapitan Ogun, porucznik Delacroix - powiedział cicho Jase. - Delegacja mospheirska, pan Lund, pani Kroger i Bren Cameron, przedstawiciel aijiego.

Ogun wyciągnął szczupłą rękę i energicznie potrząsnął dłońmi Lunda i Kroger, a następnie Brena.

- Miło mi pana poznać, sir - powiedział Bren.

Ogun spojrzał mu w oczy bez zachwytu, ale i bez gniewu.

- Pan Cameron. Rozumiem, że ta misja to nagły pomysł aijiego. Oraz prezydenta.

- Zostaliśmy wysłani - wtrąciła szybko Kroger - zgodnie z sugestią aijiego. Musieliśmy się pośpieszyć albo stracilibyśmy miejsca.

Ogun zignorował ją i zwrócił się do Jase'a:

- Jase. Witaj w domu.

- Dziękuję, sir - odparł cicho Jase.

- Jeśli chodzi o nagłość tego posunięcia - tu kapitan obrzucił spojrzeniem Brena i Kroger - kwatery nie są przygotowane. Nie miało to pierwszeństwa, ponieważ nie zostaliśmy uprzedzeni i nie uważam załogi za winną temu. Mogę wyjaśnić, że nie mamy miejsca. Mogę wyjaśnić, że kiedy zajmujemy jakiś sektor tej stacji, to musimy uszczelnić połączenia, sprawdzić przewody, włączyć energię, sprawdzić linie i odseparować sektor wielkości naszego statku od ekstremalnych warunków przestrzeni kosmicznej i próżni... Anie mamy odpowiedniego personelu, by dokonać tego bez cholernego ryzyka. My zajmujemy dwa sektory plus transport wewnętrzny plus statek. To po pierwsze. Po drugie, rozumiem, że macie ładunek, który chcecie dostać bez otwierania. Nie do przyjęcia.

To był długi lot. Gdyby Bren mógł wypowiedzieć życzenie, zażądałby wygód - wkrótce - ale godność aijiego była sprawą życia i śmierci. Choć ten impas stał się śmieszny, chodziło tu o życie lub śmierć wszystkich na planecie.

Bren zaczął tłumaczyć dla swego personelu, zajmując tym uwagę, wyjaśniając, że powstał problem w porozumieniu się, którego nie rozwiąże choćby

najgłośniejsza awantura, i wspominając, że jego personel nie potrafi się porozumieć, co może stanowić problem dla stacji.

A potem powiedział, patrząc wprost na kapitana:

- Przestrzeń w tych ograniczonych warunkach da się wynegocjować, sir. Nasz ładunek to bagaż dyplomatyczny, który obejmuje wcześniej uzgodnione warunki, i jakakolwiek ingerencja zagrozi negocjacjom. To zostało wyjaśnione; zgodzono się na to. Jesteśmy przygotowani do wyrozumiałości względem pańskiego stopnia przygotowania, ale nie co do konieczności spożywania przez nas odpowiedniej żywności.

Cisza przedłużała się - o dwa, trzy kolejne uderzenia serca.

- Jeśli pan ją może jeść, to oni mogą jeść to co my.

- Za pozwoleniem, sir, ale ich wymagania fizyczne dotyczą alkaloidowych trucizn, co, jak jestem pewien, wyraźnie daliśmy do zrozumienia; wyznawana przez nich religia i filozofia wymaga przestrzegania własnej diety.

- Bagaż zostanie poddany naszej kontroli. Pańscy ludzie mogą się przyglądać.

- Nie, sir - odparł spokojnie Bren. - To jest sprzeczne z już wynegocjowanymi umowami. Oświadczamy, że nie wniesliśmy na pokład niczego, co znajduje się na waszej liście zakazanych artykułów, i nie będziemy używać otwartego ognia. To, że nie przygotowaliście kwater, jest niedotrzymaniem waszej strony umowy, a to, że mamy sprzęt, który wnosimy na pokład, stanowi naszą jej stronę i skoro jedna rzecz nie została zrealizowana, obstajemy przy drugiej.

- Panie kapitanie - wtrąciła się Kroger. - Naszych bagaży to nie dotyczy. Mamy ubrania i drobiazgi osobiste. Kontrolujcie, co chcecie, ale to jest oficjalna delegacja, wynegocjowana dwa lata temu; tym, że aiji w Shejidan się pośpieszył, byliśmy bardzo zaskoczeni.

- Proszę nas nie ponaglać - rzeki Ogun.

- Od trzech lat słyszymy - powiedział Bren - że pośpiech służy nam wszystkim. Bagaż nie podlega powtórny negocjacjom; od możliwości utrzymania tu przez nas misji pod naszymi rozkazami i żywienia naszego personelu w naszej własnej kuchni zależą umowy handlowe, i co do tego będziemy nieustępliwi.

- Widzę, że jest pan człowiekiem, panie Cameron, i może pan powiedzieć swojemu personelowi i aijiemu, iż nie będziemy tolerować nacisków!

- Upiera się - wyjaśnił Bren w ragi, a w mospheiranie rzekł: - Moi oficerowie ochrony są uzbrojeni, co stanowi tradycję na kontynencie; zawsze będą uzbrojeni. Podobnie ochrona towarzysząca każdemu przedstawicielowi atevich. To oraz kuchnia się nie zmieni, sir. Mój personel, równie dobrze jak pański, zna ryzyko użycia broni palnej w tym środowisku, podobnie jak ryzyko ingerencji w wasze systemy łączności. Wszystko to zostało uzgodnione przed dwoma laty, tak z nami, jak i z Mospheirą. Kontrola pogwałca te umowy. Wasze negocjacje z aijim są związane z tymi umowami i nie odstępimy od tego punktu. Treść dyplomatycznych wiadomości i zawartość dyplomatycznych bagaży nie może być kontrolowana albo ten prom wróci na dół, a aiji rozważy zbudowanie własnej stacji kosmicznej i zachowanie siły roboczej dla siebie!

- Akurat!

Można było zmrozić wzrokiem drugiego człowieka, kogoś równego wzrostu. Po zmianach w wyrazie twarzy kapitana Bren już wiedział, że Ogun nie odrzuci dwóch lat umawiania się ze swoim źródłem dostaw; kapitan chciał, by Bren wycofał się w kwestii szczegółów.

Co więcej, on znał tego człowieka, przynajmniej z drugiej ręki i z relacji Jasona.

- Tak, do diabła - powiedział Bren, akcentując słowa jak Jase. - Koniec raportu.

- Nie możemy pozwolić na wniesienie broni. Ani biologicznych substancji, mogących skazić środowisko.

- Większe zagrożenie stanowimy my sami, sir, i szczerze mówiąc, bardziej się martwimy o was, ponieważ mospheiranie i atevi nigdy nie wymieni-ali się żadnymi epidemiami. Nie mamy ze sobą szkodników zbożowych, a gdyby tak było, to potrafilibyśmy je unieszkodliwić. Przetworzona mąka, sir. Olej kuchenny. Nasza kuchnia jest scalona i wykorzystuje prąd elektryczny, a nie otwarty ogień, co jest znacznym ustępstwem kulturowym. Z całym szacunkiem przypominam panu, że idąc za waszą radą, jej części składowe zaprojektow-aliśmy tak, by współpracowały z układami elektrycznymi stacji. Jestem tu, by rozmawiać o dostawach dla was, a nie o naszym bagażu.

- W porządku, zrobimy jakąś prowizorkę. Na razie sprawa załatwiona. Nasza ochrona zaprowadzi was na kwatery. Możecie się rozłokować, a potem omówimy resztę.

- W sprawie bagażu - powiedział Bren, nie zamierzając się ruszyć. Sprzeciw wobec braku wygód stanowił wymóg wytrwałych negocjacji; a jeśli ten człowiek robi trudności, to sesja atewskiej legislatury jest samym piekłem. - Jeśli te pieczęcie zostaną złamane, sir, jeśli nastąpi jakieś przypadkowe naruszenie, odlatujemy i wynegocjowanie następnej misji może potrwać kolejne dwa lata.

Nastąpiła długa, bardzo długa cisza.

- To zostanie przedyskutowane w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin - rzekł Ogun. - Razem z kwaterami. - Spojrzał z niesmakiem na cały personel i ręczny bagaż, piętrzący się do wysokości pasa. Następnie takim samym spojrzeniem poczęstował Kroger, Lunda i pozostałych.

- Panie Delacroix. Kwatery dla wszystkich.

- Tak jest - odparł porucznik.

- Jase - powiedział na boku Bren, zerkając na Jasona. - Przyjdiesz na kolację? - To znaczyło: "Jeśli nie podoba ci się to, co słyszysz, przyjmij zaproszenie. Teraz".

- Pan Graham należy do załogi "Feniksa" - stwierdził kapitan. - Zje kolację z kapitanami. Proszę się z nimi skontaktować później, panie Graham.

- Tak jest, sir.

- Panie Delacroix.

- Tak jest, sir - rzekł Delacroix i przekazał następny rozkaz czekającym ludziom: - Panie Kaplan, pani Ramsey. Kwatery.

- Tak jest, sir. Proszę tędy, sir.

A zatem doszli do porozumienia w sprawie kwater, które prawdopodobnie stanowiły przedmiot dyskusji prowadzonych podniesionymi głosami od chwili, kiedy Tabini zapowiedział przylot delegacji. Pan Kaplan i pani Ramsey wyraźnie wiedzieli, dokąd idą; Bren był ogromnie rozbawiony, ale postanowił nie dopuścić, by wpłynęło to na jego osąd, ani bez względu na osobiste niewygody nie dostosowywać się usłudze do manewrów kapitana.

Tymczasem Narani i służący zrozumieli, że mają dokąd iść, i zebrali bagaże. Banichi, który prawdopodobnie dał sygnał Naraniemu, czekał na rozkazy Brena.

Bren ociągał się.

- Mam nadzieję, że zobaczymy się jutro - powiedział z uśmiechem do Kroger i Lunda, po czym wyciągnął rękę i przeprowadził całą ceremonię potrząsania dłońmi tylko po to, by samodzielnie podyktować chwilę odejścia.

- Panie Cameron, sir - ponaglił go Kaplan, pokazując, by skierował się w lewo. Kaplan, młody mężczyzna, miał coś w rodzaju słuchawek, a nad oko opuścił okular, co w sumie sprawiało dość przerażające wrażenie. Wyglądało to coś jak połowa okularów; ekran ustawiony w niewielkiej odległości od oka, zupełnie przezroczysty dla patrzących z zewnątrz.

Takich okularów można było używać do celowania. Bren przypominał sobie coś takiego. Na Mospheirze nie ocalały żadne resztki takich urządzeń, chyba że w ciasnych zakamarkach Departamentu Obrony.

Kierując się nagłą myślą, Bren zatrzymał się jeszcze na chwilę, przypominając sobie o przekazach do Mogari.

- Ginny, kiedy będziesz rozmawiała z Shawnem, pozdrów go ode mnie - poprosił.

- A pan niech pozdrowi aijiego - odparła Kroger z mniej niż atewską kurtuazją. Bren pomyślał, że pewnie jest piekielnie zła.

- Do zobaczenia - powiedział do Jase'a, zanim uległ swojemu przewodnikowi. Było to pożegnanie, jakiego najmniej pragnął, i Jase wiedział, że Bren naprawdę chce się z nim zobaczyć. To był jeden z ich szyfrów. Teraz jednak Bren posłusznie poprowadził swoją grupę za załogantem, idącym krótkim korytarzem do automatycznych drzwi.

Weszli przez nie do korytarza zakrzywiającego się - nie do wiary - w górę, co stanowiło dokładne przeciwieństwo sytuacji, w której Jasonowi robiło się niedobrze, kiedy patrzył na planetarny horyzont.

Nadzwyczajne, pomyślał Bren... i ucieszył się, że jego żołądek dobrze to znosi. Mogło być gorzej - po prostu korytarz zakrzywiał się do góry. Poza tym przecinało go wiele innych korytarzy. Bren widział plany stacji; studiował je z ciekawością dwa lata temu, kiedy wynikła sprawa przedstawicielstw dyplomatycznych, a oni rozmawiali o tym, co może zrobić w sprawie drzwi, urządzeń sanitarnych i wszystkich modyfikacji, które najwyraźniej nie zostały wprowadzone zgodnie z umową.

Ale, do cholery, mam je przecież w komputerze, pomyślał. Są w tej niewielkiej maszynie, którą niesie Jago. Odkąd dostał ten nowy przenośny model i odkąd ma w nim najlepsze zabezpieczenia, jakie mogła zapewnić Mospheira i kontynent, nigdy nie skasował pliku, którego utraty mógłby potem żałować. Co więcej, ściągnął na dysk wszystko, co wpadło mu w ręce, wszystko, co Shawn pozwolił mu wziąć.

Było tam wszystko, co wiedzieli o planach "Feniksa" i stacji; modyfikacje architektoniczne, dziesięć czy piętnaście gier karcianych oraz wszystko, czego Bren używał w ciągu tego ostatniego cholernego roku, a o czym nawet nie myślał poza przelotnym zetknięciem neuronów, kiedy zadawał sobie pośpiesznie pytanie, czy ma jakieś atewskie pliki, które mógłby narazić na szwank.

Tych drażliwych nie miał jednak w przenośnym komputerze. Trzymał je w komputerze biurowym, pod strażą. Nie woził ich na wyspę - to robił tylko z plikami, które znali i atevi, i ludzie. Dzięki Bogu, pomyślał.

Personel radził sobie z perspektywą i labiryntem, przez który przechodzili. Marsz w linii prostej wydawał się wymagać świadomego wysiłku, ale przynajmniej nie wróciły mdłości. Najbardziej zaś cieszyło Brena to, że właściwie rozegrał spotkanie z Ogunem... że nie zmieniło się ono w oblężenie gwałtownie ochładzającej się kabiny promu, któremu towarzyszyłaby zażarta bitwa na słowa, toczona przez Tabiniego z Gildią Pilotów, co mogłoby się zdarzyć, gdyby Bren przekroczył swoje uprawnienia. Atevi, którzy tracili ciepło wolniej, wytrzymałoby dłużej od niego... ale mogło to się okazać cholernie niebezpieczne, i wcale nie przez Kroger... ani przez to, że ją do siebie zraził.

Bren nie miał jednak wątpliwości, że wygrał z kapitanem, który nie chciał przyjąć na swoją stację atewskiego ładunku. Obraza Tabiniego nie leżała w interesie statku, podobnie jak w interesie Brena czy Tabiniego nie leżało wypowiedzenie wojny orbitalnej potędze.

W końcu umowy musiały wejść w życie. W końcu Kroger, która wydawała się trudniejsza do zjednania, kiedy głowę unosił strach, musiała podjąć współpracę z Brenem.

A jeśli dopisze mu szczęście, to może wykona swoje zadanie w ciągu tych dwóch tygodni, które planowali wykorzystać mospheiranie. Zawrze umowę z Ramirezem i pozostałymi kapitanami, włącznie z Ogunem, na podstawie której i on, i Jase, będą mogli krążyć między planetą i stacją. Nie miał prawa dodawać tego do najważniejszych warunków i nie mógł wykorzystywać zaufania aijiego, by to uzyskać; ale zaczynał nabierać przekonania, że jeśli Bren Cameron ma w tym wszystkim jakieś osobiste zasługi, to wie, gdzie je wykorzysta.

Zobaczywszy to miejsce pełne niewłaściwie zakrzywionych, niekończących się, kremowych korytarzy o niezmiennej fakturze, zrozumiał, jak przerażająca dla Jase'a była zmienność planety. Dla niego moralnie przerażające było to. Ten korytarz wytłoczyła maszyna, ogromna, niezmienna maszyna. Wstawki drzwiowe były właśnie tym, wstawkami w wytłoczonym plastiku, przeciwstawiającymi się krzywiźnie korytarza jedynie ukośnym progiem, a każda z nich była taka sama, każde drzwi dopasowane do wzrostu człowieka; sufit korytarza przerywały absolutnie regularne, półprzeźroczyste płyty świetlne.

Była to całkowita antyteza ręcznie wytworzonego Malguri. To miejsce stworzyli przodkowie Brena... a on go nie poznawał. Jego serce i umysł go nie poznawały.

Banichi i Jago szli tuż za nim, prawie dotykając głowami sufitu, bezapelacyjnie ufając jego decyzjom; zapuszczali się coraz głębiej w ten labirynt, coraz głębiej w miejsca, które ludzkie władze znały, a on nie. Za nimi szli Tano i Algini, a dalej parami personel z bagażem ręcznym. Bren był świadom tego porządku za każdym razem, kiedy mijali drzwi sektora, a było ich wiele. Przewodnicy prowadzili ich bez końca.

W końcu skręcili w prawo, do prostopadłego korytarza, przeszli przez jakieś drzwi - Bren miał nadzieję, że do ich kwater, ale się rozczarował. Znów korytarz, następny zakręt, następne drzwi. Kapłan pewnie używał do nawigacji tego okularu, mając przewagę nad każdym, kto nie otrzymywał odpowiednich informacji. Jedynym dowodem używania korytarza były zadrapania na podłodze.

Ochrona... dla adresatów informacji. Ten obszar został odnowiony. Nigdzie na ścianach, drzwiach czy podłodze nie umieścili znaków identyfikacyjnych.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział z przekonaniem Kapłan, zbliżając się do ściany, która mogła być tylko kolejnym zakrętem korytarza, i otworzył drzwi.

Wewnątrz pokoju z łóżkiem, biurkiem, kilkoma krzesłami i garderobą zapaliło się światło.

- Dziękuję - rzekł Bren. - A co dla reszty mojego zespołu?
- Nie otrzymałem instrukcji, sir. O ile wiem, to jest wszystko.
- Nie zmieści się tu dziewięć osób.
- Mogę to przekazać, sir.
- A jak będziemy chodzić na spotkania i z nich wracać? Muszę jak najszybciej umówić się z pańskimi oficerami. Jak mogę się z nimi skontaktować?
- Ktoś po pana przyjdzie.
- Będziemy potrzebować co najmniej kilku łóżek.
- Nie mam rozkazów, sir.
- Ma pan prośbę. To jest jedno łóżko. Na pewno gdzieś indziej są inne.
- Machnął ręką jak Tabini. - Potrzebujemy więcej łóżek.
- Są wbudowane, sir. Nie da się ich ruszyć.
- A zatem materace. Wypchane worki. Obojętne co. Mój personel nie będzie spał na podłodze pokotem. Potrzebujemy więcej pokoi. Potrzebujemy materacy.
- Nie wiem, co będę mógł zrobić, sir.
- Ale wie pan, jak się dowiedzieć. Przecież ma pan na głowie słuchawki i może się porozumieć z oficerami; nalegam, by pan to zrobił albo przyjął całą odpowiedzialność za odmowę. Proszę im powiedzieć o materacach. Albo jakiejś wyściółce. Chcę je dostać w ciągu dwóch godzin. Pokoje do jutra. Jestem pewien, że załatwimy sprawę. Pokaże mi pan telefon?
- Telefon?
- Urządzenie łączności, sir.

W jego oczach, zarówno tym ukrytym za szkłem, jak i tym odsłoniętym, pojawiło się zrozumienie. Młodzieniec wszedł do pokoju i dotknął panelu na ścianie, przebiegając palcami po guzikach.

- To jest łączność. To światło. Tym się podnosi temperaturę, a tym obniża. To ustawienie wentylatora. Tutaj jest interkom. Trzeba wcisnąć i czekać.

- A sąsiednie pokoje? Jestem pewien, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że je otworzymy.

- Są przydzielone personelowi, sir. Wszędzie są pokoje przydzielone personelowi. To jest sektor mieszkalny.

- Mają materace?

- Proszę posłuchać, sir, nie jesteśmy pod pańskimi rozkazami!

- Nie. Ale oni są. - Świadomie wspomniał o żywej ścianie atevich czekających wokół nich. - Potrzebujemy materacy, więcej miejsca, i będziemy uparci. Nie obchodzi mnie, co pan znajdzie, sir, i jak dużo czasu to panu zajmie, ale to jest zespół, który ma zaspokoić wasze potrzeby, zapewniam pana, nie nasze. Rozumiem związane z naszym przybyciem niedogodności i kłopoty i przykro mi, że stały się one pańskim udziałem, ale wiem też, że pański kapitan ufa pańskiej ocenie sytuacji i pomysłowości, bo inaczej nie wysłałby nas z panem. Co więc może pan dla nas zrobić?

Mimo że młodzieniec doszedł do podobnych wniosków, zrobił smutną, choć pełną szacunku minę i westchnął.

- Zrobię, co będę mógł, sir.

- A zatem spodziewam się sukcesu. Jestem go pewien. Dziękuję. Bardzo panu dziękuję.

- Tak jest, sir.

Strażnik odszedł, prawdopodobnie przekazując przez osobiste urządzenie łączności coś więcej niż tylko prośbę o materace.

Bren natomiast spojrział na Banichiego, potem zerknął na Jago, a następnie, wykorzystując swoją niezaprzeczalną pozycję, z rozpaczą wskoczył do pokoju, do mieszczącego się na jego tyłach tego, co atevi oględnie nazywają wygodką.

W ciągu niecałej doby zraził do siebie mospheirską ambasador, jednego z czterech kapitanów "Feniksa" oraz niczemu niewinnego załoganta. Łatwo było przewidzieć, że pomysł aijiego, by postawić Gildię Pilotów przed faktem dokonanym, stanie stacją kością w gardle, i tę kość będą stanowić oni, ale kiedy fala adrenaliny nieco opadła, Bren przyznał, że musiał to zrobić, że Tabini ustawił go na pewnym stanowisku i że paidhi nie miał innego wyboru, jak wyraźnie je określić... nie mógł okłamywać mospheiran.

Nie mógł też, mimo że dołożył wszelkich starań, by zachowywać się uczciwie, wyjawić im całkowitej prawdy o swoich zamiarach. Większość jej powiedział Jase'owi, swojemu jedynemu oddanemu sprzymierzeńcowi. Jeśli jednak chodzi o stosunki międzyludzkie, musiał oczyścić sobie przestrzeń roboczą, bardzo jasno uzmysłwić mospheiranom, że nie są współuczestnikami umów, które mogłyby zawrzeć, a kapitanom, wszystkim naraz i każdemu z osobna, że jeśli układy nie będą dotrzymywane, to obustronnie.

Była to jedna polityka w eleganckich salach rezydencji aijiego.

A druga tutaj, gdzie rozlokowali się w jednym pokoju; personel usiadł na podłodze... on sam na jednym krześle, Banichi i Jago na łóżku, a Algini i Tano stanęli w kącie. Było tu za zimno jak na wymagania człowieka. Mimo że wentylator pracował z pełną mocą, a z odpowiednich przewodów wydobywało się znaczne ciepło, jedynym efektem wydawał się chorobliwy chłód, unoszący się w powietrzu. Powierzchnie zabierały ciepło: ściany, a nawet pościel, wydawały się na wskroś wyziębione.

- Z całego serca żałuję tych niewygód - powiedział do swoich służących. - Nadiin, mam nadzieję na polepszenie sytuacji.

- Najwyraźniej niezbyt dobrze reagują na niespodzianki - zauważył Banichi, a Bren, sam zaskoczony, musiał się roześmiać.

- Nie wiemy - dodała cicho Jago - czy to stanowi normę ich własnych kwater.

- Człowiek z pewnością ma nadzieję, że nie - powiedział Bren. - Co więcej, człowiek w to wątpi.

- Możemy spać na podłodze - odezwała się cicho najmłodsza ze służących, Sabiso. Uderzyła się niedawno głową o drzwi i teraz, na wpół przytomna, straszliwie się zawstydziała. Na jej skroni pojawił się pokaźny guz. - Może wykorzystamy nasze torby jako materace?

- Nie zamierzam tego robić - oznajmił Bren. - Ani trochę. Nie pragnę wprowadzić się do załogi promu, ale jeśli wkrótce nie dostaniemy od kapitanów niczego lepszego, może dojść do ostrej wymiany zdań. Nie będziemy tolerować czegoś takiego przez dwa tygodnie. - Rzeczywiście; przyszło mu na myśl odesłanie służących w te lepsze warunki; lecz nie był to ateński sposób załatwiania spraw i Bren nie mógł wybrać tej drogi, nie okrywając swego personelu wstydem. Tabini o wiele bardziej wolałyby impas.

I w końcu... w końcu Tabini dopiąłby swego.

- Wzięliśmy ze sobą kanapki - oznajmił radośnie Narani - na wypadek długiego lotu i opóźnień, nandi. Według zegara teraz w Shejidan jest już odpowiednia godzina i jeśli nand' paidhi sobie życzy, może zjeść kolację.

- Zabrałeś kolację, Rani-ji! - Ani razu nie zapytał służących, co jest w tym dużym, ciężkim bagażu. - Wbrew wszelkiej nadziei. Cudowne.

Narani był zachwycony, że zaskoczył Breną; służący, równie zadowoleni i podbudowani, rzucili się otwierać bagaże i wystawiać na biurko oraz toaletkę nietłukące się plastikowe talerze.

Kolejna torba ujawniła paczki z kanapkami. Wnastępnej był sok owocowy i jakieś czarne płócienne pakunki, które Tano spokojnie wydobyl i podał Banichiemu.

Co wyście przywieźli? - chciał zapytać Bren, ale pomyślał, że może będzie bardziej szczerze rozmawiał z kapitanami, nie wiedząc. Poza tym znajome, domowe jedzenie wydawało się w tej chwili świetnym pomysłem, więc Bren z przyjemnością przyjął talerz i szklankę soku, nie wywołując skandalu pić z butelki. Nand' paidhi musi mieć talerz i odpowiednie sztućce.

- Doskonale - powiedział. - Doskonale, nadiin. Usiądźcie, nadiin-ji. Chciałbym, żebyście usiedli i zjedli to wszystko razem ze mną.

W jadłospisie było sezonowe mięso, marynowane jajka, suszone owoce, sok i wciąż gorąca herbata z termosów. Ale jeść razem, i to w obecności paidhiego i jego ochrony? Służący rzadko czuli się swobodnie w takiej sytuacji... Brenowi było przykro, że jak dotąd nie udało mu się zapewnić im własnego pomieszczenia, własnych kwater i własnej jadalni, miejsca gdzie mogliby żartować w atmosferze koleżeństwa, ich terenu gdzie powinien rządzić Narani.

Wszyscy jednak wzięli się do jedzenia, a poczucie niezwykłości wspólnego posiłku sprawiło, że zachowywali się cicho i z rezerwą.

- Staliśmy się wioską - zauważyła Jago, przypominając swobodniejszą kulturę pola i zagrody, co, z powodów trudnych do zgłębienia dla człowieka, służącym wydało się dziwnie śmieszne.

- Powinniśmy jeść goda - powiedział Tano. Te słowa wywołały głośny śmiech. Było to wiejskie jedzenie, gotowane zboże, szczodrze omaszczone masłem, galaretką owocową albo rybnym sosem, zależnie od pory roku. Bren kiedyś tego spróbował.

- Nie ma sosu rybnego, nadiin - rzekł Bindanda, obcy w tym towarzystwie; wszyscy służący dobrze wiedzieli, że Bren nie lubi tego dodatku, i uznali po cichu, że to też jest bardzo zabawne.

- Nie ma sosu rybnego - powtarzali.

Wśród tego śmiechu rozległ się gdzieś w pokoju brzęczyk, który natychmiast przyciągnął uwagę Banichiego i jego personelu. Służący, przez całe życie przyzwyczajeni do zachowań panów skłonnych do zabójstw oraz ich uzbrojonej ochrony, natychmiast zamilkli.

- Panie Cameron - usłyszeli głos z okolic drzwi, ze ściennej konsoli.

Banichi zerwał się z łóżka; reszta personelu ochrony natychmiast poszła w jego ślady.

- Ja to załatwię - powiedział Bren. Wstał i podszedł do konsoli. Świeciły się przyciski: zielony, biały i czerwony.

Zielony guzik, zdecydował, zielony jako sygnał startu, na pewno nie to, co wybrałby ateva.

- Halo?

- Panie Cameron, mówi oficer wachtowy. Z rozkazu kapitanów pański ładunek został zwolniony. Jest w drodze do pana.

- Dziękuję - odparł Bren, niezbyt zdziwiony, ale bardzo zadowolony, że bagaż pojawi się, zanim będą chcieli pójść spać. - Proszę przekazać wyrazy zadowolenia naszej delegacji, panie kapitanie, oraz podziękowania. W razie potrzeby moi służący i personel pomogą w transporcie.

- Nie trzeba - usłyszał burkliwą odpowiedź. - Wysyłamy wózek.

- A ta inna sprawa? Materace?

- Materace?

- Sądziłem, że to zostało uzgodnione.

- Jakie materace, sir?

- Mój personel, sir, którego członkowie mierzą ponad dwa metry i który liczy osiem osób oprócz mnie, nie może spoczywać na podłodze, ani ja nie mieszkać z moim personelem, sir, z wyjątkiem mojej ochrony. To stanowi obrazę aijiego w Shejidan, zostało to uzgodnione, a ja wciąż czekam. - Z kim zostało uzgodnione, pominął milczeniem. - Z drugiej strony, jestem pewien, że problem ten rozwiązałaby większa liczba pokoi. Wystarczy pięć. Jesteśmy gotowi do przeprowadzki.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

- Zapytam kapitana zmiany.

Kapitanowie cholernie dobrze wiedzieli, jak trzeba postępować z aijim Shejidan. Bren zerknął na zegarek i stwierdził, że zgodnie ze zwykłym rozkładem pracy wachta Oguna już minęła.

- Mam czekać na linii? Chciałbym porozmawiać z kapitanem Ramirezem.

- Śpi, sir. - To oznaczało albo Tamuna, albo Sabin. Bren miał wielką nadzieję na Sabin. - Może sprawa umknęła między wachtami. Proszę mi dać chwilę na sprawdzenie, a ja się z panem skontaktuję.

Bren rozłączył się. Mogą ich podsłuchiwać, ale potrafią wykryć tylko hałas, milczenie i od czasu do czasu jakieś znajome nazwisko. Nikt na pokładzie nie mówił płynnie w ragi. Jedyłą szansą statku na tłumaczenie od ręki był Jase i do pewnego stopnia Yolanda. Przysłano im na górę słownik i Bren miał pewność, że go wykorzystają. Ale nauczyć się ragi? W ciągu tych kilku lat kontaktów nikt o to nie prosił.

- Przybędzie bagaż - powiedział Bren, co ucieszyło personel. - Badają sprawę dodatkowych kwater. Kapitanowie pracują na zmiany. Ramirez śpi, Ogun skończył służbę, a my czekamy, czy aijim statku w tej chwili okaże się Sabin, czy Tamun.

Służący wstali. Ukłonili się, zadowoleni z wieści.

- Kontynuujemy kolację - rzekł Bren i wszyscy usiedli. Sam szybko uporał się ze swoją kanapką, stanowiącą wzmocnienie do walki.

Po kilku minutach znów odezwał się interkom.

Tym razem guzik wcisnął Banichi, pojętny uczeń.

- Mówi Bren Cameron - powiedział Bren, mając żołądek wypełniony dobrym jedzeniem.

- Tu kapitan Sabin. Panie Cameron, wbrew pozorom wielkości stacji nie mamy nieograniczonej powierzchni. Nie wszystkie rejony nadają się do życia. Mówiąc bez ogródek, możemy pomieścić misje mospheirską; mamy jednak trudności z zaspokojeniem pańskich szczególnych potrzeb.

- Aiji nie weźmie tego pod uwagę, pani kapitan; i tak powinno być. Chcemy jednak dostosować się do waszej sytuacji, doskonale rozumiejąc wasze położenie. Możemy odstąpić od wymogu modyfikacji drzwi i przejść.

- Nie chodzi o drzwi i przejścia, panie Cameron. Wątpię, by tubylczy rząd chciał przyjąć niezapowiedzianą grupę ze statku.

- Aiji przygotował wasze kwatery gościnne zgodnie z ludzkimi wymaganiami, pani kapitan, zgodnie z harmonogramem. Proszę wysłać promem przedstawicieli, a zostaną potraktowani jak goście. - Z pewnością nie mogło to stanowić wiarygodnego zagrożenia inwazją, chyba że zechcą zrzucić w kapsułach kilkuset załogantów, a tylko dzięki dobrej woli atevich będą zawdzięczać dostęp do drugiego promu. - Rozumiemy, że wasz harmonogram został przyspieszony. Muszę jednak powiedzieć, że tej sytuacji nie wywołaliśmy my... i że wywiązaliśmy się z terminów. Kiedy gwałtownie odwołaliście tłumacza z wyspy, mospheiranie zareagowali z ogromną podejrzliwością; kiedy odwołaliście Jase'a Grahama, aiji uznał to też za oświadczenie wskazujące nowy etap w naszych kontaktach.

- Panie Cameron, aiji kieruje się przypuszczeniami.

- To wy uczyniliście ten gest, pani kapitan. Wy zaniepokoiiliście mospheiran, mospheiranie zwrócili się do aijiego o miejsca na promie; aiji ich udzielił. On nie jest człowiekiem, pani kapitan. Zareagował na wasz gest i delegację mospheiran w sposób całkowicie zgodny z atewską logiką. Wysłał mnie tu po pierwsze po to, bym zapytał: "dlaczego?", upewnił się, że mospheiranie mówią wam prawdę, i potwierdził jego umowy z wami i waszą Radą. Przekonałem się, niestety, że wymagane przez nas kwatery nie są gotowe. Gotów jestem się z tym pogodzić w ramach rozsądku; ale ponieważ przybyliście tu, by prosić nas o pomoc, musimy wypracować odpowiednie stosunki. Zaczynają się one od odpowiedniej przestrzeni.

- Nie mamy wolnej przestrzeni.

- A ja sądzę, że daliśmy już jasno do zrozumienia, iż przedstawiciele atevich nie pojawiają się pojedynczo i w małych grupach. Mają personel obsługujący ochronę, która na planecie wszędzie im towarzyszy, w dzień i w nocy. To zastępuje broń. Lepiej, żeby się pani nigdy nie zetknęła z pojedynczym ateva. Gdybyście takiego znaleźli, ręczę, że byłby to szalenciec, prawdopodobnie niebezpieczny dla waszego życia i własności. Natomiast ateva ze swoimi domownikami jest kimś, z kim można się układać w przyjemnej atmosferze, a im jest mu wygodniej, tym łatwiej się z nim układa.

Po tym długim przypomnieniu spraw już ustalonych zapadła długa cisza. Najwyraźniej kobieta znajdująca się na drugim końcu linii nie mówiła bez zastanowienia... albo konsultacji... albo przynajmniej opanowania wzburzenia.

- Mam tu trudną sytuację - rzekła wreszcie Sabin. - Dwie konkurencyjne delegacje.

- Wcale nie konkurencyjne. Jeśli interesują was minerały, promy i praca wykonywana tu, na górze, rozmawiajcie z nami. Jeżeli chcecie porozmawiać z mospheiranami, przekażą wasze prośby swojemu rządowi. Ja natomiast mogę uzgadniać szczegóły i mam zgodę na szkolenie tu robotników, gdy tylko przekonam się, że kwatery są odpowiednie. Możecie spotykać się z mospheiranami, ale bez aijiego nie uzyskacie transportu dla siły roboczej i będziecie musieli pozyskiwać surowce z asteroid.

- To jest sprawa dla Rady.

Człowiek dostrzegał pochodzenie mospheirskiego zamięłowania do rad i komisji; trzecia pani kapitan nie zamierzała deklorować się za pozostałych.

- To zakwaterowanie jest nie do przyjęcia, pani kapitan. Obawiam się, że nie nastraja mnie to do podpisywania czegokolwiek.

- W porządku. Spotkamy się. Jutro, trzynasta zero zero.

- Doskonale. - Rozmyślnie powiedział to z lekkim obcym akcentem, świadczącym o długim nawyku używania języka atevich, zastanawiając się, jak bardzo bezsensną noc spędzi Jase z powodu przyspieszenia harmonogramu, ponieważ przypuszczał, że nagrywają każde jego słowo. Kapitan starała się coś z niego wyciągnąć, a potem porozmawiają z Jasem... Szczegółowo, jak się wyśpi, o ile Bren nie będzie naciskał - nie dadzą mu spać, jeśli będzie. Nie mówiąc już o kapitanach. Zdaje się, że Ramirezowi nie była pisana spokojna noc, a

Ogunowi i Tamunowi odpoczynek po służbie. - Pod warunkiem, że ja i mój personel odpowiednio odpoczniemy. Domagam się rozszerzenia tej kwatery.

- To placówka orbitująca, panie Cameron. Wiekowa, prowizorycznie naprawiana, psująca się placówka orbitująca. Nie potrafimy na żądanie wytworzyć przestrzeni. Nie mamy do tego ludzi. Rozumiemy, że prawdopodobnie dostarczą ich mospheiranie. Surowce i transport muszą pochodzić z kontynentu, a pańscy cholerni atevi lubią zabijać ludzi bez najmniejszego powodu. Jest to dla nas troszeczkę zbyt deprymujące, by iść panu na rękę.

- Wasi wysłannicy tak się rozchorowali po wylądowaniu, że mieli mdłości i byli niezdolni do jakichkolwiek działań. Zdaje się, że od trzech lat rozumiemy, iż atevi przybędą na tę stację, i zdaje się, że przesłaliśmy nasze szczegółowe wymagania parę lat temu. Skoro prom już działa, nie sędzę, by prośba o udostępnienie tego, co zrobiliście, była znów taka nierozsądna, ponieważ w tym czasie my unowocześniliśmy przemysł, wybudowaliśmy prom, budowa drugiego jest bardzo zaawansowana, i przygotowaliśmy kwatery dla was. To po pierwsze. Po drugie, nie dostaniecie transportu ani surowców, jeżeli atevi nie będą zadowoleni, i nie dostaniecie siły roboczej, jeżeli mospheiranie nie będą zadowoleni, i macie cholerną rację, że oni nie mieszkają razem, co nie ułatwia wam zadania. Ja jednak urodziłem się na Mospheirze, mieszkam z atevimi, z dużym powodzeniem, i chętnie wam powiem wszystko, co wiem na ten temat, jeśli oczywiście się wyśpię bez materaca na zimnej podłodze.

- Manewr aijiego zmusi członków naszej załogi do przeniesienia się do pomieszczeń bezgrawitacyjnych, panie Cameron. - Inaczej członkowie mojego personelu, co do jednego mierzący powyżej dwóch metrów wzrostu, nie będą mieli gdzie spać. Jeden z nich zranił się w niskim przejściu, a podłoga jest niemożliwie zimna. Meble też nie są dla nich odpowiednie. Na razie zachowujemy w tej sprawie poczucie humoru, które jednak coraz bardziej słabnie.

Nastała cisza. Bren odczekał chwilę, zerknął na swój personel, po czym usłyszał cichy głos z interkomu:

- Opróżnimy dla was sektor, aż do drzwi ochronnych. Przeprowadzimy nasz personel w ciągu godziny. Proszę zrozumieć, że zgadzam się na to jako na rozwiązanie chwilowe i z najwyższym niezadowoleniem. Niech się pan nie spodziewa żadnych dalszych modyfikacji, dopóki nie dostaniemy siły roboczej spełniającej nasze potrzeby.

- Jako wynalazek chwili jest to bardzo wspaniałomyślne, pani kapitan.

- Spotkamy się. Jutro, trzynasta zero zero, żadnych opóźnień. Nasza ochrona przyprowadzi pana do biura.

- Moja ochrona też będzie obecna, pani kapitan, co przewidują umowy. Ta kwestia nie podlega żadnym negocjacjom ze strony aijiego. I wciąż czekamy na nasz bagaż.

- Nie otwieraliśmy waszego bagażu, panie Cameron. Mam nadzieję, że wie pan, jak delikatne jest nasze otoczenie. Mam nadzieję, że poinstruował pan swoją delegację.

- Całkowicie. Proszę poinstruować swój personel, by nigdy nie przechodził ani nie stawał między mną i moją ochroną. To oznacza to samo co wyciągnięta broń. My zmieniamy nasz sposób postępowania i spodziewamy się podobnej uprzejmości.

- Do zobaczenia o trzynastej zero zero, panie Cameron.

Prawdopodobnie w środku jej wachty. Delikatny szmer urządzeń elektronicznych ścichł, zanim Bren zdążył dotknąć guzika.

- Urządzenie może odbierać bez ostrzeżenia - rzekł Banichi, pochylając się nad Brenem, by przyjrzeć się bliżej. - Chyba potrafię temu zapobiec.

- Może masz rację, ale nie rób tego. Jeszcze nie teraz. - Odpowiadał w mospheiranie pani kapitan, która posługiwała się zmienioną wersją tego języka; część personelu Brena trochę go znała, ale nie wszyscy. Podejrzał, że Banichi nie do końca rozumiał akcent pani kapitan czy uchwycił wszelkie niuanse, tak samo jak nie rozumiałby znaczenia zielonego światła jako zezwolenia, ponieważ atevi wybrałyby białe.

Takie drobiazgi stanowiły najmniejsze problemy, przed jakimi stali.

- Nadiin-ji - powiedział Bren, spoglądając przez pokój na swój personel - ta kobieta jest jednym z kapitanów. Dała nam cały korytarz aż do drzwi ochronnych, bagaż jest w drodze i jutro wczesnym popołudniem mam spotkanie, prawdopodobnie z kilkoma kapitanami. Chce przysłać po mnie ochronę; wcale nie wydawała się zadowolona, kiedy powiedziałem, że wezmę ze sobą swoją.

- Gdybyśmy cię wysłali samego, nadi-ji - rzekł Banichi - Tabini-aiji zgłosiłby kontrakt na nasze głowy.

- Dałem to wyraźnie do zrozumienia - powiedział Bren. - Kapitan Sabin nie podoba się, że mamy broń, i prosi o rozważę. Banichi i Jago, pójdziecie jutro ze mną, to znaczy zakładając, że pojawi się bagaż, a my dostaniemy odpowiednie kwatery. Tano, Algin, zajmiecie się terenem.

- Nandi.

W przeciwieństwie do tego, co powiedział kapitan Sabin, Bren wiedział, że Tabini-aiji umieścił ich na stacji praktycznie dzięki kuglarstwu, które odniosłoby znakomity skutek w izbach hasdrawadu czy machinacjach patronatów.

Stał więc przed konsekwencjami tego kuglarstwa - bardzo poruszoną, bardzo rozszłoszczoną Gildią Pilotów, która miała już do czynienia kilka razy z Tabinim na odległość i która prawdopodobnie - i mądrze - zaczęła liczyć własne palce przy każdej transakcji z jego rządem.

Uprzejmość jednak stanowiła kulturową linię uskoku, przecinającą coś więcej niż stosunki ateńsko-feniksowe. Kapitanowie raczej nie byli biegli w uprzejmych propozycjach, która to cecha na pewno rozdrażni mospheiran, z historycznych względów i tak gotowych podejrzewać kierownictwo Gildii Pilotów o niegodziwe postęпки. Na Mospheirze mnożyły się teorie spisku, stanowiąc składnik mospheirskiego życia; najgłośniejsze z nich mówiły, że obcy to kompletne kłamstwo, a kapitanowie chcą podbić wyspę, z której przypuszczają atak na kontynent.

Ani mospheiranie, ani Gildia Pilotów nie żywiły co do siebie rozsądnych oczekiwań. Bren jednak miał przez trzy lata Jase'a. To oczywiste, że Gildia nie wysłała na planetę swego najstarszego oficera, ale Brenowi mogli się trafić gorsi doradcy...

Boże, wierzył, że ma rację; nawigacja w kontaktach z obcymi, gdzie działali paidhiin, zawsze polegała na doświadczeniu i wyczuciu. Było wystarczająco trudno usiłować trzymać mospheiran na dystans, nie przesadzając jednocześnie z naciskami. Teraz Bren musiał stanąć twarzą w twarz z panią kapitan Gildii i powiedzieć jej, że chce dostać na talerzu słońce i księżyc. Miał nadzieję, że Jase dotarł do Ramireza, że Ramirez pyta, co wie Jase... i że Jase, może w obecności Yolandy Mercheson, tworzy piramidalne negocjacje: atevich z Ramirezem, jeśli dopisze im szczęście, mospheiran z Sabin. To zostawiało Oguna i Tamuna, którzy prawdopodobnie będą stali z boku, analizowali i rzucali własne groźby.

Tymczasem służący zbierali rzeczy, by zmienić miejsce po zaledwie paru godzinach pobytu na stacji.

Banichi i Jago, wraz z Tano i Alginim, prowadzili cichą rozmowę o konsoli łączności. Z drugiej strony, Bren był zbyt pochłonięty myślami, by zapytać, a jednak uważał, że powinien się dowiedzieć, o czym konkretnie rozmawiają.

Musiał im też powiedzieć, co wiedział o budowie stacji.

- Ten węzeł łączności będzie bardzo podobny w różnych pomieszczeniach - poinformował ich - i podłączony do centralnych układów kontrolnych stacji. Do tego systemu jest też podłączony statek wraz z całym wyposażeniem. Mogą być urządzenia podsłuchowe wszelkiego rodzaju, precyzyjniejsze i trudniejsze do znalezienia niż cokolwiek, o czym słyszała Mospheira, nadiin, czy my moglibyśmy dać ajiemu. Nie wiemy, co ci ludzie wynaleźli w ciągu dwustu lat przy tym wszystkim, co przeszli.

- My sami nie mamy nic do ukrycia, nandi - oznajmił Banichi - i wierzymy, że nasz towarzysz nie będzie dla nich tłumaczył.

- Nie - odparł Bren. Banichi nie użył imienia Jase'a i z tego samego powodu nie zrobił tego on. - Ponieważ są ludźmi, nadiin, bardzo łatwo mi założyć, że ich rozumiem. Pewne rzeczy w tej kulturze budzą we mnie oddźwięk tak, jak dźwięczy metal, gdy w pobliżu odezwie się ton odpowiedniej wysokości... Ale Jase i ja mówimy innymi językami, choć używamy tych samych słów. Nie jest łatwo zignorować kulturę własnych przodków i nie zawsze jest łatwo ją zidentyfikować czy odróżnić od instynktu.

- Ateva tak to rozumie - odparł Banichi, którego man'chi było związane z człowiekiem.

- Człowiek rozumie - rzekł Bren poważnie. Spojrzał na służących. - Wątpimy, czy ochrona statkowych ludzi włada płynnie ragi. Mieli na to trzy lata, ale posługujcie się albo najbardziej dworskim, albo najbardziej plebejskim językiem. Wybaczam wam wszelkie niestosowne sformułowania. Bez względu na to, co znajdują w słowniku, wątpimy, czy zdobędą odpowiednie umiejętności, by poradzić sobie z którąś z tych skrajności. Zamierzam rozzłościć aijiin Gildii; zbyt duża poufałość pozwoli im na poczynienie niebezpiecznych założeń, a ja nie zamierzam powtarzać błędów Ładowania. Niech mnie nie znoszą, nadiin, niech mnie uważają za całkowicie nierozsądnego, byle tylko niczego nie zakładali i nie przypuszczali. Dlatego czasami sytuacja może nie być całkowicie przyjemna.

- Czy mamy się bać o życie? - zapytał Bindanda.

Najpierw pomyślał: "To idiotyczne", ale jednak musiał być uczciwy wobec tego, o co szło. - Przypomnijcie sobie, że za zewnętrzną ścianą nie ma powietrza i że powietrze, światło oraz ciepło wewnątrz utrzymuje delikatna maszyna. Oni boją się błędów, i słusznie. Wszystkie drzwi będą dla was za niskie, wszystkie siedzenia za małe; ochrona będzie zaskoczona waszym wzrostem i waszym zachowaniem, sprzecznym z ich manierami. Często się kłaniajcie. Jeżeli jakiś człowiek spojrzy na was z wrogą miną, uśmiechnijcie się, choćbyście uważali to za bardzo niegrzeczne i choćby to było bardzo trudne. Uśmiechajcie się nawet do osób na wysokich stanowiskach. Uśmiechajcie się też do mnie, nawet w miejscach publicznych. Przypominajcie sobie nawzajem, by to robić. Nawet jeśli ich intencje są jak najgorsze, mamy tu misję do spełnienia w ramach man'chi względem aijiego. Moje życie zależy od was wszystkich.

- Nandi. - Narani skłonił się.

- Uśmiechaj się przy tym, Rani-ji. - Sam natychmiast poszedł za swoją radą, czym wywołał pełen niepokoju śmiech personelu. - Nawet ty, Banichi-ji.

Banichi przerwał oględziny telewizora, spojrzał surowo na Brenę i uśmiechnął się ponuro, na co roześmiał się cały personel, łącznie z Jago, Tano i nawet Alginim.

- A zatem - powiedział Bren z lekko ironiczną miną - czekamy na bagaż, czekamy na polepszenie naszych kwater i szykujemy się do stawienia czoła temu, co nadejdzie. Nadiin-ji. Moja maszyna.

Jago podała mu komputer; Bren usiadł z nim na mniejszym z krzeseł i wziął się do wyszukiwania plików. Tak, zapisy statku są osiągalne. Oraz szczegółowe notatki Jase'a o wszystkich członkach Gildii Pilotów, wszystkich jego znajomych, wszystkich oficerach, wszystkich faktach historycznych.

Wierzyć tej informacji?

Tak. Bren wierzył. Przekonał się, że dla Tabiniego są przydatne nawet jego skrupuły, że jego ludzkie nerwy pozostały wrażliwe na ludzkie pojęcie zdrady... a to służyło aijiemu. Karą było wrażliwe sumienie, niespokojne z powodu tego, co robił; ale intelektualnie, tak, wiedział, że Jason trochę ukrywał prawdę, jednak potem, w późniejszych latach, ujawnił ją po kryjomu, zmieniając tu i ówdzie jakiś szczegół.

Teraz wierzył tym zapiskom, podobnie jak wierzył Jasonowi. Jego dane dotyczyły ponad stu osób załogi.

Starszy kapitan Ramirez miał siedemdziesiąt jeden lat według statkowej rachuby czasu.

Starszy kapitan, syn, córka, oboje mający przywilej szkolenia dowódczego - dowodzenie wewnątrz Gildii było przekazywane bardzo wąskimi kanałami, niemal całkowicie dziedzicznie, chyba że potomstwo nie zdało egzaminów akademickich.

Pięćdziesięciokilkuletnia żona zmarła. Małżeństwo na Mospheirze było często przejściowe, a czasami wcale do niego nie dochodziło. Małżeństwo na "Feniksie" było trwałe, powiązane ze statusem, stanowiąc sojusz władzy, który po prostu nie dawał się zerwać bez poważnych następstw.

Bren zapytał kiedyś Jase'a, czy można wierzyć Ramirezowi. Jase napisał: "Ramirez do zejścia na dół wybrał mnie i Yolandę. W pewnym sensie mam ojca... to on nim jest. A przynajmniej to on podpisał papiery na wydostanie próbek z magazynu. Chciał, żebyśmy się urodzili, bo był to nowy wiek. Nie spodziewał się tego, co nadeszło".

Jase pisał w ragi. Tamtego wieczoru rozmawiali do późna w salonie apartamentu Atigeinich, wdychając wiatr przesycony wonią kwiatów djossi.

Wciąż prawie czuł ów zapach i słyszał trzask ognia, kiedy myślał o tej rozmowie... kiedy to Jase powtórzył w ragi:

- Mamy man'chi tylko względem statku. I naszych matek. Mamy zwykle matki. Ale mnie wysłał Ramirez. Opiekował się mną przez całe moje życie. Pochwalał to, co studiowałem. To chyba oznacza ojca.

- Ja też nie potrafiłbym ci powiedzieć - odparł wtedy Jase.

Man'chi tylko względem statku.

Jase studiował dawną wiedzę dla niej samej, ponieważ Stani Ramirez chciał wrócić do świata, który opuścili, by wytyczyć szlak handlowy, założyć gwiazdne imperium. I wtedy, za życia Jase'a, sprawy poszły straszliwie źle.

Jase powiedział... - a postawili wszystko na zaufanie do niego - ...że Gildia Pilotów przybyła tu, by przygotować obronę świata. Stacja, którą zostawili przy tamtej innej gwiazdzie, nie miała żadnych szans.

- Widziałem zdjęcia - powiedział Jase tej nocy, kiedy Bren całkowicie uwierzył w zagrożenie ze strony obcych. - Tylko kilku z nas weszło na pokład stacji. Potem, kiedy wycofaliśmy się, było spotkanie. Niektórzy z załogi mówili, że powinniśmy spróbować znaleźć obcych i policzyć się z nimi; inni mówili, że powinniśmy gdzieś uciec i nie ryzykować, że obcy wyśledzą naszą drogę do domu. Ale na stacji znajdowały się wszystkie zapisy. Mapy. Niektórzy sądzili, że załoga stacji mogła je zniszczyć, ale większość uważała, że nie mieli okazji. Przegłosowaliśmy powrót tutaj, mając nadzieję, że obcy będą potrzebować czasu na przetrwanie tego, co zdobyli.

Po pewnym czasie w korytarzu rozległo się stukanie i hałasy.

- Czy ateva ma sprawdzić? - zapytała Jago.

- Niech działają po swojemu - rzekł Bren, mimo że jego ochrona rwała się do zbadania, co się dzieje. Wyprowadzają się, pomyślał, prawdopodobnie bardzo źli na gości z planety.

Hałasy nie ustawały.

Banichi wziął się do czytania; Jago, Tano i Algini grali w jakąś grę hazardową. Służący znaleźli sobie podobne zajęcia, rzucając kośćmi i zerkając na drzwi.

W końcu światło przy drzwiach błysnęło raz, drugi i drzwi się otworzyły.

Mężczyzna w mundurze odezwał się:

- Pan Cameron? - jakby nie potrafił go odróżnić. - Teren jest wasz.

- Dziękuję - odpowiedział Bren, wywołując całkowitą ciszę.

Wstał, wyszedł niespiesznie na korytarz i obrzucił spojrzeniem stertę bagażu, trzech ludzi, dwóch z bronią u pasa, oraz odcinek korytarza, który, jak rozumiał, właśnie stał się atewską rezydencją.

- Bardzo pięknie. Dziękujemy za wasz wysiłek, nadiin.

- Rozkazy kapitana - rzucił zimno mężczyzna i odszedł, wyprostowany jak struna.

Nerwy Brena drgnęły, lekko naprężone w reakcji kulturowej, ale to on ją wywołał; zrobił to świadomie, więc nie odpowiedział, tylko stał i patrzył, jak załoga, zapewne wykwaterowani mieszkańcy, sztywno wychodzi.

No, no, no, pomyślał, bojąc się spowodować trwały gniew lub założenie, że atevich można bezkarnie obrażać.

- Załogant! - powiedział ostro.

Szybkie, ostrożne spojrzenie.

- Człowiek żałuje tych niewygód. Osoby przeniesione gdzie indziej otrzymają rekompensatę, jeśli wyjawią mi swoje nazwiska.

- Johnson, sir. - Mocno zaciśnięta szczęka. - Johnson, Andresson, Pressman, Polano.

- Trzy nazwiska znane na Mospheirze - zauważył, nie stosując się do własnego polecenia wydanego personelowi, by się uśmiechać. Może oni go jednak usłuchali. - Jednego nie znam. Interesujące. Kiedy zaczną się dostawy towarowe, przywieziemy pewne dobra. Powiadomcie nas, co uważacie za uczciwą odpłatę. Jase Graham może coś polecić.

Postawa była już mniej wroga, choć brakowało jej swobody. Najbliżej stojący załogant zasalutował niedbale.

- Tak jest, sir. Gdzie mamy to zgłosić, sir?

- Będzie tu biurko. Jutro, jeśli chcecie. Może to trochę potrwać, ale mamy długą pamięć.

- Tak jest, sir.

Mężczyzna cofnął się z wahaniem i cała czwórka wyszła, by porozmawiać, może z oficerami, a prawdopodobnie z innym, niżej postawionym personelem stacji. Zdaje się, że przekupstwo i rekompensaty łamią wiele zasad.

Drzwi się zamknęły.

Obok Brena pojawił się Banichi.

- Czy ateva ma poszukać podsłuchu? - zapytał. - A może go zostawić?

- Poszukaj. Niech personel rozpakuje bagaże. Ateva nie powinien jednak usuwać podsłuchu... ani niszczyć konsoli łączności. Na razie.

- Tak - odparł z zadowoleniem Banichi.

Poszukiwania, które przeprowadzą, będą techniczne, poza jego kompetencjami. Ufał Banichiemu, że nie spowoduje zwarcia w elektrycznych układach stacji ani nie włączy alarmu przeciwpożarowego.

Przed sobą miał bagaże delegacji, górę czarnego płótna i białych skrzynek: kuchnia, zapasy żywnościowe, sprzęt Banichiego, ubrania... broń - jeśli Gildia dotrzymała słowa i nie zaglądała do bagażu. Miejscowe urządzenia elektryczne z pewnością nie były tak wyrafinowane jak sprzęt, który wpuszczono na stację, ale liczy się przecież jakość specjalistów, którzy się nim posługują. Bren pomyślał o statku pełnym technicznie wyrafinowanych astronautów, od wieków szpiegujących się i wymykających sobie nawzajem; nie miał jednak pewności, czy pomysłowe współzawodnictwo mogło uczynić ich gorszymi lub lepszymi... Znając jednak na wskroś dwór aijiego, Bren stawiał raczej na swoich sprzymierzeńców.

10

Służący żadną miarą nie pozwolili paidhiemu wejść do pokoju, który wybrali dla niego, nim nie wydobyli z bagażu - coś nieprawdopodobnego! - i nie umieścili przy drzwiach trzech niedużych malowideł na tkaninie.

W głównym korytarzu rozłożyli chodnik z pomyślnymi i zharmonizowanymi symbolami, stanowiący zrównanie jedności w tym pustym pomieszczeniu.

Wszystko zależało od liczb związanych z przedmiotami, z jakimi mieli do czynienia, a których nie mogli przewidzieć, nie znając tego miejsca. Bren zastanawiał się, jakie jeszcze inne ozdoby spoczywają niewykorzystane w bagażach. Wyczucie pomyślnego wystroju prezentowane przez Naraniego było bezsporne, a jego pomysłowość nadzwyczajna.

Co więcej - Bren starał się nie zwracać uwagi na hałas i o nic nie pytać - poprzesuwali sprzęty, powyjmowali krzesła z uchwyty, pozamieniali meble w pokojach, powiesili niewielkie, przenośne dzieła sztuki i zorganizowali kuchnię, a wszystko w ciągu czterech godzin wypełnionych wytężoną pracą. Na dole w Shejidan był już środek nocy.

- Nadi-ji - powiedział Bren do swego majordoma, stojąc w głównym korytarzu i przyglądając się dziełu - dokonałeś cudu.

Przeszedł parę kroków, zwrócił uwagę na ustawienie biurka na środku pokoju oraz na to, jak za pomocą narzędzi, znalezionych prawdopodobnie w zestawie ochrony, przymocowali do ściany korytarza mały stolik i ustawili na nim wazon z suszonymi trawami w otoczeniu starannie ułożonych trzech kamyków, a przy nim misę na tutki z wiadomościami, gdyby takowe jakimś cudem się pojawiły.

Luźno stojące meble mogły przerazić władze stacji, ale Bren był ogromnie wzruszony.

Liczba krzeseł w jego pokoju wynosiła trzy, na łóżku leżała udrapowana ukośnie narzuta i Bren wyobrażał sobie, o ile lepiej czuje się jego personel. On sam odbierał poczucie słuszości i oddanie atevich w stworzonym przez nich wystroju... a po ludzku czuł ciepło i odprężenie. Jego zmysły już się nauczyły liczyć kwiaty i kolory kwiatów w wazonie prawie tak naturalnie, jak takie informacje były rejestrowane przez atewskie mózgi. Miejsce to stało się o wiele przytulniejsze i przyjemniejsze; był to odważny atewski gest w stalowym i plastikowym świecie.

- Dziękuję, nand' paidhi. O której zechcesz zjeść śniadanie?

Umysły stawały się spokojniejsze w zrozumiałym otoczeniu, a ciała były bardziej zadowolone, kiedy życie toczyło się według planu.

- Nadi-ji, niewielkie śniadanie, zgodnie z rozkładem dnia w Shejidan, jeśli łaska. Mogę drzeć, ale obudź mnie.

Ucieszeni pochwałą, poszli czynić swoje cuda w miejscu, gdzie urządzili oficjalną kuchnię, a także zapewne we własnych pokojach, gdzie wspólne pomieszczenie stanie się miejscem narodzin zwykłych żartów, figli i swobodnego zachowania służby, wolnej od pańskich spraw.

- O wiele, wiele lepiej - orzekła Jago. - Ale maleńkie drzwi. Biedna Sabiso.

Guz na jej głowie nie zmniejszył się.

- Nawet na Mospheirze drzwi są wyższe - zauważył Bren, otwierając jedno z tych informacyjnych okienek, które w dawniejszych czasach jego kariery musiały pozostawać zamknięte. - Budując razem domy przed Wojną, zapewne szliśmy na kompromis. Uważajcie na drabiny i schody, nadiin. Albo, konstruując to miejsce, jak najbardziej starali się oszczędzać materiały, ciepło i chłodzenie, albo taki rzeczywiście był wzrost naszych dawnych przodków.

- Wcale nie zważali na pomyślność - rzekł cicho Algini. - Czy tak? Może poprawimy te liczby, nandi, itym razem stacja będzie miała szczęście.

Jak gdyby brak wazonów z kwiatami wyjaśniał wszystkie nieszczęścia, które stały się udziałem tej i tamtej drugiej stacji... Co prawda, nikt z personelu przy dworze Tabiniego nie wierzył w numerologię z taką żarliwością jak jej wyznawcy.

- Człowiek mógłby powiedzieć - odparł Bren - że wcale nie zważali na harmonię wśród mieszkańców, a to jest w najwyższym stopniu niepomyślne. Miejmy nadzieję, że uda nam się ułożyć sprawę w o wiele lepszym porządku, baji-naji.

Biorąc pod uwagę działania przypadku, diabła we wzorze.

Taca na wiadomości wystawiona na zewnątrz była tak pełna nadziei, tak łagodnie wyczekująca prawidłowego zachowania.

Zważywszy to wszystko, Bren naprawdę czuł, że ma bazę działania, bazę działania dla każdej innej delegacji aijiego.

Wszedł do swojego pokoju, usiadł przy biurku i otworzył komputer.

- Zegar nakazuje odpoczynek - przypomniała mu Jago.

- Jedno małe zadanie - powiedział. Spojrzał na zegarek i coś sobie obliczył. - Do spotkania z panią kapitan jest jeszcze kilka godzin. Mospheiranie są na pewno pierwsi w rozkładzie. Nie odpoczną. I muszą jeść miejscowe jedzenie. Jasi-ji go nie polecał. Ja, z drugiej strony, z radością czekam na smaczne śniadanie.

- Nandi - powiedziała z rozbawieniem Jago i wycofała się.

Z pewnością nie mogli zajmować się tym, czym zajmowali się w apartamencie w Shejidan, pod dachem Tabiniego. Niektórych pytań po prostu się nie zadaje i Jago wróciła do górnolotnej oficjalności, po czym wyszła, prawdopodobnie, by samej się przespać. Banichi, Tano i Algini bardzo cicho organizowali posterunek w pokoju, który przejęli. Moduł ochrony, podobnie jak bardzo starannie wynegocjowana kuchnia, był drobiazgowo przemyślany, bardzo poręczny, podzielony na fragmenty. W ogólnym przekształcaniu zniknęły skrzynki i reszta bagażu. Ochrona była zadowolona.

Bren przeglądał listę załogi, mając umysł przyzwyczajony do liczb w języku posługującym się obliczeniami przy każdym prostym stwierdzeniu... a umiejętność zapamiętywania nabył podczas lat studiów i doświadczeń na bardzo niebezpiecznym dworze Tabiniego. Przypominał sobie nazwiska, wszystko, co Jase powiedział mu o osobach, które mógłby spotkać, o ich związkach, małżonkach. Zasada była tu monogamia, czasami wielokrotna. Potomstwo załogi o wysokim statusie raczej miało swoje miejsce określone z góry, ale musiało dać sobie radę podczas surowych kursów szkoleniowych, opracowywanych przez komputery. Podczas kolonizacji bywały rozbijane rodziny. Do czasu powrotu statku było dużo ofiar śmiertelnych, ponad tysiąc osób zginęło na tamtej nowej stacji i wiele wciąż istniejących rodzin straciło swoich członków... rozmowa o tym była uznawana za uchybienie. W społeczeństwie, gdzie wszyscy wszystko wiedzieli, rozmowy o takich rzeczach były zdawkowe, a zrozumienie wśród ludzi głębokie i obfitujące w przypuszczenia. Nie było komu powiedzieć. Ludzie przeżykali swój ból i żyli dalej. Jase'a niepokoiła już sama myśl o tym, że osoby, które uważał za bardzo ważne dla swojego samopoczucia, znikają za horyzontem, ale, co ważniejsze, upłynęły dwa lata, zanim choćby wspomniał, jak to na niego wpływa, a Bren domyślił się, dlaczego podczas ich rozłąki Jase chodził tam i z powrotem po pokoju i robił się wściekły.

Jase zaczął nad tym panować. Nie wspominał nic na ten temat, żegnając się z ich światem, ale w jego żalu wyraźnie dawało się dostrzec pragnienie powrotu swobody... W Jasonie Grahamie nie było prawie nic mospheirskiego czy niefrasośliwego; sam siebie nazywał człowiekiem normalnym i zdrowym.

Bren zebrał takie dane o Jasonie w charakterystykę, która mogła pasować do kapitanów: szybkie wybuchy, skłonność do zażegnania konfliktów dzięki ustępstwom, lecz zarazem do zbierania argumentów do późniejszych wybuchów i starannego przechowywania wszystkich uraz. Nikt na statku nie mógł uwolnić się od reszty osób. Prędzej czy później musiało dochodzić do rozwiązywania konfliktów i zdarzały się walki na pięści, lecz broń w konfliktach rodzinnych była obłożona kłatwą. Kapitanowie wymuszali jednak absolutny porządek i wśród ludzi, którzy nigdy nie oddzielali się od innych, izolacja była ciężką, przerażającą karą.

Jase sam się zgłosił, by spać na planetę między obcych ludzi i obce istoty. Jase nauczył się mówić językiem ludzi ziemi, którym nie mówił nikt inny, ponieważ Jase'owi, zrodzonemu z martwego od kilku wieków ojca, była przeznaczona odmienność. Urodził się, by nawiązać kontakt z byłymi kolonistami, bez względu na to, jak się zmienili.

Jase... i Yolanda Mercheson.

Dwoje członków załogi "Feniksa": rozdzieleni poprzez pracę, rozdzieleni z wyboru, na swój dziwny sposób współzawodniczący ze sobą i zazdrośni o swoje stosunki z Ramirezem... Przyjaźń prawdopodobnie nie była im pisana, nawet jeśli doprowadziło to do uprawiania miłości.

I oboje różnili się od mospheiran - jak bardzo, Bren niezupełnie zdawał sobie sprawę, dopóki nie wdał się w słowną przepychankę z Ogunem i nie zobac-

zył, jak jedna po drugiej ujawniają się reakcje, które deprymowały go u Jase'a.

Robił notatki do referatu, który zamierzał napisać: notatki w ragi do referatu w mospheiranie. Kiedyś był twórcą słowników i wciąż potrafił znaleźć wspólny grunt z naukowcami, jak Ben Feldman i Kate Shugart z zespołu Lunda i Kroger.

Stwierdził jednak, że jeśli chodzi o treść tego referatu, wyjaśniającego obcy sposób postępowania, to prawdopodobnie jest autorem jedynym w swoim rodzaju, być może jedynym człowiekiem oprócz Jase'a potrafiącym dostrzec, pod jakimi względami są sobie obcy... Być może jedynym człowiekiem oprócz Jase'a, potrafiącym zauważyć mielizny i rafy, na które mogą łatwo zbroczyć mospheiranie albo załoga "Feniksa", jako że w tym wszystkim nie ma zła ani dobra. Najbardziej ryzykowna dla mospheiran Partia Ludzkiego Dziedzictwa nie miała najmniejszego pojęcia, jak dziwni mogą stać się ludzie na świecie, na wyspie; na statku, zamknięci w małej przestrzeni, porozumiewający się tylko w sprawach wszystkim już znanych. Myśleli, że ich zbawieniem są "pierwotni ludzie", ale "pierwotnych ludzi" już nie było. Zmieniły się obie strony.

Personel Brena chodził po korytarzu... Łatwo dawało się rozpoznać miękkie kroki służących i cięższe stąpnięcia ochroniarzy. Mimo perspektywy południowego spotkania Brena otaczały o wiele bardziej domowe dźwięki.

Wtedy mimowolnie pomyślał o wyspie, o mieście, gdzie był jeszcze poprzedniego dnia, o Barb biegnącej po szarym, poplamionym betonie tamtego hangaru, wyzbytej cienia godności...

Wzdrygnął się w duchu.

Cholerny autobus.

Pomyślał, czy stan Barb się polepsza i jakich trwałych obrażeń mogła doznać. Przy wszystkich jej wadach, gdyby zamienili się miejscami, Barb poruszyłaby niebo, ziemię i międzynarodowe granice, by chociaż się z nim skontaktować.

Nie dotrzeć do niego, nie zamieszkać z nim w świecie, w którym nie chciała być, ale przynajmniej zadzwonić i zapytać: "Czy nic ci nie jest, Bren?"

Barb nie zasługiwała na ból. Jego matka nie zasługiwała na całonocne przemierzanie szpitalnego korytarza w stanie śmiertelnego przerażenia. Kłócili się ze sobą, w niczym się nie zgadzali, ale wciąż zależało im na sobie; taki był efekt tego wszystkiego, efekt, który zaczynał akceptować i którego Barb chyba sobie jeszcze nie uświadamiała.

Zastanawiał się, czy jego brat Toby dostał bilet na samolot i dotarł do matki, i czy między Tobym i Jill wszystko jest w porządku... Jill trafiło się nieprzewidziane życie, w którym pilnowali jej agenci ochrony, a służby bezpieczeństwa narodowego nawiedzały jej ulicę, chodząc za dziećmi. Małżeństwo Toby'ego przeżywało trudne chwile, a teraz jego dzieci robiły się na tyle duże, by rozumieć, jak ich wolność jest ograniczana przez wyjątkową pracę wuja, a życie komplikowane przez grupkę przypadkowych wariatów, których mospheirskie prawo nie pozwalało aresztować.

Cała rodzina chwytiała się krawędzi, czekając na jego odwiedziny, jakby Bren w jakiś sposób wciąż na nowo określał sytuację, jakby to on nie dawał im żyć po swojemu. A rzecz w tym, że byli ze sobą związani i ranili się nawzajem: Jill, wciągnięta w to przez małżeństwo, nie tupnęła nogą, a powinna.

Wczesne godziny poranne. Takie myśli.

Oparł dłoń z pisakiem o podbródek, skupił wzrok na ekranie i zabezpieczył pliki tajnym atewskim szyfrem, którego prawdopodobnie nie potrafiłby złamać nikt na stacji.

Potem wstał, zawołał Kandaną, rozebrał się i położył do łóżka, które posłał Bindanda.

- Śpij dobrze, nandi - Powiedział Kandana, a Bindanda powtórzył to życzenie.

- Wy też - rzekł Bren i zamknął oczy, nie chcąc myśleć, gdzie się znajduje, co go czeka ani co musi zrobić - oprócz przejścia tytułu do stacji.

Drzwi się zamknęły, pogrążając pokój w całkowitej czerni kosmosu. W prawdopodobnie prastarych przewodach szumiało energicznie powietrze.

I tak, pozbawiony doznań zmysłowych, odpłynął w sen, budząc się kilka razy i zadając sobie w panice pytanie, gdzie jest i czy nie oślepl.

- Jago? - zapytał raz.

Jednak, uświadamiając sobie prawdę, przypominając wszystko i uspokajając się po tych oddzielnych atakach strachu, nie mógł oprzeć się odpoczynkowi, którego miał zdecydowanie mniej, niż potrzebowało jego ciało.

Zapadł w sen tak głęboki, jakim nie spał od półtora miesiąca.

Drzwi odskoczyły i w twarz Brena uderzyło światło.

Obudził się z niepokojem, uświadamiając sobie, że widzi Banichiego, który jest nienagannie ubrany, a za nim Narani i dwaj służący.

- Czas wstawać, nadi-ji - rzekł ochroniarz.

Bren opadł z powrotem na poduszki, powtarzając sobie, że jest na orbicie.

Naprawdę na orbicie.

Nie ma Jase'a. Jest Banichi.

Jago. Narani. Tano i Algini.

Ma spotkanie z kapitanami.

Jego umysł odpłynął bardzo, bardzo daleko. Bren spacerował po plaży, gdzieś w dzieciństwie. Słyszał śmiech dzieci.

- Nadi? - zapytał Banichi.

Banichi potrafił wyjść ze strzelaniny z nienaruszoną fryzurą. Bren nie znajdował się w takim stanie. Najważniejsze było ponowne włączenie serca. Potem należało namówić do ruchu wyczerpane kończyny.

Zorganizowanie myśli stanowiło obowiązkowe trzecie posunięcie.

- Ruszam się - powiedział. W ciągu tych wszystkich lat Banichi nauczył się niczego nie zakładać, dopóki nie zobaczył stopy wysuwającej się spod kołdry; Bren wystawił wymaganą stopę na bardzo, bardzo zimne powietrze.

- Boże, chyba nie chce tego robić.

- Podać śniadanie?

- Kąpiel - orzekł Bren, wstał z wysiłkiem i poszedł do małej łazienki, mając rozpaczliwą nadzieję na gorącą wodę.

Była natychmiast. Uderzył w ścianę, udało mu się wyregulować strumień, powiedział sobie w myślach, że nie jest to prysznic, do jakiego się przyzwyczaił; mydło jednak było na miejscu, mydło z olejkiem o znajomym ziołowym zapachu: Narani i personel mieli wszystko pod kontrolą. I kiedy Bren wyszedł z łazienki, jego służący byli gotowi, stojąc z przyszykowanym szlafrokiem i ubraniem.

Usiadł, by mogli mu wysuszyć włosy i zapleść warkocz.

- Spałeś, nandi? - zapytał Narani.

- Bardzo dobrze. Ile mam czasu do spotkania?

- Dwie godziny - odparł spokojnie Narani. - Ateva sądził, że może zechcesz spać.

- Ateva miał rację - mruknął Bren. Zorientował się, że ma zamknięte oczy. - Herbata - powiedział. Pojawiła się w jego dłoni, stanowiąc wstęp do śniadania.

Narani skończył czesanie.

Bren wstał, podał filiżankę Kandanie, po czym ubrał się, starannie sprawdzając ułożenie mankietów, i wyszedł na korytarz stanowiący obecnie serce atewskiej misji.

Służący ukłonili się.

Tano zajmował płócienne krzesło atewskich rozmiarów w pokoju naprzeciwko, wybranym na posterunek ochrony i leżącym tuż obok wyjścia na

zewnątrz... zajęтым przez sporą liczbę urządzeń elektronicznych i potężną konsolę.

Skąd, u diabła, się tu wzięła? - zadał sobie pytanie. Był lekko wstrząśnięty i kiedy się odwrócił, zobaczył, że Banichi czeka na niego obok jadalni.

O pewnych rzeczach nie chciał wiedzieć. Pewne rzeczy mógłby zbadać tylko wtedy, gdyby poprosili go o to kapitanowie. Bóg jeden wiedział, co jeszcze mogło istnieć poza kuchnią, którą Bren razem z Jasem starannie zaprojektowali do współpracy z elektroniką stacji.

Niewątpliwie ten zestaw urządzeń też znalazł odpowiednie źródło energii. Jeśli zostało podłączone do sieci elektronicznej pokoju w jakiś nierozsądny sposób, to Bren nie chciał nic o tym wiedzieć, przynajmniej nie przed spotkaniem.

Za następnymi otwartymi drzwiami pomieszczenia, które dzięki dwóm połączonym biurkom służyło jako jadalnia, były przygotowane trzy nakrycia: dla niego, Banichiego i Jago, i stały trzy krzesła - dwa płócienne o atewskich wymiarach i jedno dla niego. Algini czekał, by odsunąć mu krzesło, a kiedy usiedli wszyscy troje, Sabiso przyniosła serwis do herbaty.

Nie mógł już znieść ciekawości.

- Nie robicie niczego, o czym powinienem wiedzieć - odezwał się do pozostałej dwójki, jako że Algini zniknął za drzwiami. - Banichi, Jago-ji, z pewnością nic niebezpiecznego.

- Wiemy, co się dzieje - rzekł Banichi - i słuchamy, Bren-ji. Nie powinniśmy?

- Słuchajcie, ile chcecie - powiedział, gdy tymczasem pojawił się Narani z Kandaną niosącym wielki, cudownie pachnący półmisek, w którego zawartości Bren domyślał się swego ulubionego dania. - Nadiin, zdumiewacie mnie.

Kandana postawił półmisek na stole, a Narani zdjął pokrywkę. Amidiashi, potrawa z delikatnie zamieszanego jaja.

- Jajka, nadiin?

Narani był zachwycony swoim sukcesem.

- Mamy ich trochę - odparł.

Czy odważy się pomyśleć, że cała jego ochrona ma na sobie operacyjną czerń, a nie dworskie eleganckie stroje; i że w tych mundurach poukrywane są urządzenia, które, jak ogólnie się orientował, miały lokalizować, chronić przed ostrą bronią i wywoływać lekki chaos? W tym, co wydawało się usztywnieniem, były małe igły i kilka ostrych krawędzi.

Bren zjadł śniadanie, nie mówiąc już o tej sprawie ani słowa.

A niedługo po ostatniej filiżance herbaty wszedł Tano z meldunkiem o człowieku czekającym przy drzwiach zewnętrznych. Przyszedł obiecany przewodnik.

11

Nie był to ten sam przewodnik co poprzedniego dnia, choć mógł nim być. Okular, mundur - szybki rzut oka dookoła.

- Nie możecie mieć tego stołu w korytarzu, sir - padła pierwsza uwaga. Bren uśmiechnął się.

- To nie jest korytarz.

Młodzieniec najwyraźniej nie wiedział, co począć z tym stwierdzeniem. Drzwi do posterunku ochrony były, na szczęście, dyskretnie zamknięte.

Wewnątrz siedział Algini. Tano, Banichi, Jago i służący stali w korytarzu: ta pierwsza trójka w operacyjnej czerni, a służący w zwykłych uroczystych strojach. Kłaniali się, gdy padał na nich natarczywy wzrok młodzieńca.

Przewodnik spojrzał na Brena, wyraźnie zaniepokojony.

- Proszę ze mną, sir.

- Prowadź - rzekł Bren i przewodnik otworzył drzwi. Nie był przygotowany na towarzystwo Banichiego i Jago albo mu się ono nie podobało. Zatrzymał się na chwilę niepewnie, po czym ruszył; Bren za nim, a na końcu Banichi i Jago z krótką bronią wyraźnie na widoku.

Nie było żadnej rozmowy, uprzejmości, ciekawości... tylko kilka spojrzeń na zakręty korytarza, drzwi i inne miejsca, umożliwiające zerknięcie do tyłu. Poza tym młodzieniec zameldował, że "idzie też para obcych".

Bren nie usłyszał odpowiedzi na tę niedyskretną uwagę. Młodzieniec miał w uchu słuchawkę.

Nie był to najbardziej komunikatywny przewodnik w życiu Brena. Usiłował zapamiętywać korytarze i wszystkie zmiany, szare, białe i beżowe ściany, niekończące się, tak samo wyglądające drzwi, dwa zjazdy windą, tyle że raz pojechali do przodu, a nie na dół... Zeszłej nocy oglądał mapę, usiłując domyślić się, gdzie niegdyś była administracyjna część stacji, i uznał, że właśnie się w niej znajdują, ale nie miał pojęcia, gdzie mieszkają kapitanowie i czy w ogóle są na stacji.

Po przejściu trzech korytarzy od miejsca jedynej rozmowy wkroczyli na lepiej utrzymany teren: podłoga tłumiąca dźwięk, gąbczasty, dziwny w dotyku plastik, lampy oświetlające białym światłem rząd zdrowo wyglądających roślin doniczkowych, których Bren nie rozpoznawał, ale które miały świeży, dość przyjemny zapach. Pierwsi koloniści nie sprowadzili wielu roślin; nie wolno im było tego robić ze względów ekologicznych... chociaż kilku łajdaków przemyciło na dół pomidory i garść innych nasion z zapasów stacji; statek wziął jednak rozsądnie na pokład ocalałe rośliny ozdobne. Jakies ażurowe zielono-białe pnącze przy drzwiach zwieszało się parasolem wąsów i drobnych roślinek. Inne, na zakręcie, miało nieprawdopodobnie wielkie liście, niepodobne do niczego, co rosło w umiarkowanych strefach kontynentu czy na Mospheirze.

Korytarze nie były już puste. Skręcić w prawo przy zielono-białej, minąć potwora o wielkich liściach. Jase nie mówił, że mają na pokładzie rośliny... nie znał żadnej z rosnących na kontynencie; ale te...

Czy mogły pochodzić z magazynów stacji?

Albo może z jakiegoś całkowicie nieznanego świata?

Drzwi robiły coraz większe wrażenie.

A na środku, na końcu... dwie rośliny w donicach i drzwi pokryte złościstym metalem... wyraźnie dotarli do jakiegoś ważnego miejsca, ale Bren nauczył się nie zakładać, że drzwi prowadzą do pomieszczenia, a nie następnego korytarza.

Przewodnik podszedł do drzwi, nacisnął guzik, otworzył je i wprowadził wszystkich do sali posiedzeń ze stołem w kształcie litery T i czterema miejscami za jego poprzecznym blatem. Jedno z nich zajmował Ogun, drugie Ramirez. Cienkie włosy zaczesane na czoło i przycięte prosto nad brwiami, zapadnięte policzki i niczego nie zdradzające usta; ciemna, kwadratowa twarz Oguna była pozbawiona uśmiechu.

Bren jednak się uśmiechnął, stosując się do własnej rady. Wszedł między liczby parzyste, parzystą liczbę krzeseł. Tu nie było okrągłego stołu. Kapitanowie wyraźnie dominowali nad ustawieniem mebli.

- Panowie kapitanowie - powiedział Bren. Podszedł przez całą długość stołu do Ramireza, wyciągnął rękę, zmuszając go do takiego samego gestu, i Ramirez wstał. Była to pierwsza uprzejmość w mospheirskim stylu, jaka spotkała tu Brena. - Cieszę się, że mogę pana poznać osobiście, panie kapitanie; kapitanie Ogun, miło mi. - Do niego też wyciągnął rękę; Ogun zmarszczył brwi, wstał i uściśnął mu dłoń.

- Cameron - powiedział Ramirez, siadając, po czym przeniósł wzrok na Banichiego i Jago, dając w ten sposób ledwie dostrzegalny znak, że ich zauważył, nic jednak nie powiedział ani nie sprzeciwił się ich obecności. Ogun też usiadł.

- Wspaniale, że udało wam się znaleźć czas - rzekł Bren. - Ufam, że rozmawialiście z Jasem.

- Bardzo długo - odparł Ramirez. - Mówi, że ma pan pełnomocnictwa.
- To prawda.
- Do zaproponowania czego?
- A czego chcecie?
- Chcemy, panie Cameron, wykwalifikowanej ekipy roboczej, z którą moglibyśmy się porozumieć.
- Gdyby to się nie udało, wykwalifikowanej ekipy roboczej potrafiącej dokładnie się porozumieć z kierownikiem robót.
- Kiedy dostaniemy pełny zestaw promów?
- Sześć dni temu widziałem prom numer dwa. Jeszcze bez powłoki, ale to już niedługo. Najszybciej, jak się da. Chcecie mieć wykonaną pracę... my mamy personel, który będzie zainteresowany pobytem u was. Przybyliście w poszukiwaniu bazy. Nie mieliście sposobu, by tu dotrzeć. My go zbudowaliśmy. Co jeszcze?

Ramirez machnął ręką.

- Uruchomcie stacje.
- To się da zrobić.
- Potrafiacie? - zapytał Ogun z surowym, ostrym spojrzeniem. - Ci pańscy ludzie mają kłopoty ze wzrostem, trudno im się wpasować.

- Mają także talenty, panie kapitanie, o czym, jestem pewien, Jase panu powiedział. Te talenty umożliwiły start promu.

- Zaprojektowanego przez ludzi - wtrącił drwiąco Ogun.

- Tak było wygodniej - powiedział Bren. Ramirez, jeśli był zwierzchnikiem, nic nie mówił, i chociaż kuszące było odpowiedzieć jakimś żartem, Bren powstrzymał się na rzecz zachowania spokojnego i pełnego szacunku. To byli autokraci, bez dwóch zdań. Serce Gildii. - Dzierżycie tu absolutną władzę. Ma ją też aiji. Aishidi'tat, Patronat Zachodni, to myląca nazwa: aiji włada całym kontynentem, potrafi bez trudu zarządzać przemysłem, którego potrzebujecie, i dotrzyma umów.

- Oraz będzie naciskał jak diabli - rzekł Ramirez.

- To niecierpliwy mężczyzna.

- Mężczyzna - powtórzył Ramirez.

- Utrzymuje pan łączność z obcą władzą, panie kapitanie. "Mężczyzna" to termin, jakim ci obcy określają i was, i siebie, co jest okolicznością dość szczęśliwą. Ich zwyczaje nie są waszymi zwyczajami. Ich instynkty to nie wasze instynkty. Pierwszy kontakt ludzi z atevimi był sukcesem, który doprowadził do katastrofy. Gdybyście przybyli o wiek wcześniej, nie chcę nawet myśleć, co mogłoby się stać. Żadnych dostaw. Żadnej pomocy z planety. Ale na szczęście teraz istnieje niewielki patronat wyszkolonego personelu, którego członkowie potrafią ze sobą współpracować, garstka przywódców na kontynencie i na wyspie, którzy wiedzą, jak unikać problemów, i przy wielkiej dozie pomysłowości dogadamy się i bardzo was uszczęśliwimy.

- Nie przez wyrzucanie harmonogramów do śmietnika i naciskanie nas!

No i jest, naturalne następstwo tej sytuacji, i trzeba je albo obejść na palcach, albo stawić mu czoło, utrzymując pozycję aijiego w tajemnicy lub wykładając ją na stół i rozgrywając partię tym, co się ma.

Bren dokonał wyboru.

- Będąc członkiem tego małego patronatu wyszkolonego personelu - powiedział, opierając łokcie na stole - doradzałbym aijiemu postąpić inaczej. Niestety, nikt z waszej strony nie zapytał mnie czy Jase'a o odwołanie paidhiin. To wyglądało na szybki ruch. Zelektryzowało wyspę, zelektryzowało atevich, i stało się właśnie tak. Jase nie potrafił wyjaśnić, dlaczego został odwołany. Yolanda Mercheson nie podała żadnych powodów. Być może były uzasadnione, ale ja nie mogłem powiedzieć aijiemu, że je rozumiem, więc aiji chciał poznać je sam, honorując swoją umowę z mospheiranami i wysyłając jedną z ich delegacji na górę razem ze swoją delegacją, lecz nie zapowiadając tego wcześniej, nawet mnie, ponieważ akurat byłem na wyspie, poza zasięgiem chronionej łączności. To, panowie, stanowi bardzo dobry przykład kłopotów z

łączością, których mamy nadzieję uniknąć w przyszłości. Na szczęście, to nieporozumienie nikomu nie zaszkodziło. Mogłem przekonywać aijiego, by tego nie robił, ale sprawa była już dość zaawansowana. Instynkt podpowiedział mi, bym się wstrzymał; przyleciałem tu, dowiedziawszy się o sprawie na dwanaście godzin przed startem, bo, szczerze mówiąc, zanim coś poradzę aijemu, chcę wiedzieć, z kim mam do czynienia.

Nastąpiła chwila ciszy. Kapitanowie mieli kamienne twarze.

- Pan nas naciska, panie Cameron.

- Nie, kapitanie Ramirez, jestem całkowicie uczciwy. Stoję między, przyznaję, potęgą nie zagraniczną, lecz kompletnie obcą, i wami. Mospheiranie zapewne obiecują wam słońce na talerzu. My w aishidi'tat znamy ich zalety... oraz ograniczenia. Ja, jako niegdysiejszy przedstawiciel mospheirskiego rządu, znam ich ograniczenia, i chociaż bardzo chcę, by Mospheira skorzystała na waszej ochronie, powiem, że mam nadzieję, iż nie będziecie całkowicie polegać na żadnych propozycjach z wyspy, ponieważ wiem, kto je składa. Na szczęście to nie jest ważne. Poza drobnymi ilościami cyny i srebra, które Mospheira na pewno z przyjemnością wam sprzeda, surowce najbardziej wam potrzebne znajdują się po atewskiej stronie cieśniny. To moja pozycja otwarcia. - Zaczepnął tchu, spostrzegłszy, że prawie przyparł ich do muru. Dokończył dzieła. - Warunki określające moją pozycję są w gruncie rzeczy dość hojne, chyba że dysponujecie wolnym personelem do obsługi stacji kosmicznej, co jednak, jak wiem, nie ma miejsca. To jest gwiazda atevich, planeta atevich, rodzimy układ słoneczny atevich; wy macie statek, który wygląda, jakby przeszedł ciężkie chwile, i potrzebujecie dostaw. Naszym zdaniem możemy załatwić wymianę.

- Pan oszalał.

- Nie. Z tego, co mówicie o zbliżającym się zagrożeniu, nie mamy dwustu lat na poznawanie się i toczenie pomyłkowych wojen o drobnostki. Zapytajcie mospheiran, co sądzą o dzieleniu się stacją. Wcale im się ten pomysł nie spodoba ale mogą go nie odrzucić. Atevi też nie chcą się nią dzielić ale znają Jase'a, uważają, że mówi prawdę, i są skłonni współpracować z wami i mospheiranami, by zyskać prawo do głosu. Wiedzą, że muszą się z tą sytuacją pogodzić.

- Będzie pan miał coś przeciwko, że im to przekażę? - zapytał Ramirez. Siedział w podobnej pozycji jak Bren, z łokciami na stole. Ogun swoim zwyczajem zmarszczył brwi.

- Wolałbym mieć swobodny dostęp do mospheirskiej delegacji, ale chyba nie zechcecie go nam zapewnić, sądząc z naszych dotychczasowych możliwości.

Ramirez zerknął spod oka na Oguna.

- Co chcecie w zamian? - zapytał Ogun. - Za zorganizowanie tych dostaw towarów? Jaką monetą będziemy obracać?

- Pomysłami, panie kapitanie. Atevi rozumieją taki handel. Wiedzą. Umową, że tą stacją będą zarządzać atevi. - Nie były to wszystkie punkty umowy; istniała kwestia, czyje będzie obowiązywało prawo, ale pierwszym celem było zawładnięcie stacją. - Tabini-aiji oznajmił, jakich się spodziewa warunków, a ja to przekazałem. Przekazałem mu to, co wiem o rodzaju oraz ilości towarów zużytych przez "Feniksa"; moim zdaniem aiji jest w stanie je dostarczyć.

- Czy może zbudować statek kosmiczny?

Brena zamurowało na co najmniej kilka chwil. To było logiczne rozszerzenie prośby. W tym sensie było całkowicie rozsądne.

- Mogę przekazać tę prośbę.

- Może to zrobić?

- Tak. Chyba może. Ile osób jest na statku? Ilu będzie trzeba robotników?

- Jase panu nie powiedział? - zapytał Ramirez.

- Pytam starszego kapitana, który prawdopodobnie obliczył wielkość prośby, którą przedstawia planecie: Ilu trzeba osób?

- Tu na górze? Do obsadzenia stacji i obsługi urządzeń? Minimum pięćset. Do budowy... liczby są różne. Kilkaset do pozyskiwania surowców; kilkaset do ich oczyszczania; kilkaset do wytwarzania...

- Dawna liczba, pierwsza, wynosiła trzy tysiące.

- Dwa razy tyle. Dwa razy tyle.

- Na początek pięć podróży promu.

- Panie Cameron, ta stacja ma w wielu miejscach dziury.

- To nie taki problem jak nieposiadanie stacji w ogóle, prawda?

- Dlaczego wybuchła wojna? - zapytał Ogun. - Mospheiranie mówią, że atevi są wojowniczy.

Bren pokręcił głową.

- Wojna wybuchła, ponieważ ludzie wprowadzili się do atevich, w chaotycznej sytuacji sprzymierzyli się z niewłaściwą grupą, ignorowali ich granice i nie wiedzieli, co robią. Atevi też nie dostrzegali zagrożenia. Dlatego mamy paidhiin. Dlatego, kiedy opadł kurz, tylko jeden człowiek otrzymał zezwolenie na mieszkanie na kontynencie i pośredniczenie w handlu.

- Zwrócił się pan przeciwko swoim przywódcom.

- Mospheira nadal mi płaci. Sprzeciwiłem się temu. Wciąż wpłaca pieniądze na moje konto, a ja ich po prostu nie wydaję. Wbrew moim zaprzeczeniom rząd stoi na stanowisku, że nadal poniekąd dla niego pracuję, a faktem jest, że działam jako pośrednik. Rząd nie chce wojny; nie chce jej aiji. Nikt z nas nie chce waszej wojny, ale jeśli tu dotrze, to nie widzimy żadnych szans na zignorowanie jej.

- Czy oni rozumieją? - zapytał Ogun, kierując wzrok na Banichiego i Jago.

- Może trochę - odparł Bren.

- A więc układ słoneczny? Ma pan jakieś pojęcie?

- Mogę powiedzieć, że jeśli nieostrożni ludzie wpłaczą się między atevich albo zignorują ich obecność na planecie, to może wybuchnąć następna wojna. Spójność terytorialna stanowi u atevich nakaz, nakaz biologiczny. Życie z atevimi jest proste. Życie wśród nich jest trudne, niemożliwe dla ludzi, którzy nie potrafią zrozumieć, że ten nakaz jest instynktowny, emocjonalny, że jest to sprawa życia i śmierci. Jeśli będziecie pracować z atevimi, kontakt będzie ograniczony, regulowany i bardzo niewielki, dokładnie taki, jaki jest na planecie; jego przebieg będą kontrolować te same osoby, aiji i prezydent Mospheiry; lecz będą do was docierać potrzebne wam towary i nie dotkną żadne niedogodności.

Ramirez prychnął i odepchnął się od stołu.

- Mam z panem do czynienia od trzech lat i cały czas jest pan wrzodem na tyłku.

- Mówię prawdę.

- Pańska ochrona - rzeki Ramirez, podnosząc wzrok i spoglądając na koniec pomieszczenia. - Banichi i Jago?

- Nadiin - powiedział Bren, nie spuszczać wzroku z Ramireza i Oguna.

- Kapitan pyta, czy was zna.

- Jesteśmy ochroną paidhiin - odparł Banichi.

- Gildia Zabójców.

- Tak, Ramirez-nandi. - Banichi pozdrowił go niezwykle grzecznie.

- Nazywa pana "panem Ramirezem" - wyjaśnił Bren i zobaczył, że kapitan przyjął to z lekkim skrępowaniem, pomny na długą tradycję udawania demokracji w Gildii Pilotów. Bren dodał: - Banichi i jego partnerka nie są ochroniarzami według definicji pańskiej Gildii. Znajdują także posłuch u aijiego i mają w swojej Gildii bardzo wysoką pozycję.

- Czy zechcieliby usiąść?

- To nie należy do ich zwyczajów. Ale zdadzą sprawę tam, gdzie powinni. Zawsze trzeba zakładać, że ich Gildia wie, co się dzieje. Musi wiedzieć. To prawnicy.

- Z bronią.

- Ten zwyczaj ogranicza procesy sądowe - rzekł Bren.

- I ta Gildia egzekwuje prawa aijiego?

- Aiji sam egzekwuje swoje prawa, wynajmując pewne osoby z tej Gildii; podobnie jednak mogą robić jego przeciwnicy. Lecz prawo, które oni egzekwują, prawo będące w oczach Gildii dobrem albo złem, nie jest skodyfikowane i opiera się wyłącznie na tradycji: ta ich zasada jest jedyną stałą, sir, w całej elastycznej sieci man'chi.

- Man'chi: lojalność.

- Proszę nie wpadać w pułapkę definiowania ich słów w ludzkich kategoriach. Man'chi: silny atewski instynkt przyłączenia się do kogoś mającego władzę. Jak długo man'chi będzie utrzymywać stabilność struktury organizacyjnej, tak długo w każdym sporze będzie więcej dymu niż ognia, a negocjuje się z głową patronatu. Man'chi przenika pokolenia, zażegna spory, sprawia, że atevi rozmawiają, a nie walczą. Wojna Ładowania wybuchła dlatego, że ludzie tworzyli patronaty w ramach jednego man'chi, a potem zmieniali front i to samo robili w drugim. My nazywamy to arbitrażem; dla nich było to rozpętywaniem wojny. Jest to ogromnie niebezpieczne.

- A więc nie mamy się z nimi umawiać?

- Umawiajcie się z ich przywódcami. Nie przywódcami. Przywódcą. My do tego patronatu wnosimy coś więcej, sir, niż surowce i myśl inżynierską. Istnieje coś takiego jak umiejętność kontaktowania się z obcymi i odgadywania ich zamiarów, co znakomicie mogłoby uratować waszą odległą stację. To najważniejszy surowiec, jaki mamy w tym układzie słonecznym, a macie go teraz i wy, w osobie Jase'a Grahama i Yolandy Mercheson. Sztuką jest także słuchanie tłumaczy i niedopuszczanie, by polityka lub wasze własne potrzeby wypaczały to, co mówią. Mospheiranie mają coś, czego potrzebujecie: braterstwo, naród, własne miejsce; atevi mają coś innego: surowce mineralne, przemysł, matematykę, inżynierię, bardzo sprawną organizację, ale ponadto zdolność dopasowania się do gatunku, którego nie rozumieją instynktownie. Mógłby pan stanąć na ziemskich równinach przed lwem - sądzą, że obaj zgodzimy się, co to jest lew, sir - i potrafiłby pan biologicznie zrozumieć, co ów lew mógłby zrobić. Przyznaje, że lwa nie można zapytać, ale mniej więcej rozpoznaliby pan, czy lew jest głodny, czy najedzony. U atevich, u żadnego gatunku, który nie rozwinął się w ziemskim ekosystemie, wszelkie takie sygnały, wszelkie takie założenia nie są wiarygodne. Przekażemy wam, czego nauczyliśmy się na tym świecie. To, panowie, w waszej sytuacji, jest najcenniejszą rzeczą.

- Myśli pan, że moglibyśmy rozmawiać z gatunkiem, który posłał naszą stację do diabła i prawdopodobnie przejął nasze zapisy.

- Myślę, że jeśli ma się do czynienia z gatunkiem, który pochodzi z nieznanego nam miejsca i może być liczny, zaawansowany oraz bardzo odmienny, to zdolność rozgryzienia go i w razie konieczności rozmowy mogłaby nas ocalić. Nie mówię, że trzeba tych obcych lubić. Mówię, że trzeba wiedzieć, dlaczego strzelali.

Zapadła długa cisza.

- I pańscy atevi potrafią ich rozgryźć.

- Nie, sir, chociaż może teraz by mogli; mówię, że atewsko-ludzki punkt styczności mogłoby pomagać w robieniu mądrzejszych posunięć. Jako zespół możemy rozgryźć coś, czego inaczej byśmy nie rozgryźli.

- To nie ma sensu - orzekł Ogun. - Zamęt to zamęt.

- Nie, sir. Pan nie jest odpowiedzialny za zrozumienie atevich; pański instynkt nigdy tego nie dokona. Wystarczy nauczyć się, co powinien pan robić, a czego nie. Tak się składa, że ja ich lubię, nie potrafię jednak przetłumaczyć tego słowa, a oni go nie rozumieją. Ofiarowali mi swoje man'chi, i to gorąco, a ja tego też nie potrafię instynktownie wyczuć, oprócz tego, że mani poczucie domu i własności; poza tym znam te dwie prawe osoby. Nie stąpa tu pan po znanym gruncie. "Zamęt" to stan życia w punkcie styczności, ale można wyczuć, kiedy jest się z osobami, którym można zaufać. "Zaufanie" krzyżuje się z "mamy zamęt w głowach", sir, i wiem, że zaufanie trudno przychodzi oso-

bom po obu stronach, zajmującym się ścisłymi sprawami. Lecz zaufanie odpowiednim osobom ma tu zasadnicze znaczenie, bo inaczej robi się sobie dodatkowych wrogów tam, gdzie można było mieć sprzymierzeńców.

Bren obserwował reakcje fizjologiczne i język ciała rozmówców; dwaj mężczyźni, którzy przedtem podświadomie odsunęli się, teraz pochyłali się w jego stronę; Ogun właśnie głęboko westchnął w zamyśleniu - myślał, pozbywał się nadmiaru adrenaliny, która prawdopodobnie kazała mu zaatakować Brena, jego przekonania i całą sytuację zmuszającą "Feniksa" do zawarcia umowy wyglądającej w nadziejach Gildii zupełnie inaczej.

- Pomyślcie o planecie - powiedział cicho Bren - jako o bardzo dużej stacji kosmicznej, gdzie dwa gatunki już dobrze współpracują.

- Tak - rzekł Ramirez z kwaśnym uśmiechem - ale piekielnie trudno się przy niej dokuje.

Bren roześmiał się; w pomieszczeniu natychmiast zelżało napięcie i atmosfera stała się mniej krytyczna.

- Nie ma potrzeby - stwierdził Bren. - My to zrobimy. Wy zajmijcie się operacjami technicznymi, które potrafi przeprowadzić wasza załoga, i nauczcie nas tego, czego nie wiemy. Będziemy z wami współpracować i jeśli chodzi o nas, umowa stoi, jeśli się zgadzacie. Trzeba będzie ustalić szczegóły techniczne z mospheirskimi władzami, z waszymi różnymi działami...

- Musi się zebrać Gildia - stwierdził Ramirez. - Będzie pan miał w Radzie większość.

Bren powtórzył to sobie w myślach, na wszelki wypadek zrobił to dwa razy, zadając sobie pytanie, czy to naprawdę koniec, czy rzeczywiście tego dokonał. Dostrzegł u Ramireza i Oguna swobodniejszą mowę ciała, świadomie przybrał wyraz troski i powagi, i skinął głową.

- A więc możemy przejść do liczb i spraw, którymi będzie zarządzał aiji. Zapewnienie uczciwego, przyzwoitego nadzoru nad siłą roboczą jest całkowicie jego problemem. Aiji zajmie się naprawami stacji, szkoleniem, zarządzaniem robotnikami i własnymi stosunkami z Mospheirą. Aiji proponuje, by obszar stacji, gdzie macie swój sztab i biura, znajdował się pod waszą jurysdykcją i zarządem, tak jak i statek, który wcale go nie interesuje. Proponuje, by pod mospheirską jurysdykcją znalazł się obszar stacji o odpowiedniej wielkości, służący przedstawicielom Mospheiry i jej interesom. Dalej proponuje, by aishidi'tat zarządzał całą resztą stacji i jej ogólnym działaniem zgodnie z własnym prawem i obyczajami, i za darmo zaopatrzył statek w rozsądne ilości paliwa oraz zapasów. - Bren nic nie powiedział o własności stacji, polityce, wojnach i dowodzeniu całym przedsięwzięciem. To wszystko czekało na wzrost atewskiej obecności w kosmosie, ale Bren też doskonale rozumiał, że gdy tylko Tabini stanie się właścicielem przedsiębiorstwa zaopatrującego "Feniksa", nie będzie miał najmniejszego zamiaru pozwolić, by Gildia Pilotów cokolwiek mu narzucała. Gdyby Gildia zechciała przejrzeć historię aishidi'tat, mogłaby się dowiedzieć, w jaki sposób Tabini zdobył władzę nad kontynentem i, do pewnego stopnia, nad Mospheirą... w tym sensie, że ostatnio Mospheira nie działała wbrew Tabinemu. Bren miał jednak nadzieję, że nie będą zwracać sobie głowy starą historią, chyba żeby miała się ona powtórzyć. Znając historię Gildii, łącznie z tym, że sprowadzała na nich wojnę, Bren miał mocne postanowienie doprowadzenia całej stacji pod skrzydła Tabiniego. Gdyby tak się nie stało, mogą go zastrzelić... a próbowały już tego różne ugrupowania.

Ramirez i Ogun słuchali uważnie, siedząc bez ruchu, być może świadomi, że Tabini doprowadził sytuację do tego punktu i nadal zamierza nią kierować... być może tak samo zainteresowani zarządzaniem stacją, jak Tabini był zainteresowany zarządzaniem ich statkiem czy rządzeniem ludźmi.

- Może zawrzemy umowę - rzekł Ramirez. - Będzie pan musiał zaprezentować tę sprawę na ogólnym posiedzeniu Gildii, ale sądzę, że bardzo jasno pan widzi, co nas interesuje.

- Myślę, że nasze zainteresowania są całkowicie zgodne.

- Musi pan to wyjaśnić Mospheirze.

- Zrobię to bez najmniejszych trudności. Zdaje się, że pani Kroger i ja niezbyt dobrze się rozumiemy, być może z mojej winy, ale prezydent Durant, sekretarz stanu Tyers i ja porozumiewamy się dość dobrze.

Ramirez krótko się roześmiał, co mogło wskazywać na zmartwienie tempem negocjacji.

- Interesujące było poznanie pana osobiście, panie Cameron. Jase stanowczo odradza kontrakty z mospheiranami. Yolanda, co ciekawe, po prostu mówi, żeby panu wierzyć.

Nie spodziewał się tego. Skinął lekko głową.

- Pozdrowienia dla pani Mercheson. Jestem mile połączony.

- Jase mówi, że jest pan naszym atutem.

- Jase mieszkał ze mną przez trzy lata. Jeśli, wiedząc, od czego zaczęliśmy, nie pozabijaliśmy się nawzajem, to pokój między naszymi częściami rasy ludzkiej jest możliwy.

Ogun lekko się uśmiechnął. Duże osiągnięcie.

- Jase widział to, co chciał mu pan pokazać - powiedział.

- Jase mógł udawać się wszędzie, gdzie poprosił. Był dość przytłoczony ilością pracy, która na nas spadła. Wasz prom lata, panowie. My, z drugiej strony, pracowaliśmy w bardzo dużym zespole po kilkanaście godzin na dobę.

- Ten prom to cholerny cud - rzekł Ramirez. - Drugi "Feniks" będzie cudem o wiele, wiele trudniejszym do sprawienia. Budowa w przestrzeni. Wytłaczanie. Jednoczesna naprawa stacji.

- Zaludnienie kontynentu jest tajemnicą, ale dość powiedzieć, że w razie narodowego priorytetu siła robocza nie przedstawia problemu. Zostawcie tę sprawę aijemu.

- Ile ofiar śmiertelnych jesteście gotowi zaakceptować? - zapytał Ogun.

- Zero - odparł stanowczo Bren. - Ale to problem aijiego. Wypadki się zdarzają. Niedbalstwo nie będzie tolerowane.

- A dotrzymanie terminu? Trzy lata na statek?

- To zależy od waszego projektu, od materiałów. Przekażcie wszystko Mogari-nai z moim poleceniem, a tłumaczenie projektu zacznie się jeszcze dziś. Poszukiwania materiałów zaczną się jednocześnie. Mnóstwo prostych zamian zostało zautomatyzowanych w tłumaczeniu; mamy też programy sprawdzania krzyżowego, dzięki czemu robimy to całkiem szybko. My budujemy statek, przekazujemy go wam i zarządzamy stacją po swoim.

- Pan nie rozumie. Trzeba go zbudować na orbicie.

- Owszem, panie kapitanie, rozumiem. Dlatego musimy natychmiast zapewnić uruchomienie drugiego promu oraz bezpieczne i wygodne zakwaterowanie dla załogi. Mam nadzieję, że możemy na was polegać w sprawie określenia, jakie materiały można uzyskać w kosmosie najtaniej, jakimi siłami i co musimy wynieść na orbitę.

- Czy choć w przybliżeniu zdaje pan sobie sprawę z kosztów?

Bren wzruszył ramionami.

- Nie istnieją żadne koszty, o ile wysiłek włożony w budowę będzie stały i trwały. Materiały to materiały. Nie ogołocicie układu słonecznego; nie skazicie planety; nie wymożecie na atevich, by pracowali szybciej, niż sami zechcą. Najważniejszą sprawą jest, kto prosi ich o pracę i czy mają odpowiednie zakwaterowanie... A wszystko, co mówię o drugim statku, zależy od zgody aijiego, by budować go w trybie awaryjnym. Czy wasz statek działa?

Pytanie zaskoczyło ich.

- Działa - odpowiedział Ramirez.

- Całe szczęście.

- Paliwo - rzekł Ramirez. - To konieczność.

- Da się zrobić.

- Niech pan przemówi na ogólnym posiedzeniu, panie Cameron, a dobijemy targu.

- Nie widzę żadnego problemu. Dopracujemy szczegóły i wrócę na dół. - Po chwili dodał, jakby to było coś zwykłego, nie podnosząc wzroku: - Przydałby mi się Jase. Może przylatywać i odlatywać, ale bardzo go potrzebuję; jest drugą połową naszego zespołu tłumaczy operacji technicznych.

- To właśnie przekazał - rzekł Ramirez z niejakim rozbawieniem; niezupełnie odpowiedział na prośbę Brena, ale brzmiało to w jego uszach zachęcająco.

- Kiedy to spotkanie? - zapytał.

- Dwa dni - odparł Ramirez. - Ósma zero zero.

Ramirez powiedział, że większość jest zapewniona, a chciał dwóch dni. Bren nie uniósł nawet brwi, po raz drugi wzruszył lekko ramionami i wyciągnął zwykły notes i długopis, by zanotować godzinę.

- Tymczasem - powiedział, pisząc - chcielibyśmy mieć swobodę poruszania się.

- Panie Cameron - odezwał się Ogun - po drugiej stronie niektórych drzwi znajduje się próżnia; nie pozwalamy wałęsać się nawet naszym własnym ludziom.

- Dostęp do pomieszczeń załogi. Przewodnicy, jeśli pan chce. Włączenie do waszej sieci łączności.

- Nie przed zawarciem umowy - rzekł Ogun.

- Potrzebujemy łączności radiowej z naszym rządem. Jestem pewien, że mospheiranie poproszą o to samo. Będziemy chcieli załatwić sprawy z listy, które są zaległe od kilku lat, udostępnienie zapisów historycznych, archiwalnych akt...

- Tajne - wtrącił Ogun.

Teraz Bren jednak uniósł brew i spojrzał wprost na kapitanów.

- Kilkusetletnie zapisy, panowie?

- Chce ich Mospheira. Toczą się w tej sprawie negocjacje.

- Od trzech lat. Nie widzimy żadnych powodów do wstrzymywania tych akt. Czy ta pierwotna misja była związana z jakąś tajemnicą? Czy naszym celem była ta biała gwiazda? A może to miejsce? To jest jedna z konspiracyjnych teorii, ogólnie rozpowszechniana na wyspie poprzez ulotki... chyba od ponad stu lat. Oczywiście stoi ona w sprzeczności z konkurencyjną teorią głoszącą, że atevi, którzy właśnie znaleźli zastosowanie dla maszyny parowej, wysłali potajemnie fale energetyczne, by ściągnąć nas do tego świata i nami zawładnąć. Jest faktem, panowie, że takie teorie istnieją; tam, gdzie istnieje tajemnica bez jej wyraźnego, racjonalnego uzasadnienia, te co rozsądniejsze zyskują na wiarygodności. Czy rzeczywiście naszym celem była biała gwiazda? Czy rzeczywiście istnieje jakaś olbrzymia konspiracja? Czy zawsze wiedzieliście, gdzie jest Ziemia? Czy lot Taylora był sabotowany?

- Udostępnić zapisy - rzekł Ramirez. - Krótka odpowiedź, panie Cameron, jest taka, że nie ma żadnej tajemnicy. Zapisy nie są zwalniane, ponieważ negocjacje są niepewne, ponieważ nie wiemy, w jaki sposób pewne informacje historyczne starłyby się z opinią pańskiego rządu... rządu mospheirskiego czy też atewskiego. Było parę morderstw. Zapalna historia. I mnóstwo materiałów o starej Ziemi, których przyjęcia przez atevich nie byliśmy pewni i szczerze mówiąc, nie uważamy za ich interes. Ale niczyja historia nie jest idealna. A głównym powodem jest po prostu to, że te zapisy chce mieć i Mospheira, i atevi, a my je będziemy trzymać, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej o was. Ujawnię je jednak jako załącznik umowy, którą pan przedstawił. Kiedy tu przybyliśmy, nie było ich na stacji. Sądziliśmy, że pewnie je utraciliście, prawdopodobnie podczas waszej głośnej Wojny Lądowania. W naszym posiadaniu oraz w zasobach stacji są teraz zbędne kopie niektórych zapisów i, między nami mówiąc, panie Cameron, bardzo mi zależy, by gdzieś głęboko w studni grawitacyjnej zgromadzić i zachować zapasowe kopie dzieł zebranych naszego gatunku. Spojrzeliśmy w twarz zagładzie, panie Cameron, i chcemy, by te archiwa zostały skopiowane. Będą dostępne w ciągu godziny. Kiedy zamówi pan transmisję, prześlemy je w pańskim imieniu.

A więc na stanowisko oficjalnego punktu kontaktowego awansował on, a nie mospheirska delegacja. Bren rozumiał tę grę, wiedział, co zamierza Ramirez, i skinał poważnie głową.

- Spojrzę na nie, gdy tylko będę mógł, ale, znów mówiąc między nami, chciałbym ujawnić je od razu. Po obu stronach cieśniny na pewno zawrze od plotek, a wolałbym, żeby teoretycy dostali te zapisy do przetrwania teraz, niż pozwolić im opracowywać samą umowę bez nich czy zastanawiać się, czy nie ma w nich czegoś związanego z umową. Najbardziej zainteresowane tymi zapisami są najbardziej niepewne elementy, które mają też najwięcej do stracenia, gdyby te zapisy zaprzeczyły ich poglądom na wszechświat. Mówię z niejaką dozą pewności siebie, że elementy te nie mają racji i że prawdopodobnie nie spodobają im się wszystko, co przeczytają. Mogę jednak panu powiedzieć, że dziennikarze na Mospheirze zajmą się tymi zapisami o wiele dokładniej niż szczegółami umowy dotyczącej stacji. Jeśli chce pan mieć zasłonę dymną nad tym, co robimy, to owszem, proszę ujawnić te zapisy. Będą stanowić część jakiegoś komentarza do wiadomości o zaginionych sztukach Szekspira.

- Wykazuje się pan cynizmem, panie Cameron.

- Panowie, gdybym chciał uczynić Kroger wiecznotrwałą bohaterką Mospheiry, przekazałbym je właśnie jej. Tak się składa, że tego nie chcę. Nie ma odpowiedniej pozycji i raczej dość cynicznie wątpię, czy chciałaby zostać wykreowana na bohaterkę. Mospheira jest surowa dla swoich osób publicznych. Jest zbyt małą wyspą, ma za dużo ludności i zbyt głębokie linie podziału między frakcjami. Prosiłbym raczej o przesłanie tych archiwów dziś wieczorem równocześnie do Departamentu Stanu i Aijiego, z pańskim podpisem, i pozwolenie, by dane spadły tam, gdzie spadną, bez mieszania w to Kroger. Jeśli o mnie chodzi, umowa, którą wypracujemy, będzie obowiązywała. Ten przekaz jest waszym sposobem na okazanie dobrej woli w toczących się negocjacjach. Szczególnie ucieszy mospheiran, którzy ogromnie cenią te zapisy; atevi nie są nimi aż tak zainteresowani, ponieważ osiągnęli techniczną równość z kulturą ludzi, a nie musi pan mówić, że te zapisy w jakikolwiek sposób przychodzą ode mnie. Nie potrzebuję słów uznania, ale będąc na orbicie, można cieszyć się uznaniem i nie musieć odbierać w środku nocy telefonów od wariatów mających wizje religijne.

- Nie chce pan, żeby z tymi zapisami łączono nazwisko Kroger.

- Na pewno nie zamierzam ich sprezentować Kroger.

- Osobista niechęć jest aż tak głęboka?

- Nie. - Istniała taka możliwość, ale Bren nie był na tyle małoduszny, a przynajmniej nie w stosunku do Kroger. Jednak zdecydowanie żywił urazę i podejrzenia względem tych, którzy mogli uznać ją za swoją przedstawicielkę albo ją z niej uczynić. - Dajcie te archiwa światu, panowie. Powiedzcie, że to dar od was. Zdobędziecie sobie przychylność obu stron, a jeśli w tych archiwach znajdzie się jakaś bomba informacyjna, to rozbroicie ją przez fakt, że to właśnie wy te archiwa ujawniliście, a Kroger i ja będziemy całkowicie bezpieczni. Z tej pozycji będziecie mogli dowodzić, że jesteście całkowicie otwarci. To, że wstrzymywaliście je przez trzy lata, stanie się nieistotne. A jeśli Partia Dziedzictwa na Mospheirze odkryje coś, co jej się nie spodoba, tym gorzej.

- Kroger pana nie lubi.

- Jej zadaniem jest spodziewanie się po mnie wszystkiego najgorszego. Ktoś przecież musi kwestionować to, co robię. Zbyt wiele osób przyjmuje moje obliczenia bez sprawdzania.

Usta Ramireza rozciągnęły się w uśmiechu.

- Podczas trzech lat kontaktów z panem, panie Cameron, zrozumiałem pańską umiejętność manewrowania, odpowiadania i kalkulowania. Przybył pan tu na górę, gotów do zawarcia umowy, i zawarł ją pan. Chcę powiedzieć, że mimo to jestem zdumiony.

- W kontaktach z panem uważałem pana za sprzymierzeńca. Człowieka rozsądnego. Takimi osobami są też: prezydent Mospheiry, sekretarz stanu i

Tabini-aiji. Świat ma szczęście. Rasa ludzka i atewska mają szczęście. Mamy powody wierzyć w to, co mówicie, i traktujemy was serio. Przecież świat został już raz napadnięty z kosmosu. Drugi albo trzeci raz nie byłby niczym zadziwiającym.

Ramirez uniósł brwi, a potem zmarszczył je, zastanawiając się nad tym poglądem, i może uświadomił sobie, że to on jest tym obcym najeźdźcą.

- Dobrze, panie Cameron, przekażemy te archiwa. Odtąd będą dostępne na pańskich kanałach na kwaterze. Proszę się z nimi zapoznać wedle uznania. Przestrzegam jednak, że częścią tych danych, choć zagrzebaną w szczegółach, są projekty, według których będziecie pracować. Jeśli nie chce pan, by ktoś na planecie zdobył te informacje, to i tak je zdobędzie.

To było warte krótkiego wybuchu drwiącego śmiechu.

- Potajemna budowa statku kosmicznego?

- Być może broni, której nie posiadacie.

- Przemysł Mospheiry jest dobry, ale nie lepszy od kontynentalnego, i z każdą godziną zostaje w tyle. Osiągnęliśmy równość. Nieliczne osoby mogłyby chcieć wykorzystać dane w złych celach, ale my już zbliżyliśmy się do wzajemnego zniszczenia i cofnęliśmy się przed nim. Nauczyliśmy się współistnieć, panie kapitanie; częściowo byliście tego świadkami.

- Planuje pan wrócić tym samym promem? Czy tyle wynosi nasz limit czasu? Coś panu powiem: uważamy pana za zbyt cennego, by krążył pan po studni grawitacyjnej w stosunkowo nieprzebadanym ładowniku.

- Mogę zostać dłużej, ale jeśli moje biuro masię zająć dużym nowym zadaniem, to wolałbym być na miejscu i kierować personelem. Poza tym zamierzam trochę krążyć. Nie bywając tam, gdzie mogę rozstrzygać sprawy, będę bezwartościowy. Mamy ograniczoną ilość czasu na ustalenie szczegółów. Jeśli będziemy sprowadzać tu na górę robotników, to musimy przygotować kwatery oraz intensywne, szybkie szkolenie. Według naszych obliczeń potrzebujemy miejsca dla pięciuset osób. Czy mogę obejrzeć odpowiedni wyremontowany teren?

- Mogę to załatwić - rzekł Ramirez. - Ilekroć pan poprosi, dostanie przewodnika.

- I jeszcze coś, co do czego musimy się zgodzić z zasady. Tak jak nie umieściłby pan mospheiran wśród całkowicie czarnych ścian, spodziewałby się pan pewnych udogodnień estetycznych w pomieszczeniach dla atevich.

- Udogodnień estetycznych.

- To ważne, panie kapitanie. Jeśli chce pan, by robotnicy pracowali, to muszą pojawić się zmiany estetyczne, zmiany w połączeniach pomieszczeń...

- Nie mamy czasu, by marnować go na sprawy estetyki.

Bren był ogromnie zadowolony, że padło słowo "czas", przez ostatnie trzy lata obecne przy każdym punkcie negocjacji.

- Mówi pan, że są jacyś obcy.

- Jeszcze pan pyta?

- A pytam. I ściany niebędą w tym szczególnie nieprzyjemnym żółtym kolorze, a drzwi zostaną rozmieszczone inaczej, jeśli mamy budować wasz statek. Muszę pana ostrzec, że potrwa to nieco dłużej niż te trzy lata, które nam zajęła budowa promu.

- Sprawił pan cholerny cud - rzekł Ramirez. - Potrzebny mi drugi.

- I jeszcze jedno. Rośliny doniczkowe będą się cieszyły wielkim powodzeniem na stacji, ale trzeba będzie je przenieść gdzie indziej; nie możemy pozwolić, by znalazły się na planecie, bez względu na nieszkodliwość intencji. Będziemy przestrzegać kwarantanny.

- Rozumiem. To wasz problem.

- Tak. - Bren odetchnął ciężko. Kiedy rozmawiał z Ramirezem, zdroworozsądkowe rozwiązania padały w szaleńczym tempie i Bren chciał mieć chwilę na zastanowienie się nad szczegółami. - Jestem bardzo zadowolony, panowie; moją ostatnią prośbą jest prośba o kontakt radiowy z planetą, który mógłbym nawiązywać z własnej inicjatywy i według mojego rozkładu.

Wśród tych wszystkich przygotowań i planów na ogromną, kosmiczną skalę zdał sobie nagle z rozpaczą sprawę, że nie może wykorzystać osobistych przywilejów i zadzwonić na Mospheire. Mógł jedynie poprosić o pośrednictwo swoje biuro albo wysłać kilka listów, które jednak, jak się obawiał, zostałyby otwarte przez mospheirską ochronę.

- Każde połączenie tego rodzaju - rzekł Ramirez - można przeprowadzić z konsoli łączności w pańskiej kwaterze. Wydam odpowiednie rozkazy.

- Dziękuję, panie kapitanie.

- Jeszcze jakieś prośby, wymagania, uwagi?

- Bardzo się cieszę, że mamy czas, panowie. Oficjalnie wam wierzymy. Wykorzystamy ten czas jak najskuteczniej.

- Bardzo dobra wiadomość - odezwał się Ogun. Ramirez wstał; Ogun i Bren poszli w jego ślady.

Przy pożegnaniu było uprzejme podawanie sobie rąk i o wiele bardziej zadowolone twarze; nawet Ogun wyglądał na uspokojonego.

- Chciałbym porozmawiać z Jasem. Czy on może się skontaktować ze mną albo jak mogę się z kimś skontaktować sam?

- C1 to centrum łączności - powiedział Ramirez. - Połącza pana z kimkolwiek pan chce.

- To bardzo uprzejme, sir, dziękuję. Kapitanie Ogun. Dziękuję.

- Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia - rzekł Ogun. - Kapitan odprowadzi pana z powrotem.

- Doskonale, sir, dziękuję.

Na tym skończyły się ceremonie. Bren rzucił okiem na Banichiego i Jago, po czym ruszył do drzwi. Kapitan stał na zewnątrz, prawdopodobnie czekając cały czas.

Doszło do omawiania, niech Bóg ma ich w opiece, roślin doniczkowych i spraw ekologicznych. Zgodzili się zbudować drugi statek.

Pora poprowadzić rozmowę z biurem.

12

Poszło dobrze - oznajmił Bren Banichiemu i Jago, podczas gdy Kapitan prowadził ich wzdłuż różnych roślin doniczkowych. Istniała możliwość, że Kapitan, już dwa razy wybrany na ich przewodnika, rozumie wyrazy w ragi, znajdujące się w słowniku przysłanym na górę z kontynentu, i Bren nie chciał rozmawiać z Banichim oraz Jago zbyt swobodnie, ale z drugiej strony, to, co wie, zostanie nadane przez radio z jeszcze większym prawdopodobieństwem, że ktoś go podsłucha... nawet Yolanda, nawet Jase, więc Bren po prostu porzucił wszelkie pozory. - Budujemy im drugi statek, nadiin-ji, pod warunkiem zgody aijiego; będziemy zarządzać dla nich tą stacją. Nikt jeszcze nie powiedział tego mospheiranom, ale uwolniliśmy archiwalne zapisy, które oni od trzech lat usiłują wydobyć z biblioteki statku. Powinny dać się odsłuchać z konsoli w pokojach, ale wieczorem zostaną wysłane do Mogari-nai i jednocześnie przekazane aijiemu i na wyspę.

- Ateva jest zdumiony - rzekł Banichi.

- W istocie - dodała Jago.

- Umowa ta może też dotyczyć Jase'a, ponieważ potrzebujemy jego pomocy w układach, które prowadzimy z kapitanami.

- Bardzo dobre negocjacje - oznajmił Banichi. Banichi pozostał konserwatywny w swoich wypowiedziach, wyraźnie świadom tej samej możliwości, że niektórzy członkowie załogi znają garść słów w ragi.

Szpiegować się nawzajem? Na pewno. Bren by tak robił, gdyby mógł.

I co ma zrobić z mospheiranami, prezydentem, Departamentem Stanu oraz delegacją reprezentującą zasadniczo interesy zaniepokojonych przedsiębiorców stojących za Departamentem Nauki i Techniki, który historycznie był powiązany z Agencją Bezpieczeństwa Narodowego, oraz za Departamentem Handlu... mającym powiązania z najzamożniejszymi, najpotężniejszymi środowiskami na Mospheirze?

- Panie Kaplan.

Ich przewodnik zatrzymał się przy jakichś drzwiach i spojrział na Brena: jednym okiem normalnie, drugim przez okular.

- Panie Cameron, nie jestem żadnym panem. Po prostu Kaplan.

- Kiedyś na stacji był poziom biurowy. Wiesz coś o tym?

- Nie, sir. Nigdy o tym nie słyszałem.

To już jakaś odpowiedź.

- Ciekawe - powiedział Bren. - A więc go nie przywrócono.

- Nie, sir.

Rozmyślał o tym przez całą długą drogę do ich terytorium.

Rozmyślał i rozmyślał.

Na spotkanie wyszedł mu Narani; służba czekała, w gotowości, w tym linearnym, stworzonym przez ludzi miejscu, by odebrać jego kaftan. Tano i Algini stali w drzwiach posterunku ochrony, też wszystko obserwując.

- Kaplan - powiedział Bren - jutro rano zaprowadzisz mnie na spotkanie z mospheirską delegacją.

- Muszę zdobyć zezwolenie, sir.

- Zrób to, proszę.

- Zapytam, sir.

Drzwi zamknęły się, odcinając Kaplana.

Bren odwrócił się do swego personelu.

- Poszło bardzo dobrze - oznajmił. - - Mamy umowę.

Uszczęśliwił ich. Podwładni Naraniego złożyli mu pełne szacunku ukłony, a ochrona wyglądała na bardzo zadowoloną.

W pierwszym rzędzie należało zboczyć do własnej kwatery, napisać krótką wiadomość dla Tabiniego, włączyć komputer i zająć się ścienną konsolą łączności... bezpośredni test słów Ramireza i Oguna.

Nie zdziwił się, kiedy w chwilę po tym, jak nacisnął któryś z guzików, pojawili się Banichi i Algini; wiedział, że nareszcie coś zadziało.

C1, powiedział kapitan, więc Bren nacisnął odpowiednie guziki na konsoli - pod czujnym okiem swojej ochrony.

Zatrzeszczało.

- Słucham, sir - usłyszał Bren. - Tu "Feniks", centrum.

- Mówi Bren Cameron. Proszę nawiązać łączność z Mogari-nai, Bren Cameron do Tabini-aijiego, zezwolenie kapitana Ramireza.

- Wymagane potwierdzenie - nadeszła odpowiedź i Bren musiał czekać.

Czekał z nadzieją, że nie ma tu żadnego oszustwa czy jakiegoś kruczka. Jako tło miał postaci Banichiego, Alginiego i teraz Jago, zasłaniających światło sufitowej lampy. Tano zapewne był na posterunku ochrony.

- Szukają potwierdzenia - wyjaśnił Bren, a w następnej sekundzie na konsoli zapalił się kolejny przycisk.

- Ma pan zezwolenie oraz pozdrowienia od kapitana, panie Cameron. Proszę czekać.

Otrzymał połączenie. Nie spodziewał się rozmawiać z Tabinim, tylko przekazać wiadomość, ale nie zamierzał wyłuszczać sedna sprawy. Dostarczenie ważnej wiadomości na dwór - chyba że przez osobistego kuriera - łączyło się z ogromnym ryzykiem w osobach mniej stabilnych członków Patronatu, a poza tym istniały podejrzenia co do Gildii Posłańców, zawiadującej Mogarinai, gdzie wielki talerz ściągał z niebios wiadomości. Aiji potrafił być nadzwyczaj skuteczny, ponieważ zgromadził dość władzy, by samemu płacić rachunki oraz nie dopuszczać hasdrawadu i tashridu do szczegółowego zatwierdzania planów. Nie dało się jednak zaprzeczyć, że cała sprawa wywoływała spory o to, że aiji nie przedstawia projektów, lecz tylko rachunki, i to po fakcie... I Bren sam zadawał sobie pytanie, licząc, że będzie miał czas się nad nim zastanowić: Jaki efekt wyrze na kontynencie to, co ośmielił się przekazać, jeśli powstanie jakiś przeciek?

Główną taktyką budżetową Tabiniego w ciągu kilku ostatnich lat były awaryjne zwroty kosztów, kiedy hasdrawad rzeczywiście posłusznie akceptował zwrot kosztów budowy dwóch promów kosmicznych na prywatne rachunki aijiego - co prawda człowiek szeptał panom Paironatu na ucho, że Patronat bierze udział w wyścigu o czas i przetrwanie.

W ten sposób gospodarka ani razu się nie zachwiała, nawet przy reorganizacji przemysłu czy po wprowadzeniu nowych materiałów, tylko rozwijała się w zastraszającym tempie. Powstawało też o wiele mniej sporów o zwrot kosztów, niż można się było spodziewać. Patronat widział korzyści w wydatkach Tabiniego. W niektórych wypadkach istniał nawet pęd do zatwierdzania nowych nakładów, ponieważ efekty innowacji wracały do gospodarki i jak dotąd prawa skierowane przeciw zbytowi wciąż obowiązywały. Rzucająca się w oczy konsumpcja mogła mieć miejsce tylko w przypadku sztuki, lecz żadnych innych dóbr luksusowych.

A sztuki, zgodnie z wymogami prawa, nie można było produkować masowo. Nawet po wprowadzeniu barów szybkiej obsługi mięso musiało być tradycyjnie i filozoficznie sezonowe. Masy nie mogły wkraczać na tereny zielone, a transport nie mógł się odbywać po drogach szybkiego ruchu. Ponad sto lat rozwijania mechanizmów łagodnego wprowadzania postępu technicznego na kontynent jak dotąd się sprawdzało.

Równowaga. Dobrobyt.

Oświecenie Tabiniego, lśniące z niebios, gdzie w tej chwili stał Bren z ręką na przycisku.

Po rozsądnie krótkim czasie usłyszał operatorów z Mogari-nai proszących "Feniksa" o rozpoczęcie transmisji.

I "Feniks" przekazał wiadomość.

- Tu Bren Cameron do aijiego: "Aiji-ma, pomyślnie. Mamy poważne umowy. Kiedy wrócę, prawdopodobnie zgodnie z harmonogramem, przywiozę na dół wiele szczegółów". Koniec przekazu. Mogari-nai?

- Tak, nand' paidhi.

- Wiadomość do biura paidhiin, Shejidan: "Praca idzie dobrze; utrzymać pełny personel". Koniec przekazu. Mogari-nai, nadiin: prawdopodobnie będziecie otrzymywać długie pliki. Czy otrzymaliście już jakieś?

- Nie, nandi.

Rozczarowanie.

- Czy mam jakieś wiadomości?

- Zapieczone, nandi. Będziesz teraz odbierał?

- Wysyłał i odbierał.

Nastąpiła eksplozja dźwięku, gwałtowna, nieprzyjemna, dość długa; komputer Brena piszczał i buczał w odpowiedzi. Z głośnika znów buchnął dźwięk, i to wszystko. Lampka w komputerze, sygnalizująca zapisywanie danych, zapaliła się i zgasła.

Zapisane.

- Dziękuję, Mogari-nai - powiedział Bren, domyślając się, że ten hałas spowoduje włączenie się alarmów w centrum komunikacji, że komputery wszystkich instalacji ochrony prawdopodobnie będą przez dłuższy czas bardzo zajęte, że osoby z uszami przyciśniętymi do odbiornika będą cholernie niezadowolone i że niedługo usłyszy ludzki głos.

- Panie Cameron, tu centrum. Czy to było celowe?

- Całkowicie - odparł. Był naprawdę zirytowany tymi plikami. -

Dziękuję. Spodziewam się długiej transmisji na dół.

- Słyszałem, że ma być jakiś tasiemiec, sir. Mam się do tego przygotować, kiedy terminator minie wyspę i będzie najmniejszy ruch.

Zachęcające. Bardzo zachęcające.

- To znaczy po zmroku.

- Dwudziesta czwarta zero zero według czasu miejscowego, sir. Wtedy będzie tam już od pewnego czasu ciemno.

- Ogromne dzięki, C1. Miło słyszeć. Doskonale. Czy możesz mnie przełączyć do mospheirskiej delegacji przebywającej na tej stacji?

- Wymagane zezwolenie. - Konsola na chwilę zamilkła. Bren zerknął na swoją publiczność, uniósł brwi, niespieszony zdecydowanie rutynowym odbiorem poczty, i wystukał wyświetlanie poczty. Był jednak podekscytowany. Zachwycony.

Miał do napisania sprawozdanie dla Tabiniego, do wysłania przy następnym połączeniu. Teraz wiedzieli, że im się uda. I zostanie przekazane archiwum. Boże, archiwum zostanie przekazane na dół. Jeden dzień na górze i wspólnymi siłami dokonali tego, czego nie udało się zrobić przez trzy lata. Znalazło się to, co, jak się obawiali, zostało utracone.

Była tylko jedna wiadomość z Mospheiry, od Toby'ego: "Lot opóźniony, zła pogoda w Bretano. Otrzymałem wiadomość od Ciebie i mamy, która jest faszzerowana środkami przeciwbólowymi. Bardzo zdenerwowana. Zadzwoiłem do jej lekarza; przebywa na wakacjach w Bretano, wysyłam dane. Wracam dzisiaj".

Więc jak bardzo źle jest z mamą, Toby?

Toby pisał w pośpiechu, przepchnął wiadomość przez system... prawdopodobnie otworzył pocztę dopiero po powrocie do domu, nie spodziewając się żadnych problemów. Odbył jeden długi lot i jakoś znów dostał się na samolot. Był to weekend Dnia Niepodległości, lekarz ich matki wyjechał za miasto. A może wzięli innego lekarza? Czy matka ma jakieś trudności, a możliwe, że tam na krawężniku to było coś więcej niż otarcie łokcia?

Chciał też wiedzieć, co z Barb - co z Barb? - ale o tym nie było ani słowa. Toby pewnie nie znał odpowiedzi, zapomniał o tym wspomnieć albo uznał, że Bren nie chce nic wiedzieć.

Nie może rozpraszać uwagi na problemy rodzinne. W pewnym momencie musiał udać, że jego rodzina jest jak każda inna, która nie ma syna na kontynencie, a Toby i ich matka, tak jak umieli, wypracowali sposób postępowania. Bren ma do wykonania plan aijiego. Nie może myśleć o wyspie, nie może zrobić tego, co może zrobić Toby, nie jest za to wszystko odpowiedzialny, do jasnej cholery.

Spokój, powiedział sobie w duchu.

Jeszcze raz wywołał C 1.

- Centrum, połącz mnie z tą drugą delegacją, z panią Ginny Kroger albo Tomem Lundem.

- Tu centrum, panie Cameron. Proszę czekać.

Uzyskał połączenie.

- Halo? - Usłyszał. - Ginny Kroger.

- Ginny - powiedział radośnie. - Przyjmiesz gościa?

- Cameron? - Ton nie był radosny. - Gdzie pan jest?

- W naszym apartamencie. Chciałbym wpaść jutro rano. Dobrze? Mam coś do omówienia.

- Może się pan tu dostać? - Z niedowierzaniem.

- Jestem dość pewien, że tak. Do zobaczenia o dziesiątej. - Rozłączył się, wciskając odpowiedni guzik. - Centrum?

- Tak, sir.

- Będę potrzebował przewodnika na dziesiątą rano, z rozkazu Ramireza. Możecie przysłać Kapłana?

13

Pod przewodnictwem Kapłana dotarli do bardzo dziwnie uszczelnionych drzwi - szarych, metalowych, ciężkich drzwi pasujących raczej do kotłowni. Korytarz był beżowy i bardzo podobny do reszty stacji; drzwi miały wokół krawędzi bardzo nieporządną uszczelkę.

- Tymczasowa uszczelka, sir - odezwał się Kapłan. - Odcina ten teren. Względy bezpieczeństwa, sir.

Akurat, względy bezpieczeństwa. Względy ochrony, pomyślał Bren, kiedy Kaplan otwierał drzwi, posługując się klawiaturą.

- Udało im się bezpiecznie zamknąć mospheiran w odosobnieniu - mruknął do stojących z tyłu Banichiego i Jago, po czym uśmiechnął się do Kaplana, w chwili gdy drzwi się otworzyły.

Wszedł do maleńkiego korytarza z czworgiem rozmieszczonych naprzeciwko siebie, otwartych drzwi; korytarz kończył się zwykleszymi, zamkniętymi drzwiami.

Przynajmniej przydzielili pokoje na równych zasadach, wykazując się pewną dyplomatyczną bezstronnością, pomyślał Bren. Od związanych z tym liczb atevim mogły ścierpnąć zęby, ale mospheiranie są na pewno zadowoleni, uznał Bren; dwa i dwa, jak w bajecznej arce.

Na spotkanie wyszedł im Feldman i lekkim ruchem ręki wskazał kolejne drzwi z prawej strony.

- Pan Cameron. Proszę.

- Dziękuję - odparł Bren.

- Mam zaczekać, sir? - zapytał Kaplan.

- Jeśli możesz, Kaplan, bardzo proszę. Zechce pan podać temu niezwykle uprzejmemu dżentelmenowi filiżankę herbaty, panie Feldman?

- Nie mamy herbaty, sir.

- A zatem, Kaplan, zechciałbyś wrócić do naszej kwatery i poprosić mojego szefa personelu, by zaopatrzył mospheirską delegację w okazałą paczkę herbaty?

Kaplan już miał odejść, ale po chwili, zaskoczony, spojrzął na Brena.

- On mnie nie zrozumie, sir.

- Feldman, idź z Kaplanem. Tłumacz. Właściwie weź ze sobą Shugart.

Poćwiczcie trochę.

- Nie wiem, czy... - zaczął Feldman, spojrzął na Kaplana, a potem na Lunda, który właśnie wszedł. - Panie Lund, on chce, żebym poszedł z Shugart do ich kwatery po paczkę herbaty.

Bren założył ręce na plecy, spojrzął w dół, w górę, a potem bezpośrednio na Lunda; tłumacze z Biura Spraw Zagranicznych nie musieli znać propozycji, które chciał przedstawić.

Lund najwyraźniej zorientował się, że coś się kroi.

- Przydałaby się herbata - powiedział. - Idźcie oboje. Panie Cameron. Proszę wejść.

Ben poszedł z Lundem w stronę tylnego pokoju, podczas gdy Feldman zawołał Shugart i wyjaśnił cel misji; wchodząc do pokoju Kroger, zdążył usłyszeć, jak Feldman i Shugart wyjaśniają Kaplanowi, co to jest herbata.

- Panie Cameron. - Kroger siedziała przy stole. Nie przesunęli stołów, by ułatwić konferencję. Wciąż mieli w tym pokoju łóżko, ale wnieśli dodatkowe krzesło, albo jedno wynieśli. Były cztery uchwyty w podłodze, trzy zajęte przez krzesła, i Bren zadał sobie od niechcienia pytanie, czy cała czwórka jada razem i spotyka się w tym pokoju, czy podzielili się rutynowo na dwie dwójki. Raczej podejrzewał to drugie.

- Staramy się zapewnić herbatę - powiedział swobodnie Bren, siadając na trzecim krześle. - Dzień dobry, pani Kroger. Ginny.

- Pan coś knuje, panie Cameron.

Lund obrócił krzesło i też usiadł przy stole; wszyscy troje, gdyby chcieli się pochylić, znaleźliby się nieprzyzwoicie blisko siebie. Bren właśnie to zrobił, opierając łokcie na stole, i patrzył, jak Kroger się odchyła.

- Właśnie wysłałem wiadomość na Mospheirę oraz na kontynent i sędzę, że sprawy toczą się znakomicie. Wczorajsze rozmowy poszły bardzo dobrze, właściwie przerażająco dobrze, i mam dla was propozycję.

- Zechce pan powiedzieć, jaka jest jej natura, panie Cameron?

- Bardzo handlowa. Gildia Pilotów chce mieć działającą stację. Handel w atewskim stylu raczej nie pasuje do potrzeb statku ludzi; nie bardzo tam

potrzebują dzieł sztuki czy serwisów do herbaty. Natomiast przyszło mi do głowy, że jeżeli mamy doprowadzić do tego, by stacja funkcjonowała tak, jak by mogła, zgodnie z historyczną efektywnością dużych stacji handlowych...

- Rozmawiamy o wojnie, panie Cameron, o ich wojnie z tymi cholernymi obcymi.

- W końcu do niej dojdzie. Może nawet szybciej, niż sobie życzymy.

- My sobie tego nie życzymy, panie Cameron. Wcale sobie tego nie życzymy!

- My też nie. Ale potencjał handlowy tej stacji...

- Rozmawiamy o inwazji, morderstwie i cholernej atewskiej skłonności do rozstrzygania sporów przez zabijanie przeciwników!

Bren zamrugał kilka razy, zastanawiając się nad tą energiczną deklaracją stanowiska Kroger. Nie cofnął się, a raczej jeszcze bardziej pochylił.

I uśmiechnął się.

- Właśnie. Wojna. Głupia, niepotrzebna wojna. My też tego nie chcemy, zapewniam cię. Atevi nie interesują koncesje w okolicach doku, rozrywka czy też inne rzeczy, które jedna ludzka społeczność może z łatwością zapewnić drugiej... Czy wiesz, że pan Kaplan nie miał pojęcia, co to jest serwis do herbaty? - Jase przybył na planetę, właściciel nie wiedząc, że są różne rodzaje potraw, jako że prawie nie miał do czynienia ze świeżymi produktami. - Potencjalny rynek, inni ludzie, rozszerzenie wyspiarskich przedsiębiorstw na stację... Czy wiesz, że nie ma tu ani jednej herbaciarni, żadnych ubrań, które nie pochodzą po prostu z zapasów statku; płatnej rozrywki, że na statku nikt w ogóle nie otrzymuje płacy? - Taki obraz przedstawił Brenowi Jase, a na wyspie te sprawy zapewne przedstawiła dość dokładnie Yolanda. - Pomyśl o tych żółtych korytarzach ciągnących się w nieskończoność, bez żadnej strefy handlowej, nawet automatu z napojami? Przydałoby się nam tu stoisko ze Słonecznym Napojem.

- Opowiada pan bzdury, panie Cameron.

Nie przestawał się uśmiechać.

- Chcą, żebyśmy zbudowali statek.

- Zbudowali statek - powtórzyła Kroger i zamrugała.

- Aiji właściwie się zgodził. - Tak było, ponieważ aiji wysłał go, by zawierał umowy, i Bren je zawarł. - Jednak... ilekroć wzrasta liczba personelu, zaopatrzenie staje się problemem; koncesje na działanie na stacji, powiedzmy, przedsiębiorstwa Słoneczny Napój S.A., będą dość cennym towarem. Tak się składa, że atevi nawet lubią to pić. Szczególnie wzięwszy pod uwagę trudności z transportem świeżego soku.

- Nie jesteśmy upoważnieni do wyrażenia zgody na obecność ludzkiej obsługi na stacji. Jesteśmy jej przeciwni.

- Atevi natomiast są zainteresowani budową tego statku. Pozyskiwaniem surowców. Wy nie musicie tego robić. Sądzę, że staraliśmy się to wyraźnie powiedzieć. Ale te korytarze pełne robotników, biorących nieciekawie racje z jakiegoś magazynu na statku... atevi po prostu czegoś takiego nie zniosą. Pomyśl raczej o ludzkim przemyśle zaopatrującym ważną strefę handlową, gdzie wszystkie zainteresowane firmy będą sprzedawać towary i usługi dostosowane do potrzeb załogi...

- Oni nie mają pieniędzy.

- Ależ to można rozwiązać. Pomyśl o Freedom przeniesionym na orbitę, pomyśl o magazynach, sklepach... Czy nie tym były niegdyś stacje? Czyż nie jest to nasze historyczne wyobrażenie stacji?

- W kosmosie czają się cholerni obcy!

- Nie sądzą, by przybyli tu w przyszłym tygodniu, ale jeśli tak się stanie, to nie mamy żadnej nadziei. Nie zamkniemy interesu i nie zaprzestaniemy rozwoju tylko dlatego, że spodziewamy się rozwalenia na kawałki. Mówię zupełnie poważnie. Atevi wolał od kultur drożdżowych sok owocowy. Na orbicie

znajduje się około tysiąca ludzi, którzy nigdy nie pili herbaty. Podobno tutejsze jedzenie nie jest źródłem natchnień.

- Niedomówienie - odezwał się Lund, wzruszając lekko ramionami.

- Nowoczesna gospodarka nie koncentruje się na jednym. Widzisz, że istnieje rynek dla rosnącej populacji ludzi na orbicie. Każdy, kto chce, może tu przylecieć, pod warunkiem, że ma tu do wykonania jakąś pracę.

- Po czyjej jest pan stronie, panie Cameron? - zapytała Ginny Kroger.

- Aijiego. Ta propozycja nie koliduje z żadnymi interesami aijiego.

Pizza zdecydowanie ma przyszłość na kontynencie, ale mospheirska dieta jest dla atevich generalnie dość mdła i zbyt bogata w cukry. Nie mówiąc już o ich całkowitym odrzuceniu przemysłu konserwowania mięsa, którego absolutnie nie zamierzają u siebie budować. Taka próba byłaby dla nich etycznie i moralnie zabójcza. Nie będzie najmniejszych sprzeciwów co do ekspansji mospheirskich firm na orbicie, początkowo bardzo niewielkiej, lecz nabierającej coraz większego znaczenia w miarę wzrostu tutejszej populacji. Jestem pewien, że do tego dojdzie.

- Co pan ma z tego? Co ma aiji?

- Co zyskają atevi? Sporą własną populację na orbicie, którą będą utrzymywać według własnych zasad. Nie będziemy się tłoczyć, ani tu w górze, ani w tym całym rozległym układzie słonecznym. Możemy stworzyć sobie własne warunki; każdy może robić to, co robi najlepiej, a obie strony na tym skorzystają.

- A co z tymi obcymi?

- Jeszcze się nie pojawili. Może nigdy się to nie stanie. Może pojawia się jutro. W tym pierwszym przypadku nie mamy żadnego problemu wartego zachodu. W drugim cała nasza dyskusja może stać pod znakiem zapytania, ale gdybyśmy jednak mieli czas, by coś zrobić, to uważam, że możemy zdziałać bardzo dużo. Po pierwsze, zawładnąć naszą wspólną przestrzenią orbitalną. Wiemy, jak to zrobić. Nasze gospodarki są połączone od dwustu lat, a w ciągu ostatnich kilku dekad ten stan się pogłębił; kilka administracji postanowiło dopuścić do tego, co nazwaliśmy niezależnym, lecz splecionym...

- Ale nie splecionym życiem.

- Nie, nie spleciemy naszego życia tutaj ani nie zmienimy naszego postępowania. Będziemy szanować nasze oddzielne postępowanie. Zauważyła pani te dość solidne drzwi...

- Proponuje pan umieścić drzwi między naszymi dwiema populacjami.

- W miarę odbudowy stacji, owszem. Dwie oddzielne władze; my zajmiemy się ogólną budową oraz pozyskiwaniem surowców, co atevi robią bardzo dobrze. Wy odnowicie wnętrza i rozpoczniecie budowę przemysłu lekkiego, dzięki któremu dostawy na planetę i na orbitę będą przynosić zyski. Atewska gospodarka może wesprzeć budowę cięższych konstrukcji i dostarczać pewnej ilości surowców; lecz ta część gospodarki, która służy gęstym, linearnym populacjom ludzkim, konserwowaniu żywności i masowemu podejściu do produkcji... wszystko to jest całkowicie obce atewskiej gospodarce i szkodliwe dla psychologii atevich. Udowodniliśmy to w czasie Wojny. W ciągu minionych ponad dwustu lat udowodniliśmy również to, że możemy połączyć nasze wysiłki tu, na górze, zyskownie i rozsądnie, i włączyć do kwitnącej gospodarki to linearne rozmnażanie się populacji. Zawarłem kilka bardzo znaczących umów z władzami Gildii; chcą one wykonać kilka gestów dobrej woli... Sądzę, że obie strony mają wszelkie możliwości zawierania rozsądnych umów z Gildią.

- Jesteś tu, by to zbadać - rzekł Lund.

- Tom, umowy już leżą na stole. Ja jestem tu po to, by potwierdzić poważne zobowiązania. Znam też swoją odpowiedzialność przed aijim; wiem, że będzie respektował umowy, które zawrę z wami. Proponuję takie umowy.

- Nie jesteście upoważnieni do negocjowania z Gildią, a co dopiero z panem.

- A cóż to takiego "a co dopiero z panem"? Przecież my negocjujemy od dwustu lat. To właśnie robię. Temu służy moje biuro. My razem, w tym pokoju,

to planeta. Co więcej, ja znam Departament Stanu, osobiście znam Tyersa; wy przekażcie mu notatki; porozmawiajcie osobiście z prezydentem; dajcie rządowi wykonalną umowę i zaufajcie mu, że przepchnie ją przez komisje ze swoim zaleceniem.

- Panie Cameron - powiedziała krótko Kroger - może pan sobie darować mówienie nam, co jest naszym zadaniem.

- Bren - powiedział równie krótko, z uśmiechem wciąż przyklepionym do twarzy.

- Panie Cameron, mamy instrukcje od sekretarza. Damy sobie radę.

- Byłbym cholernie zdziwiony, gdyby wiedział, że tu lecę, skoro ja sam tego nie wiedziałem. A może? Jest bardzo bystry. Mógł się domyślić. Czy rzeczywiście wydał instrukcje dotyczące współpracy ze mną?

- Niech pana diabli, panie Cameron! Nie, nie wydał.

Bren uśmiechnął się swoim najłagodniejszym uśmiechem.

- Uwierzcie mi, że traktuje go jak przyjaciela... tego słowa nie używam na kontynencie.

- Cieszę się, że jeszcze je pan rozumie - powiedziała nieprzyjemnym tonem Kroger.

- Owszem. Uwierz mi. Ty jesteś z Biura Nauki. Tom z Handlu. Nie zostaliście osobiście wybrani przez Tyersa. Moim zdaniem mógłbyś być kimś, na kim polega prezydent. - Tu spojrzął na Toma Lunda, który nie zaprzeczył od razu. - Ale ty jesteś z Biura Nauki. - Spojrzął bezpośrednio na Kroger, która siedziała wściekła, z zaciśniętymi ustami, a potem powiedział, by ugłaskać jej dumę: - Naukowy punkt widzenia. Nie oczekuję decyzji bez dowodów.

- Właśnie, panie Cameron.

- Szanuję to, pani Kroger. Uczciwe podejście, trzeźwy osąd, obiektywne badanie faktów. Mospheirski punkt widzenia... nie jest pani przyjaciółką Shawna Tyersa ani prezydenta. I dobrze - dodał, widząc, że Kroger otwiera usta. Nie tego się spodziewała. - Moim zdaniem to bardzo dobrze, że reprezentanci różnych punktów widzenia na wyspie niezależnie gromadzą fakty. Wiem też jednak, że wybitna członkini Departamentu Nauki i Techniki z pani przeszłością będzie gromadziła wyłącznie fakty, bez względu na to, kto panią wyznaczył, a każdy, kto myśli inaczej, nie znajdzie w pani wielkiej wartości politycznej. Nie można cię omamić, moim zdaniem wcale nie można cię omamić; a już na pewno nie może cię omamić Gaylord Hanks, bez względu na źródło uniwersyteckich stypendiów i funduszy.

Kroger nawet się zarumieniła. Patrzyła jednak Brenowi prosto w oczy i pochyliła się nad stołem, oparłszy na nim łokcie.

- Panie Cameron, w życiu nie spotkałam człowieka bezczelniejszego od pana. Zyskał pan to nastawienie na kontynencie czy może dzięki jakiemuś uniwersyteckiemu stypendium?

- Co pani naprawdę sądzi o atevich, pani Kroger?

To wywołało lekkie wzdrygnięcie, rozdęcie nozdrzy, rozszerzenie i zwężenie źrenic.

- A pan, panie Cameron? Słyszałam, że cholernie ich pan lubi.

Jeśli nie zareagował, był to cud. Nic jednak nie świadczyło o tym, że Kroger wie coś więcej, niż głośiły plotki.

- Bardzo. Podobnie jak mam naiwne, wrodzone uczucie sympatii do gatunku ludzkiego. Nie zamierzam zniszczyć mojego gatunku i nie jestem głupcem.

Nastąpiła długa walka na spojrzenia.

- Pani Kroger, ja chcę się układać z waszą komisją. Proszę o nieco współpracy.

- Naprawdę nie jesteśmy upoważnieni. Nie przyznano nam upoważnienia, panie Cameron.

- Nie byłby to pierwszy wypadek, kiedy ktoś sam sobie je przyznał. Proszę mówić do mnie Bren. I rozegrajmy rozsądnie to rozdanie. Ustalmy jedno. Bez względu na to, czy gdzieś tam są obcy interesujący się nami w ten czy inny sposób, my tu mamy dwie połowy gatunku ludzkiego, które odnowiły kontakt

ze sobą, mamy atevich, którzy zdobyli bilet do wejścia w kosmos, i na tym progu wszystkiego wszyscy mamy możliwość zapanowania nad własnym przeznaczeniem, o ile nie przekażemy sprawy jakiejś cholerniej mospheirskiej komisji, która zacznie nad nią wyczyniać polityczne burdy. Po czym nastąpi paraliż. Pani o tym wie, pani Kroger. Niech pani reprezentuje swój pogląd, ale, na liłość boską, niech go pani wyłoży na stół.

Nieruchome, gniewne spojrzenie roztrząsało się jak lustro i z oczu Kroger wyzierał już tylko strach.

- Nie dam się nikomu omamić, panie Cameron.

- Bren.

- Panie Cameron, sir. Ma pan na całej wyspie reputację człowieka działającego szybko i nieczysto

- Szybko. Zawsze uczciwie. Zamierzam utrzymać ten stan.

- Do cholery z pańskim nastawieniem, panie Cameron!

- To ty tu rządysz, prawda? Mospheirskie komisje są zawsze komisjami, ale jeśli mają działać, to muszą się nagiąć. Jest zawsze zrozumiałe, w którą stronę. Tonu nie będzie słucał nikt oprócz prezydenta i sekretarza stanu. Ty masz wsparcie legislacyjne. Cholernie dobrze wiem gdzie i wiem też, że druga strona cię nie wysłucha. A mimo to wciąż uważasz się za niezależną.

- Jestem doktor Ginny Kroger, panie Cameron, i jestem cholernie niezależna, o czym się pan przekona!

- Będziesz walczyć. Dobrze. Najwyższy czas. A więc przyjmujesz moja ofertę?

- Boże!

- To dobra oferta - wtrącił się Lund - gdybyśmy mogli na niej polegać.

- Zapewniam was, że ostatnią rzeczą, jaką Tabini-aiji chce widzieć na tej stacji, jest koncesja firmy Słoneczny Napój. Z drugiej strony, Mospheira i jej gospodarka, oraz cały jej styl życia, są nastawione na wykorzystanie tej szansy i rozwijanie się we własnym kierunku, co właśnie stanowi różnicę między ludźmi i atevimi. Zostawcie naszą sekcję nam, atevim, i zajmijcie się handlem ze statkiem, wyciągając z niego, co się da. Nie policzymy wam za budowę konstrukcji stacji ani za zbudowanie drugiego statku.

- Nie możecie tego zrobić! Nie mamy zamiaru...

- Będziemy jednak pobierać opłaty za miejsce na promie. Niekoniecznie w pieniądzu, ale w rozmaitych rzeczach, które, jak mamy nadzieję, nam dostarczycie, i o tych właśnie dostawach chciałbym zacząć z wami rozmawiać przynajmniej w ogólnych zarysach, zanim wrócimy na planetę. Mospheira wie, jak handlować z aishidi'tat. Mospheira wie, że reprezentujemy bardzo, bardzo odmienny system. Nie zbankrutowaliśmy przy budowie pierwszego promu; wy nie straciecie, płacąc nam za przestrzeń w kabinie i w ładowni, szczególnie jeśli zawieziecie kontrakty Słonecznemu Napojowi i Herbacie Zatokowej. Zadbamy, by Mospheirze nie skończyło się zboże ani owoce. Jeżeli czekamy na atak obcych, to równie dobrze możemy robić to spokojnie i postępowo.

Lund już wcześniej pochylił się, podobnie Kroger. Teraz trzy głowy prawie się stykały.

- Nie rozmawiamy w tej chwili teoretycznie - powiedział Lund. - To, że zbudowaliście działający prom, jest cholernym cudem gospodarczym; ja wiem, co się działo na kontynencie...

- Było przerażająco - rzekła Kroger przez zęby.

Bren potrząsnął głową.

- Nic z tego nie było skierowane przeciwko wam. To, że teraz kontynentem władą Tabini przy współpracy przeróżnych podpatronatów, stanowi atewską odpowiedź na to, co pojawiło się na orbicie nad ich głowami, i to odpowiedź konstruktywną: budować. Współzawodniczyć. Handlować. Istnieją o wiele gorsze możliwe odpowiedzi. Aiji nie widzi możliwości przyłączenia ludzi do aishidi'tat. Nie jest to dobre dla tych dwóch gatunków, a na pewno nie dla atevich; a Tabini, szczerze mówiąc, nie chce mieć was pod swoimi rządami. Żadną miarą nie chce rządzić Mospheira. Chce natomiast z wami współpracować,

widząc, że mimo pewnych szarpiących nerwy, niekorzystnych dla atevich zjawisk macie znakomite pomysły. I to jest najbardziej konstruktywny model naszej współpracy, na jaki możecie liczyć w tak krótkim czasie, ale to zadanie dla ekonomistów, nad którym pracują od dwustu lat. Ja wiem, jak on może zadzia-
łać.

- Panie Cameron - zaczęła Kroger, robiąc głęboki wdech.

- Bren.

- Bren, niech cię cholera. Dobrze. O co tu chodzi? Wyłóż karty na stół. Przyjrzyjmy się tym bzdurom.

- Z radością - rzekł Bren. Gdzieś z daleka dobiegł dźwięk rozszczelnienia drzwi, potem usłyszeli w korytarzu kroki i kilka głosów mówiących w ragi.

A potem głos Kapłana:

- Zaczekajcie tu chwile. Tutaj, rozumiecie? Stać!

- Zatrzymajcie się tutaj - usłyszał głos Feldmana; polecenie było sformułowane, niestety, dość niegrzecznie, ale Bren miał nadzieję, że jego personel potraktuje to z humorem.

Po chwili w pokoju pojawił się Bindanda, niosąc tacę z niewielkim serwisem do herbaty, a Jago i Banichi zajęli stanowisko w drzwiach.

- Ateva zapewnia paidniego, że nie ma tu żadnych alkaloidów - powiedział Bindanda i skłonił się z wdziękiem.

- Bardzo ci dziękuję, Danda-ji.

Bren, podobnie jak jego rozmówcy, odchylił się na oparcie krzesła, by ateva mógł podać herbatę... oczywiście nie cały dzbanek. Bindanda był nieco zbity z tropu brakiem bocznego stolika, ale Jago zaoferowała mu pomoc, trzymając tacę, więc herbata pojawiła się na stole z należnym ceremoniałem.

- Wasze zdrowie - powiedział Bren, unosząc bardzo kruchą, bardzo antyczną filiżankę, której twórcy na pewno nawet się nie śniło, że jego dzieło będzie okrażać ziemię. Upił kilka łyčzków. Odprężył się. - Teraz jest o wiele lepiej.

14

Drogę powrotną poprzedziła jedna kolejka herbaty i długa, rozsądna dyskusja; Banichi i Jago niewątpliwie dowiedzieli się bardzo dużo o tym, co się dzieje, po prostu słuchając, Bindanda pozostał w większości nieuświadomiony, ale miał okazję powymieniać uprzejme uwagi z Kate i Benem.

Bindanda zostawił mospheiranom w prezencie cenny serwis, by mogli prawidłowo podawać herbatę, i wyszedł od nich z pustymi rękoma, niewątpliwie zbity z tropu przez ludzi, zważywszy na tradycyjne maniery starożytnego rodu, który go wypożyczył; sprawiał wrażenie zamyślnego i na pewno złoży interesujące sprawozdanie, gdy tylko poczuje pod stopami twardą ziemię.

Spotkanie skończyło się znacząco rozsądniej, niż zaczęło. Wszyscy osiągnęli stan przejmości i odblokowanie archiwum jako gest dobrej woli stało się nie punktem zapalnym, lecz sprawą pozytywną. Byli bardzo podekscytowani tą perspektywą, nieco dotknięci, że to nie oni tego dokonali, ale Kroger, badaczka chcąca dorwać się do tego archiwum i wiedząca teraz, że jest ono dostępne ze ściennej konsoli, przy pożegnaniu przynajmniej uśmiechała się i była zadowolona.

Bren nie uznał jednak za stosowne wspomnieć, że sposób przekazania archiwum nie był całkowicie pomysłem Ramireza. I miał nadzieję, że nigdy to nie wyjdzie na jaw.

Kaplan odprowadził ich bezpiecznie do sekcji.

A kiedy jej drzwi zamknęły się za nimi, odcinając Kapłana na zewnątrz, a oni znaleźli się cali i zdrowi w foyer własnej, małej i przerobionej dla ich wygody sekcji, Bren głęboko odetchnął, rozpiął guziki i oddał kaftan Naraniemu.

Przygotowywano kolacje... w apartamencie w Shejidan nie dawało się tego wyczuć, dopóki nie została podana. Szlacheckie rody bardzo starały się unikać takiego domowego, wiejskiego stanu rzeczy. Pachniało jednak przyjemnie; pachniało domem, stołami oraz wygodą i wypiszy na obiad tylko herbatę, Bren był bardzo zadowolony.

Odniósł wrażenie, że ten dzień jest bardzo pożyteczny. Bardzo miły.

- Opowiedzcie wszystko Tano i Alginemu, nadiin-ji - polecił Banichiemu i Jago, po czym oznajmił Naraniemu, który podał jego kaftan Kandanie: - Sądźmy, że dokonaliśmy postępu.

Wchodząc do swojego pokoju, był zmarznięty, a nawet przemarznięty. Pomyślał, czyby nie poprosić o jakiś lekki kaftan, ale bardzo chciał się przekonać, czy coś już do niego przyszło i co jest z przekazywaniem archiwum... W C1 powiedzieli, że o północy. On zeszłej nocy padł, a rano miał spotkanie...

Włączył komputer, chuchając na palce w krótkich przerwach między uderzeniami w klawisze, poprosił C1 o połączenie z Mogari-nai i po krótkiej chwili oczekiwania na zezwolenie wysłał i otrzymał wiadomości za jednym połączeniem.

Przyszła wiadomość od Tabiniego: "Ateva oczekuje dalszych wieści i chwali paidniego za jego dokonanie. Do Mogari-nai dotarły duże pliki".

Była krótka, ale dalej podawała suche informacje o wynikach posiedzeń komisji oraz ogólny, pozytywny protokół komisji nadzorczej hasdrawadu, zajmującej się budową drugiego promu. Bren był nim zainteresowany, ale odłożył go na później.

Do Mogari-nai dotarła też, niech Bóg ma go w swojej opiece, reklama. Nie skasował jej. Chciał się dowiedzieć, jak znalazła się w jego poczcie.

Wiadomość od Toby'ego: "Jestem w stolicy. Znów opóźnienie. Paskudna pogoda".

Wiadomość z Mogari-nai: "Otrzymujemy ogromne ilości informacji ze statku, kierowane do mospheirskiego prezydenta i aijiego. Zgodnie z poprzednimi umowami przekazujemy je bez pytania ani badania. Robimy to jednak w pakietach, by nie zakłócać normalnego ruchu".

To było to. Boże, to było to. Wszystkie informacje, legendarne archiwum. Ramirez dotrzymał słowa.

A przynajmniej Bren miał nadzieję, że to archiwum, a nie jakiś diabelsko zaprojektowany zestaw plików, mający przejąć kontrolę nad systemem łączności. Planeta nie była tak wrażliwa na atak komputerowy jak statek czy stacja, a kontynent o wiele mniej niż wyspa. Wysłanie czegoś tak potężnego, a nie całkiem uczciwego, nie byłoby działaniem władzy chcącej nawiązać współpracę z kontynentem czy otrzymać stamtąd jakiegokolwiek dostawy.

To są na pewno archiwa. Zostaną rozpowszechnione.

- C1, czy mam teraz dostęp do tych wszystkich plików, które przesłaliście do Mogari-nai?

- Mogari-nai? - W wymowie operatora nazwa miejscowości była prawie nierozpoznawalna. - Tak, sir, kapitan zezwolił na przekazanie ich do pańskiego E10 o drugiej zero zero.

Zeszłej nocy Bren położył się spać wcześniej i, wyczerpany, zasnął kamiennym snem. Rano znalazł jedynie porozrzucane pliki, a nie zagłębił się w system łączności.

- Będę potrzebował dokładnych instrukcji, C 1. Nie znam tego sprzętu.

- To łatwe, sir, proszę po prostu nacisnąć E 1 0, to znaczy przycisk E i 10, a potem po prostu P, żeby wywołać Przeglądanie, W - widok, a M - menu. Cała literatura ludzkości? Brakujące dane techniczne? Zabrane zapisy stacji? Projekt statku kosmicznego? Nacisnąć M, wywołując menu?

- Nie sędzę, żeby o tej porze był osiągalny Jase Graham? Bardzo by się przydał.

Chwila wahania.

- Jason Graham jest w tej chwili nieosiągalny, sir.

Ciągłe przepytwanie, trwające już kilka dni. Bren poczuł zniechęcenie.

Ale na miejscu Ramireza z pewnością postępowaliby tak samo... nie pozwalałby Jase'owi na kontakty z ludźmi, których prawdomówność badał. Miał jedynie nadzieję, że przy tym wszystkim Jase się wysypia i dostaje posiłki. Idealnym zakończeniem dnia byłaby możliwość wspólnej kolacji z Jasem.

Ale, Boże, archiwa!

- Wiadomość dla niego - powiedział. - Ta sama: proszę powiedzieć, że chciałem się skontaktować; proszę mu powiedzieć, żeby skontaktował się ze mną; chciałbym się z nim zobaczyć. Nic pilnego, raczej względy towarzyskie. Przydałoby się trochę pomocy przy tej konsoli.

- Tak jest, sir. Jeśli potrzebuje pan technika, mogę skontaktować się z kapitanem, sir.

Zdecydowanie nie, z instalacją Banichiego po drugiej stronie korytarza.

- Chyba poradzę sobie sam, Cl, dziękuję. - To nie była jakaś nieznaną zasadą. M dla wywołania menu to dobry początek. - Bardzo dziękuję.

Rozłączył się i przeszedł na drugą stronę korytarza do posterunku ochrony, gdzie Banichi i Jago rozmawiali z Tano i Alginim.

- Brakujące archiwum. E10, przycisk M. - Jego ochrona знаła mospheirski alfabet i teraz już potrafiła go przeczytać z niejaką płynnością. - Spójrzcie na nie, jeśli macie chwilę czasu.

- Tak - odparł Tano, zdumiony. - Tak, nadi.

Sam chciał na nie spojrzeć; nie mógł jednak się rozpraszać, odchodzić od bieżących spraw w labirynt ludzkiego archiwum, jeśli to był skarb, który zdobył. Zrobił, co mógł. Taby pewnie dostał już połączenie; Jase nie potrafił do niego dotrzeć. Mogłaby się z nim skontaktować Mercheson, gdyby miała władzę i dostęp do urządzeń łączności, ale Bren raczej sądził, że jest zajęta dokładnie tym samym co Jase: rozmową z kapitanami.

Zimno dotarło już do jego mięśni, przenikając całe ciało. Wrócił do swego pokoju. Mijając Naraniego, powiedział mu, niemal szcękając zębami, że przed kolacją weźmie prysznic.

Kandana i Bindanda pojawili się, zanim zrzucił koszulę. Zebrali buty Brena i resztę ubrania, po czym okryli mu ramiona szlafrokiem - na cztery kroki dzielące go od kabiny. Przyzwyczajenie, przyzwyczajenie...

Odwrócił się bokiem, by wejść do środka, zrzucając jednocześnie szlafrok, zamknął za sobą drzwi, uruchomił strumienie - w temperaturze, którą ustawił ostatnio - i wzdrygnął się pod uderzeniem zimnej wody, która najpierw wydostała się z rur.

Na coś takiego mogło go przygotować wyłącznie życie, jakie prowadził.

Domyślał się. Oceniał. Zostawiony sam sobie przywołał swoje najlepsze wspomnienia i pomysły, by zatuszować jeden cholernie poważny, samolubny błąd, jaki popełnił podczas lotu na kontynent, zrażając do siebie Kroger.

W ciągu kilku ostatnich miesięcy popełnił jeszcze jeden błąd, nie przewidując, co knuje Tabini, nie wyczuwając, jak zareaguje aiji, kiedy Jase rzeczywiście odleci na orbitę.

A teraz właśnie obiecał dwóm stronom skomplikowaną, naprędce skleconą z nadziei konstrukcję, działając w obłądnym skupieniu, zapamiętując szczegóły, zamrażając koncepcje w myślach, usiłując zatuszować popełnione błędy władzą, którą mu nadano...

Założył, że coraz więcej szczegółów okaże się prawdziwymi... a teraz cała struktura jego planów wyparowała, rozleciała się, tak że przez chwilę nie wiedział, co zrobił, co zaproponował i na co się zgodził, czy było to dobrze przemyślane, czy może Tabini zlecił zajmowanie się jego polityką zagraniczną wariatowi. Stawką były miliony istnień i przyszłość dwóch gatunków, a Brenowi, niech Bóg pomoże światu, podobały się dyskusje z Ramirezem i Kroger. Działał na fali adrenaliny, tak samo jakby pędził na nartach w dół stoku, podejmując decyzje na bieżąco.

Zaczął się cały trząść, nagle zwątpiwszy we wszystko, co wiedział, we wszystko, co zrobił. Rozpaczliwie chciał mieć przy sobie Jase'a, by móc się go poradzić, rozpaczliwie chciał w tej chwili porozmawiać z Tabinim. A

najbardziej pragnął wiedzieć, co zrobił i na co się zgodził, ponieważ ani przez sekundę nie pamiętał, jak to wszystko ma się do rzeczywistości.

Osunął się na dno brodzika i skulił, a prysznic skończył swój cykl pracy. Długo po tym, jak umilkł syk strumieni, a on poinformował swoje ciało, że nie jest mu wcale zimno, jego kończynami wstrząsały sporadyczne drgania niczym fale ziemskiego morza.

Kim jestem, by podejmować decyzje?

Przede wszystkim, kim się stałem, żeby mi się to podobało? Żeby żonglować przyszłością całego świata?

Tabini. Tabini. Tabini, który jest jedyną potęgą nadającą się do rządzenia światem.

Jego własny gatunek nazywa go bezwzględny.

A jak nazywają mnie?

Nie mogę pozwolić, by któraś ze stron zdominowała pozostałe, ale Boże, Boże, Boże! Jakim, do diabła, prawem wyznaczyłem się do dyktowania warunków światu, statkowi, stacji?

- Bren-ji? - usłyszał przez drzwi głos Jago i siedząc tak, starając się opanować dreszcze, pomyślał, jak długo denerwowała się jego służba i personel, zanim jedno z nich zdecydowało się coś powiedzieć.

Lecz następnym krokiem byłoby rozmontowanie przez ów personel drzwi; to jednak było nie do przyjęcia; o, nie, zupełnie nie do przyjęcia.

Kimże jest, by robić to, co zrobił? Człowiekiem stojącym pośrodku, ot co, jedynym funkcjonariuszem, którego dwa narody wyznaczyły, by stał między nimi. Został wyznaczony do zrobienia właśnie tego, co zrobił. Ostro zareagował, kiedy Kroger, nie wiedząc, co czyni, zaatakowała go na jego własnym terenie, i potrząsał nią w nadziei, że zda sobie sprawę z istniejących niebezpieczeństw. Miał nadzieję, że dobrze jej to zrobiło.

Co więcej, Ramirez bardzo chętnie się z nim zgodził... przecież rozmawiali od trzech lat i zasadniczo wiedzieli, przed czym stoja, jeśli chodzi o koszty i surowce. Jase wiedział, on wiedział, Ramirez wiedział, a także Shawn Tyers i prezydent Mospheiry wiedzieli, że stacja musi działać i że obecna sytuacja musi utrzymać pewną równowagę, bo inaczej świat pójdzie w diabły, zabierając ze sobą "Feniksa" i kilka gatunków - zakładając, że ci obcy z dalekiego kosmosu też grają o przyszłość.

Bren przemawiał za równowagą.

Ukradł coś z tego, czego chcieli mospheiranie - kontrolę nad stacją. Dał im to, co Tabini mógł zdobyć dla siebie - to jednak mogło się okazać gorzką pigułką - kontrolę nad firmami na stacji, jako że ludzie spodziewali się wymiany towarów i usług. Będą sprzedawali hot dogi bez względu na porę roku, a atevi będą się wzdrygać i odwracać wzrok, tak jak już się tego nauczyli, zadowolając się budową statku i stacji.

Bren zobowiązał atewską gospodarkę do kolejnego długiego wysiłku, ale ten ostatni - budowa promów - nie zachwiał strukturą społeczną, a prowincje w gruncie rzeczy rozkwitły. Niektóre patronaty narzekały jedynie, że nie ma wystarczającej liczby zadań publicznych.

Stacja i statek stanowiły odpowiedź na to, co nastąpiło po eksplozji gospodarczej związanej z budową promu. Co, oprócz wprowadzenia neonów i szybkiej obsługi kulinarnej jak na północnym wybrzeżu Mospheiry, trzeba zrobić w społeczeństwie o wiele niższym poziomie konsumpcji niż na wyspie, by utrzymać szaleńcze, korzystne tempo rozwoju atewskiej gospodarki?

To proste. Trzeba zbudować statek kosmiczny.

To prawda, że podarował go Gildii Pilotów; ale jeśli wziąć jakikolwiek pojazd i zgnieść go na sześcian, to ma się mnóstwo złomu wartego tyle a tyle za kilogram. Wartość ma praca i nadawanie kształtu, a przede wszystkim wiedza. Płacili za surowce i pracę, a zyskiwali wiedzę oraz umiejętności techniczne bez żadnych badań i rozwoju, pewne projekty i szybką naukę nowej teorii...

Jasne, że ktoś powinien trzymać gospodarkę w ryzach; równie jasne, że czas usiąść i wypracować odpowiedzi, aż garstka tłumaczy, dyplomatów, ekonomista, kapitan statku i cholernie rozzłoszczona kobieta z Departamentu Nauki zgodzą się, że potrafią utrzymać działającą stację, zrobić parę potrzebnych rzeczy i zadbać, by nic nie tapnęło w ich kulturach.

Było tak, jak mówił. Dobrze, że Kroger wciąż jest do pewnego stopnia na niego zła, i dobrze, że on jest w stosunku do niej podejrzliwy. Będąc zła, nie padnie mu z czią do nóg ani nie zaakceptuje bezkrytycznie jego starszeństwa czy rozwiązań. Nie uważał już, że jest służką Gaylorda Hanksa, ale wciąż ma to swoje nastawienie. Bren podejrzewał, że według niej obcy i diabeł są niemal identycznymi istotami, przynajmniej u podstaw. W jej postawie, prawdopodobnie ukształtowanej jeszcze w dzieciństwie, był zakorzeniony strach, ale kariera naukowa przesłoniła wszystkie wcześniejsze wpływy. Ta kobieta ma umysł, i to bystry.

Trzeba ją pozyskać, a okaże się atutem. Co więcej, była kimś, kto potrafi rozmawiać z najbardziej radykalnymi ugrupowaniami na wyspie, dbającymi wyłącznie o własne korzyści, zaufanym człowiekiem z wewnątrz. Dorzucić do tego równania Lunda: Tom Lund ma wpływy w Biurze Handlu i może być bezcenny w kierowaniu przedsiębiorcami.

Tymczasem Tabini przyhamował chwiejne atewskie interesy na kontynencie i wciągnął opierających się panów w wiek współzależności i wrzącej gospodarki. Mospheira, a nawet niektórzy atevi, mogła przeklinać Tabiniego jako tyrana, ale Tabini, jako jedyny spośród przywódców, miał wyraźną koncepcję przeprowadzenia tej trzeszczącej, dygocącej konstrukcji obok leżących po obu stronach cieśniny mielizn nieograniczonej interesowności, a zespół Durant-Tyers na wyspie potrafił w razie nagłej konieczności przesunąć Mt. Adams. Wciąż miał siłę politycznego przebiccia, tyle że nie mógł użyć jej przedwcześnie, w błahej sprawie.

A, Boże, to będzie wielka sprawa - pełna współpraca z atevimi i Gildią Pilotów, co deptało dogmaty partyjne starannie pielęgnowane po obu stronach linii podziału.

- Bren-ji!

Uderzenie w drzwi.

- Tak, nadi! - Pośpiesznie wstał, by Jago nie wyłamała zewnętrznych drzwi i nie zostawiła wyjaśniania zniszczeń jemu. Uderzył się w głowę. - Wszystko w porządku, nadi. Myślę! Człowiek robi to w łazience...

- Kolacja będzie niedługo gotowa - rzekła Jago, nie zniechęcona i wciąż podejrzliwa. - Zechcesz ją opóźnić, Brennadi?

- Nie - odparł. - Nic podobnego. Zaraz wychodzę.

Uderzył się o dyszę wodną i sprawdził ręką, czy nie ma krwi, ale nie.

Wyszedł z kabiny całkiem nagi i włożył szlafrok z szacunku dla sztywnej przyzwoitości służących oraz szacunku dla Jago, która nie domagała się, by poświęcał swój czas czy myśliwej żądaniom seksualnym. Po prostu się martwiła, po prostu stała przy nim i Bren był jej za to głęboko wdzięczny, wciąż wstrząsany dreszczami, ale znacznie już słabszymi.

Uznał, że to wyczerpanie. Potrzebował snu. Spał zeszłej nocy; sądził, że zaśnie i teraz. Zastanawiał się, czyby nie zaprosić Jago do łóżka, tylko dla ciepła, dla towarzystwa.

Do cholernie za małego łóżka.

- Zwykle potrzebujesz mniej czasu - zauważyła - Bren-ji.

- Czasami rozmyślam - powiedział, wciąż marząc o łóżku, pragnąc go po osłabiającej gorącej wodzie bardziej niż jedzenia; już samo to stanowiło sygnał. Nauczył się kontrolować swoje tempo. A przynajmniej próbował. - Dziękuję, Jago-ji.

- Jest kolacja, z której Narani jest dość dumny.

I jak tu mógł narzekać? Jak mógł się wymówić i paść do łóżka?

Uznał, że był to dobry dzień, bardzo dobry dzień. Weszli Bindanda i Kandana, by ubrać go w bardziej swobodny strój, ale wciąż z lekkim kaftanem,

lecz z mniejszą liczbą kołnierzy i koronek do uchronienia przed zupą. Razem z Jago przeszli do pokoju przeznaczanego na jadalnię, gdzie Narani rzeczywiście dokonał cudu, stawiając na stół uroczysty serwis, a na - wet emaliowane kwiaty w wazonie z jadeitu.

Wszedł Banichi.

- Tano i Algini postanowili zjeść kolację razem w biurze, nadi - oznajmił. - Ale Rani i tak bardzo dobrze o nich zadba.

- Usiądź, proszę - powiedział Bren. Banichi i Jago usiedli ostrożnie na elastycznych czerwonych krzesłach z pionowymi oparciami, na których wyglądali jak dorośli przy dzieciennym stoliku; plastik jednak wytrzymał i na stół wjechało pierwsze danie, prawdziwie wspaniała, trudna w przygotowaniu potrawa. Narani-ji, cudowne dokonanie. Powiedz to, proszę, personelowi.

- Zaszczycony, nadi.

Przy tak znakomitym daniu nie można było rozmawiać o sprawach zawodowych. A przy tym rzeczywiście dodawało ono człowiekowi sił.

Potem była okazja do odpoczynku, do przejścia do saloniku; w tym czasie zniknęły talerze, a do kieliszków został nalany znakomity likier, przejrzysty jak kryształ. Banichi i Jago usiedli na podłodze, na bagażach złożonych pod ścianą; niewątpliwie było im wygodniej niż na czerwonych krzesłach. Bren zrobił to samo, po drugiej stronie, i przyjął kieliszek od Kandany, który mu go podał na małej tacce.

- Zdrowie aijiego - powiedział Bren. Nauczyli się razem hołdować temu zwyczajowi.

- W tym miejscu - odparł Banichi i wszyscy troje wypili, czując na wargach delikatny smak.

- Człowiek pragnąłby pewnej konsultacji w sprawie liczb - zaczął Bren. Banichi, który kiedyś nie wiedział, że słońce jest gwiazdą, ponieważ w tamtych czasach nie miało to wpływu na jego pracę, znał każdą potencjalną linię podziału w Patronacie Zachodnim, a także wszelkie szczegóły dotyczące przemysłu i podaży. - Chciałbym trochę popracować, jeśli uda mi się nie zasnąć. Nie znaleźliście żadnego nadzoru wizyjnego?

- Na pewno nie w pokojach - odparł Banichi - ale pozostajemy w niepewności co do korytarza.

- Mam plany konstrukcyjne - rzekł Bren, co spotkało się z pełnym namysłu i zdumienia spojrzeniem Banichiego. - Jestem źródłem tajemnic. Muszę przed odlotem wyczyścić zawartość komputera; nie powinno w nim być nic, czego nie ma na statku albo czego nie powinno tam być. Nic, co nie zostało powielone w archiwum albo nie jest dla nich osiągalne na żądanie: myślę, że przeszukiwanie powinno wykryć takie rzeczy. Nie przeszkadza mi, że wiedzą to co ja, ale trochę bardziej mnie niepokoi to, że wiedzą, iż ja mogę wiedzieć pewne rzeczy. Przez samą obszerność archiwum pewne rzeczy w nim giną; ale my mieliśmy jego część. Znam umiejscowienie przycisku poszukiwania w oryginalnym archiwum. Niegdyś była to informacja uboczna. Teraz... teraz jest inaczej.

- Ateva całkowicie rozumie - rzekła Jago.

- Czy dużo zrozumieliście z tego, co powiedzieliśmy dzisiaj?

- I wczoraj. Sporo - odparł Banichi. - Czy paidhi życzy sobie usłyszeć nasze zdanie?

To, że Banichi zadał takie pytanie i że chciał spełnić ewentualną prośbę Brena, stanowiło miarę zaufania, jakie wyrosło między nimi.

- Tak. Bardzo.

- Moim zdaniem aijiemu to się spodoba. Moim zdaniem bardzo mu się to spodoba.

- Człowiek ma nadzieję - powiedział żarliwie Bren. "Naprawdę tak myślisz?" - wrywało się z ludzkiego serca, ale Banichiemu nie zadawało się oczywistych pytań. - Jeszcze trzynastcie dni do powrotu misji na dół. My jednak możemy znów tu przylecieć następnym promem. Czy damy radę? Wiem, że musimy przeprowadzić badania materiałów. Jeśli jednak ustanowimy tu naszą stałą palcówkę, to jej personel może przeprowadzić te badania o wiele szybciej.

- W istocie - zgodził się Banichi.

- Czy mamy zostawić tu personel? - zapytała Jago.

- Waham się go o to prosić. Nie godzili się na przedłużony pobyt.

- Zgodzili się tobie towarzyszyć, nadi. A jeśli zostawimy w tej kwarterze naszą ochronę, to raczej bym jej nie niepokoiła. To nasz ośrodek działania, bez względu na to, jak się od niego oddalimy.

- Też tak uważam - powiedział Bren.

- Tano i Algini by zostali, może Kandana. To by wystarczyło.

To, że Bindanda podlegał drażliwemu i bardzo potężnemu wujowi pani Damiri, było w gruncie rzeczy atutem: zostawić tu Bindandę bez możliwości składania raportów... Tatiseigi natychmiast by uznał, że to nie wypadek.

I starzec prawdopodobnie wiedział, iż oni wiedzą, że Bindanda jest szpiegiem. Między wielkimi rodami istniały pewne uprzejmości. A pewnych uprzejmości nie można było naruszać.

Podczas gdy Narani... jako kandydat na przełożonego stałej ekipy na stacji... ale on był bardzo stary.

- Powinniśmy zapytać Naraniego - orzekł Bren. - Zaproponujcie mu to stanowisko, ale podkreślcie, że równie go cenie jako towarzysza podróży. Ufam jego doświadczeniu na każdym z tych stanowisk. Jak mu się wiedzie?

- Bardzo dobrze - odpowiedziała Jago. - Ogromnie się martwi, że ty i Jasi-ji nie zostaliście potraktowani z większym szacunkiem. Jest oburzony, że nie pojawili się tu oficjele, by złożyć uszanowanie. Zastanawia się, czy może on w czymś zawiódł. Ateva usiłuje go przekonać, że tak nie jest.

W tym stwierdzeniu kryło się nieco humoru. Narani był ogromnie oddany, ale u atevich nie uchodziło to za coś oburzającego.

- W niczym nie zawiódł - mruknął Bren. - To nie są atevi. I tak do waszej wiadomości, a także do wiadomości Tano i Alginiego: ja rozumiem ich zachowanie i ustępuję mu bardziej, niż może powinienem, ale wciąż wierze, że zdobędziemy to, czego nam trzeba.

- Polegamy na twoim osądzie.

- Powiedzcie personelowi. Chętnie oddam to miejsce we władanie Naranemu albo Kandanie, z założeniem, że musi ono pozostać nietykalne. Może tu przychodzić Jase. Albo Yolanda.

- Ateva żałuje, że Jase jest teraz nieosiągalny - rzekła Jago.

- Wciąż odmawiają mi z nim kontaktu. Zamierzam się z nim zobaczyć przed powrotem na dół.

- A więc paidhi też nie wierzy bez zastrzeżeń.

- Ja nie wierzę. Ja się dowiaduję.

Banichi uśmiechnął się krzywo.

- Widzieliśmy dwóch kapitanów - powiedział, dokładnie wyrażając jedną z wątpliwości Brena, niepokojąc się całą psychologiczną niepomyślnością takiej sytuacji. Rozwiązując jakiś problem, atevi nigdy nie powierzyliby kierowania sprawą ani czterem, ani dwóm kapitanom.

- Oni nie dostrzegają tej trudności - rzekł Bren.

- Jednak będąc jeszcze na ziemi, mieliśmy do czynienia z tymi samymi osobami. Nigdy nie było kontaktu z pozostałymi. Czy powinniśmy się niepokoić?

- Dwaj kapitanowie - dorzuciła Jago - dwa dni do następnego spotkania...

- Te dwójki są dla nich naturalne. Nie widzą w tej liczbie nic niepomyślnego. Nie uważają jej za obraźliwą czy groźną.

- Nie postarali się też poznać naszego zdania - rzekła Jago.

- Baji-naji - powiedział cicho Banichi, to miało znaczyć, że w atewskim światopoglądzie istnieje dualizm, opozycja między losem i przypadkiem, ten czarno-biały dualizm rządzący hazardzistami, komputerami oraz sięganiem w kosmos. Dwójki dopuszczały podział. Dwójka była obecna w podwójnej obecności i podwójnej nieobecności.

- Baji-naji - powtórzył Bren, przypominając sobie o starych kłopotach z Gildią. Jak dotąd przy każdym punkcie Ramirez likwidował ich obawy co do

Gildii. Ramirez umożliwił negocjacje, właściwie to z nim mieli cały czas do czynienia przez radio; kilka razy z Ogunem, rzadziej z Sabin, a z Tamunem zamienili tylko parę słów.

Ramirez powiedział, że umowa z Gildią jest już przesądzona... a z pewnością trudno będzie coś zarzucić statkowi, który przychylił się do wszystkich ich próśb, tak jak błyskawicznie ruszyła produkcja promu i jak błyskawicznie zostały przekazane na dół te pliki.

Ale Banichi i Jago byli niespokojni z powodu obcości tej kultury, braku odprężenia i niepomyślności liczb. Czy atevi mogli to psychologicznie zignorować?

I Jago miała rację. Czy mogli o tym nie pomyśleć i nie starać się tego naprawić? Trzy lata kontaktów ze światem mogłoby ich czegoś nauczyć.

Z tych wszystkich powodów Bren nie mógł zignorować owej dwoistości: Gildia Pilotów była pod pewnymi względami autokracją, ale była autokracją według dwudziestoczworgodzinnej, czterozmianowej rozkładu, w której czworo kapitanów dzieliło się absolutną władzą według zegara; oni natomiast stale kontaktowali się z dwoma najstarszymi... Na powierzchni wyglądało to dobrze, lecz Jago i Banichi mieli rację. Układ ten budził pytania.

- Przez trzy lata zgadzaliśmy się ze sobą - powiedział Bren. - Co najważniejsze, oni mają powód do układania się z nami, bardzo ważny powód. Przypuśćmy, że mówią prawdę, że Jase mówi prawdę, a ja tak uważam: przynajmniej nie mają czasu, by wszcząć tu wojnę. I przesyłają na dół bardzo obszerne pliki. Miałem wiadomość od Posłańców, którzy to potwierdzają. Lokalne stanowisko łączności twierdzi, że mogę odczytać te pliki tutaj, tak jak mówił Ramirez.

- A my będziemy dla nich budować ten drugi statek - powiedział Banichi. - Czy mamy rozumieć, że zostało to uzgodnione?

- Tak. - Nie było jeszcze rzeczy rozebranej i zrozumianej przez atevich, czy chodziło o matematykę, czy komputer, której by potem nie rozwijali we własnym kierunku. - Otrzymałem polecenie od aijiego, by się na to zgodzić, nadiin; nie mówię, że nie mam obaw. - Nie można było na przykład powiedzieć w języku atevich "prawie się zgodziliśmy" - wychodził z tego oksymoron, ponieważ zgoda na zgodę. - Nie widzieliśmy wszystkich kapitanów; zakładamy ich zgodę. Niech nas nauczą, jak zbudować statek kosmiczny. Atevi mogą ich nauczyć równie wspaniałych rzeczy, nadiin-ji. Jeśli wszczęli wojnę z obcymi, to my i mospheiranie możemy ich nauczyć bardzo ważnych rzeczy. Gospodarka mospheirska i kontynentalna mogą ich nauczyć, jak budować. Nie możemy, ale i nie musimy być tacy sami jak ci statkowi ludzie. I nigdy nie będziemy. - Przyłapał się na używaniu zaimka "my", tak jak to robił w myślach. - Atevi nie muszą tacy być. I nie będą.

Słuchali go bardzo uważnie i przez chwilę milczeli.

A potem Jago powiedziała:

- A więc ten statek. Czy my też będziemy taki mieli?

- Jeśli aiji zechce. - To była odpowiedź na całą oficjalną politykę; Bren wiedział, o co pyta Jago: oddzielne dowództwo na stacji stanowiło problem. Ustanowienie innego aijiego prawdopodobnie spowodowałoby rywalizację w aishidi'tat, zachwianie równowagi władzy. - Ale u atevich każda placówka, każda odizolowana społeczność musi znaleźć uczciwych aijiin, którzy z ważnych i logicznych powodów mogą dojść do zgody z aijim w Shejidan; podobnie może my będziemy musieli znaleźć uczciwego pana na dowódcę statku. Kto wie, co stanie się dla nas możliwe za sto, dwieście, tysiąc lat?

- Może wszyscy będziemy na tyle prawi, by nie potrzebować już aijiin ani prezydentów - powiedziała Jago.

- Ateva wątpi - rzekł Banichi.

- Umiejętność przyjmowania zmian, nadiin-ji, to coś więcej niż statki, o wiele więcej niż statki kosmiczne, a atevi są w tym mistrzami. Atevi poradzili sobie z zakończeniem Wojny. My, mospheiranie i atevi, napisaliśmy Traktat Mospheirski, a atewska gospodarka każdego roku wyciąga korzyści z

przekazywania techniki, a nie ponosi z tego tytułu szkody. Doprowadzenie gospodarki do takiego stanu zajęło dwieście lat. Teraz przyjmujemy ogromne ilości zmian bez wstrząsów społecznych.

- Bez wielkich wstrząsów społecznych - poprawił Banichi.

- Biorąc pod uwagę to, co zdarzyło się przed trzema laty. Ale dokonanie tego, co zrobili atevi i mospheiranie, nadiin-ji, pokojowe i korzystne zespolenie dwóch całkowicie odmiennych gospodarek, jest wielkim osiągnięciem.

- Owszem - rzekł Banichi. - I nad tym delikatnym zagadnieniem nie czują głupcy.

Matematyczne talenty atevich były ogromne. Na początku tego związku nie potrzebowali komputerów, a przez ostatnie dekady dwustuletniego partnerstwa Uniwersytet i Biuro Spraw Zagranicznych na Mospheirze stosowały taktykę opóźniania, bardzo się bojąc wprowadzenia komputerów do obiegu informacji.

Po prawdzie zrobili to, ponieważ atevi wiedzieli o istnieniu komputerów i zaczęli rozumieć, że są czymś więcej niż pomocą dla ludzi. W miarę rozwoju handlu rozwijała się gospodarka, rosło zaludnienie i - to druga prawda - od kiedy atevi zaczęli konkutować z co bardziej zaawansowanymi gałęziami przemysłu, bez bliższego kontaktu mospheirska gospodarka nie potrafiła już regulować się na tyle szybko, by je utrzymywać. Atevi, którzy dla podtrzymania gospodarki od wieków robili dywany czy wazony, teraz odkryli zastosowanie dla szybkiej obsługi kulinarnej i efemerycznych zysków... jako siłową broń w wojnie gospodarczej oraz pożyteczne doświadczenie społeczne w etnicznie zróżnicowanej prowincji.

Szosa były niegdyś powodem wojen. Odpowiednim rozwiązaniem okazały się pociągi.

Komputery pomogły atevim zrozumieć, jak ludzie postrzegają wszechświat. Atevi odkrywali je na nowo, i to w błyskawicznym tempie.

Ale czy można pomyśleć o stacji kosmicznej i statku jako o odpowiedniku prowincjonalnej sieci barów szybkiej obsługi, zasilającym starannie nadzorowany przepływ pieniędzy między prowincjami?

Sączyli likier, a Bren miał złe przeczucia.

System bankowy, wraz z jego nowymi komputerami, był przygotowany do dokonywania takich obliczeń do najdrobniejszych szczegółów. System monetarny jako taki był jednym z produktów zaimportowanych z Judzkiej strony cieśniny, bardziej na pokaz niż faktycznie ceniony.

System monetarny będzie problemem na stacji kosmicznej; zaopatrzenie załogi w pieniądze było innym zagadnieniem.

Istniały też problemy w ramach aishidi'tat. Prowincje, które określały swoje granice bardzo swobodnie, wciąż jednak miały granice w kategoriach interesów gospodarczych, i to będzie stanowiło drażliwą kwestię.

Będą musieli uważać na skład etniczny siły roboczej wysyłanej przez aijiego, pilnując, by prowincje i wielkie rody nie dopatrywały się korzyści u swoich rywali, oraz nie dopuszczając, by wszędobylscy wyznawcy liczb nie widzieli nieszczęść w upartych ludzkich dwoistościach. Bóg jeden wiedział, że komputery stały się przyczyną kontrowersji.

Na samą myśl o prowincjonalnych panach Brena rozboleła głowa. O hasdrawadzie. O tashridzie. O komisjach. Mnożenie komisji nie było wyłączną domeną Mospheiry.

- A więc - powiedział Banichi podczas tej wieczornej dyskusji - założymy, nadi, stałe przedstawicielstwo, prawda? A potem czy Tano i Algini mają się spodziewać, że tu zostaną?

Tano i Algini starali się nauczyć języka. Ale poza Banichim i Jago, których Bren za nic by się nie pozbył, nie było wyboru, chociaż bardzo mu się nie podobał pomysł zostawienia tu atevich choćby na kilka tygodni bez niego.

- Poproś, żeby zastanowili się nad taką możliwością. Za każdym lotem promu powinniśmy rozszerzać tę strefę. Co więcej, następnym lotem powinni przybyć technicy i personel do ich obsługi, i tak dalej. Coraz więcej personelu, aż uznają za możliwe przekazanie spraw podwładnym. Możemy darować so-

bie badania materiałów, ale musimy założyć tu, na stacji, kilka innych działających modułów.

- Przystosować obszary przylegające - rzekł Banichi.

- Oraz obszary użyteczne dla nas... pod warunkiem, że otrzymamy zgodę wszystkich kapitanów oraz aijiego. Uruchomimy następne promy, wynajmiemy więcej personelu. Choćby się waliło i paliło, port kosmiczny będzie musiał przenieść się w terminie. Shejidan nie może już sobie pozwolić na utratę następnych dachówek.

Krzywe uśmiechy Banichiego i Jago.

- Ragi lubią historię.

Atevi z etnicznej grupy Ragi, mieszkający w stolicy, wysyłali krewnym popękane dachówki jako cenione pamiątki. Bren sam podpisał kilka sztuk.

- Kiedy jednak jesienią zaczną im przeciekać dachy, może trochę zmienia zdanie. My dotrzyaliśmy terminu. Znaleźliśmy się tu, na górze. Jesteśmy na górze, choć wciąż wydaje się to nieprawdopodobne. Nowy pas startowy powinien zostać ukończony jak najszybciej, zanim Shejidan nasiąknie zimowymi deszczami. Mam na to słowo kierownika robót.

- Z ośrodkiem turystycznym?

- Z ośrodkiem turystycznym. - Bren uniósł kieliszek w toaście za atewski upór. Mieszkańcy dwóch niewielkich miasteczek przemysłowych leżących w pobliżu nowego portu kosmicznego - do pasa startowego można było dostać się koleją i samolotem z ośrodka kosmicznego na lotnisku - stawiali się w rozmaite święta, by pomagać ekipom wbijającym haki szynowe, co w sumie miało doprowadzić do wybudowania drugiego połączenia dla ich osobliwego lokalnego parowozu, który miałby kursować na okrągło do nowoczesnego portu kosmicznego. Taka podróż w obie strony miała trwać pół godziny. Miasteczka przewidywały obecność atewskich turystów z wyższych klas, dobrobyt i może magazyny z towarami oraz nowoczesne połączenie kolejowe z siecią krajową, a wszystko to zawierało się w koncepcji ośrodka turystycznego. Mieszkańcy nie pojęli jeszcze, co nabiera kształtu tuż za ich progiem, ale zastanawiali się nad zmianą nazwy na Jaitonai-shi, "Kwiat, Który Ma Rozkwitnąć".

Czy, siedząc na bagażach rozłożonych na podłodze, można było się rozejrzeć po tym ciasnym, małym pomieszczeniu, surowym jak miasteczko portowe, które mogłoby się stać Jaitonai-shi, i zobaczyć miejsce ze snów?

- Myślę o mieszkańcach Jaitonai-shi - powiedział Bren. - Jak bardzo dziwny może stać się świat.

- Już się taki stał - stwierdziła Jago.

Potarł oczy, które piekły go od suchego powietrza stacji, i zadał sobie pytanie, jak w obliczu pracy mieszkańców miasteczek, którzy przybywali z motykami i łopatami, by zbudować dojazd do nowego portu kosmicznego, może myśleć o położeniu się do łóżka w ciągu następnej godziny.

Może robić notatki. Musi zrobić notatki.

- Nadiin-ji... przede wszystkim... przede wszystkim uważam, że to, co zrobiłem, jest najlepszym wyjściem. Ogromny wysiłek. - Spojrzał przez szerokość pokoju w poważne, złociste oczy, w oczy swoich absolutnie pewnych sojuszników, doradców, obrońców. - Ale nade wszystko... wciąż obawiam się powiedzieć o tym aiji-wdowie. Uważać że, że cokolwiek zrozumie?

Nie było bardziej zawziętej rzeczniczki dawnego stylu życia niż aiji-wdowa, bardziej zapalanej obrończyni gruntów, ziemi i jej świętości. A Bren przywoził propozycję zmiany, która zmiecie atevich z planety i wyniesie ich w nieznaną, niebezpieczną przyszłość.

Nie widział jednak innej drogi.

- Sam aiji popiera twoje działania - powiedział Banichi swoim głębokim, spokojnym głosem. - Wiem to z najlepszego źródła. Zmiana to zadanie paidhiego, prawda?

- Wciąż jest moim zadaniem - zgodził się Bren, czując, że ta zmiana przepływa mu między palcami, prawie poza kontrolą, w niewielkim tylko stopniu będąc w jego zasięgu.

- Świat zmieniał się jeszcze przed wzejściem Obcej Gwiazdy - rzekła Jago.

Zmiany zachodziły, nim jeszcze na niebiosach świata pojawiła się stacja... zmiany wprowadzone przez maszyny parowe, pożary lasów.

Patronat szlachejnych rodów, pragnący za wszelką cenę tworzyć coraz większe patronaty grup interesów...

Władca największego patronatu na planecie za wszelką cenę pozostawał na kursie swoich przodków, domagając się, by paidhi znalazł w tym wszystkim sens.

- Zmiany były - zgodził się Bren - jeszcze przed paidhiin.

Czerpał pociechę z faktu, że ci dwoje rzeczywiście wszystko rozumieją. Dokończył likier i westchnął.

- Popracuję wieczorem. Jutro mam to spotkanie. Przygotuję moje wystąpienie; być może bardzo szybko udamy się w drogę powrotną, więc najlepiej by było, gdybym jutro miał swoje propozycje nieco uporządkowane. Przeczytacie je potem i sprawdzicie, czy są rozsądne i czy nie ma w nich prowincjonalnych błędów?

- Ateva spodziewa się to zrobić - rzekł Banichi i dopił likier.

Bren siedział na łóżku i robił notatki w komputerze. Nie pisał właściwie ani w ragi, ani w mospheiranie; większość notatek stanowiły oznaczone szyfrem wykresy, które przerzucały się liczbami w złożonych związkach. Nie pozwolił sobie myśleć o archiwum, które już mogło zostać całkowicie przekazane i z pewnością było osiągalne. Przygotowanie do porannego spotkania było najważniejsze; musiał starannie rozważyć, jakie szczegóły może zaproponować i przy czym musi obstawać... wszystkie zasady, wszystkie sprawy na planecie, które mogły rozrosnąć się w międzyprovincialne konflikty czy spowodować napięcie między Mospheirą i kontynentem. Banichi czytał dzieło Brena i omawiał je za zamkniętymi drzwiami małego posterunku ochrony z Tano i Alginim.

Niejakie poruszenie oraz ulgę wywołało pojawienie się większych materacy. Były proste, cienkie, ale bardzo mile widziane i dziwnie nowe, dokładnie jak materace na łóżkach, prostokąty pianki zamknięte w jasnoniebieskiej plastikowej powłoczce. Nowe, pomyślał Bren, jakby wytworzył je statek; a sądząc z tych nielicznych informacji, jakie miał o środkach statku, było to możliwe, o ile mieli surowce.

A więc zdobyli kolejny punkt swoich żądań. Mieli na noc łóżka nie składające się już z wypchanego bagażu, łóżka na miarę jego personelu. Ochrona wniosła stertę materacy do środka, szukając w nich, już za drzwiami, jakichkolwiek oznak emisji sygnałów elektronicznych czy choćby takiej możliwości.

Było zachęcające, że kiedy nie mogąc już się oprzeć pokusie, Bren wywołał materiały oznaczone symbolem E10 i pobuszował po zawartości archiwum, wszystko było dostępne zgodnie z obietnicą. Znalazł nieoczekiwane klejnoty, fantastyczny skarbiec książek w mikroformie, encyklopedię, której nigdy przedtem nie widział, języki, jakich żadną miarą nie potrafił odczytać, ale które mogłyby rozpoznać pewne odizolowane rodziny na Mospheirze. Pewne rodziny zachowywały wiedzę, odtwarzając coś z tego, co utraciła Mospheira, i naukowcy będą mogli oprzeć całe kariery na porównywaniu tych materiałów, pod warunkiem, że świat przeżyje następne kilka trudnych stuleci i znajdzie wolny czas.

Bren przeglądał archiwum, dopóki ból głowy, który przypisywał rozrzedzonemu, suchemu powietrzu, nie osiągnął nieznośnego poziomu i łóżko nie zaczęło wydawać się bardzo dobrym pomysłem.

Zanim jednak udał się na spoczynek, jeszcze raz połączył się z C1 i z Mogari, wysyłając i odbierając pocztę.

Wiadomość od Tabiniego zajęła na jego liście najważniejsze miejsce: "Gratulujemy Ci oraz twojemu personelowi udanego lotu. Otrzymaliśmy Twoja

poprzednią wiadomość i czekamy na informacje o dalszych postępach". Razem z nią nadeszły pliki wymagające jego uwagi, ale nosiły zwykłe oznaczenia sprawozdań komisji.

Z własnego biura Brena w Bu-javid, od przełożonego personelu urzędniczego: "Toby Cameron dzwonił do nas trzy razy; usiłowaliśmy zaciemnić obraz i powodować opóźnienia. Co mamy mówić?".

W sumie nie było nic do powiedzenia. Dopóki nie otrzyma wyraźnej informacji, że ludność wie, gdzie on jest, i że nie będzie kłopotów z ujawnieniem tego faktu, mógł jedynie odpowiedzieć enigmatycznym: "Sam odpowiadam na wiadomości od Toby'ego Camerona. Dziękuję za powiadomienie. Możecie ignorować wszelkie późniejsze wiadomości nie wyglądające na pilne, ale wszystkie przekazujcie do mnie".

Oraz jeszcze bardziej enigmatyczna wiadomość dla brata:

"Toby, otrzymuję Twoje listy ze znacznym opóźnieniem. Wyjechałem z pewną misją i nie mogę skontaktować się z tobą bezpośrednio".

Niedomówienie. Wymazał swój podpis i dodał:

"Napisz, proszę. Bardzo martwię się matką i tobą. Jak się czuje Barb? Nie zapominaj o Shawnie".

Mógł osobiście polegać na Shawnie Tyersie.

Jego odpowiedź nie pomogła Barb. Z listu Toby'ego nie dowiedział się, jaki jest jej stan, i Bren nie miał pojęcia, dlaczego Toby nie podał mu tej informacji: może myślał, że Bren nie chce zajmować się zmartwieniami Barb, albo dlatego, że poprosił Toby'ego o zajęcie się problemami matki, a Barb jest jednym z nich... Bóg jeden wie. Możliwych powodów było multum. Ból głowy osiągnął przeszywające crescendo, umiejscawiając się tuż za cierpiącymi zatokami.

Wilgotność. Kiedy atevi przejmą stację, wilgotność będzie musiała być większa niż teraz. Temperaturę da się wytrzymać, ale powietrze jest niewiarygodnie sterylne.

Dlaczego, do diabła, Toby nie umieścił w liście prostych faktów?

Czy ona żyje, Toby? Czy jest jej choć trochę lepiej? Na litość boską, Toby...

Za pośrednictwem C1 podjął jeszcze jeden wysiłek - który, jak wiedział, do niczego nie doprowadzi - pragnąc jakiegoś pocieszenia, zanim spróbuje zasnąć: "Toby, przepraszam, ale potrzebuję konkretnej odpowiedzi, bez względu na to, jaka jest. Czy masz jakieś informacje o Barb?"

Nie rób jej żadnych nadziei co do naszego związku. To już się skończyło. Zależy nam na sobie nawzajem. Obchodzi mnie, jak się jej wiedzie. Nie wiem, jak możesz to przekazać.

Cholera, nie mów jej. Powiedz mi tylko, jak się czuje, żebym wiedział, jak bardzo muszę się martwić. Nie płąć za te bilety lotnicze. Ja to zrobię".

- C1, mam jeszcze jedną wiadomość. Proszę ją wysłać.

- Tak jest, sir. Zrobione.

- Czy Jase Graham jest już osiągalny?

- Nie, sir.

- Yolanda Mercheson.

- Nie, sir, oboje są na służbie.

- Proszę przekazać obojgu następującą wiadomość: "Zadzwoń, gdy tylko ci się uda".

Wciąż odpytywanie, na pewno oboje zostali wezwani, oboje przesłuchują nagranie wszystkiego, co powiedział Ramirezowi, a możliwe, że i wszystkiego, co powiedział mospheiranom... Między Gildią i mospheiranami nie stała żadna bariera językowa.

Nie mówiąc już o możliwości, że mospheiranom zachciało się drugiej konferencji z Gildią, po zgodzeniu się na to, o co ich poprosił, jako że podwójne umowy mogą stać się bardzo nieporządne... na Mospheirze nic się nigdy nie działo, żeby ktoś nie chciał kolejnego studium... czy tu będą postępować inaczej?

Ból głowy rozsadzał mu czaszkę. Otworzył szufladę, w której jakimś cudownym sposobem pojawiły się jego osobiste rzeczy, znalazł lekarstwo i zażył je, popijając resztką herbaty.

Następnie zawołał Bindandę i Kandaną i położył się do łóżka, przygotowanego z wszelkimi możliwymi wygodami, otrzymawszy od swoich gospodarzy sygnały, że sprawy toczą się zgodnie z planem. Banichi powiedział, że w tym, co przeczytał, nie znalazł błędów.

- Nie widzę żadnej skazy. Ateva mógłby wspomnieć, że na stacji musi być administracyjna placówka Gildii.

Banichi rozumiał przez to swoją własną Gildię, która towarzyszyła cywilizacji; Bren sądził, że ich posterunek ochrony jest załącznikiem takiej placówki. Ich sekcja mogła stać się jej ośrodkiem. A kiedy dowie się o tym Gildia Pilotów, mogą powstać zatargi.

Zdecydowanie mogą powstać zatargi. Ale on nie wspomni o tym na spotkaniu.

Słuchał, jak jego personel chodzi po korytarzu za otwartymi drzwiami, zajmując się czymś, co część jego umysłu uznała jednocześnie za tajemnicze i zwykłe.

Miał pewność, że ochrona czuwa, całkowicie panując nad ich małą sekcją stacji; słuchał cichego pomruku rozmowy na korytarzu, nieco głośniejszej od wentylatorów i ruchu powietrza. Była tu Gildia Banichiego, czujna i opiekuńcza. Pewnych rzeczy Gildia Pilotów nie musi wiedzieć, dopóki biuro Gildii Banichiego nie stanie się faktem dokonany i nie pojawią się Zabójcy, by utrzymywać atevich w ryzach. Banichi ma rację. Atevi szanują własne instytucje, i to musi stanowić część planu. Gildia Zabójców była w gruncie rzeczy jedną z nielicznych neutralnych instytucji na kontynencie i wprowadzenie jej na wczesnym etapie negocjacji, zaproszenie do zaznaczenia swojej obecności na stacji, było bardzo dobrym pomysłem. Uspokoi to prowincje, że niczyje biuro nie zyskuje przewagi, i było oczywistym pierwszym, nie technicznym, lecz zasadniczym i cichym krokiem; Bren powinien oficjalnie się zwrócić do kierownictwa Gildii. Banichi bardzo słusznie o tym wspomniał. Bren może się do tego wziąć zaraz po powrocie na planetę.

Ale to dopiero jutro. Za kilka dni. Koniecznie trzeba zwrócić się do Gildii, ponieważ jej przedstawiciele brali udział we wszystkich atewskich operacjach. W tym przypadku miał czworo najlepszych i prawdopodobnie Bindandę... jeśli Bindanda nie był Posłańcem, co też wchodziło w grę. Ta Gildia jest równie skryta.

Nie potrafił zasnąć, mając tyle pytań. Wolał myśleć o archiwum, aż jego możliwości zatarły nawet problemy Toby'ego i Barb, a kiedy umysł zaczął mu się zasnuwać coraz gęstsza mgłą, ukołysał się do snu wyobrażeniami czerwono-niebieskich wykresów gospodarczych, mając jednocześnie nadzieję, że port kosmiczny znajduje się o kolejnych kilka stóp pasa startowego bliżej ukończenia.

Obudził się rano zdezorientowany, przez chwilę nie mógł znaleźć krawędzi łóżka ani ścian... ale w powietrzu unosił się zapach śniadania, a z korytarza dobiegały znajome hałasy.

Bren usiadł, z trudem wstał i podszedł do komputera i panelu łączności, który uruchomił, i wezwał C1, tak jak zrobił to przed położeniem się do łóżka.

- Są jakieś odpowiedzi na moje wiadomości? - zapytał. - Jakież wiadomości od Grahama?

- Nie, sir, nie mam żadnych przekazów.

To był ktoś nowy.

- Połączenie z Mogari-nai - poprosił, a nowy człowiek na zmianie zażądał zezwolenia.

- Proszę je potwierdzić - powiedział szorstko, jeszcze przed poranną herbatą, i westchnął. Wczorajsza współpraca C1 była taka wygodna. - Proszę to

zrobić w trybie awaryjnym. To są rozkazy Ramireza. Robiliśmy to wszystko wczoraj.

- Muszę sprawdzić, sir - nadeszła odpowiedź z podejrzaną nutą zgryźliwości, ale mimo to ostrożna w tonie. Po chwili Bren usłyszał o wiele bardziej oficjalne: - Tak jest, sir. Przełączam.

Bren odetchnął głęboko. I jeszcze raz. Komputer i ścienny panel denerwująco zapiszczały i zasyczały do siebie nawzajem.

- Sir - zaprotestowało C1.

- Na to także mam zezwolenie, C1. To normalne. Proszę o potwierdzenie, że moje wiadomości docierają do kwatery Jasona Grahama. Mogę je otrzymać?

- Tak jest, sir. Chwileczkę, sir. - Znów ten zgryźliwy ton: to pewnie jeden z tych niefortunnych głosów, na którego brzmienie wszyscy się jeżą. I człowiek ten, oczywiście, nadzorował łączność. - Wysłałam tę wiadomość ośmiście, sir.

Bren nie odezwał się i powstrzymał wybuch złości.

I nadeszła odpowiedź:

- Jasona Grahama nie ma w jego kwaterze. System twierdzi, że zapisuje wiadomości dla niego.

- Yolanda Mercheson. - Ten człowiek okazywał się pomocny. Nagle zaczął się Brenowi bardziej podobać. - Możesz do niej dotrzeć?

- Chwileczkę, sir... Nie, sir. Też ma wiadomości. Jest na konferencji.

- Spodziewam się wiadomości od kapitana Ramireza z jego biura.

-Sprawdzę, sir.

Długa chwila oczekiwania.

- Niczego nie mam, sir.

No cóż, powiedział sobie w duchu, mocno rozzarowany, data nie została ustalona dokładnie. Może w te dwa dni wchodzi i ten dzień. Jeśli w języku istnieje wewnętrzny brak precyzji, to dany dzień jest wliczany... albo nie. A Ramirez specjalnie nie umówił się dokładnie. Chciał mieć pole manewru.

- Dziękuję, C1.

- Tak jest, sir.

Bren westchnął po raz trzeci, poszedł się ubrać, po śniadaniu zabrał się do pracy i czekał, cały czas spodziewając się wiadomości.

Po popołudniu przekazał przez C1 wiadomość: "Tu Bren Cameron. Czy mogę prosić o potwierdzenie spotkania ustalonego z biurem Ramireza?".

- Nie mam go w planie - nadeszła odpowiedź, i to nie, jak się okazało, od asystenta Ramireza, lecz od asystenta kapitana, pełniącego akurat służbę. Zbyt mocne naciskanie może wszystko zniweczyć.

- Spodziewam się wiadomości i konkretnego terminu - powiedział.

Czekał na wiadomości od kogokolwiek. Nie nadchodziły.

Przed kolacją wysłał i odebrał pocztę. Znalazł w niej kolejne sprawozdania komisji.

Była też wiadomość od Toby'ego: "Barb odzyskuje siły po operacji. Mama chciała tam być".

Bren był przerażony. "To wszystko, Toby? Wszystko? Co się tam dzieje?".

Toby złościł się na niego. I wybrał sobie do tego bardzo zły czas. To pewnie jest powód. Bren nie potrafił wymyślić żadnego innego.

Po śniadaniu służący poruszali się bardzo cicho i z opuszczonym wzrokiem: najwyraźniej dzięki drobnej niedyskrecji personelu już wiedzieli, że miało się odbyć bardzo ważne spotkanie, które nie zostało potwierdzone.

Bren usiłował poprawić im nastrój. Czuł to niepowodzenie, jeśli nim było, na własnych ramionach. Teraz podejrzewał, że Ramirez żywił zbyt wielką nadzieję na zgodę kapitanów. Podejrzewał, że Ramirez spróbował jakiegoś manewru, który zawiódł. Nie szkodzi. W końcu musi mu się udać, ponieważ dla "Feniksa" nie ma innej rozsądnej drogi postępowania. Bren postanowił nie być ponurym, ale cisza grała mu na nerwach.

- Ja też nic nie słyszałam - odpowiedziała szczerze Kroger przez interkom. Może odczuła przynajmniej ulgę, że Bren nie spotyka się potajemnie z Radą Gildii. - Skończyli przekazywać archiwum. Skontaktowaliśmy się z Mospheira. Wywołało to spore poruszenie.

- Jestem bardzo zadowolony - powiedział Bren.

- To jedno, co zrobiliśmy. Jedna korzyść z tego wszystkiego.

Przynajmniej nie mają sprzecznych celów. Bren nie był tego pewien w odniesieniu do Ramireza i jego współkapitanów.

Po kolacji próbował przekazać Banichiemu i Jago mospheirskie niezdecydowanie co do dni bieżących i dni przyszłych, i udało mu się ich zadziwić, chociaż bardzo pilnie studiowali ludzi oraz ich zachowanie.

- Wiem - powiedział. - Mnie też to niepokoi. To, że nie ma przynajmniej wcześniejszego zawiadomienia o dokładnym terminie spotkania. Faktem jest jednak, że chociaż powiedzieliśmy "dwa dni", to nie ustaliliśmy terminu. Chyba powinienem upewnić się co do daty, ale nasze kalendarze nie są zgodne. A to był sygnał, by go nie naciskać.

Jago i Banichi przez cały dzień, przez całą kolację, mieli swoje najbardziej oficjalne miny. Teraz oni zadawali pytania.

- Czy Jasi-ji jest bezpieczny? - zapytała Jago.

- Chyba tak.

- Czy Ramirez próbuje zrobić coś, o czym powinniśmy wiedzieć? - spytał Banichi.

- Chciałbym to wiedzieć.

- Czy ten wielki statek nie działa według liczb, i to dokładnych liczb?

- Człowiek by tak sądził. Ludzie działają jednak według liczb mniej dokładnych. - Musiał podzielić się zmartwieniami ze swoją ochroną, ale nie miał pojęcia, jak wyjaśnić atevim, mającym wrodzone poczucie precyzji, o co naprawdę chodzi z tym wydłużającym się dwudniowym terminem. - To jest gra. Gra, jak pojmują ją ludzie, prowadzona z wrogami po to, by jeszcze nie walczyć, ale też i nie zgodzić się.

To ich oświeciło. W oczach ochroniarzy pojawiło się całkowite zrozumienie.

W gruncie rzeczy atevi celowali w takich grach: obecność Bindandy była właśnie takim posunięciem, którego nie wolno kwestionować.

- Ateva rozumie - rzekła Jago, sprawiając wrażenie znacznie odprężonej.

- Jest to dla mnie ogromnie denerwujące. Stanowi sygnał, bym się wycofał. Zauważyłem to, kiedy kapitan postanowił nie precyzować terminu; uznałem, że może się on przesunąć. No i się przesunął. Nie pozwolę jednak, by ta sytuacja się przedłużała.

- A potem? - zapytał Banichi.

- W tej chwili nasze największe ryzyko stanowi moje i jego zdenerwowanie, a także aijiego, jeśli nie sprowadzę kapitana do stołu przed moim odlotem, a chyba o to właśnie chodzi w tej grze. Kapitanowie chyba nie chcą jeszcze zająć się szczegółami, chcą dostać, ile się da, i myślą, że trochę więcej czasu może rozwiązać ich problemy, a między nami... nadiin-ji, moim zdaniem kłopot w tym, że niektórzy z nich chcą umowy z mospheiranami, a ci nie są zainteresowani. Myślę, że to dość mocno rozzłościło pewnych funkcjonariuszy tej Gildii.

- Do jakiego stopnia, nadi?

- Do takiego, że prowadzą tę operację, jakby to była jakaś komisja.

Myślę, że Ogun przyłączył się do Ramireza i razem zadziałali zbyt szybko jak na gust pozostałych kapitanów. A najbardziej gnębi mnie to, że jeśli popełniłem poważny błąd i uraziłem ich, układając się z Ramirezem i Ogunem, to źle robiłem, zbyt ich naciskając, i muszę wziąć na siebie pełną odpowiedzialność.

- Czy mogliby się układać z Kroger w jakiejś tajnej sprawie?

- Nie potrafię sobie wyobrazić, co to takiego mogłoby być, skoro Kroger po prostu nie może im dać tego, co chcą. A jeśli Kroger twierdzi, że może wy-

ciągnąć coś z niczego, nie wróży to dobrze ich porozumieniu. Moim zdaniem cholernie dobrze wiedzą, że ona właściwie nie ma im nic do zaoferowania. Co do rzeczy, które powiedziałem jej w zaufaniu, to nie martwię się, że mogłaby je wyjawiać statkowym ludziom. Nie wpłyną na to, co myślą kapitanowie.

- A na Mospheirę? - zapytała Jago.

- O, i to bardzo. Dla Mospheiry bardziej korzystne jest ukrywanie tych szczegółów przed własnymi co radykalniejszymi elementami - z którymi moim zdaniem Kroger ma chyba jakieś powiązania, ale jeśli istnieje jakiś pewny sposób na wywołanie politycznego zamętu na Mospheirze, to jest nim propozycja masowej emigracji i pracy przymusowej. To się po prostu nie zdarzy.

- Kapitanowie nie mogą nalegać.

- Nie. - Przyszła mu do głowy myśl, która nawiedziła go już w ciągu dnia. - Jeśli Kroger zaczęła się niepokoić, jeśli po prostu poprosiła Ramireza o zwłokę albo przedstawiła jakiś problem, to pojawiają się oznaki zdenerwowania i ja się cholernie wścieknę; ale to nic w porównaniu z trudnościami, które rozwiązywaliśmy na planecie przez ostatnie dwieście lat. Rozwiążemy to. Zawrzemy naszą umowę i zabierzemy ją ze sobą do domu.

- Ateva się martwi - powiedziała Jago.

- Oznaki, którymi ja się martwię, to to, że Jase nie dostaje moich wiadomości; podobnie Yolanda; nie mogę nawet dotrzeć do Kroger. Młody dżentelmen zawiadujący łącznością nie ma zezwolenia, by nas łączyć, ale, i to jest ważniejsze, nie otrzymał go, co oznacza, że może o nie nie prosił.

- Blokada na niskim poziomie? - zapytał złowieszczo Banichi.

- Mam nadzieję, że nie. To może być działanie podwładnych mających kryć Ramireza. Albo działanie podwładnych ustawionych jako przeszkody przez kogoś przeciwnego Ramirezowi. Nie zamierzam podejmować żadnych działań. Powiem im, jak bardzo jest to prowokacyjne.

Poza tym dotrzywanie terminów stanowiło wśród atevich liczbowy wstęp do pomyślnych lub niepomyślnych liczb.

- Nie powinni tak postępować z paidhi-aijim - stwierdziła Jago.

- Mamy stałe trudności. Trzy lata trudności w tej sprawie - powiedział z niejakim rozdrażnieniem. Kiedy rozmawiali z Ramirezem przez Mogari-nai, kapitan ciągle nie dotrzymywał terminów przesyłania danych. Bren usprawiedliwiał to zachowanie i pozwolił, by uszło Ramirezowi na sucho; powiedział Tabiniemu, że coś takiego zdarza się u ludzi. Chciał uzyskać umowy, które inaczej byłyby zagrożone. Teraz Ramirez znów robił to w otoczeniu, gdzie zagrożone było bezpieczeństwo. Sytuacja była nie do przyjęcia.

Kiedy ochrona wróciła do swojej kwatery, a Bren do swojej, jeszcze raz podszedł do konsoli i wysłał wiadomość do Ramireza, który - wcale go to nie zdziwiło - okazał się nieosiągalny.

- Nie szkodzi - powiedział do C1. - Proszę zapisać wiadomość. "Kapitanie Ramirez, proszę skontaktować się ze mną jak najszybciej, bez względu na porę". Dziękuję, C1.

W ciągu nocy nie nadeszła żadna wiadomość. Żadna.

Zanim rano się ubrał, Bren wywołał C1.

- Chcę rozmawiać z Ramirezem.

- Nie mogę tego zrobić, sir.

- Chcę Ramireza, C1, i to zaraz. Czekalem całą noc. Nie jestem w dobrym nastroju.

- Chwileczkę, sir.

Kilkuminutowa zwłoka: Bren usiadł, włączył komputer, wywołał pliki, drząc w zimnym powietrzu, przed herbata, przed śniadaniem.

- Panie Cameron? Czym mogę służyć, sir?

Inny głos. Kobiety.

Wstał. Odwrócił się do panelu na ścianie.

- Gdzie jest C1?

- Mówi Sabin. O co chodzi, panie Cameron?

- Pani kapitan. - Przyjął spokojny, rozsądny ton. - Dziękuję. Nie mieliśmy jeszcze okazji rozmawiać. Czy ma pani dziś chwilkę?

- Nie na tej wachcie, panie Cameron.

- Pani kapitan Sabin, mówiłem to podczas trzech lat negocjacji: jeśli umowy z atevimi nie zostaną zawarte w pomyślnej godzinie i punktualnie, to wszystkie umowy mogą ulec zmianie, choćby w najmniejszych szczegółach. Przesuwanie terminów nie podlega dyskusji z aijim.

- To nasz pokład, panie Cameron. Będzie pan postępował według naszych zasad.

- Nie, pani kapitan, z całym szacunkiem. Jeśli chce pani, by ten pokład został naprawiony i zaczął funkcjonować, to atewskie zasady mają znaczenie. Jeśli dzisiaj pani nie odpowiada, możemy ustalić sztywny termin? Pojutrze o trzynastej zero zero, w dzień po dzisiejszym?

- Zobaczę się z panem o czternastej zero zero.

- Znakomicie. Tymczasem jeszcze jedna sprawa. Czy mogłaby mi pani ułatwić uzyskanie połączenia z Jasem Grahamem?

- Pan Graham jest członkiem tej załogi i znajduje się pod naszymi rozkazami. Nie ma żadnych obowiązków względem pana czy pańskich urzędów. Dwa dni; pański termin. Będzie pan miał spotkanie ze mną. Jesteśmy umówieni?

- Dwa dni, a ja wciąż będę się domagał kontaktu z Jasem Grahamem, pani kapitan.

- To zaczeka pan w piekle.

- Wątpię, czy potrafi pani stworzyć piekło i dostać to, czego chce, od Tabini-aijiego. My najprawdopodobniej przetrwamy inwazję tych waszych obcych.

- Niech pan na to nie liczy.

- Nie ma potrzeby się sprzeczać, pani kapitan. Zachowajmy energię na nasze spotkanie.

Usłyszał długą ciszę, a potem zduszone słowa:

- Dwa dni i nieustające "nie" na pańską prośbę o kontakt z Grahamem. On nie jest waszym obywatelem.

- Wyłożymy to na stół, pani kapitan. Dziękuję. - Tu się rozłączył, do czego Sabin prawdopodobnie nie była przyzwyczajona, ale nie zamierzał dopuścić, by zgoda rozproszyła się w dalszej dyskusji.

Wcale nie był zadowolony z sytuacji, którą stworzył.

Ubrał się, wciąż w ponurym nastroju, godząc się na pomoc Bindandy dopiero pod koniec. Czekają śniadanie.

Uspokoiwszy nerwy po przyplywie adrenaliny, spowodowanym porannymi negocjacjami, postanowił przestrzegać rutynowych zajęć i ściągnąć pocztę, nie mając pewności, kiedy dowództwo statku straci cierpliwość i odetnie mu łączność po prostu po to, by pokazać, że może to zrobić.

Wcisnął C1, porozmawiał miło z oficerem na służbie i bez żadnych przeszkód odebrał i wysłał wiadomości.

Z kontynentu nadeszła istna lawina osobistych wiadomości od członków legislatury. Przejrzał najbardziej przewidywalne z nich i stwierdził, że są takie, jak się spodziewał - skupione na lokalnych sprawach: różni panowie pytali o swoje rozmaite interesy, wszyscy gratulowali mu przeżycia niebezpiecznego lotu promem, wszyscy interesowali się zyskami dla swoich regionów i przedsiębiorstw.

A zatem wiadomość o jego tu obecności rozeszła się, prawdopodobnie razem z archiwum: wiadomość o całej misji została ujawniona. Mógł już powiedzieć Toby'emu, gdzie jest; mógł powiedzieć rodzinie, że bez względu na sytuację nie może wrócić na wyspę ani w tym, ani w następnym tygodniu.

Była też jednak krótka wiadomość od Toby'ego, który, znając już miejsce pobytu brata, napisał do niego pierwszy.

"Słyszałem, gdzie jesteś; trąbią o tym wszystkie dzienniki... teraz wiem, dlaczego wyjechałeś tak szybko.

Rozmawiałem z mężem Barb. Wydaje się miłym, spokojnym gościem. Barb ma następną operację i wykazuje pewną świadomość otoczenia. Wybacz styl. Piszę,

od dawna nie śpiąc. Jill mówi o separacji. Nie wiem, dlaczego teraz, ale wiem dlaczego w ogóle. Mój przyjazd tutaj wcale nie poprawia sytuacji; rozmawialiśmy o tym w samolocie; powiedziała, żebym dokonał wyboru, a ja nie chcę stracić dzieci, więc jak tylko będę mógł, pojedę na północ i tam zostanę. Nie mogę już tego więcej robić. Mama nie chce mnie słuchać, mówi, że Barb jest dla niej córką i że tak wybrała.

Przed wszystkim nie zamierzam stracić żony i dzieci. Zdobędę samochód, zawiozę mamę do domu, a jeśli wróci do szpitala, to po moim powrocie na lotnisko - a wtedy to już nie będzie mój problem. Przykro mi jak diabli, Bren, ale jeśli Ty już nie możesz, to ja też. Moja żona i dzieci są dla mnie tak samo ważne jak dla Ciebie twoja praca, i chociaż bardzo kocham Ciebie i mamę, mam swoje życie”.

Przeczytał to dwa razy, słysząc głos Toby'ego i wiedząc, jak wiele go kosztowało napisanie tych słów. Usiadł i odpisał.

”Nikommu niczego nie zarzucam. Czuję się głęboko winny z powodu tego, o co prosiłem. Prosiłem i Ciebie, i mamę, żebyście wyłączała i włączała troskę o mnie jak światło, po to, żeby mnie wspierać, kiedy ja usiłowałem stać jednocześnie w obu światach. Teraz jestem na kontynencie i muszę na nim być. Nie mogę zmienić mojej pracy, nie mogę zmienić siebie i obaj wiemy, że nie możemy zmienić pragnienia naszej matki, byśmy obaj wrócili... co, moim zdaniem, boli tym bardziej, że jeden z nas jest stale daleko i zajmuje się sprawami, które ją denerwują. Pokolenia nie mogą się jednak wchłaniać nawzajem. Czas, byśmy obaj przestali się martwić, a to nie jest łatwe, jednak nikt nie może prosić o więcej, niż zrobiłeś. Powiedz mamie, że ją kocham, powiedz jej prawdę, gdzie jestem, że nie ma mowy, bym przyjechał, i że Barb i ja nie mamy wspólnej przyszłości.

Barb wiedziała o tym wcześniej ode mnie. Wychodząc za Paula, zrobiła najlepszą rzecz. Kiedy się o tym dowiedziałem, wściekłem się jak diabli, ale ona zawsze była mądra w takich sprawach i wiedziała lepiej ode mnie, czym się stał nasz związek, czego potrzebuje i że ja ją stopniowo zabijam. Jej zadaniem było zawsze uspokajanie mnie, to nie był zdrowy układ, a po ślubie dalej wiernie starała się to robić, chyba dlatego że wciąż coś nas łączy i troszczymy się o siebie. Nie mogłaby być szczęśliwa, gdybym ja nie był szczęśliwy, a widziała, jak nie podoba mi się małżeństwo... kiedy to ja powiedziałem, że nasze życie zawsze będzie się składało z oderwanych weekendów. Najprostszą prawdą było to, czego nie mogliśmy przeskoczyć: że ona będzie nieszczęśliwa tam, gdzie ja jestem, a ja będę nieszczęśliwy tam, gdzie jest ona, i nic nigdy się na to nie poradzi, ponieważ ja nie wrócę na wyspę, a ona zasługuje na mężczyznę, który będzie trwał przy niej na dobre i na złe, a nie składał lotne wizyty.

Jeśli przyjaźnią się z mamą, nie mam ani prawa, ani ochoty tego niszczyć. Obie potrzebują przyjaźni, szczególnie teraz.

Ale nade wszystko zawdzięczam mojemu bratu więcej, niż potrafię wyrazić. Przez ostatnie dziesięć lat zrobiłeś więcej, niż powinien zrobić jakikolwiek człowiek. Zajmij się teraz Jill i dziećmi, niech oni będą dla Ciebie najważniejsi. Mama jest silniejsza, niż myślisz. A szczególnie nie martw się o mnie: jestem pod dobrą opieką. Zajmij się rodziną, kochaj Jill, zajmij się dziećmi i traktuj odtąd wszelkie moje wiadomości o problemach jako proste wiadomości, a nie prośby o cuda. Tak jak Barb wiesz, co jest dobre i słuszne, a zamiast tego starasz się mnie zadowolić. Zmieniam się. Żadnych żądań więcej. Wysyłani kopię tego mamie. Kocham Was wszystkich. Bren”.

Napisał też do matki:

”Mamo, jestem na stacji kosmicznej. Załączam list, który napisałem do Toby'ego. Zawsze bardzo Cię kocham. Bren”.

Skontaktował się z Cl i wysłał oba listy, zanim mógłby się rozmyślić albo trudności w stosunkach z kapitanami mogły odciąć mu łączność. Starał się nie myśleć, jak odczyta to jego matka i jak bardzo ją to zabolę.

Ale jeden twardy list był lepszy od dziesięcioletniego zbioru drobnych przeprosin, które dawały matce nadzieję, że Bren się zmieni, a Toby'ego i Barb zachęcały do prób zmieniania go. Poszły na to całe lata i teraz była to już przegrana sprawa.

Odnosił wrażenie, że uczucia ma jakby starte papierem ściernym, że niemal krwawia. Za jednym zamachem pożegnał się z matką, bratem, i jedyną ludzką kobietą, która go kochała, a wszystko przed śniadaniem.

Pomyślał, że w sprawie zawodowej i osobistej zrobił dokładnie to, co powinien: przez chwilę rozmowy z Sabin osiągnął zawodowo i fizycznie taki stan nadaktywności, w którym według siebie mógł niemal przechodzić przez ściany, stan, który, jak wiedział, jest niebezpieczny, ponieważ w prawdziwym świecie ściany są prawdziwe. Lecz ryzyko, jakie podejmował, stanowiło cześć jego chwilowej świadomości; swojego stanowiska nie musiał analizować; swoje postępowanie z ich odizolowaną psychiką zaplanował przez trzy lata pracy z Jase i słuchania jego ocen poszczególnych osób. Nie był głupcem. Przerazał sam siebie, ale nie był głupcem, a w każdym razie nie w postępowaniu względem kapitanów.

Gniew kapitanów był jednak prawdziwy i poparty siłą, której - tak - jeśli są inteligentni, nie użyją.

Niejedna bystra osoba została zastrzelona przez głupiego przeciwnika. Żaden z tego pożytek dla przeciwnika, ale bystra osoba i tak nie żyła.

A wstrząsy psychologiczne, które przetoczą się po jego rodzinie... one też były prawdziwe. I nie mógł ich uniknąć. Nie mógł przybyć na Mospheirę. Nie będzie mógł tego zrobić w przyszłości. Będzie coraz gorzej.

Poszedł na śniadanie, wymusił uśmiech dla personelu, przeprosił, i nie czuł lekkości myśli, lecz lekkość ciała.

Wciąż był w tym stanie umysłu, jaki pozwalał mu przechodzić przez ściany.

Personel, który miał go wspierać, zauważył to i wypełniał swoje obowiązki w czujnym milczeniu, a Narani kłaniał się i umiejętnie podawał herbatę oraz poszczególne dania... Bren usiłował powstrzymać śniadaniowe szaleństwa, widząc, że nerwy nie pozwalają żołądkowi się nimi cieszyć, ale przyłączyli się do niego Banichi z Jago i ich apetyty uratowały sytuację.

- Właśnie obraziłem Sabin i powiedziałem matce, że ani ja, ani Toby nie będziemy spełniać w przyszłości jej żądań - oznajmił im - a wszystko to przed śniadaniem. Wyczuwani wokół nas, nadiin, grupę ludzi na tej stacji, usiłujących odgrodzić nas, odgrodzić mospheiran oraz odgrodzić Jase'a... innymi słowami usiłujących utrzymać swoją zwyczajową władzę albo przynajmniej utrzymać swoją osobistą władzę w stosunku do Ramireza. A zgodnie z naszą umową z Ramirezem żadna z tych rzeczy nie powinna mieć miejsca. Musimy naciskać, tylko delikatnie. Myślę, że powinniśmy pójść na krótki spacer, jeżeli uda mi się załatwić, by towarzyszył nam Kaplan-nadi.

- A dokąd mielibyśmy pójść? - zapytał spokojnie Banichi znad cudownie świeżych jajek.

- Chyba zapytam Kaplana - odparł Bren. - Myślę, że powinniśmy obejrzeć miejsce, które mamy dla nich odbudować. Powinniśmy dotrzeć wszędzie. Zeszłej nocy zacząłem pisać sprawozdanie; tego ranka mam same pytania.

- Mamy się uzbroić? - zapytał Banichi.

- Tak - powiedział Bren i dodał: - Ale tylko tak jak zwykle.

15

Kaplan pojawił się wyposażony w swoją elektronikę, sam sobie otworzył drzwi sekcji, oznajmiając swoją obecność brzęczykiem, i po prostu wszedł do środka bez zaproszenia.

Narani uklonił się, ukłonili się służący. Bren zobaczył to wszystko, wychodząc ze swojego pokoju.

Banichi, personel ochrony i Kaplan patrzyli na siebie nawzajem jak wi'itikiin nad jakimś smacznym kąskiem. Drzwi do posterunku ochrony były dyskretnie zamknięte - szczęście nie miało z tym nic wspólnego - Tano i Alginięgo nie było nigdzie widać, a uwagi Brena nie uszedł subtelny ruch głowy rozglądającego się Kaplana; urządzenia elektroniczne przekazywały dane nie tylko do jego okularu.

- Do wyspiarzy, sir? - zapytał.

- Na początek - odparł Bren i wyszedł, pociągając Kaplana za sobą. Banichi i Jago stanowili ich tylną straż w wyblakłych żółtych korytarzach, wyglądających jak przełyk jakiegoś stwora.

Po drodze Bren zasypywał Kaplana pytaniami, częściowo po to, by się czegoś dowiedzieć, a częściowo, by wciągnąć Kaplana do rozmowy:

- Co jest tam na dole? - pytał. - Co tam jest?

- Nie mogę powiedzieć, sir - Kaplan powiedział to samo trzeci czy czwarty raz, tym razem przy stosunkowo dużym skrzyżowaniu w skomplikowanej płataninie korytarzy.

- No to pójdźmy tam i sprawdźmy.

- Nie mogę tam pana zaprowadzić, sir. Nie ma tego na liście.

- Aha - powiedział Bren, unosząc brwi. - Jest jakaś lista.

Stojąc naprzeciwko niego, a także górujących nad nim Banichiego i Jago, Kaplan sprawiał wrażenie bardzo zakłopotanego.

- Możemy zobaczyć tę listę? - zapytał Bren.

- Otrzymuję ją od kierownictwa, sir. Nie mogę jej panu pokazać.

- No cóż - powiedział Bren i ciągnął wesoło w rągi: - Właściwie możemy chyba delikatnie naciskać i zobaczymy, co ustąpi. Kaplan-nadi ogranicza to, co oglądamy, ale nie on wydał taką decyzję. Otrzymuje rozkazy z góry. Co chcielibyście zobaczyć, nadiin?

- Gdzie mieszka załoga? - zapytał Banichi.

- Wspaniała propozycja - rzekł Bren i spojrzał na Kaplana, który wcale nie wyglądał na pewnego siebie. - Nadi, gdzie jest załoga?

- Gdzie jest załoga, sir?

- Co robicie, kiedy nie jesteście na służbie, Kaplan?

- Idziemy do pomieszczenia rekreacyjnego, sir.

- Dobrze. - Do pewnego stopnia, mimo groźnie wyglądającego sprzętu i okularu, Kaplan miał niewinne spojrzenie niemowlęcia. - A zatem chcielibyśmy obejrzeć pomieszczenie rekreacyjne, Kaplan-nadi. A może jest ono na liście rzeczy, których zdecydowanie nie powinniśmy widzieć?

- Lista jest sporządzona odwrotnie, sir. Są na niej miejsca, które możecie oglądać.

- Dobrze. Obejrzymy je więc, a kiedy się zmęczysz, możemy pójść do tego pomieszczenia rekreacyjnego.

- Dobrze, sir. Zapytam o to, jeśli pan chce.

- Może zrobisz to, oprowadzając nas po miejscach, które mamy zobaczyć? Pójdziemy tam.

- Tak jest, sir - mruknął Kaplan, po czym, idąc, przez jakiś czas mówił coś do swojego mikrofonu, posługując się głoskami i półsłówkami. - Sir, trzeba będzie w sprawie tego pomieszczenia zapytać kapitana, a wszyscy...

- Są na spotkaniu.

- Tak, sir.

- No to powiedz, że po prostu odeszliśmy. Nagle bardzo mnie interesuje pomieszczenie rekreacyjne. Chyba potrafimy je znaleźć. Zastrzelisz nas?

- Sir, proszę tego nie robić.

- Nie reagujcie przesadnie - powiedział Bren w rągi - i nade wszystko nie zabijajcie go. To miły człowiek, ale zamierzam od niego odejść, co bardzo go zdenerwuje.

- Tak - odparła Jago. Bren ruszył przed siebie, a jego ochrona szła po przeciwnych stronach korytarza.

Wiele by oddał za oczy w tyle głowy. Wiedział, że Kaplan na pewno go nie zastrzeli.

- Sir? - usłyszał zdenerwowany, wysoki głos Kaplana. A potem niższe: - Sir! Proszę tego nie robić!

Bren przeszedł kilka kroków niczym się nie wyróżniającego korytarza, na którego podłodze widniały liczne rysy prowadzące do drzwi wyglądających na wejście do kolejnej sekcji.

Usłyszał za sobą jakąś szamotaninę i szybko się odwrócił, by zapobiec rozlewowi krwi.

Kaplan nigdzie nie szedł - na jego ręce zacisnęła się potężna dłoń Banichiego.

- Sir!

- On jest przestraszony - przetłumaczył Bren dla atewy. - Puść go, nadi-ji.

Banichi usłuchał. Jago trzymała dłoń na kaburze. Kaplan nie ruszał się, tylko stał, zmartwiony, z oczyma jak spodki, i rozcierał sobie rękę.

- Kaplan - powiedział Bren - jesteś rozsądnym człowiekiem. Co możemy zrobić, by się zabawić, a co nie wiązałoby się z tą twoją listą?

- Porozmawiam z oficerem dyżurnym, sir.

- Dobrze. Zrób to. Powiedz im, że jeżeli mamy naprawić tę stację, musimy ją ocenić. Może pokażesz nam któryś z tych gorszych obszarów?

- Nie mogę, sir. Tam jest zimno. Są zamknięte. - Zerknął w górę na Banichiego i Jago. - Potrzebne są kombinezony, a nanich nic nie pasuje.

- Mamy kombinezony. Moglibyśmy wziąć je z promu. Albo odwiedzić wasz statek. Mamy taki zbudować.

- Zbudować, sir. Tak jest, sir. Musze o to zapytać.

Kaplan zaczął się pocić.

- Daj spokój, Kaplan. Myśl. Daj nam coś wartego zachodu. Nie możemy tu tak stać cały dzień.

- Chce pan zobaczyć teren rekreacyjny, sir. Zapytam. Ale nie możecie tam wejść z bronią, sir.

- Kaplan, orbitujecie wokół atewskiej planety. Nigdy nie będzie takiego miejsca, gdzie ochrona atewskiego pana pojawi się bez broni. A wy naprawdę wolelibyście, by tak się nie stało, ponieważ jeśli kiedykolwiek będziecie mieli tu na górze dwóch atewskich panów bez broni, to będą oni zdenerwowani i mogą zapomnieć o przyzwoitym zachowaniu. Banichi i Jago należą do Gildii Zabójców. Mają swoje zasady. Pilnują, by przed zgłoszeniem kontraktu na któregoś z kapitanów panowie udawali się do Gildii. Myśl o nich jako o osobach, które egzekwują prawo. Na dole znajduje się cała planeta powodów, dzięki którym przez tysiące lat rozwinął się pokojowy sposób załatwiania spraw, i doprawdy nie radziłbym ci wszczynania zmian w tym, co dobrze funkcjonuje. Może poszlibyśmy w jakieś ciekawe miejsce?

- Tak jest, sir, ale jai tak muszę zapytać.

- To pytaj - powiedział Bren i spojrział na zabezpieczony, przezroczysty panel ścienny z mnóstwem przycisków. - Co to takiego?

- Głównie światło i temperatura, sir, i elektryczność, ale proszę nie otwierać tego panelu, sir, niektóre sekcje nie są szczelne, sir.

- Spokojnie - powiedział Bren z dobrodusznym uśmiechem. Zaczął serdecznie lubić Kaplana i żałował swoich rozmyślnych prowokacji. - Chodźmy. Chodźmy do pomieszczenia rekreacyjnego. Jesteś dobrym i bardzo rozsądnym człowiekiem, Kaplan.

- Tak jest, sir - odparł Kaplan, wciąż dysząc. - Tylko zapytam.

Kaplan był bardzo obowiązkowy. Włączył mikrofon i rzeczywiście żarliwie zapytał, znów posługując się głoskami i liczbami, a na koniec wysłuchał poleceń, wściekle kiwając głową.

- Tak jest, sir - powiedział wreszcie. - Mówią, że dobrze, możecie iść do pomieszczenia rekreacyjnego.

- No to chodźmy. A macie stołówkę? Mesę? Możemy je zobaczyć?

- To jest na liście, sir. - W głosie Kapłana było słychać wielką ulgę.

- Dobrze. Banichi, Jago, Kapłan-nadi nas poprowadzi. To uprzejmy gość i jestem pewien, że nie chce sprawiać żadnych kłopotów. Wydaje się osobą o dobrym charakterze i wielkiej gorliwości.

- Kapłan-nadi - rzekł Banichi swoim głębokim głosem i z miłym wyrazem twarzy. - Ateva chciałby wiedzieć, co przekazuje swoim oficerom.

- Banichi chce wiedzieć, co widzisz i wysyłasz - powiedział Bren. - Moją ochronę interesują takie rzeczy.

- Nie mogę tego zrobić - odparł Kapłan, od razu spięty.

- Postawić ci drinka? - zapytał Bren. - Skoro masz być moim pomocnikiem, powinniśmy porozmawiać.

- Nie jestem pańskim pomocnikiem, sir. I nie mogę rozmawiać, sir. Nie wolno mi.

- Naprawdę? To mogę o ciebie poprosić. Będę kogoś potrzebował podczas pobytu na stacji. Jesteś żonaty?

- Żonaty... sir, nie, sir. - Nerwowość Kapłana tylko wzrosła.

- A gdzie mieszkasz?

- 238C, sir.

- To pokój?

- Tak jest, sir.

- Sam? - zapytał Bren.

- Dwa i dwa, sir, dwie zmiany.

- Na tej całej wielkiej stacji? Mieszkacie po dwie osoby?

- Na statku mieliśmy więcej miejsca - wyjaśnił Kapłan. - Ale na statku trwają prace.

- Jakże?

- Głównie przy kadłubie.

- Uszkodzenia?

- Po prostu starość, sir, duża ablacja. A kiedy statek jest wyłączony, niełatwo być na pokładzie; trudno się dostać do wielu miejsc przy zerowej grawitacji, sir. Widzi pan te uchwyty? Niezbyt przydatne na stacji, ale na statku bardzo pomocne, jeśli trzeba się czołgać.

Zgadzało się to z tym, co wiedział od Jase'a. Bren wciąż pytał o różne sprawy, chcąc je potwierdzić, a tymczasem przemierzali kolejne korytarze i zakręty, czasami zjeżdżali gdzieś na dół, a żadne miejsce nie odróżniało się od innych, poza rozmieszczonymi gdzieś na ścianach panelami. Był to przerażający, ogłuszający dźwięk ciągłej monotonii.

Stanęli w korytarzu z jednymi otwartymi drzwiami.

- To jest pomieszczenie rekreacyjne, sir - oznajmił Kapłan i wprowadził ich do średnio dużego pokoju z zygzakowatą wewnętrzną ścianą - Bren już wiedział, że to ze względów bezpieczeństwa - oraz garstką ludzi. Na wystrój składało się kilkanaście wyblakłych krzeseł obrotowych z niebieskiego plastiku, przymocowanych do podłogi przy przytwierdzonych do ścian zielonych stolikach z opuszczanymi blatami. Najdziwniejsza z tego wszystkiego była ozdoba, pojedynczy błękitny pasek biegnący wokół ścian. Oprócz paska znajdowała się tam jeszcze tablica ogłoszeń z kilkoma notatkami przytrzymywanymi przez magnesy.

Załoga, niewątpliwie uprzedzona, podniosła się uroczyście na ich widok.

- Panowie, panie. - Bren minął Kapłana, przeszedł się wzdłuż ścian, uważnie obserwując reakcję załogi na Banichiego i Jago... strach i ciekawość zarazem. Załoganci chcieli się gapić, ale usiłowali tego nie robić. - Dzień dobry - powiedział Bren, ściągając na siebie nerwowe, pośpieszne spojrzenia.

- Nazywam się Bren Cameron i jestem wysłannikiem aijiego w Shejidan. To jest Banichi, przełożony mojej ochrony, i jego partnerka Jago, nie mają innych imion. Myślcie o nich jak o policji. Miło mi państwa poznać.

- Tak jest, sir - Takie słowa wyszły tu z użycia. Bren stanowił anachronizm - lub ich przyszłość.

- Wydaje się, że zawarliśmy umowę - rzekł, ciekawy, jak daleko docierają wieści. - Będziemy tu budować. Zgodnie z tą umową Mospheira dostarczy wam wszystkich planetarnych wygód, od soku owocowego i hot dogów do poduszek na krzesła. Jase Graham. Znaście to nazwisko?

Znali, chociaż w ich odpowiedzi nie dało się usłyszeć jednego wyraźnego słowa. Kobiety i mężczyźni patrzyli na Brena szeroko otwartymi oczyma, tak jak Kaplan.

Bren mógłby się założyć, że to miejsce zostało oczyszczone ze wszystkich, którzy nie znajdowali się na liście.

- Jase jest moim przyjacielem. Przyjacielem. Może słyszeliście - albo jeszcze usłyszycie - że nie da się tego mówić o atevich, że oni funkcjonują zupełnie inaczej. To prawda. Ale nie znaczy to, że nie można z nimi współpracować i że nie są bardzo zacnymi osobami. Trzeba wchodzić z nimi w patronaty. Na przykład, jeśli dobrze się wam ułoży ze mną, to będziecie mieli pewność, że ułoży się z moją ochroną, moim personelem, moimi towarzyszami i wszystkimi, z którymi dobrze mi się układa. Nie ma czegoś takiego jak jeden ateva. To naprawdę łatwe, jeśli zapytacie atevich, co myślą o atevie, względem którego chcecie być uprzejmi. Miło mi was wszystkich poznać. Moja ochrona też się cieszy, że was poznała, nikt nie będzie do nikogo strzelał. Nie przejmujcie się, że się nie uśmiechają. Uśmiechanie się do nieznanym jest niegrzeczne. Kaplan.

- Sir!

- Przedstaw nas, jeśli laska.

- Tak jest, sir - odparł Kaplan, po czym zaczął poważnie wymieniać wszystkie nazwiska, stanowiska pracy i rangi: byli tam Johnsonowie, Pittsowie i członkowie rodziny Alugich, po jednym Shumannie, Kalmodzie i Hollowayu, a także Lewis i Kanchatkan, których to nazwisk Bren nigdy przedtem nie słyszał. Byli to technicy i pracownicy obsługi, wszyscy młodzi, oprócz jednego mężczyzny, mistrza mechanika.

- Miło mi poznać - mówił Bren i chodził między ludźmi, potrząsając ich dłońmi. - Moi ochroniarze nie podają rąk. Nasza kultura jest dla nich obca. Uważają, że jest wamyślna liczba i gratulują wam tego; uznali was za pomyslnie zgrupowanie. Sądzę, że w waszej bibliotece znajduje się plik na temat protokołu rozmów z atevami: wiem, iż przekazałem go parę lat temu, i mam nadzieję, że został rozpowszechniony.

Nie, nie został. Widział to po spojrzeniach ludzi. I wcale nie był zaskoczony.

- Mam nadzieję, że skoro będą tu pracować atevi, jak najszybciej się z nim zapoznacie. I nie uznawajcie też całkowicie za pewnik postępowania ludzi z planety. Z waszego punktu widzenia są oni bardzo odmienni, a słowa nie mają zupełnie takich samych znaczeń; ja sam urodziłem się na wyspie i mogę powiedzieć, że wcale nie mówicie jak mospheiranie. Jakie tu macie rozrywki?

- Gry, sir - odezwał się starszy załogant. - Pliki rozrywkowe.

- Kości - dorzucił ktoś inny.

Jase mówił, że mało jest okazji do rozrywki. Był ogromnie zaniepokojony dużą dawką bodźców, migającymi cieniami, każdym zjawiskiem, które wydawało się niekontrolowane: stanięcie na pokładzie łodzi unoszącej się na falach oceanu pod burzowym niebem wykraczało daleko poza ramy jego wychowania, było aktem odwagi, który Bren zrozumiał dopiero na widok tej rozrywkowej sterylności.

- Jase'owi podobał się pobyt na planecie; nauczył się paru nowych gier. Wiem, że wysłał na górę zapis filmowy.

Nie dotarł do ogółu załogi. Nierozumiejące spojrzenia, cisza.

- Zdecydowanie musimy pomówić o sytuacji importowej - powiedział Bren, mając przed oczyma obraz, który naprawdę coraz mniej mu się podobał. - Jestem pewien, że mospheiranie mają do zaoferowania mnóstwo rzeczy, które znajdują u was uznanie. - Może oprócz całej koncepcji handlu; wyglądało na to, że wcale jej nie rozumieją na osobistym poziomie. - Będziecie musieli przyzwycząić się

do mnóstwa rzeczy, między innymi do spotykania osób nie znajdujących się pod rozkazami waszych kapitanów, ale mówiących waszym językiem, choć rozumiejących go zupełnie inaczej. Nie mających nic przeciwko temu, by otaczające ich powierzchnie poruszały się, a światła błyskały do osób nawet lubiących to uczucie. - Spojrzenia stały się nieco przerażone. - Z drugiej strony, będziemy głównie zajmować się budową: unowocześnianiem stacji, dostarczaniem paliwa, materiałów i podobnych rzeczy. Jak rozumiemy, napotkaliście w dalekiej przestrzeni kosmicznej jakiś problem. Jesteśmy przyzwyczajeni do radzenia sobie z obcymi. Mamy nadzieję, że rozwiążemy waszą trudność.

To w końcu potrafiło jakąś strunę. Było to coś, co rozumieli... i w co nie wierzyli.

- Tak jest, sir - powiedział mężczyzna nazwiskiem Lewis. Bren nie zapomniał, nie zamierzał zapomnieć ani jednego nazwiska.

- Rozmawialiście z Jase'm po jego powrocie? - zapytał.

- Nie, sir - odpowiedział ktoś, a reszta pokręciła głowami.

- Ciekawe - stwierdził Bren i poczuł niepokój w związku z tym miejscem, załogą i całą sytuacją. - Ale znacie go.

- Tak jest, sir. - Chyba mówili po kolei. Albo, tak jak Kaplan, wszyscy byli okablowani i otrzymywali odpowiedzi skądinąd.

- Kaplan - powiedział Bren.

- Sir!

- Może pójdziemy do mospheirskiej delegacji, a potem do mesy?

- Są w tej samej sekcji, sir.

- To dobrze. Pójdziemy?

- Tak jest, sir.

- Czy ktoś z was chciałby się przejść z nami? - zapytał.

- Musimy wracać na służbę - powiedział ktoś z załogi.

- Oczywiście. Życzę wszystkim miłego dnia. Mam nadzieję, że będziemy się jeszcze spotykać. - Bren uśmiechnął się i wyszedł, mówiąc wciąż w rągi i x uśmiechem: - Prawdopodobnie umieszczono ich tu specjalnie dla nas. Nie widzieli Jase'a ani żadnych plików o atevich, które przesłaliśmy na górę.

- Ateva zadaje sobie pytanie: Dlaczego? - powiedział Banichi.

- Właśnie. Kaplan, czego boją się ci ludzie?

- Obcych, sir.

- Banichi i Jago to nie obcy. Obcy to ty i ja. To poniżej to ich planeta.

- Tak jest, sir. - Kaplan nie wyglądał na uspokojonego. Bren też nie był spokojny, jeśli chodzi o statek.

- Walczyłeś kiedyś? - zapytał Bren.

- Sir?

- Czy musiałeś kiedyś walczyć, naprawdę z kimś się bić?

- Nie, sir.

- Czy ktokolwiek na tym statku brał udział w jakiejś walce?

- Chyba nie, sir, no, może kilka utarczek między nami, ale nie na zewnątrz, sir.

Powiedział to człowiek obładowany sprzętem do odnajdywania kierunku, nagrywania i obrony, człowiek, który wyglądał jak chodzący posterunek szpiegowski.

- Bren.

- Sir?

- Mam na imię Bren. Możesz mnie tak nazywać. W sytuacjach formalnych powinno to brzmieć "Brennandi", ale na wyspie mówi się do mnie "panie Cameron". Czy do ciebie mówi się "Kaplan"? - Na każdym mundurze były wyhaftowane nazwiska, a wszyscy chodzili w identycznych mundurach. Jase'a przerażały różne powierzchnie. Przerażały go różnice. Bren zauważył teraz, że wszystko na stacji jest w jednym kolorze, że mundury są do siebie podobne; fryzury były raczej do siebie podobne, ale nie jednakowe... jeden rozmiar pasował na wszystkich i trzeba było wyćwiczyć sobie oko, by dostrzegać subtelniejsze

różnice, prawdopodobnie dość wyraźne dla kogoś, kto znał mowę ciała każdego członka załogi. Bren sądził, że Kaplan potrafi rozpoznać człowieka z tyłu i z daleka na jednym z tych dziwnie zakrzywionych korytarzy, i że on sam jest stosunkowo upośledzony, ponieważ tego nie potrafi. Różnica, którą uosabiał, z pewnością jest wstrząsająca; podobnie w przypadku mospheiran; a o atevich załoga musi pewnie myśleć jak o nowym gatunku: zdolność pojmowania wzorów i rozpoznawania pojedynczych osób została całkowicie zalana falą danych; ludzie nie wiedzieli, co stanowi istotną różnicę.

Trzy lata na zbudowanie promu?

Trzy lata na dostosowanie Jase'a, który się starał, do sposobu życia atevich?

Największym wyzwaniem przy pracach konstrukcyjnych nie będą sprawy inżynierskie. Będzie nim psychologia osób na ziemi, które z różnych powodów nie chcą nic rozumieć; patologia osób mających kłopoty z własnym systemem rozpoznawania; patologia tutejszej społeczności ludzkiej, zamkniętej w ścianach stacji i uwrażliwionej na wąski zakres subtelnych wrażeń i sygnałów.

Bren czuł niepokój z powodu Jase'a. Przeciagająca się, chroniona nieobecność Jase'a nie dawała mu spokoju i Bren naciskał mocniej. Znał swoją własną wrogość w stosunku do tych ludzi zachowujących się wrogo - czy ośmieli się pomyśleć, że on sam stanowi część problemu?

Zanim dotarli do mospheiran, zanim strażnicy ich wpuścili (przynajmniej bez pytania) - chyba tylko dzięki obecności Kaplana - odbyli dość długi spacer przez nieoznaczony, nie ponumerowany teren. Weszli do małej enklawy, wzbudzając zaciekawienie Lunda i Feldmana, którzy wyszli z oddzielnych pokoi.

- Chodźcie się czegoś napić - zaproponował Bren. - Na koszt stołówki.

Lund i Feldman wlepili w niego wzrok. Pokazały się Kroger i Shugart, równie podejrzliwe.

- Nasi gospodarze są wrogo nastawieni - powiedział Bren wesoło w rągi, wykorzystując proste słownictwo dostępne tłumaczom, i Feldman z Shugart zdradzili się z szybko ukrytym zmieszaniem.

- Dobry pomysł - stwierdził Feldman przytomnie. - Powinniśmy pójść.

- Akurat - rzekła Kroger. - Co knujesz?

- Posłuchajcie go, nadiin - odezwała się Jago. Kaplan przenosił wzrok z Kroger na Brena i z powrotem.

- Kaplan - powiedział Bren, kładąc poufale dłoń na okablowanym ramieniu mężczyzny. - Kaplan, mój przyjacielu, czy jest tu jakiś bar?

- Jest.

- Czy znajduje się on na liście?

- Tak jest, sir.

- No to chodźmy tam wszyscy i napijmy się czegoś. - Kaplan zaczął protestować, więc Bren wzmocnił uścisk. - Och, nie bądź fujara. Chodź z nami. Odpręż się. Pokaż nam ten bar.

- Sir, ja nie mogę pić na służbie.

- Boję się, z czego to jest zrobione - powiedział Bren, nie zwracając uwagi na słowa Kaplana, i naciskiem dłoni zmusił go do obrotu. - Ale wystarczająco dużo przeszedłem bez drinka.

- Brzmi nieźle - stwierdził Lund, ale Kroger marszczyła brwi.

- Feldman, zostaniesz - zarządziła. - Dobra, Cameron. Mam nadzieję, że jest jakiś powód.

- Doskonały powód. Kaplan, czy istnieje jakakolwiek możliwość uwolnienia Jase'a, żeby mógł do nas dołączyć?

- Nie sądzę, sir. Jest z kapitanami.

- No, chodźcie, chodźcie. Żałuję, Feldman.

- Tak, sir - odparł oszołomiony Ben.

Przynajmniej Kroger nie pozbawiła grupy barowej obojga tłumaczy. I zostawiła ochronę.

Minęli strażników. Kolejny, tym razem krótki spacer, i rzeczywiście znaleźli się w niewielkim barze, dla mospheiran najzwyczajniejszym miejscu na

świecie, o którym Bren pomyślał dopiero wtedy, gdy znalazł się wśród przedstawicieli własnego gatunku, a z pewnością jednym z najbardziej zdu-
miewających miejsc na świecie dla Banichiego i Jago. Panował w nim półmrok,
pachniało lekko alkoholem, na ściennej konsoli wyświetlano stary film, a
wszystkie oczy zwróciły się na nich.

- To jest miejsce - wyjaśnił Bren w ragi - gdzie ludzie spotykają się,
by spożywać alkohol, rozmawiać i grać. Mimo rozluźnienia zasad, a może
właśnie dlatego, nie popiera się tu wrogich wystąpień. Zastępuje to salon.
Można tu siedzieć i rozmawiać, pijąc. Porozmawiajcie z młodą paidhi, kiedy ja
będę rozmawiał z Lundem i Kroger; dowiedzcie się, co ona wie, powiedzcie jej
uczciwie o naszych niepokojach i doradźcie, jak ma to dyskretnie przekazać
swoim przełożonym. Podczas rozmowy można, a nawet trzeba, opierać się na
ladzie, przy której podawane są drinki.

- Ateva spróbuje - rzekł Banichi.

- Shugart - powiedział Bren - idź poćwiczyć z nimi tłumaczenie, ale bez
nazwisk.

- Bez nazwisk. - To słowo było w ragi trudne.

- Lund - mówił dalej Ben, obejmując delegata z Biura Handlu. - Czego
się napijesz? A ważniejsze, co tu mają, Kaplan? Pewnie wódkę.

- Jest wódka - potwierdził Kaplan. - Jest wódka i wódka smakowa.

- Nie jestem zdziwiony. Czy jest coś, czego nie da się przerobić na
wódkę?

- Nie wiem, sir - odparł Kaplan. Okular lśnił w nikłym oświetleniu. Ni-
estety, lśniły też oczy atevich, tak złociste jak czerwony był okular
Kapłana. Zjawisko to przyciągało nerwowe spojrzenia jedyne barmana i pięciu
mężczyzn siedzących przy stoliku. Spojrzenia nie były nachalne i niezbyt
przyjazne.

- Czy ktoś tu zna Jase'a Grahama? - zapytał głośno Bren. Jeżeli był tu
ktoś, kto go nie znał, to się nie ujawnił, ale nikt też nie podskoczył z
okrzykiem, że go zna. - Mój przyjaciel. Zagubił się gdzieś na pokładzie.

- Zdaje sprawę kapitanom, sir - powiedział półgłosem Kaplan.

- Wiem, że tak mówisz. Proszę. Siadaj.

- Nie mogę...

- Nie możesz usiąść? Wydajesz mi się zupełnie do tego zdolny.

- Tak jest, sir, ale nie mogę pić.

- Możesz się napić czegoś bez alkoholu; zakładam, że podają tu coś
takiego.

- Tak, sir - powiedział Kaplan. Usiedli. Barman podszedł do nich tak,
jakby zbliżał się do wrogo nastawionych wariatów. - Woda gazowana.

- Jakie smaki ma wódka?

- Jest cytrynowa i paprykowa.

- Chyba nie będę eksperymentować - stwierdziła Kroger. - Poproszę
czystą. Z lodem.

- Brzmi jak dobra rada - rzekł Bren. - Czystą.

Cytryna była przyprawą; historycznie była owocem, ale nie znalazła się
na pokładzie "Feniksa"; papryka rosła głównie na kontynencie, ale występowała
też na Mospheirze. Była to kwestia ciekawości, ale nie wtedy, gdy chciało się
zdobyć informacje. Żadnych nowych smaków.

Barman przyjął zamówienia. Banichi i Jago rozmawiali w ragi z oszołomi-
oną młodą tłumaczką. Po chwili drinki zostały podane; ludzie z planety
łyknęli wódki, a ich strażnik pił wodę gazowaną.

- Kaplan nas oprowadza - powiedział Bren ze swoim najmocniejszym
mospheirskim akcentem. - Tak naprawdę chcieliśmy to zrobić z Jasem, którego
nie można znaleźć. Dostałem połączenie z kontynentem i wysłałem też wiadomość
na Mospheirę; Tabini-aiji jest dość zadowolony i mam nadzieję, że prezydent
również.

- Też wysłaliśmy wiadomość - przyznała Kroger, nie odrywając wzroku od swojego kieliszka i palców. - Chcemy opracować kilka liczb. Właściwie już to robimy.

- Ja też - oznajmił Bren.

Zaczęli rozmawiać o szczegółach; Kaplan sączył swoją wodę, a wódka pracowała nad ich układami nerwowymi. Kroger nieco się w końcu odprężyła; Lund zupełnie się rozweselił; Bren nie miał pewności, czy któreś z nich zrozumiało ostrzeżenie o zniknięciu Jase'a, ale wierzył, że Banichi i Jago przenikają przez barierę językową. Usłyszał nerwowy śmiech Shugart, zobaczył, jak pochyla głowę, okropnie czymś zawstydzona, a potem i Banichi, i Jago, roześmieli się, co było pocieszające.

Wtedy atmosfera w całym barze oczyściła się. Do rozmowy Banichiego, Jago i Kate Shugart zaczął włączać się barman, wspominając coś o telewizji. Najpierw zmienił program i wcisnął kilka guzików, a potem, kiedy przy stoliku Brena toczyła się rozmowa o interesach, Banichi i Jago przyglądali się guzikom; Shugart tłumaczyła i sama też się im przyglądała.

Kiedy po dwóch drinkach zostały w zgodzie wymienione liczby i opinie, Bren, zdecydowanie bardziej odprężony niż przedtem, zakończył wizytę.

- No dobrze, lepiej wracajmy do swoich kwater - powiedział - i zobaczmy, czy będziemy mieli kaca.

- Nie wydaje się taka zła - zauważył Lund, który wypił trzy kieliszki.

- Jednak chodźmy - zgodziła się Kroger.

- Ale powinniśmy się oficjalnie przywitać - stwierdził Bren. Może to była wódka, ale kierował się względami reklamowymi, jako że sprawy przy barze szły tak dobrze. Podszedł do drugiego stolika i polecił Kaplanowi przedstawić siebie i innych, łącznie z Banichim i Jago, którzy nie wypowiedzieli jeszcze ani jednego słowa w mospheiranie i podeszli do pięciu członków załogi z nietypowymi dla siebie uśmiechami.

- Miło mi was poznać - powiedział Bren i przeprowadził większość rytuału po raz drugi z barmanem, który miał na imię Jeff i pokazał im działanie systemu rozrywki.

- Czy oni widzą w ciemności? - zapytał potem Jeff, zapewne z powodu lśnienia atewskich oczu.

- Trochę lepiej niż my o zmroku - odparł. Jako człowiek wiedział, jak osoby widzące w mroku wzbudzają ludzki strach... a potem przypomniał sobie, że Jeff nie ma instynktownego zrozumienia pojęcia zmroku. Zmierzch i świt nie były lepsze. - Jak tutaj - poprawił się. - Mimo że dobrze się znamy, nie jestem pewien zakresu barw; chyba nigdy nie zostało to przebadane naukowo. Ale różnica nie jest aż tak wielka.

- Hmm - mruknął z namysłem Jeff, a Bren wygłosił uprzejme formułki, zebrał swoją grupkę i wyszedł na korytarz; Lund trochę się ociągał. Wszyscy byli zadowoleni, nawet Kroger się zarumieniła.

- No, chyba czas wracać do naszych sekcji - powiedział Bren. - Może wpadniecie jutro? Możemy dać wam coś więcej, niż proponuje stołówka. Muszę uprzedzić personel, ale dostawienie kilku dodatkowych nakryć nie stwarza większych trudności.

- Nie wiem - rzekła Kroger.

- Wszystko, byle nie tutejsze jedzenie - stwierdził Lund, po czym zerknął na Kaplana. - Przepraszam.

- Wszystko, co przywiózł mój personel, odpowiada ludzkim gustom - powiedział Bren. - Kaplan, możesz ich przyprowadzić jutro na kolację o, powiedzmy, osiemnastej zero zero czasu miejscowego? Ty też będziesz mile widziany. Zaplanuj sobie kolację z nami.

- Nie mogę, sir, nie na służbie.

- Twoja służba to zawada.

- Tak jest, sir. Muszę ją jednak pełnić.

- Na jedno wychodzi. Możesz dostać filiżankę herbaty i kilka wafelków. Wszechświat się od tego nie skończy.

- Osiemnasta zero zero - powiedziała Kroger.
- Jeśli przeżyjemy kaca - rzekł Bren. - Prowadź, Kaplan. Pokaż nam drogę.

16

Człowiek przeprosza, nadiin-ji, za dziwne zachowanie - powiedział Bren, kiedy spotkali się - on, Banichi i Jago - z personelem; Tano i Algini słuchali z zainteresowaniem, stojąc w drzwiach pokoju ochrony.

- To było dziwne miejsce - zauważył Banichi.
- Istotnie - zgodziła się Jago. - Mogliśmy jednak powiedzieć Kate-ji o sytuacji.
- Słyszałem śmiech.
- Powiedziała, że jest zagrożoną rybą, a potem, że jesteśmy trzema rozkochanymi mężczyznami.

Bren musiał się uśmiechnąć, chociaż wódka nie pomogła na ból głowy wywołany suchym powietrzem. Rano próbował inhalacji, w barze zażył lek na ból głowy, a mimo to wciąż czuł o wiele za dużą suchość, czego wypita wódka wcale nie łagodziła.

- Stosunki z Kroger i Lundem są zdecydowanie lepsze, choć nie sądzę, byśmy rozumieli się o wiele lepiej niż wy z Shugart. Wokół nas jest za dużo obaw i strachu przed obcymi. Nie wiem, czy załoga martwi się bardziej wami czy mospheiranami. Chyba zaczyna rozumieć, że mospheiranie nie są tacy sami jak załoga.

- Ci ludzie nigdy nawet nie spotkali się z innymi ludźmi - rzekła Jago.
- Jasi-ji przestraszył się, kiedy pierwszy raz zobaczył, jak duże jest Sheji-dan.

- Jase'a przerażało mnóstwo rzeczy, ale szybko się uczył - odezwał się Tano. - Czy są jakieś wieści o jego samopoczuciu, nadiin-ji?

- Nic, co by nas zadowoliło - odparł Bren. - Zawsze mówią, że jest z kapitanami. Twierdzą, że nie ma już związków z dworem aijiego: chcą przejąć nad nim władzę, a ja nie chcę do tego dopuścić. Aiji też nie zechce. Co powiedziała Kate, nadiin?

- Że Kroger-nadi na początku była bardzo zła - powiedział Banichi - i że wciąż jest zła z powodu archiwum, ateva jednak sądzi, że już się z tym pogodziła i cieszy się z umowy, która może przynieść jej uznanie. Kate mówi, że wszyscy porozumiewają się z przekonaniem, że są obserwowani. Ateva wątpi, by mieli w tym jakieś wysokie umiejętności, z tego co słyszałem, ale w najbardziej drażliwych kwestiach politycznych starają się być dyskretni.

- Tłumacze uważają, że są dopuszczani do tych dyskusji?

- Tak, ale z niewielkimi możliwościami udziału. Kate powiedziała, że wszystkim podoba się pomysł, by atevi pozyskiwali surowce i budowali; sądzą, że mogą zainteresować przedsiębiorstwa handlowe działalnością na orbicie, ale martwią się utratą wszelkiej wytwórczej inicjatywy gospodarczej na rzecz kontynentu.

- A więc tłumaczka radziła sobie bardzo dobrze.

- Robi straszliwe błędy - powiedziała Jago - ale w jej zachowaniu widać dobrą wolę i uprzejmość. Stara się nikogo nie urazić.

- Mimo nazwania nas szlachetnymi złodziejami - dodał Banichi.

- Wybaczcie jej.

Jego ochrona była rozbawiona. Słowa na oznaczenie zabójcy i złodzieja były podobne, a dawne słowa na oznaczenie szlachetnego i Gildii jeszcze podobniejsze.

- Może i jesteśmy szlachetnymi złodziejami. Może moglibyśmy wykraść naszego towarzysza, kiedy będziemy wracać. Może ukradniemy całą wytwórczość.

- Zamierzam zrobić to pierwsze. Nie drugie. Lek. Elektronika. Rafinacja. Produkcja żywności na orbicie. Możemy oznaczyć powiązane dziedziny. Zasady są dobrze określone, niczego nie musimy wymyślać.

- Jeszcze nie zlikwidowali swojej obrony - powiedział Banichi - i nie ufają. Ateva musi zapytać, nandi, jak daleko powinno się z nimi posuwać albo w zaufaniu, albo w pozwalaniu na niestosowne ruchy.

Poważne pytanie. Bardzo poważne pytanie.

- Bierzcie przykład ze mnie. Jeśli kogoś uderzę, nie powstrzymujcie się przed niczym. Ja jednak dość lubię Kaplana.

"Lubić" odnosiło się do sałatek; był to ich stary dowcip, ale Banichi i Jago dość dobrze rozumieli, że to słowo określa stan przelotnego przywiązania, wytwarzającego się między ludźmi i mogącego się zmienić pod wpływem jakiegoś kaprysu z godziny na godzinę... kiedy dla atevich takie zmiany stanowiły emocjonalne, patronackie i życiowe trzęsienia ziemi.

Mogą przynajmniej wiedzieć, jak on widzi sytuację.

- Dość lubię też Lunda i Feldmana - dodał Bren. - Shu-gait jest... Shugart jest w porządku. Nawet Kroger zyskuje przy poznaniu. Mieliśmy niedobry początek, podczas lotu na kontynent. Myślę, że jest powiązana z Dziedzictwem, ale za sprytna na nie, za sprytna, by kłaniać się przywódcom tej partii, zbyt dobrze wykształcona w swej dziedzinie, zbyt rozsądna, by przełknąć to, co mówią. Myślę, że zobaczyła, jak mogą wyglądać stosunki między naszymi rasami, i nie przedstawi twardogłowym w jej partii sprawozdania, które bardzo im się spodoba. Z przyczyn politycznych oni chcą w nas widzieć wrogów, chcą dla siebie całej stacji, a moim zdaniem ona się im nie przysłuży. Moim zdaniem jest uczciwa. Myślę, że widzi Partię Dziedzictwa jako środek do zdobycia połowy tego, czego sama pragnie, co jest i tak lepsze niż ci, którzy w ogóle woleliby nie myśleć o kosmosie; ale moim zdaniem, jeśli widzi sposób na umieszczenie mospheiran tu, na górze, nie oddając się bezpośrednio pod rozkazy Gildii, spełnia to większość jej pragnień.

- Ateva sądzi, że Kroger jest aijim w tej grupie - powiedziała z namysłem Jago. - A zatem prawdziwa aiji.

- Wciąż nie mam pewności, jaką władzą dysponuje Lund. Prawdopodobnie ma te same ciągoty do przywództwa. Być może nawet sam należy do Dziedzictwa i wcale się z tym nie obnosi - w jego departamencie roi się od członków tej partii, ale on sprawia wrażenie, że o wiele lepiej radzi sobie z innymi ludźmi. Kroger jest przywódczynią w tym sensie, że forsuje swoją wolę, a jej man'chi nie jest związane z tymi, którzy sądzą, że są jej przywódcami. Ma kolce, nie lubi tego co obce, ale ma także mózg i myślę - mam nadzieję - że używała go przez ostatnie kilka dni. Zaczynam darzyć Kroger szacunkiem, choć niechętnie. Mam nadzieję, że będzie tak dalej.

- Ateva też - rzekł Banichi.

- Jutro wieczorem kolacja; następnego popołudnia spotkanie z Sabin; człowiek ma nadzieję, że skontaktujemy się z Jasem. Niezły plon jednego dnia.

- Czy Tano i Algini mają ci towarzyszyć dziś przy kolacji? - zapytał Banichi.

- Oczywiście.

Nie miał nic przeciwko temu, by jego personel zmieniał się przy luksusach formalnego stołu oraz dań serwowanych w najlepszym momencie; co więcej, uznawał to za okazję do dostarczenia tej młodszej parze większej liczby szczegółów i dania Banichiemu i Jago chwili wytchnienia, czasu na naradę czy na długą, przyjemną kąpiel... cokolwiek chcieliby robić. Przez ostatnie dni mało spali; wciąż nie miał bladego pojęcia, czy w tym partnerstwie dzieje się coś osobistego.

Nie było też zazdrości. Obojgu zawdzięczał życie i zdrowie psychiczne.

- Ateva się przebierze - powiedział Tano i skinął głową; ta sprawa została załatwiona.

Bren też poszedł zmienić koszulę... To, że świeżo wyprasowane koszule pojawiały się na czas, było cudem, rodem z pokoju służby, ale przyjmował je z wdzięcznością - drobny przywilej stanowiska - i pozwalał Naraniemu na ciche zadowolenie z małych cudów.

Zapiął guziki, włączył komputer, odebrał wiadomości.

Była jedna i krótka, od Toby'ego:

"Bren, Jill i dzieci zniknęli. Nie mogę ich znaleźć".

Uderzył dłonią w konsolę na ścianie i zrobił w niej wgłębienie.

- Nadi? - usłyszał pełen niepokoju, niewinny głos Sabiso. Wztał się w garść i z formalną uprzejmością odwrócił do niej.

- Trudność, Sabiso-ji, drobna trudność.

Z pewnością zauważyła wgniecioną konsolę. Ociągała się z wyjściem.

- Mam zawołać Jago, nandi?

- Nie - odpowiedział łagodnie. - Nie ma potrzeby.

Chciał przebić pięścią ścianę, ale złamana ręka nie pomoże sytuacji zdążającej spirala na dno. Nie chciał niepokoić Sabiso. Nie chciał wyjaśniać sytuacji swojej ochronie.

Był wściekły na brata, nawet nie wiedział, dlaczego znalazł się na krawędzi nieracjonalności.

To nie jest racjonalne. Wcale nie jest racjonalne. Ani profesjonalne - takie uszkodzenie ściennej konsoli. Cholernie głupio tak zostawiać ślady braku opanowania. To nie w jego stylu. Nagromadzony stres. Krótkie terminy. Rozczarowania związane ze stanowiskiem.

Podszedł do toaletki i usiłował uspokoić się za pomocą zimnej wody - frustrującej zawartości jednej dłoni, którą udało mu się wydoić z cholernego sprężynowego kurka.

Sabiso wciąż nie wychodziła z pokoju, nie zamierzając zostawić szaleńca samemu sobie.

- Możesz się nie martwić, Sabiso-ji. Zajmij się, proszę, swoimi obowiązkami.

- Tak, nandi. - Wyszła, uspokojona. Spodziewał się, że za chwilę ujrzy Jago.

Dlaczego chciał udusić brata? Co takiego, do diabła, w całkowicie rozsądnej wiadomości Toby'ego o jego osobistym zmartwieniu sprawiło, że Bren wgniótł konsolę?

Prosta odpowiedź. Dopiero co Toby poprosił Brena, by ten zostawił go - do cholery! - w spokoju; Bren zgodził się i wysłał do matki nieodwołalny list. A teraz Toby złamał swoje własne nowe zasady i chce, by Bren się martwił... z cholernie dobrego powodu; mógł sobie tylko wyobrażać stan umysłu Toby'ego.

Ale, niestety, tak zawsze funkcjonowała jego rodzina: najpierw ultimatum, by zostawić sprawę w spokoju, a dwie godziny później wołanie o pomoc, którego nie mógł zignorować, tyle że w większości wypadków nie mógł zrobić nic oprócz spędzenia bezsennej nocy.

Tak jak nie mógł teraz nic zrobić w sprawie Jill i dzieci. Gdzieś w zakamarkach jego osobistej psychologicznej piwnicy zrodziła się myśl, że ostatnią kroplą w tym małżeństwie mógł być jego telefon do Toby'ego, żeby wracał do stolicy, kiedy sytuacja między nim i Jill była już napięta. To była wina Brena. On do tego doprowadził.

Muszą przerwać koło, w którym się znajdują. Nie może rozwiązać problemu Toby'ego. Nie może wyruszyć na poszukiwania Jill.

Musi postąpić po prostu tak, jak zrobił Toby, rezerwując sobie prawo do wysłania porady. Toby też miał do niej prawo. Zniknęła jego żona i dzieci... w świecie politycznego szaleństwa, w którym ciskano kamieniami w okna, strzelano do zupełnie obcych ludzi, a ochrona z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego na odległość pilnowała dzieci jego brata.

Gdzie, u diabła, podziewała się ochrona, kiedy Jill zabierała dzieci? Na podstawowym poziomie to było biuro Shawna. Czy Shawn wie, gdzie jest Jill, a jeśli tak, to czy powiedziałaoby Toby'emu?

Do diabła, paidhi tu na górze wysyła planecie archiwum, świat właśnie się dowiedział o misjach na orbicie, a Jill wybrała sobie na zniknięcie cholernie trudny czas.

Usiadł i napisał dokładnie to, tyle że w spokojniejszym stylu.

"Przykro mi jak diabli, Toby. Nie mogę powiedzieć nic więcej. Prawdopodobnie jest w chatce albo pojechała do swojej rodziny. Jestem pewien, że nic się jej nie stało. Przekaż Jill, że powiedziałem, że to moja wina i że powinna być zła na mnie...".

Wymazał ostatnie zdanie, stanowiące kolejną ingerencję w sprawę Toby'ego, i zastąpił je radami:

"Skontaktuj się z Shawnem. Zdobądź odpowiedzi natychmiast. Niczego nie zakładaj. To kwestia bezpieczeństwa. Na dumę nie ma tu miejsca. Chroń ich".

Wiadomość była sztywna oraz nieprzyjemnie krótka. Wiedział, że Toby miał całkowitą rację, mówiąc mu o tym, i nie ośmielił się odrzucić możliwości, że ze strony Jill to coś więcej niż gniew.

To on sprowadził na swoją rodzinę konieczność podjęcia środków bezpieczeństwa, uzbrojonych strażników i tak dalej. Zaczęła na nich polegać. Toby na pewno już był u ochroniarzy. I oni nie znaleźli żadnych odpowiedzi?

Bren nie mógł zrobić nic poza wysłaniem zastrzeżonymi kanałami wiadomości do Shawna. "Zniknęła żona i dzieci Toby'ego. Muszę wiedzieć, gdzie oni są".

Wiedział, że jeśli to zapytanie dotrze do Jill i wywoła jej skrępowanie w małżeńskiej sprzeczce, to może okazać się rzeczywiście kroplą przepełniającą dzban tego małżeństwa.

Zrobił wszystko, co się dało. Nie mógł poświęcać się osobistym zmartwieniom. Nie mógł sobie na to pozwolić. Spokojnie napisał kolejną wiadomość do Mogari-nai, tym razem do przekazania Tabinemu.

"Spędziliśmy ciekawy dzień na obchodzie stacji i spotykaniu się z różnymi członkami załogi. Nie zlokalizowaliśmy jeszcze naszego towarzysza i mamy zapewnienia, że władze zadają mu szczegółowe pytania. Jestem zaniepokojony, ale nie widzę alternatywy. Szczegóły moich negocjacji ze wszystkimi stronami były dołączone do ostatniej wiadomości. Proszę, potwierdź, że te pliki do Ciebie dotarły, aiji-ma. Pozostaję przekonany o pomyślnym wyniku, lecz przedstawienie niektórych spraw znajduję jako wątpliwe. Byłem o wiele zbyt pewny nie wczesnych postępów, lecz ich zakresu. Stosunki z delegacją mospheirską stały się lepsze, a ze statkowymi aijiin bardziej wątpliwe. Zniknęła też rodzina mojego brata i mam nadzieję, że dyskretnie nawiążesz kontakt z Shawnem Tyersem, aiji-ma. Zniknięcie było poprzedzone osobistą sprzeczką, lecz niespokojne czasy wywołują zmartwienie.

Z drugiej strony, po pewnych kłopotach umówiliśmy się na spotkanie z Sabin-kapitan i mam nadzieję, że seria szczegółowych pytań rozproszy troski dwóch mniej osiągalnych kapitanów i przybliży nas do zawarcia rozsądnej umowy. Po wielekroć zapewnialiśmy i wciąż wierzę, aiji-ma, że przyszły patrol ze statkowymi ludźmi wyjdzie na dobre wszystkim stronom, łącznie z mospheiranami, i jest jedynym rozsądnym sposobem ochrony wszystkich żywych istot. Bardziej niż kiedykolwiek jestem zdania, że długie doświadczenie mosphei-ran i atevich w łagodzeniu różnic między nami może się okazać dla statkowych ludzi i mylące, i niepokojące; ale i że zapewnia też pewniejszą ochronę niż jakakolwiek wynaleziona przez nich broń".

Wysłał. I miał nadzieję w Bogu, że Shawn bez trudu znajdzie odpowiedź na pytanie, gdzie jest Jill z dziećmi.

Na kolację podano po raz pierwszy przetwory warzywne: takie rzeczy były kabiui, właściwe, bez naruszania zakazu konserwowania mięsa. Tano i Algini dzielili posiłek z Brenem; nic im nie powiedział o kłopotach Toby'ego, ponieważ nikt z jego ochrony nie mógł nic na nie poradzić. W ciągu wielu lat wyrobił sobie umiejętność spychania mospheirskich spraw na margines swej uwagi, całkowitego przestawiania się na kontynent; a teraz nawet coś więcej - umiejętność całkowitej koncentracji na swoim personelu, na problemach Sabin i Kroger, na regionalnych źródłach siły roboczej, rozkładzie lotów promu i środkach stacji. Tano i Algini przez cały dzień pracowali nad zabezpieczeniem

ich sekcji, nad tym, co się dzieje pod powierzchnią ścian, podłóg i zakrzywionego sufitu, i jakie są możliwości bycia szpiegowanym oraz szpiegowania.

I w chwili, kiedy Tano miał wyjaśnić działanie konsoli, ta znajdująca się w jadalni ożyła i wydała głośny dźwięk.

- Boże - powiedział Bren. Tano i Algini zerwali się z miejsc. Nie było to jedyne źródło tego dźwięku, ale szybko umilkło. Za drzwiami usłyszeli odgłos szybkich kroków.

Pojawiła się Jago.

- Przepraszam - rzekła. - Znaleźliśmy główny przełącznik, nadiin, nandi.

Służący roześmieli się; Tano i Algini roześmieli się, a Bren, roztrzęsiony i rozbawiony, odchylił się na oparcie krzesła.

Ekran znów pociemniał.

Kolacja potoczyła się dalej. Właśnie przyszła kolej na ostatnie danie, lekki krem owocowy.

Z końca korytarza dobiegał jakiś odgłos, jakby szum płynącej wody czy włączonego telewizora.

W końcu, po kremie, Bren musiał wysłać Tano i Alginiego, by dowiedzieli się, co to takiego; wziął ze sobą filiżankę z herbatą.

Teraz dźwięki przypominały wybuchające bomby.

Wszedł do posterunku ochrony.

Na jednym programie jakieś owady zapyły piękne kwiaty, nieznane na tej ziemi. Były to pszczoły, co Bren wiedział ze szkoły podstawowej - pszczoły i kwiaty jabłoni. Na innym ekranie ludzkie kobiety w koronach skakały po kolei do błękitnego basenu. Na trzecim wybuchały budynki.

Za nim zgromadzili się w drzwiach zdumieni i oszołomieni służący.

Różowe kwiaty ustąpiły miejsca jeźdźcom w czerni i bieli.

- Mecheiti! - rzekła Sabiso, myląc się o jakiś metr i pół tony.

- Konie - poprawił ją Bren. - Banichi, co znaleźliśmy?

- Ateva sądzi, że odkryliśmy architekturę tego archiwum. Jest ono zorganizowane.

Na ekranie przepływały różne obrazy. Każdego innego wieczoru Bren mógłby się nimi zachwycać. Mógłby się śmiać.

Kiedy personel oglądał obrazy, zaintrygowany ludzką historią, Bren przeciął korytarz, wszedł do swojego pokoju i podszedł do komputera, by za pośrednictwem C1 sprawdzić pocztę.

Toby jednak mu odpisał.

"Odwołaj panikę. Jill jest u swojej matki".

Bren opadł na zimne, plastikowe krzesło.

Nie: "dzięki, Bren".

Nie: "ochrona wiedziała".

Nie: "jadę do nich".

Nie: "wszystko będzie dobrze".

Poczuł wewnętrzny chłód. Przez chwilę się nie ruszał.

Dobrze, Toby, czy Shawn wiedział, czy Tabini coś przesłał?

Czy namieszałem?

Chcę, żebyście byli bezpieczni, do cholery. Tam nie jest bezpiecznie. To nie jest odpowiedni czas, żeby Jill uciekała przed swoją ochroną...

Napisał: "Toby, wbij jej do głowy, że to nie jest czas...".

I wymazał. Jill opuściła dom, uciekła od Toby'ego. To nie jest kobieta jasno myśląca o swoim bezpieczeństwie. A może je odrzuca?

Wiadomość o obecności atevich i jego na stacji właśnie miała się rozjeść na wyspie, jeśli już się to nie stało, pobudzając do czynu wszystkie niestabilne elementy od kontynentu po Mospheire w ostatecznym paroksyzmie paranoi. Dla Partii Dziedzictwa, która ze zbrojnego przygotowania się na inwazję uczyniła swój fetysz, nie był persona grata; jego matka przypadkiem o mało co nie wpadła pod jakiś cholerny autobus. Gdyby ten wypadek nie dostał się do wiadomości, to byłby cud, a sprawozdanie o nim rzuci cień na wszystko,

co robił Bren, jakby w tym działaniu było coś groźnego i osobistego. Wszystko stanowiło pożywkę dla plotek, wszystko mogło sprowokować niestabilne elementy, które codziennie przeglądały wiadomości w poszukiwaniu wsparcia dla swoich teorii, a teorie te przestały już być śmieszne. W każdej chwili mogło dojść do ogłoszenia na wyspie, że to atevi będą zarządzać stacją kosmiczną; nawet jeśli większość mospheiran nie chciała znów żyć pod rządami Gildii i nie chciała zarządzać stacją, to nie zamierzała też jej oddawać.

A Jill wybrała sobie na odrzucenie ochrony właśnie ten moment.

Nie mógł napisać wyraźnie: "Dzieci są w niebezpieczeństwie". Połączenie z Mospheirą nie było na tyle bezpieczne, by pozwalać sobie na całkowitą szczerość; Bren nie wiedział, czy ich matka znajduje się w autobusie jadącym do szpitala, czy wezwała taksówkę albo może odrzuciła swoją ochronę. Wiedział, że istnieje niebezpieczeństwo, wiedział, że są elementy, które bez wahania uderzą w niewinne osoby, by go zranić, a już kiedyś próbował zebrać swoją rodzinę na kontynencie pod skrzydłami o wiele rozleglejszej ochrony Tabiniego. Nie udało się.

Nie potrafił ich chronić. Podobnie jak nie potrafił zapobiec temu wypadkowi.

Oparł głowę na zaciśniętych dłoniach i tak mocno napiął mięśnie, że zatrzęszczały mu stawy. Chciał...

Ale nie mógł wtrącać się do spraw Toby'ego, Jill, Barb czy matki.

Nie mógł wymówić się od swojej pracy ani zapytać, dlaczego, do diabła, istoty ludzkie nie mogą posługiwać się zdrowym rozsądkiem. Zadawał to pytanie do czasu, kiedy przekonał się, że nie ma na nie wyraźnej i prostej odpowiedzi.

Nie mógł winić matki, że ją to wszystko złości. Jego też to złościło. Potrafił poruszać różne rzeczy na niebiosach, potrafił doprowadzić do zmiany Zdania przez, Tabiniego i poruszać mechanizmem aishidi'tat, wykorzystując osobiste przywileje, lecz nie mógł zrobić nic, by powstrzymać niezamierzone konsekwencje.

"Dotrzyj do niej" - zaadresował te myśl do swojego brata. "Dotrzyj do Jill. Umieść ją i dzieciaki z powrotem pod opieką ochrony. Nie wahaj się. Nie kłóć się. Po prostu zrób to.

I na litość boską, napisz do mnie, kiedy wszyscy będziecie bezpieczni".

17

Aiji-ma, wciąż czekamy na jakiegokolwiek potwierdzenie umowy przez innych kapitanów, a szczególnie Sabin, trzecią co do rangi, która ustaliła spotkanie ze mną na jutro według czasu stacji - czy z nią samą, czy z innymi kapitanami; wciąż nie mam informacji. Nie udało mi się skontaktować z Jasem, który, jak stale powtarzają, odbywa spotkania z kapitanami. Nie udało mi się także skontaktować z Mercheson, podobnie jak delegacji z wyspy. Widzę niepomyślność w stanie pomieszczeń oraz w braku wszelkich numerów i określeń. Numery i kolory zostały usunięte w czasach historycznych, kiedy mieszkańcy pragnęli przeszkodzić intruzom w poruszaniu się po stacji. Za każdym razem towarzyszy nam miejscowy przewodnik i jestem pewien, że otrzymuje obraz mapy poprzez okular oraz instrukcje przez słuchawki. Żadne z tych urządzeń nie jest nieznane na wyspie, ale ich używanie w tych okolicznościach jest nieco niepokojące, kiedy niewielka liczba namalowanych znaków mogłaby wskazać drogę przez bardzo mylący zespół korytarzy.

Otrzymałem wiadomość bezpośrednio od brata. Jego żona jest na niego zła i zamieszkała w swojej siedzibie, zabierając ze sobą dzieci. Żywię poważne obawy co do jej bezpieczeństwa, ale nie pozwolę, by przyćmiły one moje rozeznanie w wykonywaniu obowiązków dla (Siebie, aiji-ma".

Bren przeczytał te wiadomość jeszcze raz, poszukał słów, które mogłyby wskazać postronnemu czytelnikowi jej temat, postanowił ją wysłać tak, jak ją napisał, i ustawił komputer na stoliku obok ściennej konsoli.

Wcisnął guziki.

- Dzień dobry, C1.
- Dzień dobry, sir.
- Wysyłka i odbiór.
- Tak jest, sir.

Zapisało w jedną i drugą stronę.

- Miłego dnia, C1. Dziękuję.
- Wyłączam się, sir.

Bren chciał zapytać osobę obsługującą C1, jak ma na imię... a przynajmniej tę osobę, która bywała tu rankami czy na tej wachcie, zgodnie z rachubą czasu obowiązującą na statku i na stacji. W C1 pewnie nie mieli pojęcia, co to ranek...

Czekało na niego śniadanie, ale Bren najpierw chciał zobaczyć, co złapał tego ranka w swoją sieć. Z całego serca pragnął jakiejś wiadomości od Toby'ego, ale Toby na pewno miał na głowie coś innego niż pisanie do brata, a brak wiadomości oznaczał, że Toby wyruszył w drogę i prawdopodobnie zeszedł nocy dotarł do domu matki Jill. Może da mu znać, kiedy stanie się coś złego.

A w tej sprawie nie było żadnych wiadomości, ani z wyspy, ani poprzez Mogari-nai.

Była prosta wiadomość od Tabiniego:

"W związku ze sprawami budzącymi Twój niepokój jesteśmy w kontakcie z Biurem Spraw Zagranicznych. Moja żona przekazała dla Twojej szacownej matki wiadomość, za pośrednictwem Twojego biura i Departamentu Stanu, z wyrazami troski i życzeniami rychłego powrotu do zdrowia".

Bren był zdumiony. I wdzięczny.

I miał nadzieję, że jego matka wysłała grzeczną odpowiedź.

Nie, nie, na pewno pośredniczyłyby w tym Shawn. Tak byłoby właściwie.

Musi podziękować pani Darnin. I miał poważne podejrzenia, że to jakiś sygnał. Tabini wie o wszystkim i chce go uspokoić.

Bren był lekko skrępowany, że Tabini zrobił coś takiego... chociaż nie byłoby to nic szczególnego, gdyby chodziło o jakąś znaczną osobę z prowincji czy z dworu: kwestia uprzejmości. Bren nie wiedział, jak jego brat mógłby przyjąć jakąkolwiek wiadomość od Tabiniego. Nie wierzył, że jego rodzina potrafi dobrze się zachować, ot co, i zrobiło mu się jakoś wstyd, że ma takie o niej zdanie... co prawda uzasadnione.

Były wiadomości od rozmaitych innych osób, na pewno odpowiedzi przewodniczących komisji, a także kilka listów pełnych oburzenia, że człowiek przewodniczący atewskiej delegacji i nie waha się tego rozgłaszać. Tradycjoniści mieli swoje zdanie i w gruncie rzeczy Bren trochę się z nimi zgadzał, ale nie mógł wypowiadać się przeciwko decyzji aijiego, która go tu umieściła. Zostawił ich Ilisidi i miał nadzieję na pozytywne zakończenie.

Była też wiadomość od studentów astronoma honorowego, zdumionych podróżą Brena i zadowolonych z niej, którzy pytali, jakie gwiazdne cuda widzi z tak dobrego punktu obserwacyjnego.

Jakie niebieskie cuda? Ludzki upór i podejrzenia nie były tym, co chcieliby usłyszeć studenci. Kapitanowie, niech ich licho, przysłali na dół obrazy z innych gwiazd, ale niegrzecznie odmówili podania swoich współrzędnych, a także informacji, gdzie się znajdują w ludzkim układzie odniesienia.

Trzy lata temu dzięki Brenowi uniwersytet przesłał na górę swój katalog gwiazd oraz własny układ odniesienia i nomenklaturę. A Jase narysował im mapę... była to ręcznie sporządzona, prymitywna mapa, ale z odniesieniami do map atewskich; tak więc powściągliwość Gildii pod tym względem przeszła ciicho, niezauważona - z wyjątkiem pewnych zamkniętych kręgów.

A studenci chcą obrazów?

W nawale obcych i wrogich spraw Bren zupełnie zapomniał, że istnieje coś na zewnątrz, że jest rzeczywistość gwiazd i sił bardziej wszechświatowa niż wola kapitanów.

Poszedł na śniadanie, cały czas myśląc, co ma zrobić w kwestii tych obrazów; ustawiając tę sprawę na czele kolejki, ponieważ tego dnia mógł zrobić niewiele w innych sprawach, a potem pomyślał: cholera, oczywiście, archiwum. Na planetę zostały przesłane odpowiednie obrazy.

Zlokalizowanie ich w tym wszechświecie danych oznaczało posiadanie odpowiedniego klucza. Bren miał pomysł, gdzie go znaleźć, wiedział, jakie to powinny być klucze - słowa, jak "nawigacja", "dane", "gwiazda" i "mapa", z pomocą których jego personel mógłby przeszukać archiwum. Po prostu porównując dwa obszary z mospheirskich map i map w archiwum... po prostu! Kiepski żart. Ale da się to zrobić.

- Myśl? - zapytał Banichi i Bren, wyrwany z zamyślenia, musiał się roześmiać i wyjaśnić, że myślał o słownikach i gwiazdnych mapach.

- Pożytecznie? - Banichi nauczył się już, że coś takiego, jak gwiazdna natura słońca, ma pewne znaczenie dla jego pracy, jak się okazało znaczenie dość zasadnicze, ale raczej znikome dla jej wykonywania.

- Jesteśmy zamknięci i pozbawieni widoku gwiazd - powiedział Bren. - A studenci astronomia honorowego proszą mnie o zdjęcia i dane.

- Czy są okna? - zapytała Jago.

- Zapewne tak, ale niekoniecznie takie, jak sobie wyobrażasz. Większość z tego, co widzi stacja, jest przekazywana przez elektroniczne oczy, przez kamery.

- Interesujące - stwierdził Banichi. Człowiek zastanowił się, dlaczego, i ponieważ chodziło o Banichiego, przyszło mu do głowy kilka niepokojących możliwości.

- Oczywiście - powiedział Bren - po drugiej stronie wszystkich ścian i okien, tam, gdzie są kamery, znajduje się próżnia.

- Ateva sobie przypomina - rzekł Banichi. - Ale widok zewnętrzny mógłby się okazać przydatny. Ateva chciałby znać wzajemne położenie elementów.

- To mogę dostarczyć. Mogę poprosić C1. Być może otrzymamy widok.

- Interesujące - powiedziała z kolei Jago.

Skończyli śniadanie. Po zwyczajowych podziękowaniach dla kucharza i personelu - tym razem Bindandy - Bren podszedł do konsoli na ścianie jadalni i wcisnął C1.

- C1 - odpowiedział na zgłoszenie. - Jesteśmy tu już od dawna i ani razu nie widzieliśmy gwiazd. Możesz nam pokazać widok?

- Przez kamery niewiele widać - odpowiedziało C1. - Ale jest włączony widok kadłuba.

Ekran rozjaśnił się, ukazując powierzchnię zalaną jaskrawym światłem i pokrytą śladami ablacji - oraz plamę absolutnego cienia.

- Gdzie to jest? - zapytał Bren, domyślając się, do czego dąży Banichi; w jadalni pojawili się błyskawicznie Tano i Algi-ni, najwyraźniej poinformowani przez Jago, na co się zanosi.

- To widok kadłuba z kamery przedniej numer 2 skierowanej do tyłu - powiedziało C1.

- Czy to jest prom? - zapytał Bren. Na gładkiej powierzchni, może krawędzi skrzydła, dostrzegął jakiś blask.

- Powinien być. Mogę lepiej ustawić kamerę. Nie mamy tu głębokiej czerni. Mamy tu poświatę od planety, nie mówiąc już o gwieździe. Jeśli chce pan gwiazd, sir, powinien się pan znaleźć nieco dalej.

Bren pomyślał z zadowoleniem, że w ośrodku kontroli jeszcze nie całkiem się obudzili. To rzeczywiście był prom.

- Muszę zamknąć pokaz - powiedziało C1. - Zostawię pana podłączonego do kamery numer 2 na, powiedzmy, C45.

- Cudownie - odparł Bren. - Jestem zachwycony, C1. Bardzo dziękuję.

- Interesujące - oznajmił Tano, tak jak przedtem zrobił to Banichi. C1 przerwało połączenie.

- Więcej współpracy, niż mieliśmy jej dotąd, nadiin - powiedział Bren. - Ten człowiek nie jest z nami ostrożny. Inni tak. Rzeczywiście interesujące. Ochrona odpowiedziała mu pytającymi spojrzeniami.

- Najpierw była współpraca - wyjaśnił Bren - bardzo rozległa współpraca i gładka umowa z tymi, którzy już wcześniej się na nią zgodzili. Nie przypisuję zawarcia jej moim zdolnościom negocjacyjnym, a raczej słownemu sformułowaniu tego, co wszyscy mieli na myśli. Teraz mamy te długie opóźnienia.

- Niezgoda - zauważyła Jago.

- I uspakajające gesty ze strony służby - dodał Banichi.

Zdaje się, że pogład ten, chociaż był bardzo ateński, dobrze opisuje sprawę z C 1.

- Nie jest jednak bezpiecznie naciskać - powiedział Bren. - Nie bardziej niż w ateńskim domu. Ten człowiek jest podwładnym.

Po tym małym widowisku usiadł do pracy, wyobrażając sobie, że ktoś myślący bardziej po ludzku wynegocjowałby ten obraz z kamery znacznie wcześniej; że prawdopodobnie zespół Kroger już o niego poprosił i że jest to prośba, którą C1 może spełnić od razu, coś, co zabawi gości i, podobnie jak nieoznakowane korytarze, powie im bardzo mało.

Mieli wieczorem spotkanie z Kroger, zakładając, że odbędzie się ono zgodnie z umową. Bindanda w każdym razie przyszedł, by nieśmiało zapytać go o swój wybór menu.

- Doskonale - powiedział Bren. - I człowiek mógłby zjeść kilka słodczy. To ich ucieszy.

- Nandi - odparł Bindanda i poszedł do kuchennych zapasów, ściśle pilnowany przez Naraniego.

Siedziba funkcjonowała bez wysiłku; poruszała się i brzęczała wokół Brena, rzadko mu przeszkadzając poza uzupełnianiem poziomu herbaty w filiżance; Bren siedział przy niewielkim biurku i układał listy oraz odpowiedzi do rozmaitych korespondentów.

Do Toby'ego:

"Napisz, jak tylko będziesz mógł. Pozdrowienia i przeprosiny dla Jill i dzieciaków".

Dziś nie otrzymał listu. Nie był tak bardzo zdziwiony milczeniem.

Do matki, w ukrytym celu, po to, by się do niego odezwała i żeby się dowiedzieć, czy wie coś o Tobym... jeśli cokolwiek od niego wie, a możliwe, że nic.

Podwójny powód, żeby do niej napisać.

"U mnie wszystko dobrze. To interesujące miejsce".

Wyrzucił ten początek. Mogłaby się obrazić - u niego wszystko dobrze w interesującym miejscu; było to nieco samolubne z jego strony. Spróbował od nowa.

"Tylko sprawdzam, czy u Ciebie wszystko w porządku. Mam nadzieję, że Barb wraca do zdrowia. Chciałbym, żebyś dbała o siebie i była spokojna. U mnie wszystko dobrze. Mam nadzieję, że będziesz mnie informowała o wszystkim, i chcę, byś dużo odpoczywała. Wiem, jak lubisz się wysilać. Chyba odziedziczyłem to po Tobie. Proszę Cię, uważaj na siebie. Wiesz, jak niebezpieczne są pewne elementy, kiedy mówi się o mnie w wiadomościach, a chyba teraz się mówi. Mam wrażenie, że się mówi. Wiedz, że Cię kocham".

Po wysłaniu tamtego być może bolesnego listu osiągnął pewien dystans. Martwił się tym, bardzo się martwił, i myślał teraz, że był zbyt ostry i zbyt samolubnie uważał każde posunięcie matki za egoistyczne i skoncentrowane na niej. Bóg jeden wiedział, że martwi się o niego. Jest matką. Jej syn znajdujący się na jak dotąd nieosiągalnej stacji kosmicznej mówi, że wszystko jest w porządku, podczas gdy każdego jej kroku pilnuje uzbrojona straż. Był zdesperowany; chciał się uwolnić zbyt mocnym pchnięciem.

"To, co napisałem, było wtedy szczere, lecz jest to jedna z tych spraw, nad którą człowiek zaczyna się zastanawiać; obaj twoi synowie bardzo Cię Kochają. Jednak w wieku nieco ponad trzydziestu lat osiągnąłem stan, w którym chcę być wolny i iść własną drogą. Trochę późno, ale trudno. Nie poszedłem drogą Toby'ego - chodzi o dom i rodzinę. A kiedy dojrzałem do czynu, postąpiłem zbyt ostro. Teraz tego żałuję i chciałbym wiedzieć, jak się czujesz, i powiedzieć Ci, że mi na Tobie zależy. Nie, że zmieniłem decyzję, ale że mi na Tobie zależy. Myślę, że to ludzkie".

Kiedy czytał tekst, słowo "myślę" rzuciło mu się w oczy. Tak właśnie myślał. Niczego już nie wiedział na pewno, a przynajmniej od kiedy w wieku kilkunastu lat poszedł na uniwersytet i zaczął się separować od kultury, w której dojrzał.

"Nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć, poza tym, żebyś dbała o siebie pod wszelkimi względami. Żałuję, że nie mogłem zostać dłużej. Oboje tego potrzebowaliśmy. Mam tu jednak zadanie do wykonania, którego rezultaty chyba możesz już teraz zobaczyć i dzięki któremu, mam nadzieję, dzieciaki Toby'ego będą miały jakąś przyszłość".

Napisał do przewodniczących komisji.

"Robimy postępy i mamy nadzieję na Waszą cierpliwość. Mimo że umowy w zasadzie istnieją, trzeba jeszcze dopracować wiele szczegółów tego, co, mam nadzieję, będzie dobrą współpracą między naszymi narodami".

Pisał, aż zaczął widzieć w tej nadziei liczne skazy.

A potem usiadł do długiej rozmowy z Jago o południowych prowincjach aishidi'tat, o ich problemach etnicznych, surowcach naturalnych i chęci do mobilizacji sił, o podziałach lojalności i bogactwa, o których wiedział, ale jako człowiek nie odczuwał z taką dokładnością jak ateva, i w których nie mógł się orientować ze swobodą atevy zanurzonej w nich przez całe życie i jednocześnie uwarunkowanej do odczuwania wpływów prowincjonalnej niechęci.

Czy małe miasteczko buduje linie kolejową do portu kosmicznego? Co mogą zrobić rozmaite prowincje, kiedy dostrzegą dobrobyt w zasięgu ręki? Ateva może wytwarzać dzbanek, by się utrzymać w gospodarce przez sto lat, i ateva może wykorzystywać każdy kawałek owocu, nawet obierki; atevi jednak potrafią też mieć kolorowy telewizor w domu, w którym przewody elektryczne biegają po kamiennej posadzce, pod widocznymi drewnianymi krokiewiami, których część mogła być wymieniana w ubiegłym stuleciu.

Atevi tworzyli rodziny i nawiązywali stosunki w ramach man'chi i przekazywali te domy, swoje długi i projekty z pokolenia na pokolenie, stosując przy tym nieformalną wymianę oraz trzymając się niezwykle sztywnych tradycyjnych rytuałów... przyjmując też to, co przysyłali im ludzie.

Kiedy atevi przybędą na stację, mogą sprowadzić ze sobą rodziny, łącznie z wiekowymi ciotkami i dziadkami, czego ludzie ze swoją oszczędnością i podejściem do sprawy mogą nie zrozumieć.

- Czy to będzie jak podejmowanie służby w siedzibie? - zapytał Bren Jago. - Czy może przybędą mężowie i żony?

- Może i tak, i tak - odparła Jago. - Tak jak mężowie i żony tworzą związki w siedzibie.

Atewskie związki, tak samo jak ludzkie, mogły być dość efemeryczne.

- Związki w ramach siedziby są trwałe. Wydają się zobowiązane do trwałości.

- Albo do rozwiązania w zgodzie. Tak jak się da. Lub do rozstania się, by począć dzieci, a potem powrotu.

Tak było. Kochankowie mieszkający w jednej siedzibie mogli umówić się, że spłodzą potomstwo gdzie indziej, by nie sprowadzać dzieci do bezdziejnej siedziby.

- Ja bym nigdy nie zakazywał posiadania dzieci - powiedział Bren, na wpół pragnąc, by były.

- Ale Bu-javid to dla nich niedobre miejsce - rzekła zgodnie z prawdą Jago.

Mieli rozmawiać o stacji kosmicznej; ale Bren patrzył na Jago, z którą czasem, o ile pozwalały okoliczności, dzielił łóżko, i zastanawiał się nad dziećmi, które na pewno nie były im pisane biologicznie; a jemu osobiście... nigdy nie chciał zostawić własnej rodziny po drugiej stronie cieśniny.

- Tu na górze mogłyby być dzieci. Albo nie, jak kto woli.

- Na niektórych żaglach-kwiatach spłynęły dzieci - przypomniała Jago. Choć było to dość przerażające, dawno temu niektóre kapsuły spadły na świat, z dziećmi na pokładzie.

- Owszem. Są też dzieci na statku.

Jase mu to powiedział.

- Jak Jasi-ji.

- I te z dwojgiem rodziców. Rozmawialiśmy z Jasem o tym, że załoga wie, kto jest sprzymierzony z kim; ale ludzie z zewnątrz nie potrafią tego powiedzieć. I oni nie wzbraniają dzieciom wstępu do Bu-javid, że się tak wyrażę. Istnieje też polityka osobistych związków.

Jago uniosła brew.

- Ateva widzi, kiedy nie ma wyboru.

- Żadnego wyboru. Żadnego innego miejsca.

Jago westchnęła.

- A jak mamy opisać te związki? Jak je widzieć?

- Człowiek po prostu wie, kto z kim sypia. - Bren roześmiał się. - Jest takie powiedzenie w mospheiranie. To zmienia ich man'chi. Albo wyrzuca z zasięgu man'chi, kiedy związek się rozpada. Jest to powszechne, Jago-ji; rozstania są powszechne. Mamy struktury społeczne - jestem pewien, że istnieją one na statku - umożliwiające interakcję. Waśń jest niedopuszczalna.

Ponownie uniosła brew.

- To nie przez waśń został najechany kontynent? Ateva mogła się z łatwością pomylić, Bren-ji.

Było to warte krzywego uśmiechu. Wzruszenia ramion.

- Najlepiej, kiedy polityka jest oddzielona od genealogii - powiedział. - Nie jest to prawdziwe historycznie, ale teraz tak. Ludzie kiedyś mieli grupy etniczne. I powiązania rodzinne, nawet mniejsze. Tutaj jednak do powrotu statku ludzie nie mieli grup etnicznych. Teraz nie wiedzą, co się z nimi stało. Teraz mospheiranie mogą nauczyć się myśleć, że to atevi mają bardziej znajomą kulturę.

- Ateva nie wie, jaki byłby świat bez ludzi - rzekła poważnie Jago. - Inny. Chyba niewiele osób chciałoby się obyć bez telewizji, bez aishidi'tat.

- Myślę, że ludzie przyzwyczaili się do świeżych owoców i świadomości, że aiji powstrzyma każdy zbrojny konflikt. To jest poczucie bezpieczeństwa. Od powrotu statku to bezpieczeństwo jest zagrożone. Zrozumieliśmy to w chwili, kiedy wreszcie uświadomiliśmy sobie, że je mamy.

- Tak samo z nami. Właśnie kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że ludzie są cenni, odkrywamy, że mają dość niewygodnych krewnych.

Roześmiał się; musiał to zrobić.

- Nasze życie to machimi. Zza wzgórze wyłaniają się krewniacy i żądają dopuszczenia do polowania.

- A zostaną dopuszczeni?

Zastanowił się nad tym, o co idzie gra.

- Moim zdaniem jest dość miejsca, biorąc pod uwagę całą przestrzeń i to, że sami są pracowici. Po prostu musimy dodać do domu jeszcze jedno skrzydło.

- A więc tu na górze - powiedziała Jago.

- Tu na górze, gdzie nie zepsuje widoku. Jak atevim będzie się podobało życie tutaj? To ważne pytanie. Moi domownicy jako pierwsi będą mogli to ocenić. I musicie to zrobić. Nie wiem, czy to, co robię, by zdobyć tu dla atevich miejsce, jest dla was znośne, czy muszę wszystko zmodyfikować tak, by atevi mogli stale kursować między stacją i ziemią. Czy atevi mogliby się tu

rodzić i żyć? Przykładam wielką wagę do tego, co powiesz, Jago-ji. Czy potrafisz pomyśleć o czymś takim?

Jago spojrzała w górę, na sufit, na lampy, rozejrzała się po pokoju, a potem popatrzyła na Brena.

- Mieszkający tu atevi zwiążą swoje man'chi z tym, kto będzie im przewodził - stwierdziła. - A czy będą się znajdować w aishidi'tat? Nie potrafie przewidzieć. Kiedy jednak pojawią się dzieci, kiedy pojawią się domownicy, nie będą pod rozkazami kapitanów, Bren-ji. Nigdy nie będą pod rozkazami kapitanów.

- Nie sędzę, by kapitanowie martwili się tym tak bardzo, jak możliwością, że w ogóle nie będą mieli portu. - W świetle tego, co wiedział o ludziach, musiał to poprawić. - Nauczenie kapitanów, że po prostu muszą zachowywać się inaczej... to ogromne zadanie, Jago-ji. Przeraza mnie ono.

- Przeraza każdego, kto o nim myśli. Atevi, którzy przybędą tu, by zadać się ze statkowymi ludźmi, będą musieli być bardzo mądzy i nie tak kabi.

Nie tak kabi. Nie tak tradycyjni. Nie tak bardzo przestrzegający tradycji w żywieniu, zachowaniu i filozofii.

- Nieprzestrzeganie kabii wywołuje gwałtowne zmiany - powiedział Bren. - Może niemądre zmiany.

Jago zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Paidhi być może widzi to zagadnienie bardzo wyraźnie. Może rzeczywiście zmienialibyśmy się tu bardzo gwałtownie. I pojawią się problemy.

Ta myśl nie dawała mu spokoju. Napisał do Tabiniego:

"Rozmawiałem z moim personelem na temat postaw, które rodzi u atevich widok tych korytarzy oraz ta całkowita jednakowość, a także omówiłem z drugim członkiem mojej ochrony kwestię kabii, czy może ono stanowić zasadnicze zabezpieczenie atevich przeciwko zbyt nagłej zmianie man'chi. Sędzę, że ten pogląd może mieć pewną wartość, i pragnę, by tę sprawę rozważyły mądre głowy. Nie zabrałem ze sobą aparatu. Jest to błąd, który zamierzam naprawić podczas mojej następnej wizyty. Trudno opisać, jak obce dla atevich jest to miejsce.

A jednak ta właśnie obcość może pomóc przy wzmocnieniu man'chi w ramach aishidi'tat: a z pewnością drobne poprawki wniesione przez mój personel przyniosły ulgę oczom i sercu.

Pragnę, by aiji zechciał szczególnie zastanowić się nad głębokimi kwestiami man'chi mającymi znaczenie dla tych mieszkających tu pokoleń, biorąc pod uwagę miejsce równie obce, jak jaskinia obwieszona światłami, w połączeniu z trudnością utrzymywania bliskich więzów z krewnymi na planecie. Elementy psychologiczne znajdują się poza moim osądem, a mimo to wciąż wierzę, iż atewska władza musi być tu reprezentowana. Nie zmieniam zatem mojego postępowania i polegam na cudzym osądzie słuszności mojej decyzji.

Tymczasem spodziewam się mospheiran na kolacji i mam nadzieję, że w obliczu tego, co wciąż może być trudnymi i dzielącymi negocjacjami, osiągniemy porozumienie wśród przedstawicieli planety".

Kaplan przyprowadził mospheiran o oznaczonej godzinie. Brakowało tylko Shugart, co Bren zauważył, gdy tylko Narani otworzył drzwi i wpuścił gości do tego, co było de facto salą przyjęć i ich głównym korytarzem.

Shugart wyraźnie stanowiła straż domową, ochronę przed intruzami pod ich nieobecność. Kroger wciąż była ostrożna... tak jak ostrożni byli oni. Algini zamknął drzwi do ich własnego posterunku i nie miał zamiaru otwierać ich w żadnej chwili, kiedy goście mogliby zajrzeć do środka.

Wyłącznie ze względu na symetrię i żeby nie eksponować zbyt wielu zamkniętych drzwi, Bren zamknął też drzwi do swojego pokoju. Otwarta pozostała tylko jadalnia i kwatera służby, leżące naprzeciwko siebie na końcu korytarza.

A więc w ich sekcji znaleźli się Kroger, Lund i Feldman, który w porównaniu z tą dwójką wyraźnie nie miał żadnego statusu i podczas powitań oraz podawania rąk stał nieco z tyłu.

Tak jak Kaplan, chodzący posterunek nasłuchowy, który trzeba było wyłączyć albo zająć czymś innym.

I który, jak ochrona Brena, nie będzie jadł kolacji z pozostałymi.

"Kiedy wejdiesz między wrony" - mówiło bardzo stare przysłowie. Ta cała stacja była gniazdem wron o niepewnych obyczajach.

- Kaplan, chciałbyś coś zjeść?

- Służba, sir.

- Jesteś pewien?

Kaplan, skryty za swoim sprzętem, odetchnął głęboko. Powietrze korytarza przenikały zapachy z kuchni. Widoczne oko był szeroko otwarte, nerwowe, a usta... nieco mniej stanowcze.

- Tano, dopilnujesz, by Kaplan-nadi dostał coś do jedzenia? - Zmienił język. - Pani Kroger, Kaplan zje kolację z Tano. Tano-ji - kolejna zmiana języka - chyba mamy trochę tych owocowych słodyczy, prawda? Tych, które tak lubi Jase? Mogą mieć dla Kaplana nowy smak. Czy mamy ich dosyć, nadi?

- Ateva tak sądzi - odparł Tano.

- Może Ben też z nimi zje? - Kroger skwapliwie skorzystała z okazji pozbycia się tłumacza, który sprawiał wrażenie trochę rozzarowanego tym, że nie będzie obecny na oficjalnym posiłku.

Jeżeli jednak Kroger chciała rozmawiać o interesach przy kolacji, to był to obyczaj mospheirski, a Bena można było ugościć gdzie indziej.

- Dobrze - powiedział Bren. - Ginny, Tom. Chodźcie. Kolacja jest delikatna, nie powinna czekać.

- Ufam, że uważali na trucizny - rzekła Kroger.

- Och, bezsprzecznie. To taki zwyczaj. Bardzo mi się on podoba - odparł Bren i zaprowadził gości do pokoju, przetłumaczył uprzejmości dla Naraniego i pozostałego personelu, posadził wszystkich przy stole i sam usiadł. Banichi i Jago zniknęli już wcześniej... nie dlatego, że z góry uznali pańską rangę mospheirskiej delegacji, ale tak było wygodniej. Kandana sprawnie uprzątnął zbędne nakrycia dla Feldmana i Shugart, zmienił bukiety na pomyślną kombinację dla trojga i postawił talerz ze słodyczami tak zręcznie, że mospheiranie nawet nie przerwali rozmowy.

- Ma pan jakieś wiadomości od kapitanów?

- Nic poza jutrzejszym spotkaniem - odpowiedział Bren. - Nie zostało jasno określone, z iloma naraz. Na pewno z Sabin.

- Hmm - powiedziała Kroger. - A co pan chce omawiać?

- Cokolwiek zechce omawiać Sabin: odbudowę stacji, umowy dotyczące tego, co chcą zbudować. Rozmowy o interesach przedsiębiorstw na samej stacji całkowicie rezerwuj? dla siebie i twojej misji.

Kroger w żadnym razie nie wyglądała na niezadowoloną.

- A ty miałaś jakieś wiadomości od nich? - zapytał.

- Od Oguna prośbę o spotkanie, ale nie jest jasne, w jakiej sprawie.

- Interesujące. Dziel i rządź! Uważam, że powinniśmy sobie mówić, czego się dowiedzieliśmy i na co się zgodziliśmy. Co więcej, uważam, że powinniśmy koordynować nasze umowy i przedstawić rządowi ujednolicony pakiet.

- Żadnej pracy na zewnątrz dla naszych obywateli - rzekła stanowczo Kroger.

- Licencje - odezwał się Lund. - Skoordynowane z oddawaniem przez atevich sekcji do zasiedlenia.

- Na obie rzeczy łatwo się zgodzimy, a rozdzielanie licencji zostawiam głowom mądrzejszym od mojej - powiedział Bren. - Praca na zewnątrz... atevi ją podejmą przy odpowiednich zabezpieczeniach.

Kroger słuchała go ze zmrużonymi oczyma, odchyłona na oparcie krzesła. W znacząco przedłużoną chwilę później powiedziała powoli, z namysłem:

- Przedstawię panu pewną teorię, panie Cameron.

- Bren.

- Bren. - Teraz Kroger sprawiała wrażenie rozbawionej. - Podsunę ci jedno słowo. Robotyka.

- Ciekawe słowo.

- Bardzo związane z przemysłem. Oraz oznaczające sposób, w jaki moglibyście działać - jedyny sposób, w jaki mospheiranie zechcieliby pracować na zewnątrz, gdybym miała w tej sprawie coś do powiedzenia. Roboty to przeważająca koncepcja w Biurze Nauki związana z przeprowadzeniem naprawy stacji, ale brakuje nam pewnych kluczowych informacji. Informacji znajdujących się w tym archiwum, tym cholernie trudnym do uzyskania archiwum. Znalazłam odpowiednio zapisy - spędziłam dwa bite dni na wyszukiwaniu informacji.

Bren słyszał kiedyś przelotnie o tych teoriach, ale nie zwracał na nie uwagi. Teraz słuchał.

Kroger pochyliła się.

- Te roboty, które mieliśmy, straciliśmy przy pierwszej gwiazdzie, ale była to tylko garstka konieczna do zebrania materiałów do wytworzenia odpowiedniej liczby robotów potrzebnych do skonstruowania stacji. Tak brzmi wersja oficjalna. Zamiast tego nasi przodkowie zostali zmuszeni do użycia tej garstki w środowisku niszczącym metal równie szybko jak ludzkie ciała. Przybyliśmy tutaj, znaleźliśmy środowisko tylko nieco mniej wrogie i nie chcąc zużywać surowców, ryzykowaliśmy życie, by uzyskać czy naprawić te roboty; by zbudować nowe, życie zaryzykowało jeszcze więcej osób.

- Dlaczego? - zapytał Bren. Nie pierwszy raz słyszał tę historię, ale nigdy w takim otoczeniu, nigdy za aprobatą starszego przedstawiciela Biura Nauki, nigdy w połączeniu ze zrozumieniem, dlaczego roboty nie stanowiły korzystnego wyjścia. Było to coś, co zostało wykluczone już dawno temu. Mądre czynniki twierdziły, że roboty nie sprawdziły się tam, gdzie powiodło się bohaterom ludzkości. Była to część legendy związanej z przybyciem do tej gwiazdy.

Usta Kroger zacisnęły się.

- Oficjalnie? Oficjalnie na przeszkodzie zdrowemu rozsądkowi stanęły dwie rzeczy: po pierwsze, nie mieliśmy surowców do budowy robotów, które pozyskiwałyby surowce, a po drugie, dla Gildii zdobycie surowców było największym priorytetem.

- A nieoficjalnie?

- Podejrzewaliśmy, ale nie potrafiliśmy udowodnić, że Gildia chciała, by populacja kolonistów była stale zajęta: utrzymując nacisk na heroizm i ryzyko, mogli podtrzymywać u kolonistów chęć przeniesienia się. Zgodnie z tymi zapisami Gildia miała dwustopniowy plan opuszczenia tego układu. Zgodnie z tymi zapisami Gildia chciała się przenieść na Maudette.

To była całkowita nowość. Maudette, miejsce, dokąd według Kroger chciała się udać Gildia, znajdowało się w układzie sąsiadującym z ziemią atevich, będąc niezupełnie planetą w gęstym pasie asteroid.

- Gildia miała nadzieję, że kiedy tylko zbierzemy tu surowce, polecimy do naszej gwiazdy docelowej. To miejsce, znajdujące się na orbicie planety wewnętrznej, było bezpieczniejsze - albo tak sądzili - dla rozwiązań tymczasowych, ale Gildia miała nadzieję, że po prostu założymy małą bazę, a wielkość populacji pozwoli przenieść się na orbitę Maudette i działać tam, gdzie metal pozaplanetarny występuje niebezpiecznie częściej. Dobrze znanym faktem jest, że w gruncie rzeczy prawie straciliśmy kolonię. To brudny układ, panie Cameron, pod każdym względem. Ta planeta napotyka roje meteorów. Nie wiedzieliśmy tego; byliśmy obcy w tym układzie; nie dysponowaliśmy wcześniejszymi danymi na tak szczegółową skalę. Tam, skąd przybyliśmy, te niebezpieczeństwa istniały, ale nie na taką skalę, a ta była zabójcza dla sprzętu.

Zabójcza. Możliwości, które już sobie zaczął wyobrażać Bren, otrzymały poważny cios.

- Czy te roboty do pozyskiwania surowców jeszcze istnieją?

- Trudno powiedzieć. Duże roboty wytłaczające przetrwały - sama stacja jest tego dowodem. Chyba wciąż jeszcze istnieją - według zapisów, gdzieś na tej stacji. Ale te mniejsze, maszyny mogące bezpiecznie wydobywać surowce na asteroidach... - Kroger wzruszyła ramionami. - Na razie Gildia otworzyła tylko ułamek stacji. Sądząc po zapisach, uważam, że kilka z nich wciąż jeszcze może być przechowywanych w Sekcji Piątej. Większość została rozebrana ze względu na metal: w tych pierwszych dniach był to jedyny metal, jaki mogliśmy zdobyć.

- Czy możemy wykorzystać je do pracy?

- Panie Cameron... Bren... jeśli one jeszcze istnieją, jeśli twoi atevi potrafią je uruchomić, to być może zadziałają, ale nie będą się nadawać do pracy. Utwardzenie. To kolejne słowo, które ci podsuwam. Właśnie brak utwardzonych powierzchni na naszym początkowym sprzęcie spowodował tak wielkie uszkodzenia: nie byliśmy przygotowani na warunki środowiska, w którym się znaleźliśmy; tak samo nie byliśmy przygotowani na to. Zatem problem z wykorzystaniem robotów pozyskujących surowce do pracy w brudnym układzie bez potrzebnych informacji sprowadzał się do uzyskania surowców na części zamienne. Problem z wykorzystaniem ich do pracy teraz i przy jakimś stopniu efektywności gospodarczej sprowadza się do wzmocnienia ich. W tym archiwum mamy dokumentację, ale nie sprawi ona, że jakiś robot czy pojazd załogowy będzie działał w tym układzie bezpiecznie, a co dopiero wydajnie. Jestem też pewna, że stać nas na więcej. Chce pan, panie Cameron... Bren... żeby atevi robili to wszystko. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że atewska wytwórczość i projektowanie połączone z mospheirskimi danymi na temat elektroniki, optyki i robotyki mogą uratować wiele istnień. Stać nas na więcej.

Był tłumaczem, autorem słowników, który musiał nauczyć się o fizyce i inżynierii o wiele więcej, niż kiedykolwiek sądził, że mu się przyda podczas wykonywania jego pracy. Istniały pewne tematy, co do których był bardzo naiwny, a szczegóły zagadnień zamkniętych w wyspecjalizowanych departamentach mospheirskiego rządu zawierały wiele takich tematów.

- To bardzo interesujące - powiedział. Całkowicie wybaczył jej ton wypowiedzi. - Mów dalej.

- Wspólny wysiłek, wspólny rozwój.

- Przedsiębiorstwo atewsko-mospheirskie - rzekł Tom Lund. - Do wytwarzania tych rzeczy.

- Nadal interesujące - powtórzył Bren. Przedtem wyobrażał sobie osłony dla atewskich operatorów. Osłony oznaczały jednak masę i powstawała kolejna sytuacja węża pożerającego własny ogon: paliwo do napędzania maszyn pozyskujących paliwo. Usunięcie z równania całej tej masy - atevich. osłon i układów podtrzymujących życie - oznaczało oszczędność paliwa, ale problem pozostawał ten sam, jeśli, co zauważyła Kroger, wszystkie zyski będzie pochłaniać naprawa robotów. Gdyby ich proponowany przemysł kosmiczny kiedykolwiek zaczął przynosić mniejsze zyski, to mogłaby się powtórzyć sytuacja, która wygoniła kolonistów ze stacji na planetę, kiedy "Feniks" zużył całe paliwo, surowce i wszystko, co potrafili wytworzyć koloniści, ponieważ kapitanowie z tych dawnych czasów wierzyli, że mogą odlecieć i znaleźć ziemie ludzi.

Od tamtego czasu wiele się wydarzyło. Kapitanowie, którzy wrócili, mieli do czynienia z planetarną populacją oraz potężną bazą przemysłową. Mogła ona nie tylko wytworzyć to, czego chciała Gildia, ale i przeanalizować, co poszło nie tak za pierwszym razem, i zrobić to dobrze za drugim.

Bren wiedział z niepełnych zapisów, że układ słoneczny jest zdolny do robienia nieprzyjemnych niespodzianek. Proponując atevich do ekip pozyskujących surowce, wiedział, że te nieprzyjemne niespodzianki są problemem wymagającym rozwiązania. Aby określić, jak wielkim problemem, musiał czekać na zarchiwizowane zapisy.

Atevi od kilku wieków nie prowadzili obserwacji astronomicznych i nie śledzili torów ciał niebieskich, ponieważ astronomia stała się nauką pogardzaną od czasu, gdy astronomowie nie przepowiedzieli pojawienia się na

ich niebie Obcej Gwiazdy. Nawet mimo nowej rewolucji w tej dziedzinie, mimo astronoma honorowego i jego pracy, atevi wciąż nie zdawali sobie sprawy z obecności kosmicznego śmiecia, które nie pojawiało się co roku jako spadające gwiazdy.

Mospheiranie byli jeszcze mniej ciekawi zabójczego środowiska, z którego uciekli. Obszar układu słonecznego, w którym musieli pracować, by zaopatrywać "Feniksa" i stację, nie mówiąc już o tym nowym statku, którego chcieli kapitanowie, nie został opisany nigdzie poza historycznymi danymi, które, na co miał nadzieję Bren, znajdowały się w tym archiwum.

Spodziewał się po tych zapisach i wstępnych badaniach złych wieści; ale to... te roboty... to była interesująca informacja spoza jego dziedziny.

Zaczął o wiele wyraźniej widzieć, z czym przyjdzie im się zmierzyć.

Zaczął widzieć wszystkie swoje propozycje jako realne.

A jednak Kroger poruszyła kwestie, które zdecydowanie dotyczyły jego królestwa.

- Mówisz, że roboty zostały zarzucone ze względów politycznych.

- Politycznych i praktycznych. Politycznych, ponieważ pozyskiwanie surowców przez ludzi stanowiło część mistycyzmu; ponieważ surowce pozyskiwała frakcja kolonistów i być może przywódcy bali się, że jeśli roboty zastąpią ludzi, to oni stracą polityczne wpływy.

- Czy jest na to dowód?

- To moje własne podejrzenia - odparła Kroger - i nie ma żadnego dowodu. Sądzę jednak, że po obu stronach nie było świętych. Musiał istnieć jakiś powód, że koloniści nie domagali się rozwoju robotyki, mimo że umierali na prawo i lewo; musiał istnieć jakiś powód, że kierownictwo nie dążyło do opóźnienia w zaopatrywaniu statku w paliwo i zmiany priorytetów, by wytworzyć działające roboty. Być może była to zwykła ignorancja. Być może ideologiczna ślepotą. Sami widzieliśmy tego trochę w naszym pokoleniu. Faktem jest, że wtedy radykałowie wśród kolonistów podejrzewali już wszystko to, co proponowała Gildia. Jeśli Gildia coś proponowała, to musiała mieć ukryty cel. A u steru byli radykałowie. Jak długo ich ludzie umierali w dającym się podtrzymać tempie, gniew kolonistów utrzymywał ich przy władzy.

- Nie chciałbym tak myśleć, ale nie potrafię zaprzeczyć twojej hipotezie.

- To można było zrobić - rzekła Kroger - a oni tego nie zrobili. Presja polityczna na lądowanie rosła coraz bardziej.

- Pytanie - powiedział Bren - czy roboty nie były budowane, ponieważ nie mogły działać, czy to ty masz rację? Mam nadzieję, że istnieje trzecia odpowiedź. Naprawdę mam nadzieję na trzecią odpowiedź, że nie mogliśmy być tak skorumpowani.

- Obie frakcje miały na uwadze większe dobro. Obie frakcje uważały, że mają rację i że jeśli ulegną w jednym punkcie, to zniszczone zostanie wszystko, co mają. Rozpaczliwe, podejrzliwe czasy. Obie strony uważały, że jeśli nie dopną swego, wszyscy zginą. Roboty. Cholerny zdrowy rozsądek, panie Cameron!

- I wspólne przedsięwzięcie - odezwał się Lund. - Wasza inżynieria na wielką skalę, nasza elektronika i urządzenia sterujące.

- Nie widzę trudności w zawarciu umowy - rzekł Bren. - Nie widzę żadnych trudności. - Jego własny naród ma plan, schowany głęboko w rządowych departamentach, ale, dzięki Bogu, jest to jakiś plan, i to realny. Po raz pierwszy od dziesięciu lat był dumny, że jest mospheiraninem. - Możecie ją wykonać?

Kroger odetchnęła głęboko.

- Panie Cameron, siedemnaścioro z nas spędziło swoje kariery na doprowadzaniu do tego, by ją wykonać. Znamy metalurgię - a przy konieczności importu wszystkich materiałów z kontynentu cholernie trudno było ją rozwinąć - ale, do cholery, dokonaliśmy tego. Problemem były poszczególne projekty dla robotyki. Zapisy zaginęły. Właśnie je odzyskaliśmy, panie Cameron.

- Gdyby te plany znajdowały się w archiwum... - zaczął Bren, lecz Kroger uderzyła pięścią w stół.

- One w tym archiwum są, Cameron! Naprawdę. Zaglądałam. Wiedziałam, co to powinny być za pliki i gdzie powinny się znajdować. Przez całe życie pracowałam wokół tej dziury w zapisach i wierz mi, że wiem, gdzie ich szukać w archiwum.

Całe życie... czy to tylko przenośnia?

Jak długo? - zadał sobie nerwowo pytanie Bren i nagle poczuł chłód. Jak długo Kroger pracowała nad tą koncepcją? Okres dłuższy niż trzy lata cofał ją do całego ruchu prokosmicznego, mającego korzenie w Partii Dziedzictwa, partii Gaylorda Hanksa z całym jej antyatewskim nastawieniem.

Nie oznaczało to jednak, że każdy, kto obrał tę drogę, ponieważ była to jedyna droga dla zwolenników wyruszenia w kosmos, stawał się automatycznie bratnią duszą Gaylorda Hanksa. Ich propozycja była propozycją prokosmiczną, ale nie antyatewską. Było całkiem możliwe, że Partia Dziedzictwa mogła przyciągać ludzi uczciwych i rozsądnych, marzycieli godzących się ignorować mroczniejszą stronę swoich towarzyszy...

Kimkolwiek była Kroger, nie była głupia. Jadła ze smakiem kolację w atewskim otoczeniu i razem z Lundem proponowała współpracę. Proponowała program, który ocali atewskie życie, jeśli aiji podejmie się wykonania tej trudniejszej części operacji. Proponowała ulepszyć to, co sobie wyobrażał Bren, oraz wspomóc całe przedsięwzięcie.

- Sądziłem, że możesz być stronnikiem Hanksa, ale zmieniłem zdanie. Myślę, że jest pani uczciwą negocjatorką, pani Kroger. Doktor Kroger. Panie Lund, to samo. Myślę, że to może być całkowicie realne.

Kroger odparła:

- Niech cholera weźmie Gaylorda Hanksa, panie Cameron. Przeklina go wielu z nas.

- Niech cholera weźmie Gaylorda Hanksa? - powiedział Lund z niespodziewanym, radosnym uśmiechem. W ferworze rozmowy Kroger nieco zaniedbała główne danie, lecz Lund pochłoniął swoje, od czasu do czasu podnosząc wzrok, wyraźnie śledząc tok rozmowy. - Ja znam Gaylorda Hanksa. Znam go od czasu szkoly, a teraz zna go bardzo wiele osób. Miło mi powiedzieć, że Partia Dziedzictwa ma teraz nowe skrzydło i jeśli o nas chodzi, to Hanks może sobie popłynąć wiosłową łódką na północ.

- A więc moimi gośćmi są członkowie Partii Dziedzictwa. - Wychwycił poprzednie sygnały określające postawę Kroger, nieświadome deklaracje uprzedzeń; przy tym stole, w tym pokoju wcale ich nie widział. Uznał to za oznakę przyjęcia przez tę kobietę barw ochronnych, być może po to, by przeżyć.

- Na pewno nie zwolenników Hanksa - rzekła Kroger. - Nie jest nim żadne z nas. Nie jestem dogmatyczką, tylko uczoną. Tom jest ekonomistą, zajmuje się czarami, jakaś magią i nie wiem, czym jeszcze; ale nie jest większym zwolennikiem Hanksa niż ja czy pan.

- To dość dobra wiadomość.

- Kiedy inwazja odbiła się od brzegów, wewnątrz partii podniosły się ciche wiwaty - powiedział Lund. - To nie zostało nagłośnione, ale, Boże, nie był to kierunek, w którym powinniśmy byli pójść, i wielu z nas o tym wiedziało. Nie mieliśmy sposobu, by to powstrzymać. Kiedy wrócił statek, odezwały się wiwaty w pewnych kręgach; inne jeszcze milczą, a wśród nich są środowiska dość zaskakujące: statku nie chcą niektórzy ze zwolenników wyjścia w kosmos. Chcieli zrobić to samemu, jeśli chce pan usłyszeć szczerą prawdę; cholernie nie uśmiecha im się kolejne panowanie Gildii.

- Znam tych ludzi - powiedział cicho Bren.

- Robotyka - rzekła Kroger. - To jest to, co powinniśmy robić od początku, czego nie mogliśmy zrobić wtedy i co możemy zrobić teraz.

- Nie jesteś sam, Bren - dodał Tom Lund. - Ani ty, ani atevi. Inni dzielą twój entuzjazm dla tych nowych możliwości. Uwierz chociaż w to.

- Wierzę wam. I bardzo chcę przedstawić to aijemu z moim silnym poparciem.

Przy stole zapadła na krótko cisza, cisza pełna nadziei.

- No cóż! - odezwał się Lund. - Dobrze! Ale ufam, że to pomieszczenie jest zabezpieczone. Rozumiemy, że twoi pracodawcy są raczej dobrzy w tych sprawach.

- Owszem.

- Obiecuj Sabin to, co musisz - powiedział cicho Lund - a my dopracujemy razem naszą umowę, podpiszmy ją i zaopatrzymy w pieczęci. Potem powiesz kapitanom.

Bren uśmiechnął się, rozmyślając, że ci dwoje tworzą zupełnie dobry zespół. Czasami wydawało się, że przewodzi w nim Kroger, a czasami Lund, i Bren zaczynał nabierać przekonania, że, tak jak aiji, oboje są przyzwyczajeni do ogłuszania przyszłych partnerów po drodze do zawarcia umowy.

Ale tych dwoje pochodziło ze środka układu Partii Dziedzictwa, może ze skrzydła prokosmicznego, a może z jakiegoś bardziej pokręconego... patronatu; pasowało tu to atewskie słowo, mające głębię emocjonalną i sugerujące jedność. "Koalicja interesów" wydawała się trafniejszym określeniem ludzkiego sposobu działania, dość podobnego i zarazem dość odmiennego od metod rozumiałych dla atevich.

- Zachowam to, o czym rozmawialiśmy - powiedział Bren - i na rym rozmów nie zakończymy. To miejsce jest bezpieczne. To jedna z przyczyn, dla których was tu zaprosiłem. Mam nadzieję, że jeszcze wrócicie.

- Jak najbardziej - odparła Kroger.

Jest to sukces, niekwestionowany sukces, powiedział sobie w duchu Bren. Przeszkody przewracały się na prawo i lewo, ponieważ sytuacja wymuszała współpracę, a zadawniona rywalizacja i stare nastawienia nie przetrwały tego spotkania. To nie był jego tryumf; to był tryumf zdrowego rozsądku po długiej nocy złych decyzji. Trzy lata zmniejszonej władzy Gaylorda Hanksa i mospheiranie mądrzeją na tyle, by zaprząć do cierpliwiej, długiej pracy osoby takie jak Ginny Kroger. Zwolennicy programu kosmicznego zrobili ruch.

Dzięki Bogu, pomyślał Bren.

Służący wykonywali swoje obowiązki w prawie całkowitym milczeniu, posługując się drobnymi sygnałami i zmieniając dania na stole. Dopiero pod koniec posiłku Bren przywołał gestem Naraniego, by poznał gości, których przedstawił w ragi, wraz z tłumaczeniem, a potem powiedział w mospheiranie:

- Uprzejmie jest skinąć głową. Nie trzeba wstawać ani brać ich za ręce.

Goście wykazali się taktem; służący ustawili się w szeregu i kłaniali z wielkim zadowoleniem; wszyscy się uśmiechali - oba gatunki dzieliły ten gest mimo odległego dziedzictwa genetycznego... Bren nigdy się nad tym zbytnio nie zastanawiał i nie uważał za coś dziwnego, dopóki nie zobaczył Bindandy i Kroger uśmiechających się do siebie: oboje sprawiali wrażenie ogromnie zakłopotanych, każde na sposób właściwy swojemu gatunkowi. Może u gatunków zachowujących pionową postawę takie rozproszenie myśliwskiego spojrzenia przez ukłony i uśmiechy było wygodne: trudno piorunować kogoś wzrokiem i jednocześnie się uśmiechać.

- Bardzo dobrze - powiedział w ragi. - Bardzo ci dziękuję, Narani-ji. Czy Kaplan-nadi i Ben-nadi nie sprawiają personelowi kłopotów?

- Najmniejszych, nandi - odparł Narani zadowolonym tonem; uprzejmości rozwinęły się w późne drinki i rozmowy towarzyskie, toczące się, co niebywałe, przy stole. Nie mieli salonu, a sypialnia pana wydawała się mniej odpowiednia dla obcych gości.

Narani przygotował kolację dla Shugart, zostawionej samotnie na posterunku; wziął ją Feldman, kiedy wychodzili zegnani przez Banichiego, Tano i Jago. Kaplan wciąż był oplatany swoją elektroniką, chociaż do kolacji zdjął przynajmniej okular i, jak dowiedział się Bren, napchał się jedzeniem oraz owocowymi cukierkami.

- Ogromnie mu smakowały - powiedziała Jago. - Zjadł ich o wiele za dużo, by je docenić, i chciał jeszcze, więc zupełnie przypadkiem zaproponowaliśmy przez tłumacza, żeby włożył sobie ich trochę do kieszeni.

- Był bardzo zadowolony - dodał Tano. - Jak Jase, nigdy nie próbował tak mocnych smaków.

- Człowiek ma nadzieję, że będzie jednak ostrożny - powiedział Bren.

Owoce. Warzywa. Jase nazywał je smakami wody i smakami ziemi, i mówił, że przez nie cieknie mu z nosa. Nie przeszkodziło mu to objadać się nimi do mdłości. Tano o tym wiedział i Bren miał nadzieję, że ateva ostrzegł Kapłana, zanim wypchał mu słodyczami kieszenie.

Owocowe cukierki.

Poznanie ich smaku przez Kapłana. To prawdopodobnie jeden z pierwszych artykułów importowanych. Jase powiedział, że najbardziej będzie mu brakowało owoców.

A jeśli jutrzejsze spotkanie pójdzie dobrze i zawrą umowę z kapitanami, to nie odczuje ich braku długo.

W poczcie nie było wiadomości od Toby'ego. "Witaj, pogodziliśmy się z Jill i wszystko jest w porządku" idealnie zakończyłoby wieczór.

Ale Toby nic nie napisał... co było zrozumiałe. Przez ostatnie kilka lat Bren zajmował zbyt dużo miejsca w życiu brata; najwyższy czas pozwolić Toby'emu, żeby sam zajął się swoim życiem, małżeństwem... dziećmi. Musi trzymać ręce przy sobie.

Tymczasem dostał falę odpowiedzi na poranną pocztę, odpowiedzi z kontynentu, pytanie z biura, co mają tłumaczyć z tego, co przyszło z góry, czyli z archiwum, a było to pytanie zasługujące na odpowiedź opartą na lepszych informacjach niż te, które Bren miał w tej chwili. Powinien ułożyć list do Uniwersytetu, by sprawdzić, czy mogą zwolnić indeks, jaki na pewno tam ułożyli.

Tymczasem Algini został oswobodzony ze swojego zamknięcia, chociaż służba przemyciła do niego kolację. Ochronę trzeba było zorientować w sytuacji, więc Bren streścił szybko w ragi to, o czym rozmawiał z Kroger i Lundem.

- Maszyny sterowane przez komputery - powiedział, ale było to dość niezręczne. "Roboti" brzmiało nieszczęśliwie, podobnie do wulgarnego słowa na określenie wariata, co na pewno nie natchnie atewskich robotników do obdarzenia tych urządzeń zaufaniem.

- Botiin - powiedział, co zabrzmiało jak "przewodnik" albo "władca". - Jak maszyny wytwórcze, ale potrafiące odbyć podróż do miejsca pracy w bardzo niebezpiecznych rejonach. Ateva siedzi sobie wygodnie i nimi kieruje.

- Kontrola ruchu powietrznego - powiedział Banichi, podsumowując wiele z tego, co atevi uważali za dziwne w mospheirskim postępowaniu; system ten wciąż był przedmiotem zażartych dyskusji w związku z indywidualnym prawem drogi, historycznym pierwszeństwem oraz pomyślnością liczb.

Bren musiał się rozeźmiać, co prawda smutno, przewidując przyszłą batalię - ale batalię, którą może wygrać.

Którą wygra.

- Muszę napisać do Tabiniego list - poinformował swój poważny personel. - Chciałbym, żebyście pomogli mi go tak napisać, by brzmiał lepiej niż kontrola ruchu powietrznego.

Uznali, że to jest śmieszne, i Bren poszedł wziąć wieczorny prysznic w dobrym humorze; rozebrał się, mając myśli zajęte wyjaśnieniami, co to takiego są roboty, a do kabiny wszedł, zastanawiając się nad pytaniem o tłumaczenie indeksu dającego atevim dostęp do archiwum.

Szorował się energicznie, tak szczęśliwy, jak nie był już od wielu lat.

Spodziewał się jutro kontrpropozycji. Spodziewał się też, że jej nie otrzyma. Być może kapitanowie nawiązują kontakt z grupą Kroger, a już na

pewno zostali poinformowani, że goście nad czymś radzą podczas prywatnych spotkań. To wywoła niepokój.

Woda zrobiła się zimna. Przeszywająco, pałaco zimna. Nieprzenikniona ciemność. Cisza.

- Cholera! - krzyknął, przez chwile zagubiony, a potem zelektryzowany poczuciem zagrożenia. Wyszedł z kabiny w całkowitej ciemności, macając przed sobą rękoma.

W korytarzu zobaczył nikłe światło ręcznej latarki.

Poruszały się tam atewskie cienie. W pokoju pojawiło się jedno ze źródeł światła, chwytając go w swój krąg. Bren wyrzucił w górę ręce i promień odchylił się, odbijając od ścian już mniej jaskrawo.

- Zdaje się, że zabrakło prądu - stwierdziła Jago.

- Cały jestem w pianie - powiedział Bren, jeszcze wstrząśnięty. - Obawiam się, że wszystko szło zbyt dobrze. Nadi-ji, poinformuj, proszę, personel. Prąd jest tu sprawą życia i śmierci. Mam nadzieję, że pojemniki z paliwem w kuchni utrzymają ciepło przez jakiś czas, ale rozumiem, że może go zabraknąć bardzo szybko. Używajcie ich oszczędnie. Niech personel zbierze się w pobliżu kuchni.

- Powinny jakiś czas wytrzymać - powiedziała Jago. - Podobnie jak nasz sprzęt.

Dołączył do niej Bindanda i, skonsternowany, podszedł z szlafrokiem do Brena.

Bren go wziął.

- Ciepła woda, jeśli łaska. - Oburzające żądania nie były oburzające, jeśli dawały zajęcie personelowi, a Bren był cały namydlony. - Chcę skończyć kąpiel.

- Natychmiast, nandi.

Natychmiast nie było za bardzo możliwe i Bren miał aż za dużo czasu, by słuchać, jak jego personel radzi sobie z katastrofą, spróbować włączyć konsolę łączności i stwierdzić, że nie działa.

Ciepła woda pojawiła się mimo wszystko dość szybko i Bindanda pomógł mu spłukać mydło, ustawivszy latarkę na blacie, jak lichtarz.

- Bardzo dobrze - powiedział Bren, szczękając zębami i usiłując nie myśleć o ogólnej awarii prądu.

Na tle nikłej poświaty dobiegającej z korytarza pojawił się duży cień.

- Bren-ji?

Banichi.

- Jakies wiadomości? - Nie spodziewał się żadnych. - Jeśli zabrakło prądu, to jest sam statek, jeśli oczywiście to nie atak obcych.

- To byłaby bardzo zła wiadomość - stwierdził Banichi z tym swoim ogromnym spokojem.

W tej jednak chwili z wentylatorów dobiegł jakiś dźwięk. Wirniki ruszyły, stanęły.

- No cóż - powiedział Bren. - Starają się to naprawić. Powietrze próbuje się przedostać.

Chwytał wilgotny szlafrok, wciąż noszący ślady mydła. Zamierzał połączyć się z C1, jeśli tylko zdarzą się chwilowe nawroty zasilania, ale Bindanda pośpiesznie wyrwał Brenowi szlafrok i podał mu suchą narzutę. Bren zarzucił ją sobie na ramiona i wcisnął C1.

Nie było odpowiedzi.

- Zamek jest elektroniczny - rzekł Banichi - i mamy do niego dostęp; możemy wyjść na zewnątrz tej sekcji.

- Nie mamy całkowitej pewności, że po drugiej stronie drzwi jest powietrze - rzekł Bren, żałując, że nie mogą podłączyć prądu do konsoli; ale to by się na nic nie zdało, skoro nikt nie słucha. - Czy mamy radio, Banichi-ji?

- Tak - odparł z mocą atewa. - Wolelibyśmy go nie używać.

- Zrozumiałe. Idealnie.

Bren ucieszył się na myśl, że w sytuacji ekstremalnej mogą mieć możliwość skontaktowania się ze statkiem albo nawet samym promem, w nadziei na jakąś wiadomość o tym, co się dzieje na zewnątrz ich sekcji.

Zapaliły się światła. Wentylatory zaczęły mieszać powietrze.

Bren i Banichi spojrzeli po sobie, głęboko zamyśleni; Bren westchnął.

- No cóż - powiedział - prawdopodobnie będzie działać. Oszczędzajcie paliwo, dopóki się nie dowiemy, co naprawdę się dzieje.

- Ateva tak robi - odparł Banichi. - Tymczasem... spróbujemy się dowiedzieć.

- Zaczekaj - polecił Bren i jeszcze raz spróbował połączyć się z C1. - C1. Co się dzieje? Słyszysz mnie?

- Awaria została zażegnana - odezwało się C1; nie był to główny dyżurny zmiany, lecz jakaś kobieta. - Nie ma powodów do niepokoju.

- Czy to się często zdarza, C1? Co się stało?

- Sądzę, że ekipa techniczna usiłuje rozwiązać ten problem, sir. Drobną trudność. Koniec, sir.

C1 rozłączyło się. C1 mogło mieć własne kłopoty. Bóg jeden wiedział jakie.

- To nie jest inwazja obcych - stwierdził Bren. - Oficer z centrum komunikacji twierdzi, że nie zna przyczyny.

Banichi mógł tyle zrozumieć.

- Ateva zastanawia się, jak powszechne to było.

Pojawiła się Jago; w korytarzu rozległy się niespotykane pokrzykiwania między personelem, który potwierdzał działanie wyłączników.

- Nie mam pojęcia - odparł Bren. - C1 z pewnością o tym wiedziało.

- Człowiek powinien odpocząć, Bren-ji - powiedziała Jago. - Jedno z nas zawsze czuwa.

Nie wątpił. I nie wątpił w słuszność rady, bez względu na to, co technicznie działo się ze stacją.

W ciągu nocy nie zdarzył się drugi alarm.

Rano nie był specjalnie zdziwiony, kiedy C1 powiedziało, że Sabin odwołała ich spotkanie; nie był specjalnie zdziwiony wiadomością, że nie ma łączności z Mogari-nał. Łącze z ziemią nie działało. Ani statek, ani stacja z nikim się nie komunikowały.

- Czy wciąż istnieje zagrożenie? - zapytał. - Czy stacja jest nienaruszona?

- Całkowicie nienaruszona, sir - odparło C1, normalne, dzienne C1, co uspokoiło Brena. - Przepraszam. Nie znam szczegółów. Muszę się wyłączyć.

Co najmniej rozczarowujące. Bren poszedł przedstawić sytuację swojemu personelowi i powiedzieć, że zmienił się plan dnia.

- Nie wiem dlaczego. Nie poczuliśmy żadnego wstrząsu, czy to od wybuchu, czy od zderzenia z jakimś przedmiotem, ale nie wiem też, czy na tak dużej konstrukcji byłoby to wogóle możliwe. Będę dzisiaj pracował u siebie. Po prostu róbcie, co trzeba.

Pod pewnymi względami był to długi dzień, denerwujący i niepokojący dzień, ale przynajmniej nie zdarzyła się żadna awaria prądu.

Bren robił notatki z dyskusji z Kroger. Odpowiadał na listy. Pisał listy... powstrzymał się od napisania do Toby'ego i zadał sobie pytanie, czy łączność zostanie przywrócona.

Kolacja była spokojna. Bren oznajmił, że nie jest szczególnie głodny. Może nieco się przejadł poprzedniego dnia.

- Bardzo mało się tu ruszam - powiedział Naraniemu. - Nie chodzę wystarczająco dużo. Oczywiście zaspokój pragnienia personelu, ale ja potrzebuję nie więcej niż miseczkę zupy.

Po całym dniu pracy najbardziej się martwił, czy połączenie z ziemią będzie dobrze działać, ale wyglądało, że tak.

Jednak wszystkie wiadomości pochodziły z kontynentu.

- Proszę mnie połączyć z Jasem Grahamem - powiedział zgodnie z rytuałem ustalonym z C1.

- Sir, on wciąż bierze udział w naradzie.

- Sądziłem, że może będzie nieco mniej zajęty, z uwagi na problemy ze stacją.

- Powiedziano mi, że wciąż jest na spotkaniach.

- Yolanda Mercheson?

- Wciąż na spotkaniach.

- Kapitan Sabin.

- Wciąż na spotkaniach, sir, przykro mi.

- Kapitan Ramirez.

- Sir, wszyscy kapitanowie są na spotkaniach.

Człowiek zastanawiał się, czy cokolwiek jest załatwiane na statku czy na stacji. Bren chciał być pogodny ze względu na swoich służących, ale w głębi serca martwił się, będąc coraz bardziej pewnym, że Ramirez nie zebrał swojej większości i że spotkania, w których biorą udział Jase i Yolanda, prawdopodobnie oznaczają siedzenie pod strażą, w izolacji, oraz udzielanie odpowiedzi na pytania ze strony znajdującego się w impasie patronatu kapitanów.

I był to najbardziej optymistyczny scenariusz.

Przy łóżku Brena zamajaczył czyjś cień - po prostu pojawił się, kompletnie czarny, i serce Brena podskoczyło ze strachu.

- Życzysz sobie? - usłyszał szept Jago. - Nadi?

- Bren-ji - poprawił ją. - Nie podobają mi się niektóre aspekty tego bycia panem. Usiądź.

Zrobił dla niej miejsce na wąskim łóżku, jednocześnie uświadamiając sobie, że nie zmieszczą się na nim oboje, a w każdym razie nie będzie im wygodnie.

Posunął się, poczuł, jak Jago oplata go ramionami. Głębsza myśl i ponury nastrój zniknęły, całkowicie ustępując wygodnemu patronatowi i swobodnej, delikatnej otusze, którą dawał jej uścisk. Westchnął, nie musząc nawet unosić własnego ciężaru, nie przy Jago, która instynktownie go podtrzymała. Jej oddech muskał włosy Brena, prześlizgiwał mu się po ramieniu jak tchnienie lata i przez długą chwilę, aż po samą krawędź snu, Bren po prostu nie myślał.

Czuł jednak pewien niepokój, miał poczucie niejakiego skrępowania, pokoje były takie małe, personel bardzo stłoczony. Łóżko wymagało ostrożnych manewrów.

- Nie może ci być tu wygodnie - powiedział. - Nie budź się dla mnie ze zdrętwiałymi plecami.

- Nie mam trudności - odparła.

Zwykle marzył, ale nie wtedy, kiedy w łóżku była Jago. Naprawdę jednak nie chciał, by ciasnota kwatery stworzyła jakąś trudność.

- Może powinnaś iść z innych powodów - szepnął jej do ucha. Zawsze czuł się winien, myślał o tym związku, wydarzeniu, czy jakkolwiek mogła to nazwać. Ma przecież partnera. Do tej pory Bren nie miał pojęcia, czy jej bytność u niego oznacza jakiś dozwolony rozłam w tym partnerstwie ani co łączy ją z Banichim. Nie miał najmniejszego zamiaru zniszczyć ich wzajemnego zaufania. Nigdy jeszcze nie mieszkali tak blisko siebie. Jago zawsze go zapewniała, że Banichi rozumie, rozumie, rozumie, ale tej nocy Bren był niespokojny.

- Jakich innych powodów?

- Na przykład, żeby się wyspać.

- Mogłabym zasnąć, gdyby nand' paidhi nie mówił.

- Nie o to chodzi - powiedział i wyczuł napięcie, które sam stworzył. - Cały personel pewnie już wie, Jago-ji.

Odczuł raczej, niż usłyszał, jej śmiech.

- Ateva jest o tym przekonana.

Nie mógł już dłużej znieść tych uników. Wyswobodził się i oparł nie-pewnie na ręce tuż przy krawędzi, skąd mógł jej spojrzeć prosto w twarz.

- Jago-ji. Nie chcę zranić Banichiego. Mam dla ciebie ogromny szacunek i wiem, że ty nigdy byś go nie zlekceważyła, ale martwię się, Jago-ji, naprawdę martwię się tym, co myślisz.

- Jest rozbawiony.

- Wiem, że tak mówisz, ale mężczyzna jest mężczyzną, a osoby są osobami i mogą coś powiedzieć; to nie tworzy rzeczywistości, Jago-ji. Nie pragnę go obrazić. Byłbym zdruzgotany, przyczyniając się do rozłamu między wami.

- Nie ma żadnego rozłamu i nigdy nie było.

- Czy jesteście kochankami, Jago-ji? - Ścigał to pytanie przez wszystkie lata ich związku. - Czy jesteście... wybaczyć, że o to pytam, ale przysparza mi to wiele zmartwienia i sprawia, że czuję się winny... - Jago przypuściła na niego atak, ale odparł go, zdecydowany wydusić to, co próbował wyrazić dziesiątki razy - ...winny, że przekroczyłem jakąś barierę, której mogłem nie zrozumieć...

Ciało Jago zadrżało. Po chwili Bren domyślił się, że ze śmiechu. Twarda, delikatna dłoń przesunęła się powoli po jego ramieniu.

- Bren-ji. Nie.

- Co to znaczy: nie, nadi? Czy jesteście kochankami?

- Bren-ji. On jest moim ojcem.

Bren był oszołomiony. Przetoczył się na plecy, padł na poduszkę i zapartrył się w sufit. Cały wszechświat zmienił kierunek.

A potem cienki materac ugiął się i ogólna ciemność ustąpiła zarysom Jago, która umieściła łokieć z drugiej strony Brena i palcami powiodła od jego podbródka w dół.

Rozbawiony, powiedziała. Banichi był rozbawiony ich flirtem.

Nie miał im tego za złe.

Ale jej ojciec?

- Bren-ji. W Gildii nie rozgłaszamy naszych związków. Mówię ci to w zaufaniu.

- Szanuję to.

- Ateva nie ma wątpliwości, że paidhi jest dyskretny - rzekła Jago i znalazła jego ucho, jego dłonie... wywinięcie się z uścisku Jago było trudne i Bren nie zamierzał nawet próbować. Po raz pierwszy miał w stosunku do niej właściwie czyste sumienie i żart do odpłacenia. Przyciągnął ją bliżej, nie martwiąc się już bliską obecnością służących.

Nieoczekiwanie skończyło się łóżko i nieomal z niego spadli.

Jago po prostu stoczyła się na podłogę, pociągając za sobą Brena i pościel, po czym się roześmiała.

18

Jago zniknęła przed świtem; kiedy Bren się obudził, leżał w łóżku, a po korytarzu krążył zapach śniadania.

Bindanda i Kandana nie bardzo chcieli patrzeć mu w oczy. Bren, zmartwiony, zastanawiał się, czy wprawili z Jago w zakłopotanie cały personel. Nie znajdował słów i uznał, że powinien zapytać Jago... naprawdę powinien się szybko dowiedzieć, co mówi personel. Nie mógł zapytać Banichiego; nie potrafił sobie wyobrazić takiej rozmowy. Wiedział, że się zaczerwieni. Z Jago wszyscy mogli się bezlitośnie nabijać i przecież trudno byłoby ją pytać.

Bren pomyślał, że może mógłby porozmawiać z Tano... raczej z Tano niż ze statecznym, pełnym godności Naranim. Może uda mu się po drodze na śniadanie, które inaczej mogło się okazać bardzo krępującym wydarzeniem.

Na dzień, w którym planował tylko pracę przy biurku, wybrał swobodne ubranie: sweter i lekkie spodnie oraz kurtkę nadającą się do noszenia na dworze, ale mniej więcej odpowiednią do chłodnego powietrza stacji, po czym odprawił Bindandę i Kandaną, włączył komputer, wysłał i odebrał pocztę za pośrednictwem C1, które po zwykłej litanii pytań odmówiło mu kontaktu z

Jasem, Yolandą czy kapitanami, z trójką których Bren bardzo chciał się porozumieć.

Żadnej wiadomości od Toby'ego, żadnej od matki, tym razem nawet nic od Tabiniego, który prawdopodobnie zastanawiał się nad ostatnią albo po prostu miał co innego do roboty niż słać paidhiemu codzienne upewnienia. Do pakietu wśliznęły się dwie reklamy, jedna pościeli, a druga sprzętu wędkarskiego, i Bren przyjrzał im się pokrótce, szukając jakichś wiadomości z Biura Spraw Zagranicznych, jakiejś wskazówki, że ktoś przysłał mu coś tajnego. Informacja jednak pochodziła od wytwórcy sprzętu wędkarskiego z północnego wybrzeża, u którego zaopatrywał się Toby.

Był to jednak tylko efekt kolejnej czkawki filtra komunikacyjnego. Takie rzeczy trafiały do jego skrzynki na wyspie, a Bren nie miał tam żadnego personelu, który by je odsiewał.

Wiadomość od przewodniczącego Komisji Transportu donosiła o postępach w budowie nowego portu kosmicznego. Wyprzedzono harmonogram.

Bren zasunął do połowy zamek w kurtce i wyszedł na korytarz, w rutynowym pośpiechu zmierzając do jadalni.

Uderzył głową w pierś kogoś obcego.

Odskokzył, natychmiast wykonując polecenia dawno temu wbite mu do głowy przez ochronę, i już miał wpaść tyłem z powrotem do pokoju, kiedy jego wzrok zarejestrował oznaki zakłopotania i szacunku u drugiego uczestnika incydentu.

Atewska obecność na stacji była całkowicie ograniczona, a co więcej, Bren znał tego mężczyznę: nie pamiętał jego imienia, ale był to jeden ze stewardów z promu.

- Nand' paidhi - rzekł ateva i ukłonił się drugi raz. - Za pozwoleniem. Nojana z załogi aijiego na "Shaishan".

- Oczywiście! - zawołał Bren z bijącym sercem i pośpiesznie odetchnął. - Jak się tu dostałeś?

Nie był już sam w korytarzu. Hałas, jakiego narobił, natychmiast wywabił Tano, Alginiego i Jago z posterunku ochrony, a Bindandę z jadalni... co mogło powiedzieć coś niecoś o jego powiązaniach z Gildią. Bren zauważył to, powoli się uspokajając.

- Przysłał mnie Banichi, nand' paidhi - rzekł Nojana. - Chciał rozmawiać z kapitanem.

- Parijo. Kapitan promu.

W tym barszczu było zdecydowanie za dużo kapitanów.

- Właśnie tak, nand' paidhi. - Nojana nie miał na sobie munduru stewarda, lecz czerń Gildii Zabójców... Gildii ochroniarzy, a sądząc po wzroście i budowie stewarda, był to typ Banichiego, z jego muskularnymi ramionami. Nie był to mężczyzna przyzwyczajony do podawania napojów oraz tabletek przeciwko chorobie lokomocyjnej, ale gdy miał na sobie poprzedni mundur, nie było to tak oczywiste.

- A to jest twój mundur, nadi?

- Nie, nand' paidhi.

- Od jak dawna tu jesteś?

- Od północy, nandi.

Bren zerknął na swoją własną ochronę oraz, z poczuciem lekkiej irytacji, na Jago, której przybycie do jego kwatery i zdeterminowane działanie nie pozostawiło Brenowi ani skrawka uwagi, którą mógłby zwrócić na fakt, że zeszłej nocy otworzyły się i zamknęły uszczelnione drzwi.

Jago zachowała się nienagannie, odpowiadając na jego spojrzenie pełnym zadowolenia uniesieniem podbródka i cieniem uśmiechu.

Bren pomyślał, że rzeczywiście było to lepsze niż dosypanie mu czegoś do napoju, a poza tym nie miał żadnych wątpliwości, że Jago kochała się z nim uczciwie, tyle że miała w tym ukryty cel.

Nie zamierzał też besztać członkini wyższego personelu w obecności obcego czy służby. Po prostu uspokoił się, uśmiechnął, skinął głową na znak

pochwały udanej operacji, to znaczy oszukania paidhiego i wydostania Banichiego na zewnątrz bez konsultacji z nim - i skierował pytanie do Nojany.

- Czy jadłeś śniadanie, nandi, i czy zechcesz nam towarzyszyć?

- Dostałem po przybyciu herbatę, nandi, i dziękuję paidhiemu za jego uprzejmą propozycję. Byłbym bardzo zaszczycony.

- A zatem przyłącz się do nas. - I jednym spojrzeniem oddał Nojanę pod opiekę Tano i Alginiego.

Opuszczając broń, dał Jago znać, by zaczekała.

- Jak, u diabła'? - zapytał półszepem. - Jak się tu dostał? Poszli po niego... - Potrafił sobie wyobrazić, że załoga promu ma jakieś pojęcie o stacji; nie była to jej pierwsza podróż. - Czy posłużył się mapą? - Nawet wtedy narażał się na ryzyko, na przykład wejścia w kolizję ze statkowymi kapitanami i ludźmi pokroju Kaplana. Bren był przerażony. Zmrożony samą myślą... a jednak skoro Banichi zrobił coś takiego, to na pewno było to do-
brze przemyślane. - Jago, wiem, co zrobiłaś. Nie jestem zły. Ale co on robi?

- Chce się upewnić, że prom nie ma opóźnień.

- Czy już to ustaliliśmy?

- Nojana mówi, że tak. Nie było żadnych trudności. Wartości nominalne pod każdym względem. Gdyby nie drobne szczegóły, mógłby wyruszyć wcześniej.

- Nie ma powodów, by wyruszał wcześniej, a może dzieje się coś, o czym nie wiem?

- Ateva chce mieć pewność. Banichi niepokoi się zachowaniem kapitanów.

On sam się tym niepokoił. Ale wyprawić się przez nieoznaczony labirynt korytarzy...

- A gdyby został zatrzymany?

- Sprawdzaliby stan stacji z własnej inicjatywy.

Było to przyzwoite kłamstwo.

- A gdyby po prostu się zgubił? Od czasu, kiedy zostały sporządzone nasze mapy, poczyniono zmiany, Jago-ji! Jak Nojana się tu dostał? Przecież nie prosiliście Kaplana.

- Nie - odparła spokojnie Jago, lekko wzruszając ramionami. - W żadnym razie Kaplana. Myślisz, że nie robili znaków, by mospheiranie się zgubili.

- To my mieliśmy się zgubić. Mówisz, że wy się nie gubicie.

Drugie lekkie wzruszenie ramion.

- Przecież wracaliśmy stamtąd piechotą, Bren-ji.

Teraz już rzadko jakaś atewsko-ludzka różnica zaskakiwała go tak całkowicie. Zaczepnął tchu, powtórzył w myślach to zdanie i wychwycił znaczenie, którego się domyślał.

- Chcesz powiedzieć, że nie tracicie rachuby drzwi.

- Tak - odparła radośnie Jago, zgodnie z niepokojącym zwyczajem ragi potwierdzania przeczenia. - A ty tracisz?

Kiedy się nad tym zastanowił, uznał, że chyba ma niezłe pojęcie, jak dotrzeć do sekcji Kroger: przecież liczył widziane rzeczy; całymi latami się w tym szkolił, od błyskawicznie zmienianych ekranów na uniwersytecie do desperackich sesji prawdziwych negocjacji, prawdziwych konfrontacji. Nauczył się tej percepcji i owszem, rozumiał, że umysł, który ma wrodzony taki sposób postrzegania, może mieć nad nim przewagę. Środki zapobiegawcze kapitanów przeciwko inwazji były po prostu bezużyteczne w zetknięciu z atewską pamięcią do zestawów i struktury. W ten sam sposób atevi raz spojrzeli na projekty komputerów, które służyły ludziom od setek lat, i skrytykowali ich podstawowe założenia w kategoriach całkowicie odmiennego patrzenia na wszechświat.

- Zdumiewające - wykrztusił. - Naprawdę zdumiewające. Nie powinien wplatać się w kłopoty, Jago-ji.

Ani słowem nie wspomniał o odwróceniu jego uwagi zeszłej nocy. Nie potrafił powiedzieć, czy gdyby Banichi przyszedł z propozycją wycieczki, mającej na celu sprawdzenie bezpieczeństwa promu, to by się nie sprzeciwił. Był bardzo ostrożny z Banichim, a w szczególności z Jago... tak jak przypuszczał, że oni byli ostrożni z nim; nie mógł zaprzeczyć, że mają do tego

powód, że jest tu na górze cholernie cennym towarem i że w pewnym sensie przywiezienie go tu było szaleństwem.

Nie mógł też jednak ulec paraliżowi z powodu własnej wartości; aby być cennym, musi wykonać swoją robotę, i to jest najważniejsze.

Banichi przysłał mu Nojanę i Bren zamierzał jak najlepiej wykorzystać tę zamianę.

- To jest warte tego spaceru, nand' paidhi. - Nojanie bardzo smakowało śniadanie; nie można go było za to winić. - Bardzo warte, i jestem zaszczycony.

Niezbyt uchodziło pytać ateva o jego Gildię, jeśli nie było to jasne albo sam ateva nic nie mówił, ale Bren miał swoje przypuszczenia, patrząc na atletyczną sylwetkę Nojany. Ręce całkowicie wypełniały pożyczony mundur. Na piersiach dostrzegł trochę luzu, ale bardzo mało. Mógł być trochę wyższy - rękawy nie były zbyt dopasowane.

Nojana był członkiem Gildii Zabójców i personel Brena bardzo dobrze go znał: była to mała i dobrze umiejscowiona gildia, generalnie opowiadająca się za aijim, z rzadkimi i zrównoważonymi wyjątkami. Do polityki Gildii paidhi nie miał wglądu i uznał, że mądrze jest o niego nie zabiegać, tak jak nie zabiegał o to sam aiji.

Nojanie zdecydowanie dopisywał apetyt.

- Jak długo zostaniesz? - zapytał Bren, rezerwując "Co, do diabła, knuje Banichi?" na chwile spędzone z własnym personelem.

- Ateva nie ma pewności, nand' paidhi.

Była to dość wymijająca odpowiedź, ostrzegająca wtajemniczonych, że dany ateva gra na zwłokę, a jeśli będzie naciskany, uczyni to bardziej twórczo... będąc zbyt uprzejmym, by kłamać, chyba że zostanie przyparty do muru.

Człowiek przyjmował taką odpowiedź, zamykał się i później pytał Jago, wciągając ją do swego pokoju.

- Nie wiem - usłyszał odpowiedź.

- W porządku. Ale ja nie wiem, czy wrócę następnym lotem. To leży w granicach mojego osądu.

- Ateva martwi się - odparła Jago. - Może się tym zająć personel. Ktoś mniej cenny.

- Mniej cenny dla aijiego, ponieważ ktoś taki mógłby mniej zrobić.

Jeśli mogę zawrzeć umowę z kapitanami, to powinienem ją zawrzeć. Jeśli mogę wymóc na Ramirezie dotrzymanie umów, nawet jeśli powstanie różnica zdań, to powinienem to zrobić. Jeśli mogę uwolnić Jase'a, powinienem go uwolnić. Tymczasem, Jago-ji, przygotowuję pocztę, jeżeli będę miał więcej niż kilka godzin.

- Jest więcej niż kilka godzin. Powiedziałałabym, że dość sporo, nadi.

- Co on robi?

- Ateva nie może powiedzieć.

- Dobrze - powiedział strapiiony Bren - dobrze, pokaż Nojanie to, co musi wiedzieć, a ja przygotowuję pocztę. Zawiadom mnie przynajmniej na godzinę przed jego odejściem.

- Nie wiem, czy mogę to zrobić - zaprotestowała Jago.

- Wiem, że potrafisz czynić cuda. Wierzę, że tak będzie. I masz nie ryzykować, Jago-ji! Masz nie opuszczać tego miejsca, chyba że ja powiem inaczej.

- Nie mogę przyjmować takich rozkazów - odparła Jago, ale szybko dodała: - W tej chwili jednak nie widzę powodu, by wychodzić.

- Godzinę wcześniej - powtórzył i odszedł, zabezpieczając się przed niespodziankami, by wydać to samo polecenie Nojanie i powiedzieć mu, że ma przesyłki, które muszą dotrzeć do Tabiniego i że powinien je ze sobą wziąć Nojana.

To oznaczało uporządkowanie notatek w jakąś spójną całość i, co więcej, przeniesienie ich na efemeryczną kartę, którą zawsze przy sobie nosił od

złych dawnych czasów przybycia Jase'a i próby wylądowania na kontynencie Deany Hanks. Karta miała przycisk, którego użycie powodowało po prostu - fizycznie, dzięki żrącemu składnikowi - zniszczenie nośnika tak, że nic nie dało się odczytać; Bren nie lubił posługiwać się tą kartą - miał straszne wizje zapoczątkowania reakcji w chwili, gdy zapisywał tekst, a poza tym scenariusz użycia jej przewidywał sytuację, w której Bren mógłby zechcieć zniszczyć całą zawartość pamięci komputera; to jednak było o wiele mniej straszne: wystarczy oddać Nojana zapis i polecić mu, by osobiście wręczył go przełożonemu ochroniarzowi.

- Tylko jemu - powiedział Bren z naciskiem. - Ta fiszka, rozumiesz, musi pozostać nienaruszona, chyba że twoim zdaniem zaistnieje niebezpieczeństwo dostania się jej w inne ręce. Kiedy ją przedrzesz, zapis zostanie zniszczony. Jeśli spróbuje ją odczytać nieodpowiednie urządzenie, rezultat będzie opłakany dla obu przedmiotów.

- Ateva rozumie - odpowiedział żarliwie Nojana. - Zapis dotrze do straży aijiego.

- Doskonale. Jeżeli wystarczy czasu, będzie jeszcze jeden. To są najważniejsze sprawy.

- Paidhi ma obawy związane z bezpieczeństwem tutaj czy na ziemi? - ośmielił się zapytać Nojana.

- Głównie tutaj. Bądź jednak ostrożny i zaraz po wylądowaniu poproś o eskortę; nie sądzę, byś musiał prosić dwa razy. Wyczuwając, że ateva może mieć jakieś tajemnice, zapytał: - A czy ty masz jakieś obawy, o których powinna wiedzieć moja ochrona?

- Poinformowałem ich o zasadniczych sprawach, nadi.

- Poinformuj nas wszystkich - rzekł Bren. - Chcę to usłyszeć bezpośrednio i zadać pytania.

- Tak, nandi - powiedział Nojana i powiedział im o tym, co wie, przy co najmniej trzech filiżankach herbaty, którą Algini zrobił sam, nie prosząc o to służby, i którą wypili na posterunku ochrony.

- Niektórzy członkowie załogi zapoznali się z nami - powiedział Nojana - i rozmawiamy ze sobą, wychodząc poza zakres obowiązków. Dzielimy się z nimi jedzeniem, nadmiarem słodczy, które bardzo im smakują, i zdobywamy ich dobrą wolę. Oni wspominają o swojej rekreacji i związkach, które znamy i o których mogę wam powiedzieć.

- Powiedz - poprosiła Jago i Nojana opisał ludzi, których nazwiska albo stanowiska znali, wymieniając wszystkie inne związane z nimi nazwiska oraz to, na kogo się skarżyli lub kogo chwalili: Nojana miał doskonałą pamięć do takich rzeczy, co było drugą naturą atevich, a u ludzi byłoby cechą wyróżniającą, choć nie według wzorców, jakie podejrzewałby Nojana.

- Bardzo, bardzo dobrze - pochwalił Bren, uzyskawszy z tego i z opowieści Jase'a wyraźny obraz: skłonność do formowania jakby rodzin, a nawet rodów i całej domowej otoczki. Wszystko to w ramach tradycji małżeństwa, lecz bez częstego jej praktykowania. - Wiesz, kto to jest Jasi-ji. Poznałeś go.

- Tak, nandi, miałem ten zaszczyt.

- Mieszka tu jego matka, a może i inni towarzysze. Nie możemy się z nim skontaktować: kapitanowie wydali zakaz. Gdybym wysłał wiadomość, mógłbyś wykorzystać któryś z twoich co bardziej niewinnych kontaktów, by przekazał jej dyskretnie prośbę o skontaktowanie się z nami? Mam wrażenie, że z drugiej strony dałoby się to zrobić znacznie łatwiej. Wszystkie nasze wiadomości kierują przez jeden kanał; chyba nie mamy ogólnego dostępu do łączności, jak zapewne mają go inni. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. - Jak się kontaktujecie z władzami?

- C1 to centrum łączności, Q 1 komunikacja dokowa, ale znamy jeszcze inne numery.

- Nie macie trudności w łączeniu się z nimi?

- Nic mi o nich nie wiadomo. Mówię w mospheiranie na tyle dobrze, nandi, że jeśli chce się z nami połączyć jakiś robotnik, często przyjmuję

rozmowę, a jeśli któryś może się spóźnić, zawiadamia nas, i my czasami dajemy im usprawiedliwienie, jakby byli w pracy, choć nie są.

- Chcesz powiedzieć, że proszą was o ukrywanie ich opieszałości i nieobecności.

- Nadrabiają niedobory dość chętnie. Nigdy nie było to dla nas przeszkodą. Czy robimy źle?

- Wcale nie - odparł Bren. - W żadnym razie. - To, że załoga znajdowała okazje do urywania się ze służby, mieściło się w ludzkim wzorcu; to, że nadrabiała pracę, było wzorcem załogi, która rozumie harmonogram i zamierza go zrealizować, a pracujący z nimi atevi już się tego nauczyli. Wykorzystanie tej drogi do skontaktowania się z matką Jase'a mogło być nierozsądne... na razie. Możliwe, że spowodowałyby podejrzenie o złe zamiary i kontakt mógłby zostać odrzucony, a nawiązanie go nie było jeszcze tak pilne. - A którego człowieka poprosilibyście o skontaktowanie się z kimś spoza waszego rejonu, gdybyście musieli zrobić coś takiego?

- Kelly. Młoda kobieta. - Nojana odpowiedział bez wachania. - Ma kochankę. Czasem się z nim spotyka. Bardzo dobrze zna Jase'a.

- Czy ten temat się pojawił? Nie możemy skontaktować się z Jasem; jestem nieco zaniepokojony, nadi. Czy ona wyrażała troskę?

- Starła się coś mi powiedzieć o związku z Jasem, ale słowa mi umykają. Chyba uważa, że Jase jest stowarzyszony z Ramirezem.

- Tak, to prawda. Ramirez działa jako jego aiji albo ojciec.

- W istocie. Kelly powiedziała, że Jase nadi jest z Ramirezem.

Nojana użył mospheirskiego słowa.

- "Z" oznacza bardzo dużo rzeczy. Zapytaj, czy Jase'owi grozi niebezpieczeństwo.

- Znam to słowo. Czy mam zapytać nadi Kelly?

- Jeśli możesz to zrobić dyskretnie.

- Ateva postara się zachować dyskretnie.

- Kiedy dostarczysz Tabiniemu przesyłkę, poinformuj go o wyniku tej rozmowy. Wątpię, czy byłoby bezpiecznie przesłać wiadomość do mnie, chyba że też polecę... co mój personel zdaje się uważa za wskazane. Ja żywię wątpliwości.

- Zrobię tak - rzekł Nojana. - Na pewno tak zrobię, nand' paidhi.

Potem trochę rozmawiali; Nojana spał i obudził się ze służbą, otrzymał kolejne pliki, delektował się wspólnie spożywanymi posiłkami.

- Jak długo zostanie? - zapytał Bren bezpośrednio Jago.

- Niedługo. Może do dziś wieczór.

- Jak on tu w ogóle trafił? - spytał Bren, bo ta myśl zaczęła go nękać.

- Banichi wysłał go z instrukcjami - odparła Jago. - Jestem bardzo pewna. A Banichi niczego nie przeoczy.

- A co, do diabła, zrobicie, gdy spotkacie strażników?

- Ateva postara się niespotkać strażników - zapewniła Jago.

Niektóre sprawy po prostu nie podlegały dyskusji, a w niektórych sprzeczkach po prostu nie zostawało już nic do powiedzenia. Banichi wróci. Bren wierzył w to bez zastrzeżeń. Banichi wróci.

Zgodnie z instrukcją paidhiego Nojana przedstawił zamiar odejścia o północy, wypił z nim oraz z ochroną filiżankę herbaty, podziękował służącym za ich starania i wstał, gotów do powrotu korytarzami i windami do rdzenia stacji, nie mając więcej bagażu niż ten, z którym przybył... dla niedoświadczonego oka.

A czy ludzki obserwator mógł nie zauważyć wysokiego atewskiego cienia w bladożółtym korytarzu, w którym nie można było się ukryć?

Atevi mieli dobry słuch; czy jednak aż tak dobry? Bren wątpił. Banichi był uzbrojony, ale nie potrzebował żadnej broni przeciwko nieuzbrojonym ludziom; ostatnią rzeczą, jakiej życzyłby sobie Bren, było wyrządzenie załódze choćby drobnej krzywdy.

- Mam wszystko, co mi powierzyłeś, nand' paidhi - rzekł Nojana.

- Nie mam wątpliwości. - Nojana zdaje się wziął jego zatroskanie za brak zaufania do siebie, a Bren wcale nie chciał, by tak zostało ono zrozumiane. - Wiem, że Banichi też ich nie ma.

- Nandi.

Następnie Tano zupełnie zręcznie otworzył drzwi i wypuścił Nojanę na zewnątrz, by jeszcze raz znalazł drogę wśród obcych korytarzy.

19

Spodziewali się przybycia Banichiego po północy.

- Obudź mnie - powiedział Bren do Jago, która spała z nim tej nocy. Znał jej słuch i lekki sen i wiedział, że żadną miarą nie prześpi przybycia Banichiego.

- Nie gniewaj się - poprosiła.

- Dobrze - odparł, leżąc blisko niej. Kiedy o tym myślał, czuł niepokój i wolałby, żeby Banichi zapytał go, zanim zrobił coś takiego, ale gniew był zbyt mocnym słowem. Banichi rzadko się mylił, nigdy się nie mylił za pamięci Brena - a przynajmniej Bren nie potrafił sobie na poczekaniu przypomnieć takiej sytuacji.

- Czy on kiedykolwiek popełnił błąd? - zapytał, a Jago roześmiała się cicho.

- O, kilka - odparła Jago. Jago, która, jak podejrzewał Bren, знаła Banichiego lepiej niż ktokolwiek na świecie i pozanim. - Była ta sprawa dachu na południu. Sprawa wiary, że pewien człowiek będzie wykonywał polecenia.

- Pewien człowiek ma własne koncepcje - powiedział Bren. - A jedną z nich jest to, że jego personel nie chodzi po korytarzach bez mojej wiedzy.

- W służbie aijiego nie słuchamy paidhiego. A rozkazy aijiego dotyczą bezpiecznego powrotu paidhiego.

- Rozkazy aijiego dotyczą także udanego przeprowadzenia misji przez paidhiego.

- Właśnie tak, ale rozważa. Rozważa.

- Rozważa nie pomoże w wykonaniu zadania. - Odwróciła jego uwagę. Jago była w tym dobra. Od razu stracił wątek.

Poza tym zamierzał te argumenty przedstawić Banichiemu, kiedy wróci po północy.

Obudził się jednak rano, uświadamiając sobie w ciągu jednego uderzenia serca, że Jago nie ma obok niego, że światła w korytarzu palą się jasno i że zaraz podadzą śniadanie.

Dwa uderzenia serca później nabrał pewności, że jest po północy i po świecie i że Jago nie zrobiła tego, o co ją prosił.

Albo że sprawy nie potoczyły się tak, jak powinny.

Wytoczył się z łóżka i chwycił szlafrok, przegarniając włosy z twarzy po drodze na korytarz i do posterunku ochrony, gdzie przy swojej konsoli przysiedli Tano, Algini i Jago. Zauważyli go, gdy tylko przestąpił próg pomieszczenia.

- Gdzie jest Banichi? - zapytał od razu. - Wrócił?

- Nie, nadi - odpowiedziała Jago, wyraźnie zmartwiona. - Nie mamy żadnych informacji.

- Czy wyraził przekonanie, że może się spóźnić?

- Mówił, że jest taka możliwość - rzekła Jago - jeśli nie znajdzie sposobu na dyskretne przemieszczanie się.

- Dyskretnie po nagim, syntetycznym korytarzu - powiedział Bren, strapiiony. - Martwię się, do cholery.

- Moim zdaniem jest bardzo możliwe, że zatrzymał się u załogi promu - wyraziła przypuszczenie Jago. - Jeżeli coś zwróciło ich uwagę albo się zmieniło, mógł zaczekać do wyjaśnienia sprawy. W całej jego instrukcji nie było żadnej wskazówki, że uważa harmonogram za sztywny.

- Więc w co się wpakował Nojana? Wyszedł stąd, spodziewając się łatwego spaceru do domu?

- Nojana jest z naszej Gildii - odezwał się Tano - i spodziewa się wszystkiego.

- A zatem nie wątpię w niego, ale mimo wszystko, nadiin-ji, co każdy z nich ma zrobić, jeśli spotka jakiegoś załoganta zajmującego się swoimi sprawami?

- Drzwi źle zadziałają - odparł Algini.

- Drzwi źle zadziałają. Mam nadzieję, że nie otwierając się na próżnię, nadiin!

- Ateva zna bezpieczną drogę - powiedział Tano. - Banichi wziął pod uwagę ryzyko, nandi, ale bardzo chce zapewnić nam wolną drogę odwrotu.

- Zgadzam się z jego celem, ale ryzyko...

- Bren-ji - przerwała mu Jago - podczas tej awarii prądu coś się stało. Schematy aktywności, które tu rejestrujemy, zmieniły się i nie mamy pojęcia, czy dlatego, że część tej stacji nie nadaje się już do użytku.

- Jakim sposobem wiecie takie rzeczy! - Bren rozumiał, jak rejestrują aktywność w Bu-javid, gdzie cały apartament był okablowany, łącznie z włączeniem do systemu pewnych bardzo zabójczych urządzeń, ale tutaj, gdzie nie mieli żadnych innych instalacji...

Mają... jedną inną instalację.

"Shai-shan".

A jeśli na stacji rzeczywiście była obecna Gildia Zabójców, choćby okresowo, dzięki przyłotom promu, to w bagażu Nojana mógł krążyć rozmaity ekwipunek.

- Rejestrujemy dźwięki i aktywność - rzekł Algini. - Bardzo słabe. Znamy funkcjonowanie stacji z poprzedniego okresu; znamy je teraz. Struktura do nas przemawia. Teraz, a szczególnie od czasu awarii, przemawia inaczej.

Jako paidhi-aiji, który nadzorował przekazywanie ludzkiej techniki na kontynent, a także jako członek bardzo wysokich atewskich komisji, Bren wiedział o atewskich innowacjach w niczym nie przypominających techniki, którą znał z Mospheiry, a niemało ich innowacji dotyczyło inwigilacji.

Miał trochę do czynienia z dokumentacją kuchni: w tym zbiorze monitorów, konsoli i urządzeń, które jego ochrona wniosła na pokład... Bren wiedział bardzo mało, bardzo mało pytał, pamiętając ostatnio o swojej lojalności, i miał tylko nadzieję, że nigdy nie wejdzie w jedną z pułapek strzegących jego snu.

- Możecie mi pokazać? - zapytał.

- Tak - odparł Algini.

Nie był to zachęcający obraz dla Brena, który tak niewiele wiedział o stacji. Wskazywał na jakąś zmianę przynajmniej od czasu awarii prądu: zmianę, według Algini, miejsc zgrupowania załogi i zmianę tras, po których się przemieszczała. Wszystko wskazywało na jakieś zakłócenia, wyłączające pewien rejon stacji z użytku.

- Nie mam pojęcia, co było przyczyną - powiedział Bren. - Nie mogę zapytać Kapłana. To by ujawniło zbyt wiele. Jeśli jeden z naszych atevich zaginął, odmawiam poproszenia C1 o rozmowę z kapitanami.

- Ale człowiek nie może łamać wzorca - rzekł cicho Tano. - Nandi, najrozsądniej wydawałoby się postępować tak jak zawsze.

- Nękać C1 i prosić o połączenie z Jasem? - mruknął Bren. - Widzicie jakąkolwiek zmianę aktywności w rejonie promu?

- Niczego niezgodnego z poprzednim wzorcem - odparł Algini - poza aktywnością prawdopodobnie związaną z tankowaniem.

- Bardzo dobra robota.

Jego ochrona zadziwiła go tym, jakich informacji może mu dostarczyć.

Żadna z nich nie mówiła jednak, dlaczego Banichi się spóźnia.

- Myślę - powiedział powoli - że powinienem raczej polegać na możliwości, iż Banichi sam wybrał to opóźnienie, i że cokolwiek, co mógłbym zrobić, może przynieść niepomyślnie skutki. Czy też tak sądzicie, nadiin-ji?

- Ateva tak uważa - rzekła Jago, ale Bren miał bardzo nieprzyjemne wrażenie, że może ona ruszyć za swoim partnerem - swoim ojcem - nie uprzedzając o tym paidhiego.

To była jednak myśl, która zakiełkowała w ludzkim sercu. Przypomniał sobie pewne wzgórce i mecheiti, i to, jak bardzo byli źli, kiedy pobiegł w niewłaściwym kierunku, jakby nagle, pod ostrzałem, stracił rozum.

Był panem, i pod ostrzałem, instynktownie, prawie na oślep pośpieszyliby do niego z poświęceniem, z jakim ludzie pobiegliby po współmałżonka, dzieci i święte przedmioty. Pobiegli ku niemu pod ogniem i tylko najsurowszy, dyscyplina mogła zagłuszyć ten instynkt. Jeśli Banichiego tu nie ma, dzieje się tak wbrew jego instynktowi. Banichi chciał być tutaj.

Ta wiedza, że jego własni obrońcy nie mają wyboru i muszą to czuć, oraz, że wystarczy jedno słowo z jego strony, by pchnąć ich do popełnienia ostatecznego, śmiertelnego błędu, stanowiła straszną odpowiedzialność. Tak trudno, tak moralnie trudno było powiedzieć: niech Banichi sam rozwiązuje swoje problemy.

Lecz było to najrozsądniejszą rzeczą w tym międzygatunkowym galimatiasie.

- Wyruszył w trakcie ich nocy - mruknął Bren. - Czy jest jakiś tego powód? Spodziewałbym się równego rozdzielenia wacht. Taka jest tradycja.

- Istnieje też dziwny wzorzec - powiedział Algini - ponieważ przed awarią ruch na korytarzach odbywał się mniej więcej z równą częstotliwością, a teraz chyba nastąpiło duże natężenie ruchu tuż po naszej drugiej wachcie, a ich pierwszej, i potem duży spadek. Tak się dzieje co noc, jakby przemieściła się grupa ludzi.

- Czy statkowi ludzie mogą mieć takie urządzenia jak my?

- Nie dysponujemy informacjami - powiedział Tano - ale Jasi-ji zwierzył się nam, że korytarze są bardzo słabo śledzone. Nie naciskaliśmy go w tej sprawie: Banichi osądził, że takie pytania wychodzą poza nasze kompetencje.

Zainteresowanie Tano było zrozumiałe. Wszystko, co miało związek z ochroną, dotyczyło ich Gildii oraz ją interesowało, a Tano niewątpliwie przekazał tę wiadomość zwierzchnikowi ochrony Tabiniego. Na jednym poziomie, na poziomie ludzkim, Brenowi nie podobało się, że Tano pytał o takie rzeczy w tajemnicy; na innym, przyzwyczajonym do atevich, doskonale rozumiał, że zadaniem jego ochrony jest wiedzieć o wszystkim, co dotyka kwestii narodowych.

- Czy Jase był zły, że pytasz? - zadał to ludzkie pytanie, szukając ludzkiej prawdy.

- Nie - powiedział Tano, który spośród ochroniarzy był najbliższy Jase'owi. - A wiedział, że zamelduję o tym personelowi aijiego. Ateva czuł jednak, że niebezpiecznie jest pytać zbyt szczegółowo i uświadomić Jase'owi możliwości sprzętu, który przygotowaliśmy.

- Musieliśmy jednak poznać pewne rzeczy - powiedział Algini - by wiedzieć, jak zaprojektować tę konsolę, jak ją najlepiej wykorzystać i przed czym musimy się bronić. A Jasi-ji wiedział o niektórych rzeczach, lecz o innych po prostu nie miał pojęcia. Ateva sądzi, nandi, że sam statek posiada urządzenia inwigilacji wewnętrznej do ochrony ośrodków operacyjnych, ale że w ogólnych korytarzach stacji i ogólnych korytarzach statku jest ich bardzo niewiele. Są oczywiście urządzenia przenośne, ale do pewnego stopnia ateva sądzi, że wbudowane obwody muszą być przestarzałe i ulepszone o wiele za szybko; trzeba by ciągle zagłębiać się w ściany, by dokonywać zmian. W gruncie rzeczy podejrzewamy, że instalacja oświetleniowa w korytarzach stanowi łatwo dostępne źródła prądu, ale jak dotąd w tej sekcji niczego nie znaleźliśmy.

Algini mówił bardzo mało - chyba że na swój ulubiony temat techniki ochrony. A to, co powiedział, i to, czego ochrona dowiadywała się przez kilka ostatnich lat od Jase'a, było o wiele rozleglejsze, niż Bren miał nadzieję.

- I zapewne to pozwoliło Banichiemu sądzić, że może odbyć taki długi spacer - powiedział Bren.

- Ma środki do uruchamiania tych drzwi - przyznała Jago - i gdyby został zauważony, mógłby ich użyć.

- Ale tam jest cholernie zimno bez ogrzewania - zaproponował Bren. - Cholernie zimno! I nie ma gwarancji przepływu powietrza.

- Marzniemy wolniej - powiedziała Jago. - Powietrze stanowi problem.

- Tak - rzekł Bren z nadzieją, że jego personel powstrzyma swoje działania. - Powietrze stanowi problem. I nie chcę, żebyście tam wychodzili i go szukali, a jeśli go złapią, to mam niejaką pewność, że o tym usłyszę. Ale proszę, nadiin-ji, nie zaskakujcie mnie tak!

Napotkał absolutnie nieprzeniknioną ścianę spojrzeń pełnych szacunku.

- Będziecie robić to, co umiecie robić - powiedział już ciszej, wycofując się - ale błagam, byście uważali.

- Ateva będzie uważać - rzekła Jago. - O niektórych porach na korytarzach jest mniejszy ruch. Ateva spodziewa się, że mój partner wykorzysta swe znakomite wyczucie i zaczeka.

- Ukryty w jakimś pomieszczeniu bez powietrza?

- On ma pewne środki. Nie martw się. To nie twoje zadanie.

Bren musiał wynieść się do swojego pokoju i usiąść przy komputerze, by zagubić się w sprawozdaniach i listach. Nie było innego sposobu na uniknięcie myśli o Banichim i katastrofach.

Wciąż żadnej informacji od Toby'ego, nic od matki... cisza z wyspy i nic od Tabiniego, tylko garść listów od komisji potwierdzających odbiór jego poprzednich listów, przygnębiająco dużo poczty, a żaden z listów nie przynosił ważnych informacji, żaden nie był zajmujący.

To, że nie odpisała jego matka, też mieściło się we wzorcu: kiedy była obrażona, nie rozmawiała, nie rozumowała, nie sprzeczała się, nie dawała żadnego punktu zaczepienia.

"Mam nadzieję, że odwiedzasz lekarza" - napisał w trzystronicowym liście. "Mam nadzieję, że Barb dochodzi do zdrowia".

Nie był to zbyt natchniony list.

Napisał też do Toby'ego. "Wiem, że nie możesz odpowiedzieć, i nie spodziewam się, że odpiszesz. Chcę tylko, żebyś wiedział, iż jesteś moim bratem i że się niepokoję". Zaczął pisać, że nie miał wiadomości od matki, ale w taki właśnie sposób znaleźli się z Tobym w obecnej sytuacji: w sprawach matki posługiwał się Tobym jako swoimi oczyma i uszami, a także nogami i rękoma. A jeśli Toby i Jill mieli mieć jakąś szansę, oznaczało to zaniknięcie tego kanału raz na zawsze, nawet jeśli narażało matkę na niebezpieczeństwo. Było to przynajmniej niebezpieczeństwo, które sama wybrała.

Wysłał i odebrał pocztę; druga porcja była dużo mniejsza od pierwszej.

- C1 - powiedział. - Czy możesz połączyć mnie z Kroger? - Doszedł już do tego, że zatęsknił za jakimś ludzkim głosem, ale C1 odpowiedziało:

- Kroger w tej chwili nie odbiera. W tamtym rejonie jest problem z łącznością, sir. Przykro mi.

Problem z łącznością.

Wyłączył się i poszedł powiedzieć o tym ochronie.

- To nie jest na trasie Banichiego, prawda? - zapytał.

- Nie - odparł Tano. - Nie powinno być.

- Czy sądzisz, że nic się nie stało tam, gdzie jest Banichi, i że to Nojana wpadł w tarapaty i po prostu do niego nie dotarł?

- Zastanawialiśmy się nad taką możliwością - powiedział Algini. - Jednak na wypadek zagrożenia mamy sygnalizator, bardzo hałaśliwy nadajnik. Nie słyszeliśmy go.

To było pocieszające. Kolejna drobna cecha jego ochrony, o której nikt mu nie powiedział.

- Ile jest jeszcze niespodzianek? - zapytał.

- Niedużo - odpowiedziała Jago. Wyraźnie żałowała, że nie ma ich więcej. Była zmartwiona i Bren domyślał się, że man'chi, które wiązało ją z Banichim, znalazło się w bolesnym konflikcie z man'chi trzymającym ją na służbie tutaj, przy nim.

- Chodź ze mną - powiedział, nie chcąc, by na decyzje jego ochrony wpływały emocje.

Usiedli w pokoju Brena; zaproponował jej drinka, od którego wolała filiżankę herbaty, wciąż pozostając na służbie, wciąż czujna. Zjedli bez apetytu małą kolację, podaną przez milczącą, współczującą służbę.

Na ich zegarze minęła północ.

Ktoś bardzo cicho otworzył drzwi i wszedł do ich sekcji.

Jago podskoczyła, podobnie Bren. Zanim wypadli na korytarz, wszyscy już wyszli z pokoju służby, a Tano i Algini z posterunku ochrony.

Banichi sprawiał wrażenie nieporuszonego; fryzurę miał w idealnym porządku.

Lecz wprawne oko dostrzegало, że Banichi się martwi.

- Obawiam się, że Ramirez-aiji padł - powiedział najpierw Banichi, a Bren zaczerpnęła tchu.

- Czy ktoś jest za tobą? - zapytała Jago.

- Nie. Ateva żałuje opóźnienia, paidhi-ji.

- Czy Nojana dotarł bezpiecznie na miejsce?

- Tak - odparł Banichi.

- Drinki na posterunku ochrony - powiedział szybko Bren wbrew wszelkim zwyczajom, ale chciał, by cała jego ochrona dowiedziała się o wszystkim jednocześnie, a akurat teraz nie śmiał dopuścić do tego, by urządzenia na tej stacji nie były monitorowane. - I herbata. - Połowa ochrony była na służbie i odmówiłaby picia alkoholu.

Banichi zasłużył jednak na kieliszek czegoś mocniejszego. Rzadko pozwalał sobie na okazanie zmęczenia, ale teraz właśnie tak było.

Ramirez zniknął? Padł? I ani jednego cholernego słowa od Oguna czy Sabin, a już na pewno nie od Pratapa Tamuna.

Człowiek mógł rzucać nieskładne pytania, ale bezpośrednie wypytywanie rzadko miało pozytywny wpływ na trzeźwe, uporządkowane sprawozdanie Banichiego, o ile mogły je znieść nerwy człowieka.

- Drugi pilot, Parano, usłyszał podczas mojej bytności na promie, jak technicy rozmawiają o przerwie w dopływie prądu, ale znajomość mospheiranu przez drugiego pilota pozostawia wiele do życzenia. Technicy, których słyszał, pytali się nawzajem, czy mieli jakieś wiadomości o Ramirezie, a następnie zaczęli rozważać, czy jest martwy, czy żywy, i gdzie mógłby być, przynajmniej na tyle Parano ich zrozumiał. Potem odkryli, że Parano-nadi jest w zasięgu ich głosu, zmienili wyraz twarzy i zagadnęli go o sprawy zawodowe. Parano doniósł o tym kapitanowi, Casirnabriemu, a Casirnabri mnie. Następnie rozmawialiśmy wszyscy razem, Parano, Casirnabri i ja, stąd moje informacje pochodzą bezpośrednio od Parano. W trakcie zwykłej pracy próbowaliśmy podsłuchać inne rzeczy. Załoga promu i ludzie robotnicy utrzymują dobre stosunki... rozmawiają ze sobą w bardzo ograniczonym zakresie, porównywanie przetłumaczonych wykazów czynności, tłumaczenie z list głównych słów, by ustalić temat, wszystko bardzo powolne, z gestami, które wymyślili między sobą, i kodami liczbowymi na oznaczenie czynności. Cas-nadi uważał, że gdybym chciał, mogliby zapytać o Ramireza: oni naprawdę wierzą w dobrą wolę załogi. Poprosiłem ich jednak, by tego nie robili. Przykładam wielką wagę, Bren-ji, do zapewnienia ci bezpieczeństwa.

- Zupełnie się tym tu nie przejmowaliśmy - zaczął mówić Bren i chciał dodać, że w żadnym razie nie uważa swojego bezpieczeństwa za najważniejszą rzecz, ale Banichi zmarszczył brwi.

- Nie. Chcę cię zabrać do domu, nand' paidhi. Pozostawienie cię tu łączy się ze zbyt wielkim niebezpieczeństwem. Powinniśmy zachowywać się tak, jakbyśmy o niczym nie wiedzieli, i przygotowywać się do odlotu. Musimy cię zabrać z zasięgu politycznych niepokojów.

- Ramirez jest stary. Parano mógł coś źle zrozumieć. Język załogi jest pełen swoistych wyrażen.

Teraz zobaczył, że wszystkie twarze są zwrócone przeciwko niemu. Stał w obliczu buntu.

- Polecisz, Bren-ji - orzekł Banichi swoim głębokim głosem. - Mam na to zezwolenie aijiego. Proszę, byś uległ.

- Moją użyteczność stanowi zdolność do negocjacji i ustalania warunków.

- Twoja użyteczność będzie bardzo mała, jeśli jak Jase staniesz się niedostępny dla aijiego. Poszedłem do promu, ponieważ miałem obawy i pragnąłem sprawdzić, czy jest, choćby i teraz, możliwość bezpiecznego wycofania się. Uważam, że jest, i nalegam, byś z niej skorzystał.

Za zezwoleniem aijiego.

- Banichi ma rację - odezwała się Jago - biorąc pod uwagę to, co mówi. Powinieneś odlecieć.

Nie chciał tego. Miał wątpliwości co do swojej tu obecności, codziennie zastanawiał się nad swoją użytecznością, skoro kapitanowie stale odkładali spotkania, ale sytuacja się zmieniła bez ostrzeżenia. Teraz musiał wszystko przemyśleć, wszystkie gesty skierowane pod jego adresem, wszystkie znaki świadczące o chęci lub niechęci do współpracy.

- Nie jestem pewien, czy odlotem poprawię naszą pozycję - powiedział. - Nikt nam nie grozi. Po prostu nie dochodzi do spotkań. Nie znamy powodu. Jeśli starszy kapitan jest chory albo zszedł ze stanowiska... po prostu nie wiemy.

- A oni uważają, że nie powinniśmy się dowiedzieć, nandi - rzekł Tano. - Czy w ogóle wykazali się dobrą wolą? Czy przeprosili albo się przyznali?

- Nie - zgodził się Bren, a przez myśl przemknęła mu niczym letnia błyskawica sytuacja Jase'a, krajobraz obejrzany w mgnieniu oka. - Ale jeśli odejdziemy, zostawimy Jase'a.

- Jeśli będą mieli i ciebie, i Jase'a - odparł Banichi - nasza pozycja do negocjacji wcale nie będzie lepsza. Jeżeli zostaniesz tutaj, mogą spróbować jakiegoś posunięcia przeciwko naszej obecności. Jeżeli ją wyciszymy, mogą zaniechać takiego kroku i zostawić nam fortecę.

- Jeżeli nie zdążysz na prom, nie będziesz miał okazji bardzo długo - powiedziała Jago.

- Jest jedenasty - rzekł Bren. - Prom odlatuje piętnastego. Mamy cztery dni.

- Nic nie możemy w tym czasie zrobić - stwierdził Banichi. - 1, Bren-ji, twoja ochrona bardzo usilnie ci radzi, byś nie dawał tej Gildii do zrozumienia, że wiesz, iż coś jest nie w porządku. Wiemy, że ludzie robią bardzo dziwne rzeczy, ale wprawienie ich w zakłopotanie sprawiłoby wrażenie prowokacji. Nie potrafimy przewidzieć tej sytuacji ani ich zachowania, ale odwrócenie oczekiwań nie wydaje się zachwycać ludzi bardziej niż atevich.

- Masz zupełną rację.

- A zatem niespodzianka nie byłaby czymś dobrym.

- Nie - zgodził się Bren. - Na pewno nie, Banichi-ji. Dziękuję.

Dziękuję za podjęcie środków ostrożności.

- Podejmiemy wszelkie możliwe środki, by zapewnić ci bezpieczeństwo przez te następne kilka nocy. Mamy nadzieję, że prom poleci zgodnie z rozkładem. Przygotowania odbywają się na czas. Prace nie ustają. Nie natrafiłem na żadne dowody inwigilacji w korytarzach oprócz tego, co ma przy sobie Kaplan. Nie znalazłem niczego takiego na wykresach i rzeczywiście wydaje się,

że nic tam nie ma. Pozostaje jednak możliwość, że tylko obserwują ruch i nic nie robią.

- Prawdopodobnie nie było inwigilacji - powiedział Bren - oprócz rejonów administracyjnych. Tutaj były rejony mieszkalne i ludzie bardzo by oponowali przeciwko inwigilacji, uznając ją za wtargnięcie w ich życie, a nie za środek bezpieczeństwa. Ich głównym środkiem ostrożności wydaje się brak oznakowania. Nie mogliby poruszać się po korytarzach bez mapy. Uważają, że to niemożliwe. Nie wyobrażają sobie tego. Nie ma zatem czego się pilnować.

- Ślepa plamka - odezwał się Algini.

- Ślepa plamka - zgodził się Bren. - Ludzie nie są jedynym gatunkiem, który popełnia takie błędy. Nie chcę im tego mówić, a przynajmniej nie teraz.

- Ateva nie chce im tego mówić - powiedział Banichi. - Ale gdybym został zatrzymany, byłbym Nojana. Ateva wątpi, czy dostrzegliby różnicę.

- Są zaawansowane środki techniczne - rzekł Bren - nawet jeśli nie rozpoznają tak dokładnie poszczególnych osób. Nie możemy ryzykować jeszcze raz, Banichi-ji. Bardzo ci dziękuję, że to zrobiłeś, ale proszę o powściągliwość. Rozumiem waszą troskę. - Zobaczył, że ochrona chce zaproponować, i uniósł rękę. - Wysłucham was. Ale dajcie mi czas do piętnastego na dojdęcie do jakiegoś porozumienia z kapitanami - nie mówiąc słowa o tym, co wiemy.

- Do czternastego - rzekł Banichi. - Misja może zostać. Ty, Bren-ji, po prostu udasz się wcześniej do promu, bez żadnego bagażu, i wejdiesz na pokład, a Jago i ja pójdziemy z tobą. Reszta zostanie.

Nie było wątpliwości, że Banichi właśnie doszedł do tego wniosku, że od przekroczenia progu nie miał czasu na konsultacje z resztą zespołu, ale że panuje w nim jednomyślność - to było jasne. Banichi wyłożył swój plan, a pozostali nie powiedzieli słowa.

Poza tym ten plan miał sens - nic nie mówić kapitanom, by wyprzedzić o krok każde posunięcie, jakie mogliby zrobić, chcąc powstrzymać Brena przed opuszczeniem stacji. Wtedy zostałyby na niej większość personelu: Tano i Algini na czele misji i służący do ich obsługi; ktoś byłby na miejscu, na wypadek, gdyby Jase'owi udało się tu dotrzeć.

Ale i inna myśl uderzyła Brena z ogłuszającą siłą. Jeśli odleca, Boże, jeśli on odleci, Kroger pomyśli, że stało się najgorsze. Jeśli ludzka delegacja nie będzie uprzedzona o tym, co podejrzewa Banichi, a okaże się to prawda, Bren w żadnym razie nie będzie sobie mógł pozwolić na opuszczenie jej... Kroger zostawiona na lodzie w poczuciu zdrady byłaby bardziej niż niebezpieczna. Mieli za sobą kilkaset lat ostrych podziałów, właśnie załagodźli sytuację na tyle, by zawrzeć wykonalną umowę, i Bren nie śmiał zostawić Kroger samej z tym, co się kłůło na stacji.

Szczególnie że... kolejna mroczna myśl... jeśli nastąpił jakiś rozdźwięk między kapitanami, to podział mógł mieć związek zarówno z frakcjami, jak i z osobistym sięgnięciem po władzę.

- Musimy powiedzieć mospheiranom - stwierdził Bren. - Z powodów dyplomatycznych, a przynajmniej z uprzejmości. Jeśli pomyślą, że ich oszukaliśmy, zaczną rozmawiać z drugą stroną. Dojdą do wniosku, że nie mogą nam ufać. Muszą mieć taką samą szansę na wydostanie się. Muszą wiedzieć, że jesteśmy po ich stronie.

- Trudno rozmawiać z nimi otwarcie przez interkom - rzekł Banichi.

- Trudno - zgodził się Bren, usiłując coś wymyślić.

- To nie jest tak daleko - powiedział Banichi. - Mogę tam pójść i porozmawiać z Benem.

- Piłeś. Nie jesteś na służbie. Nie!

- Mógłbym się napić jeszcze jednego. Jeśli chodzę po korytarzach, to niewątpliwie upiłem się i urwałem ze służby, i powiem, że potrzebuję Kapłana, żeby odprowadził mnie do domu. Ludzie rozumieją, co to pijaństwo, Przypominam sobie wasze machimi. Uważają je za dość zabawne.

- Nie kiedy jest się cholernie winnym i w niewłaściwym korytarzu. My nie mamy umieć otwierać tych drzwi.

- Ateva z pewnością musiałby się do tego przyznać.
- A po dotarciu na miejsce jest jeszcze problem wiarygodności.
- Daj mi jakiś znak dla mospheiran. Czy to nie machimi?
- Człowiek będzie w nerwach przez cały cholerny czas - mruknął Bren, widząc coraz mniej szans na opanowanie sytuacji, która całkowicie wyrwała się spod kontroli. - Człowiek nie ma zielonego pojęcia, co zrobi Kroger. Ta kobieta z łatwością może przestać mi wierzyć. Po prostu nie możemy...

- Tradycyjny jest sztandar.
- Nie u ludzi. Pierścienie. Listy. - To było niedorzeczne. - To jakaś cholerna komedia, ot co.

Banichi nie był osobą, która zaproponowałaby wariactwo. Bren miał wrażenie, że jest manipulowany, stawiany przed ultimatum.

- Nie bardzo możemy to zrobić przez interkom - rzekł Banichi jedwabistym głosem, już po jednym kieliszku.

- Mogę po prostu zaprosić ich na kolację i powiedzieć im osobiście. Żadnych więcej spacerów po korytarzach. Nie ma mowy.

Banichi westchnął.

- Ateva bardzo się na to cieszył.

I to nie dla prostej przyjemności nadstawiania karku, pomyślał z nagłą pewnością Bren; jeśli Banichi mówił poważnie, to miał swoje powody, by chcieć wybrać się na ten spacer. Bardziej jednak prawdopodobną odpowiedzią było to, że Banichi po prostu chciał wyciągnąć z Brena jakiś plan.

- Niech cholera ten cały pomysł! Nie. Zaproszę ich. Narani coś załatwi. Jakaś rozrywkę.

- Machimi - podsunęła Jago.

Bren spojrział na nią, potem na Banichiego i dostrzegł spisek oraz nieugięty zamiar.

Co więcej - trzecia dobijająca myśl - zawsze istniała bardzo słaba szansa, że podczas gdy on stara się wzmacnić zaufanie Kroger do niego, Kroger doskonale o wszystkim wie i nie powiedziała mu prawdy o Ramirezie ani zмовie Sabin z osobami, które miały o wiele więcej do czynienia z mospheiranami.

To była bardzo niemiła myśl. Został wyrwany z łóżka po północy, zmuszony do zastanowienia się nad porzuceniem wszystkiego, co tu robił, poinformowany, że wszystkie umowy, które udało im się z trudem wypracować, są w niebezpieczeństwie, jeśli nie całkowicie unieważnione, i poczuł się wmanewrowany w zaproszenie Kroger do siebie, by odczytać jej warunki odwrotu.

A co powie Kroger? "Zaczekajcie na nas, też odlatujemy"? Albo: "Lećcie, drodzy sojusznicy, a my tu wszystko pozałatwiamy"?

- Biorąc pod uwagę tutejsze jedzenie, nie sądzę, byśmy mieli jakiegokolwiek trudności ze ściągnięciem ich tutaj - powiedział Bren do Banichiego - jeśli tylko otrzymają moją wiadomość. Ale, do cholery, Kroger może wszystko zawalić. I może mieć na to ochotę.

- Czy są jakieś trudności z łącznością? - zapytał Banichi.

- Przez Mogari-nai nie przyszło nic godnego uwagi - powiedział Bren, przypomniawszy sobie ten fakt w kontekście chwili. - Ciągłe są jakieś przeszoje i awarie, które mogłyby zniechęcić każdego do wysyłania ważnych wiadomości, takich, które nie mogą być otrzymane fragmentarycznie albo przerabiane. Jakoś wierzyłem w te przeszoje. Teraz zmieniłem zdanie. To może być świetny pretekst do odcięcia nas od łączności. Nie otrzymałem niczego ważnego od aijiego; nie wiem, czy on dostał moje przekazy - nie było żadnych potwierdzeń. A to, nadiin-ji, jest sprawą krytyczną: jeśli nie możemy mieć pewności, że nasze wiadomości docierają do adresatów; jeśli w gruncie rzeczy jesteśmy okłamywani, to nie możemy wykonać tu naszego zadania. W przypadku, gdy jednak oddamy ten przyczółek, nie możemy być pewni, że go odzyskamy. Jeżeli nie możemy polegać na Kroger, jeśli coś się dzieje w tajemnicy, tylko z Mospheira, to mamy poważny problem.

- Ateva by się z tym zgodził - rzekł Banichi i zdobywszy wszystko, po co przyszedł, uroczyście przyjął drugi kieliszek. - Ale paidhi nie sprawdzi ich intencji, bo go tu nie będzie.

- A kto to może zrobić? Tabini wysłał mnie tu nie bez kozery. Nie bez kozery siedzę tu ja, a nie wuj Tatiseigi, Banichi-ji, i temu prostemu faktowi nie potrafię zaprzeczyć. Jeśli nie wykonam tego zadania, owszem, masz rację, nie wykona go nikt inny, ale chodzi o to, że jeżeli ja nie wykonam zadania, to rzeczywiście nie ma nikogo innego, kto by je wykonał!

Kieliszek zatrzymał się w drodze do ust Banichiego. Banichi odstawił go i przyjrzał mu się poważnie.

- Dylemat, czyż nie?

- Nie potrafię go rozwiązać.

- A my nie możemy przegrać. Mam od aijiego polecenie, byś wrócił cały i zdrowy. Zrób, co możesz. Wykorzystaj, co się da. Leć na dół, a jeśli wszystko będzie w porządku, wróć po trzydziestu dniach następnym lotem.

- A jeżeli coś pójdzie nie tak, to okaże się, że zostawiłem mój personel w fatalnej sytuacji.

- Po prostu zamkniemy drzwi - powiedział Tano - i będziemy czekać.

- Mając przeciwko sobie ludzi, którzy kontrolują światło i ciepło, Tano-ji!

- Uważasz za prawdopodobne, że nas zabiją? - zapytał Tano. - Jeśli chcą czegoś od aijiego, to byłoby to z ich strony bardzo głupie.

A Kroger stanowczo powiedziała to, co Bren już wiedział: że bardzo mało mospheiran chce się podjąć pracy dla statku na dawnych warunkach. Robotyka, ta brakująca część równania, może i jest specjalnością Kroger, ale zaprojektowanie i budowa tych maszyn w kosmosie, gdzie muszą być budowane, wciąż wymagało ryzyka w środowisku, które już raz okazało się zabójcze.

Musi z nimi porozmawiać. To pewnik. Musi się zorientować, jak zareagowałaby Kroger, gdyby rzeczywiście poznała sytuację, a także gdyby się dowiedziała, że Bren wie, iż Ramirez ma jakieś trudności. Ochroniarze na pewno też nie zapomnieli o sprawie Jase'a, ale nie mogli sobie pozwolić na zajęcie się nią.

Cholera, to było niewygodne. Co się stało z Ramirezem, gdzie jest Jase i dlaczego, jeśli ma na pokładzie matkę, nie udało się nawiązać żadnej łączności?

Brenowi nie podobało się to wszystko. Najwyraźniej Banichiemu też, a w awarii prądu dostrzegł coś, co mogło nie być przypadkiem.

Bren miał teraz pewność, że to nie był przypadek. Może coś, co stało się równoległe z jakąś walką na stacji, może nawet rozłam wśród załogi, a może coś, co miało wzbudzić w nich lęk i uzasadnić tak niechęć Sabin do spotkania z Brenem - Bóg jeden wiedział, czy spotykała się potajemnie z Kroger - jak problemy z łącznością, które odcinały go od informacji i rad z planety.

Musi jakoś to obejść. Musi przepchnąć cokolwiek, by dać znać na planetę, że na górze coś jest nie tak. Napisał takim językiem, żeby szpiedzy na stacji mogli wszystko zrozumieć:

"Mamo, przepraszam, że się nie odzywałem. Są tu pewne kłopoty z łącznością. Kocham Cię. Bądź tego pewna. Ufam, że wszyscy mają się dobrze. Żałuję, że nie zabrałem ze sobą aparatu. Najbardziej ze wszystkiego brakuje mi zdjęć domu. Pamiętasz to, na którym jesteś w czerwonym kostiumie? Myślę o nim i o śniegu na Mt. Adams. Zachód słońca i śnieg. Ogień i lód. Ty.

Znalazłaś spinkę do mankietu? Chyba zostawiłem ją w moim pokoju.

Mam nadzieję, że Barb zdrowieje. Powiedz jej, że myślę o niej i życzę szybkiego powrotu do zdrowia.

Twój syn, Bren".

Nie było żadnego czerwonego kostiumu. Jego matka nigdy nie nosiła tego koloru, twierdziła, że jest jej w nim bardzo nie do twarzy; dlatego umówili się na to jako na hasło awaryjne. Czerwony kostium: alarm; skontaktuj się z Shawnem; uważaj na siebie. Był to jedyny kod, który mógł się przedrzeć przez

zasłone dymną postawioną przez ochronę stacji... jeśli władze nadal pozwolą mu odbierać drobne wiadomości, bo znając podpis Tabiniego, wiadomości od niego nie przepuszczały. Gdyby były choć trochę czujne, nie przepuściłyby tego listu. A także gdyby zauważyły wyprawę Banichiego do promu.

Zaufajcie mi, pomyślał pod adresem kapitanów wciąż będących u władzy. Uwierzcie mi.

Boże, miał nadzieję, że nikt nie zauważył posunięcia Banichiego.

- C1 - powiedział - chcemy, by Kaplan przyprowadził tu mospheirską delegację, jeśli umówimy się na kolację na osiemnastą zero zero. - Wstrzymał oddech. - Czy nie będzie z tym kłopotu?

C1 odpowiedziało z niejakim roztargnieniem:

- Kaplan, sir. Nie powinno.

- Jase pewnie nie będzie mógł przyłączyć się do nas. - Była to część starego rytuału. Bren nigdy z niego nie rezygnował.

- Nie, sir. Jase Graham wciąż bierze udział w spotkaniach.

- A kapitan Sabin? Są jakieś szanse na to spotkanie? Bez żadnego kłopotu moglibyśmy nakryć dla pani kapitan, jeśli wyrazi takie życzenie.

- Przekażę to, sir - rzekło C1 i po kilku minutach odpowiedziało: - Kapitanowie wciąż odbywają spotkania, sir. Pani kapitan przekazuje wyrazy żalu i prosi o osiemnasty.

Według kalendarza stacji dzień startu promu. Bezpośrednie pytanie.

- Proszę jej powiedzieć, że będę zachwycony. Przygotujemy specjalną kolację.

Sabin nie była jedyną osobą, która może nie stawiać się na spotkania. Bren ani trochę nie zawahał się przed tym małym kłamstwem i tylko odrobinę go kusiło, by uwierzyć, że Sabin nie wie, co to za data.

Odlatuje czy będzie na pokładzie? Z przekazanego pytania było widać, że Sabin bardzo chce to wiedzieć.

I czy Bren ośmieli się powiedzieć prawdę Kroger na czas, by zdążyła wejść na pokład?

Z pewnością nie byłoby rozsądnie powiedzieć Kroger wszystkiego, co wie.

20

Zamierzam udać się na kilka dni na planetę - powiedział Bren przy głównym daniu, po swobodnej rozmowie, która towarzyszyła przystawkom i która obejmowała tematy od jazdy na nartach na Mt. Adams po co lepsze bary na północnym wybrzeżu. - Jestem rozczarowany zakresem współpracy, z jakim się spotkaliśmy. Albo się spotykamy z kapitanami, albo nie. Chyba wrócę następnym lotem, ale to nic pewnego. Prędzej czy później musimy przewieźć ten ładunek próbny.

To spowodowało uniesienie brwi. Układ był taki sam jak ostatnio: Kroger i Lund przy oficjalnym stole, a Kaplan i Ben z Tano, który miał odwracać ich uwagę i wydobywać wszelkie informacje, jakie się da.

- Zrywasz negocjacje? - zapytała Kroger. - Albo wycofujesz się na konsultacje?

- Wycofuję się na konsultacje. Z całą pewnością planuję wrócić. To, czy wrócimy za tym obrotem promu, jest sprawą otwartą. Mam na kontynencie obowiązki administracyjne... a na wyspie kryzys rodzinny. - Bezwstydnie wykorzystał ten fakt, by ujawnić przyczyny osobiste, które w zasadzie nie powinny mieć na nic wpływu. - Myślę, że miesiąc przerwy dla kapitanów na zastanowienie się i przeanalizowanie sytuacji może okazać się całkiem niezłą rzeczą.

Kroger niezupełnie przestała jeść, ale przez chwilę jej sztuczce poruszały się wolniej.

- My przybyliśmy przygotowani na dłuższy pobyt.

- Zostanie tu mój personel. Jeśli kuchnia na stacji jest tak zła, jak słyszę, to pod moją nieobecność jesteście serdecznie zapraszani tu na

kolacje. Mój personel będzie zachwycony okazją do ćwiczenia swoich umiejętności na gościach. A Ben i Kate mogą oczywiście ćwiczyć swoje.

Zapadło chwilowe milczenie, sztucznie powoli zatrzymały się - Kroger usiłowała rozważyć możliwości... a może nawet szansę, że personel na tyle zna mospheiran, by stanowiło to problem.

A może i możliwość, że atevi zostaną tu już na zawsze.

- Gdybyś chciała polecieć na dół i osobiście przedstawić sytuację aijiemu, mógłby zrzec się zapłaty za bilet powrotny.

- Nie mam takiego upoważnienia - odparła Kroger, wyraźnie zaniepokojona. - Trzeba by o tym porozmawiać z kierownictwem Departamentu Stanu.

Interesujący dobór słów. Bardzo interesujący dla ucha wyczulonego na język. Ludzie z danego departamentu zwykle określali przełożonych nazwą samego departamentu... trzeba by porozmawiać z Departamentem Stanu. Trzeba by porozmawiać z Departamentem Nauki. To wyrażenie nadawało Kroger wiarygodność jako osobie z zewnątrz, kogoś wybranego do misji; nie była osobą wtajemniczoną ani negocjatorką, lecz specjalistką od robotyki, wybraną do odbycia lotu na orbitę i sprawdzenia, w jakim stanie znajdują się maszyny lub wiedza o nich.

Od tego bowiem będzie zależało, jak chętnie ludzie zechcą podjąć się tej pracy.

Myśli pędziły od kwestii do kwestii w pół uśmiechu.

- Znajdę kogoś, kto to zrobi - powiedział Bren. - Sądzę, że powinniśmy wzmacnić te umowy, które już zawarliśmy.

- Brzmi nieźle - stwierdził Lund. Przestał jeść i uważnie słuchał. - Ja, z drugiej strony, nie miałbym nic przeciwko takiej podróży. Jestem ciekaw kontynentu. I mógłbym mieć coś do powiedzenia aijiemu, gdyby zgodził się pan tłumaczyć.

Kroger zmarszczyła brwi, ale nie sprzeciwiła się ani słowem.

Interesująca struktura władzy w tej mospheirskiej komisji. Można było pominąć Lunda, ale on jednak był z Biura Handlu i, jak od czasu do czasu sądził Bren, miał pewną władzę we własnej dziedzinie: w handlu, przedsiębiorczości i reprezentowaniu przemysłu.

I takie przedstawienie sprawy mospheiranom rzeczywiście brzmiało rozsądnie. Było to dobre rozwiązanie dylematu, jak dużo powiedzieć im o tym, co mogło stać się sytuacją ryzykowną, szczególnie dla jego własnej delegacji.

Przynajmniej poinformował ich, że odlatuje. Mógłby przejażdżać Lunda, rozgryźć go w otoczeniu dworu Tabiniego, dotrzeć do jego dobrej strony.

- Moim zdaniem nie musicie likwidować misji. Spakuj tylko jedną torbę, ubrania, te rzeczy. Jeśli zechcesz, aiji może zorganizować loty na wyspę, bo zapewne będziesz musiał się konsultować. Prom wraca na górę za miesiąc i masz na nim zagwarantowane miejsce.

- Dwa dni - powiedziała powoli Kroger, myśląc o malej ilości czasu na przygotowania. - Nie wiem, Tom.

- Zawsze możecie podjąć decyzję w ostatniej chwili - rzekł Bren. - Niestety, prom leci na dół bez ładunku, co jest strasznie drogie. Powinniśmy to zmienić.

- Trzeba zacząć coś tu wytwarzać - powiedział Tom. - Archiwum wymienia mnóstwo rzeczy, które moglibyśmy wytwarzać; wewnątrz stacji, w warunkach mikrogravitacji, są dziesiątki opuszczonych urządzeń. Lekarstwa, na litość boską. Metale. Ceramika.

- Najpierw musimy umieścić tu odpowiednią ekipę atewskich robotników, którzy uczynią te miejsca bezpiecznymi - rzekł Bren. - Planuję sprowadzić ze sobą kilku techników.

Nie mówiąc już o zwiększonej ochronie, ale też paru atewskich specjalistów od wytwarzania, znajdujących się na maszynach, które budują inne maszyny, wytłaczają, ściskają i wiercą. Na robotach. To nowe słowo na określenie klasy maszyn nigdy dotąd nie postrzeganych jako znajdujące się na granicy inteligencji.

Te proponowane przez Kroger były o wiele bardziej niezależne, mogły podejmować decyzje i wymagały, jak podejrzewał Bren, o wiele większego udziału informatyki niż go było według oficjalnych wypowiedzi Biura Nauki.

A sądząc z tego, co podejrzewał, pewien udział musiał istnieć. Biuro Nauki nie powiedziało Departamentowi Stanu, nie na tym poziomie, ale informatyka musiała być o wiele bardziej zaawansowana; a teraz tę wiedzę mieli też poznać atevi; których wcześniejsze komputerowe innowacje śmiertelnie przes-traszyły ludzkich planistów... była to jedyna dziedzina ludzkich wysiłków oprócz techniki bezpieczeństwa, z której atevi po prostu brali dostarczane informacje, odchodzili na bok własną drogą i wracali z poważnymi nowymi wynalazkami.

Ludzie zrobili się bardzo nerwowi na punkcie atevich i komputerów.

- Czy moglibyśmy załatwić to samo? - zapytała Kroger. - Darmowy prze-lot?

- Chyba mogę załatwić zawieszenie opłat - rzekł Bren. - Jednorazowo. Posłuży to obu stronom.

- Dwa dni - jęknęła Kroger. - Cholernie mało czasu.

- Intensywny miesiąc na ziemi - powiedział Bren. - Ale za każdym razem prom powinien przywozić paru ludzi. Możemy załatwić darmowy transport dla pewnej liczby osób, kiedy będą wypełniać wolną przestrzeń.

- Możesz to zrobić.

- Przynajmniej dla obecnej misji - rzekł Bren i zaatakował danie widel-cem, bardzo zadowolony z rozwiązania problemu ludzkiej misji i wciąż zadający sobie pytanie, czy powinien być szczery z Kroger. W końcu zaryzykował. - Otrzymujemy sygnały, że w łonie miejscowej administracji może dochodzić do niepokoju. Że Ramirez może mieć kłopoty ze zdrowiem. Że opóźnienia mogą mieć z tym jakiś związek.

- Mówisz poważnie? - zapytała z osłupieniem Kroger.

- To jeszcze jeden powód naszego powrotu na ziemię w tej chwili. - Bren z zadowoleniem zauważył, że Kroger jest zaskoczona. - Myślę, że usiłują coś rozwiązać; dopóki tego nie zrobią, chyba niewiele uda nam się osiągnąć, i moim zdaniem jest to dobra okazja do zrobienia przerwy na konsultacje.

Kroger była wyraźnie skonsternowana.

- To rzuca na sytuację zupełnie nowe światło.

- Nie bardzo. Opóźnienie. Kapitanowie będą przychodzić i odchodzić. To ma dla nas bardzo małe znaczenie. Oni porządkują swoje sprawy, my swoje.

- Skąd ty to wiesz?

- Mamy swoje sposoby - odpowiedział Bren. - To interpretacja tego, co widzimy, nie obiektywne fakty, ale założyłbym się, że tak będzie.

- To znaczy, że się domyślasz.

- To znaczy, że do tego wniosku doprowadziły nas obserwacje - powiedz-iał celowo niejasno. - To coś innego niż domysł. Na ile w to uwierzysz... zależy od osądu, ale ja traktuję to bardzo poważnie, tak poważnie, że jeśli kapitanowie zadają sobie mnóstwo trudu, byśmy niczego się nie dowiedzieli, to nie zamierzam ich denerwować, mówiąc, czego się domyślam. Zamierzam po prostu zdjąć z nich presję, pozwolić im na rozwiązanie swoich spraw i dać sobie czas na rozwiązanie niektórych problemów piętrzących się w domu na moim biurku. Sądzę, że będzie to przerwa w konstruktywnych działaniach, po której wrócimy do pracy.

Było to dość skomplikowane kłamstwo, prawdziwe w tym sensie, że nie było całkowicie kłamstwem, a najlepszą próbą powiedzenia Kroger bez wyjawienia wszystkiego: "Przepraszam, pani Kroger, ale być może znajdujemy się w środku lokalnej wojny; najlepiej się przyznać... a przynajmniej nie wstawać i nie wymachiwać rękoma, by ściągnąć na siebie uwagę".

Słuchała go bardzo pilnie. Miała szare, zimne oczy, stanowiące jedną z jej najbardziej niepokojących cech. Wpatrywała się teraz w Brena.

- Chcesz powiedzieć, że istnieje jakieś niebezpieczeństwo, Bren?

- Niebezpieczeństwo jest przypisane naszej sytuacji, ale w niniejszym stopniu, jeżeli będziemy pilnować własnych interesów, co można po prostu robić, pozostając w swojej kwaterze i czekając, aż oni rozwiążą swoje problemy. Ja mam za dużo spraw do załatwienia na planecie, a przekazując pewne rzeczy aijiemu osobiście, mogę przyczynić się do podjęcia konstruktywnych działań. Szczerze mówiąc, o wiele łatwiej go do czegoś przekonać, jeżeli istnieje możliwość wymiany zdań i kiedy nie muszę się martwić, że jakaś frakcja poczuje pismo nosem. Tabini-aiji i ja możemy zrobić więcej w godzinę przy herbacie niż dzięki czterdziestu stronom sprawozdań leżącym na jego biurku, chociaż robimy tu bardzo dużo. Jeśli czujesz się niepewnie i chcesz polecieć, to chyba możemy wymyślić jakiś pretekst, ale jeżeli wolałabyś tu zostać i mieć do czynienia z moim personelem, to na pewno taka obecność na stacji by się nam przydała.

Lód w spojrzeniu Kroger nieco stopniał i kobieta oparła podbródek na zgiętym palcu.

- Nie mówisz nam wszystkiego.

- Od czasu przybycia nie mogę się skontaktować z Jasem Grahamem.

Martwię się o niego i szczerze mówiąc, owszem, może istnieć pewne niebezpieczeństwo. Jeżeli jednak oni chcą coś uzyskać od planety, a myślę, że chcą, to byłoby głupcami, gdyby nam coś zrobili. My nie jesteśmy członkami ich załogi. Jase niestety jest, i moim zdaniem zadają mu bardzo szczegółowe pytania o nas albo nie pozwalają na ujawnienie, co się dzieje wewnątrz ich hierarchii władzy. Tak to widzę. Możliwe, że najbardziej życzliwy nam kapitan może nie żyć. Nic jednak nie możemy z tym zrobić. My nie stawiamy ich pod ścianą, a oni nie stawiają pod ścianą nas. Nie mówię, że mamy ich lubić czy się z nimi zgadzać, ale dla dobra misji musimy w ostatecznym rozrachunku z nimi pracować, a żeby z nimi pracować, musimy im ufać akurat w takim stopniu, w jakim jesteśmy przekonani, że leży to w ich interesie. Dlatego nie mówimy im o tym. Ułożyli dla nas fikcyjną historię, byśmy w nią uwierzyli, a naszym zadaniem jest dostosować się do ich życzeń i nie przeszkadzać, jednocześnie wykonując swoją robotę w taki sposób, byśmy nadal mogli z nimi pracować.

- Podtrzymywać fikcję.

- Takie jest zadanie. Przynajmniej przez miesiąc, do czasu, gdy prom znów będzie mógł tu przylecieć. Możemy ustalić, że dasz mi słowny znak, powiadzmy wiadomość dla Toma, iż twoim zdaniem korzystne by było, gdybyśmy obaj przylecieli albo że możemy pracować z tobą z ziemi. Chodzi głównie o to, że musimy honorować naszą umowę i ograniczyć liczbę stron na orbicie. Istnieje zbyt duża szansa, że oni wykonają posunięcie według zasady "dziel i rządź", a jeśli tak się stanie, to wyciągną wszystkie korzyści, jakie się da, a potem pójdą w zaparte i stworzą większość z drugą połową nas. Nie pozwólmy im na zrealizowanie tej strategii. Nie leży ona ani w naszym, ani w waszym interesie.

Kroger zastanowiła się nad tym. Jej oczy były oknami na fabrykę myśli. Usta niczego nie zdradzały.

- Interesujące - odezwała się po chwili.

- To ma sens - stwierdził Lund. - Możemy się dogadać.

- Dobrze - powiedział Bren, czując się, jakby po całym ciele chodziły mu jakieś owady. Jak dotąd nie ubierał swoich obaw w słowa, ale wyłożenie ich, nawet w nieco mylący sposób, sprecyzowało zagrożenie, i to do tego stopnia, że zastanawiał się, czyby nie doradzić Tomowi wcześniejszego wyruszenia do promu.

Zostawały dwa dni na podjęcie tej decyzji, między innymi z pomocą Banichiego. Osłona ich stała się najważniejszą rzeczą, szczególnie że Bren coraz bardziej martwił się o Jase'a. Jeśli miał rację, to dzięki opuszczeniu przez niego stacji Jase mógłby zyskać większą swobodę.

Na pewno nie mógł zrobić nic innego, by mu pomóc, chyba że zyskałby większą władzę, niż miał teraz.

Rozmawiali o szczegółach w zaciszu jadalni, inwigilowani z sąsiedniego pokoju do ostatniego trzasku i wzorca fali; zakończyli posiłek spokojną wymianą obietnic i życzeń powodzenia, po czym Bren odprowadził gości na korytarz.

Ben i Tano ustawili tam stół, przy którym siedział z nimi Kaplan. Kiedy otworzyły się drzwi, Kaplan zerwał się, chwycił hełm i włożył go, przybierając bardzo oficjalną minę. Bóg jeden wiedział, co przy takim kącie ustawienia hełmu widziała ich ochrona, jeśli ktoś w ogóle pilnował obrazu. Był wycelowany w drzwi.

- Nie musisz być taki sztywny, Kaplan.

- Nie, sir.

Kaplan miał coś w ustach. I wypchane kieszenie.

- Smakują ci cukierki?

- Bardzo, sir.

- Sam lubię te pomarańczowe.

- Nie jadłem jeszcze pomarańczowych. Tylko czerwone.

- Nadi-ji - zwrócił się Bren do Naraniego - zechciej z łaski swojej przygotować dla tego młodzieńca mieszankę słodocy, łącznie z tymi z damigh-indi.

Zależało mu, by właśnie Kaplan był do nich dobrze nastawiony, po pierwsze dlatego, że niedługo być może będą musieli go przeprosić; po drugie, ponieważ, mając z nimi najwięcej do czynienia, Kaplan najprawdopodobniej stanowił jęczyzek u wagi i Bren chciał, by młodzieniec poczuł przez sekundę wyrzuty sumienia i żal, które dadzą szansę jego ochroniarzom. Oni nie będą mieli żadnych wyrzutów sumienia, ale nie zabijają też Kaplana, jeśli da się tego uniknąć: takie mieli rozkazy.

Bren miał czas, by w pełni zrozumieć ostrzeżenie Banichiego i wszystkie jego implikacje. Wiedział, do jakiego stopnia jest cenny, i wiedział, że tak samo, jak sam opierał się przed przybyciem na stację, Tabini bał się go wysłać: wydał Banichiemu i Jago bezpośrednie rozkazy, po czym wszyscy znaleźli się na orbicie.

Powiedział Kroger tyle, ile ważył się jej powiedzieć. Reszta... reszta zależała od tego, czy dotrą do promu i bezpiecznie wystartują. Kapitanowie nie chcieli dotrzymać planów.

Nie powinni się zdziwić, gdyby te plany zawinęły się dokoła ich własnych zamierzeń i bardzo zmieniły.

Wrócił Narani ze stertą cukierków w złożonych dłoniach; Kaplan upchnął je w każdej kieszeni, gdzie było jeszcze jakieś miejsce. Zaczerwienił się, zmieszany, podziękował i wypełnił wszystkie kieszenie, aż wyraźnie było widać wystający z nich celofan.

- Musisz trochę zjeść - powiedział Bren pogodnie. - Inaczej będziesz je gubił po drodze.

- Tak jest, sir. Dziękuję, sir.

Zadał sobie pytanie, czy Kaplan w ogóle śpi po tak silnej dawce cukru. Jase'a bardzo on pobudzał, i to na wiele sposobów, i Jase niemal się od niego uzależnił. Rozdawaj je, poprosił Bren, nie mówiąc ani słowa. Podziel się nimi z resztą załogi.

Następnym razem będą musieli wziąć na pokład promu kilka skrzynek słodocy i soku owocowego.

21

Jeszcze jeden dzień, a potem następny, ostatni dzień Brena, i ani słowa od matki. Ani słowa od Toby'ego. Ci utrzymywało, że ma ciągle problemy i powiedziało, że w Mogari-nai mogli nabrać przekonania, iż nie ma transmisji - tyle mieli awarii sprzętu.

- Nie wierzę w to - powiedział Bren do Jago. - Wiadomość, którą mam od Tabini-aijiego jest wzorem bezbarwności. "Pozdrowienia" w liczbie mnogiej oznaczającej populację.

- Jest sfalszowana - odparła spokojnie Jago. - Maja ten tekst z wiadomości aijiego do nich.

- Ale nie potrafią odróżnić różnych form liczby mnogiej. Jasne, że jest sfalszowana.

- Zniewaga - stwierdziła Jago.

- Ale w tej chwili nie bardzo możemy poczuć się nią dotknięci. - Na planecie, wewnątrz aishidi'tat, byłby to wyrok śmierci. - Trzeba po prostu być cierpliwym. Nie mają pojęcia o powadze tego czynu. Tolerancja, tolerancja.

- Ateva jest tolerancyjna - powiedziała Jago z ponurą i zdeterminowaną miną. - Ale gdzie jest Jase, Bren-ji? Czy to jest tolerancja?

- Dobre pytanie - rzekł Bren i w tej samej chwili przyszła mu do głowy straszna myśl w związku z wypadem Banichiego do doku promowego. - I absolutnie zakazuję ci szukać na nie odpowiedzi, Jago-ji. Tobie i Banichiemu, Tano i Alginiemu. Macie tu zostać.

- Jeśli chodzi o twoje bezpieczeństwo, nie podejmujemy żadnego ryzyka, Bren-ji - zapewniła go Jago. - Ateva chciałaby, żeby paidhi po prostu spakował te kilka najpotrzebniejszych rzeczy, i wyruszymy wcześniej, bez Kaplana.

- Jestem spakowany, ilekroć zamykam torbę z komputerem i mam ją w ręce.

- Nie zechcesz go tu zostawić, pod opieką Tano?

- Chociaż mu ufam, nie odważyłbym się ściągać na niego kłopotów. Gdyby kapitanowie sądzili, że ta cenna rzecz jest tu, mogliby spróbować ją zdobyć; prawdopodobieństwo ataku na mnie jest mniejsze, bez względu na to, jak bym ich obraził.

- Niemniej jednak - powiedziała Jago i podeszła do szuflady w skąpo umeblowanym pokoju Brena, z której wyjęła jakieś szmaciane zawiniątko. Zaczęła je rozwijać, a widząc wielkość i kształt przedmiotu, Bren poczuł zimny dreszcz.

- Jago-ji, zagrożenie nie jest aż tak wielkie...

- Niemniej jednak - powtórzyła i podała mu pistolet, który podał za Brenem w bagażu z miejsca na miejsce przez cały czas jego kadencji u atevich. - Włóż go do torby z komputerem.

- Dobrze. Albo będę miał go przy sobie. Całkowicie rozumiem. Nie pragnę narażać ciebie i Banichiego, nie mając się czym bronić, ale powtarzam, że moja najlepszą obroną jest moje stanowisko oraz ich potrzeby.

- Niemniej jednak - powiedziała Jago po raz trzeci.

- Zgadzam się - rzekł i włożył pistolet do zewnętrznej kieszeni torby, mając nadzieję, że jego kształt nie rzuci się w oczy. - Proszę. Wierz mi, że posłużę się zdrowym rozsądkiem. - Przyszła mu do głowy myśl. - Wierz mi, że w razie strzelania do ludzi nie będę miał większych skrupułów, niż gdyby byli atevimi.

- To oznacza o wiele za dużo skrupułów - rzekła Jago. - Ale zgadzamy się z tobą, że zależy nam na spokojnym przejściu i całkowicie nudnym locie.

- Nie zjem kolacji z kapitan.

- Czy paidhi się tym martwi?

- To nie to samo, co zrezygnować z kolacji z aijim. Kiedy mnie zapraszała, o wszystkim wiedziała. Nie będzie zbyt zaskoczona. A przynajmniej nie weźmie tego do siebie. Tu jest bardzo mało uczuć osobistych. W tym problem.

- Dlaczego?

- Gdyby to była sprawa osobista, już dawno byśmy rozmawiali. Ale nie rozmawiamy i nie jest to sprawa osobista, i sędzę, że tym razem też nie chce dotrzymać terminu. To był tylko wybieg, żeby mnie zapytać, czy zamierzam opuścić stacje. To, że wolała bezpośrednio nie zadawać mi prostego pytania, mówi coś o umysłach kapitanów, że wszystko, bez względu na to, jakie jest proste, jest skomplikowane i tajne; że, jak powiedział mi Jase, nikt nigdy

nie wypowiada prostego zamiaru, chyba że jest to rozkaz, a kapitanowie sobie nawzajem ich nie wydają.

- Czy robią tak, wyznaczając kurs statku?

Bren roześmiał się.

- To chyba nie sięga tak daleko.

- Zatem jeden z nich może podejmować decyzje.

Człowiek musiał to przemyśleć; człowiek musiał to bardzo starannie przemyśleć. Jeśli plotka jest prawdą, to Ramirez przestał być tą osobą.

- Jestem gotowy do wyjścia, kiedy tylko ty i Banichi zechcecie wyruszyć.

Kątem oka zauważył kogoś przy drzwiach. Spojrzał w tę stronę i zobaczył Naraniego z - nie do wiary! - srebrną tacką na wiadomości ze stolika w korytarzu.

To była ostatnia rzecz, którą się spodziewał ujrzeć. Pomyślał, że to pewnie jakiś pożegnalny miły gest ze strony personelu, życzenia bezpiecznego lotu, obietnica wykonywania obowiązków.

- Rani-ji - powiedział Bren. Narani podszedł i wyciągnął ku niemu srebrną tackę.

- Od kobiety - rzekł.

Z zewnątrz? Wiadomość na piśmie, zwinięta w atewskim stylu?

Rozwinał ją, zaniepokojony.

Przeczytał w łamanym dworskim ragi:

"Ta wiadomość ryzykuje nasze życie, ale potrzebujemy twojej pomocy, potrzebujemy jej nadzwyczaj rozpaczliwie. Jeśli znajdzie ją wroga osoba, wszyscy zginiemy. Nie wolno panu wierzyć żadnemu z przywódców kierujących łodzią. Jeśli możecie zrobić w nocy otworzenie waszych drzwi, spróbowałem odwieść z ogromnym niepokojem dotyczącym ochrony".

- To od Jase'a - powiedział półgłosem Bren, nawet w tym bezpiecznym miejscu. - To jego pismo. - Język pisany dokumentów dworskich stanowił wyzwanie nawet dla wykształconych atevich, ale Jase zrobił wspaniały wysiłek. - W całym dokumencie nie ma ani jednego cholernego melona.

Jase miał problemy z homonimami. Jednak nikt inny na stacji nie mógłby napisać czegoś takiego w tak na wpół płynnym stylu.

- Czy to była Kate, Narani-ji? - zapytał Bren, podając dokument Jago, by sama mogła go przeczytać.

- Nie, nandi - odparł Narani. - Kobieta w starszym wieku, o ile potrafię ocenić, i bardzo się śpiesząca.

Na stacji jest matka Jase'a. Przyjaciele. Kuzyni. Bóg jeden wie, kto to był; Bren mógł uzyskać obraz z ich własnych urządzeń monitorujących korytarz, ale w sumie nie miało znaczenia, kto im to przyniósł. Najważniejsze, że list jest od Jase'a, i jedyną bardziej przerażającą myślą było to, że jeśli przyniosła go matka Jase'a, to może jej grozić niebezpieczeństwo.

- Zamierza spróbować donas przyjąć - stwierdziła Jago. - Dziś w nocy. Czy jest jakiś sposób, w jaki mogliby sfałszować ten dokument, Bren-ji? Czy to w ogóle możliwe?

- O ile wiem, nie. Nawet komputer... nawet najbardziej zaawansowany komputer... po drugiej stronie są ślady przyciskania długopisu, a papier... na statku nie ma papieru, Jago-ji. Oni go nie wytwarzają. Przed przybyciem do nas Jase nigdy nie pisał na papierze, tylko na tabliczce. Nigdy nie używał długopisu, tylko zaostrego rysika.

- Ateva przypomina sobie - powiedziała Jago i dodała: - A Jase miał ze sobą notes.

- Przejrzeliście jego bagaż?

- Miał kilka ubrań, rzeczy, których, jak wiem, nie ma na statku: słodczyce, gruby notes, paczkę długopisów, buteleczkę perfum. Nie przeszedł żadnego przeglądu osobistego. - Jago była bardzo zażenowana, co stanowiło rzadkość. - Być może wykazaliśmy się niedbałością. Ale ciebie też nie przeszukaliśmy, nandi.

Broń była w jednym sensie czymś, co jego ochroniarze zauważali od razu - jeśli miał ją przy sobie ktoś obcy; w innym była rzeczą tak zwyczajną, że jeśli trzymał ją na widoku sojusznik, to stawała się przezroczysta.

- Boże - powiedział cicho Bren, a potem odpowiedział na swoje własne pytanie, nawet biorąc pod uwagę to, że Jase mógłby wprowadzić w życie swoją niechęć do kapitanów. - Nie zrobiliby tego. Zdecydowanie by tego nie zrobił, Jago-ji. Za nic w świecie nie chciałby zdestabilizować naszej sytuacji. Nie mógłby tego zrobić. Wciąż powtarzają, że jest na spotkaniu.

- Ty mówisz, że to kłamstwo.

- Wiem, że tak jest. Sądzę jednak, że są przekonani, iż nie może się z nami skontaktować, co oznacza, że albo go obserwują, albo pilnują. Jeśli przywiózł coś, a oni przeszukali jego bagaż, czego na pewno się spodziewał - ale nie mógł przecież być pod waszą opieką przez trzy lata i zrobić czegoś tak nieprzemysłanego.

- Ateva przynajmniej miałyby nadzieję, że nie da się złapać - powiedziała żarliwie Jago. - Najwyraźniej ma ten notes.

- I cholerne wyczucie czasu! Boże! Co ja mam z tym zrobić?

- A co jest rozsądne, nandi? Co trzeba zrobić dla tej misji?

Z całą pewnością było to pytanie Gildii, jej Gildii: obiektywne, całkowicie zawodowe pytanie. Co jest rozsądne?

Zignorować prośbę Jase'a? Zostawić go na łasce kapitanów?

Czy wtrącić się do wewnętrznego działania Gildii Pilotów, która stwarzała niekończące się problemy?

Z tym problemem na pewno spotkają się podczas długich lat współpracy z Gildią Pilotów. Tabini uważał teraz Jase'a za swojego człowieka. Bren też. Nie było wątpliwości co do wsparcia pozycji, jaką zajmował Jase po ich stronie, ani co do tego, co Jase chce zrobić.

Jego obecne posunięcie nie pozbawiało stacji przedstawicieli z planety. Nie była to trwała, niezmienna sytuacja, a raczej taka, do której Jase, jeśli w jakikolwiek sposób był wplątany w kłopoty Ramireza, mógł się włączyć i wszystko zmienić.

Stwarzając Bóg jeden wie co, podczas gdy Bren będzie na planecie, nie mogąc sprawdzić, co się dzieje.

- Jeżeli chce opuścić tę stację, to my jesteśmy jego jedynym biletem - powiedział Bren do Jago. - Wie, że prom odlatuje. Podjął ryzyko i uciekł na naszą stronę.

- Man'chi - stwierdziła Jago, chociaż doskonale wiedziała, że ma do czynienia z ludźmi, odczuwającymi dość chaotycznie ów pęd do znalezienia się w sytuacji kryzysowej u boku swoich sprzymierzeńców, swojego własnego ajiego.

- Coś w tym stylu - odpowiedział. - Ale nie jest wobec tego bezradny. Wie, na jakie ryzyko nas naraża. Wie, że nie mogę przedłożyć mojego albo jego dobra nad całą cholerną planetę. Nie może o to prosić. Nie zrobiłbym tego dla mojej własnej matki, Jago! Jak mógłbym zrobić to dla niego?

- Czy o to prosi? - zapytała rozsądnie Jago i Bren musiał odetchnąć z mniejszą paniką.

- Nie. Nie wie, że odlatujemy, i nie wie, że odlatujemy wcześniej, ale zna wasz styl pracy. Nie wie nawet, czy możemy otworzyć te drzwi, ale podejrzewa, że potraficie to zrobić. To nie jest dobrze przygotowana wyprawa, Jago-ji. On jest zdesperowany. Moim zdaniem on jest całkiem zdesperowany. Niech to szlag! Niech szlag to wszystko!

- Powinnam powiedzieć Banichiemu.

- Powinniśmy powiedzieć Banichiemu - zgodził się Bren. - Powinniśmy ustawić w korytarzu jakąś wartę. Nie wiem, co mogą zobaczyć na swoich konsolach, ale nie chciałbym trzymać tych drzwi otwartych dłużej niż to konieczne.

- Wiemy, kiedy coś się tam porusza. Nie bój się o to, Bren-ji. Ale kiedy przyjdzie Jasi-ji, możemy ruszyć do promu w wielkim pośpiechu. Człowiek powinien być gotowy.

Człowiek powinien być gotowy. Człowiek siedział gotowy, czekając kilka godzin, rozmawiając mile z Tano i Alginim, którzy będą tu wszystkiego pilnować, i z Naranim oraz pozostałymi, którzy po ich odlocie będą mieli do czynienia z Kroger.

Powinni już iść. Powinni już być przy promie. Technicznie była noc, i to po północy, tej mniej aktywnej godzinie na stacji. Komputer był spakowany, Bren miał na sobie kaftan, Banichi i Jago też.

Czekali, wystawivszy krzesła na korytarz tuż przy posterunku ochrony, by Bren mógł rozmawiać jednocześnie z Tano, Alginim i personelem. Mimo że godziny wlokły się, Bren odmówił filiżanki herbaty. Istniała możliwość, że przy końcu tej nocnej wyprawy będą musieli długo czekać, i to czekać w ukryciu, i Bren nie chciał pękać wtedy w szwach. Włożył do kieszeni kilka cukierków Kaplana: te kwaskowe pomagały na suchość w ustach, a powietrze w rdzeniu było suche i lodowato zimne. W kieszeni miał dobre rękawice.

Czekali na odwiedzin.

Nagle Tano i Algini skupili się na swoich konsolach i przekazali Banichiemu jakiś znak.

Banichi wstał i wszyscy poszli w jego ślady; Banichi przymocował nad włącznikiem jakieś niewielkie urządzenie i otworzył drzwi.

Stał za nimi Jase, Jase w tej nieszczęsnej rybackiej kurtce, Jase blady, spocony i zdyszany, i z cholernym sińcem na policzku.

Bren przywitał go uściskiem, wzbudzając tym, zważywszy na okoliczności, wielki niepokój swojej ochrony, ale Jase też mocno go objął, podczas gdy Banichi zamykał drzwi.

- Gdzie byłeś? - zadał Bren swoje pierwsze pytanie, przyglądając się Jase'owi z odległości wyciągniętych rąk i szukając odpowiedzi w jego twarzy.
- Co się, do diabła, dzieje?

- Postrzelili Ramireza. Żyje. Bren, potrzebuję twojej pomocy!

Jedną z rzeczy, których chciał uniknąć, było wplatanie się w wewnętrzne sprawy Gildii. Wszystko, tylko nie to.

A Jase położył mu to pod drzwiami.

- Kto cię uderzył?

- Kiedy wydostawałem Ramireza - powiedział Jase; wciąż brakło mu tchu, był przerażony - to logiczne, ale na dodatek był wykończony. - Ukrywam się. Musiałem zaufać. Musiałem przeszkodzić ci w odlocie.

Mówił we własnym języku, przez ostatnie dziesięć dni miał do czynienia wyłącznie z językiem z dzieciństwa i w tej chwili prawdopodobnie nie mógłby myśleć w ragi, ale było ważne, żeby personel zrozumiał wszystkie niuanse. - Ragi - powiedział Bren w tym języku. - To jest terytorium aijiego. Nie oddajemy go, nadi-ji. Jesteś tu bezpieczny.

- Nie bezpieczny - powiedział Jase drżącym głosem, nie puszczając rękawów Brena. - Bren, Bren... ja nie mogę myśleć. Żadnych słów. Wody.

- On prosi o wodę, Rani-ji. Gdzie byłeś?

- Ukrywałem się. Zimno. Bez jedzenia. Bez wody. Ramirezowi dawaliśmy, ale nie zostało wiele.

- Wejdz do środka i usiądź. - Bren podprowadził go do najbliższych drzwi, za którymi znajdował się posterunek ochrony, i do krzesła stojącego obok Tano, który wyciągnął do Jase'a pomocną dłoń. - Gdzie byłeś? - Bren nie dawał za wygraną. - Jase, mów z sensem. Czy ktoś cię ściga? Czy cała stacja jest w takim stanie? Co się dzieje?

- Chyba nikt nie szedł. Becky, moja matka, kilka osób, zdobyło dla nas jedzenie i wodę, niewiele. Tam zamarza. Koce. Nie wiedziałem... nie wiedziałem, czy przeżyje; próbowałem się tu dostać przedtem. Nie mogłem. Becky jest z nim. Z Ramirezem. Załoga nie wie. Oni nie chcą, żeby załoga wiedziała.

- Poradzimy sobie z tym - rzekł Bren.

- Są sprytni. Wyprzedzą nas. Będą kłamać.

- Kto będzie kłamać?

- Tamun. Tamun i jego ekipa. Nie mogę tu zostać. Muszę do niego wracać. Bren, macie leki? My nie mamy żadnych. Pojemniki na wodę.

- Nie możesz wracać korytarzami objuczony jak mecheita na targu, nadi. Jeżeli cię ścigają, to nie możesz zabrać ze sobą jedzenia jak na piknik.

- Wiem. Wiem. To, co mogę schować w kurtce. Nie mogę go zostawić. Nie mogę tu zostać.

- Jutro mamy odlecieć!

- Tak myślałem. - Jase sięgnął po wodę, którą podawał mu Narani, i pociągnął łyk, a potem drugi. - Och, jaka dobra.

- Mam do załatwienia sprawy aijiego! Wiesz, że nie mogę zająć się czymś innym, wykorzystując moje osobiste przywileje!

- Wiem, że tego nie zrobisz - powiedział chrapliwie Jase, patrząc na niego i pociągając trzeci, długi, rozpaczliwy łyk.

- Boże, aleś mi przyniósł prezent!

- Wydostałem go! - odgryzł się Jase. - Utrzyma go przy życiu!

- Banichi-ji - powiedział Bren - mamy dość poważny problem.

- Ateva rozumie dosyć, by też tak sądzić - odparł Banichi.

- Co mamy zrobić? - zapytał Bren Jase'a.

- Nie wiem. Gdybym wiedział, sam bym to zrobił. Bren. Bren! - Jase chciał z powrotem ściągnąć na siebie uwagę Brena, który przez chwile patrzył na Banichiego. - Bren, oni rozgłaszają wśród załogi, że Ramirez został postrzelony, kiedy usiłowałem wziąć go jako zakładnika. Taka jest oficjalna wersja. Tak mówią. To atewski spisek zmierzający do przejęcia władzy, a ja biorę w nim udział.

- Czy Ramirez może to obalić?

- Nie przeżyje w ich rękach dziesięciu minut.

- To przyprowadź go tu.

- Nie możemy. Nie jesteśmy w takim miejscu, żebyśmy mogli przejść przez korytarze, niosąc go. Jesteśmy w korytarzu naprawczym, gdzie trwały prace, ale nie podłączono jeszcze energii, lecz jest kilka... - Jase zaczerpnął tchu. - To nikogo nie zaskoczyło. Teraz już się tam nie pracuje, ale ci, którzy tam byli, wiedzą, jak się w tym miejscu urządzić, i zrobili to, i ostrzegli mnie, że Ramirezowi grozi niebezpieczeństwo, ale nie wiedziałem jak duże. A teraz jesteśmy tam, a tam nie jest za ciepło i nie ma wody, bo nie chce płynąć rurami, ale jest powietrze, bo to śluza powietrzna i możemy je wpuszczać.

- Mieszkacie w śluzie powietrznej'?

- W śluzie sekcji roboczej. Jest duża. A nas sześcioro. - Jase zaczął szczerkać zębami, co z trudem opanował. - Wiedziałem, że będzie ciężko, Bren. Nie przypuszczałem, że tak się stanie. Myślałem, że przemówię Ramirezowi do rozsądku. Myślałem, że opanuje resztę. Nie wiedziałem, że sprawy zaszły tak daleko.

- Poczyniliśmy wszelkie przygotowania do usunięcia Brena ze stacji, Jasi-ji - odezwał się Banichi. - Mimo wielkiego szacunku dla ciebie, dla interesów aijiego będzie najlepiej, jeśli Bren zostanie jak najszybciej usunięty z tego miejsca.

- Nie mogę lecieć - rzekł Bren. - Nie teraz. - Jego ochrona najwyraźniej była gotowa dać mu po głowie i zanieść go do promu, co wcale nie było cczą groźbą, a Bren nie mógł na to pozwolić. - Jesteśmy w to wplątani. Nie chciałem tego, ale jest tu Jase i cokolwiek teraz zrobimy, to na pewno nie możemy go zostawić na lodzie.

- Możemy go zabrać ze sobą - powiedział Banichi - możemy zatrzymać go w tej sekcji i zaproponować kapitanom, by go stąd usunęli. Są różne wyjścia.

- Sytuacja na pokładzie jest w ruchu - powiedział Bren. - Baji-naji. Jeśli zabierzemy ze sobą Jase'a, interesy Ramireza całkowicie padną albo stacja wkroczy w okres wojen frakcyjnych, na które aishidi'tat nie bardzo może sobie pozwolić.

- Podobnie jak aishidi'tat nie może sobie pozwolić na utratę ciebie, nadi. Nie możesz tak ryzykować.

- Jestem bezwartościowy, siedząc beczynn timer, Banichi.

- To nie jest decyzja na piętnaście dni. Jest ich trzydzieści. Prom zostanie na ziemi dwa razy tyle.

- A potem może wrócić z dodatkową ochroną - zaproponował Bren. - Jakie jest prawdopodobieństwo, Jasi-ji, że Ramirez wyliże się z ran?

- Może mu się uda, jeśli będzie miał leki - odparł Jase. - Zaczyna gorączkować. Nie mamy odwagi przenieść go gdzie indziej. Muszę do niego wracać, Banichi. - Odzyskał nieco ze swej płynności w ragi. - Kieruję się nie tylko man'chi, ale i logiką. Bez niego moi ludzie dostaną się pod wpływ Tamuna i wykorzystają tylko mospheiran, destabilizując ich, oraz, jeśli sprawy potoczą się źle, być może aishidi'tat.

- On ma rację - powiedział Bren. - Jeżeli Tamun będzie się umawiał z ludźmi pokroju Gaylorda Hanksa, to będą kłopoty. Mospheiranie wrócą pod rozkazy Gildii, wybuchnie z tego powodu wojna domowa, a my w aishidi'tat, jako jedyne źródło transportu z ziemi na orbitę, przeżyjemy trudne chwile z bronią orbitującą nad naszymi głowami, nadiin-ji. Pamiętajcie, że statek jest potężnie uzbrojony. Znajdując się pod źle nastawionym dowództwem, może wysunąć groźby pod adresem aishidi'tat, kompletnie nie zdając sobie sprawy z sytuacji na planecie, kompletnie głupio i kompletnie nie potrafiąc zawrzeć pokoju po wywołaniu wojny większej niż Wojna Lądowania. Chociaż sytuacja jest zła, Banichi-ji, moja pozycja może być lepsza. Mamy Jase'a. Zostaliśmy ostrzeżeni. Nie cała załoga wpadła w ręce Tamuna. Jest jeszcze coś, co możemy zrobić.

- Jest też coś, co paidhi może zrobić na ziemi, bezpieczny - rzekł Banichi. - Można odciąć ich od siły roboczej oraz dostaw i przyglądać się, co będzie. To jest rozsowniejsze działanie, nand' paidhi. Możemy uratować Jase'a, który może poświadczyć prawdę o tym, co się stało i co muszą rozwiązać, jeśli chcą mieć dostawy. Mospheiranie nie potrafią wybudować promu. Nie mają materiałów. Nade wszystko musimy usunąć prom z ich zasięgu, dopóki nie znajdziemy rozwiązania. Nie możemy dopuścić, by znalazł się w ich rękach.

Plan Banichiego był wymowny: powolne zwycięstwo, pozbawienie Gildii siły roboczej i dostaw, co mogłoby pociągnąć za sobą upadek zbuntowanych kapitanów.

- Ale kiedy się dowiedzą, że weszliśmy z Jasem na pokład i że zabieramy prom na kontynent, by już nie wrócić - powiedział Bren - to mogą wystąpić przeciwko nam, a my możemy skończyć z uszkodzonym promem lub z promem zatrzymanym siłą.

- Mamy inne promy, jeszcze nie ukończone, ale na ukończeniu.

- I bez żadnego celu podróży oprócz stacji i statku - wtrącił Jase. - Nadiin-ji, nie mogę zostawić Ramireza, bo umrze. Muszę do niego natychmiast wracać. Musi dostać te leki. To jest odpowiedź na to wszystko. On nie może umrzeć. Zgadza się, że musimy go przenieść tutaj. Musimy zdobyć dla niego pomoc. Teraz jednak potrzebuje pomocy tam, gdzie jest, a z każdą chwilą, jaką tu spędzam, warunki w korytarzach mogą się zmienić.

- Trzydzieści dni czekania - rzekła Jago. - Trzydzieści dni i nieprzewidywalna sytuacja.

- Jaka sytuacja? Nie otrzymaliśmy żadnej takiej informacji - powiedział Bren tonem udawanego oburzenia. - Nie mieliśmy żadnego gościa. Nic nie wiemy. Odcinają nas od wiadomości od Tabiniego i nie wiadomo, od czego jeszcze, ale my nic o tym nie wiemy; o niczym nie mamy pojęcia i uważamy, że Tabini po prostu nie ma nic do powiedzenia. Nie zmieniamy działalności przez trzydzieści dni i czekamy, aż nasze wiadomości dotrą na ziemię z załogą.

- Moglibyśmy zamienić jednego stewarda na jednego słuźącego - zaproponował Banichi. - Nojana byłby cennym nabytkiem. Prom może się bez niego obejść.

- Niebezpieczne - rzekł Bren.

- Tak czy owak musimy ich zawiadomić - stwierdził Banichi. - Jeśli nie zobaczą nikogo od nas, prom będzie miał mechaniczną usterkę, drobny problem, aż dostaną jakąś wiadomość.

Jak Bren mógł nie przewidzieć, że Banichi będzie miał coś takiego w odwodzie? Był przerażony.

- A więc musimy się z nimi skontaktować... i mamy też na karku Kroger. Nie możemy im pozwolić na beztrudne działanie, jeśli zmieniamy plany. Będą oburzeni.

- Każdy ma do wykonania swoje zadanie - rzekł Banichi.

Bren spojrział na niego z niezadowoleniem.

- Najpierw muszę się dowiedzieć, gdzie przebywa Jase - powiedział Banichi - i zapewnić mu bezpieczny powrót. Potem Kroger. Ale Kandana może pójść do promu i bardzo łatwo zamienić się z Nojana. Kiedy przybędzie Nojana, będziemy wiedzieli, że wiadomość dotarła na miejsce.

- Uważaj na siebie - poprosił Bren.

- Oczywiście. Poszukamy lekarstw, Bren-ji?

- Poszukajcie - powiedział Bren i położył dłoń na ramieniu Jase'a. - Jeśli miejsce, w którym się ukrywasz, doprowadza cię do takiego stanu, to nie może służyć Ramirezowi. Musimy sprowadzić go tutaj, gdzie jest ciepło i gdzie będzie miał opiekę.

- Nie zgodzi się - powiedział szczerze Jase. - Usiłowałem go namówić. Może nie jest przy zdrowych zmysłach, ale ja tak nie sędzę. Dopóki jest samodzielnym, wciąż dowodzi. Nie poprosił o pomoc nikogo innego, nikogo z zewnątrz. Kiedy nabierze sił, przywoła załogę do porządku.

- Jakże ma obrażenia? - zapytał Bren. - Jaką otrzymał pomoc? Jaką opiekę?

- Jest z nami lekarz. Inaczej by umarł. Zdobyliśmy trochę zapasów. Mamy dla niego koc. Tylko wszystkiego zaczyna nam brakować.

- Potrzebuje ciepła - przetłumaczył Bren. - Jase, myśl w ragi.

Jase zdobył się na widoczny, fizyczny wysiłek.

- Próbuję - odpowiedział w ragi. - Po prostu jestem zmęczony. Pytania. Mnóstwo pytań. Żadnego snu. Ukrywanie się. Myślenie nie idzie mi najsprawniej.

- Jeden z moich swetrów - rzekł Bren. - Wiem, że przywieźliśmy parę. Cokolwiek, co możemy ci dać. Czy walczyacie tylko z zimnem?

- Zimnem, ciemnością, po prostu nie ma wiele...

Przez chwilę Jase wyglądał, jakby miał paść na twarz, i Bren przywołał go do przytomności dotykiem ręki.

- Przecież ty nie jesteś w stanie tam wrócić!

- Muszę. Nie mam wyboru.

- Banichi, jeśli potrafisz ocenić warunki, pomyśl, czy mamy coś, co może im się przydać.

- Mamy zapasy awaryjne, koncentraty, kapsuły ogrzewające, tlen, wodę.

- Nie mamy wody - powiedział Jase - ale zbieramy lód. Wszystko się przyda.

- Łatwe do zrobienia - stwierdził Banichi. - Powinniśmy wkrótce wyruszyć. Jasi-ji ma rację. To pora niewielkiej aktywności w korytarzach, która zwiększy się za pół godziny. Jago pójdzie do Kroger, Kandana do Nojana, a ja zobaczę, gdzie się ukrywa Jase.

- Czy Kandana da radę? Nie zabłądzi?

- Jestem tego dość pewien - odparł Banichi. - A Nojana nie potrzebuje żadnych instrukcji.

- A zatem do dzieła - powiedział Bren. Czasami rozważny, rozsądny człowiek po prostu musiał uwierzyć, że jego ochrona ma rację, i uznać ścisłanie w dołku za o wiele mniej ważne, nie zasługujące na panikę.

Niemniej jednak bał się. Bał się i równie trudno było mu wysłać Banichiego i Jago na ryzykowne wyprawy, jak i Jase'a do jego kryjówki.

- Powiedz im - zwrócił się do Jase'a - że jeśli wyrządzą wam krzywdę, to aiji przyjmie bardzo twardą linię postępowania, i że bez względu na to, co myśla, aiji ma mocny sojusz z Mospheirą; powiedz im, że cieszysz się też poważaniem mospheirskiego rządu i jeśli spadnie ci choć jeden włos z głowy, nie uzyskają żadnej współpracy.

- Nigdy nie byłem tak przekonujący jak ty - rzekł Jase z niemal rozpaczliwym śmiechem.

- Jeśli cię skrzywdzą w jakikolwiek sposób, ja zgłoszę Zamiar. Nie żartuję. Osobiście ich załatwię, zgodnie z przepisami atewskiego prawa.

Jase zaczął się śmiać, posłusznie okazując dobrą wolę, lecz po chwili chyba zrozumiał, że sprawa jest naprawdę poważna. Dzięki doświadczeniu zdobytemu na planecie Jase bardzo dobrze rozumiał Gildię Banichiego.

- Nie jestem tego wart - powiedział.

- Jeżeli postępują źle ze swoim człowiekiem, który życzy im jedynie dobrze - rzekł Bren - to niech ich diabli i my będziemy rządzić, aiji będzie rządzić całym tym układem słonecznym zgodnie z atewskim prawem. Aiji będzie tolerował wszelkie prowokacje, ale zastanów się nad tym, Jase. Chaos jest największym wrogiem aishidi'tat i aiji tego nie zaakceptuje, nie zaakceptuje złego traktowania swoich towarzyszy tu, na górze. Powiedziałem ci, że masz władzę. Wykorzystaj ją! - Chwytał Jase'a za ramiona i gdy ten się skrzywił, rozluźnił uścisk prawej ręki. - Masz tu wrócić, słyszysz? Nie zmuszaj mnie, żebym robił coś tak nieroztropnego. Kładę to na twoje barki, bo jeśli coś ci się stanie, rozbiję to miejsce w puch. Słyszysz?

- Słyszę. Będę uważał.

- Wyprawa na ryby. Obiecuję.

- Umowa stoi. Muszę już iść. Muszę.

- Dobrze - powiedział Bren. - Banichi.

- Nand' Jase pójdzie ze mną - odpowiedział ateva. - Jago-ji, objaśnij Kandane.

- Tak - rzekła Jago, a wtedy Banichi bez żadnych opóźnień czy zamętu wyprowadził Jase'a przez podobno zamknięte drzwi.

- Nie tak miało być - powiedział Bren, czując, że sprawy wcale nie toczą się zgodnie z jego życzeniami. Jeszcze przed półgodziną sądził, że leci na planetę, gdzie będzie mógł ze skrucną powiedzieć Tabiniemu, iż negocjacje diabli wzięli, i zapytać brata, czy udało mu się znaleźć żonę i dzieci.

Nie na taki rozwój wypadków liczył. Właśnie został wmieszany w coś, czego najbardziej chciał uniknąć i co mogło dać Tabiniemu to, czego żądał, jeśli tylko uda im się utrzymać Ramireza przy życiu... jeśli Brenowi uda się odzyskać żywych ochroniarzy i żywego Jase'a.

Ktoś był śmiertelnie poważny, powodując ten wybuch frakcyjnej przemocy wśród załogi, i Bren mógł jedynie polegać na środkach obrony przygotowanych przez jego ochroniarzy i mieć nadzieję, że przewidzieli, iż sterowanie ciepłem, światłem i powietrzem znajdzie się we wrogich rękach.

Nie mógł pozwolić, by sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej. Był umówiony na spotkanie z Sabin, chociaż ta na pewno nie przyjdzie. Miał w swoim zasięgu Ramireza oraz środki, być może, być może, by przesłać wiadomość załodze - gdyby mógł skontaktować się z tym prawie przyjaznym oficerem z C1...

Usiadł do komputera i naszkicował oświadczenie:

"Kapitan Ramirez, przeżywszy zamach na swoje życie, schronił się...".

Czasami człowiek widział pewne sprawy wyraźniej na piśmie. Gdyby ta wiadomość wyszła na zewnątrz, natychmiast powstałaby kontrplotka, że zrobili to przybysze; gdyby Ramirez umarł, znaleźliby się w cieniu tego oskarżenia.

Lecz gdyby Ramirez umarł, kozłem ofiarnym będzie Jase, Jase, który ma powiązania z obcą władzą, Jase, któremu nie można już ufać.

Bren zobaczył zaciskającą się wokół nich sieć. Zobaczył kompletny chaos, jaki powstanie po odlocie Kroger, jeśli on zostanie na stacji, a jego ekipa będzie biegać po korytarzach w różnych grupkach.

Naprawdę chciał zażyć jakiś środek zobojętniający kwas.

Napisał:

"Odszczepieńcza frakcja w Radzie Gildii zaatakowała i zraniła kapitana Ramireza. Prosi on o wsparcie wśród załogi. Załoga musi zażądać powrotu Ramireza i poparcia dla jego umów...".

Kto? - zadał sobie z rozpaczą pytanie. Kto poprze te programy?

I przypomniał sobie twarz Oguna, uścisk jego ręki, fakt, że Ramirez wybrał Oguna na swojego partnera, całą zmieniającą się podczas tego spotkania mowę ciała, która dała mu do zrozumienia, że Ogun też powziął podobną decyzję.

Skasował to, co napisał, i zaczął trzeci raz:

"Kapitanie Ogun, kapitan Ramirez potrzebuje Pańskiej pomocy. Jase Graham uratował mu życie, kiedy został zaatakowany przez kogoś pragnącego zniweczyć nasze umowy. Sądzę, że Pan wie lepiej ode mnie, kto to mógł być. Poprzemy Pana, Ramireza oraz umowy; odrzuciliśmy okazję odlotu na planetę. Podczas tej sytuacji kryzysowej oferujemy wszelkie wsparcie, jakiego mógłby Pan potrzebować, łącznie z bezpiecznym schronieniem".

Zdecydował się jeszcze nie prosić Cło pomoc. Napisał jednak:

"Aiji-ma, sprawy toczą się tak doskonale jak w każdym machimi o powrocie do domu".

Oraz w mospheiranie, do matki:

"Daj mi, proszę, znać, jak wygląda sytuacja".

Chciał napisać: "Nie jestem pewien, czy docierają do Ciebie moje wiadomości", ale nie śmiał dawać tak wyraźnej wskazówki co do swoich podejrzeń, że wszystkie jego wiadomości wpadają prosto w czarną dziurę, a te, które otrzymuje, są podrasowane i stare.

Napisał więc:

"Miałem bardzo wiele czasu na przemyślenia, jak rodzina ułożyła swoje sprawy i oczekiwania wobec mnie, i sądzą, że to zawsze było dla wszystkich obciążeniem. Uwierz, że czuję się dobrze, Mamo, i że jestem szczęśliwy tu, gdzie jestem. Mój brat wyrósł na nadzwyczajnego mężczyznę i mam nadzieję, że to rozumiesz i że uściskasz ode mnie jego wspaniałe dzieciaki. Obaj Ci się udaliśmy. Ja tylko poszedłem trochę inną drogą, ale jestem z tego bardzo zadowolony, podobnie jak ze wszystkich moich wyborów. Nigdy nie przestanę kochać Ciebie i Toby'ego, i bez względu na to, gdzie się znajdę, zawsze będę z Wami myślami i sercem".

Był to jeden z jego lepszych listów. Miał nadzieję, że uda mu się dotrzeć do adresatki.

Napisał też do kilku członków komisji, jak zwykle zapewniając, że o nich pamięta. Bo pamiętał. Napisał do swego personelu, prosząc, by wykorzystał swoje przywileje i odpoczął, ponieważ prawdopodobnie szykuje się mnóstwo pracy.

Miał nadzieję, że tak właśnie będzie.

Czekał prawie do świtu według czasu stacji, i wciąż jeszcze czekał, kiedy cicho zjawił się Nojana.

- Nadi - powiedział Narani. - Nojana przybył szczęśliwie. Jakie mam mu przydzielić miejsce?

- Na razie Kandany - odrzekł Bren i odetchnął z ulgą w nadziei, że prom zmieści się w rozkładzie. - Podziękuj mu. Porozmawiam z nim po śniadaniu.

Wkrótce do ich sekcji wśliznęła się też Jago.

- Jak to przyjęli? - zapytał ją Bren. - Jak tam było?

Jago lekko wzruszyła ramionami.

- Banichi jeszcze nie wrócił?

- Jeszcze nie.

- Ich ochrona przechodziła bardzo blisko. Słyszałam ich i bałam się, że mogą pójść w moją stronę. Pojechałam windą na górę, a potem, kiedy miałam nadzieję, że odeszli, znów na dół.

Słuch. Zapomniał o przewodze atevich pod tym względem.

- Mam nadzieję, że Banichi się pośpieszy - powiedział Bren. - Wyobrażam sobie, że mospheiranie nie byli zadowoleni.

- Nie. Tom-nadi wciąż chce wrócić na dół i polecieć na Mospheirę ze sprawozdaniem; ma nadzieję wrócić następnym promem. Gin-nadi zostaje. Dziękuje ci za radę i pragnie się z tobą spotkać.

- Powiedziałaś jej o Ramirezie.

- Tak, nandi. - Jago była bardzo pewna tego, co mówi. - Powiedziałam Kate-nadi, by wiadomość była dokładna, i poprosiłam, by nie wypowiedziała jej na głos, ale zapisała bardzo drobnym pismem i ubłagała Kroger-nadi, żeby nie rozmawiali o tym głośno nawet między sobą. Dałam też do zrozumienia, że naszym zdaniem są inwigilowani. Odpowiedziała mi na piśmie; zapamiętałam wiadomość i zniszczyłam notatkę, to znaczy to. - Jago zaczerpnęła tchu. - "Władzę przejęli twardogłowi. Chcą się układać tylko z nami, wykorzystywać tylko mospheirską pomoc, żadnych atevich na orbicie. Chcą dopełnić załogę, szkoląc mospheiran. Powiedziałam im, że nie jesteśmy w stanie dostarczyć środków ani wytworzyć tego, co potrzebują. Mówią o przewyciężeniu tego problemu. Statek jest uzbrojony, ale nie wiem, co mogą zrobić. Sądzę, że możemy znaleźć się w kłopotcie". Tak słowo w słowo brzmi jej odpowiedź. Tom-nadi leci na dół, by ostrzec prezydenta.

- To nie jest dobra wiadomość.

- Czy oni chcą zacząć kolejną wojnę? - zapytała Jago. - Czy ta wzmianka o broni oznacza broń zwróconą na kontynent?

- Nie odrzucam takiej możliwości. Myślę raczej, że chcą powiedzieć, iż mogą przewieźć mospheiran tu, na górę. A to oznacza zawładnięcie promem i umiejętność pilotowania go.

- Autopilot promu nie jest dostępny - przypomniała mu Jago.

Włączenie autopilota wymagało złożonego kodu, którego atewscy piloci nie zdradzą.

- Poczuję się lepiej, kiedy będę miał pewność, że prom oddalił się od stacji - powiedział Bren i pomyślał: I kiedy wróci Banichi.

22

C1 - powiedział Bren. - Transmisja do i z Mogari-nai. - Tak jest, sir.

Nikt go nie pytał o prom, który właśnie miał odlatywać. Nojana poinformował ich, że kapitan ma wyraźne rozkazy i że na promie przeprowadza się normalne przygotowania do startu. Kandana jest już pewnie na pokładzie; za chwilę powinien tam wyruszyć Tom, jako że start miał nastąpić o dziewiątej zero zero czasu miejscowego, a wciąż nie było Banichiego i ani słowa od Jase'a, oraz ani słowa, że spotkanie z Sabin jest odwołane, czego Bren spodziewał się lada chwila.

No, dalej, ponaglił Bren Banichiego w myślach. Wbrew sytuacji wszyscy starali się udawać wesołość. Jago wykonywała swoje zadania szybko i pogodnie.

Bren przy co drugim oddechu myślał o nieobecności Banichiego, mówiąc sobie, że jeżeli coś się stanie atevie z jego powodu, to nigdy sobie tego nie wybaczy. Prawie nie mógł patrzeć Jago w oczy. Nie miał żadnego zapasu radości.

W poczcie znalazły się liczne życzenia pomyślnego lotu dla promu, a od matki...

Od matki szczerzy list.

"Podobno jesteś na stacji kosmicznej i dlatego nie mogłeś do mnie oddzwaniać. Chyba już nic nigdy nie powinno mnie zaskoczyć. Wiem, że na pewno martwisz się o Barb. Posłałam jej kwiaty w Twoim imieniu. Przeżyła operację. Jest bardzo silna. Pozbyła się paru rurek, na co według niej był najwyższy czas. Nie powiedziałam jej, gdzie jesteś. Wypadku wcale nie pamięta. Pyta, czy upadła na ruchomych schodach, czy może do niej strzelano. Mówię jej, ale zapomina. Wciąż dostaje środki uspokajające, traci i odzyskuje przytomność. Mówiła o pojechaniu z Tobą na Mt. Adams, do chaty. Powiedziała, że jej to

obiecaneś. Nie mówiłam, że nie. Chorym ludziom nie da się przemówić do rozumu, a i nie czas na to.

Miałam niepokojący telefon od Toby'ego. Ma jakieś kłopoty z Jill. Mówi, że ona ma mu za złe te jego przyjazdy do mnie, jakby sama nie odwiedzała swojej rodziny dwa albo trzy razy do roku, nie mówiąc już o zostawianiu dzieci u Louise. Moim zdaniem Toby powinien w tej sprawie tupnąć nogą. Dzieci wałęsają się cały dzień, a wiem, że wymykają się z domu nocą. Louise za nimi nie nadaża i jeśli Jill nie weźmie ich mocno w garść, za parę lat zaczną sprawiać poważne kłopoty. Toby myśli, że wszystko, czego chce Jill, jest w porządku, a dzieci rozpuszcza w taki sam sposób. Za dużo materialnych rzeczy, za mało czasu z rodziną i według mnie za dużo pływania tą łódką. Nigdy nie pochwalalam wożenia dzieci na kontynent. Wiem, że pewne rzeczy są dla Ciebie normalne. Ale dzieci nie powinny tego oglądać.

W każdym razie trochę się tu uspokoilo. Żałuję, że Cię tu nie ma”.

Dlaczego pozwalał, by martwiły go takie rzeczy? Dlaczego, mimo wszelkich innych zmartwień zagrażających światu, ciśnienie mu rosło z powodu tego jednego listu, i w jaki sposób list ten potrafił go przekonać, że nie rzucając wszystkiego, by pędem wrócić do domu i porozmawiać rozsądnie z matką, zaniedbuje swoje obowiązki rodzinne?

Nie istniała żadna logika. To była jego matka.

Żałował, że napisała akurat tego dnia. Naprawdę żałował. I czuł się z tego powodu winny. Rozzłościło go, że Barb leży tam z cholernym bukietem kwiatów, do którego matka przypięła jego imię.

Jak śmiała? Uczyniła to z łatwością. Po prostu przypięła i tyle. Ona wie najlepiej. Wystarczy ją spytać.

- Bren-ji. - O framugę oparła się Jago. - Czterech ludzi na zewnątrz.

Może to dzwon zagłady? Myśli Brena wskoczyły na całkowicie odmienne tory: Banichi mógł wpaść w poważne kłopoty. Wyjściem mogła być perswazja, ale nie względem garstki uzbrojonych ludzi.

Konstrukcja atewskich siedzib nie wzięła się z niczego.

- Mantos an - powiedział Bren; nie istniało żadne tłumaczenie tych słów i nie trzeba było wydawać więcej rozkazów. Jago przekazała polecenie, mantos an, i wszystkie drzwi w ich władaniu zostały zamknięte w ciągu dziesięciu sekund.

Jago została po jego stronie drzwi. Bren był pewien, że Tano i Algini są na posterunku ochrony, którego drzwi zostały zamknięte, i w wyobraźni widział tylko Naraniego, jak samotnie podchodzi do drzwi zewnętrznych.

Stacja mogła je otworzyć i zapewnić sobie przewagę taktyczną. Cokolwiek się działo, załoga postanowiła jednak tego nie robić.

Bren wstał, wyjąwszy z torby na komputer broń. Zastanawiał się, czy ludzie kapitanów mogliby zastrzelić Naraniego i za pomocą jakiegoś elektronicznego klucza otworzyć drzwi, cofając się jedynie przed zbrojną obroną; czekał przez kilka chwil w ciszy, wytężając słuch na jakiegokolwiek dźwięki dobiegające z korytarza.

Wtedy rozległo się delikatne, stłumione pukanie do drzwi; Jago otworzyła je ostrożnie, a Bren stał z wycelowanym pistoletem.

Na zewnątrz ujrzał Naraniego, samego, ze srebrną tacą, na której leżał dziwny kawałek różowego celofanu. Papierek od cukierka i karta.

- Wygląda na to, że nie mają tutek na wiadomości - rzekł Narani. - To Johnson-nadi i jego towarzysze, ci, którzy zostali przeniesieni z naszego powodu.

Bren rzucił Jago niepewne spojrzenie, ale z całą pewnością był to papierek od cukierka, który w jakiś sposób trafił do rąk Johnsona i jego towarzyszy. Bren natychmiast się domyślił, że mogło się to zdarzyć jedynie za pośrednictwem Kaplana, i ostrożnie odłożył broń na toaletkę. Razem z Naranim wyszedł na korytarz.

Drzwi były otwarte, a za nimi czekali w postawie pełnej szacunku Johnson, Andresson, Pressman i Polano.

- Pan Cameron? - odezwał się Johnson. - Przyszliśmy określić nasze zadocuczynienie. - A kiedy Bren nie zareagował na to nadzwyczajne oświadczenie, dodał: - Rozdajecie te słodczyce za przysługi. Macie ich jeszcze trochę?

Ochrona znajdowała się w stanie najwyższego pogotowia, Banichiego nie było, a on sam miał podejrzenia, że jest to misja zwiadowcza; uroczyście przetłumaczył jednak tę kwestię Naraniemu, który skłonił się i poszedł szukać odpowiednich zapasów.

- Mój przełożony personelu ich szuka - powiedział. - Znajomi Kaplana?

- Kuzyn - odezwał się Andresson.

- A. Zechcecie wejść i napić się herbaty?

- Nie wiemy, co to jest herbata, sir.

- No cóż, pewnie nie powinienem was nią częstować. Za pierwszym razem Jase nie mógł zasnąć całą noc. Ale widzę, że towary importowane będą tu bardzo popularne.

- Jak słodczyce, sir.

- Sam je lubię. - Usłyszał, że wraca Narani, ale jako uczeń Banichiego i Jago nie odwrócił głowy. Dostał niewielkie pudełko, zwykłe pudełko, i podał je Johnsonowi. - Bardzo się cieszę, że mogę spełnić waszą prośbę.

- Mamy to zwrócić, sir?

- Pudełko? Jest wasze, jeśli się wam podoba.

- Są na nim obrazki - zaprotestował Johnson.

Przypadkiem były na nim wymalowane kwiaty i owoce, a w owalnym okienku widniał widoczek morza. Rzeczywiście było to piękne pudełko - w miejscu gdzie nie znano papieru.

- Mam nadzieję, że będą wam smakowały. Dzięki wam jest tu nam bardzo wygodnie. Gdybyście zechcieli przyjść, kiedy naprawdę będziecie po służbie... moglibyśmy wam pokazać niektóre z ulubionych rzeczy Jase'a. Zastanawiam się, czy nie jesteś tym Johnsonem, o którym wspominał Jase.

- Na pokładzie jest trzydziestu Johnsonów - rzekł Johnson. - A on jest na poziomie kapitanów, z którymi nie mamy za dużo do czynienia.

Czasami w Brena wstępował diabeł. Nie potrafił tego opisać w żaden inny sposób. Chciał jakoś przekazać załodze wiadomość i w tym drobnym osobistym zwierzaniu zobaczył furtkę.

- Słyszałem plotkę - powiedział. - Czy już złapano osobę odpowiedzialną?

- Jaką plotkę, sir?

- Że Ramirez został postrzelony. Nie słyszeliście? Może to nieprawda.

- Postrzelony, sir? O co tu chodzi?

- Nie wiem. Coś słyszałem. Jesteś kuzynem Kaplana, tak? - Teraz sprawa prośby o słodczyce wyglądała zupełnie sensownie. Kaplan miał kogoś, komu musiał odpłacić za jakąś osobistą przysługę; ci ludzie mieli to obiecać; chcieli, by im odpłacono w cukierkach, a Bóg jeden wie, jaką cenę miały te słodkie przeboje wśród załogi. - Chcą obarczyć winą Jase'a Grahama, a to jest cholerne kłamstwo. Jase lubi Ramireza. Cholernie dobrze wiem, że Jase nigdy by do niego nie strzelił - i skąd miałby wziąć broń, skoro dopiero co został sprawdzony przez ochronę? Ale inni przez nią nie przechodzili. Jestem bardzo zaniepokojony. Zawarliśmy umowę, dzięki której statek miał otrzymać paliwo, a teraz ktoś usiłuje zabić Ramireza, który z tego, co wiem, zamknął się, drżąc o własne życie.

- Nabiera nas pan.

- Martwię się, ot co. Oprócz was nie rozmawiałem z nikim od kilku dni. Nie podoba mi się to, co słyszę, i sądzę, że może dzieje się coś, co jest przed nami ukrywane. Jeśli chcecie tu wrócić i porozmawiać ze mną, to z przyjemnością powiem wam i wszystkim innym z załogi to, co wiem, a mianowicie, że dzieje się coś cholernie podejrzanego, co ma według kogoś zachęcić mospheiran do współpracy, ale mospheiran tego nie zrobią - nie chcą tego zrobić - a niektórzy ludzie na tej stacji po prostu śmiertelnie boją się atevich, którzy

ze wszystkich sił starają się pomóc... Narani, podejdź do mnie. Uśmiechnij się... Czy tak wygląda wróg? Jest to absolutnie uczciwy, spokojny mężczyzna, który ma już wnuki.

- Tak jest, sir - mruknął Johnson. - Ale my jesteśmy ochroną i powinniśmy wiedzieć, czy coś się dzieje.

Ochrona, tak? Naiwni jak dzieci i szukający łapówki, chociaż w razie potrzeby zapewne mogą być bardzo groźni.

- Poszukajcie sami, dobrze się rozejrzyjcie. Mamy tu stół, który, jak rozumiem, narusza jakieś zasady; dziadka, który wykonuje swoje obowiązki najlepiej, jak umie, i mój pokój, wszystkie moje tajemne posunięcia, całkowicie na widoku... Jago, odłóż broń i wyjdź z uśmiechem do tych panów.

Jago wyszła z pokoju i mimo broni tkwiącej w kaburze bardzo ładnie uśmiechnęła się i ukłoniła.

- Nadiin - powiedziała i dodała w ragi: - Uważaj na tych mężczyzn, nandi.

- Człowiek z pewnością uważa - odparł i jak najstaranniej naśladowując akcent Jase'a, stwierdził: - Cholerny bałagan, ot co. Mój personel się niepokoi.

- Gdzie pan to słyszał? - zapytał bez ogródek Johnson. - Kto panu powiedział?

- Mospheiranie - wymyślił na poczekaniu. - Chyba usłyszeli o tym w barze w swoim sąsiedztwie. To plotka. Ale jest prawda, że mieliśmy się spotkać z Ramirezem kilka dni temu; spotkanie wciąż jest odkładane i nikt się z nikim nie spotyka. Powiedzcie Ogunowi to, co wam powiedziałem.

- Lepiej stąd chodźmy - odezwał się Polano; pozostali najwyraźniej pomysśleli to samo. Wycofali się do drzwi, trzymając swoje pudełko słodyczy.

- Przekażcie waszemu przełożonemu, że jesteśmy cholernie zmęczeni czekaniem - rzekł Bren - i że nie obchodzi nas, z kim się układamy, ale jesteśmy tu po to, by się układać i uruchomić tę stację. Powiedzcie Kaplanowi... jemu też powiedzcie. Jestem mu winien wyjaśnienie. Powiedzcie mu, żeby tu przyszedł.

- Tak jest, sir - rzekł Johnson i za gośćmi zamknęły się drzwi.

Bren zaczerpnął głęboko tchu, po raz kolejny żałując, że nie pojawił się Banichi i teraz już się zapewne nie pojawi, dopóki nie zaniknie ruch na korytarzach. Banichi na pewno gdzieś się przyczaił, na pewno tak jest. Po prostu tam, gdzie jest Jase, zrobiło się gorąco i Banichi uznał to miejsce za niebezpieczne.

A może Banichi pełni obowiązki lekarza, w czym ma pewne umiejętności. Banichi postąpi zgodnie z własnym rozumem.

- Wspomniałeś im o Ramirezie - zauważyła Jago, kiedy zamknęły się drzwi.

- Nie tylko wspomniałem. Powiedziałem im prawdę. To ochroniarze, ale są też częścią załogi i nie podoba im się to wszystko, bez względu na cholerne pudełko cukierków. Czy przywiozą nam ich więcej, Rani-ji?

- Słodyczy, nandi? Tak. Kandana specjalnie to zanotował.

- Dobrze. - Wystukał kod na drzwiach posterunku ochrony i kiedy się otworzyły, nie zdziwił się na widok wyciągniętej broni. - W porządku - rzekł, ale nie wiedział, jak może uspokoić personel. - Przerwałem nasze milczenie, baji-naji. Banichiego nie ma i nie wiem... nie wiem, czy mądrze zrobiłem, nadiin-ji, ale mamy ograniczone środki rozgłaszania tego, co wiemy. Wolałbym powiedzieć Kaplanowi, ale dokonałem wyboru. Nie wiemy, ile mamy czasu. Zakładamy, że prom odleci zgodnie z rozkładem. Zachowujcie czujność. Spodziewajcie się odcięcia światła i powietrza.

- Jesteśmy przygotowani - odparł Tano.

- Czyż mógłbym w to wątpić? - Na pewno nie w nich.

Co do siebie i swojego szaleńczego pędu po skalistym terenie miał liczne wątpliwości.

Ze zrobieniem czegoś tak nieprzemysłanego mógł zaczekać na odlot promu.

Nie zaczekał.

Denerwował się przez następne kilka godzin, aż, co było do przewidzenia, C1 odczytało mu notkę od Sabin - z wyrazami żalu, przeprosinami za odłożenie spotkania i ustaleniami określającymi następny termin na szesnastego o trzynastej zero zero.

- Oczywiście - powiedział spokojnie. - Mam wrażenie, że prom odleciał bezpiecznie.

Było już po czasie. Nie mieli żadnych wieści.

- Punktualnie, sir. Wartości nominalne.

- To wspaniale. Dziękuję, bardzo dziękuję, C1.

Akurat w pokoju była Jago. Przeglądała mapy stacji.

- Prom odleciał - stwierdziła w ragi.

- Tak. Podobno bez żadnych przeszkód. - Po chwili dodał: - Teraz czekamy, Jago-ji. Musimy czekać bardzo chytrze, bardzo sprytnie, i mam nadzieję, że to, co dzisiaj zrobiłem, nie przysporzy nam kłopotów.

- Ateva wątpi, czy wystarczy nam zapasów na tak długo. Ale zidentyfikowaliśmy zawory, dzięki którym zastosowanie jakichkolwiek ostrych kroków przeciwko tej całej sekcji wydaje się niemożliwe. Chyba mamy wspólne przewody z dość dużym zamieszkanym obszarem. Zauważamy znaczny przepływ. Odcięcie nas oznaczałoby odcięcie ich.

- To bardzo dobra wiadomość - rzekł Bren.

- Z drugiej strony - ciągnęła Jago - możemy przerwać ten przepływ i stworzyć niedogodności. Naszym zdaniem wszystko jest zdublowane. Szczególnie przepływ wody nie jest zależny wyłącznie od ruchu wirowego stacji. By zapobiec nieprzewidzianym przeciekom, wspomagają go pompy i zabezpieczają zawory; ruch powietrza wymuszają wentylatory. To są delikatne układy. Sądzymy, że jesteśmy w stanie założyć własne sterowanie, co może nam umożliwić przejęcie kontroli nad tymi układami. Po prostu musimy obserwować ich normalne działanie. Wiemy, że potrafimy zapewnić dostawy wody i obsługę drzwi; sądzymy, że jesteśmy też w stanie przejąć kontrolę nad dostawami powietrza.

Bren był mile zaskoczony.

- Nadzwyczajaj dobra robota, nadi-ji.

- Robota Alginiego - powiedziała wesoło Jago. - Jest bardzo dobry w tym, co robi.

- Będę to miał na uwadze przy własnej pracy. Nie zamierzam czekać bezczynnie przez miesiąc, Jago-ji, podczas gdy frakcja, którą uważam za nam przeciwną, będzie działać po swojemu. Chcę mieć naszego zaginionego kapitana. Chcę go mieć żywego. Potem zamierzam zająć teren, powiedzmy aż do głównego korytarza, jeśli uda się wam zgłosić do niego prawa... ale dopiero wtedy, kiedy będzie to dogodne. Możemy zajmować teren aż do mospheiran, połączyć się z nimi i zająć korytarze leżące między nami.

Jago uniosła brwi, dość pogodnie przyjmując jego szaloną propozycję.

- Czy nie powinniśmy poczekać na Banichiego, nadi? Spodziewam się, że będzie miał jakieś wiadomości. Stan zdrowia kapitana mógł się zmienić, ateva ma nadzieję, że nie na gorsze.

- Chyba powinniśmy poczekać - zgodził się Bren i dodał: - Żywię ogromną nadzieję, że ma Ramireza.

- Wie, że tego pragniesz - powiedziała Jago, chociaż Bren nigdy nie prosił bezpośrednio Banichiego, by przyprowadził Ramireza, a jedynie sugerował to Jase'owi. To, co Banichi by zrobił, gdyby go poprosić, i co Banichi uważał za bezpieczne do zrobienia przy nadarzającej się okazji, to mogły być zupełnie różne sprawy, i mając tak słabe rozeznanie w sytuacji, Bren o nic nie prosił.

Zasiadł do pracy ze swoimi notatkami, zdecydowany nie chodzić po pokoju, dopóki nie otrzymają wiadomości od Banichiego.

Przed wszystkim powtarzał sobie, że przestało im już brakować czasu. Idąc z Jasem, Banichi nie zachowywał się, jakby oczekiwał, że spotkanie z panią kapitan nastąpi; mógł też nie zachowywać się tak, jakby wierzył, że

będzie musiał wyruszyć tego dnia lub następnego. Kiedy działała Gildia Zabójców, jedną z głównych cnót była cierpliwość. Subtelność. Finezja miała swój ateński odpowiednik.

A dzięki Alginiemu wydawało się, że nie muszą siedzieć i czekać, aż stacja za jednym naciśnięciem jakiegoś guzika utrudni im życie.

Studiując plan konstrukcji stacji, stanowiący część informacji Brena, Jago na pewno uzupełniała wykres Alginiego, jego zestaw miejsc przzerwania blokady nałożonej na nich przez stację.

Trzydzieści dni czekania.

Trzydzieści dni, podczas których mogło się rozpętać piekło i podczas których Bren mógł albo chcieć utrzymać terytorium Kroger jako ich własną wysuniętą placówkę w rejonie sąsiadującym z terenem zamieszkanym przez ludzi, albo sprowadzić Kroger i jej zespół do siebie, dla bezpieczeństwa. Nie sądził, by statek zamierzał obrazić mospheiran, jeśli chciał mieć tu na górze coś więcej niż tysiąc pięćset dusz.

Ani śladu Banichiego po północy. Ani śladu Banichiego następnego dnia.

I żadnych wiadomości przez cały dzień. Żadnych. Jago zaczęła się niecierpliwie; nie denerwowała się, nic takiego, ale patrzyła w przestrzeń i słuchała każdego dźwięku, a w końcu, późno po kolacji, przyszła oficjalnie do Brena.

- Chyba powinnam pójść poszukać Banichiego, Bren-ji - powiedziała. - To już zbyt długo. I chyba wiem, gdzie może być.

- Tam gdzie Jase?

- W pewnym korytarzu. Nie ważymy się śledzić go zbyt, ale nie sądzimy, by był daleko, nadi.

- Chcesz powiedzieć, że nadaje jakiś sygnał? Przesłał wiadomość przez radio? - Bren był lekko przerażony.

- Nie przez radio. Nie nadaje od pewnego czasu. Ale nie zrobiłby tego, gdyby uważał, że może zdradzić swoją pozycję. Ateva zaczyna się jednak niepokoić.

- Ja też się niepokoję. Nie możemy jednak biegać po korytarzach. Nie możemy zaryzykować jeszcze jednej osoby spośród nas. Nie.

Jago nie okazała złości. Tylko zapytała. Być może pójdzie bez pytania, ale to był rozdźwięk w man'chi.

- Nojana mógłby pójść - powiedziała. - Zna korytarze. Zna trochę język.

- Nie - orzekł Bren, coraz mniej pewien, że ma rację.

"Jedziemy z Jill w góry", napisał Toby.

"Poszliśmy na długi spacer. Zostawiamy dzieci z Louise. Przepraszam za takie wycucie czasu, strasznie przepraszam, ale wycofuję się z opieki nad mamą, dłużej już nie mogę.

Chyba rzucę pracę. Jill chce założyć chatę dla turystów na północnym wybrzeżu. Sprzedam łódkę, wezmę pożyczkę na większą, będę woził turystów na całodzienne wycieczki".

Mógłbym mu pomóc, pomyślał Bren. Pieniądze akurat nigdy nie były dla niego problemem. Łódź wycieczkowa? To sposób na bankructwo. Naprawy, odpowiedzialność...

"Wiem, że zechcesz mi pomóc, ale nie tym razem. Wszystko zależy od tego, czy potrafię namówić na to Jill i czy we dwoje potrafimy sobie przypomnieć, kim jesteśmy, i wyrzucić świat oraz Twoich ochroniarzy z naszej sypialni. To moja karta atutowa. To o tym zawsze rozmawialiśmy".

Co, u diabła, zamierzacie zrobić z dziećmi? - pomyślał Bren. Zwariowałaś, Toby? Chciałeś mieć rodzinę i dom z ogrodem.

"Co do dzieci, to nie wiem. Są na tyle duże, by pomagać. Może będą się uczyć przez radio. Mogłyby to zrobić. To może mieć na nie pozytywny wpływ".

Mieszkać na łodzi? To by ich na dobre odcięło od normalnego społeczeństwa, pomyślał Bren, właśnie wtedy, gdy dzieciaki uczą się myśleć o ro-

mansach i innych dzieciakach, a same staczają się ku buntowi. Kiedy usłyszą o tym planie, wpadną w szal.

A niebezpieczeństwo, zła pogoda, zawsze niepewne morze, nawet w spokojny dzień z lekkim wiatrem... i te dzieci na pokładzie? Ich mama sama wpadnie w szal.

Ale Toby ma marzenie, Toby ma plan. Bezpieczniejszy od tego, z czego utrzymuje się jego brat.

A gdyby Toby'emu udało się przekonać Jill, by mu zaufała, gdyby udało im się wyczarować romans i uczciwą miłość, i, zamiast międzypokoleniowych wyrzutów, dać swoim dzieciom porcję rodzicielskiego romansu, może i one miałyby jakąś szansę.

Bren nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć. Odpisał:

"Świetnie. Z całego serca życzę Ci wszystkiego najlepszego".

Od Tabiniego nie miał ani słowa. Wysyłał wiadomości, które wpadały do czarnej dziury.

Po kilku próbach sfałszowania oficjalnych pozdrowień od Tabiniego kapitanowie chyba dali za wygraną.

Ale skoro prom wylądował - w Bogu nadzieja, że już szczęśliwie wylądował - Tabini na pewno dowie się o wszystkim od Kandany, a może nawet i od Lunda, zanim ten wsiądzie do samolotu, by powiedzieć Hamptonowi Durantowi i Shawnowi, że sprawy nie mają się tu najlepiej.

A Banichi wciąż nie wraca.

Bren zadzwonił do Kroger.

- Cóż, my was poczęstowaliśmy kolacją - powiedział. - Strasznie się nudzimy. Na tej zapomnianej stacji nic się nie dzieje. Pewnie nie uda nam się załatwić zaproszenia do waszej stołówki? Mam dość tutejszych ścian.

- Przyjdźcie do nas - odparła równie lakonicznie, nie będąc na tyle głupia, by podawać jakiegokolwiek szczegóły; obojgu udało się jednak przekazać rozmówcy, że coś jest nie tak.

Ginny Kroger rozłączyła się.

- C1 - powiedział Bren. - Przyślijcie o siedemnastej zero zero Kaplana. Idę do mospheiran na kolację.

- Przekażę tę prośbę - rzekło C1, lecz po godzinie odezwało się: - Sir, nie mamy wolnego personelu o tej godzinie.

- A wcześniej albo później?

- Nie mamy żadnego wolnego personelu.

- Może po prostu się przejdę i zobaczę, czy uda mi się trafić.

- Nie możemy na to zezwolić, sir. Proszę zostać w swojej sekcji.

- To jest irytujące. Chcę Kaplana, i to o siedemnastej zero zero.

Kaplana albo kogoś innego.

- Zobaczę, co się da zrobić - obiecało C1 i po godzinie poinformowało:

- Będzie pan miał przewodnika, sir. Nie wiem kogo, ale ktoś przyjdzie.

O siedemnastej pojawił się pod ich drzwiami obcy starszy człowiek; był siwy i nie miał jednej ręki. Tym okiem, na które chyba dobrze widział, patrzył ponuro i podejrzliwie na Brena, Jago i Tano.

- Ładny dzień - zauważył Bren w połowie drogi do sekcji mospheiran. - Przyjemny dzień, nie sądzisz?

- Nie wiem - odparł załogant, niechętnie zerkając na Tano i Jago. Nie wiadomo, czy ktokolwiek na pokładzie potrafi odróżnić Tano od Banichiego, nie stawiając ich obok siebie. W każdym razie taką mieli nadzieję. - Rozumieją prawdziwy język?

- Nie rozmawiają z obcymi - odparł Bren, bezbłędnie wyczuwając zatwardziałca. Chciał dodać: "Albo służącymi", ale postanowił nie przeciągać struny.

Algini zamknął się w ich sekcji mieszkalnej z Nojaną. Była to okazja do zapoznania Tano z trasą, którą pilnie obserwował, zerkając po drodze na obie strony, zastanawiając się, czy w którymś miejscu nie pojawi się jakiś znak od Banichiego.

Nie pojawił się.

Kroger też nie miała dobrych wieści.

- Administracja w ogóle nie chce z nami współpracować - powiedziała, idąc za przewodnikiem, z Brenem i Feldmanem, całkowicie opuszczonym korytarzem do całkowicie opuszczonej mesy.

Ani jednego członka załogi w całej sali.

- Czy w barze jest równie wesoło? - zapytał Bren.

- Bar jest zamknięty - odparła, unosząc brwi. - Pewnie nie masz zapasowego łyka wódki?

- Chyba mamy - odparł. - Bezpodstawne niedogodności, co? Pamiętasz ten wiersz, Feldman? - I wyrecytował sklecony naprędce wierszyk w ragi:

Listy aijiego to od dawna fałszerstwa,
Nie chcieli zwykłego przewodnika nam dać.
Jeśliście niepewni swego bezpieczeństwa,
Przyjdźcie z wizytą, by na dłużej zostać.

- Tak, sir - odparł Feldman i roześmiał się nerwowo.

Zła improwizowana poezja oraz młodzieniec na tyle wyszkolony w dyplomacji i podstępach, by się z niczym nie wygadał. Feldmanowi udało się nawet ułożyć nie całkiem pozbawioną rytmu odpowiedź:

Teraz nikogo, nikt nie rozmawia.

Nikt nie przychodzi, przewodnik nie mówi.

- To bardzo dobre - powiedział Bren ze śmiechem. Zdumiewające jak na nowicjusza. I pouczające. - Powinniśmy pozwolić mu poćwiczyć z Jago i Banichim - powiedział do Kroger. - Muszę z tobą porozmawiać.

Wzięli kolację z pojemnika: opakowanie czegoś szarego i czegoś pomarańczowego oraz jeszcze jedno opakowanie z płynem.

- To jest to jedzenie - rzekła Kroger, kiedy usiedli i otworzyli opakowania. - Nawet nie pytaj, co to takiego. Nie chcę wiedzieć.

- Posłałem po żywność. Za trzydzieści dni wasza misja powinna ode mnie dostać coś jadalnego. - Spróbował zjeść odrobinę; było niewiarygodnie pozbawione smaku. - Mogę wam przysłać trochę ostrego sosu. Możliwe, że coś pomoże.

- To jest po prostu cholernie niedobre - stwierdziła Kroger. - I wywołuje, wybaczone, niepokojące fizjologiczne.

- Domyślam się. - Bren bał się zjeść dużo i tylko przesunął jedzenie po talerzu plastikową łyżką. - Musicie do nas przyjść. Nakarmimy was.

- Jeśli macie tyle jedzenia, by przysłać nam kilka posiłków, to będziemy waszymi dłużnikami.

- To nieludzkie - powiedział. Pomarańczowa substancja jednak miała jakiś smak - oleju z rybich wątróbek.

- Powiedziano mi, że najpierw trzeba zjeść jedno, a potem drugie. To rzeczywiście pomaga. Są tu podobno wszystkie potrzebne składniki odżywcze.

- Boże, to jest okropne.

- O, bywa lepsze jedzenie. Ale od odlotu Toma jakoś dają nam tylko to.

Przy sąsiednim stoliku toczyła się konferencja Feldman-Jago-Tano, przeplatana śmiechem przy sformułowaniu typu "W najwyższym stopniu nie dowierzamy najniższej postawionej władzy; uważamy, że istnieje zagrożenie życia" czy "Mieliście jakieś wiadomości z waszych biur?".

- Nie - odpowiedział Feldman na pytanie Jago. - Jesteśmy zaniepokojeni, nadi.

- Co chcielibyście dostać? - zapytał Bren. - Ryby? Mamy mnóstwo ryby. Chleb.

- Weźmiemy cokolwiek - odparła Kroger. Wiedziała równie dobrze jak Bren, że prawdziwe informacje są przekazywane w trakcie całkowicie dla niej

niezrozumiałej paplaniny Feldmana z ochroniarzami. - Nasze żołądki więcej tego już nie wytrzymają. Ani nasze wnętrzości.

- Cieszę się, że mogę pomóc - powiedział Bren i przeszedł do omawiania importu, licencji i gospodarki. To wystarczyło, by uspić podsłuchujących szpiegów, podczas gdy Feldman potykał się na źle dobranych rzeczownikach i zapewnieniu, że zielone warzywa są zaniepokojone.

Nie, dał do zrozumienia Feldman, Kroger nie udaje się otrzymywać żadnych wiadomości. O niczym nie słyszeli. Nie otrzymali żadnych sygnałów, że prom miał jakiegokolwiek trudności.

To miało pewien sens. Kapitanowie, którzy przejęli władzę, nie śmieli przeszkodzić im w wysyłaniu wiadomości na dół, ale ograniczali instrukcje, jakie mogliby otrzymać z dołu.

Ta cisza oznaczała dla kapitanów u władzy trzydzieści dni na przejęcie kontroli nad sytuacją, przy założeniu, że goście na stacji nie podejmą żadnych działań bez otrzymania instrukcji. Bren był najbardziej niebezpieczną osobą na pokładzie, ponieważ mógł działać bez rozkazów.

I w tej chwili zamierzał to zrobić.

Bóg jeden wie, gdzie może być Banichi. Pierwszą rzeczą, o jaką muszą zadbać kapitanowie-odszczępiency, jest śmierć Ramireza i brak świadków. A Bren mógłby się założyć, że Ogun może nie być aż tak przekonany do tego spisku.

Bóg jeden wie, co zrobiła plotka, którą rozpuścił poprzez Johnsona i Andressona; czy wciąż się rozprzestrzenia, czy lubiący słodczyce tak zwany personel ochrony poszedł prosto do kapitanów, którzy zaatakowali Ramireza, i zaproponował, by ich szybko uciszyć.

Nie mógł powiedzieć Kroger wszystkiego, nie w tym miejscu. Zostawił to sprytowi Jago, która nie wymieniała ani jednego nazwiska i wyszukiwała rzeczowniki zrozumiałe dla młodego tłumacza.

I przez cały czas od ich stolika dobiegał taki łagodny, pogodny śmiech - obraz początkującego, który ćwiczy umiejętność rozumienia, jeśli ktokolwiek w tej odizolowanej społeczności w ogóle potrafił pojąć, co to oznacza.

Przynajmniej mogło ich to nieco zwiść. Feldman sam posługiwał się niezłym szyfrem, co widział każdy, kto od urodzenia wiedział, że bardzo łatwo pomylić słowo oznaczające zielone warzywa ze słowem oznaczającym przełożonego.

Mimo niewłaściwych zastosowań wyrazów i wszelkich innych przeszkód jakoś przetrwali posiłek.

- Chcecie przyjść do nas na drinka? - zapytał Bren.

Kroger wzięła nieco tej obrzydliwej kolacji dla Shugart, która pilnowała kwatery.

- Nie - odparła. - Kate by się martwiła.

To znaczy, że ona martwi się o bezpieczeństwo Kate Shugart i nie chce opuścić nikogo ze swoich, kiedy w każdej chwili statek może im odciąć dostęp do kwatery. Bren pomyślał, że Kroger albo dorosła wraz z zadaniem, albo on pomylił się co do jej wrodzonego zdrowego rozsądku; prawdopodobnie i jedno, i drugie.

Przyjął to oświadczenie Kroger z szacunkiem i odprowadziwszy ją pod groźnym spojrzeniem starego załoganta do jej kwatery, pożegnał się przed drzwiami.

- Uważajcie na siebie - powiedział do obu kobiet, mając na myśli coś więcej niż grzecznościową formułkę.

Wrócili do kwatery, wiedząc niewiele więcej ponad to, że mospheiranom wiedzie się o wiele gorzej niż im i starają się udawać, że wszystko jest w porządku albo że przynajmniej nie mają pojęcia o zatrzymywaniu przez statek wiadomości od ich rządu.

- Dowiedziałas się czegoś? - zapytał Bren Jago, kiedy znaleźli się w swojej sekcji.

- Nie - odparła z bardzo zmartwioną miną, ukazując Brenowi swoje prawdziwe odczucia. - Nic nie wiemy. Powiedziałam to, co wiemy. Ben-nadi poinformuje pozostałych. Bren-ji, pozwól mi wyjść podczas następnej cichej wachty. Spróbuję się czegoś dowiedzieć.

- Nie. - Nigdy nie denerwował się tak jak wtedy, gdy musiał wydawać swoim ochroniarzom rozkazy dotyczące ich pracy. - Co on by powiedział, Jago-ji? Co by powiedział Banichi, gdyby to usłyszał?

- Mimo wszystko kazałby mi siedzieć na miejscu - przyznała Jago, co było wymownym argumentem. - Ale on się czasami myli, Bren-ji.

- A zatem my nie możemy tego robić. Nie ma po nim śladu. Prawdopodobnie sam tak postanowił. Może został, by pomagać kapitanowi albo nawet znalazł dla nich lepsze miejsce: może wcale go nie być w miejscu, o którym myślisz.

- To możliwe - zgodziła się Jago. - Ale, nadi, zostawiłby mi jakąś wiadomość.

- Jeszcze jeden dzień. Proszę cię, Jago-ji. Uważam, że tego by sobie życzył.

- Jeszcze jeden dzień - powtórzyła. - Wtedy poradzę ci, byś wysłał mnie na poszukiwanie, naridi.

Stojący w pobliżu Tano i Algini nic nie powiedzieli ani Jago na nich nie spojrziała.

Nojana, rozdzielony z własnym partnerem, znajdującym się na promie, o którego locie właściwie nic nie wiedzieli, też miał przygnębioną minę.

Brak informacji był dla nich wszystkich piekielnie uciążliwy.

23

Jago nie przysłała do łóżka; wolała tkwić na posterunku ochrony, ponuro obserwując najdrobniejsze wskazania przyrządów, które, jak teraz wiedział Bren, rejestrowały najcichsze dźwięki, nawet przepływ wody w rurach: Jago słuchała wszystkiego.

Bren usiłował zasnąć i przez dłuższy czas znajdował się na krawędzi snu.

Wtedy otworzyły się zewnętrzne drzwi; Bren wyskoczył z łóżka, chwycił szlafrok...

I stanął w całkowitej ciemności przed zamkniętymi drzwiami.

Sięgnął do przycisku. Zamknęła go zdalnie albo stacja, albo jego własna ochrona. Znalazł panel ścienny.

Drzwi zostały otwarte zdalnie, tak samo, jak je zamknięto, i Bren usłyszał głosy swojej ochrony oraz jakiegoś człowieka: Kapłana.

Wyszedł na zewnątrz, gdzie zobaczył uzbrojonych i zdenerwowanych ochroniarzy, Kapłana... Naraniego i Bindandę. Wszyscy wyszli na zewnątrz, wszyscy rzucili się ku Kaplanowi, który, co nie dziwiło, wyglądał na przeżalonego.

- Sir - odezwał się. - Sir!

- Pozwólcie, nadiin - rzekł Bren i ochrona pozwoliła Kaplanowi podejść bliżej. Mężczyzna szedł korytarzem, oglądając się przez ramię na liczne drzwi - za każdym mógł się znajdować sprzęt rejestrujący. Musimy to wszystko szybko zająć, pomyślał Bren, i przeniósł wzrok na Kapłana, który nie, miał przy sobie swojego zwykłego wyposażenia i ubrał się w samą kurtkę.

- Słyszałem, co pan mówił - zaczął drżącym głosem - a pański przyjaciel powiedział, że sytuacja jest lepsza i chce się przenieść tutaj, a boi się tej drogi. Moim zdaniem nie powinien próbować, ale on chce to zrobić i potrzebuje pomocy.

- Czy jest z nim Banichi?

- Ten duży. Nie wiem. Nie mogę tu zostać. Muszę iść. Mogę was tam zaprowadzić, ale muszę wrócić na swoje miejsce, bo będę ugotowany.

- Jago - powiedział Bren. Miał dylemat: niepewną znajomość mospheiranu Jago, akcent Kapłana i bezpieczeństwo Jase'a oraz Banichiego. Nie mógł

pozbawiać kwatery ochrony, ponieważ w tych kilku pokojach spoczywała ich jedyna szansa na przetrwanie do powrotu promu. - Pójdziemy z Jago. Natychmiast.

- Bren-ji - zaprotestował Tano. - Przynajmniej weź jeszcze jedną osobę.

- Jago - stwierdził Bren. Tak samo jak Jase'a i Ramireza, szukali Banichiego, a Jago znała korytarze najlepiej. - Dwie sekundy - powiedział, cofnął się do swego pokoju i wyjął broń z torby na komputer.

Wszedł za nim Bindanda, pomógł mu się ubrać i podał Brenowi niewielką paczuszkę przewiazaną sznurkiem.

- Jedzenie - powiedział. - Leki.

Czy jest coś, czego jego personel nie potrafi przewidzieć?

- Jesteś zdumiewający, nadi-ji - powiedział i wybiegł na korytarz, gdzie, o cudzie z tego samego źródła, Kaplan wszedł w posiadanie pozłocanego pudełka wymalowanego w kwiaty, które przyciskał do siebie. Trzeba go stale przekupywać, pomyślał Bren w nadziei, że wystarczy im zapasów.

Jago była gotowa; Jago była gotowa od kilku dni.

- Chodźmy - powiedział do Kaplana; ruszyli szybko wzdłuż korytarza. - Jakie są szanse, że nas śledzą?

- Chyba żadne, sir. Oni wciąż montują urządzenia, a pańscy ludzie wciąż je wymontowują.

Bez względu na to, czy coś zrozumiała, Jago nie powiedziała ani słowa; Bren zaniepokoił się na myśl, że Banichi cichcem pozbywał się wszelkich znajdujących urządzeń monitorujących. Toczyła się niewypowiedziana wojna, stacja nie mówiła o pewnych rzeczach, Banichi nie mówił o pewnych rzeczach... nawet jemu.

A teraz Banichi wykonywał jakieś własne zadanie, a Bren wiedział, że Banichi otrzymuje niektóre instrukcje nie od niego, lecz od Tabiniego, a także od swojej Gildii.

- Mówi, że Banichi usunął stacyjny sprzęt monitorujący - powiedział Bren do Jago. - To możliwe?

- Czasami - przyznała Jago.

- I nie powiedział mi? To mogłoby wpłynąć na negocjacje!

- Podobnie jak sama obecność tego sprzętu, nandi - powiedziała Jago. Była to szczerza prawda, której nie mógł zaprzeczyć. Co mieli powiedzieć szpiedzy drugiej strony? "Zniszczyliście nasze pluskwy"?

Nie, starali się je uzupełnić i zapewnić sobie...

Boże, co Banichi mógł umieścić w pozostałych miejscach na stacji?

Czy to dzięki temu Jago twierdziła, że wie, gdzie jest Banichi? To nie mogły być czyste przekazy radiowe. Z pewnością by to wykryli coś takiego. Ale coś się dzieje.

Stukali w te cholerne rury kanalizacyjne? W ściany?

Kaplan włożył cukierek do ust i siedł z wypchanym policzkiem. Pudełko schował pod kurtkę.

Prowadził ich korytarzem, przeszedł przez drzwi, potem następne i, rozglądając się strachliwie, doprowadził ich do jakiejś niszy i otwartych drzwi z zablokowanym skrzydłem.

- Jest zimno - powiedział Kaplan - ale ciśnienie się utrzymuje. Poziom poniżej. Lepiej naciągnijcie rękawy na dłonie.

Schodzili szybko; w zimnym powietrzu płuca, twarze i dłonie prawie im zamarzały. Naciągnięcie na nie rękawów, by trzymać się drabinki, było cholernie dobrym pomysłem. Bren schodził za Jago, a nad sobą miał Kaplana, który, idąc jako ostatni, zamknął drzwi i zaczął schodzić w ciemność, którą rozświetlała jedynie latarka Jago. W tej rurze znajdowały się jeszcze jedne drzwi i niewielka platforma; Jago postawiła na niej nogę i nadal trzymając się drabinki, chciała otworzyć drzwi na kolejny poziom.

Rura schodziła w głąb.

- Jak daleko biegnie? - zapytał Bren. - Przez całą stację?

- W razie awarii wind - odparł Kaplan. - Poniżej są gradzie ciśnieniowe. Ich się nie otwiera. Byłoby po całej cholernej sekcji. Powiedz jej to.

- Mówi, że poniżej są gradzie ciśnieniowe i jeśli je otworzymy, spowodujemy złą dekompresję, Jago-ji.

- Ateva rozumie.

Wzięła do ręki broń i pomknęła po szczęblach w górę jak użądłona.

- Ateva cholernie dobrze rozumie - odezwał się z ciemności poniżej głos Banichiego. - Nadiin-ji. Ateva bardzo się cieszy, że was widzi.

- Widzi - powiedział kpiąco Bren w prawie nieprzeniknionych ciemnościach. Serce biło mu tak mocno, że z trudem trzymał się szczębli; wrzask, który wydał Kaplan, słysząc głos Banichiego, wciąż odbijał się echem w tunelach.

- Ramirez jest bezpieczny i czuje się lepiej - rzekł Banichi. - Nie chcemy wyjawiać, gdzie przebywa. Hałasujemy więc w tym systemie. Zróbcie nam przysługę i wróćcie następnym przejściem, nadiin. Jesteśmy bezpieczni. Jak wam się wiedzie?

- Dobrze - odpowiedział Bren - choć jak dotąd nie mamy wiadomości o promie.

- Wylądował bezpiecznie - rzekł Banichi, o którym to fakcie mógł ich poinformować Kaplan, co Bren uświadomił sobie ze smutkiem. - Przynieśliście leki?

- Ja je mam - powiedział Bren i podał paczuszkę Jago, która zeszła parę szczębli w dół i przekazała ją Banichiemu.

- Tracę chwyt. - Bren był zmuszony to powiedzieć. - Palce zdrętwiały mi z zimna.

Jago natychmiast podeszła do góry i chwyciła go za rękę. Bren na wpół uwierzył, że Jago potrafi się wspiać, ciągnąc go ze sobą.

- Zabierz go w bezpieczne miejsce - polecił Banichi. - Polegaj na nas.

- Tak - odparła Jago i pchnęła Brena w górę.

Bren się przesunął, Jago się przesunęła i Kaplan też... Czy ten ostatni miał rękawice albo jego kurtka była lepiej izolowana? Bren nie miał pojęcia, ale dosłownie nie mógł już zaciskać palców na szczęblach. Odpychał się nogami i usiłował podpierać Kaplana tak samo, jak Jago podpierała jego, doskonale jednak zdawał sobie sprawę, że jest to cholernie niebezpieczny manewr.

Kaplanowi udało się wyprowadzić ich do górnego korytarza, gdzie zaskoczyli jakąś kobietę, ale Kaplan dał jej znak i syknął:

- Ramirez!

Kobieta patrzyła szeroko otwartymi oczyma, cofnęła się o krok, potem drugi i zaczęła biec. Jago wyciągnęła broń, ale przerażony Kaplan stanął przed nią.

- Kuzynka - powiedział, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Ilu masz kuzynów? - zapytał Bren, powstrzymując Jago gestem ręki.

- Nigdy nie liczyłem - odpowiedział Kaplan i pociągnął go za rękaw, kierując się w przeciwną stronę; po chwili weszli w drzwi, które poprzednio ominęli.

Prowadziły do innego korytarza, do innej trasy. Brenowi wracało czucie w dłoniach, które zaczęły go piec. Podobnie twarz; czuł się, jakby miał spalone płuca. Nigdy nie oddychał takim powietrzem, nawet na ośnieżonych stokach Mt. Adams. Zakaszłał sucho, usiłując wypchnąć je z płuc.

Przeszedłszy przez troje kolejnych drzwi sekcji, znów skręcili i czwarte wyprowadziły ich na poprzeczny korytarz.

- To tu - oznajmił Kaplan. - To wasz korytarz. Muszę iść.

- Zaczekaj chwilkę - powiedział Bren i chwycił go za rękaw. - Czy to nasze drzwi, Jago?

- Tak - odparła.

W następnej chwili drzwi się otworzyły, ponieważ jakimś sposobem, o którym Bren nie miał pojęcia, zostali zauważeni przez ich własny zespół. Bren puścił Kaplana i klepnął go po ramieniu; mężczyzna pośpiesznie odszedł w kierunku, z którego przyszli.

Drzwi zamknęły się za nimi; poczuli się bezpiecznie, a Jago była o wiele bardziej zadowolona.

- Przeżyliśmy - oznajmił Bren, mając w głowie mętlik obrazów z całej tej chaotycznej wyprawy. To nie do wiary, że istnieje tamto ciemne, zimne wnętrze; jednak tam byli, teraz są tu, a Ramirez żyje i ta wiadomość się roznosi.

Bren miał poważne podejrzenia, że to nie cukierki trzymają Kaplana po ich stronie. Nie tylko cukierki mogły uwieść ludzi takich jak Johnson i jego przyjaciele. Bren nie miał po ludzku pewności, czy Kaplan, Johnson i reszta chcą iść za logiką tego, co robią cały czas: bo o nastawieniu statkowych ludzi i o tym, że słowo "bunt" nie istnieje w ich słowniku, wiedział od Jase'a. Ale bunt pośredni, bunt poprzez brak współpracy, bierny bunt przeciwko władzy, która dosłownie reguluje ich oddech i każdy ruch... Mogła zaistnieć chęć robienia lekko nielegalnych rzeczy wbrew lekko nielegalnej władzy.

Jasne.

Kiedy ta kobieta dotarła tam, dokąd szła, nie rozbrzmiał żaden alarm. Nie doniosła na swego kuzyna. Ludzie na statku rozumieli coś w rodzaju man'chi podobnego do tego istniejącego na wyspie.

Bren po raz pierwszy naprawdę ciepło pomyślał o tych ludziach. Znalazł furtkę porozumienia.

- Co jest w przyległych pokojach? - zapytał Jago tego wieczoru.

- Sądźmy, że zostały opróżnione - odparła ateva - kiedy wyprowadził się Johnson-nadi i pozostali. W sąsiednim pomieszczeniu umieścili pluskwę. Banichi usunął ją prawie od razu. Nikt inny tam nie zaglądał.

A zatem strefa buforowa. Bren usiadł przy komputerze i wywołał mapę, starając się określić, jaki teren mogą zagarnąć dla siebie, gdyby przejęli Kroger i jej zespół.

- Jest bardzo dużo towarzyszy Jase'a, o których nigdy nie słyszeliśmy - powiedział później do swoich ochroniarzy. - Oraz Mercheson-paidhi. Sądzę, że sprawa Ramireza roznosi się po cichu wśród załogi. Nie mamy żadnych wiadomości od matki 402 Jase'a, Mercheson, jej matki czy krewnych. Trudno snuć przypuszczenia co do ludzi, ale w takich patronatach man'chi jest silne i samo to milczenie mówi o kłopotach.

- Powściągliwość, nadi Bren? - zapytał Tano.

- Kaplan-nadi ma wielu kuzynów. Spotkaliśmy taką osobę na korytarzu, a ty, Jago-ji, postąpiłaś mądrze i jej nie zastrzeżyłaś. Moim zdaniem wszyscy ci ludzie to potencjalni sprzymierzeńcy. Kapitanowie, którzy zaatakowali Ramireza, z pewnością zawahają się przed zrobieniem im krzywdy. Nie mogą po prostu strzelać do każdego członka załogi, który im się sprzeciwia. Man'chi zobowiązuje załogę do posłuszeństwa kapitanom, choćby dlatego, że załoga nie ma technicznej wiedzy potrzebnej do obsługi wszystkich systemów bez wyższych oficerów i może jedynie poczekać, aż oficerowie zażegnają swoje spory, i udawać, że niczego nie widzi. Załoga nie śmie szukać rozwiązania u nas. Jase powiedział jednak, że ma w zwyczaju nie zwracać uwagi na sprzeczki wysokiego dowództwa.

- Man'chi i pragmatyzm? - zapytał Algini.

- Głęboki pragmatyzm. Zdrowy rozsądek w środowisku, które nie uznaje kompromisów ani głosowania. Chyba zaczynam rozumieć Kaplana, nawet jego skłonność do słodyczy. Chyba pozwala nam się kupić; myślę, że kiedy Johnson po prostu tu przyszedł i powiedział, że jest ochroniarzem, chciał zwrócić na siebie naszą uwagę i zaoferować się jako towar. Nie wiedzą, jak się do nas zbliżyć bez żadnego pretekstu. Moim zdaniem, w razie schwytania chcą udawać naiwną głupotę.

Atewscy słuchacze Brena byli rozbawieni i skonsternowani zarazem.

- Naprawdę, nand' paidhi? - zapytał z niedowierzaniem Nojana.

- Jestem o tym przekonany. Według mnie muszą mieć jakiś pretekst. Co więcej, uważam, że muszą mieć jakiś pretekst po to, by przekonać samych siebie, że nie robią nic złego.

- Chcą być przekupywani?

- Chyba tak. Chyba rozumiem. Każde z nich chce nas zobaczyć, ocenić nasze zachowanie, cierpliwość, naszą tolerancję dla nich... krótko mówiąc; nigdy nie widzieli atevich z bliska, są przestraszeni, ale pozwalają sobie na przyzwyczajanie się do nas. Przy jakimkolwiek nieodpowiednim ruchu mogliby się zwrócić przeciwko nam i wyciągnąć broń, ale teraz chyba zaczynają wierzyć, że nie jesteśmy tacy straszni, że mogliby się z nami układać. Myślę, że starają się ocenić, czy Ramirez słusznie robi, chcąc zawrzeć z nami umowę, i trzeba szanować ich odwagę i rozsądek, z jakim do tego podchodzą. Nie jestem pewien, czy oni sami to wszystko przemyśleli. Uważam jednak, że są naprawdę ciekawi cukierków... planetarnych surowców... i nas. W pewnym sensie żywność jest bardzo podstawowym, instynktownym darem dobrej woli. I oni go przyjmują. Zbliżają się do nas. Wspierają Ramireza.

Ochrona Brena patrzyła na niego tak, jakby on i cały jego gatunek oszaleli.

- Badają, czy utrzymają man'chi względem Ramireza? - zapytała Jago, która zawsze najszybciej z całego personelu potrafiła przejrzeć ludzkie zachowanie. - Badają uczucia?

- Prawie. W tym wypadku sprawa jest mniej intelektualna niż zwykle. To coś o wiele bardziej instynktownego... pod wieloma względami o wiele prostszego. Tym ludziom nie zostawiono żadnego sposobu wybierania przywódców, ale jestem pewien, że oni ich wybierają. I wszyscy ryzykują.

- Zagrożenie?

- Zagrożenie dla całego statku. Struktura władzy nie jest instynktowna, nie całkowicie; jest pragmatyczna. I funkcjonuje wbrew ich woli. Sądzę, że duża część załogi ma nadzieję, iż Ramirez przeżyje, ale nie jest pewna co do stanu jego zdrowia; działają, jakby to była przegrana sprawa, ale nie rezygnują. Banichi nic nie mówił, ale myślę, że niektórzy z nich go chronią, i wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że biorą w tym udział Jase, Mercheson i wiele innych osób spokrewnionych z nimi. Podstęp i postępowanie okrężne są łatwiejsze tam, gdzie do głosu dochodzą więzy krwi. Przecież ranga kapitańska wydaje się być przekazywana dziedzicznie, a nie osobie mającej największe zasługi.

- Kto jest krewnym Ramireza? - zapytała Jago, trafiając w sedno. - Czy nie Jase? Czy dobrze pamiętam, że Ramirez nie ma potomków?

- Jase. I Yolanda. Żona Ramireza umarła dawno temu. Człowiek rozumie, że jej krewni są nadal z nim związani. Jase usiłował mi wyjaśnić te koneksje. Wyznaję, że do poznania Kapłana i jego kuzynów nie bardzo rozumiałem, co chciał powiedzieć.

Bren myślał, że Jase i jego wykres rodzinny mogą być dla nich ważniejsze od mapy stacji i schematu jej działania.

- Załoga nie ma broni - rzekł Algini.

- Nie. - Rozmawiali o tym z Jasem i, o ile Bren się orientował, była to prawda. Załoga nie miała żadnego dostępu do krótkiej broni, która tu była, owszem, ale klucze mieli oficerowie. Człowiek mógł się jedynie domyślać oporu przed strzelaniem do własnych kuzynów i oficerów. - Ale my mamy Ramireza, jeśli potrafimy utrzymać go przy życiu. Sądzę, że wiele przemawia za tym, by go tu nie przenosić. Załoga musi wierzyć, że on wciąż ma władzę, ale nie naszą władzę, tylko swoją własną. Jeśli umrze, razem z nim umrze ich nadzieja na kapitana o jego usposobieniu. Naszym problemem jest czwarty kapitan, ten, z którym nie spotkaliśmy się ani nie mieliśmy do czynienia.

- Tamun.

- Właśnie. Sądzę, że Ogun mógłby poprzeć Ramireza, gdyby miał okazję. Właściwie równie dobrze już może to robić. Pewnie się zabarykadował w jakimś bezpiecznym miejscu i usiłuje utrzymać się przy życiu.

- Tamun musi upaść - stwierdziła Jago.

- Ale nam nie wolno do tego doprowadzić - rzekł Bren.

- Czyż nie są pragmatykami?

- Oraz stworzeniami emocjonalnymi. Nie powinniśmy tego robić, jeśli możemy w jakikolwiek sposób tego uniknąć. Kapitanowie mają wiedzę na temat działania tego statku, jakiej nie możemy wydobyć z archiwum: to taka sama sprawa jak z załogą statku, która nie potrafi pilotować promu. Nie możemy tak po prostu przejąć statku z nadzieją, że potrafiemy go obsługiwać. A bez niego, jeśli ci obcy są prawdziwi, jesteśmy pozbawieni obrony. Musimy przywrócić Ramireza do władzy, a w najgorszym wypadku być może będziemy musieli zawrzeć pokój z Tamunem, choćby tylko ze względu na to, co wie.

- To nie byłoby dobre wyjście - rzekła Jago.

- Nie, nie byłoby - zgodził się Bren. - Ale jesteśmy ograniczeni w tym, co możemy zrobić, oprócz starań utrzymania alternatywy i nie straszenia załogi. Jeśli skończą się nam słodycze, będziemy rozdawać suszone owoce i częstować ich wódką oraz obietnicami, będziemy mieć nadzieję, że Banichi pozostanie przy życiu. Postępuje słusznie, usiłując nie dopuścić do śmierci Ramireza i chroniąc go przed zabójcami: myślę, że to Jase mu powiedział, jakie to jest ważne, i musimy go wspierać. Zróbcie spis naszych zapasów. Musimy dostarczyć Kroger przyzwoite jedzenie i poinformować mospheiran o sytuacji.

- Czy jej ufamy, Bren-ji?

- W obliczu prawdopodobieństwa konfliktu wśród załogi i możliwości zdobycia władzy przez kogoś nieznanego? - Mospheira nie znosiła jednej rzeczy, nawet bardziej niż zmiany, a była nią niepewność. - Na naszą korzyść przemawia historia Gildii Pilotów i kolonistów. Uważam za całkiem prawdopodobne, że będą z nami współpracować.

To, że prom bezpiecznie wylądował, było wspaniałą wiadomością.

Nie przyszedł ani jeden list od żadnego z przewodniczących komisji i choć istniała mało prawdopodobna możliwość, że nie napisał Tabini, to nie było żadnej możliwości, by życzenia pomyślności z całego kontynentu nie zalały Mogari-nai i personelu biura, który podobnie nie odzywał się ani słowem.

Rozwścieczające. Niepokojące. Bren znajdował liczne określenia dla tej sytuacji.

Nie miał wiadomości od brata. Ani od matki. To dopiero było niepokojące. Gdyby wspomniała o wylądowaniu promu, już samo to mogło spowodować zatrzymanie jej listu - czego matka zupełnie by nie zrozumiała; syn nie pisze, Toby stara się utrzymać małżeństwo i nie może znaleźć czasu na rozwiązanie kolejnego kryzysu, od którego zaczęły się wszystkie trudności.

Bren zaniósł komputer na biurko i starannie, cierpliwie budował pozytywny nastrój... Budowa zajęła mu godzinę, lecz doprowadziła do całodziennej konstruktywnej pracy nad kolejnym zestawem wiadomości dla Tabiniego.

Jego ostatnie przesyłki trafiły do adresata. Bren był stosunkowo pewien, że Tabini dobrze wie, iż nie wszystko wygląda tak dobrze, jak wskazywały na to pierwsze listy.

W środku nocy otworzyły się i zamknęły zewnętrzne drzwi; Bren wytoczył się z łóżka, szukając pistoletu.

Natychmiast zamknęły się jego drzwi. Czekał w ciemnościach, drżąc z zimna i słysząc, jak drzwi po raz drugi otwierają się i zamykają.

Drzwi do jego pokoju otworzyły się i na tle nikłego światła wpadającego z korytarza pojawiła się sylwetka Jago.

- Wiadomość - rzekła ateva. - Nic niepokojącego, Bren-ji. Banichi mówi, że w tunelach odbywa się polowanie i powinniśmy udawać, że go nie słyszymy.

- Polują na Ramireza.

- Zaczęli przeszukiwanie wszystkich pomieszczeń, twierdząc, że ukryliśmy na pokładzie personel, nadi. Banichi nie da się złapać w ich sieć. Idź spać.

- Po czymś takim? Jago-ji, on tam nie może zostać na zawsze. Jeśli jesteś z nim w kontakcie, powiedz: "Do diabła z niezależnością, sprowadź tu Ramireza. Podnieśmy stawkę. Niech spróbują go odebrać nam, do cholery!".

- Sądzę, że mógłby się zgodzić - rzekła Jago. - Ludzie mogą być niechętni.

To więcej niż prawdopodobne, pomyślał Bren, na próżno usiłując przywołać senność. Jest więcej niż prawdopodobne, że wśród załogi panuje znaczny opór, spowodowany wszystkimi racjami, o których sam już pomyślał, ale uciekając z rannym człowiekiem, ryzykowali wszystko, co ludzkość ma na tym końcu wszechświata.

Do dzieła, Banichi, pomyślał Bren, wpatrując się w ciemność. Nie słuchaj ludzkich uzasadnień. Przekonaj Jase'a. Przeciwstaw się mu i wróć tutaj. Sprowadź go, zanim ktoś zginie. Jeszcze można to wszystko naprawić.

Pobożne życzenia nic nie dały.

Wiele dały natomiast kanapki, poprawiając jadłospis Kroger i stanowiąc cios w wojnie nerwów.

Wieczorem przez jakiś kwadrans brakowało światła; potem było znowu i po godzinie zgasło.

Świeca na korytarzu dostarczała dość światła dla atevich i kolacja odbyła się jak zwykle.

- Obawiam się, że mogą sobie zdawać sprawę z naszej inwigilacji - szepnął Bren do Tano po kolacji w całkowitej, upiornej ciszy i ciemności. - Czy możemy sądzić, iż wykonają jakieś posunięcie przeciwko nam?

- Znaczna część urządzeń jest bierna - odparł Tano - a my nasłuchujemy, nadi Bren, naprawdę nasłuchujemy. Od czasu do czasu robią hałas w tunelach, ale z dala od nas.

- To, że nie mamy pojęcia, gdzie jest Ramirez, nie ma znaczenia. Pewne władze mogłyby pomyśleć, że schronił się u nas.

- Obserwujemy, nadi Bren. Obserwujemy.

- Człowiek o tym wie.

Bren chciał, by Banichi wrócił, i i o natychmiast.

Na nic się jednak nie zda chodzenie po pokoju czy denerwowanie ochrony. Zawsze istniała możliwość, że światło się nie zapali. Istniała możliwość, że zamarną w ciemnościach, chociaż Bren wątpił, by jego ochrona pozwoliła na to, nie zadając jakiegos ciosu.

Bardzo chciał, by przyległe pomieszczenia znalazły się w ich rękach.

I wtedy przyszła mu do głowy ogromnie niepokojąca myśl dotycząca tego, gdzie może być Banichi i Ramirez i w jaki sposób uciekający kapitan otrzymuje jedzenie, wodę i opiekę. Zerknął z niepokojem na Tano, ale zachował tę myśl dla siebie.

Wrócił do łóżka, by się ogrzać, i wkrótce potem zapłonęły wszystkie światła i ruszyły wentylatory.

- Ateva wątpi, by celowo zamrozili rury z wodą - powiedziała radośnie Jago następnego ranka. - Ateva sądzi, nadi, że te awarie są związane z poszukiwaniami.

- Chcą coś usłyszeć?

- Prawdopodobnie - odparła. - Prawdopodobnie mają nadzieję, że usłyszą jakiś ruch.

Bren po prostu zerknął na drzwi, a więc i na znajdującą się za nimi sekcję.

Jago wzruszyła ramionami i nic nie powiedziała.

Wykonał gest oznaczający "tutaj!". Zrobił to energicznie. "Sprowadźcie go tutaj!".

Jago wzruszyła ramionami: chciała powiedzieć, że to nierozsądne, Bren był tego pewien. Ochrona nie chce narazić go na niebezpieczeństwo i nie dopuści, by poszukiwania dotarły do kwatery paidiego. Bren przypomniał sobie - o czym wspomniał Banichi - że będą hałasować w mylących miejscach.

Niebezpieczne posunięcia.

Cholernie niebezpieczne, pomyślał, ale wątpił, czy szczegółowe wypytywanie posłuży czyjemukolwiek bezpieczeństwu: jeśli są tam, gdzie myśli, to właściwie tak, jakby znajdowali się w ich kwaterze.

Dzień i kolejny dzień, noc i jeszcze jedna noc.

Z Mogari-nai nie nadeszła ani jedna wiadomość. Bren zażądał od C 1 wysłania i przyjęcia poczty, ale nie miał pojęcia, czy jego wiadomości w ogóle wychodzą. Napisał do radnych, do przewodniczących departamentów, do swojego personelu i matki, nie śmiać wspomnieć, że nie otrzymał żadnych wiadomości, nie śmiać się przyznać, że jest zaniepokojony.

- Są jakieś wiadomości od Jase'a Grahama? - pytał codziennie, jakby nie działało się nic złego.

Czasami łączył się z Kroger i dwa razy wezwał Kapłana do odgrywania roli przewodnika podczas przebiegających bez zakłóceń wypraw do mospheiran i z powrotem.

Pomyślał, że dawno już przekroczył granicę wytrzymałości swoich nerwów. Z krzykami i kłótniami potrafił sobie poradzić; milczenie było piekłem.

Ale wytrzymanie tego było ważne. I Jago czasami była bardziej zadowolona, nawet wesoła... co przeplatało się z całymi dniami ponurego nastroju, kiedy Bren był stosunkowo pewien, że dzieje się coś, o czym jego ochrona nie uznaje za stosowne go poinformować. Następowaly kolejne awarie prądu, a jedna z nich trwała tyle czasu, że Bren był przekonany, iż rury są zdecydowanie zagrożone.

Siedział przy świecy, całkowicie ubrany i opatulony kocem, z dłońmi włożonymi pod pachy i stopami marznącymi bez względu na podjęte środki. Nie miał pojęcia, jaki to ma zasięg i czy Kroger cierpi podobnie. Cisza bez dźwięku wentylatorów była niesamowita... człowiek przyzwyczał się do tego nieustannego hałasu. Świadomość, że powietrze się nie porusza, przydawała temu miejscu grobowej atmosfery.

Bren zastanawiał się, czy Tabini zrobił to, do czego go zachęcał, to znaczy, czy przystąpił do bezpośrednich negocjacji - w których mógłby pośredniczyć Uniwersytet Mospheiry, wspomagany przez więcej takich Benów i Kate - z Hamptonem Durantem na wyspie. Miał nadzieję, że tak. Miał nadzieję, że dzięki temu, co przysłał światu, osoby o zdrowym rozsądku stworzą sobie wspólny cel i nie dadzą Gildii tego, co zgubi ich wszystkich: jeśli Gildia rządzi teraz ksenofobi, umysły naprawdę nie chcą mieć do czynienia z żadnymi obcymi, które są zdecydowane zrazić do siebie atevich, zanim zmierzą się z tymi obcymi z dalekiego kosmosu, to wszystko jest zagrożone. Bren wyłożył to jasno Tabiniemu i dołączył list na Mospheirę, mając nadzieję, że Tom Lund wesprze jego sprawozdanie.

Czasami Brenowi zdawało się, że jego pozycja bardzo powoli idzie w dół, i w ciemności rozświetlonej świecą zadawał sobie pytanie, czy on - albo ktokolwiek z jego zespołu - to przeżyje, czy może głupcy pociągną to, aż stacja zostanie uszkodzona, statek nie dostanie paliwa, a planeta będzie musiała sama sobie radzić z tym, co nadejdzie, mając do dyspozycji jedynie prom.

Przeszedł stadium rozpacz i osiągnął stan otępiełej cierpliwości - oraz poczucia winy, że wciągnął w to bagno osoby, na których mu zależy. Jeszcze raz przeanalizował spotkanie, kiedy wszystko poszło za dobrze, za szybko, i zadał sobie pytanie, czy to może on spowodował ten zwrot po prostu dlatego, że jest negocjatorem, a kapitanowie nie. Może, pomyślał, pchnął opcję do podjęcia rozpaczliwych kroków.

To było możliwe. Możliwe, że doprowadził przeciwników do rozpacz albo zachęcił Ramireza do zajęcia agresywnej postawy, która doprowadziła do jego upadku... jeśli to właśnie miało miejsce.

- Panie Cameron - odezwał się interkom, przerywając długie milczenie. Światła się nie zapalały.

Bren nie wstał. Interkom odzywał się kilka razy. Bren wciąż nie wstał. Jeśli chcą go zapytać, czy ma już dość, nie zamierzał im tego ułatwiać.

Światło i świeże powietrze pojawiły się w ciągu godziny. Ochrona obserwowała wszystko dookoła i nie donosiła o ruchach w ich rejonie.

Bren poczuł pokusę wydania rozkazu zajęcia przylegających pokoi i głównego korytarza aż do następnych drzwi bezpieczeństwa, kierując się teorią, że awarie prądu mogą być lokalne i że mogłyby kierować terenem trudniejszym dla nich. Nie chciał jednak prowokować niczego przed powrotem promu.

- Panie Cameron - nękał go interkom. Bren nie odpowiadał.

Ciągnęło się to z przerwami przez następny dzień. Narani i służący przestali zwracać uwagę na te wezwania. Bren zaprzestał swego codziennego dokuczania C1, wołac, by kapitanowie martwili się milczeniem z jego strony.

- Panie Cameron - rzekł w końcu interkom. - Wiemy, że pan nas słyszy. Jakoś wątpił, czy są w stanie to zagwarantować.

Przerwano mu sen.

Włączył się alarm, błyskając światełkami z konsoli i hałasując alarmem, który wszystkich wyrwał z łóżek.

Jago leżała obok Brena.

- Mam szczerą nadzieję, że to jest prawdziwe i że mają złą noc.

- Powinnam pójść do posterunku - odparła i wysliznęła się z łóżka. Po drodze do drzwi narzuciła szlafrok.

Bren leżał, obserwując sufit w błyskającym czerwonym świetle. Odezwał się interkom:

- Panie Cameron. Kapitanowie chcą się teraz z panem spotkać.

To go zmartwiło.

Drzwi sekcji otworzyły się i zamknęły. Wstał i owinał się prześcieradłem.

Wrócił Banichi i jak na mężczyznę, który zwykle nie miał naruszonego ani jednego włoska, wyglądał na wyczerpanego.

- Bren-ji - powiedział. - Ateva przeprasza za niewygodę.

- Co się dzieje? - zapytał Bren. - Uważaj na siebie, nandi-ji, żądam tego z całą powagą.

Banichi uznał to za nieco zabawne. Jago, która pojawiła się ze wszystkimi oprócz Alginiego, nie roześmiała się. Pozostali też nie.

- Straciliśmy kontakt z niższym poziomem - rzekł Banichi, wyraźnie zmartwiony. - Parę osób zostało odciętych. Proszę cię o pozwolenie, nandi, na zaradzenie tej sytuacji.

Bren poczuł chłód, wcale nie biorący się z zetknięcia bosych stóp z zimną podłogą. Ten chłód przenikał jego wnętrzości i mówił mu, o co prosi Banichi - o polityczne zezwolenie na użycie zabójczej siły.

- Nie mam dość informacji, by móc decydować, Banichi. Poradź mi. Od ostatniej awarii otrzymujemy powtarzające się prośby kapitanów o spotkanie. Wciąż im odmawiam.

Banichi chyba wcale nie uznał tego za dobrą wiadomość. Westchnął ciężko.

- To nie wynika ze słabości - powiedział. - Być może mają Ramireza.

Nie, to zdecydowanie niedobra wiadomość.

- Miałem nadzieję, że znajdzie się tutaj.

- Próbowaliśmy ich przekonać, że jest gdzie indziej. Pokoje sąsiadujące z naszym są teraz puste. Zabraliśmy wszystkich, bojąc się, że mogą zaatakować, narażając na niebezpieczeństwo ciebie, nandi, i nie udało nam się przekonać Ramireza do przeniesienia się na ten poziom. Dla twego bezpieczeństwa, Bren-ji, proszę o pozwolenie działania.

- Dla ochrony tego miejsca, ciebie albo naszego zespołu, Banichi. Ale jeśli straciliście Ramireza, to nie mamy innego wyboru, jak negocjować z jego następcami.

- Nie wolno ci iść na to spotkanie - oznajmiła Jago.

- Nie - zgodził się Tano. - Nie wolno.

- Nie możemy cię chronić - powiedział Banichi. - To nie byłoby rozsądne, Bren-ji. Twoja ochrona bardzo cię prosi, byś nie podejmował takiego ryzyka.

- Porozmawiam z nimi - odparł Bren. - Nie zgodzę się do nich pójść. Ale obawiam się o bezpieczeństwo Kroger.

- Nie możemy go zagwarantować - powiedział Banichi.

- Ale stacja nie ma najmniejszego powodu, by ją do siebie zrażać - zauważył Bren. - To przemawia na jej korzyść. Jeśli będzie siedziała cicho.

- Ateva obawia się, że skontaktowała się z nią Mercheson - przyznał Banichi.

- A zatem została we wszystko wmieszana.

- Yolanda Mercheson uważała, że mospheiranie jej wierzą - powiedział Banichi - i ateva sądzi, że był też kontakt ze strony Ramireza.

Jeszcze gorsza wiadomość.

- Zostań tu - rzekł Bren. - Narani, zajmij się nim. Banichi, przynajmniej kilka godzin odpocznij. Zjedz coś. Porozmawiam z kapitanami.

- Nie zgadzaj się na nic, co ma związek z udaniem się do nich, nadi-ji. Zdecydowanie to odradzam. Bez względu na to, co będą ci mówić.

Do powrotu promu zostało jeszcze siedem dni... nie wspominając o tych piętnastu potrzebnych obsłudze, zanim będą mieli kolejną szansę opuszczenia tej stacji. Bren czasami kłamał w sprawach dyplomatycznych, kiedy było to absolutnie konieczne; ale w tym wypadku... miał zdecydowane skrupuły co do okłamywania Banichiego i jeszcze większe skrupuły co do dyplomatycznego fiaska.

- Zrobię, co muszę - powiedział, wiedząc, że nie to chciał usłyszeć Banichi. - I wierzę, że moja ochrona odpocznie i będzie mogła się tym zająć. Muszę rozmawiać z tymi ludźmi. Jeśli zmaterializuje się groźba, którą przewidują, nie możemy sobie pozwolić na lata impasu. Muszę się dowiedzieć, z czym mamy do czynienia.

- Nie idź do nich - powiedział Banichi z gwałtownością, jakiej Bren nigdy u niego nie słyszał, i to zmusiło go do poważnego zastanowienia.

- Nie mogę okazać, że się ich boję - powiedział. - A oni mają pewne zobowiązania do przestrzegania rozejmu.

- To nie są mospheiranie, Bren-ji.

- Nie - zgodził się. - Nie zamierzam też narażać na ryzyko mojej ochrony; ale, Banichi-ji, jeśli umówimy się na spotkanie, a oni zaatakują, załoga nie będzie zadowolona. Atakiem na Ramireza kapitanowie wyczerpali całą jej cierpliwość. Sądzę jednak, że załoga ma jakąś granicę i że kapitanowie martwią się, iż mogą ją osiągnąć.

- Bren-ji - odezwała się Jago. - My też otrzymaliśmy rozkazy od aijiiego.

- Będziecie musieli je wykonać, nadiin-ji, podobnie jak ja; moje głoszą, że mam przejąć tę stację. Moim sposobem są negocjacje i aiji wysłał mnie, bym je wykorzystał do granic swoich umiejętności. Uważam, że zrozumiałem to właściwie, i nie chcę was okłamywać. Zamierzam pójść na ich teren i tam stawić im czoło, żądając, by respektowali umowy.

- Gdyby byli atevimi - rzekł Banichi bez ogródek - nie miałbyś racji.

- I tak mogę jej nie mieć, ale jeśli okaże się, że tak jest, to zezwalam wam na usunięcie kapitanów oraz ich ochrony na miejscu.

- To - odparł Banichi - nas zadowala.

Ich przewodnikiem nie był Kaplan. Dostali tego starszego człowieka, na którego plakietce widniało nazwisko Carter; odbyli długi, ponury spacer do sekcji administracyjnej, na teren roślin doniczkowych i lepiej wyglądających ścian.

Była to ta sama sala na końcu korytarza. Carter otworzył drzwi i wpuścił ich do środka.

Znajdował się tam Ogun, a także Sabin, Tamun i czwarty, siwowłosa mężczyzna, który nie był Ramirezem; wszyscy siedzieli za stołem, a za nimi, przy wewnętrznych drzwiach, stała uzbrojona ochrona.

Bren zatrzymał się przy końcu stołu konferencyjnego i machnięciem ręki rozstawił Jago i Banichiego po obu stronach pomieszczenia. Oboje byli napięci jak struny i oczekiwali kłopotów, ale nie pokazywali tego po sobie. Banichi założył ręce i przyjął swobodną, nieformalną postawę znajdującą się na granicy braku poszanowania, na jaką nigdy by sobie nie pozwolił na dworze aijiego.

Jago stała się jego lustrzanym odbiciem.

- Panie Cameron - odezwała się rzeczowo Sabin. - Nie będziemy wspominać o waszych wtargnięciach w głąb stacji. Rozumiemy wasze środki bezpieczeństwa. Informujemy, że mamy własne.

Interesujące, pomyślał Bren. Ogun siedział w milczeniu. Odezwała się Sabin, teraz druga co do rangi, a Tamun wciąż milczał. Nowy mężczyzna siedział i też nic nie mówił.

- Cieszę się, że rozumiecie. Widzę, że zmieniliście swój skład. To nas zbytnio nie dotyczy.

- I nie powinno - powiedziała ostro Sabin.

- Jeśli będziecie się stosować do tej zasady - przemówił Ogun - to możemy uratować nasze porozumienia.

Ogun miał trudności z patrzeniem Brenowi w oczy, ale kiedy ich wzrok wreszcie się spotkał, Bren bez żadnych logicznych przesłanek odczytał tę mowę ciała jako sygnał, że obecna sytuacja wcale Oguna nie cieszy i że może być on następny na liście.

- Kapitan Dresh - odezwał się czwarty mężczyzna. - Na miejsce Ramireza. Nie będziemy tolerować żadnego mieszania się w dowodzenie statkiem.

- To, co zrobicie ze stacją - przemówił po raz pierwszy Tamun - to wasza sprawa. Wasza i mospheiran. Macie nie wtrącać się do dowodzenia, macie nie wtrącać się do spraw statku, jego oficerów i jego działań.

Bren lekko przekrzywił głowę, rozbawiony tą próbą zdenerwowania go. Miał po swojej stronie Banichiego i Jago, a ochrona stojąca za plecami kapitanów nie ma o niczym pojęcia. Nic go nie obeszły groźby, usłyszał ofertę porozumienia i nie uznał za stosowne zaoferowania czegoś w zamian.

- Panie Cameron - rzekła Sabin. - Rozumie pan?

- Przekażę wasze zdanie.

- Mamy kilka wiadomości reprezentujących nasze stanowisko - powiedział Ogun. - Przekażemy je, kiedy odleci pan następnym promem. Będą obszernie i szczegółowe. Załączymy umowy w formie, w jakiej je widzimy, nasze wymagania oraz zobowiązania względem aijiego i prezydenta Mospheiry.

Nie otrzymali oddzielnej oferty. Durant i Shawn byli na to za sprytni; podobnie Tabini.

A "odleci pan następnym promem" wydawało się atrakcyjnym rozwiązaniem, dopóki nie zaproponowali go oni, uznając, że tak będzie dla nich lepiej.

- Mój personel biurowy może rozpocząć pracę - powiedział.

- Niech pan zacznie tę pracę - rzekła Sabin - i odleci tym promem, panie Cameron. Przeprowadziliśmy wszelkie negocjacje, do jakich byliśmy gotowi.

- Zachęta.

Tamun dał znak ochroniarzom i mężczyzna stojący najbliżej drzwi otworzył je, ściągając na siebie uwagę Banichiego i Jago.

Strażnicy wprowadzili do sali mężczyznę w brudnym kombinezonie.

Jase'a.

Najwyraźniej Bren miał jakoś zareagować. Zrobił to w duchu i pomyślał o dostępnych mu sposobach usunięcia Tamuna spośród żywych.

- Niech go pan zabierze ze sobą - rzekł Tamun. - Proszę zabrać jego, Mercheson oraz ich popleczników. Odmówili stosowania się do zasad panujących

na tym statku. Wielokrotnie powtarzał pan, że potrzebuje ich pomocy przy tłumaczeniu. Ma Japan.

- Jase - powiedział spokojnie Bren. Jase był rozczochrany, podrapany i miał na rękawie plamę krwi; stał niepewnie, ale spostrzegł sygnał, by podejść do Brena. Strażnicy wprowadzili Mercheson, znajdującą się w podobnym stanie, dwie starsze kobiety i jedną młodszą... Matka Jase'a, pomyślał Bren. Widział jej wizerunek.

Wszyscy wygnani. Wszyscy przekazani do wysyłki na dół następnym lotem.

- Możliwości odstępstwa są nieliczne - oznajmił Tamun - z wyjątkiem stacji. W naszym ostatnim porcie straciliśmy licznych odstępców, ale oni nie mieli szczęścia. Miejmy nadzieję, panie Cameron, że tu będzie lepiej.

- Miejmy nadzieję, że zacznie przychodzić moja poczta - rzekł Bren. - Miejmy nadzieję, że nie będzie awarii prądu. Miejmy nadzieję, że uznam ten prezent za wyraz waszej przyszłej woli zawarcia skutecznej umowy i rozpoczęcia wspólnych przedsięwzięć. Gdzie są w tym wszystkim mospheiranie?

Drażliwa kwestia. Tak sądził.

- Proszę omówić tę kwestię z panią Kroger - powiedział Tamun. - Następnym razem niech przyślą kogoś z upoważnieniem do negocjacji.

- Prawdopodobnie będę to ja - stwierdził Bren ze spokojem. - Jestem pragmatykiem, kapitanie Tamun. Tam, gdzie muszę, działam na swoją korzyść. Jase mi się przyda; jestem pewien, że inna pomoc też.

- Niech się pan, do diabła, nie miesza do naszych spraw!

- Dajcie mi bezpośrednią łączność z aijim i żadnej cholernej cenzury moich listów, panie kapitanie. Blokowanie moich wiadomości nie nastawi mnie ani trochę lepiej.

- Proszę nas nie naciskać.

- Wiadomości oraz stałe dostawy prądu do naszej sekcji. Zajmiemy sąsiednie pomieszczenia. Potrzebujemy tego miejsca.

- Prom przyleci zgodnie z rozkładem - powiedział spokojnie Tamun, tak spokojnie, jak przed chwilą był agresywny. - Proszę się na nim znaleźć. Przez jakiś czas oglądajmy tylko bagaże naukowe, panie Cameron. Dotrzymamy umów. Będziecie mieli do czynienia z tą właśnie władzą. Proszę ją przyjąć i wykonać swoje zadanie, cokolwiek nim jest.

- Moja poczta.

- Do cholery z pańską pocztą! Nie może pan tu stawiać żądań!

- A wy nie możecie ich stawiać na dole. Jeśli chcecie, by cokolwiek zostało przewiezione, to muszę mieć dostęp do nienaruszonej poczty.

Zmieniliście jedną z wiadomości aijiego! W aishidi'tat jest to zbrodnia podlegająca karze śmierci, sir, i zostawiacie to mnie do wyjaśnienia mojemu rządowi, co będzie cholernie trudne, sir! Jeśli chcecie uzyskać jakąkolwiek współpracę ode mnie, od kontynentu czy od wyspy, to macie uważać przepływ poczty za świętość! Jesteście na granicy zerwania wszelkich umów.

- Niech pan stąd wyjdzie!

Czuł, że za chwilę wybuchnie.

- Jase. Yolanda. Rozumiem, że to są wasze matki. Chodźmy.

Odwrócił się, zerknął na Banichiego, dając mu tym samym sygnał, i Banichi ruszył za nim, rzuciwszy ostre spojrzenie kapitanom. Jago ani drgnęła na swoim miejscu przy drzwiach, czekając, aż cała grupa znajdzie się na zewnątrz, w towarzystwie ich ponurego przewodnika.

Wtedy wymaszerowała z ręką na broni.

- Wracamy do naszych kwater - powiedział Bren do przewodnika i starszy mężczyzna poprowadził ich w drogę powrotną.

Po obu stronach korytarza stali uzbrojeni ludzie, którzy w miarę ich zbliżania się wchodzili do bocznych korytarzy, ale kiedy grupa mijała je po kolei, uzbrojonych ludzi w nich nie było.

Jase nie odzywał się ani słowem; wydawało się, że ma dość roboty z utrzymaniem się na nogach, ale nie poddawał się i szedł z dłonią wspartą o

ramię matki. Yolanda szła z pozostałymi dwiema kobietami, a pochód zamykała Jago, niczego nie biorąc za pewnik.

Ani słowa przez całą drogę aż do ich własnych drzwi, które otworzyły się przed nimi.

Narani pośpieszył na zewnątrz, by podtrzymać Jase'a. Bindanda zajął się Yolanda, lekko kłaniając się krewnym.

Drzwi zamknęły się, odcinając ich od przewodnika; Jase wysunął się Naraniemu z rąk i upadłby na podłogę, gdyby Narani nie podtrzymał go po raz drugi.

Bren podparł głowę Jase'a, który, na wpół przytomny, zobaczył, jak z drugiej strony usiłuje mu pomóc matka.

- Przepraszam - powiedział.

- Narani-ji. Wykorzystaj moje łóżko - rzekł Bren. - Jase, gdzie jesteś ranny?

- Żebra. Ześliznąłem się po tej cholernej drabince.

- Cholera. Niech to cholera. Nie ciągnij go, Rani-ji. Złamane żebra.

Banichi?

- Bandaże - rzekł Banichi i wziął Jase'a na rękę, jakby ten był dzieckiem.

- Pani Graham - powiedział Bren, kładąc jej rękę na ramieniu. - Yolanda. Rozumiem, że to twoja matka i siostra.

- Tak. - Yolanda tłumiała reakcje, ogromnie zdenerwowana, ale się nie poddawała. - Tamun to zrobił.

- Jestem głęboko przekonany - rzekł spokojnie Bren. - Jesteś ranna?

- Będę żyła - wycodziła Yolanda przez zęby. - Moja matka, moja siostra... To jest Bren - powiedziała nagle, jakby tego nie wiedziały.

- Pani Mercheson. Olanthe, prawda?

- Tak, sir - odparła dziewczyna. Nie miała jeszcze piętnastu lat, była wstrząśnięta, a jej twarz znaczyły ślady łez. Rzuciła nerwowe spojrzenia na każdego ateve, który zrobił choć najmniejszy ruch.

- To jest moja rodzina - powiedział Bren, by ją uspokoić. - Jesteś wśród nas całkowicie bezpieczna. Wejdz, proszę, do jadalni, a my przyniesiemy ci coś do picia. Sok owocowy, Bindanda, jeśli łaska. Ta mniejsza to dziecko.

- Ateva rozumie - rzekł Bindanda. - Yolanda-nadi, zechcesz wejść z tymi zacnymi osobami? Wejdz. Znajdziemy ci wszelkie wygody, o jakie poprosisz.

- Muszę napisać sprawozdanie!

- Musisz je gdzieś umieścić - wtrącił się Bren. - Spokojnie. Mamy czas. Bóg jeden wie, że mamy czas. Ty możesz porozmawiać z Bindanda. One nie mogą.

- Zajmij się Jasem - powiedziała z roztargnieniem i poszła dać wskazówki Bindandzie. Yolanda zawsze starała się przejąć kierownictwo. Taka już była, ale pracowała, robiła, co mogła. Bren wiedział, że nie chciała zrezygnować z mospheiran i że pomogła Jase'owi.

Tano i Algini siedzieli w posterunku ochrony, obserwując wszelkie ruchy z napiętą uwagą, ale czego się dowiadywali, Bren nie miał pewności. Nojana poszedł pomóc Banichiemu.

Jago była zdenerwowana i zła i nie miała się jak wyładować.

- Nie uważam tego za porażkę - powiedział. - To tylko przeszkoda. Potrzebuję tych dodatkowych pokoi, nadi. Weź Nojanę i zajmijcie je.

- Tak - odparła gwałtownie Jago i poszła wypełnić polecenie, kołyszac warkoczem.

- Boli - powiedział Jase. Leżał lekko podparty. - Uderzyłem we wszystkie szczeble na odcinku dziesięciu metrów, a potem jeszcze w krawędź platformy.

Bren mógł to sobie tylko wyobrazić. Przeszły go ciarki.

- Banichi mówi, że żebra nie są złamane. Raczej pęknięte.

- Nie miałem jak sprawdzić.

- Nie uderzyli cię?

Jase lekko potrząsnął głową.

- Tylko wtedy, kiedy rzuciłem się na takiego jednego, któremu się należało. Musieli nas wypuścić. Mogliby zastrzelić Ramireza. Nie mogą urządzić krwawej łaźni całej załodze. Nie mogli zaatakować mojej matki. To byłby ich koniec. Kobiety... kobiety są niemal święte, pamiętasz?

Konieczność rodzenia dzieci. Przetrawanie gatunku. Gildia ustaliła ten priorytet, a kobiety go zwalczały; Jase powiedział, że zachowały prawo do pracy, nawet jeśli ryzyko przyprawiało Gildię o ból zębów. Ale kobiet się nie atakowało. Kobiet po prostu się nie atakowało.

- Dobrze, że tak jest - powiedział Bren.

- To, że jesteśmy tu, i ja, i ona, wcale nam nie pomoże - stwierdził markotnie Jase. - Skoro pozbyli się nas i naszych najbliższych krewnych w ten sposób, nikt im nie zarzuci tego, co zrobili. Za trzy lata ludzie nie będą już o tym wspominać. Może mogłaby nawet wrócić, ale sprawiałaby tylko kłopot.

- Rozumiem - powiedział Bren, podwójnie zadowolony z przyjętego przez siebie spokojniejszego, mniej konfrontacyjnego kursu. Zostawiło mu to środki, a wśród nich bardzo ważne kobiety. - Ale przez te trzy, cztery, pięć lat, które może zająć nam budowa statku... oni o tym usłyszą. Usłyszą od nas. Będą cholernie zmęczeni słuchaniem o tym wszystkim.

- Moim zdaniem oni zdają sobie sprawę, że ich sytuacja jest nie najlepsza. - "Nie najlepsza" to były słowa, które wywołały grymas na twarzy Jase'a. - Cholera! Ale nie będzie tak przez cały czas. Okrzepną. Nikt nie kwestionuje tego, co dawno okrzepło.

- Ten Dresh.

- Wuj Tamuna. Ramirez go nie znosi.

Czas teraźniejszy.

- Nie dostali Ramireza?

- Nie - odparł Jase w ragi.

- Wiesz, gdzie jest? - zapytał Bren w tym samym języku.

- Być może.

Kłopoty, pomyślał Bren. Nie chciał dopuścić do konfrontacji z powodu Ramireza, dopóki nie umieści najważniejszego personelu w bezpiecznym miejscu. To prawda, że dotychczas połało się niewiele krwi, ale nie wiadomo, co się stanie, gdy osoby winne tego wszystkiego zostaną przyparte do muru... mogą osłabnąć nawet rodzinne zastrzeżenia co do przelewania krwi, nie mówiąc już o losie obcych znajdujących się wśród ludzi.

Bren poklepał jednak Jase'a po ramieniu, a potem uścisnął je, uważając na sińce.

- Właśnie zajęliśmy kolejne pokoje wzdłuż korytarza. Stacja nie może odciąć od nich prądu bez wyłączania całego obszaru, a my mamy ten przełącznik. Wszyscy będą mieli łóżka, miejsce, ciepło, powietrze, wszelkie wygody. Dużo jedzenia. Zapakowaliśmy zlew kuchenny.

- Nie rozśmieszaj mnie. Boże, nie rozśmieszaj mnie.

- Jesteście bezpieczni.

- Cieszę się, że wyostałem matkę spoza ich zasięgu. Nie wiesz, co robiła. Pomagała nam z jedzeniem, roznosiła wiadomości, przyprowadziła Yolandę... Nie wiem, kto ma równie wielkie kłopoty. Ona. Yolanda. Rodzina Yolandy. Tamun chyba nas zabił.

- I mimo wszystko nie odważył się?

- Nie. Dzięki nim. Dzięki temu, kim jesteśmy z Yolanda. To ich powstrzymuje. Ale nie teraz.

- Powstrzymywało ich wystarczająco długo. Zmusiło do przekazania was nam.

- Zrzucają nas na planetę.

- Ile osób mogą tam zrzucić? Czy śmierć grozi jeszcze komuś innemu?

- Mam nadzieję, że nie. Najpierw zaczęli opowiadać, że zabiłem Ramireza. Nie odniosło skutku. Potem, że Ramirez załamał się psychicznie.

Zastrzelił się. Nikt w to nie wierzy, ale muszą udawać. Nie masz pojęcia, jak tu jest.

- Owszem, mam. Jestem mospheiraninem, pamiętasz? Zaprzeczanie temu, co ma się przed oczyma, to społeczna umiejętność. Znam to bardzo dobrze.

- Trzeba z nimi żyć, to wszystko. Mogą dowodzić statkiem, ale potrzebują techników, a technicy potrzebują załogi... tak to już jest. Spróbują pracować z pozostałymi. A pozostali poddadzą się. Nikt oprócz mnie i Yolandy nie chce opuścić statku. Moja matka... wolałaby umrzeć, ale pójdzie za mną. Musisz zrozumieć. Jest przerażona. Ja mogę żyć tam na dole. Nie miałbym nic przeciwko pozostaniu na dole przez resztę życia. Ale dla niej to bardzo trudne.

Jase doprowadzał się do kryzysu emocjonalnego. Miał świetnego słuchacza w człowieku, którego matka koniecznie chce doprowadzić się pośrednio do samozniszczenia i nie przysyła mu żadnych wiadomości oprócz "Powinieneś do niej napisać...".

- Sprowadzimy jaz powrotem na górę - obiecał Bren. - Załagodzimy sprawę. Powiedz jej to. Powiedz jej, żeby dała temu wszystkiemu trochę czasu, a my będziemy ją traktować jak księżniczkę; sprowadzimy ją z powrotem na górę, choćbyśmy mieli z niej zrobić posłańca dworu.

- Dziękuję - powiedział Jase łamiącym się głosem.

- Posłuchaj. Usłysz mnie w ragi. - To znaczy w odniesieniu do patronackiej sieci. - Jeśli nie będziemy mieli innego wyboru niż ten zestaw kapitanów, to zaczniemy układać się z nimi. Kiedy sprawy się unormują, może przyjmą cię z powrotem.

- Nie polecę. Nie polecę na dół. Za diabła nie będę wykonywał rozkazów Tamuna.

- Robimy to, co musimy zrobić na krótszą metę, by uzyskać wyniki na dłuższą.

- Na krótszą metę Ramirez umrze. Nie mogę stąd odejść, Bren. Wyślij ja na dół, ale ja go nie mogę tu zostawić. Znajdą go i zabiją. Sprowadź dla niego jakąś pomoc.

- Porozmawiamy o tym - powiedział Bren. - Nie opuszczamy tej placówki. Nie poddajemy się. Odpocznij trochę.

- Akurat. Nie traktuj mnie protekcjonalnie. - Jason zażył środek przeciwbólowy z Mospheiry. Tracił energię i głos. - Nie odleczę.

- Porozmawiamy - powiedział Bren tonem, który zdecydowanie oznaczał: później. W ciągu trzech ostatnich lat rozgrywał z Jasem liczne potyczki; mieli swoje szyfry pozwalające unikać kłótni. Bren zobaczył, jak powieki Jase'a opadają, unoszą się, znów opadają. Siła, która utrzymywała go na nogach, by tu dotarł, zupełnie w tej chwili zanikała.

- Załoga cię nie posłucha. Jego owszem. Mnie też. Mojej matki. Tamun chce to załatwić cicho. Nie uda się.

Świadomość po trochu gasła.

- Prześpij się - powiedział Bren, co spotkało się z jeszcze jednym drgnięciem powiek, i to było wszystko.

A Jase go słuchał. Jase wciąż z nim pracował. Kapitanowie usiłowali uniknąć mielizny, którą dostrzegli we własnych sprawach, i podali Brenowi broń, co do użycia której nie miał żadnych skrupułów, podobnie jak Jase nie miał nic przeciwko byciu użytym.

Jase był bronią, której wartości mogli jeszcze nie doceniać. Jase powiedział: "Nie odważył się dzięki temu, kim jesteśmy z Yolanda...". Mistyka: towar niemożliwy do zdefiniowania i zastąpienia.

A Jase mówił, że jest jeszcze ośmioro Dzieci Taylora: albo na statku, albo zaginęli w starciu z tymi obcymi. Jednym z nich była Yolanda. Bren zadał sobie pytanie, czy pozostałe są równie lojalne wobec ich przybranego ojca i czy Jase może się z nimi skontaktować.

Ciekawe pytanie, dlaczego w ciągu tych trzech lat Jase nigdy nie wspominał, gdzie przebywają ci niby-bracia i siostry, a zapytany, zawsze unikał odpowiedzi.

Bren i Jase byli otoczeni atevimi związanymi z nimi poprzez man'chi; Bren poprowadził swoich towarzyszy w tę zmienną sytuację i musi użyć wszystkie swoje atuty.

Kobiety były takim atutem. Pocieszające. Kapitanowie nie mogą nimi rządzić... chcą się jednak pozbyć ich ze stacji, z pamięci, sprzed oczu w sytuacji, w jakiej mogą całkowicie kontrolować i cenzurować wiadomości docierające do załogi, która nie chce pamiętać, co doprowadziło do przemocy w ramach rodziny.

Tak sądzą kapitanowie.

Choćby nawet przez następne dziesięć lat mieli drukować wiadomości na papierkach od cukierków, nie dadzą zginać tej sprawie. W końcu będą mogli ją z powrotem wepchnąć kapitanom w ręce i może nawet nie będą musieli bardzo o to walczyć.

Z Ramirezem czy też bez niego, którego głównym poplecznikiem jest Ogun, o co Bren wciąż mógłby się założyć.

Nie poddał się. Wszystkie jego atuty wydawały się jednak atutami przyszłościowymi, atutami na dłuższą metę. A najbardziej stawał na to, że nie wydarzy się wypadek, w którym wszyscy zginą.

- Będąc stłoczeni w tej sekcji - powiedział Bren do swojej ochrony - jesteśmy bardzo podatni na wypadki; jeśli nie z braku powietrza, to z powodu ciemności, zimna czy niedostatku wody. Człowiek ma nadzieję, że nic takiego się nie stanie, ale gdyby jakimś sposobem udało im się uciszyć nas wszystkich naraz, to cała załoga raczej udawałaby, że o niczym nie wie. Umiejętności kapitanów nie da się zastąpić, a załoga sądzi, że być może straciła już jednego z nich. Strach przed utratą kapitanów jest ich najważniejszym strachem.

- Uważamy - powiedział Banichi - że potrafimy uruchomić każdy zamek i otworzyć każdy korytarz. Cała stacja zdaje się funkcjonować według jednego wzorca.

- Nie mam co do was żadnych wątpliwości, nadiin-ji. Czy potrafimy utrzymać to, co mamy? Czy powinienem ściągnąć tu nand' Gin? A może moje ambicje nawet w tym względzie są nadmierne?

- Potrafimy utrzymać te pomieszczenia - stwierdził Banichi bez cienia wątpliwości. - I w każdej chwili możemy przenieść się do innych, mimo ich oporu.

Słowa te były ogromnie pokrzepiające.

Wciąż nie było, do jasnej cholery, ani słowa od Tabiniego.

Możliwe, że od czasu wiadomości, które przekazał Kanda-na, Tabini nie otrzymał żadnych innych wiadomości od Brena i że to jest przyczyną jego milczenia.

Bren jeszcze raz wysłał za jednym zamachem wszystkie swoje poprzednie wiadomości dla Tabiniego.

Dostał jedną od matki, krótką i treściwą:

"Napisz, proszę. Martwię się. To nie jest pora na fochy".

A więc nie dostawała jego listów. Natychmiast wysłał do niej wszystko jeszcze raz, wysłał do wszystkich całą swoją pocztę i powstrzymał się przed ponownym wgnieceniem pięścią konsoli.

- C1. Kontakt głosowy z Mogari-naí.

- Spróbuję, sir.

Po chwili otrzymał połączenie oraz potwierdzenie w ragi od Gildii Posłańców, że nie było żadnych wiadomości oraz że aiji wydał rozkazy, by nie przekazywać też żadnych zwykłych wiadomości ze stacji.

- Dopóki ateva nie otrzyma wiadomości od ciebie, nandi.

- Teraz ją otrzymaliście. Przekażcie aijemu moje przeprosiny. Ramirez spotkał się z przeciwnościami. Wyznaczono nowego kapitana, Dresha, spokrewnionego z Tamunem. Natychmiast przekazcie tę informację.

- Tak, nand' paidhi.

Bren rozłączył się i wyszedł na korytarz, który teraz był dwa razy dłuższy. Jego posiadłość.

Narani i Bindanda spokojnie wprowadzali harmonię do dalszych pokoi. Stolik z misą na wiadomości został przesunięty na środek korytarza w jego odległym końcu, a w pewnych odstępach za nim stały jeszcze dwa stoliki, każdy z misą i niewielką kompozycją z drewna i kamieni.

Służący dbali o pomyślność i zapewniali powodzenie.

Wysiłki paidhiego mające na celu to samo nie zostały jednak ukończone.

Matka Jase'a zajrzała do syna, by się uspokoić, po czym zasnęła na atewskim krześle w jadalni, całkowicie wyczerpana. Bren poszedł porozmawiać z Yolandą, która siedziała z matką i siostrą w nowym salonie, pierwszym pomieszczeniu za linią nowej sekcji. Temperatura w nowych pokojach osiągnęła nieco bardziej znośny poziom. Ich wystrój wciąż pozostawiał wiele do życzenia, ale wszystkie panie dostały koce i filiżanki z parującą herbatą.

- Jase czuje się dobrze - powiedział Bren. - Jest tylko trochę posiniaczony. Kości ma całe. Przy pierwszej okazji zawieziemy was na planetę. Nie bójcie się, że na zawsze, ale to dla was najbardziej bezpieczne miejsce.

- To nie załoga to zrobiła - rzekła matka Yolandy. - To wszystko przez Pratapa Tamuna.

- Możliwe, ale i tak na kilka miesięcy planeta jest najbezpieczniejsza. Nie wątpię, że wszystko przycichnie.

Nie były zadowolone, a przerażona młoda siostra nie chciała odejść od kuzynek.

Bren zostawił je z kanapkami, które nie powinny im zaszkodzić, oraz jeszcze jedną kolejką herbaty, i zamówił dla nich kilka jednostek cennej waluty - cukierków owocowych - zastanawiając się, czy Kaplan też ma kłopoty.

Jednak rodzina tej wielkości i złożoności nie mogła rozpętać krwawej łaźni, nie niszczyć samej siebie. Kapitanowie przyznali to, przekazując Brenowi Jasona i Yolandę wraz z rozkazami opuszczenia stacji.

Lecz powody, dzięki którym ocalała ta garstka osób, świadczyły jednocześnie, że załoga po prostu nie ma żadnych mechanizmów obronnych. Kapitanowie nie byli wybierani. Mieli dożywotnie stanowiska, wyznaczone przez innych kapitanów... Kto poza nimi mógł osądzić ich kompetencje?

Bren wszedł do posterunku ochrony, by podzielić się ze swoim personelem tym, czego się dowiedział. Był tam Banichi, śmiertelnie znużony.

- Ty, nadi, powinieneś spać - rzekł do niego Bren.

- Zbyteczny nawyk - odparł Banichi. - Prowadzi do niewiedzy. Co powiedział Jasi-nadi?

- Że Ramirez żyje. Yolanda mówi, że Ramirez być może żyje. Sądząc po wszystkim, co się stało, jestem prawie pewien, że żyje, i jestem pewien, że Jase czuje głębokie man'chi do tego człowieka.

- Aha - odezwała się Jago. - Coś, co rozumiemy. To stara sztuczka, nawet jak na machimi.

- W istocie - rzekł Bren i usiadł ciężko na krześle. Jednak był zmęczony. Nie pomyślał, jak całkowicie atewski jest ten dawny wybieg, jak bardzo jest przepojony duchem machimi i przezroczysty jak szkło. - Atevi jednak starają się jakoś obejść ten nakaz. Jase zechce pójść prosto do Ramireza, jak tylko przestaną działać środki przeciwbólne.

- Nie może.

- Absolutnie nie. Jestem jednak stosunkowo pewien, że nas posłucha. Będzie chciał, żebyśmy my to zrobili.

- Możliwe - powiedział Banichi. - Ale po twoim odlocie.

- Nie bez ciebie, nadi.

- Zatem Ramirez musi dawać sobie radę sam.

- Być może powinniśmy coś zrobić.
- A my odesłać paidhiin ze stacji.
- Mogę zostać - powiedział Bren - jeśli możemy odesłać Jase'a.
- Nie. - Słowo to zabrzmiało jednocześnie z ust Banichiego, Jago i

Tano.

- Jase potrafi tłumaczyć, nadiin-ji.
- Nie dość dobrze - odparła Jago. - Melony.
- To było trzy lata temu.
- Latające ryby.
- Takie podobno żyły na ziemi ludzi.
- Nie szkodzi - rzekł Banichi. - Jasi-ji, choć bardzo go cenimy, nie potrafi wykonać twojego zadania, nie potrafi rozmawiać z aijim, nie potrafi tak skutecznie dawać sobie rady z Mospheirą, a poza tym wszystkim, paidhi-ma, mamy polecenie nie wracać bez ciebie, więc jeśli zostaniesz, to my też.

- Niech dobry los pomoże nam wsadzić Jase'a na prom, jeśli nic nie zrobimy dla Ramireza.

- Minie jeszcze wiele dni - rzekł Banichi. - Do tego czasu wiele może się zmienić. Jeżeli dostrzeżemy okazję, może podejmiemy działanie. Ale nie inaczej.

- Załoga zmusza kapitanów do działania. Kapitanowie boją się ją do siebie zrazić. Próbowali przypisać wypadek Ramireza Jase'owi, ale im się to nie udało. Nie ośmielili się jednak wysłać Ramireza na planetę, by nadawał stamtąd wiadomości dla stacji. Gdyby udało się nam zapewnić mu bezpieczeństwo tutaj, to moim zdaniem mogłoby pobudzić załogę do działania.

- Nie pobudził jej do działania tam, gdzie jest - zauważył Nojana.

- Nie tak jak ateva - powiedział Bren. - Do jakiegoś działania ich jednak pobudził. Ktoś go ukrywa. Prawdopodobnie bierze w tym udział sporo osób. To są posłuszni ludzie, ostrożni i przestrzegający zasad, i mają wśród siebie bardzo niewiele takich, którzy wiedzą, jak naprawiać i obsługiwać urządzenia, od których zależy ich życie. Boją się usunąć kogokolwiek, kto posiada taką wiedzę. Choćby jak najbardziej zasługiwał na potępienie, mogliby go chronić ze względu na tę wiedzę, a z tego, co wiem od Jase'a, nie on spośród kapitanów zasługuje na największe potępienie. Myślę też, że jeśli chodzi o obalenie Ramireza, nikt nie pytał o zdanie Ogun-aijiego, tego kapitana. Według mnie on dość słusznie obawia się, że może być następny, a jeśli zależy mu na jego ludziach, to może się bać następstw ogólnego rozlewu krwi w szeregach kapitanów. Może zrobić wiele dobrego, łagodząc wpływ Tamuna, co chyba zrobił, nalegając, by trzymali się umów. Myślę, że Kroger też ich dotrzymała; moim zdaniem Tamun sądził, że może się z nią dogadać na naszą szkodę, ale mu się nie udało. Jestem winien tej kobiecie ogromne przeprosiny za wszystkie moje podejrzenia: myślę, że odrzuciła go z powrotem do naszych umów z Ramirezem i że dzięki jej oraz Ogunowi Tamun musiał złagodzić swoje stanowisko.

- Ogun przez cały czas nie patrzył na Tamuna - zauważyła Jago.

- Linia podziału w patronacie kapitanów. Można nawet było podejrzewać, że Sabin opowiedziała się przeciwko układom z nami na rzecz układów z mospheiranami, ale teraz nawet ona może mieć wątpliwości, widząc krewniaka Tamuna jako czwartego kapitana. To nie może się podobać Ogunowi ani Sabin, którzy być może dojdą do wniosku, że mają coś wspólnego ze sobą po prostu dlatego, że nie są ludźmi Tamuna.

- Nie są tacy niezrozumiali - mruknął Tano.

- Pod pewnymi względami mają więcej podobieństw z dworem aijiego niż z mospheiranami. Niejasne powiązania, niejako podziemne umowy, uznające interesy ich własnego małego patronatu urodzenia i wygody za najważniejsze w ramach bardzo dużej rodziny. Zagrożenie wobec tej rodziny jako całości może ją zjednoczyć; ale planeta i jej propozycje stanowią potężne źródło zmian w tej społeczności, a gdzie zachodzą zmiany... - Bren wzruszył ramionami.

- Złoto wśród złodziei? - zasugerowała złośliwie Jago. To było przysłowie: bodziec najpierw do zjednoczenia, a potem do krwawego rozłamu w imię własnych korzyści.

- Coś w tym rodzaju. Chociaż człowiek mógłby pomyśleć... może coś nieco bardziej szlachetnego.

- Zaiste - powiedziała ponuro Jago. - Kolejna rozszkodzona frakcja - sprawiedliwi i szlachetni.

Bren roześmiał się ponuro.

- Obawiam się, że to prawda. Frakcja Jase'a, ta, którą Tamun skazuje na wygnanie, a zarazem ludzie, na których utratę załoga może sobie najmniej pozwolić. Człowiek zastanawia się, co stracili, kolonizując tamtą stację, i jacy ludzie zginęli, kiedy została zniszczona.

- Ramirez stworzył Jase'a - rzekł Banichi z namysłem. - Stworzył Jase'a jako mężczyznę bez man'chi, chyba że względem statku. Ramirez stworzył Yolandę. Teraz Tamun skazuje oboje na wygnanie. Co to oznacza dla załogi?

- Nic dobrego - odparł Bren. - Absolutnie nic dobrego.

- Moglibyśmy zastrzelić tego Tamun-aijiego - zaproponował Algini.

- To bardzo kuszące - zgodził się Bren. Wśród atevich uznawano nawet za słuszne, by w konfliktach ginęli przywódcy, a nie ich zwolennicy. - Jednak, by ich zadowolić, a później zawrzeć umowę, musimy stosować się do ich prawa. Musimy mieć nadzieję na jakieś inne środki.

"Barb czuje się lepiej. Pojawił się Paul i podpisał odpowiednie papiery. Niewiele mi powiedział. Nie mam wiadomości od Toby'ego. Wiesz, gdzie jest? Martwię się o niego i o Jill i podejrzewam, że Louise nie mówi mi wszystkiego.

Ludzie z ochrony denerwują się, kiedy tu przychodzę. Od kiedy podano w wiadomościach, że poleciałeś na stację, nie pozwalają mi odbierać telefonów. Nie znoszę tego. Mają strażników na tym piętrze, strażnicy pilnują pokoju Barb. To jakieś szaleństwo.

Zadzwoiliam do Shawna i do Twojego biura na kontynencie i powiedziałam, żeby powiedzieli Tabiniemu, że nie mam z Tobą kontaktu.

Barb będzie jutro miała kolejną operację. To już trzecia, ale tym razem zatrzymali krwawienie i teraz muszą powyjmować niektóre rurki i coś tam jeszcze. Dziękuję Ci za kwiaty. Mógłbyś przynajmniej wysłać jej pozdrowienia. Tego wymaga grzeczność".

Nie wybuchnął. Ułożył grzeczną, pełną troski odpowiedź, napisał do Tabiniego:

"Mamy u siebie Jase'a, aiji-ma. Przeciwny patronat otaczający czwartego kapitana przejął dość władzy, by wymóc jego wygnanie na planetę, lecz nie na tyle, by zrobić mu krzywdę. Najstarszy z czterech kapitanów był celem próby zabójstwa".

Do Tyersa napisał w ragi za pośrednictwem swego biura:

"O ile potrafię ocenić, przewodnicząca Twojej tujejszej misji dzielnie przeciwstawiła się próbom rozdzielenia naszych interesów. Znosi trudy, a my wspieramy ją najlepiej, jak umiemy. Nie objąłem jej jeszcze naszą opieką, ponieważ posiadanie więcej niż jednego dogodnego punktu na stacji daje nam pewną elastyczność działania. W sprawach dalszych szczegółów zalecam kontakt z kontynentem".

Więcej nie odważył się napisać. Istniała zbyt duża możliwość ponownego odcięcia łączności, jeśli w ogóle działała... a Bren nie miał na to żadnego dowodu, dopóki ktoś nie przyśle mu bezpośredniego dowodu, że czytał jego listy.

- Przełącz mnie do Kroger - poprosił Bren.

- Kroger powiadomiła, że nie przyjmuje wiadomości - odpowiedziało C1. - To jest okres snu.

- Przełącz mnie, C1, albo sam tam pójde.

- Muszę się skonsultować - odpowiedziało C1, ale i tak go połączyło.

To ciekawe, pomyślał Bren, czekając na zgłoszenie Kroger.

- Bren Cameron - przedstawił się. - Mamy Jase'a, mamy Mercheson i o ile potrafimy się domyślić, mamy rodziny. Jase porusza się powoli, ale wszyscy wyglądają na zdrowych. Chcesz przyjść do nas na kolację?

Jase podniósł się z łóżka, obolały, zaniepokojony i w złym nastroju. Bren pomyślał, że w pewnej chwili po prostu trzeba otrząsnąć się z gniewu. Nie miał tego Jase'owi za złe.

- Nie wyjdiesz stąd - powiedział do niego w ragi. Kiedy Jase tak stał w szlafroku, nie było tego widać, ale na siłę ignorował ból. - Chca, żebyś właśnie to zrobił, ale nic z tego.

- To nie znaczy, że... - zaczął Jase.

Bren skończył za niego:

- ...wypadłeś z gry, Jase. Pomyśl sam. Do cholery z dumą. Wyjście z ukrycia i doprowadzenie ich do człowieka, którego według ciebie nie powinni znaleźć, nie jest rozsądne. Zamknij się i usiądź.

Jase dotarł do krzesła i usiadł.

- Chwileczkę, nadi.

Bren dał ją Jase'owi, sam usiadł i zaczekał, aż mężczyzna w spokoju pogodzi się z bólem i faktami. To, że Jase przypomniał sobie ragi oraz opanowanie właściwe dworowi aijiego, było, zważywszy na okoliczności, cudem samym w sobie.

Być może o kierunku, w którym podążały myśli Jase'a, świadczyło to, że odgarnął włosy do tyłu, prosto do tyłu, w sposób, w jaki je nosił, zanim tak paskudnie je obciął.

- Stałeś się członkiem tej misji - oznajmił mu Bren.

- Ubranie.

- Twoje jest w czyszczeniu i prasowaniu. Nawet kurtka.

Jase'owi udało się krótko, boleśnie roześmiać.

- Narani tak bardzo chciał to zrobić - dodał Bren.

- Rozpaczliwie.

- Mogę ci pożyczyć moje ubranie.

- Nie mogę w nim chodzić.

- To zabawne, chyba nie utyłeś. Właściwie powiedziałbym, że w tej chwili byłoby na ciebie za luźne.

- Potrzebuję ubrania ze statku.

- Nie, Jase, chodzi o to, że nie.

- On tam jest, bez pomocy. Muszę coś zrobić, Bren!

- Nie myśl, że nie ma pomocy - powiedział Bren. Rozmawiali o Ramirezie w szyfrowym stylu, bez używania imion własnych. - Konspiracja rozprzestrzenia się wśród załogi. Niedługo wróci prom. Porozmawiam z naszymi kolegami z wyspy, piętnaście dni czekania, zanim prom zostanie sprawdzony... musimy się stąd wydostać. Nie mamy żadnego bardziej racjonalnego wyboru. Nie mogę cię stracić. Słyszysz? Jeśli wszystko stracimy, zostajesz jeszcze ty. To jego dziedzictwo.

- Nie jestem nim!

- Nie. Jesteś jego projektem, jego programem, rękoma oraz determinacją, by postąpić tak, jak chciał. Nie poddawaj się.

Jase zastanawiał się nad tym przez kilka chwil, po czym mimo bólu jego twarz przybrała dworską maskę.

- Faworyci aijiego jakoś otrzymują w końcu władzę - powiedział Bren, nie zważając na minę Jase'a. - I atevi tu przybędą. Statek nie ma wyboru.

Jase patrzył na niego, przyswajając sobie tę myśl, ten pomysł, tę propozycję.

- Wygra, jeśli nie zrobisz tego, do czego popychają cię kapitanowie. Myślę, że nowy starszy kapitan ma bardzo złe przecucia co do tego wszystkiego. Jeśli potrafisz go przekonać, stanie się naszym sojusznikiem.

- Muszę to przemyśleć - powiedział Jase. Kuśtykał po pokojach, rozmawiając najpierw na osobności z Yolanda, a potem z Banichim i Jago, podając im, jak powiedział Banichi, wszelkie szczegóły na temat tuneli, gdzie byli, gdzie zostali odkryci, dokąd uciekli.

Bren wszedł do pokoju, w którym rozmawiali, usiadł i wchłaniał informacje.

- Jedzenie poprawiło się - rzekła Kroger - ale je nam przynoszą. Są bardzo uprzejmi; chodzimy po stacji. Nie szukają żadnych wykrętów. Pozwalają nam chodzić z przewodnikiem tak daleko, jak tylko chcemy. Nie wpuścili nas do jednego korytarza. Powiedzieli, że to koniec sekcji pod ciśnieniem. To możliwe.

- Jesteście blisko granicy - powiedział Jase.

Sala jadalna była wypełniona. Banichi i Jago zaczęli jadać z ochroną i personelem, a teraz na dodatek z Kate Shugart, na którą akurat wypadła kolej, by tłumaczyć.

Przy stole siedziały panie Mercheson i państwo Graham; poważna rozmowa zaczęła się dopiero po kieliszku kończącym kolację. Do cichej dyskusji o traktacie i sprawach operacyjnych, jakby nie działo się nic niezwykłego, włączyła się Ginny Kroger.

- Nie chcę, żebyśmy opuścili stację - powiedziała. - Dostałam taką informację. Mają nadzieje nie mieć do czynienia z atevimi przez jakiś miesiąc, a potem możliwe, że przyjmą cię z powrotem, ale, przykro mi powiedzieć, pana Grahama nie. Być może grozi panu jakieś niebezpieczeństwo.

- Aiji wyśle takiego przedstawiciela, jaki mu się spodoba - powiedział Bren w ragi, mając wrażenie, że równie dobrze może to być Jase. Kiedy Tabini czuł się naciskany, potrafił być przekorny jak diabli. Poza tym stwierdzenie to miało utrzymać Jase'a w równowadze. Bren uśmiechnął się jednak i wzruszył ramionami. - Byliby głupi, gdyby podnieśli na niego rękę - powiedział w mospheiranie, prawie pewien, że nikt ich nie podsłuchuje, niemal mając na to nadzieję. - Kiedy ktoś naciśnie odpowiedni guzik, aiji potrafi być cholernie uparty, a atak na Jase'a byłby takim guzikiem. To samo z jutrzejszym dniem. Jestem pewien, że przyjmiemy towar, i planujemy znaleźć się na miejscu, kiedy prom wejdzie do doku. Może nim przylecieć Tom. Chcesz pójść z nami i odebrać co twoje?

Ginny zastanowiła się. Z pewnością była niespokojna.

- Możemy to zrobić?

Tego wieczoru nie dostali Kaplana. Ich przewodnikiem był ten starszy mężczyzna. Od pewnego czasu nie widzieli Kaplana, Andressona, Johnsona czy żadnego z innych byłych gości i Bren wcale nie uznał za przypadek faktu, że wszyscy oni są nieosiągalni.

- Nie zamierzam pozwolić, by ich ochrona przeglądała nasz ładunek - oznajmił Bren. - A spodziewam się skrzynki słodyczy. Ty masz nadzieję na Toma. Mamy nienaruszalne prawa.

- Mogę was zaprowadzić - odezwał się Jase, ostatni przewodnik, jakiego życzyłby sobie Bren.

- Musisz zostać tu, nadi-ji - powiedział Bren w ragi. - Takie były warunki.

To wcale nie uszczęśliwiło Jase'a, lecz lata spędzone na dworze Ragich przyhamowały jego porywczość i ochłodziły gorący temperament, szczególnie, gdy górę brał u niego intelekt.

- Beze mnie i bez Yolandy pewnie będzie ci łatwiej - stwierdził.

25

C1 - powiedział Bren. - Co z promem?

- Zbliża się do doku - odparło C1. - Wartości nominalne.

Otrzymał już takie informacje; uznał, że zanim otworzy się luk, minie jeszcze jakaś godzina krzątaniny i ostatnich poprawek.

Przed wyjściem miał więc czas na gorący prysznic, by przygotować się na zimno.

- Jeżeli aiji przysłał odpowiedź - powiedział do swojej ochrony - nie chcę, by zniknęła podczas jakiegokolwiek sporu o bagaż. Odprowadzimy Nojanę i może odzyskamy Kandaną.

Jeśli nie, to miał pewność, że Nojana będzie musiał z nimi zostać do czasu, kiedy uda im się zorganizować wymianę. To była jednak działka Banichiego.

Bren wziął gorący prysznic, włożył pod elegancki dworski strój ciepły jedwab, żywiąc szczerą nadzieję, że Kandana pomyślał o przywiezieniu rękawic i cukierków owocowych, i przygotował się równie starannie i uroczyście, jak gdyby wybierał się na dworskie przyjęcie.

- C1 - powiedział - proszę przysłać Kapłana. - Zawsze prosił o Kapłana i nigdy go jeszcze nie dostał. - Zamierzamy przywitać w doku pana Lunda.

- Muszę się skonsultować - odparło C1.

Bren uśmiechnął się do ściennej konsoli pozbawionej twarzy, nie mając najmniejszego zamiaru czekać, aż C1 skonsultuje się i już po godzinie dostarczy im przewodnika.

Poprawił koronkę przy mankietach - ostatni szczegół.

- Jase - powiedział - ty tu rządysz.

Jase znał procedury i przeszedłszy edukację na dworze aijiego, doskonale rozumiał, że z własnej woli nie będą go wlec pod nosem ochrony stacji.

- Uważaj jak cholera! - powiedział do Brena. - Nie będę mógł cię wydość z ich rąk.

- Będę uważał, nadi. - W myślach już przemierzał korytarze, usiłując przypomnieć sobie to, co Banichi pamiętał bez wysiłku. - Jeśli coś pójdzie źle, zostań w tej sekcji.

- Tak - odparł Jase, tym beznamiętnym "tak" w ragi. Mimo obecności innych wrócił do tego stylu i przybrał nawet sztywniejszą postawę. Dworska ostrożność. Świadomość wymogów bezpieczeństwa przy każdym oddechu. - Tylko się nie narażaj.

- Mam taki zamiar. Jeśli pojawi się nasz przewodnik, nie otwieraj drzwi. Rozmawiaj tylko za pośrednictwem C1. Sprowadź tu Kroger.

- Jasne - odparł Jase. Były to przygotowania na wypadek najgorszej katastrofy.

Ale dokładnie poinformowali C1, co zamierzają zrobić, więc nie powinno być zaskoczenia. Nie było mowy, że zajmą prom. Byli jego właścicielami, a on nigdzie nie leciał bez przeglądu i uzupełnienia paliwa. Była to po prostu wycieczka, mająca kilka celów.

- Ateva dziękuje paidhiemu za jego bardzo uprzejmą gościnność - powiedział Nojana, gdy ich grupka zebrała się do wyjścia.

- Wyrazy wdzięczności za twoją pomysłowość - odparł Bren. - Ciebie i twojego partnera uważam za gości mile widzianych o każdej porze.

Zapraszając jednego partnera, trzeba było zaprosić i drugiego. To było obowiązkowe w takiej sytuacji i Bren nie wygłosił oklepanej formułki, tylko wyraził szczerą chęć. Nojana mógł bez żadnych konsekwencji nie przyjąć Zgłoszenia przeciwko Brenowi w Gildii, do której, czego Bren był pewien, należał; podobnie Banichi mógł odmówić wzięcia udziału w jakimkolwiek postępowaniu przeciwko przełożonym Nojany: lecz ponieważ tym przełożonym był zapewne aiji, takie kontrakty były dość nieprawdopodobne.

Wywoływało to u człowieka co najmniej ciepłe uczucie... a u atevy być może rozszerzenie horyzontów. Obie rzeczy były pozytywne.

Bren uznał, że nie mają złej pozycji. Sprawy się układały; można, albo będzie można, odlecieć ze stacji. Gildia Pilotów ureguluje swoje sprawy wewnętrzne z Ramirezem lub bez niego. To, jak do tego dojdzie, mogło przysparzać Jase'owi bolesnej troski, ale po prostu nie mogło być sprawą Brena, a

Jase stał się na tyle pragmatyczny, by to dostrzec. Owszem, sam Jase mógł stać się zarzewiem niezadowolenia wśród załogi... Poradzą sobie z tym, ale Banichi przekonał Brena, że wydostanie się ze stacji w tej chwili jest dobrym pomysłem, podobnie jak zapewnienie sobie linii odwrotu.

Osobiste odebranie odpowiedzi aijiego było dobrym pomysłem, nawet gdyby ta odpowiedź nie zawierała niczego szczególnie ważnego. Nieotrzymanie jej stanowiłoby incydent, a Bren nie miał zamiaru opuszczać stacji borykającej się z incydem i nierozwiązanymi sprawami.

- No tak - powiedział. - Banichi?

Banichi otworzył im drzwi, z których teraz natychmiast skręcało się w lewo, jako że przejęli cały teren aż do głównego korytarza.

Ruszyli żwawo do wind. Bren nie miał pojęcia, jak tego raz dokonał Banichi, jak tego dokonał Nojana, chociaż mogło to być związane z przejściem środkiem korytarza i byciem na tyle wysokim, czarnym i imponującym, by śmiertelnie przerazić załogę.

Tym razem spotkali dwie osoby idące im naprzeciw, które stanęły jak wryte i wytrzeszczyły oczy.

- Witajcie - odezwał się pogodnie Bren i pomachał ręką.

- Tak jest, sir - powiedział jeden z mężczyzn cicho, prowadząc wzrokiem mijającą go grupę.

Dotarli do windy.

Czy zaskoczyło ich, że ktoś biegnie korytarzem?

Gdy zadyszana kobieta wyposażona w sprzęt podobny do tego, jaki nosił Kaplan, wypadła nagle z bocznego korytarza, ochrona Brena przybrała lekko obronną postawę z dłońmi w pobliżu broni.

Kobieta znacznie zwolniła, trzymając ręce na widoku.

- Sir. Nie wolno panu tu być.

- Tylko idziemy na dół do doku. Na zewnątrz do doku. W górę do doku.

Jak chcesz.

- Nie może pan tak po prostu sobie chodzić, sir!

- Ja sobie nie chodzę. Idę do doku. Chcesz iść z nami? Nie mam nic przeciwko temu. To chyba przewodniczka albo świadek, nadiin-ji. Nie strzeżajcie do niej.

Jego eskorta zrozumiała żart i ku zmieszaniu kobiety roześmiała się.

- Pauline Sato - przedstawiła się. - Szef techniczny. Nie może pan korzystać z wind, sir.

- Świetnie, ale nie widzę innej drogi na dół. Jesteś w kontakcie z C1?

- Tak jest, sir.

- To jesteś naszą przewodniczką. Sprowadź nas na dół do doków. Na zewnątrz do doków.

Sato sprawiała wrażenie, że słyszy jakieś głosy. Niewątpliwie słyszała jeden.

- Tak jest, sir - odparła i przyłączyła się do nich. Była zdenerwowana.

Kiedy dotarli do windy, otworzyła drzwi kabiny. Popatrywała nerwowo na wchodzących do niej atevich i ich broń, a programując kabinę, zerkała na nich z niepokojem.

- Od czasu, kiedy przybyliśmy na pokład, nikogo nie zastrzeliliśmy - powiedział Bren, kiedy winda ruszyła. - Jak dotąd jedyną postrzeloną osobą jest kapitan Ramirez, ale to nie nasze dzieło.

- Nie mogę o tym rozmawiać - oznajmiła.

- Nie zrobił tego też Jase Graham - dorzucił Bren po chwili. - Podejrzewam, że był to raczej jakiś spór wewnętrzny. Ale my nie stajemy po niczyjej stronie.

- Tak jest, sir.

- Jak idzie dokowanie?

Kobieta posłuchała głosów. Najwyraźniej nie musiała powtarzać pytania.

- Dobrze, sir. Dokuja właśnie w tej chwili.

- To dobrze. Prowadź. Świetnie nam idzie. Myśl o tym jak o wakacjach. Witanie gości jest u nas uświęconym obyczajem. Spodziewamy się powrotu Toma Lunda. Kto wie? Może Ginny Kroger też przyprowadzi swoich.

- Nie możecie kręcić się po stacji, sir!

- Oczywiście. Ale to my kręcimy tą stacją dla was, pani Sato, bez względu na to, czy zna pani tę informację z oficjalnych źródeł. Jestem pewien, że pojawi się ona cholernie szybko. A my, to znaczy atevi, będziemy naprawiać wasz statek i robić inne pożyteczne rzeczy, podczas gdy Mospheira będzie wam dostarczać żywności, więc moim zdaniem powinniśmy zbadać to miejsce i ustalić procedurę dokowania. Nie ma się o co martwić. Zapewniam panią, że ta cała operacja stanie się operacją rutynową. Nie jesteśmy głupcami.

- Tak jest, sir. Proszę się czegoś chwycić. Jedziemy w górę.

- Chwycicie się czegoś, nadiin-ji - powtórzył w ragi. - Widziałaś ostatnio Kaplana?

- Chyba nie, sir. On jest Leo Kaplan. Nie widziałam go.

Przyśpieszenie przygniotło ich nieco do podłogi, ale złudzenie grawitacji zaczęło obsuwać się w kierunku pasa, a potem kolan... mdłące uczucie. Bren odetchnął głęboko i stwierdził, że powietrze gwałtownie się ochłodziło. Kabina przeszła serię obrotów, uderzeń i podskoków.

- Wcisnęłaś właściwe guziki, prawda? - zapytał Bren, podrygując w rytm wstrząsów kabiny. - Jeśli wysłałaś nas dokądś, gdzie nie powinnaś, moja ochrona bardzo się zdenerwuje. Są obowiązani strzelać do każdego, kto mi zagraża. Rozumiesz to?

- To właściwe miejsce - powiedziała przewodniczka dzielnie, choć z niepokojem. - Czasami po prostu tak się dzieje. A wy nie możecie strzelać do ludzi.

- Zupełnie się z tym zgadzam - rzekł Bren i stwierdził, że zażyłość jego stóp z podłogą robi się coraz bardziej niepewna. - Zauważyłem, że oprócz tego - tu machnął palcami, pokazując sprzęt Sato - masz broń. Powiedz mi, czy używasz jej w stosunku do innych członków załogi? Może rodziny? A może jeszcze nigdy jej nie używałaś?

- Nie groźcie nam! - zawołała z oczyma rozszerzonymi strachem, a Bren się roześmiał.

- Nie martw się. Tylko jej nie używaj, w żadnych okolicznościach. Naprawdę nie powinnaś przy sobie nosić czegoś takiego.

- Tak jest, sir. - Bardzo zirytował Sato. W jaskrawym oświetleniu chyba nawet zauważył rumieniec na jej twarzy.

- Nie martw się - powtórzył. - Jesteśmy przyjaciółmi.

- Mam rozkazy.

- Proszę. - Na wypadek, gdyby się pojawił Kaplan, włożył do kieszeni kilka cukierków. Podał jeden Sato.

- Nie mogę go wziąć, sir.

- Och, daj spokój, nikt nie widzi. A może widzi?

- Nie chcę tego, sir!

- W porządku. Nie ma obowiązku.

Włożył cukierek do kieszeni. Zapadła chwilowa cisza.

To, co wziął za wskaźnik położenia, wykropkowana linia na konsoli, oraz palące się światelko na schemacie, które wziął za cel ich podróży, pokazały, a przynajmniej tego się domyślał, że zaraz dotrą na miejsce.

Kabina zwolniła. Zaczęli się unosić, a kabina zmieniła położenie, po prostu obracając się razem z nimi.

- Interesujące urządzenie - zauważyła Jago.

Kabina się zatrzymała.

Drzwi otworzyły się na przejmujące zimno doku, miejsce, które już widzieli, gdzie członkowie załogi unosili się w pomarańczowych kombinezonach, trzymając się sieci lin.

Luk, który tak niedawno połączył się z lukiem "Shai-shana", znajdował się na wprost nich: rzeczywiście, właściwy punkt docelowy. Tablica świetlna głosiła literami, które mógł przeczytać mospheiranin, że prom jest "Podłączony".

"Shai-shan" prawie na pewno znajdował się w doku.

Tuż obok nich otworzyły się drzwi drugiej windy.

Wypłynął z niej tuzin załogantów ze strzelbami.

Na ten widok jego własna ochrona dobyła broni i w mgnieniu oka cała trójka znalazła sobie doskonałe oparcie, przygotowana do walki jak równi z równymi.

- Nie! - zawołał Bren, unosząc rękę.

Wszystko zamarło, oprócz garstki załogantów dryfujących siłą rozpędu i zapewne pragnących stać się mniej wyraźnymi celami.

- Bylibyście głupcami - powiedział Bren w mospheiranie do załogantów ze strzelbami. W lodowatym powietrzu para unosiła mu się z ust całymi kłębami. Chłód i strach sprawiały, że jego głos miał cholerną skłonność do drżenia, ale Bren postanowił mu na to nie pozwolić. - Pani Sato, zechce pani poinformować swoich słuchaczy, że absolutnie nie ma potrzeby zrywać w diabły naszych negocjacji. To jest spokojna wyprawa do naszego promu, oficjalna wizyta służbowa; będziemy oglądać męcząco wiele podobnych sytuacji, a nawet bardzo męcząco wiele, jeśli będziecie się upierać przy rozgrzebywaniu naszych ładunków czy ustawianiu przy nas uzbrojonych głupców. Już rozpoczęliście jedną wojnę z obcymi! Na litość boską, uważacie, że potrzebna jest wam następna?

- Panie Cameron - zaczęła Sato i nagle, jak na złość, nad słuza powietrzną rozbłysło światelko i luk się otworzył.

Wypłynęli z niego dość szybko atevi, w ułamku sekundy zorientowali się, że została dobyta broń i natychmiast wyjęli swoją.

- Stać! - zawołał Bren najpierw w jednym, potem w drugim języku. - Nie ruszać się!

Było tam dwudziestu, trzydziestu atevich w czerni Gildii Zabójców, uzbrojonych i w impasie. Z luku wyłaniali się następni.

A spośród nich wypłynął siwowłosy ateva: Bren mógłby przysiąc, że to Cenedi.

A za Cenedim, zahaczywszy linę rączką laski, wychynęła Ili-sidi, wystrojona w długi, zimowy dworski kaftan, oblamowany czarnym futrem, lśniący złotą nicią i czerwonym brokatem.

- Nie strzelać! - krzyknął Bren i odwrócił się do swojej przewodniczki oraz personelu ochrony statku. - To jest atewska władczyni! Aiji-wdowa, babka aijiego. Skierujcie te swoje cholerne strzelby w górę, zanim rozpętaacie coś, z czym nie poradzicie sobie przez dwa pokolenia!

Strzelby drgnęły, uniosły się. Ponieważ ich właściciele znajdowali się w stanie nieważkości, trudno było to stwierdzić z całą pewnością, ale do ich szeregów wkradła się niepewność.

Ilisidi nie wahała się. Teraz z promu wyłonił się też Tom Lund, a za nim i za atevimi pojawiło się czterech, pięciu, sześciu innych ludzi.

- No! - rzekła wdowa, machnąwszy wolną ręką. - Cóż to za bzdury, nand' paidhi? Broń? Czy widzimy tu broń?

- Pomyłka - odparł Bren. - Sato, ona jest bardzo zła. To nie jest dobre. Poinformuj swoich kapitanów, że naszym gościem jest najsłynniejsza, najszacowniejsza kobieta na planecie. Nie jest znana z cierpliwości i spodziewa się natychmiast znaleźć w jakiejś oficjalnej siedzibie wraz z bagażami, co jesteśmy gotowi przeprowadzić, jeśli wy zajmiecie się ładunkiem.

- Sir! - zaprotestowała Sato.

- Jeśli chcecie zachować wasze umowy, to musicie przekonać właśnie tę kobietę. To najgorszy z możliwych wrogów oraz cholernie potężny przyjaciel. Możecie stracić albo zyskać wszystko!

- Otrzymuję instrukcje - powiedziała z rozpaczą Sato. - To nie było uzgodnione!

- Aiji-wdowa nie uzgadnia też niczego ani ze swoim wnukiem, ani z legislaturą. Schowajcie te cholerne pistolety. - Nie miał wpływu na ludzi, ale tę chęć użycia przemocy mógł opanować. - Banichi! Cofnij się!

- Tak, nandi. - Banichi demonstracyjnie schował broń, co w najmniejszym stopniu nie miało wpływu na ponad trzydziestu atevich z ochrony Ilisidi, ale przynajmniej choć trochę uspokoiło statkowych ludzi.

Bren podciągnął się na linach, by podać wdowie przemarznąętą dłoń. Ilisidi ujęła ją, unosząc się w powietrzu z nadzwyczajną godnością, i jej dotyk przeniknął rękę Brena płonącym, ognistym ciepłem.

Do przodu wysunął się Tom Lund, dzielnie mieszając ludzkie żywe cele z atewskimi, i zawołał, machając przy tym ręką:

- Odłóżcie broń! Natychmiast odłóżcie broń!

- Aiji-ma - rzeki z niepokojem Bren. - Cenedi-ji. Bądźcie spokojniejsi. To jest zdenerwowana miejscowa straż, nie przyzwyczajona do uzbrojonych gości.

Cenedi dał znak dłonią i straż wdowy natychmiast uniosła broń; był to ruch tak gwałtowny i wyćwiczony, że zdawał się zachwiać pewnością siebie garstki ludzi, wciąż mierzących do celu... W powietrzu wisiała groźba jakiegoś umysłu nie dowierzającego obcym, człowieka z nerwowym palcem na spuście; wszyscy jednak uzbrojeni ludzie mieli sprzęt jak Sato i wszyscy czekali na rozkazy, które wyraźnie nadeszły. Broń uniosła się, niepewnie, gotowa w mgnieniu oka wrócić do poprzedniej pozycji.

- Trzeba odprowadzić wdowę w cieplejsze miejsce - powiedział Bren do Cenediego. - Bądź ostrożny, nadi-ji! To jest środek sporu, jeden kapitan jest ranny i ukrywa się, władzę ma dwóch łajdaków, słyszających każde słowo ludzkiego języka, a Jase pilnuje naszej siedziby, gdzie sprawy przedstawiają się o wiele rozsądniej.

Stwierdził obiektywnie, że jest przerażony. Wdowa będzie na stacji przez przynajmniej te piętnaście dni potrzebnych do przygotowania promu do podróży powrotnej. Tu, gdzie się znajdowali, zagrażała im nie tylko broń - Ilisidi, on sam i Lund znajdowali się w zasięgu kul - niebezpieczeństwo było o wiele większe, jeśli chodzi o stację i statek. Przybyła prawdziwa ziemską władza i żądza władzy Tamuna oraz jego sprzymierzeńca tu, na niebiosach, mogła się zderzyć z nagle przybyłą między nich potęgą, która po prostu się nie ugnie. Przy takim scenariuszu zagłada gatunku nagle okazała się całkowicie możliwa.

Sato wciąż trajkotała, na bieżąco relacjonując to, co się działo; interpretację wydarzeń przeplatała błaganiami, by nikt nie zaczął strzelać, i zapewnieniami, że nie ma żadnego zagrożenia. Ludzie z miejscowej straży wyglądali na lekko oszołomionych, a Cenedi rozkazał swoim strażnikom wyjść z kryjówek, jakie niektórzy z nich znaleźli za belkami nośnymi. Atevi przybliżyli się, chwytając się lin, poruszając się w zaskakującym porządku i pewnością siebie, jak na mężczyzn i kobiety całkowicie nie przyzwyczajonych do przestrzeni pozbawionej grawitacji... ale ich Gildia zawsze miała wszystko zaplanowane, a ich życie było poświęcone treningowi fizycznemu.

I będąc tak obcymi, ogromnymi, licznymi i uzbrojonymi po zęby, właściwie nie potrzebowali mierzyć do ludzi z pistoletów, by śmiertelnie ich przerazić. Kilka sztuk broni wciąż było w nich wymierzonych i gdyby ktoś strzelił, kule mogłyby latać wszędzie, tworząc roje śmiercionośnych komarów.

Sato unosiła się w pobliżu Brena, usiłując powiedzieć mu coś o ładunku.

- Do diabła z ładunkiem... każ im unieść broń!

- Już im kazano, sir.

- To niech powtórzą rozkaz! Oni go nie wykonują.

Sato posłuchała. Po chwili ostatnie strzelby skierowały się w górę i Bren wreszcie odetchnął.

- W sprawie ładunku, sir - zaczęła Sato.

- Ha! - Ilisidi machnęła laską niebezpiecznie blisko konsoli wind. - Ateva ma się tu unosić w górę czy jest tu gdzieś jakieś rozsądne podłoże?

- Jest podłoże, aiji-ma. Ona pragnie znaleźć miejsce z tym, co określa jako rozsądną podłogę. Ona jest bardzo stara, pani Sato. Sam nie wiem, ile ma lat, ale cieszy się szacunkiem w całym aishidi'tat. Na pewno przybyła ze znacznym bagażem. Potrzebujemy więcej miejsca. Wystarczy ten drugi korytarz.

- On mówi, że ona jest bardzo ważna wśród atevich, że jest bardzo stara i ma dużo bagażu, sir - przekazała Salo. - Chce więcej miejsca. - Sato skrzywiła się i Bren usłyszał hałas wydobywający się z jej słuchawek. - Wiem, sir. Ale ich jest trzydzieścioro, trzydzieścioro sześcioro, sir, nie licząc załogi promu. - Sato skrzywiła się po raz drugi.

- Powiedz szanownemu kapitanowi, że pokoje, które ostatnio zająłem, były puste, co dowodzi, że na tej stacji jest jednak wolne miejsce, a aiji-wdowa go potrzebuje. Nie cieszy się najlepszym zdrowiem. Gdyby miała tu umrzeć, nie potrafiłbym przewidzieć konsekwencji. Musimy ją natychmiast zabrać z tego zimna. Nand' wdowo, wejź, proszę, do kabiny. Banichi, Jago. Chodźcie. - Nie wydał żadnych rozkazów Nojanie, który gdzieś się oddalił, zniknął w sposób, z jakiego Gildia Zabójców była znana. - Pani Sato. Natychmiast!

- Tak jest, sir. - Sato wciąż rozmawiała z kapitanami. - Ona naprawdę jest stara, sir. Jak na nich jest maleńka, bardzo pomarszczona i siwa. Wszyscy traktują ją, jakby była z królewskiego rodu.

- Bo jest - rzekł Bren. - Bez kwestii. Zapytaj mospheiran. Jej ochrona jest niezwykle sprawna i niebezpieczna.

- Kapitan mówi, sir, niech pana cholera!

- Jeśli to przetłumaczę, możecie znaleźć się w stanie wojny.

- Proszę tego nie tłumaczyć, sir. - Sato wzdrygnęła się na bezpośrednie pytanie wdowy:

- Z kim ona rozmawia?

- Z kapitanami, nandi - odparł Bren.

- To powiedz im, że mają cholernie zimny hol przyjąć! I cholernie bałaganiarską procedurę!

- Zapamiętałem to zastrzeżenie, aiji-ma. - Winda ruszyła i Bren szybko poinstruował współpasażerów, wdowę i mniej więcej połowę jej ochrony, jak mają sobie radzić z przesuwaniem się podłogi.

Ilisidi oparła o nią laskę i zniosła zmianę bez wyraźnego wrażenia; strzelała groźnie oczyma, zacisnąwszy szczęki.

- No, no, czy to jest owo straszne przejście? - zapytała, kiedy znów zaczęło działać ciążenie. - Czy znajdujemy się teraz we właściwej stacji? I czy wkrótce spotkamy tych kłopotliwych kapitanów?

- Chce się spotkać z kapitanami - rzekł Bren do Sato, która przekazała to życzenie.

- Jutro - powiedziała po chwili. - O...

- O trzynastej zero zero - podsunął Bren.

- Tak jest, sir.

- Czy to tutejsze powiedzenie oznaczające "Święty Nigdy"?

- Sir, ja... nie rozumiem.

- "Święty Nigdy", pani Sato, znaczy, że coś się, do cholery, nie odbędzie! To spotkanie zostało umówione, termin jest ważny i jeśli chcecie współpracy, to doprowadzicie do tego cholernego spotkania!

- Czy jest jakaś trudność, paidhi-ji? - zapytała Ilisidi. Kabina akurat przechodziła przez skrzyżowania między tunelami, kołysząc się gwałtownie.

- Człowiek wyraża pragnienie, by kapitanowie byli punktualni - powiedział Bren. - Czy jutro będzie ci pasować?

- Nie - odparła Ilisidi. - Pojutrze. Kości mnie bolą. Chce odpocząć.

- Tak, aiji-ma. - Spojrzał beznamiętnie na Sato. - Przekaż im, że spotka się z nimi pojutrze.

- Jednak! - wtrąciła się Ilisidi. - - Natychmiast zobaczę się z Ramirezem w mojej kwaterze.

- Mówi, że chce wieczorem porozmawiać z Ramirezem. Oczy Sato zrobiły się okrągłe za jej soczewkami.

- Panie kapitanie, on mówi... - Przerwała. - Nie może pan tego zrobić.

- Ona traktuje Ramireza przychylnie. Lepiej go przyprowadźcie.

- Sir... sir, mam panu powiedzieć, że to niemożliwe. On nie żyje.

- Nieprawda. Przyprowadziliście Jase'a Grahama po tym, jak usiłowa-
aliście obarczyć go winą za śmierć Ramireza, co jest kłamstwem. Przypadkiem
wiem, że on żyje, i lepiej, żeby tak już zostało. Rozmawiamy z Tamunem?

- Z kapitanem Tamunem, sir.

- No, no... powiedz... Powiedz mu, że bez względu na to, czy Ramirez
zrezygnował ze stanowiska, czy nie, jest cenny jako mediator i jego zdrowie
jest bardzo ważne. Połącz mnie z kapitanem Ogunem.

- Nie mogę, sir.

- Nie możesz? A co Ogun ma na to do powiedzenia?

- Chcę powiedzieć, sir, że nie mam takiego przełącznika. Robi to cen-
trum łączności "Feniksa".

- No to centrum łączności "Feniksa" może cholernie łatwo znaleźć
wszystkich kapitanów. Nie bawmy się w faworyzowanie jednostek. Aiji-wdowa
chce rozmawiać z nimi wszystkimi; powiedzie jej się o wiele lepiej, jeśli
zamiast czworga kapitanów będzie ich pięcioro. Atevi nie znoszą liczby
cztery. I dwa. One ich ogromnie urażają. Pięcioro, pani Sato. I proponuję, by
przekazała to pani z całą powagą. Banichi, nand' Cenedi, pójdziemy do naszych
kwater. Wierzę, że z przyjemnością tam usiądziecie, dopóki nie zapewnimy wam
czegoś wygodniejszego. Ponieważ stacja znajduje się w tak złym stanie, nie
cała jest dostępna.

- Ona będzie chciała zasnąć, Bren-nadi.

- A. Materace! To kolejny problem. Pani Sato, materace, w odpowiedniej
liczbie. Materace atewskich rozmiarów i łóżka. Albo części składowe. To
bardzo pomysłowa załoga.

- Sir. - Sato wyglądała, jakby przeżywała najgorszy dzień roku, i
posłusznie przekazała prośbę komuś, kto zdawał się ich dość skutecznie
podśluchiwać. - Kapitan mówi, że to oburzające i że on nie będzie tego tole-
rował.

- Kim jest ta dziwna istota? - zapytała Ilisidi, uwalniając laskę, by
szturchnąć nią Sato, która zrobiła przerażoną minę i wzdrygnęła się, chociaż
atevi i ludzie stali ciasno upakowani.

- To jest młoda kobieta, aiji-ma.

- Kobieta, tak? Wygląda jak telewizor z kończynami! Czy to tutejsza
moda?

- Aiji robi uwagi na temat twojego wyposażenia i mówi, że przypominasz
telewizor, którym to urządzeniem gardzi. Aiji-ma, to sumienna członkini
statku. Rozmawia ze swoimi aiji-in, którzy wydają jej polecenia.

- Doprawdy! Bardzo dziwny układ. Czy kapitanowie się obawiają i wy-
syłają tę młodą dziewczynę?

- Pyta, czy kapitanowie ukrywają się ze strachu.
Sato przekazała to w zawołanej formie, skrzywiła się na odpowiedź.

- Kapitan mówi, że ona nie powinna tu przylatywać bez uzgodnień.

- Nie przetłumaczę tego. Załagodzenie czegoś takiego zajęłoby wam kilka
dni, a może zyskalibyście wroga na całe życie. Atevi tego nie uzgadniali. To
twoi kapitanowie to zrobili, wysyłając na dół umowę. Atevi ją przyjęli, czego
dowodem jest przybycie wdowy. Będziecie mieli naprawioną stację i dostaniecie
ten swój statek - albo staniecie w obliczu najpaskudniejszej wojny na tym
froncie, jaką możecie sobie wyobrazić. "Feniks" może wybierać, co woli.

Nastąpiło dłuższe milczenie, podczas którego Sato słuchała tego, co
mieli jej do powiedzenia kapitanowie.

Wciąż jeszcze słuchała, kiedy winda przybyła na miejsce i jej drzwi otworzyły się na korytarz... Nie korytarz opuszczony czy korytarz z oficjalnym komitetem powitalnym, lecz na korytarz, gdzie tłoczyło się dwadzieścia czy trzydzieści osób w niebieskich kombinezonach, mężczyzn, kobiet i paru nastolatków; wszyscy wpatrywali się w dziwo, które pojawiło się między nimi.

- Patrzcie na podłogę! - powiedział Bren, wręcz czując niestosowność tych spojrzeń, a załoga, przyzwyczajona do rozkazów, posłuchała go, przynajmniej na ułamek sekundy.

Zapobiegło to wyjęciu broni.

- Bardzo wam dziękuję - rzekł Bren i w tej nieplanowanej ciekawości załogi dopatrywał się bezwstydnie okazji. - Aiji-wdowa, Ilisidi, babka Tabini-aijiego, władcy dziewięciu dziesiątych planety. Zamierza spotkać się ze wszystkimi kapitanami oraz zbudować wam funkcjonującą stację i drugi statek! Jest was ciekawa tak samo jak wy jej; a jeśli cenicie sobie swobodę naszego przyszłego związku, bądźcie uprzejmi, nie denerwujcie jej ochrony i uśmiechajcie się, jeśli łaska!

Ilisidi wyszła z kabiny, by przyjrzeć się tłumowi, wsparta na lasce, otoczona wysokimi, uzbrojonymi ochroniarzami. Najwyraźniej była zainteresowana tym bezprecedensowym spotkaniem z ciekawymi ludźmi, i przeniosła wzrok na małego chłopca, który przecisnął się między dorosłymi, do przodu, by coś widzieć. Przez chwilę patrzyła równie szczerze, równie ciekawie, po czym gwałtownie stuknęła łaską w podłogę. Zaskoczony tłum na chwilę wstrzymał oddech, a dziecko z przerażeniem zanurkowało do tyłu.

- Ha! - powiedziała wdowa. - To jest wioska, tak? Więc gdzie są ci, co mają władzę? Ukrywają się?

- Pyta, czy kapitanowie się ukrywają - rzekł Bren i dodał w ragi: - Chyba musimy już iść, nandi. Oni są wszyscy zamknięci w ramach swojego społeczeństwa. Ci ludzie przyszli tu bez rozkazu swoich aijiin, powodowani własną ciekawością co do tego nowego patronatu, ale nie mają żadnej władzy poza władzą wszystkich narodów.

- A. - Ilisidi wychyliła podstawowe znaczenie z tego skrótowego porównania z sytuacją atevich i wyciągnęła rękę, by dotknąć ramienia około trzynastoletniej, zaskoczonej dziewczynki, a potem pogłaskać jej twarz, w której najbardziej widoczne były szeroko otwarte oczy. - Ładne dziecko.

- Uważa, że jesteś ładna - powiedział Bren, a dziewczynka zachichotała nerwowo i bardzo po ludzku, rumieniąc się i robiąc unik.

- Ani jednego kapitana - odezwał się Lund. - Co tu się dzieje, Chindi?

- Panie Lund - powiedział stojący z boku, speszony mężczyzna.

- Czego oni chcą?! - zawołał ktoś. - Po co tu są?!

- By zbudować wam stację - powiedział Bren, ale wtedy przyjechała druga winda, przywożąc ludzką ochronę i jeszcze jakichś piętnastu ochroniarzy wdowy - ładunek nie najlepiej dobrany - którzy wysypali się z kabiny, uzbrojeni i zdeorientowani tym, co zastali.

- Lepiej się rozejdźcie! - To Sato podniosła głos. - Musimy ich zaprowadzić do kwater. Wszyscy macie robotę! Macie wracać do pracy!

- Po co ta cała broń? - zapytał ktoś. - O co chodzi z tą bronią?

- W doku zamarza czterech przedstawicieli przemysłu - wyjaśnił Lund - którzy przylecieli tu, by omówić sprawy importu i handlu, co nie ma nic wspólnego z bronią.

- Aiji-wdowa znajduje się tu w odpowiedzi na negocjacje - rzekł Bren - i ustanawia atewską obecność na tej stacji. Chcieliście pomocy. Otrzymałście ją. Możecie to rozgłosić wśród załogi. Jest was tysiąc pięćset osób w dużych kłopotach i przybyliście tu w poszukiwaniu żywności, schronienia i dostaw. Będą one w waszym zasięgu, jeśli się wam uda zadowolić tę damę. To babka aijiiego. Jej pozytywne sprawozdanie będzie miało bardzo dobry wpływ na niego.

- Zaprowadźcie ją do kwatery! - zawołała jakaś kobieta. - Dajcie wszystko, czego zechce!

- Wiwat babka aijiego! - wrzasnął ktoś z tyłu i tłum odpowiedział niepokojącymi krzykami.

- Powitanie - powiedział szybko Bren. Tłum wyraźnie chciał przejąć rolę eskorty wdowy oraz Toma i przez chwile wyglądało na to, że straż Cenediego mu się przeciwstawi, ale Bren rzucił się między obie grupy, odepchnął kilka zbyt poufałych rąk i zakręcił się, robiąc sobie miejsce. - Spokojnie, spokojnie. Jej strażnicy są zdenerwowani. Cofnijcie się.

Entuzjazm tłumowi nie osłabł ani trochę. Ludzie ustawili się w szeregu z jednej strony korytarza. Sato i ludzka ochrona starali się wsunąć między nich i atevich, ale bez powodzenia.

Siły Cenediego po prostu ruszyły do przodu i nie ustępowały pola. Bren poprowadził wdowę za usiłującą wskazywać drogę Sato i cała pomieszana grupa zaczęła przemieszczać się do przodu, jako że windy dostarczyły jeszcze więcej ludzi i atevich oraz kilku rozczochranych ludzkich strażników pozbawionych już broni.

"Nie zatrzymujcie się" było przemożną myślą Brena. Szli, obstawieni ze wszystkich stron przez załogę; wdowa podążała własnym, niespiesznym tempem, zauważając przerażającą niepomyślność obskurnych korytarzy.

- To bardzo nędzne miejsce - stwierdziła. - Możemy to naprawić, nadiin. Z całą pewnością możemy. Pomógłby zwykły wazon z polnymi kwiatami.

- Człowiek też tak sądzi, nand' wdowo.

- A to?! - Ilisidi dość delikatnie trzepnęła Sato w nogę laską, na co kobieta zareagowała chwilą czystego przerażenia. - Co robi ta dziwna istota?

- Nadaje do kapitanów.

- Aha! - Ilisidi zatrzymała się. Wszyscy zatrzymali się wokół niej. Niebezpieczny tłum urósł, gęstniejąc z tyłu. - A do Ramireza?

- Ramirez prawdopodobnie nie odbiera - rzekł Bren. Serce zaczynało mu walić. Nic nie mógł zrobić, by powstrzymać wdowę w miejscu publicznym, podobnie jak nie potrafiłby zatrzymać lawiny, a poza tym ona nie była głupia. Robiła to, co chciała, mimo że nie miała pojęcia o sprawach leżących poza granicami jej wiedzy. - Obecni kapitanowie usiłowali zabić Ramireza, aiji-ma. Przynajmniej próbował to zrobić Tamun. Ramirez podobno uciekł, ale nikt nic nie wie.

- Oni nie wiedzą? - Odwróciła się, a jej straszliwa laska oczyściła krąg wokół niej. Stała tak, owdowiała cesarzowa większości świata w czarnych futrach i czerwono-czarnym brokacie, z dłonią w rękawiczce z czarnej skóry wysadzanej rubinami, wymachując laską, jak gdyby korytarz, straż, ludzie, wszystko to należało do niej. - Ramirez, powiadam! Ramirez!!

- Ramireza tu nie ma! - zawołał ktoś; każdy atewski nerw musiał drgnąć na taką wymianę zdań, a palce musiały świerzbić na samą myśl o tym, że ktoś zwraca się do wdowy nie pytany.

Bren uniósł rękę.

- Ramirez został postrzelony - powiedział - ale mój gość mówi, że żyje i ukrywa się na tej stacji.

- Panie Cameron! - zaprotestowała Sato, ale Bren się bał, zalewała go fala adrenaliny i jako urzędnik dworu aijiego zrobił to, co musiał. Poparł żądanie wdowy.

- Ramirez uciekł - podniósł głos, by przekrzyczeć hałas. - Wciąż ukrywa się przed tymi, którzy usiłowali go zabić... którzy wciąż usiłują go zabić, a przysięgam, że to nie my. Chcieli zrzucić winę na Jase'a Grahama, a kiedy okazało się, że Jase pomaga mu się ukrywać, musieli go przysłać do nas. - Zauważył zszokowane twarze, przypomniał sobie, co Jase mu powiedział o nieprzyznawaniu się do prawdy wśród tej załogi, nawet wśród tych, którzy wiedzieli lepiej. - Więc gdzie on jest? I dlaczego przysłali do nas Jase'a, jeśli nie w nadziei, że będzie na tyle głupi, by zaprowadzić ich prosto do Ramireza?

- Panie Cameron! - powiedziała Sato; w tej chwili spośród jej sprzętu spadł na podłogę pistolet, przejechał po płytce i zatrzymał się pod stopą Jago.

Tłum cofnął się.

Laska Ilisidi uderzyła w płytkę, tuż obok broni.

- Nie do przyjęcia! - warknęła.

Tłumaczenie nie było potrzebne.

Jago schyliła się, podniosła pistolet, odwróciła go kolbą do przodu i w milczeniu podała Brenowi.

Bren przekazał go na oczach całego tłumu bardzo speszonej Sato. Ludzi wciąż przybywało.

- Lepiej nie rób tego więcej - odezwał się Tom Lund. - Nie masz pojęcia, jak szybko ci ludzie mogą cię przygwoździć do ściany.

- Nie ma być żadnej niedozwolonej broni - oznajmiła Sato, ale Bren nie zawracał sobie głowy tłumaczeniem. Stary diabelski upór coraz bardziej podnosił głowę, mówiąc: Pędź, jedź w dół na złamanie karku - i Bren ujrzał swoją ścieżkę.

- Przygotujemy się na przyjęcie gości - powiedział. - Jestem pewien, że ktoś z was dokładnie wie, gdzie jest Ramirez, a aiji-wdowa zupełnie rozsądnie chce się z nim spotkać. Kapitanowie, a przynajmniej Tamun, słuchają nas za pośrednictwem tej tu pani Sato, która jest miłą młodą damą. Zatem sam chciałbym od nich usłyszeć, gdzie jest Ramirez, w jakim znajduje się stanie i dlaczego, do diabła, jakiś członek tej załogi usiłował zabić człowieka, który zaproponował zasadnicze umowy mające ochronić ten statek! Wiem, że aiji chce to wiedzieć! Mówiłem, że to wasz, a nie mój interes, ale podaje się wam i nam kłamstwa, a było ich już zbyt wiele. Zażegnajcie wasze wewnętrzne spory tak jak wam najwygodniej, ale ta sprawa stała się cholernie niewygodna. Pora, byście poznali prawdę. Atewska delegacja przybyła tu po to, by zapewnić wam prawie wszystko, czego spodziewaliście się, odbywając tę całą długą podróż, a jesteście źle traktowani! - Mówił za Jase'a, wyrzucał z siebie wszystkie jego rozczarowania. - Dzieci Taylora, Jase Graham i Yolanda Mercheson, schronili się u nas, ponieważ ich towarzysze nie chcą mieć z nimi do czynienia!

- To nie tak! - krzyknął ktoś i nagle rozległo się uderzenie, powstał ruch w szeregach ochrony. Wydawało się, że dwóch i trzech ludzi usiłuje się na siebie rzucić, a potem pięciu i dwudziestu, ale atevi po prostu rozdzielili obie strony.

- Oni kłamią! - wrzasnął jeden z pierwszej dwójki. Atewskie ręce odebrały walczącym broń.

- Powinniśmy bardzo szybko zaprowadzić wdowę w bezpieczne miejsce - powiedział Banichi.

- Ateva ma na to wielką chęć - rzekł Cenedi. - 'Sidi-ma. Chodź. Przygotujmy bezpieczny teren.

- Złe zarządzanie - potępiła Ilisidi wszystko, co widziała. Machnęła laską do przodu i wszyscy ruszyli: Jago prowadziła Sato, a tłum ciągnął za nimi. Rozlegały się w nim okrzyki i ciągle wisiała nad wszystkimi groźba użycia broni. Rodzinna kłótnia, pomyślał Bren, sprzeczka między frakcjami. Kiedy Ilisidi mieszała w garnku, jego zawartość wrzała.

Skręcili. Minęli drzwi bezpieczeństwa, którym idący za nimi tłum nie pozwalał się zamknąć, i zmierzali do swego rejonu tak szybkim krokiem, do jakiego udało im się przekonać Ilisidi. Lund wciąż szedł z nimi. Nie było mowy o rozdzieleniu się. Wszystko pozostawało niepewne.

Kolejne drzwi. Znaleźli się w głównym korytarzu, prowadzącym do ich własnego korytarza, i nagle gdzieś z boku pojawiły się uzbrojone postacie - Tano i Algini, a potem Jase, Becky Graham i panie Mercheson... przyszli wszyscy i otworzyli im drzwi.

- Spokojnie - zwołał Bren w ragi. - Zachowajcie spokój! Mamy ze sobą 'Sidi-ji oraz tłum ciekawskich. Niech nikt nie strzela!

Ilisidi nie zamierzała się śpieszyć. Te kilka sekund, które upłynęły, zanim Bren dotarł do ich schronienia i stanął w drzwiach, by przepuścić Ilisidi, Toma i pozostałe osoby, które z nimi przybyły, okazało się najdłuższą chwilą w jego życiu.

Ilisidi nie chciała się jednak wycofać. Obróciła się powoli, stanęła i patrzyła spokojnie na zebraną załogę, aż skończyło się przepychanie i zamilkły głosy.

Wtedy przemówiła spokojnie i z namysłem.

- Powitaliśmy waszych kuzynów na świecie - powiedziała w ragi - a aiji aishidi'tat powita tę nową gwiazdę na niebie.

Bren przetłumaczył to cicho na mospheiran, co było jego podstawowym zadaniem, zadaniem wykonywanym najrzadziej.

- Zgodziliśmy się przyjąć waszą technikę i skonstruować rzeczy, z których odniesiecie korzyści. Uczynimy z tej stacji miejsce odpowiednie dla dzieci oraz dla osób o twórczych i wrażliwych sercach. Przyniesiemy tej nowej gwiazdzie radość harmonijnych widoków oraz wygod; zbudujemy statek i będziemy bronić tego miejsca jak własnego. Zamieszkamy wśród was i będziemy wyczekiwać cudów, jakich jeszcze nie widzieliśmy. Będziemy budować sposobami, jakich nie zna jeszcze żaden z naszych narodów, i uczyć was tak, jak wy będziecie uczyć nas. Pomyślność temu wielkiemu przedsięwzięciu, temu patronatowi na niebiosach. Jego liczba to trzy, wy, my i mospheiranie. Pozbyliśmy się niepomyślności dwójki, która niegdyś nas prześladowała. Trzy to nasza liczba i dzięki niej mamy bardzo wiele do zyskania.

- To ostatnie - dodał Bren od siebie - to najważniejsza zmiana; atevi to wiedzą, a mospheiranie rozumieją. Wy tego jeszcze nie pojmujecie, ale to właśnie możemy sobie nawzajem dać. Aiji-wdowa z atevich Ragi i aishidi'tat dobrze wam życzy.

- Ja wciąż chce się zobaczyć z. Ramirezem - mruknęła z irytacją Ilisidi; odwróciła się i weszła do środka, zostawiając zamknięcie drzwi ochronie.

- Pyta o Ramireza - powiedział Bren do tłumu, po czym cofnął się i poszedł za wdową, a za nim pozostali. Cenedi i Banichi zamknęli drzwi.

- Nand' wdowo - powiedział Jase i skłonił się; skłonili się też służący, którzy stali między ludzkimi gośćmi. Bren oparł się o ścianę i głęboko odetchnął.

- Jago-ji, czy Sato-nadi została na zewnątrz?

- Ma elektronikę - odparła Jago - ale tak, nadi.

- Dobrze. - Odetchnął drugi i trzeci raz. - Przeżyliśmy. Jesteśmy tu.

- Pomyślność tego otoczenia - oznajmiła tymczasem Ilisidi, wsparta na lasce i powoli rozglądająca się dookoła, podczas gdy służący wstrzymali oddech - jest niewątpliwa. Doskonały smak. Obiecano mi kolację, i to dawno temu!

Personel rzucił się do pracy. Ludzie odsunęli się, a Banichi powiedział uroczyście:

- Czy mamy zająć korytarz po drugiej stronie, Bren-ji?

- Tak - odrzekł. Mógł sobie tylko wyobrazić sytuację, jaką pomógł sprowokować wśród załogi. Bójka, którą przerwała ochrona Ilisidi, była jedynie widocznym znakiem. Od samego początku "Feniksa" nękała uparta frakcyjność, która, gdy zawiodły roboty, skazała niektórych na wyjście w kosmos bez zabezpieczenia, pozwalając innym siedzieć na statku i kierować wszystkim.

Jego dziedzictwo. Zawsze odcinał się od tego, co było przedmiotem negocjacji, nigdy nie będąc całkowicie mospheiraninem z przekonania, a atevim z urodzenia, ale to... to do niego docierało - to bezkompromisowe, ośle przekonanie o słuszności własnej sprawy; Bren stwierdził, że jest nim zarażony - co więcej, nagle zaczął kwestionować wszystko, co właśnie zrobił, wszystko, co zrobił kiedykolwiek. Znalazł się w stanie kulturowego rozpoznania, bardzo głębokiego rozpoznania sprzeczek i waśni jego rodziny oraz własnej szaleńczej skłonności do oceniania sytuacji i uznawania, że ma rację. Boże, jak mógł?

Trzęsły mu się ręce. Wytarł twarz z potu i stawił czoło Jase'owi, który wyglądał na równie wstrząśniętego.

- Wiedziałeś, że przylatuje wdowa? - Tym pytaniem szykował się do walki, cholernie wściekły, ale jeszcze nie przestąpił granicy.

- Nie, nie wiedziałem! To jej styl działania; w ten sposób przeżyła wiek podobnych sytuacji, w których reszta z nas ma ataki serca.

- Jest sterta wiadomości - powiedział Jase. - Prawie od czasu twojego wyjścia.

- Jasne, że jest. Jase, wiesz, gdzie przebywa Ramirez? Czy możesz się choć domyślić, gdzie warto szukać?

- Czy nie tego od nas chcą?

- Wiem, że tak jest. Ale wiedza, gdzie on jest, mogłaby być w tej chwili najlepszą rzeczą.

- Wiem, że go przeniesiono.

- Dokąd?

- Nie wiem. Przysięgam.

Przy końcu korytarza powstało niewielkie zamieszanie - garstka ludzi ociągających się z odejściem usiłowała sprzeciwić się przyłączeniu podobnej sekcji z drugiej strony korytarza, ale przeciwko około trzydziestu uzbrojonym i stanowczym atevim nie mogła nic wskórać.

- To najlepsze, co możemy zrobić - powiedział z niepokojem Bren. - Nie możemy umieścić jej w miejscu wystarczającym dla nas. Jeśli nie opanujemy tego skrzyżowania, z którego zapewne muszą korzystać, będziemy musieli wystawić zewnętrzną straż.

Jase potrząsnął głową.

- Mogą je obchodzić. Zmieniają trasy. Zajmij je. To nie jest najbardziej ekskluzywna kwatera, na jaką ich stać.

- Takie mają kapitanowie, prawda?

- Kapitanowie i technicy. Bren, mamy tu potencjalny problem... - Jase roześmiał się nerwowo, jakby usłyszał siebie dopiero teraz. - Dość duży problem. Jeśli odcumują statek od stacji... on jest uzbrojony. I mogą trzymać nas w szachu.

- Nie, nie mogą - powiedział Bren równie szaleńczo, równie irracjonalnie, jak dowodził reszty swoich racji, i dobrze o tym wiedział. - Oni nas potrzebują, pamiętasz?

- Tamun oszalał. Kompletnie oszalał.

- No cóż, jak dotąd ma w tej przypadłości towarzyszy, prawda? Dresha, Sabin, Oguna. Oni wszyscy poszaleli.

- Nadal stawiałbym na Oguna. Bren, dotrzyj do niego. Dotrzyj do niego.

- Do nikogo nie będziemy docierali przed kolacją. Wdowa chce jeść, nie słyszałeś? A ja mam tę stertę wiadomości. Sądzę, że niektóre z nich przybyły z 'Sidi-ji. A przynajmniej jedna z nich. Muszę mieć jakąś wiadomość od Tabiniego... tego potrzebuję najbardziej.

26

Bren bardzo się obawiał, że materace okażą się kwestią sporną.

Bardzo się obawiał, że nie jedyną.

- Boję się, że są nami dość zirytowani - powiedział do Ilisidi, która czekała na kolację w jego byłym pokoju, najlepszym, jaki mieli, najcieplejszym i najwygodniejszym. Jednak nawet ona musiała polegać na materacu Jago, który ta chętnie jej przyniosła, podczas gdy Sabiso, mająca spełniać przerażające żądania wdowy, wyjaśniła jej działanie prysznic. - Żadną miarą nie potrafię przewidzieć, co się stanie z ładunkiem, zanim go nie odzyskamy.

- Nasz ładunek - rzekła Ilisidi - nasz najcenniejszy ładunek wciąż znajduje się na pokładzie promu. Pięćdziesięciu atevich z Gildii, służących panu Geigiemu.

Wdowa siedziała z dłońmi, teraz już bez rękawiczek, wspartymi na rączce laski.

Bren nie siedział. Zaprzagnął nagle usiąść, ale nie było krzesła.

- Aiji-ma, czy oni są wewnątrz promu? Z pewnością zamarzną! Być może już zamarзли.

- Nie tak szybko. - Ilisidi poruszyła palcami spoczywającymi na rączce laski, jakby chciała powiedzieć, że to nieistotne ryzyko. - Są przygotowani. Musimy jednak znaleźć szybkie rozwiązanie tej sprawy albo zostanie podjęta akcja o wiele ostrzejsza, niż mogłaby się spodobać tym statkowym ludziom. Mam wiadomość od tego szubrawca, mojego wnuka. Mówi: "Bren-ji"... on naprawdę powiedział "Bren-ji", dokładnie sobie to przypominam: te współczesne maniery!

- Jestem oszołomiony.

- Powiedział: "Ramirezowi nadajemy prawo przybywania na stacje i opuszczania jej, a ją samą uznajemy za znajdującą się w ramach naszego patronatu; takie samo prawo nadajemy każdej osobie wskazanej przez Ramireza tak długo, jak długo aishidi'tat, znajdujący się w mniejszym patronacie z rządem Mospheiry i współpracujący z nim, będzie utrzymywał ziemię atevich i wszystko, co znajdzie się w jego zasięgu.

To są nasze rozsądne warunki, jak ty je określiłeś, i my je określamy; jak ty obiecałeś, obiecujemy my; jak ty oznajmiasz, i my oznajmiamy, na co się zgadza tashrid i hasdrawad...". I to, co zawsze - zakończyła Ilisidi i znów poruszyła palcami. - A więc tak, paidhi. Towarzyszu mojego łajdackiego wnuka, tego złodzieja, bandyty, mojego wnuka. Jak proponujesz znaleźć Ramireza?

- Poprosiłem o to załogę. Sądzę, że niektórzy jej członkowie dobrze wiedzą, jak to zrobić. Jase i jego matka mają kontakty.

- Daj im cztery godziny - rzekła Ilisidi.

- Cztery godziny.

Ilisidi sięgnęła do swego kaftana, o wiele lżejszego niż ten, w którym przybyła, i wyciągnęła zegarek, staromodny, skomplikowany model. Jego mechanizm, wysadzany jasnymi kamieniami, bez najmniejszej wątpliwości był ze złota.

- Z pewnością mamy tyle czasu na wyładunek, zanim zrobimy coś nieprzyjemnego. Mój wnuk pokłada nadzwyczajne zaufanie w twoich umiejętnościach negocjacyjnych, Bren-ji, ale pozwól mi powiedzieć, że jeśli ci niemili ludzie bardzo szybko nie wzniosą się na cywilizowany poziom gościnności, to jesteśmy przygotowani wziąć sobie to, czego słusznie żądamy. Nie odbyłam tej nadzwyczajnej podróży, by przebywać w pokoju bez okien i jeść w pośpiechu. Jestem za stara, by siedzieć na idiotycznych meblach i patrzeć, jak mój ważny bagaż zatrzymują biurokraci, których celem jest wyłącznie przysporzenie mi niewygód. Nie znoszę bezsensownych przeszkód. A ty, Bren-ji?

- Sam ich nie znoszę, nand' wdowo, ale jest wiele niewinnych osób, których powietrze i ciepło może ucierpieć...

Kolejny ruch palców.

- Jeśli weszłam między kompletnych głupców, to nie czekajmy już dłużej. Sądzę, jednak, że paidhi, który tak dobrze nam służy, nie jest jedynym rozumnym człowiekiem. Użyj swej pomysłowości, paidhi-aiji. A tymczasem przyślij mi Cenediego i zobaczmy, jak wykorzystać urządzenia, zapisy i mapy, które tak elegancko sporządziła twoja ochrona.

Bren wiedział, kiedy przypierano go do muru. Wiedział, jak i kiedy pchnąć samemu, podszedł więc do niewielkiej sterty swoich rzeczy przy drzwiach i wrócił z małą kapsułą magnetyczną.

- Sporządzili coś więcej niż mapy, nand' wdowo. To są mapy robione przez budowniczych. Jest tu każdy obwód, przełącznik i składnik całej tej obcej gwiazdy, jeśli wdowa przyjmie ten skromny podarunek.

Wiekowe usta Ilisidi drgnęły z powstrzymywanego rozbawienia. Sięgnęła po kapsułę zamasztyłym ruchem.

- Ach tak! Czy ja się kiedykolwiek mylę?

- Jeszcze mi się nie udało, nandi, zauważyć u ciebie błędu smaku czy oceny - rzekł Bren. - Zwolnij mnie, proszę, z kolacji, a zobaczę, co mi się uda zrobić.

Uśmiech stał się poważniejszy, a nawet łagodniejszy.

- Zwalniam cię z kolacji, nadi. Będę bawić ten niezwykły zestaw gości. Oddaję ci twoją ochronę; moja wystarczy do moich celów, a jak nie, to nie wystarczy nic innego.

- 'Sidi-ji - powiedział cicho Bren i uklonił się, ale przyszła mu do głowy pewna myśl. - Zaopiekuj się tą moją maszyną. Tano i Algini wiedzą, jak się nią posługiwać, i znają kody. Byliby atutem, gdyby nie należeli do mnie.

- W istocie - zgodziła się Ilisidi. - Podobnie jak wszystkie moje środki, są w twoim zasięgu, paidhi-ji. - Machnięcie ręki. - Idź! Idź, niech diabli twoje pochlebstwa! Wynocha i zechciej łaskawie używać swojego rozumu, nand' paidhi!

- Geigi przysłał posiłki - wyjaśnił w rągi sytuacji swojemu personelowi oraz Jase'owi, odbywającym naradę w tym, co teraz nazywali starą jadalnią. Wśród nich siedział Cenedi jako doradca; był też obecny Tano, podczas gdy Algini nie chciał przerwać inwigilacji; znał dokładnie wszystkie wskaźniki i atevi Cenediego nie mogli go zastąpić. - Mamy do dyspozycji siłę. Ale nie wystarczy ona do zajęcia całej stacji bez zniszczeń, nie mówiąc już o ryzyku dla promu. Mając tak mało czasu, nie powiadomiłem Yolandy ani Toma, choć tego żałuje. Ona nie mówi na tyle dobrze, by zrozumieć sytuację; Tom w ogóle nie mówi, a nie będę przekazywał tego, co mam do powiedzenia, w mospheiranie. Mamy kilka godzin na działania, nim zadziałasz ty, Cenedi-nandi. Prawda?

- To nie będzie finezyjne, za to skuteczne - powiedział Cenedi, patrząc z dezaprobatą w dół.

Dawniej Jase by wybuchnął, pewien, że nikt nie weźmie pod uwagę jego punktu widzenia, ale teraz, znalazłszy się na tej naradzie, nie miał wątpliwości, co ma reprezentować.

- W ramach tej konieczności - powiedział cicho - gdybyśmy dotarli do Ramireza i zyskali jego wsparcie, moglibyśmy przekonać pewną liczbę członków załogi, że nic im nie grozi.

- Ale, wybac mi, Jase, mówisz, że załoga nie zechce uznać prawdy, nawet mając ją przed sobą - rzekł z całkowitą szczerością Bren. - I że zrobi i zniesie wszystko, by zachować kapitanów. Zagrozimy Tamunowi, niewątpliwie zagrozimy Tamunowi.

- Dresh to pewien postęp - powiedział Jase z przygnębieniem. - Uratujcie go. Do diabła z Tamunem.

- A mimo to finezja - odezwał się Banichi. - Finezja, nadiin-ji, wśród tak wrażliwego sprzętu. Mamy tunele. Możemy się poruszać i dotrzeć do kapitanów oraz do rozmaitych innych miejsc.

- Mogli założyć w tunelach sprzęt inwigilujący - powiedział Jase. - Tamun ma do tego powody, coraz więcej powodów. Pozwól pójść nam, mnie, mojej matce, Yolandzie, wszystkim, którzy są w to zamieszani. Być może uda nam się dowiedzieć, gdzie jest Ramirez. Gdybyśmy zrobili to cicho, moglibyśmy sprowadzić go tutaj.

- Czy możemy naruszyć łączność? - zadał drażliwe pytanie Tano.

- Czy możemy uniknąć C l - przerobił je Bren - i bezpośrednio dotrzeć do ludzi, nie nadstawiając karku?

- Wszystko przechodzi przez centrum łączności "Feniksa" - stwierdził Jase. - Nie możemy.

- A ten sprzęt, który mają na sobie przewodnicy? - zapytała Jago.

Jase zamrugął.

- On nadaje inaczej - powiedział. - Bezpośrednio do ochrony. Ochrona nie jest nam potrzebna, nadi-ji. Najprawdopodobniej opowie się za kapitanami.

- Ogun - rzeki Bren. - Kapitan Ogun. Nowy przełożony. Wydaje się nie być związany z Tamunem. Moim zdaniem wepchnął mu do gardła praktyczne strony umów, bo bez niego Tamun mógłby je wszystkie unieważnić.

- Ogun to zagadka - stwierdził Jase. - Trudno go przejrzeć. Jest zwolennikiem dyscypliny. - Jase posłużył się tu słowem w mospheiranie, by wyrazić to, czego nie dało się wyrazić w ragi. - Załoga nie lubi go za ostre metody. Ramirez łamie obyczaje ze słusznych powodów. Ogun jest bardziej konserwatywny od panów z zachodu.

- Sabin?

- Stronniczka Oguna. Oboje utrudniają Tamunowi przeprowadzanie jego woli.

- Lubią Tamuna?

Jase zmarszczył brwi.

- Wspierają go. Wspierali go w jego zastrzeżeniach przeciwko posunięciom Ramireza. Teraz mają władzę, a Tamun znajduje się niżej od nich i jest żądny władzy... człowiek zastanawia się, jak teraz na niego patrzą.

Był to zniechęcający portret, zgodny z poprzednimi notatkami Jase'a o tych dwojgu. Bren wiązał jednak z Ogunem pewne nadzieje i niechętnie się ich pozbywał.

- Czy uderzyli w Ramireza, nadi? - zapytał Jase'a.

- Nie bezpośrednio. Chyba nie.

- A czy mogą patrzeć na Tamuna z niepokojem?

- Teraz? Sabin... nie wiem.

- A Ogun?

- Sądzi, że poradzi sobie z Tamunem.

- Ale przestrzega zasad. Przestrzega raz zawartych umów. Podczas naszych negocjacji siedział obok Ramireza. Przynajmniej sprawiał wrażenie, że zgadza się na wszystko, co mówiliśmy.

Jase zaczerpnął tchu i odchylił się na oparcie krzesła, jakby na chwilę zagłębiał się w siebie. Potem głęboko odetchnął.

- Potrafię go sobie tak wyobrazić - powiedział. - I że przestrzega umowy.

- A więc czy osmielę się pójść do niego? - zapytał Bren. - Czy on się osmieli przyjąć tu?

- Ogun osmielił się na to, co mu pasuje - powiedział Jase. - Ten człowiek jest aijim, tak jak nim nie jest Ramirez, gdyby mógł zyskać man'chi załogi. Ludzie wolą lubić swoich aijiin, nadiin-ji. - Słowo to nieuchronnie wywołało rozbawienie Banichiego, Jago i Tano, którzy rozumieli związek między sałatkami i ludzkimi emocjami, oraz dezorientację Cenediego. - Mimo jednak, że go nie lubimy, wciąż wiemy, że zasługuje na man'chi, podczas gdy Tamun... Tamun tylko pragnie man'chi i rozbudza strach przed obcymi, strach przed sła- bością, przed wszystkim, i tylko po to, by zyskać zwolenników.

- Znamy tego człowieka - mruknął Cenedi. - Dobrze rozumiemy to machimi.

- Ja też - rzekł Bren, żywiąc gorączkową nadzieję na znalezienie jakiejś drogi wyjścia z kryzysu. - Machimi, akurat. Skonfrontujmy Oguna z Rarnirezem, skrzywdzonym przez knowania Tamuna.

- Jeśli dotrzesz do niego, gdy będzie na wachcie - powiedział Jase. - Powinna się zacząć za kilka godzin.

- Nie mamy czasu, by czekać, nadiin-ji - stwierdził Cenedi - chyba że załoga promu będzie wynajdywać preteksty do opóźnień. Mają się ruszyć albo na nasz rozkaz, albo kiedy osiągną punkt, w którym nie będą już mogli przebywać na promie.

- Czy jest jakikolwiek sposób, by do niego dotrzeć? - zapytał Bren. - Wiesz, gdzie mieszka?

- Nie wiem, czy zajął kabinę Ramireza - odparł Jase. - Mógł tak zrobić. Zająłby ją, żeby dać wyraźny znak innym, którzy są u władzy, ale dostać się tam...

- Pilnują się wzajemnie do tego stopnia, w populacji liczącej tysiąc pięćset osób? - zapytał Bren.

- Kiedyś tak nie było, ale kiedyś nie strzelaliśmy do siebie - powiedział Jase. - Nie wiem, co zrobi. Nie wiem, co według siebie wiedziałem o tych ludziach, a przecież tu się urodziłem. Jeśli jednak chcesz dotrzeć do Oguna, jeśli uważasz, że mogłoby coś zrobić... zaryzykowałbym. Ja. Ja osobiście spróbuję z nim porozmawiać.

- Ty znajdź Ramireza. Zrobisz to lepiej, jeżeli możesz z tymi żebrami chodzić po drabince.

- Mogę.

- To nie jest kwestia pragnienia. Potrafisz to zrobić, niczego sobie nie łamiąc? Może Yolanda?

- Nie. Ma lęk wysokości, a tunele ją przerażają. Lepiej, jeżeli ja pójdę.

- Pójdę z nim - odezwał się Tano. - Mogę cię nieść, jeśli trzeba. Ile poziomów musimy przejść po drabinkach?

- Tylko jeden. Może jeden tunel poprzeczny. Wiem przynajmniej, gdzie zacząć szukać, a Yolanda chyba nie. Wiem też, gdzie śpi Ogun i gdzie jest jego biuro oraz biuro Ramireza, ale obawiam się, że z naszej okolicy nie prowadzi tam żaden tunel.

Bren wzruszył ramionami.

- To zajęłoby zbyt dużo czasu. Pójdę tam, nadiin, środkiem korytarza. Jestem umówiony na spotkanie. - Przy tej załodze na dole jutro będzie za późno - stwierdził Banichi.

- Skłamię. Okłamię strażników i powiem, że to nieporozumienie. Nie widzę innego wyjścia. Jeśli skończy nam się czas i ochrona Geigiego wypadnie z promu, my trzej sobie z tym poradzimy. Stworzy to chwilowe zamieszanie, prawda?

- Strażnicy raczej ci nie uwierzą, że znalazłeś się tam przez pomyłkę, nadi-ji.

- Zanim coś zrobią, muszą zapytać. Dasz im radę bez zabijania?

- Ateva robi, co w jego mocy - odparł Banichi, ale wciąż miał za troskaną minę. - Weźmiesz ze sobą broń, nadi.

- Wezmę ze sobą broń - zgodził się Bren.

Nie zamierzał jej użyć. Przyniesienie jej na spotkanie po próbie zabójstwa, jaka miała już miejsce na statku, samo w sobie gwarantowało kłopoty, gdyby ktoś ją zauważył. W najlepszym wypadku wywoła rozpraszającą uwagę sprzeciwu i przyzna jeden punkt Ogunowi w ewentualnych negocjacjach. Broń wcale nie dodawała Brenowi pewności siebie.

Ale zgoda na jej wzięcie sprawiła, że jego ochrona poczuła się o wiele lepiej.

Statkowi ludzie jeszcze nigdy nie pytali, w jaki sposób jego ochrona otwierała drzwi i do woli chodziła po stacji, a człowiek raczej sądził, że statkowi ludzie to zauważyli. Prawdopodobnie statkowi ludzie bardzo dobrze się domyślali, w jaki sposób ich goście zwykle uruchamiają zamki, ale nie widzieli żadnych korzyści w podejmowaniu jakichkolwiek kroków zaradczych.

Szli więc bezczelnie środkiem głównego korytarza do bardziej uczęszczanej części stacji. Tam garstka zaciekawionych młodych kobiet, wyglądających na zwykłe członkinie załogi, po prostu na nich patrzyła szeroko otwartymi oczyma, a para strażników ze sprzętem w stylu Kapłana, na którego widok serce zaczęło Brenowi trochę szybciej bić, pozwoliła im przejść przez korytarz i skrzyżowanie z następnym, jedynie pilnie ich obserwując i konsultując się, może, z C1.

Odwrócenie się plecami do tego potencjalnego zagrożenia było trudne. Bren myślał o wystrzelonych do nich kulach, o murze strażników pojawiających się, by odciąć im drogę... byłaby to sytuacja, z której musiałby wybrnąć za pomocą argumentów.

Szli jednak dalej, nie zaczepiani przez nikogo, jakby strażnicy zakładali, że mają rozkazy. Doszli do rogu i skręcili w pusty korytarz. Nikt za nimi nie szedł. Bren był pewien, że Banichi i Jago cały czas nasłuchują choćby najłżejszych dźwięków, głównie poniżej poziomu jego wrażliwości.

Przemierzyli ten korytarz nie zatrzymywani.

Jase i Tano chcieli zanurkować do tunelu... w tej chwili równie dobrze mogli się znajdować tuż pod ich nogami.

Jeszcze jeden korytarz, potem następny i nadal nikt ich nie zatrzymywał.

Przy przecięciu z trzecim stała kobieta, która przepuszczając ich, powiedziała cicho:

- Powodzenia.

- Dziękuję - odpowiedział Bren i szedł dalej z mocno bijącym sercem. Powodzenia? Czego, do diabła, chce załoga? I ile wie?

W co oni się pakuja?

- Życzyła nam powodzenia - powiedział na wszelki wypadek, gdyby jego ochrona - co nieprawdopodobne - nie zrozumiała kobiety.

- Baji-naji - odpowiedziała zwyczajowym atewskim wyrażeniem Jago. Świat do góry nogami, kawałki spadające tak, jak im na to pozwalały zawarte w nich liczby... co prowadziło do nowego, bardziej elastycznego porządku, kiedy wszystko zostało związane i naciągnięte do granic wytrzymałości.

Nie gwarantowało to kawałkom przeżycia.

Następny zakręt.

Wsiedli do windy sami, nikt nie zatrzymywał kabiny. Mieli czas na milczącą wymianę spojrzeń, by wyrazić oczyma to, co nierozsądnie było wyrażać słowami: znaleźli się w niezwykle niepewnej sytuacji. Mieli nadzieję. Nie wiedzieli. Nie mogli przewidzieć zachowania załogi oprócz, pomyślał Bren, zachowania ludzi w populacji bojącej się swoich przywódców. W tym wypadku bali się o przywódców.

A może i jedno, i drugie.

Wyszli z windy i znaleźli się w rejonie korytarzy o lepszym wystroju, z gąbczastą, tłumiącą dźwięk wykładziną i szeregami roślin doniczkowych o lśniących liściach.

Nawet ślepy na liczby człowiek rozpoznał tutejsze drogowskazy: zielono-białą roślinę o długich wąsach i tę o dużych liściach.

Skręcić w prawo przy zielono-białej.

- Trzecie drzwi - przypomniał sobie Bren, zupełnie sam, z opisu Jase'a. To była kabina Ramireza. Jeżeli nie będzie w niej Oguna, to przynajmniej nie powinno tam być nikogo innego, tak to sobie wyobrażał. Miejsce, do którego mogli dotrzeć, nie wywołując ogólnego alarmu.

Nacisnął guzik, by powiadomić mieszkańca, że ma gościa. Banichi i Jago czekali tuż za nim; nie uznał za swój interes sprawdzić, czy są gotowi strzelać.

Drzwi pozostawały zamknięte.

- Nikogo nie ma w domu - powiedział z głębokim westchnieniem. To była ich największa nadzieja: że Ogun otworzy, wysłucha wyrazów troski o statek, natychmiast zgodzi się na uratowanie Ramireza, aresztowanie Tamuna i przestrzeżenie umów.

Okazało się to ślepą uliczką. Bren odliczył drzwi od tych, przed którymi się zatrzymali, dwoje, i podszedł do biura Oguna: też żadnej pomocy.

Potem stare biuro Ramireza, gdzie Ogun, sprawujący funkcję starszego kapitana, mógł starać się znaleźć sobie jakieś zajęcie.

Tu też nikt im nie otworzył.

- Obawiam się, że Ogun wie o naszej obecności - powiedział Bren. - A może samego Oguna spotkało jakieś nieszczęście.

Była to jedna z tych niezbyt logicznych chwil, jedna z chwil związanych z oceną istot ludzkich, była to jednak rozsądna hipoteza.

Banichi i Jago nie powiedzieli ani słowa, tylko czujnie obserwowali otoczenie, niczemu nie ufając.

Bren bardzo pragnął wziąć nogi za pas i znaleźć się jak najdalej od tej powoli zamykającej się pułapki. Mieli jednak cały prom atevich, którzy mogli wybierać między zamrożeniem na śmierć, poddaniem się i wyjściem z bronią gotową do strzału.

I na dobre, i na złe, mieli też na głowie wdowę. Baji-naji. Nie było sposobu, by przewidzieć ten wzór. Kawałki przemieszczają się i ułożą albo połamią.

- Idziemy do kabiny Oguna - powiedział cicho, podszedł do odpowiednich drzwi i nacisnął guzik.

Żadnej reakcji.

- Następną nadzieją jest Sabin - rzekł, odliczając drzwi. - Jeśli nie wycofali się na statek, gdzie mieszka się o wiele mniej wygodnie.

Żadnej odpowiedzi przy biurze Sabin i przy jej kabine. Zgodnie z rozkładem, który dał mu Jase, właśnie się skończyła wachta Tamuna i jeśli nic więcej się nie zmieniło, jego miejsce powinien zająć Dresh, ten nowy człowiek. Im wyższą pozycję miał kapitan, tym ważniejszą wachtę. To kwestia statusu... Bren uznał, że Tamun prawdopodobnie będzie chciał go zagarnąć obiema rękami.

Jeśli ktokolwiek był sam w sali konferencyjnej, to o tej porze będzie to zapewne Dresh, co nie wróżyło dobrze.

- Dlaczego nie badają sytuacji, nadi? - zapytała Jago. Jego ochrona stawała się coraz bardziej niespokojna.

- Bo może nie muszą jej badać - odparł. - Moim zdaniem oni wiedzą, że tu jesteśmy. Prawdopodobnie są uzbrojeni i prawdopodobnie otoczyli się ochroną. - To drugie ryzyko było gorsze i Bren dokładnie je wyjaśnił nieludzkim umysłem. - Bardzo się boją jednoczesnej utraty wszystkich wyszkolonych pilotów i kapitanów. Może się rozdzielili. Jeden kapitan może zostać i służyć jako przynęta albo po prostu wejdziemy w pułapkę składającą się wyłącznie z ochroniarzy.

- To może ją uruchomimy? - zaproponował Banichi. - Sala konferencyjna wydaje się prawdopodobna.

Było to szaleńcze działanie, ale kończył im się czas. Równie dobrze mogli wejść na spotkanie wszystkich kapitanów, jak trafić na pułapkę.

Były to ostatnie drzwi, za którymi mógł znajdować się ktoś przychylny. Ostatnia szansa na pokojowy wynik ich działania.

Bren sięgnął do przycisku. Jago powstrzymała go, odciągnęła od drzwi i pchnęła skrzydło kawałkiem płaskiego plastiku.

Drzwi otworzyły się. Za stołem konferencyjnym stał Ogun. Czterech uzbrojonych ochroniarzy, w okularach i z plecakami, ustawionych po dwóch w obu narożnikach, celowało do nich ze strzelb. Prawdopodobnie w narożnikach, których nie widzieli, tych najbliższych drzwi, też stało po dwóch ochroniarzy.

Ale jak się powiedziało A, trzeba powiedzieć B, pomyślał Bren. Nie zważając na demonstrację siły człowieka, z którym przyszli się spotkać, wszedł do środka i uklonił się tak samo, jakby zrobił to na dworze Tabiniego, pełnym o wiele groźniejszych i gorzej wyposażonych ochroniarzy... Uklonił się, jakby w wycelowanych strzelbach nie było nic szczególnego.

- Kapitanie Ogun - powiedział spokojnie. - Właśnie pana miałem nadzieję znaleźć. Proszę ich z łaski swojej odwołać. Nie jesteśmy tu po to, by sprawiać kłopoty. Mam nadzieję, że ucieszy się pan z wiadomości, że Ramirez żyje.

Wyraz twarzy Oguna, z przyzwyczajenia ponury, wcale się nie zmienił. Mimo wszystko uniósł rękę, machnął nią i strzelby leciutko się uniosły.

- Gdzie on jest? - zapytał Ogun.

- Nie wiem. Znam osoby, które znają osoby, które mogą to wiedzieć.

Ogun przez chwilę mierzył go w milczeniu wzrokiem. Banichi i Jago nie weszli do środka, stanowiąc poważne zagrożenie, którego Ogun nie mógł zlekceważyć.

- Jase jest jego wielkim poplecznikiem - powiedział w końcu. - Niektórzy mówią, że to on strzelał do Ramireza. Ja jakoś w to nie wierzę. Moją główną troską jest jednak bezpieczeństwo statku. Wszyscy musimy być pragmatykami. Proszę wracać i udawać, że pana tu nie było. Jeśli Ramirez żyje, proszę go zostawić załodze, a nasze sprawy nam. Nie potrzebujemy pańskiej pomocy.

- Chciałbym, żeby to było takie proste - rzekł Bren - ale teraz przybyła tu aiji-wdowa. Jest stara, chora, zapalczywa oraz wrażliwa, a także ogromnie wpływowa. Jeżeli nie spodoba jej się to, co zobaczy, to wszystko, o czym mówiliśmy, przepadnie i trzeba będzie zaczynać od nowa. Z drugiej strony, zgodziła się osobiście spotkać z panem... to znaczne ustępstwo. Mógłbym zorganizować osobiste spotkanie z drinkami, w naszej sekcji, natychmiast. Byłby pan absolutnie bezpieczny i w każdej chwili mógł odejść. A gdyby przez jakiś niewiarygodny przypadek postanowił się pojawić na tym spotkaniu Ramirez, to mógłby pan nawet mieć szansę porozmawiania z nim i usłyszenia, co wie. Mogę się założyć, że nie wie pan, co się stało. A on wie.

- Żadnych gier. Proszę wracać do swojej strefy. Gdyby Ramirez tam był, po prostu połączyłby się z nami.

- Powiedziałem: gdyby się pojawił. Może pan rozkazywać ochronie. Gdybyśmy otrzymali zapewnienie, że nic mu nie grozi, moglibyśmy go do nas sprowadzić. Jeśli mam rację co do pańskiej roli w tym wszystkim, to nie zgodził się pan na posunięcie Tamuna przeciwko Ramirezowi, ale Tamun nie może się pozbyć wszystkich od razu. Na razie. W niebezpieczeństwie znajduje się statek i stacja, pan, cała umowa. Wiem, że powrót z nami oraz osłanianie pańskiego głównego sprzymierzeńca w Radzie Kapitanów wymagają pewnego stopnia zaufania. Zastanawia się pan, czy potrafimy utrzymać pana przy życiu choćby przez godzinę, a ja zapewniam, że pańska straż może znajdować się tuż na zewnątrz, uzbrojona, bez żadnego problemu. Tamun nas nie zaatakował. Jeśli jest rozsądny, nie zrobi tego. Proszę pójść z nami. Proszę wykorzystać tę szansę.

Wyraz twarzy Oguna nie zmienił się ani na jotę, nawet po tych wszystkich prowokacjach.

- Opowiadał się przy statku - powiedział w końcu. - Proszę wracać do swojej strefy, panie Cameron. Powiem panu teraz, że spotkanie z tą kobietą zostanie prawdopodobnie odłożone, być może na czas nieokreślony, dla jej bezpieczeństwa, a ja nie zamierzam powierzyć się pańskiej ochronie. Jeżeli rzeczywiście jest tak cenna, a to możliwe, proponuję, by została na swoim miejscu i się nie wychylała, bo pański aiji nie może tu nic zrobić. Macie piętnaście dni do odlotu promu. Będzie bezpieczniej dla pana i dla niej, jeśli się na nim znajdziecie. Bezpieczniej też będzie dla pana nie pokazywać się do tego czasu na korytarzach. Mamy nasze wewnętrzne rozbieżności. Przybył tu pan bez zaproszenia, w niedogodnym czasie. Rozumiem, dlaczego pan to zrobił. Niezbyt mnie to obchodzi. A teraz powinien pan wyjść.

- Z tego, co widziałem, nasz przyjazd wywołałby tę walkę bez względu na jego termin. Wywołałoby ją zaproszenie nas przez Ramireza. Stałoby się tak w chwili zawarcia umowy, ponieważ Tamuna guzik obchodzi, czy to, co oferujemy, jest dobre dla statku; wie, że to, iż możemy dać władze Ramirezowi, jest dla niego złe, złe dla jego koncepcji odzyskania mospheiran, złe dla jego koncepcji rządu tak, jak mu się podoba. Pańska zdolność poradzenia sobie z nim zanika. Kiedy tu szliśmy, ludzie w korytarzach życzyli nam powodzenia. To pan przysłał nam Jase'a Grahama, co uważam za próbę uchronienia go przed Tamunem, i za to panu dziękujemy. Ale nie chce pan wyjść na korytarz, zebrać garstki tych doskonałych dżentelmenów z ich podobno działającymi strzelbami i zdobyć pomocy załogi, póki ona wciąż jeszcze może jej udzielić. Znam wersję

Jase'a. Mówi, że jest pan uczciwym człowiekiem, a to, co widzę, potwierdza jego opinię. Niech pan użyje pomocy, którą ma pod ręką.

- Proszę posłuchać mojej rady - powiedział Ogun. - Proszę mi nie mówić, jak mam wykonywać moje obowiązki. Proszę się zająć swoimi i nie dopuścić do śmierci pańskiej wysokiej funkcjonariuszki. Nie będę prosił trzeci raz. Proszę wyjść.

- Pozwoli pan Ramirezowi umrzeć. Będzie pan próbował załatwić sprawę finezyjnie, ale Tamun się w to nie bawi. Ramirez umrze, a to oznacza o jednego sojusznika mniej.

- Nie jestem jego opiekunem. Muszę dbać o interesy tego statku. Kiedy pan się znajdzie na planecie, proszę się ze mną skontaktować. Będziemy rozmawiali z tej bezpiecznej odległości, kiedy nie będę musiał chronić waszego życia. Nic innego nie wchodzi w rachubę.

- Doskonale - powiedział Bren. - Złożyłem propozycję. Pan dokonał wyboru. Wrócimy do siebie.

- Poślę z wami przewodnika. Frank, odprowadź ich.

W spojrzeniu, jakie człowiek imieniem Frank wymienił ze swoim kapitanem, było niewielkie wahanie, lekkie zmartwienie, lecz ani śladu nieposłuszeństwa.

Bren pomyślał, że jego własna ocena Oguna jest trafna; ci ludzie martwią się o Oguna i chronią swego kapitana jako jedyną siłę zdolną powstrzymać bardzo nieodpowiednią osobę przed przejęciem władzy, a tymczasem Ogun sądzi, że chodzenie po korytarzach może być dla nich niebezpieczne i że to niebezpieczeństwo jeden idący z nimi mężczyzna może zredukować.

A sądząc z postawy ludzi, nie groziło im nic ze strony załogi jako takiej. To oznaczało Tamuna. To oznaczało spore prawdopodobieństwo, że Tamun przestanie się tak bardzo kryć ze swoimi działaniami.

Co takiego powiedział Jase, że załoga wie o pewnych sprawach, ale tak długo o nich nie mówi ani nic nie robi, dopóki nie będzie miała absolutnie żadnego wyboru?

- Nadiin-ji - powiedział cicho do Banichiego i Jago, którzy trzymali się nieco z tyłu, tuż za drzwiami: i owszem, z tyłu pomieszczenia znajdowało się jeszcze czterech ludzi, po obu jego stronach. - Nadiin-ji, man'chi tych godnych zaufania ludzi jest związane z Ogunem, on na nich polega i wysłał jednego z nich, by ochraniał nas w drodze powrotnej. Bez względu na to, jakie zagraża nam niebezpieczeństwo w korytarzach, Ogun sądzi, że ten jeden mężczyzna może je zażegnać przez swoją obecność i groźbę niezadowolenia Oguna. Ogun-aiji nie przyjdzie do nas, obawia się, że sam jest w niebezpieczeństwie, ale utrzymuje, że jego man'chi jest związane wyłącznie ze statkiem, więc nie narazi na szwank swojej władzy, choćby nas odwiedzając. Nasze przybycie spowodowało działania skierowane przeciwko Ramirezowi. Pozostaje to kwestią sporną.

Ważne, by Banichi i Jago znali sytuację jak najlepiej, i to przetwarzoną dla atewskiego pojmowania: Bren zrobił, co mógł, by była zrozumiała w takim skrócie, po czym po raz drugi skłonił się z szacunkiem człowiekowi pragmatycznie walecznemu i bardzo zacnemu.

Nie będącemu jednak przygotowanym do powierzenia losu swoich ludzi obcym ani do zrzeczenia się władzy, by zrobić coś na własnych warunkach.

Wycofał się z sali, coraz bardziej pewien, że właściwie zrozumiał Oguna i że Ogun jest równie pewien, iż stanowi następnym celem na liście Tamuna.

Strażnik, który przyłączył się do nich na korytarzu, też znał stawkę i nie chciał zostawić swego kapitana ani na minutę.

- Ogun jest w niebezpieczeństwie - powiedział do niego Bren, kiedy szli tym korytarzem obstawionym roślinami doniczkowymi, po czym zadał najważniejsze pytanie: - Wierzysz Sabin?

- Nie mogę powiedzieć, sir.

- No cóż, jedno jest pewne: jeśli cokolwiek stanie się Ogunowi, Tamun poprowadzi was do katastrofy. Tamun nie załatwi dla was żadnych napraw, żad-

nej pomocy. Zamierza obrazić babkę aijiego, co jest poważnym błędem. Nie muszę ci jednak tego mówić. Jesteś człowiekiem Oguna.

- Nie mogę o tym rozmawiać, sir.

- Jego kuzyn?

- Nie mogę rozmawiać, sir.

- Z tego, co widzę, załoga nie jest ogólnie zadowolona z tej sytuacji, prawda? Kiedy tu przybyliśmy, Ramirez już ostro walczył z Tamunem. I nie chcąc pozwolić, by Ramirez wygrał ten spór i uzyskał to, co chciał uzyskać od aijiego w Shejidan, Tamun do niego strzelił.

- Tego też nie mogę stwierdzić na pewno, sir.

- Więc teraz Tamun ma niewielki, ale cholernie dobrze uzbrojony zespół pomocników, prawdopodobnie kuzynów, którzy posunęli się o jeden krok za daleko i prawdopodobnie są lekko przerażeni rozwojem sytuacji, ale wiedzą, że teraz nie mogą już wrócić do łask. Nie mogą zrzucić tego na Jase'a Grahama, ich kłamstwo coraz bardziej rozłazi się w szwach; wszyscy dokładnie wiedzą, czego tamci się dopuścili, i robi się coraz goręcej, prawda?

Nie było już zaprzeczeń, lecz milczenie, i Bren miał nadzieję, że Banichi i Jago to zrozumieli, przynajmniej częściowo.

- Więc jedynym powodem, dla którego Ogun nie zastrzelił Tamuna, jest to, że tacy pomysłowi goście jak wy nie mogą dostać się do Tamuna, by naszpikować go kulami.

- Naprawdę nie mogę tego powiedzieć, sir.

- A więc jaki jest powód, że tego nie robicie?

Doszli do przecięcia korytarzy; dotarli do punktu, gdzie Bren zauważył w oddali jakiś ruch.

Wzdłuż krzywizny korytarza szło w ich stronę dwóch członków załogi.

Mieli strzelby.

- To są kuzyni Tamuna - powiedział przewodnik, nie zatrzymując się. - Schowajcie się za mnie.

To wymagało tłumaczenia.

- Synowie ojca Tamuna, nadiin-ji. Nasz przewodnik proponuje, że pójdzie pierwszy i będzie ich starannie obserwował.

Brenowi przyszło na myśl, że jeśli jego robocza hipoteza jest słuszna, to mógłby usunąć znaczną część wsparcia Tamuna, po prostu pokazując tych dwóch ludzi Banichiemu i Jago i rozkazując im wyeliminować ich na miejscu.

Lecz kruche związki wewnątrz załogi były napięte do granic wytrzymałości: rozłam już nastąpił. Mogło być jeszcze gorzej. Bren wybiegł myślą poza własne argumenty do przyczyn, dla których Ogun nie chciał działać, dla których dziewięć dziesiątych załogi bało się zachwiać równowagę. Wiedza o obsłudze urządzeń była tak niewielka, Gildia Pilotów od wieków ją ograniczała, a nie rozpowszechniała. Doprowadziła do tego stara polityka, która tak zraziła kolonistów, arystokracja tak absolutna jak ta z kontynentalnej prowincji.

Przewodnik szedł tuż przed nimi, ale zatrzymał się i odwrócił, by mieć na oku mijających go ludzi, i wciąż ich obserwował, kiedy minęli go Banichi i Jago, groźni w każdym calu.

- Nie... - zaczął mówić przewodnik, ale w następnej chwili Bren poczuł, że pada plecami na podłogę. Wybuch i trzask wyładowania elektrycznego spowodował czyjś jęk, ale zanim Bren mógł się zorientować, co się stało, Jago chwyciła go za ramię i szarpnięciem postawiła na nogi. Oboje z Banichim strzelili, obaj napastnicy upadli, ale upadł też i ich przewodnik. Korytarz był pozbawiony wszelkiej osłony.

Jago prowadziła Brena; Banichi podniósł przewodnika i zarzucił go sobie na ramię, ale nagle rozległy się za nimi trzaski - wystrzelowano małe urządzenia, wbijające się w ściany i wytwarzające prąd elektryczny.

Jago przerwała ogień i strzelanina ustała; ludzie wycofali się za zakręt.

Łączność działała: działała o wiele za dobrze na korzyść Tamuna i w ciągu następnych dziesięciu minut Ogun mógł być martwy - ci ludzie po prostu mogli się włamać do sali konferencyjnej i zabić wszystkich, którzy tam się znajdowali.

- Ogun - wydyszał Bren, ciągnięty przez Jago. - Ta cała kłótnia wybuchła na dobre. Ogunowi grozi niebezpieczeństwo.

- Tobie też, nadi - rzekł Banichi, dźwigając swój nieszczęsny ciężar na lewym ramieniu, a w prawej ręce trzymając pistolet. - A ty jesteś dla nas o wiele cenniejszy. Do następnego tunelu. Idź!

- Potrzebuję cię! Słyszysz? Nie ryzykuj, Banichi!

Jago ciągnęła go bezceremonialnie korytarzem do najbliższego wejścia do tunelu. Liczył się czas. Każda chwila, - w której ci dwoje byli rozdzieleni z jego powodu, zwiększała ryzyko. Jago otworzyła drzwiczki i Bren przeszedł przez nie tak szybko, jak tylko potrafił, po czym wspiał się na górę, wiedząc, że następny poziom jest bezpieczniejszy, a przynajmniej znajduje się bliżej domu, i poznając po strumieniu światła, że drzwiczki na dole są wciąż otwarte.

Wszystko postawił na przekonanie, że oboje pójda za nim szybciej, niż on będzie w stanie się wspinać, i rzeczywiście, w chwili, kiedy o tym pomyślał, drabinka zaczęła drżeć pod atewskimi stopami. W jednej sekcji zgasło światło. W następnej sekundzie strzelił w górę ostry promień światła ręcznej latarki i Bren wiedział, kto jest na drabince, a kto zamknął drzwiczki, tak dokładnie, jakby widział ich oboje.

Wspinał się w szaleńczym tempie, nie zważając na ból rąk chwytających zimny metal. Dotarł do następnego poziomu, pocąc się w lodowatej ciemności, i gorączkowo otworzył następne drzwiczki, ryzykując odmrożenie. Zalało go światło i ciepło, ściana gorąca, powietrze, które nie paliło, lecz wlewało się do płuc niczym syrop. Nie mógł się nim nacieszyć.

Pojawiła się Jago. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje na rym poziomie, nie miał rozeznania w relacjach kabin: siatka poplatała mu się w umyśle, pajęcza sieć przecięć i większych oraz mniejszych korytarzy. Miał nadzieję, że Jago wie.

Na korytarz wyszedł Banichi, wciąż dźwigając przewodnika, zamknął drzwiczki; Jago bez najmniejszego wahania ruszyła biegiem, spojrzała w boczny korytarz, popędziła dalej i otworzyła następne drzwiczki. W każdej chwili zza rogu mogli wyjść ludzie Tamuna albo niewinni przechodnie, a oni nie umieliby ich rozpoznać.

Bren pobiegł, mając za sobą Banichiego, rzucił się w otwór za Jago, Banichi za nim, a potem znów się wspinali, przeszli po poprzecznym pomoście i dalej się wspinali przy świetle latarki Jago, aż dłonie Brena zaczęły go palić, a potem zdrętwiały. W końcu powiedział sobie, że nie może zawieść, że nie może być słabym i zgubnym ogniwem w planach świata; przytrzymał się poręczy łokciami, odepchnął kolanami i dotarł do platformy, czując, jak zimne powietrze wbija mu się w płuca i wstrząsa nim kaszel. Zachwiał się. Nie był w stanie otworzyć następnych drzwiczek. Jago podparła go, otworzyła drzwiczki i wypchnęła Brena na oślepiające, zwykłe światło.

Chwycił go kolejny atak kaszlu, męcząc płuca i podrażnione zimnem gardło. Usłyszał trzaśnięcie drzwi - przerażający odgłos. Wiedział, że istnieje duża szansa, by ktoś go usłyszał, ale przez chwilę kaszel prawie nie pozwalał mu oddychać. Usiłował biec; Jago wlokła go w długim, hałaśliwym sprincie przez boczny korytarz, za zakręt.

Kolejna wspinaczka, pomyślał. Nie da rady. Będą musieli go nieść.

Przegonił ich Banichi i przez załzawione oczy Bren ujrzał nie drzwiczki do tunelu, lecz drzwi - drzwi do sekcji - które usiłowała otworzyć Jago. Pochylił się, kaszłąc, i kaszłał jeszcze wtedy, gdy wyprostował się i uświadomił sobie, gdzie jest.

W sekcji mospheirskiej.

A pośrodku korytarza stał przestraszony Kaplan z wycelowaną w nich strzelbą.

Za Kaplanem byli Andresson i Polano.

Oraz pięciu innych ludzi, których Bren nie znał.

Z pokoju wystawiła głowę Kate.

- To pan Cameron - zawołała, jakby w pozycji pionowej nie utrzymywało go dwoje bardzo wysokich i rzucających się w oczy atevich.

Broń została opuszczona, a Bren usiłował opanować atak kaszlu i zapytać, co się dzieje. Banichi postawił nieszczęsnego przewodnika, a potem wolno opuścił go na podłogę. Polano wysunął się do przodu, zerknął z niepokojem na Banichiego i przyklęknął, usiłując jakoś pomóc mężczyźnie, podczas gdy pozostali zachowywali napiętą postawę.

- To Frank - odezwał się Polano. - Żyje. Żyje. Jego sprzęt poszedł w diabły.

- Fatalnie - powiedział Andressori. - Przydałby się nam.

Frank, ich przewodnik, starał się coś powiedzieć; udało mu się wymówić kilka słów, wśród nich "Ogun", ale reszta była pozbawiona sensu. Polano zwinął swoją kurtkę i włożył mu ją pod głowę.

- Tak, tak - mruknął. - Zostaw Oguna Ogunowi. Cholera, potrzebujemy lekarzy. Serce mu skacze.

Wstrząs elektryczny. Rękaw Franka był przepalony. Mężczyzna był bardzo blady.

- W naszym zestawie nic nie ma - rzekła Kate.

Nikt nie zadawał sensownych pytań: Dlaczego była strzelanina? Skąd przyszliście? Nie padło ani jedno z tych pytań... podobnie jak oni nie zapytali Kate, dlaczego Kaplan stoi na straży z bronią, szukając atevich.

Ledwie Bren pomyślał o tym pytaniu, kiedy nagle zgasły światła.

Natychmiast zapaliła się latarka Jago, oświetlając Franka i Polano. Światło odbite od sufitu ukazywało szczegóły postaci Kaplana i reszty osób obecnych w korytarzu. Ze swojej kabiny wypadła Ginny Kroger z siwymi włosami nie całkiem ułożonymi w zwykłą fryzurę.

Najwyraźniej nie spodziewała się ujrzeć Brena podczas awarii prądu i w otoczeniu atewskich oczu odbijających światło w sposób, który zawsze wzbudzał w ludziach pierwotny strach.

- Pan Cameron - odezwała się Kroger głosem pełnym rozsądku, choć napiętym. - Zdaje się, że to kolejna awaria prądu. Czy wie pan coś na ten temat? A może to pan ją spowodował?

- Właśnie mieliśmy drobną potyczkę z przyjaciółmi Tamuna - odpowiedział Bren. - Jeden z ochroniarzy Oguna jest ranny. To prawie zupełnie pewne, że Ogun wie, iż znajduje się w niebezpieczeństwie, jeśli jeszcze żyje. Co tu się dzieje?

- Dajcie koc. - Te słowa wypowiedział Kaplan, nikomu już nie grożąc bronią i pokazując znak pokoju - wyciągniętą rękę. - Okryjmy Franka i rozgrzejmy go. Jest w szoku. Nie czuje się dobrze. Musimy zapewnić mu jak najwięcej ciepła. Szok wyziębia. Trzymajmy go w świetle, jeśli się da.

- Bez kwestii - powiedział Bren. - Kaplan, co wy tu, u diabła, robicie?

- Staramy się, jak możemy - odparł Kaplan. - Jak tylko możemy. Szkoda, że ten sprzęt nie jest w lepszym stanie.

- Jakie mamy kłopoty? - zapytała Ginny Kroger, zaniepokojona do granic wytrzymałości. - Gdzie jest Tom? Czy przybył na promie? Kto jest na zewnątrz?

- Tom Lund przybył na stację - rzekł Bren. - Co więcej, na stacji jest też aiji-wdowa z trzydziestoma swoimi ochroniarzami w naszej kwaterze oraz półsetką swoich ochroniarzy i ochroniarzy pana Geigiego na promie, który muszą opuścić, nim zamarzną. Wydostaną się z niego wkrótce i na własną rękę, jeśli nie zdobędziemy dla nich pozwolenia, by przyłączyli się do nas.

- Cholera - powiedział Kaplan. - O co tu chodzi?

- Będą tu atevi, Kaplan. Jeśli chcecie, by ta stacja została naprawiona, będziecie na niej w mniejszości. A może nie taki był plan?

- Nie mówię, że nie był, sir, tylko... - Kapłan zerknął nerwowo na Jago, której oczy prawdopodobnie świeciły w tym odbitym świetle. - Wszystko w porządku, sir, tyle że wszystko zdarzyło się tak nagle, a my mamy teraz problemy.

- Nie przybyli tu po to, by przejąć statek. Są tu, by zarządzać stacją, z czego niektórzy ludzie nie są chyba zadowoleni.

- No to co będą robić? - zapytała Kroger. - Nie możemy strzelać po korytarzach! To delikatne środowisko!

- Zdaję sobie z tego sprawę - rzekł Bren. - Wierz mi, zdaję sobie z tego sprawę, podobnie jak atevi. Z tymi atevimi jest załoga promu. Doskonale znają niebezpieczeństwo.

- Czy jesteśmy w stanie wojny? - zapytała Kroger.

- Nie wiem. Staralem się uzyskać pomoc od Oguna. Nie dostaniemy jej. Ogun nie chce przyjść do naszej sekcji; ale przynajmniej nie trzyma z Tamunem. Chroni wszystkie swoje możliwości.

- Bren?

W ciemności przesyconej strachem Kapłana i niepokojem Kroger usłyszał znajomy głos... rozsądny ludzki głos.

- Jase?

Jase przybył z końca korytarza sekcji, wyglądał w świetle latarki blado i mizernie, był trochę zmęczony swoją misją. Boże, ależ ulgę odczuł Bren na jego widok.

- Mamy tu Ramireza - powiedział Jase lekko drżącym głosem. - Żywego, ale bardzo słabego. Pilnował go Leo. Paul Andresson usłyszał, że ściga was Tamun, dotarł do Leo, kiedy ja dotarłem do nich. Próbowaliśmy wysłać kogoś na górę, żeby was ostrzegł.

Leo Kapłan. Kapłan i jego grupa cukrowych nałogowców, chodzących tu i tam w nareszcie zrozumiałym celu.

Poza tym wiadomość o Kapłanie i jego ludziach okazała się mile widziana. Mieli tu broń - strzelby. Przynajmniej kilka sztuk.

- Czy jest z wami Tano? - zapytał Bren Jase'a bezmyślnie w rągi.

- Jestem tu, nandi - usłyszeli z ciemności atewski głos.

- Człowiek jest niezwykle zadowolony, Tano-ji.

Tano, oni, paru uzbrojonych członków załogi. Coraz lepiej. Nie są tu w beznadziejnej sytuacji. I oprócz wszystkich innych atutów w tej wojnie o sukcesję to oni mają Ramireza.

- Nie tego się spodziewałam po tej misji - powiedziała cienkim głosem Kroger. - Bren, nasz szanowny przyjacielu, co zamierzasz zrobić w tej sytuacji?

- Mamy to miejsce, mamy naszą sekcję, mamy dok promu, albo w sumie będziemy go mieli, i mamy Ramireza. To dobre karty. Jase. Czy Ramirez może dostać połączenie z C1?

- Mógłby spróbować, jeśli na stanowisku nie siedzi jakiś człowiek Tamuna. Ale jeśli Tamun poczuje się zagrożony, może wrócić na statek. To jest największy atut - statek. Jeśli będzie go miał...

- Z całą pewnością jest zagrożony - powiedział Bren i zakaszłał. Gardło miał podrażnione, co dowodziło, jakie szkody może poczynić pięć minut przebywania w mniej przyjaznym środowisku poza korytarzami. - Co może zrobić ze statku?

- Nie bardzo wiem - odparł Jase. - Nie znam wszystkich środków. Wiem, że może przerwać łączność. Mógłby nawet przedziurawić stację ze swojej broni, ale nie sądzę, by posunął się aż do tego; nie chciałby zabić załogi... a przynajmniej niezbyt wielu jej członków.

- To nazbyt optymistyczne stwierdzenie. Strzelił do współ-kapitana. - Bren przetłumaczył szybko tę rozmowę swojej ochronie, która stała w ciemności, w coraz większym zimnie, w sekcji nie mającej niezależnego źródła energii, wody, ruchu powietrza ani światła, oprócz kieszonkowej latarki Jago. Rzeczywiście mają wysokie karty, ale Tamun może trzymać palce na guziku końc-

zaczynam całą rozgrywkę. - Tamun może nam odciąć wszelkie dostawy, a nawet wystawić liczne sekcje na działanie próżni, jeśli wzrośnie jego desperacja i niepewność. Nie możemy czekać, aż do tego dojdzie.

- W istocie - rzekł Banichi. - Ta ciemność rozciąga się na całą stację?

- Tak sądzimy.

- Niewinne osoby w ciemności, uzbrojone i bojące się nas. Oraz niezrównoważony człowiek. Ateva nigdy nie lubi jednoczyć się jako cel i nie podoba mi się umieszczenie wszystkich naszych atutów z powrotem w naszej sekcji, ale tu mamy zdecydowanie słabe punkty. Mogę nieść Ramireza. Możemy przenieść go w miejsce, gdzie mamy tlen.

- On może umrzeć - zaprotestował Jase. - Jeżeli tak się stanie...

- Jeżeli tak się stanie, to wciąż możemy mieć Oguna - powiedział Bren. Była to niemą, niczym nie ubarwiona prawda, przekazana przyjacielowi, z którym w przeszłości wymienili się długim szeregiem niczym nie ubarwionych prawd. - Człowiek zakłada, że Ogun, jeśli przeżyje, będzie miał dostęp do statku. Jeśli nie Ogun, to może Sabin wykonała jakiś ruch. Tworzę całą strukturę założeń, ale wydaje mi się, że Ogun opiera się Tamunowi przy każdej okazji, a Sabin stoi między nimi.

- Ogun podjąłby walkę, by nie oddać statku Tamunowi - powiedział Jase wragi, gdzie "walka" znaczyła też "jak o swoje man'chi". - Załoga przyłączyłaby się do niego. Nie możemy jednak przenieść Ramireza na nasz teren. Musimy go trzymać w zasięgu załogi, wśród swoich. To kwestia man'chi.

- Martwy przywódca nie ma zwolenników - rzekł Banichi. - Jeśli umrze, wszystko się rozleci.

- To są ludzie - powiedział Bren. - Jeśli umrze za załogę, to wtedy man'chi istnieje i trzeba je brać pod uwagę.

- Nawet jeśli umrze?

- Szczególnie jeśli umrze. Choć nie podoba mi się to, Jase ma rację.

- Ateva nie bardzo widzi, jak to ma zadziałać w kategoriach ściśle praktycznych - rzekł Banichi - ale to wyraźnie nie jest nasze machimi, nandiin-ji. Prowadź. W tej sprawie twoja ochrona przyjmuje rozkazy. Co mamy robić?

Myśleć z zewnątrz: zobaczyć obiektywnie to, co dla innych jest subiektywne. Perspektywa była zwykłym narzędziem paidhiin, ale Bren nigdy nie sięgnął tak daleko poza siebie, by zrzucić obie kultury, swoją własną i atewską, i myśleć w trzeciej.

- Czy możemy przekazać wiadomość Alginemu, Banichi? Czy możemy przynajmniej dać mu znać, że żyjemy?

Banichi przygryzł wargę i przez chwilę jakby się zastanawiał, patrząc w dal.

- Gotowe - powiedział, a jak i czy w ogóle, prawie się nie poruszając, Banichi wysłał jakiś sygnał, Bren nawet nie pytał, myśląc o Alginim w ich posterunku ochrony, o Cenedim, o wdowie i o całym tym sprzęcie.

- Druga sprawa: Jasi-ji, Ramirez musi rozkazać C1, by nadało wiadomość. Panele ściennie nie mają jednak zasilania.

- Te moduły w kombinezonach mogą połączyć się z C1 - powiedział Jase - jeśli uda nam się zdobyć taki, który działa. Kapłan stracił dostęp. Każdy, kto mógłby wspierać Ramireza, został po cichu wyłączony z systemu. Ludzie będący z Ramirezem nie mogli się dostać do swego sprzętu.

- Mamy przecież ten jeden moduł - rzekł Bren. - Sprzęt naszego przewodnika. Oni myślą, że jest zepsuty. Gdybyśmy jednak mogli go naprawić, gdybyśmy mogli przekazać jedno oświadczenie Ramireza, jeden rozkaz...

Jago rozpięła suwak kurtki i wyjęła czarne plastikowe pudełko.

- Może się przydać magnetofon, Bren-ji. Gdyby umarł, Jase będzie miał nagranie.

- Magnetofon.

- Ale pamiętaj, Jasi-ji, że nie zabezpieczyliśmy tego obszaru pod względem łączności, choćby w najmniejszym stopniu. Możemy być podsłuchiwani, ilekroć mówisz w mospheiranie.

- Tymczasem - powiedział Tano - zobaczę, czy uda nam się naprawić funkcjonowanie łączności w tym sprzeczcie.

- Porozmawiam z Leo - rzekł Jase i przyciągnął Kapłana, by pośpiesznie to wszystko przetłumaczyć; Kapłan natychmiast zawołał Andressona i wszyscy trzej pochylili się, prowadząc krótką, przepełnioną żargonem dyskusję w mroku, skuleni, by jak najmniej było ich słychać.

- To jest dyskusja o środkach - powiedział Bren w ragi. - Ci ludzie znają ten sprzęt. - Przykucnął, przerywając rozmowę prostym pytaniem: - Potraficie to zrobić? Jeśli możecie się skontaktować z kimkolwiek, kto może ograniczyć łączność Tamuna...

- Potrzebujemy rozkazu kapitana - rzekł Kapłan.

Bren zachował swoje myśli dla siebie.

- A zatem proponuję go zdobyć - powiedział. - Jak najszybciej. Czy możemy z nim porozmawiać?

- Ja to zrobię - zaofiarował się Jase. - Zdobęde rozkaz, jeśli będę mógł. Nie wiem, czy się zgodzi.

- Nie ma alternatywy, Jase. Po prostu nie ma żadnej cholernej alternatywy.

Stali na granicy utraty wszystkiego, a statkowa mentalność nie chciała kłopotać rannego, może umierającego oficera, zdobywaniem bardzo ważnego rozkazu.

Lecz mentalność Jase'a, z którą żył przez te kilka lat, mówiła, że jeśli istnieje jakiś członek załogi, rozumiejący, że nie mają luksusu czasu i drugich szans, to jest nim Jase, który ma magnetofon i zna właściwe pytania; Kapłan i jego przyjaciele mieli przynajmniej wolę ukrywania Ramireza przez te kilka ostatnich niebezpiecznych dni, brania udziału w grze, a w końcu związania swego losu raz na zawsze z kapitanem, który nie czuł się za dobrze... Być może żyją, odrzucając to co oczywiste, lecz odrzucanie oczywistego dało im przynajmniej pewną ślepa siłę celu.

- Jago-ji.

Bren wstał i w milczeniu sięgnął po latarkę, by oświetlić Jase'owi drogę. Jago podała mu ją - całe światło, jakim dysponowali - i biorąc je do ręki, Bren zobaczył ponurych i zmartwionych Kroger oraz Bena Feldmana.

Jase wszedł do pokoju, który ostatnio był pokojem Kroger, i zniknął w czerni otwartych drzwi.

Bren poszedł za nim. Podobnie Kapłan. Kapłan wszedł do środka, podszedł za Jasem do łóżka i leżącego na nim umierającego mężczyzny, po czym obaj pochylili się i delikatnie zwrócili na siebie uwagę kapitana... Kapitan, którego palce spoczywające na kołdrze pociemniały od mrozu i który wydawał się na wpół żywy, zareagował przynajmniej na pojawienie się światła. Chcieli trzymać Franka w jego kręgu i nie wnosili go do całkowitej ciemności pokoju, nawet jeśli było tam cieplej. Brena uderzyła myśl, że w tej strasznej, całkowitej ciemności człowiekowi bliskiemu śmierci byłoby o tyle bardziej przypadkowo, o tyle łatwiej prześliznąć się nad krawędzią umierania. To nie były warunki, w których można porzucić człowieka.

Bren podszedł bliżej, nie po to, by narzucić swoją obcą obecność, lecz by przybliżyć światło, i usłyszał chrapliwy i słaby głos wydający rozkazy, sensownie i bez wahania, do magnetofonu Jago. Kiedy strumień słów skończył się, Jase wyłączył kciukiem magnetofon. Mężczyzna był chyba nieprzytomny. Może nawet martwy.

Jego powieki jednak uniosły się i lekko poruszyły.

- Cameron?

- Tak, sir. To ja.

- Cholerny bałagan - powiedział wtedy Ramirez i znów zaniknął oczy. - Powinienem go zastrzelić.

- Tamuna?
- Niezły pierwszy strzał. Jase.
- Tak, sir.
- Bliżej.
Jase pochylił się, a dłoń Ramireza mocno zacisnęła się na jego kurtce.
- Przejmujesz funkcję - powiedział chrapliwie Ramirez i puścił Jase'a.
- Jesteś wyznaczony na czwarte stanowisko. Słuchaj mnie. Słuchaj mnie, ty!
Jest tu jeszcze Kaplan?
- Tak, sir - odpowiedział Kaplan i przysunął się bliżej.
- Wykonujesz rozkazy Grahama.
- Tak jest, sir - odpowiedział słabo Kaplan. - Jesteśmy tu wszyscy. Andresson, Polano, wszyscy. Dostaliśmy się do strzelb, nie mogliśmy zdobyć sprzętu. Jesteśmy uzbrojeni. Na stacji jest grupa atevich.
Niech Bóg ma nas w opiece, pomyślał Bren. Inwigilacja.
- Środki - rzekł głośno. Chrapliwie. - O których nie chcemy mówić.
Ramirez sięgnął do brzegu łóżka, chciał postawić nogę na podłodze, ale tego nie zrobił.
- Cholera - powiedział. - Cholera!
- Proszę nie wstawać - zaprotestował Jase. - Proszę to zostawić nam, sir. Słyszysz mnie pan? Proszę to zostawić nam.
- Załatwcie to! - rozkazał, wyraźnie cierpiąc ból, i Jase wycofał się, pociągając za sobą Kaplana w stronę Brena; musieli zabrać światło na korytarz, gdzie się zebrali, by zaplanować następne posunięcie.
- Co zrobimy? - Kroger chwyciła Brena za ramię. - Co możemy zrobić? Mówisz o naprawie konsoli łączności. Chcesz się skontaktować z C1. Jeżeli nas podsłuchiwali, to już wiedzą, że kapitan jest tutaj, i guzik ich to obchodzi... Myślisz, że posłuchają rozkazów?
Coś w tym było. Przynajmniej przemawiało za tym, że mogą nie mieć tu pluskiew.
- A zatem zakładamy, że nas nie podsłuchują - powiedział Bren - i wydamy im...
Drzwi bezpieczeństwa otworzyły się i padło na nich światło reflektora.
Bren pchnął Jase'a pod ścianę, na podłogę, a Kaplan i Kroger po prostu stali bezradnie, oświetleni.
Banichi jednak się nie uchylił i światło opadło, zakręciło się jak jakieś obce słońce w korytarzu, w którym rozpętał się chaos elektrycznych wyładowań; Jago też się ruszyła, i Tano, trzy cienie olbrzymich rozmiarów na tle światła. Bren przypomniał sobie o broni w kieszeni. Wyrwał ją, wstał i wycelował z bijącym sercem, ale jego oczy nie znalazły żadnych celów, tylko troje atevich, nagle wydłużony korytarz i człowieka leżącego w snopie światła, szamoczącego się niemrawo pod stopą Banichiego.
- Inni uciekli - stwierdził ateva. - Odradzam pościg, Bren-ji.
W związku z pościgiem Bren pomyślał, że Tamun może mieć nielicznych popleczników, ale niedoinformowanych członków załogi może być zbyt wielu, żeby ryzykować ofiary śmiertelne, nawet w tak krytycznej sytuacji. Wtedy jednak zobaczył, co pojmany ma na sobie.
- Czy to sprzęt ochroniarza? Czy to była ochrona?
- Ateva tak sądzi - odparł Banichi. - Obserwujcie korytarz - powiedział do Jago i Tano, po czym zdjął stopę z wijącego się człowieka, który umknął, ale zatrzymał się na ścianie, usiłując wstać.
Jase i Kaplan chwycili go i przyparli do ściany.
- Bobby - powiedział Kaplan do wrywającego się mężczyzny. - Bobby, przestań, słyszysz? Nie szarp się. Stary żyje, słyszysz mnie? Ramirez żyje. Chcesz zobaczyć czy mam ci to wbić do głowy?
Kroger podniosła lampę intruza i rozbiegany promień światła padł na jego szeroko otwarte oczy.
- Aha - powiedział człowiek imieniem Bobby. - Akurat. Jeśli to prawda, to chcę go zobaczyć.

- Zabieramy sprzęt - oznajmił Andresson - więc go oddaj. Tamun zwariował. Strzelił do starego. Teraz bez powodu strzelił do Franka. Musimy się go pozbyć.

- Ty tak mówisz!

- Wszyscy tak mówimy! Ci obcy mogli cię pociąć na kawałki, jak przetwarzarka, ale tego nie zrobili, więc zamknij się i bądź uprzejmy. Oni są przy zdrowych zmysłach. Tamun oszalał. Ty żyjesz, a reszta wciąż oddycha. Przemyśl to sobie.

Wtedy z Bobby'ego zdała się ujść cała energia; pozwolił Jase'owi i Kaplanowi pomóc sobie wstać i po kolei pozbawić go sprzętu, który stopniowo nakładał na siebie Kaplan.

W korytarzu pojawiło się więcej światła, tym razem z lampy na piersi, należącej do wyposażenia Bobby'ego, a włączonej przez Kapłana.

- Niech Bobby porozmawia z kapitanem - zaproponował Jase - a potem puśćmy go, żeby powiedział, komu chce. Tamun jest skończony. Kiedy Ramirez go dorwie, wyleci przez śluzę powietrzną.

- Po co Ramirez zadaje się z tymi obcymi?

- Żeby przeżyć - odparł Jase. - Mimo ludzkich sukinsynów, którzy nie chcą mu pomóc.

- Pójdiesz ze mną - powiedział Kaplan, ciągnąc za sobą Bobby'ego.

- Światło stanowi cel - zauważyła cicho Jago w mospheiranie, nie spuszczać wzroku z korytarza. W ręce trzymała pistolet. - Niebezpieczne, Gin-nadi.

Ginny Kroger wyglądała na zaniepokojoną, kiedy Banichi wyjął jej z ręki lampę i ją zgasił.

- Światło w korytarzu - powiedziała Jago. - Coraz jaśniejsze.

W miejscu, na które patrzyła, Bren nie widział żadnego światła, ale w mroku jego wzrok nie mógł się równać z wzrokiem atevy. Kiedy Tano zerknął na niego w świetle latarki Jago, skierowanej w podłogę, widać było ten ulotny poblask atewskich oczu, ale było to coś więcej niż ozdobny wyróżnik rasy.

- Schowaj się, nandi - rzekł Tano.

- Ktoś idzie - powiedział Bren do Kroger i pozostałych. - Wracają. Wszyscy kryć się!

Kieszonkowa latarka natychmiast zgasła. Bren miał złudzenie całkowitej ślepoty, ale usłyszał, że ktoś podchodzi do niego z miejsca, w które poszli Kaplan i Bobby; usłyszał, że w kontrolowanym przez nich korytarzu znajduje się dwóch mężczyzn, co najmniej dwóch.

- Jestem ze starym. - Obcy głos nieco zdeprymował Brena. To Bobby, a spodziewał się Jase'a. - Mówi, żebym poszedł, więc idę. Wyjdę na korytarz. Rozpuszczę wiadomość. Nie strzelajcie do mojego zespołu.

- Idź - powiedział Bren i szepnął nieco głośniej: - Jago, Tano, Bobby-nadi wychodzi. Niech dotrze do swoich towarzyszy.

- Istnieje ryzyko - rzekła Jago. - Bobby-nadi, pomów z tymi w korytarzu. Usiłują się kryć.

- Macie tam zostać! - wrzasnął Bobby w ciemność, a jego krzyk rozbrzmiał jak głos trąby sądu ostatecznego. - Jest tu kapitan, mają go żywego, a Tamun to cholerny kłamca! Możecie z nimi rozmawiać, słyszycie?

Zapadła cisza, długa, pełna niepokoju cisza.

- Udowodnij, że to ty!

- Tad, pamiętasz, kto zepsuł kurek i zalał sekcję! Mówiłbym ci to, gdybym to nie był ja?

- Bobby? - rozległ się głos z ciemności, zza zakrętu. - Bobby? Jesteś z nimi?

- Tak. I wszystko ze mną w porządku, jest tu też Leo, Frank i jego zespół, a Tamun strzelił do Ramireza kulą, Tad. Rozgłoś to na sieci. Strzelił do starego kulą. Możesz pogadać z Leo na sieci. Ma mój sprzęt.

- Tad - powiedział Kaplan do komunikatora. - Słyszysz mnie? Frank Modan mocno oberwał prądem. Wysadziło mu sporo sprzętu. Mnóstwo ludzi usiłuje, ura-

tować kapitana, ale źle z nim, został postrzelony w pierś. Mamy taśmę z jego głosem, którą mogę wam odtworzyć, jeśli podłączycie się do C1 i będziecie ją puszczać. Wciąż mnie odbieracie, prawda? Słyszycie mnie głośno i wyraźnie?

- Oni mówią prawdę! - wrzasnął Bobby w korytarz. - Powiedzcie C1, żeby to zrobili, dobra?

- Mam pan ten magnetofon, sir? - zapytał półgłosem Kaplan.

- Tak - odpowiedział Jase. - Nie ma łącznika, przełącz przez mikrofon kierunkowy.

W pełnej wyczekiwania ciszy nikły trzask przycisku odtwarzania i początkowy szum rozbiegówki zabrzmiały nienaturalnie głośno.

- Tu Ramirez - magnetofon odtworzył cichy głos kapitana. - Nie wiercie w ani jedno słowo Pratapa Tamuna, jego rozkazy nie są warte splunięcia. Żyję tylko dlatego, że wy dostał mnie Jase. Tamun i jego kuzyni są winni jak cholera. Jase Graham ma być czwartym kapitanem. Jase, masz go wyeliminować, słyszysz?

27

Słyszysz? - zapytał Kaplan, kiedy skończyło się nagranie.

- Tad? Słyszysz to głośno i wyraźnie?

Kaplan na chwilę przerwał, a na jego twarzy odmalował się niepokój.

- Ktoś się do nich zbliża. Tad, chodźcie do nas, słyszysz? Biegnijcie!
- Proszę pani, proszę pana - to, absurdalnie, do Banichiego i Jago. - Idą w naszym kierunku, muszą! Nie strzelajcie!

- Rozumiem, Kaplan-nadi - odparła Jago głosem będącym uosobieniem spokoju. - Banichi?

- Za nimi jest Cenedi - odparł ateva.

Bren zareagował bardzo szybko:

- Kaplan! Powinni natychmiast stanąć i nie ruszać się. W korytarzu jest nasza własna ochrona. Powiedz im, żeby stali spokojnie i nie stwarzali zagrożenia!

- Zatrzymajcie się, chłopaki! - powiedział Kaplan do mikrofonu. - Czekajcie! Stójcie spokojnie, za wami jest atewska ochrona. Nie przestraszcie nikogo, po prostu się nie ruszajcie. To są faceci z piekła rodem!

Na twarzy Kaplana pojawiło się zaskoczenie.

- Tak jest, proszę pani - powiedział i dodał: - Mam pytanie z centrum łączności "Feniksa". Tam jest Sabin. Usłyszała to.

- Po czyjej jest stronie? - spytał Bren.

- Mam zapytać, sir?

To nie do wiary, pomyślał Bren: stoją w ciemności, wszędzie przemieszczają się oddziały ochrony, wdowa zostawiona w ciemności przy kolacji, jego ochroniarze napięci jak struny, Ramirez walczy ze śmiercią, a oni muszą pytać kapitan "Feniksa", po czyjej opowiada się stronie.

- Zapytaj.

- Czego chce kapitan? - Kaplan przetłumaczył pytanie, a potem przekazał odpowiedź. - Sir, C1 mówi, że Sabin szuka Oguna, najwyraźniej stracił łączność, a ona nie chce, żeby ktokolwiek dokądkolwiek chodził.

- On może nie żyć - powiedział Bren. - Powiedz C1, co się stało z nami.

Kaplan zaczął pośpiesznie opowiadać. Tymczasem na przecięciu korytarza pojawiło się światło, a w ich stronę ruszyła garstka ludzi wyposażonych w sprzęt ochrony.

Za nimi pojawiły się bardzo wysokie postacie ze światłem, które też szły ku nim.

- Powiedz kapitan - polecił Jase Kaplanowi - że działam na polecenie Ramireza, czwarte stanowisko, z jego polecenia. Zapytaj ją, czy jest tam z nią Tamun.

- Tak jest, sir. - Kaplan przekazał słowa Jase'a. - Nie, sir - powiedział po usłyszeniu odpowiedzi. - Sabin nie wie, gdzie on jest.

- Powiedz jej, że ma znaleźć Oguna, nie dopuszczać Tamuna do żadnych przycisków i nie otwierać luku, dopóki nie prześlemy wiadomości. Powiedz C1, by nadawało wiadomość Ramireza. Jeśli jej nie skopiowali, możemy ją odtworzyć jeszcze raz. Powiedz Sabin, żeby włączyła zasilanie! Kapitan tego nie przetrzyma.

Kaplan przekazał i to, po czym powiedział:

- Sabin mówi, żeby czekać.

Nieoczekiwany ryk syreny, krótki i głośny, zaświdrował w atewskich uszach; w sekundę później światła rozbłysły do jasności południa i włączyły się wentylatory. Na widoku wszystkich stała niepewnie grupka ochroniarzy stacji, a za ludźmi znajdował się Cenedi i pół tuzina jego podwładnych.

Z każdej konsoli ściennej rozległa się nagle i głośno wiadomość Ramireza.

- Czy to wiadomość kapitana? - upewnił się Banichi.

- W rzeczy samej, Banichi-ji. Poinformuj wszystkich, że sprawy toczą się umiarkowanie dobrze.

- Toczą się bardzo dobrze - rzeki Banichi - ponieważ sądzę, że pan Geigi i jego ochrona zaczynają się niecierpliwić i wyjdą do doku.

- Jest tutaj pan Geigi? - zapytał wstrząśnięty Bren. - We własnej osobie?

Uświadomił sobie, iż nikt nie powiedział mu, że go tu nie ma, a on założył, że skoro to ochrona Geigiego, to została wypożyczona. Lekko otyły, czasem arogancki pan wybrzeża... zaiste, pan Geigi wziąłby udział w takim szalonym przedsięwzięciu, szczególnie podążając śladem 'Sidi-ji.

Wdowa nigdy, przenigdy nie podróżowała bez środków.

A w dokach... pomyślał Bren, prom wystawiony na niebezpieczeństwo i, mój Boże, statek, ten święty Graal całej ludzkiej działalności. Statek, który widzieli na podejściu, niedaleko doku promu...

- Statek, Jase. Dojście jest tutaj, prawda? Taki sam dok jak dla promu?

- Sąsiedni - odparł Jase. - Ten sam teren. Jeśli Sabin utrzyma luk, nie wejdą do środka, ale jeśli uzna, że zagrożone jest ludzkie życie...

- Musimy się dostać tam na dół. Na górę. Nie możemy dopuścić, by Geigi zagroził "Feniksowi". Załoga pomyśli o najgorszym.

- Jego celem jest dok - powiedział spokojnie Banichi. - Oraz bezpieczeństwo promu.

- W tej sytuacji bardzo łatwo o nieporozumienie. Banichi, oni nie mogą jeszcze wyjść. Przekaż im wiadomość, by poczekać.

- Nie mamy z nim żadnego pewnego kontaktu oprócz samego "Feniksa", a nie powinniśmy dać im znać, Bren-ji, że jest tu Geigi. Nie możemy zdradzić pana Geigiego. Stracilibyśmy wielu atevich i narazilibyśmy aishidi'tat.

- Musimy się tam dostać - rzekł Bren. - Musimy to wstrzymać, zanim wybuchnie.

Banichi nie sprzeczał się.

- Cenedi. Potencjalna towarzyszką ma statek, Sabin-aiji; Ogun-aijiego nie można znaleźć. Ramirez-aiji jest tutaj, ranny i słaby. Jeśli Geigi się ruszy, prawdopodobnie spowoduje zamęt sił w doku.

- Geigi ruszy się za trzy kwadransy, chyba że ci ludzie zaatakują statek.

- Znajdziemy się tam windą za dziesięć minut - stwierdził Jase. - Nadiin-ji, musimy iść, musimy iść teraz, by nie dopuścić do nieporozumienia.

- W grupach Bobby'ego i Kaplana toczyły się negocjacje, prowadzone w żargonie i skrótami, rozpaczliwe sprzeczki przetykane przekleństwami. - Kapitan jest w kontakcie z Sabin. Mamy jej powiedzieć, że nadchodzimy?

- Powiedz jej, że my nadchodzimy, to będzie się spodziewała atevich. - Bren podjął ważną decyzję. - Nie mów ani słowa o atevich już będących na górze. Nie wspominaj o panu Geigini. Ginny. Będziesz miała w swojej sekcji pół tuzina ochroniarzy i kilku atevich z Benem i Kate jako tłumaczami. Zapewnią ci bezpieczeństwo. Idziemy na górę rozbroić to, zanim wybuchnie.

- Nie podoba mi się to - stwierdziła Kroger. - Wcale mi się nie podoba. Pozwól mi porozmawiać z Sabin.

- Proszę, jeśli uda ci się z nią skontaktować. Poradź jej, by nie otwierała tego luku. Usiłujemy wszystko rozwiązać.

- Ty nie pójdiesz, Bren-ji - oznajmiła Jago. - Nie rób żadnych takich planów.

- Ktoś musi negocjować między wdową i Sabin - odparł.

Człowiek przyzwyczajał się do strzelaniny, wyłączania i włączania światła, nawet do myśli o odcięciu zasilania w całej stacji. Bren nie bał się takich rzeczy, lecz przypadkowego nieporozumienia, które mogłoby zniszczyć całe przedsięwzięcie i wywołać nową wojnę... tego bał się śmiertelnie, a właśnie coś takiego miał na głowie.

Wdowę i, niech Bóg ma go w swojej opiece, pana Geigiego.

I Sabin.

Przyłączył się do Banichiego i Jago, a razem z nim trzymał się Jase.

- Chodźmy, nadiin-ji. Nie mamy czasu na dyskusje.

- Idziemy - rzekł Banichi; przyłączył się do nich też Kaplan z prawie wszystkimi ludźmi z wyposażeniem ochrony: Tad oddał swoje Andressonowi, a inni Pressmanowi i Johnsonowi. Cenedi wyznaczył swoich własnych atevich do pozostania na straży, komunikując się z nimi już w drodze. Dziesięć minut na samą windę, powiedział Jase, i Bren szedł szybko, a potem ruszył biegiem, by dotrzymać kroku Banichiemu kroczącemu na przedzie; potem reszta grupy zaczęła się śpieszyć, pędząc głównym korytarzem do wind.

Przyciski konsoli windy okazały się nieczynne. Nie było światła.

Banichi nie zawahał się ani na mgnienie oka i zaczął rozmontowywać konsolę.

- Sabin da zezwolenie - powiedział Kaplan, a Bren wyciągnął rękę, by zapobiec dalszej rozbiórce.

Światelka konsoli zabłysły; kiedy przyjechała winda, drzwi posłusznie zareagowały na naciśnięcie guzika.

- Wszyscy? - zapytała Jago.

- Lepiej pojawić się licznie - orzekł Banichi. - Zaproponuj, nadi, by C1 skontaktowało się z załogą promu i powiedziało jej, że staram się z nią połączyć.

Wydawało się to dobrym pomysłem. Bren przekazał prośbę Kaplanowi, który wywołał C1 przez komunikator. Tymczasem weszli do kabiny, upychając się jak najciaśniej.

Kabina ruszyła. Kiedy Bren spojrział na Jase'a, ten właśnie patrzył na wskaźniki; obaj bardzo niscy ludzie stali wśród bardzo wysokich, kuloodpornych atevich. Bren zaczerpnął tchu, mając teraz czas na śmiertelny strach, czas na przypomnienie decyzji, które ich tu zawiodły, oraz wszystkich niebezpieczeństw związanych z ich pozycją. Winda zdawała się poruszać wolniej niż przedtem, a może to jego myśli biegły szybciej. Coraz bardziej uzależniali się od Sabin i zestawu przycisków znajdujących się pod jej kontrolą, zagrożeni lodowatym zimnem, całkowitą ciemnością i złą, bardzo złą sytuacją, gdyby ktoś zatrzymał kabinę.

To, że Tamun mógłby mieć dostęp do tych przycisków, nie było miłym tematem rozmyślań.

Kabina stuknęła, nabierając prędkości. Byli upakowani tak ciasno, że zmiany wysokości wcale nimi nie miotały, tyle że ich cała masa nabierała coraz większej nieważkości.

Boże, błagam, byśmy dotarli na miejsce, pomyślał Bren, mając przed oczyma Tamuna i przyciski. Obserwował, jak na panelu zmieniają się błyskające światelka. Liczył je. Było tak ciasno, że nie mógł poruszyć ręką, by wyciągnąć pistolet z kieszeni, tak ciasno, że zaczął oddychać równo z Jago, bo inaczej jej głębokie oddechy nie pozwalały oddychać jemu.

Jeszcze trzy poziomy.

Dwa. Nie mieli już ciężarów.

Kabina zatrzymała się. Kiedy drzwi otworzyły się na zimno tak intensywnie, że sprawiało wrażenie próżni, wszyscy wypłynęli na zewnątrz.

Wokół nich zaczęły uderzać kulki, krzesząc iskry; atevi wypłynęli z windy na prawo i na lewo, odpychając się od drzwi i odpływając w stanie nieważkości. Bren zajął się sobą, odepchnął się od Tano, który znajdował się za nim, i również odpłynął od windy, próbując zrobić to co Jago, to znaczy chwycić za krawędź drzwi, by się zatrzymać i dotrzeć do jakiejś osłony.

Próbował, ale trafienie w nogę poraziło ją i nie pozwoliło mu chwycić się krawędzi drzwi. Na metalowych powierzchniach wokół niego skrzyły się i trzaskały pociski.

Ktoś - Jase! - wołał:

- Ramirez! Ramirez żyje! Tamun jest skończony!

Bren przekoziołkował; instynkt mówił mu, że jeśli się skuli, to ból zelżeje, natomiast intelekt twierdził, że w ten sposób zginie. Przepływając obok jakiejś rury, spróbował się jej przytrzymać.

- Bren-ji!

Chwyciła go czyjaś dłoń i przyciągnęła w bezpieczne miejsce.

Drugi elektryczny wstrząs odrzucił Brena w bok - przekoziołkował wysoko nad linami prowadzącymi od wind, chwycił lodowato zimną powierzchnię jakiejś rury gołą ręką i zatrzymał się, a przynajmniej zmienił pole widzenia.

Zobaczył, że Jago unosi się swobodnie, usiłując go dosięgnąć w tej pozornie oszalałej wysokości. I zobaczył ukrytego człowieka, który w nią mierzył.

Strzelił, nie myśląc; odrzut wydarł mu rurę z ręki i Bren mocno uderzył w jakąś inną twardą powierzchnię. Odbił się od niej i znów przekoziołkował, usiłując zobaczyć Jago. Nie widział człowieka, do którego strzelił. Nie słyszał nic oprócz zanikającego echa strzału.

Objął jakąś rurę ramieniem, tym razem wysoko nad wyjściem z promu. Nie widział Jago, ale zobaczył, że otwiera się luk. Zobaczył wypływających z niego atevich; trzymali się lin, byli uzbrojeni, gotowi wplatać się w kłopoty i zdolni je stworzyć.

- Panie Geigi! - zawołał Bren dwa razy i przy drugim okrzyku któryś ateva zatrzymał się i spojrział w górę albo w kierunku pozornie odpowiadającym górze.

- Bren-ji! - krzyknęła gdzieś z daleka Jago. Bren wiedział, że krzycząc, zrobił z siebie cel; wiedział, że jego ochronie się to nie podoba.

- Jest tu na górze! - usłyszał okrzyk Jase'a.

Sytuacja stała się ogromnie krępująca. Szukała go cała jego grupa. Włożył broń do kieszeni, bojąc się ją zgubić, co byłoby ostatecznym wstydem; i spróbował przeciągnąć się na rękach wzdłuż rury do jakiegokolwiek drogi prowadzącej w dół. Zupełnie jakby zawisł wśród rusztowań trzy czy cztery piętra nad dokiem, w przepastnej, zimnej przestrzeni poprzecinanej przewodami i luźno unoszącymi się elastycznymi rurami, dokąd posłała go fizyka strzału... mógł to przewidzieć każdy, kto by się choć trochę zastanowił. Nie wiedział, czy strzelanina już się skończyła; nie wiedział, czy osoby starające się go sprowadzić na dół same nie wystawiają się na niebezpieczeństwo.

Nie miał żadnej łączności oprócz krzyczenia, a i tak już narobił dość hałasu. Posłużył się połą kaftana do odizolowania dłoni od rur i w końcu jego poobijany mózg poinformował go, że owszem, fizyka go tu wyniosła i fizyka może sprowadzić na dół szybciej niż przeciąganie się na rękach. Zebrał się na odwagę, zignorował perspektywę i po prostu odepchnął się, lecąc w dół i w dół, aż wreszcie mógł pokoziołkować w stronę miękkiego lądowania.

Znalazł się w zasięgu wyciągniętej dłoni Jago... Złapała go za rękaw i przyciągnęła do bezpiecznego, ciepłego boku. Czekał tam już Banichi. Cenedi też. Bren był bardzo zażenowany.

- Będziemy musieli dać ci licencję Gildii - stwierdził Banichi. - Strzeliłeś do Tamuna.

- Zastrzeliłem go? - Był przerażony, całkowicie zaskoczony naruszeniem swojej bezstronności we wszelkich sporach. - Nie żyje?

- Nie - odparła Jago ku jego dziwnej uldze - ale Jasi-ji go aresztował. To chyba jest właściwe słowo.

Unosili się niewielką grupą w atmosferze tego, co po dalekich zimnych rubieżach dźwigarów wydawało się miłym ciepłem. Zbliżał się do nich Jase, podciągając się na linie wśród wielu więcej atevich, niż było ich przedtem.

Wyróżniał się między nimi bardzo tęgi ateva w grubym zimowym marynarskim kaftanie, płynący o wiele za szybko, by było to bezpieczne bez aseku-racji liny.

- Pan Geigi - powiedział Bren. Trząśnięcie było zbyt mocno, by przeprowadzić akcję ratunkową, ale Cenedi wystawił rękę i delikatnie zatrzymał pana wybrzeża.

- To nadzwyczajne, nadiin - rzekł pan Geigi z błyszczącymi złocistymi oczyma i niezwykłym rumieńcem na hebanowej twarzy. - To zupełnie nadzwyczajne. Czy wygraliśmy? I o co walczyliśmy?

- Człowiek tak sądzi - zaczął mówić Bren, ale wtedy zobaczył trzech ludzkich robotników zmierzających w jego stronę.

Razem z nimi zbliżał się człowiek też ubrany w jaskrawo-pomarańczowy kombinezon dokerów, mężczyzna o ciemnej, dobrze znanej twarzy, mężczyzna, jak podejrzewał Bren, uzbrojony; nie sprawiał jednak groźnego wrażenia i zbliżał się bez wahania: był to człowiek, który uważa to miejsce za swoje.

- Kapitan Ogun - przywitał Bren przybysza. Nastąpiło ciche, pełne napięcia spotkanie.

- Kapitanie Ogun - powiedział Jase. - Kapitan Ramirez ustanowił mnie na czwartym stanowisku. To jego upoważnienie. Zajmuję trzecie, dopóki on nie zarządzi inaczej. Tamun jest pod strażą. Dresh znajdzie się pod strażą, gdy tylko się ujawni.

Ogun nie zmienił wyrazu twarzy.

- Masz kody?

- Od czasu, kiedy byłem ze starym w tunelach. Potrafię się podłączyć - rzekł Jase bez cienia życzliwości w głosie. - Uwierz mi, że potrafię. Nie zamierzam zachować tego stanowiska. Nie pozwolę mu jedynie wystygnąć.

- Zdrowy rozsądek - skwitował Ogun, jakby słowa były złotem i rzadko występowały. - Tamun jest skończony. Dresh jest skończony. Masz trzecie stanowisko. Zachowasz je do czasu zebrania się Rady. Potem to przedyskutujemy.

- Wtedy się go zrzeknę - powiedział Jase. - Cholernie szybko. Nie mam zamiaru zasiadać w Radzie, nie mówiąc już o zachowaniu tego stanowiska.

- Pierwszy warunek do tej pracy - stwierdził Ogun. - Czy Tamun żyje?

- Żyje - odparł Jase. - Stał się problemem Rady.

- Cholernym problemem Rady - rzekł Ogun i dotknął metalowego kołnierza pod pomarańczowym kombinezonem. - Sabe. Złapaliśmy Tamuna. Jase jest trzeci, nominacja Ramireza. I moja. Mamy na pokładzie kolejnych atevich, jeszcze jednego ważnego, a przynajmniej na to wygląda. Czekali... na to, co zrobimy. Tak. Niezłe daliśmy im przedstawienie, co? Teraz musimy znaleźć dla nich wszystkich łóżka. Sabe, wycofaj całą załogę na statek. Spotka się Rada. Musimy załatać to, co zostało rozdarte. Bardzo tego potrzebujemy.

Wtedy chyba odpowiedziała mu Sabin.

- Zrobione. Wszystko w porządku - powiedział Ogun, patrząc w puste zakamarki doku. - Zostańcie tam, gdzie jesteście. Nie musicie wychodzić, dopóki sytuacja nie będzie całkowicie stabilna.

Następnie zwrócił beznamiętne spojrzenie na Brena.

- I cóż, panie Cameron.

- Cóż, sir. Cieszę się, że pan uciekł. Bałem się, że się panu nie uda. Zaatakowali nas po drodze z pańskiego biura.

- Frank?

- Przydałby mu się pobyt w szpitalu. Jest z doktor Kroger.

Ogun patrzył na niego przez chwile z kwaśnym, niepokojącym wyrazem twarzy.

- Umowy obowiązują. Dostaniecie potrzebne środki. Przekażcie wszystkich więźniów, wszystkie ofiary nam. Systemy, które uszkodziliście, panie Cameron, wy naprawicie.

- Te w naszym zasięgu - rzekł Bren. - Na szczęście rachunek nie jest taki długi, jak mógłby być.

Nie czuł rąk. Noga wciąż go bolała i zdrętwiała od wyładowania, a serce nadal biło nieregularnie. Niczego nie pragnął bardziej niż jakiegoś miejsca z powietrzem, ciepłem oraz prostym, błogosławionym złudzeniem ciężenia i tego, że przedmioty tkwią na swoich miejscach.

Zamiast jednak zwinąć się w kłębek, by ulżyć bólowi, musiał tłumaczyć grzeczności podczas spotkania pana patronatu, pana Geigiego, który uparł się wymieniać je z pełniącym obowiązki starszego kapitana Gildii Pilotów... bardzo powolne, bardzo formalne grzeczności; pod koniec Bren szcząkał zębami. Jase'owi nie wiodło się lepiej.

- Herbata - oznajmił w końcu Geigi. - Czy mamy tu pływać jak ryby? Wyznaję, że przydałby mi się dzbanek gorącej herbaty, naprawdę by mi się przydał, a może i porcja czegoś innego. Wierzę, że wdowa zaprowadziła tu niejakie wygody. Prawda?

- Bez wątplenia - odparł Cenedi, podczas gdy Brenowi wystarczyło po prostu unoszenie się w powietrzu, dopóki Jago nie pociągnęła go w kierunku windy. Zjechali nią w o wiele mniejszym tłoku.

Banichi dał mu swój wygrzany kaftan, a Jago swój oddała Jase'owi, który był w gorszym stanie, cierpiąc przez stłuczone żebra. Kapłan i jego przyjaciele już zjechali na dół. Pojechał z nimi Geigi i jego domowa straż. Cenedi został jednak na górze razem z Tano, by nie dopuścić do żadnych nieporozumień.

Tano zaproponował, by posłać po Bena Feldmana, i Bren uznał to za bardzo dobry pomysł. Ben polubił te chwile, na którą czekał przez całą swoją długą edukację, swoją szansę zajęcia się płaszczyzną styczości w chwili, gdy znaczy on tak wiele, i Bren przypomniał sobie, że musi porozmawiać z Kroger, poinformować ją, zapewnić Ramirezowi najlepszą opiekę, jaką da się znaleźć. I Frankowi. Frankowi też. Wszystkim, których uda im się zgromadzić, którzy ucierpieli najbardziej w tym starciu starych podejrzeń i nowych ambicji. Przekazał to Kapłanowi, który przekazał to z kolei C1 oraz prawdopodobnie Sabin i Ogunowi.

Jase jechał na dół po własną kurtkę, a po odpoczynku znów zamierzał wybrać się na górę. Ramirez obarczył go odpowiedzialnością, której Jase za bardzo nie pragnął, ale przed którą nie będzie się uchylał. Został pełniącym obowiązki kapitana na miejsce Tamuna - tego też nie chciał, ale ktoś musiał to zrobić.

Musiał też powiedzieć matce, że wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu żyje.

Tymczasem herbata wydawała się bardzo dobrym pomysłem, a łóżko jeszcze lepszym, i Bren miał nadzieję na obie te rzeczy niedaleko miejsca, w którym wysiedli z windy. Jase wybrał poziom i rejon. Ich stopy miały coraz lepszą styczność z podłogą, a samo powietrze stawało się cieplejsze... Może to było złudzenie, ale kiedy dotarli do celu podróży i wyszli na korytarz, Bren poczuł, że wreszcie ma wystarczającą ilość tlenu.

Korytarz nie był jednak opustoszały. Załoga gromadziła bagaże, opuszczała pokoje... szybko reagując na rozkaz powrotu na statek.

"By załatać i uleczyć to, co zostało rozdarte przez konflikt" - powiedział Ogun.

I Bren uznał w głębi serca, że nie powinni zostać zamknięci w swojej metalowej skorupie, kiedy stacja będzie przebudowywana. Nie powinni. Naprawia płaszczyznę styczości, dostarczą Kapłanowi i jego przyjacielom dość owo-

cowych cukierków, by przyprawić ich o bezsenność, nauczą wędrowców wartości planet, największego, wspaniałego i rzadkiego cudu świata.

Tymczasem po prostu chciał przejść przez korytarze, nie będąc celem dla kogoś z obrażonych kuzynów Tamuna. Narani i Bindanda zostali poinformowani; wdowa podobnie. Mogą przybyć z nieporządnym tłumem ciekawskich za plecami, ale drzwi się otworzą, a oni znajdują się we własnej kwaterze... Dostaną ten dzbanek herbaty, gorącą kąpiel, łóżko, które Bindanda z pewnością dla niego przygotował.

Przed nimi stał stary człowiek, nieszkodliwy staruszek, patrząc przez chwilę na to, co pojawiło się w jego okolicy i przewróciło do góry nogami jego uporządkowane, choć niezwykle życie. Wielu członków załogi było starych. Nie wszyscy. Z pomieszczeń wzdłuż ich trasy wychodzili inni ludzie, wystawiając bagaże na korytarz, by powrócić do ciasnych pomieszczeń na statku.

Wtedy otworzyła się następna sekcja, ukazując garstkę stojących w dali młodych ludzi, kobiet i mężczyzn.

- Idźcie swobodnie, nadiin-ji - powiedział spokojnie Banichi w ragi. - Pomyślcie o wiosce, mieszkańcy której wyszli, by zapytać swoich panów, czy niebezpieczeństwo już minęło.

- Podobno zbliża się stara dama - rzekł Kaplan, podłączony do C1. - Chcą ją zobaczyć. Załoga usłyszała, że stara dama wyszła. Chcą zobaczyć pana. Chcą zobaczyć ją.

- Pragną zobaczyć aiji-wdowę - powtórzył Banichi, jakby chcąc się upewnić, że dobrze zrozumiał.

- Babcię - powiedział Kaplan. - Damę.

I rzeczywiście, na przecięciu korytarza, a właściwie w ich własnej sekcji, były otwarte drzwi, z których wyszła w ich stronę grupka atevich, ubranych na czarno i lśniących srebrem Gildii; w jej środku szła, wspierając się na lasce, drobna ateva.

- To ona, prawda? - spytał Andresson. - To ta stara kobieta.

- To nie jest brak szacunku - pośpiesznie wyjaśnił Jase. - To jakby mówili: "aiji". Stara kobieta. Babka. Tabini wysłał ją... to najwyższa negocjatorka. Stare kobiety angażują się w sprawy dopiero wtedy, kiedy wszystko się skończy.

Było tak, jak zawsze mówił mu Jase. Kobiety były rozjemcami, osobami stojącymi poza sporami, osobami, które nie walczyły.

Nigdy w życiu nie spotkali babki Tabiniego.

Ale Bren pomyślał sobie, że 'Sidi-ji przyjmie szacunek ludzi z wielkim zadowoleniem.

U atevich też właśnie aijiin wychodzili, by zebrać rozsypane kawałki, tych, co przeżyli, i samą swoją obecnością zespolić patronat z powrotem.

Kiedy się pojawiali, oznaczało to, że walka się skończyła.

Kiedy efekty były akceptowane po obu stronach, nie musieli mówić tym samym językiem.

28

Otrzymałam wiadomość od Tabiniego, napisała do niego matka. Bren otrzymał surrealistyczną stertę poczty; niektóre przesyłki reklamowały urlopy narciarskie na Mt. Thomas albo inwestowanie w nieruchomości.

"Martwi się o Ciebie. Zapewniłam go, że czujesz się dobrze.

Barb odzyskała przytomność i pyta o Ciebie. Powiedziałam jej, że jesteś na stacji kosmicznej, a ona poprosiła, żebym nie robiła takich żartów, ale powiedziałam, że to niestety nie żart.

Wszędzie jest pełno strażników. Nie wpuszczają mnie do salonu, gdzie stoi telewizor, nie mam więc żadnych wiadomości, ale odwieźli mnie do domu i wreszcie po raz pierwszy wyspałam się po tym wszystkim i wysprzątałam Twój

pokój. Znalazłam Twoją spinkę do mankietu. Chyba jest kosztowna. Przechowam ją.

Toby wciąż nie dzwoni, ale dostałam kartkę od dzieciaków, którą - uwierzysz? - musieli mi dać strażnicy? Przeglądają moją pocztę. Nie wiem, może Toby dzwonił, a oni nie pozwolili mi z nim rozmawiać. Moim zdaniem to zupełnie niepotrzebne. Co oni sobie myślą? Że problemem są moi synowie?

Barb mówi, że powinieneś szybko wracać. Paul nawet jej nie odwiedził. Barb wreszcie mówi o rozwodzie, co moim zdaniem jest dobrym pomysłem. Najwyższy czas”.

To był pierwszy z trzech podobnych listów. Tamę przerwano. C1 przesłało mu całą zatrzymaną pocztę.

Czekały na niego liczne wiadomości od członków rozmaitych komisji oraz członków hasdrawadu i tashridu... a także jeden oficjalny list z mospheirskiego Departamentu Stanu z ogólną informacją, że różne sprawy osobiste zostały załatwione. Bren odczuł ulgę. Jego rodzinie nie grozi żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo.

I była też krótka, prosta wiadomość od Toby'ego:

”Z jakiegoś miejsca blisko brzegu. Dziwnie pomyśleć, że unosisz się nad naszymi głowami, a mu unosimy się tutaj. Leżymy na pokładzie, patrzymy na chmury i przypominamy sobie, że świat jest wyjątkowy.

Ty też, bracie. Oboje tak sądzimy”.

Jak miło. Dobrze wiedzieć, że są bezpieczni. Lekkie ukłucie zazdrości, że dobrze się bawią. Widział ich. W tym miejscu składającym się z wykonanych przez maszyny korytarzy widział to błękitne niebo i czuł kołysanie fal.

Nie wracał do domu najbliższym lotem. Nie wracała też, o czym dowiedział się z lekkim przerażeniem, wdowa, która na dodatek zaprosiła na górę astronoma honorowego, spodziewającego się ujrzeć w nagrodę za swoje trudy gwiazdy i mgławice.

Te obserwacje trzeba będzie zorganizować

Cały cholerny dwór domagał się widoku niebios... oraz swojej stacji, podczas gdy Mospheira całkowicie zakopała się w ujawnionym archiwum i pozwach o prawa nadawania.

Pozwolił Bindandzie nałożyć sobie kaftan, poprawił go, poruszając ramiionami, i zamknął komputer, po czym zajął się koronkami. Brakowało mu tej spinki - pochodziła z ulubionego kompletu - przy której wpinaniu nie gniotła się wyprasowana koronka.

Oficjalna herbata z wdową, ze wszystkimi paidhiin oraz ich rodzinami, co oczywiście oznaczało też pełniącego obowiązki kapitana.

Bren miał ogromne zastrzeżenia co do tego wydarzenia, ale miał nadzieję na najlepsze.